II 2.414.331



# OSKAR Kolberg

## DZIEŁA WSZYSTKIE

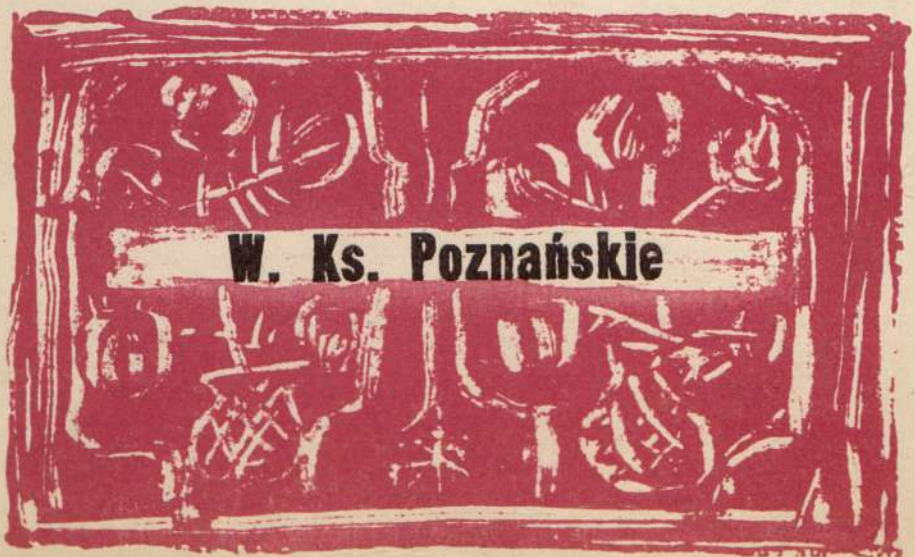

OSKAR KOLBERG

# DZIEŁA WSZYSTKIE

TOM 14

# W. KS. POZNAŃSKIE

CZĘŚĆ VI

POLSKIE TOWARZYSTWO LUDOZNAWCZE
WROCŁAW – POZNAŃ
1982

Komitet Redakcyjny

Gerard Labuda – przewodniczący, Józef Burszta – redaktor naczelny, członkowie: Ludwik Bielawski, Czesław Hernas, Helena Kapełuś, Bronisława Kopczyńska-Jaworska, Władysław Kuraszkiewicz, Anna Kutrzeba-Pojnarowa, Bogusław Linette, Dorota Simonides, Jadwiga Sobieska, Jan Stęszewski, Mieczysław Tomaszewski.

Biblioteka Narodowa
Warszawa

30001006720702

Reedycja fotooffsetowa

T.14, cz. 6

II 2.414.331

A

Zlecenie nr 128/83 N-5/755 Nakład 2500 egz. Wydanie II. Druk wykonano na papierze kl. III wybielany. Redakcja Dzieł Wszystkich Oskara Kolberga 61-812 Poznań, ul. Kantaka 4
Printed in Poland
Wykonano w Zakładzie Graficznym UAM, Poznań, ul. H. Wieniawskiego 1

2010 w 5116

# LUD.

Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce.

PRZEDSTAWIŁ

**OSKAR KOLBERG**

Członek kor. Akademii umiejętności w Krakowie oraz Towarzystw naukowych w Paryżu, Petersburgu i muzycznego we Lwowie.

Serya XIV.

W. Ks. POZNAŃSKIE.

**Część szósta**

wydana z pomocą Akademii Umiejętności w Krakowie.

**(Powieści).**

KRAKÓW,

W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

pod zarządem Ignacego Stelcla

1881.

Powieści ludu wielkopolskiego dotąd ani na większe rozmiary, ani też systematycznie zbieranemi nie były. Pewną ich liczbę (około 20) ogłosiło czasopismo Przyjaciel ludu wydawane niegdyś (183 — 1847) w Lesznie, a po niem parę pojedynczych baśni i inne także czasopisma, mianowicie: Pismo dla ludu polskiego (Poznań, 1845); baśni te, wcieliliśmy do naszego zbioru, dla uzupełnienia go. W liczbie ich znajdujemy (w Przyjacielu ludu), kilka powiastek podanych przez R. Berwińskiego, który nadto w r. 1840 parę Powieści wielkopolskich ogłosił oddzielnie; w wydanych atoli następnie: Studyach o literaturze ludowéj (Poznań 1854, na str. X) oświadczył, iż dalsze klechdy i powiastki, tekę jego jeszcze zalegające, światła dziennego więcej nie ujrzą. Po nim ogłosiła Emma z Kurowskich Puffke: 4 Baśni wielkopolskie (Leszno 1863), oraz J. Danielewski: Historyą o rycerzu złotoskrzydłym (Poznań 1875), które również w zbiorze naszym znalazły miejsce w skróceniu. Nie zamieściliśmy jedynie powieści dotyczących Wielkopolski wziętych z kronik (jak n. p. powieści zebranych przez L. Siemieńskiego i Bronisł. Kamińską), w przekonaniu, że kroniki te łatwo w rękach każdego światłego znaleźć się mogą badacza.

Otóż i cały zasób znanych nam powieści wielkopolskich [1]). Poczet ich niezbyt liczny, skłonił nas do przedsięwzięcia podróży i poszukiwań w celu nagromadzenia obfitszego dla badań materyału. Zebrane też w krótkim stosunkowo czasie i ogłoszone w niniejszéj Seryi powieści, jakkolwiek drobną tylko są częścią całości obiegających we wspomnionéj prowincyi bajek, — stanowią jednak, — o ile sądzić o tém mamy prawo, — materyał dla prac w tym kierunku podjąć się mających wcale niepośledni. Spisywaliśmy je w różnych miejscowościach Wielkopolski, i zyskiwali materyał tem obfitszy, im bardziéj do zbierania onego sprzyjały nam okoliczności, jak to miało miejsce n. p. w Morownicy pod Szmiglem, w Czeszewie pod Gołańczą, w Pakosławiu pod Rawiczem i w Dębiczu pod Środą.

Baśni niniejsze są w wielkiéj części waryantami ogłoszonych już w Ser. VIII naszego dzieła, a bardziéj jeszcze tych, które'śmy zamieścili w Seryi III. Pokrewieństwo to dziwić nikogo nie będzie, kto porównywał z sobą utwory ludowe wszelkiego rodzaju, z bliskich sobie położeniem geograficznem pochodzące prowincyj. Ale i to pewna, że uważane ogółowo, przedstawiają baśni te rzecz w charakterze miejscowym pojęciom właściwym, różnym przeto w wielu szczegółach od charakteru i zapatrywań ludu krakowskiego. Niektóre z nich, jak to z natury rzeczy wypływa, ukazują rozwinięcie przedmiotu pełniejsze, inne

[1]) Nie mieliśmy sposobności, mimo starań o to, poznać dzieła Neumann'a (pod pseudonymem San-Marte wydanego) pod tytułem: *Gross-Polens Nationalsagen, Märchen und Legenden, und Localsagen des Grossherzogthums Posen.* Bromberg. 1842.

mniéj pełne i zadawalające; fragmentów wszakże bez znaczenia małą tylko napotykamy liczbę.

Mówiąc o powinowactwie ich z baśniami krajów ościennych, niepodobna nam pominąć baśni niemieckich pochodzących ze zgermanizowanych dziś dzielnic Brandeburgii, Pruss zachodnich i Szląska, z których niejedna, równie jak i pozostałe tam jeszcze w użyciu obrzędy, wyraźnie na słowiańskie swe wskazuje źródło. (Obacz zbiory: Kuhna, Mannharda, Töppena, publikacyje w czasopismach i t. d.).

Wiadomo, że niemniej ważny jak i baśni do badań etnograficznych materyał dostarczają i ludowe Przysłowia. Wielką ich część podał niegdyś Przyjaciel ludu i inne czasopisma. My sami bardzo szczupłą zdołaliśmy zebrać liczbę. Wszystkie one zamieszczone będą w przygotowanym do druku obszernym zbiorze przysłów, pozostałym po ś. p. Józefie Konopce w rękach najstarszego jego syna i spadkobiercy.

O. K.

# POWIEŚCI.

# BAŚNI CUDOWNE.

## 1.

### Szklanna góra [1]).

(Matka z trzema synami. Łąkę jej nocą spasają trzy konie (zaklęte panny) wychodzące z drzewa. Najmłodsza na szklannej górze mieszka. Najmłodszy ją zdobywa).

od 8 migla (Morownica).

Była też jedna gospodyni chtóra miáła gospodarstwo i trzech synów; dwóch mądrych a jednego głupiego. Miała też trzy łąki, co bardzo śliczna tráwa, a ztąd i śliczne siano było na nich. Mówi ona do swojich synów: a gdzież wy synowie? A óni: a sumeśmy héj (a jesteśmy tu). A matka: idźcie i posieczcie mi te trávę, zeby my za pogody mogli to siano zebrać. Oni pośli i sieką jedne łąkę; jak tę skończyli, pośli na drugą łąkę. Teráz pójdemy na trzecią. Idą na trzecią łąkę, a tam tráwy niéma, bo jest wypasiona. Przychodzą do domu; Matka się pyta: żeli te trzy łąki już posiekli? — A óni: dwie. Matka: czemużeście téj trzeciéj nie posiekli? — Oni: dobrze-by, bo nom ktoś trowę wypas. Matka: No, kata to dobrz,e to będziecie musieli pilnować żeby nikt tráwy nie wypasał posobicą. Oni: no dobrze, muszemy pilnować.

Idzie pilnować najprzód ten nájstarszy; łąka półna jest tráwy; przyszed i skrył sie pod krzem. Siedzi, ale jak przyszła dwu-

[1]) *Lud.* Ser. VIII, str. 1. 3. 5.

nastá godzina, tak usnoł; i śpi do pirszy godziny. Ocucił, patrzy a tu tráwa wyjedzona, wypasiona. Przychodzi do domu. Matka się pytá: no jest trowa? On: och gdzie? znou nom ktoś w nocy wypas.

Na drugą noc poszed ten drugi, a tráwa już pójd-rosła. Jak przyszła dwunastá, także to samo i ón usnoł pod krzem; jak ocucił, już trowy nie było. Przychodzi do domu, i pytá sie matka séna: jest tráwa? — On: nimá, wypas nom ktoś.

Na trzecią noc idzie ten gupi. Wzion sobie bochenkę chleba, kwortę wódki, kwártę masła i trzy syry, i zabrál sie na całki tydzień. Pirszy nocy, jak pilńuje, z drzewa starego grubego, z dębu, wyszły na łąkę trzy konie, chtóre one były przemienione, poczény zjádać te trowę, a mój gupi Bártek przyszed do koni i chcioł je połapać. One sie zmieniły (z tych koni) w panny, bo to były zaklęte królewny. Óne mu powiadają, że ón ich mo wybawić, a ón bez (przez) to ostanie wielgim człowiekiem; trowy już wyjádać nie będą. Mój gupi poszed po ten posiłek co z sobą wzión, tym pannom darował i w tym dębie ich retował (pokrzepiał) i donosiuł jém jádła, aż ten czas przyszed, w chtórém ón je wybawić mioł. Jednego rázu, jak ón im przyniós jádła do tego dębu, óné mówiły: nasz ociec rozpisze listéj (listy) po kraju, i chto tu podjedzie pod tą czklonną (szklanną) góre, to naszą siojstre dostánie za żónę, (bo ta czwárta, ta nájmłojdsza była w domu); ty przyjdź tutaj, my ci dámy kónia i króleski ubier, co sie ty ubierzesz i tam podjedziesz, co żaden inkszy tâm nie podjedzie, ino ty nie musisz sie wydáć i nie powiadáj nikomu, nawet w domu u swoji matki.

Ten król (tych pannów ojciec) rozpisoł dzielniki (dzienniki) żeby sie wszéscy króle, królewiczewie i panowie zjachali do jego pałacu, a ftó (kto) podjedzie pod czklánną góre, to dostanie móją córkę za żónę. A córka miészkała na tej górze w pałacu, i wiedziała że tam nikt do nij nie podjedzie.

Ci dwaj bracia mądrzy, jadą téż tam; pobrali sobie swoje kónie ładne i spaśne, i piniędzy ze sobą. A ten gupi prosi sie swoji matce, żeby ón téż móg jachać. Matka powiadá: o głupcze, co byś ty tam robiuł! pojedziesz, żeby cie jeszcze do dziury wpakowali. Ale sie okropnie matce prosiuł, i że nie chce już piniędzy, ino bochenkę chleba i syra i masła troche. Tak ón poszed do tych pannów na łąkę; jedna sie zaruśko przemieniła w kónia,

a te drugie go ubrały ślicznie, w króleski przyodziewek, co żaden król ani królewicz nie bół ubrany tak ślicznie jak ón. Także óné mu powiedziały: jak przyjedziesz pod te góre, to konia hausknechtowi nie oddawaj, tylko go uwiąż i káż mu dáć czklonke wody i kawałek chleba; bedziesz sie bawił godzine a dłuży nie; jak ta godzina przejdzie, żebyś zaraz na konia siádáł i do nás uciekáł, bo to násza najmłojdsza siojstra puścić ciebie nie bedzie chciała; ty powiédz te słowa do nij że: musisz do konia iść i zobáczyć co ten kóń przed domem robi.

Ón jak przyjachál, tak wszéscy patrzéli, co ón pod te góre podjachál sporo, i tak ojstro na góre, i tak sie dziwowali: co to jest za jeden tak pieknie ubrany królewicz. Jak zaś przyjáchał, tak patrzy ten gupi na zygárek: chtóra godzina. I wchodzi do pałacu do nij; a óna bardzo sie ucieszyła i poczéna z nim gadáć, jako rozmáwiać, co óna wprzódy niechciała z nikim rozmowiać ani gadáć. Kázał dać temu koniowi czklonkę wody i kawałek chleba. Ta godzina minéła. On musi teraz iść do konia ráz zobaczyć, co jego kóń robi. Siod na tego konia i z téj góry uciká, bo już czas mu było. A ojciec kázał bromę zamknąć i jego złapać, co chcioł wiedziéć, co za ón jeden jest. Ten kóń bez (przez) bromę przeskoczył, bez wodę, i ucik do dębu do tych panien. Potem sie ten kóń przemiénił w pannę jak się należy i wtenczas ón (gupi) rzeczy bogate oddál pannom i idzie do domu, do matki.

Ci brácia przyjéżdżają i matce opowiedają, jak co jest, jak co óni widzieli. A ten gupi powiadá: widzieli? Ale do matki odézwál sie: a już-ci-k! Siedział na koniu i d... na wszystkich (gości) wypión (wypiął) jak odjeżdżał. Bracia chcieli go bić za te jego przymowę. A matka nie dałá: dajcie mu pokój, co tam bédziecie z gupim robić?

Drugi raz znowu król rozpisál, i drugi ráz znou mieli sie stawić tam różni goście. Znowu ci bracia jadą, a ten sie téj matce prosi, żeby mu pozwolić tam jachać. A matka: eh, a ty tam po co? lepij siedź w domu i rób, zmudzisz sobie ino ten dzień czasu. A wreście powiadá: No, to jedź. Tak ón wzion sobie znowu to samo co wprzódy. Przyszed do tego dębu, i druga panna znowu stała się za kónia, a óne dwie ubrały go jeszcze pięknij jak pirszy ráz bół; mówiły: nie będziesz dłuży jak teráz, dwie godziny ino, káżesz dáć koniewi dwa kawálki chleba i dwie czklonki wody: po tych dwóch godzinach bédziesz musiał iść, a ona nie

hodzie cie bardzo chciała puścić, ale ty powiész że musisz iść do konia.

Wsiád na kónia i pojachał tam do tej góry i znowu wjachál tam. Ta siojstra jejich puścić go nie chciała, ale jak przeszły dwie godziny, ón mówi że musi iść do konia, i nie dál sie zatrzymać. Ojciec obstawił góre wojskiem, żeby ón nie móg przejachać; bo ón ojciec chcioł wiedzieć, co to za jeden królewicz jest. Ale ón na swojim koniu bez (przez) wojsko przeskoczył i bez bromę, i nazád do dębu przyjachál. Ten kóń przemienił sie znowu w pannę jak sie należy, i óne dwie go rozebrały i rzeczy otrzymały (zatrzymały, odebrały) a ón (głupi) do domu poszed.

Ci bracia przyjéżdżają i matce opowiedają, co tam widzieli. A ten gupi odzywa się: Coście widzieli, że on po głowie skákál i nogi do góry trzymál. Bracia chcą go bić. A matka nie dá: eh, co tam z gupim bédziecie zaczynać!

Trzeci raz król rozpisuje, jako już ostatni raz, że znou mają się zjachać goście. Ci bracia jego, znou się pobrali (zabrali) i pojachali. A ten gupi uprosiuł sie matce, i poszed na łąkę do tego dębu. Ta trzecia panna przemiéniła sie w konia, a te drugie go ubrały i powiedają do niego tak, że: jak przyjedziesz na te góre, to káżesz konia uwiązać i dać mu trzy kawálki chleba i trzy czklonki wody, a potem u siojstry zabawisz się tam trzy godziny, a po tych trzech godzinach powiész że musisz iść do konia zobaczyć co kóń robi, potem wsiędziesz na niego i znou przyjedziesz napowtór do nás, i przez to nas wybawisz tu z tego dębu.

On siád na konia i pojechál na czklanną górę do tamty siojstry. Tam sie zabawiuł trzy godziny, potem powiadá: musze ráz zobaczyć co mój koń robi. A óna go już niechce puścić z téj góry, ino mu sie prosi, żeby już tam ostál. Ale ón siád na konia i chcioł uciekać. Król na dole obstawił wojskiem górę i złapał go. On powiadá, że on jest ten sám, co jego trzy córki zaklęte w konie ma wybawić i teroz po nie jedzie, i prosi królewi, żeby sie wszyscy goście zatrzymáli, że on przywiezie te trzy córki jego, chtóre są w dębie zaklęte. On przyjachál pó nie, a óne (dwie) były już uszykowane, ubrane jak się temu należy; i ta trzecia, chtóra była kóniem co na nij jachál, jak zesiád, strzęsła się z téj skóry, i także stała się panną.

Powóz był uszykowany, one powsiádały wszéskie trzy do powozu a ón je wiezie; a za niemi pięć bryk dyjamentu wiezą (bo

óne mu to dały jako majątek, żeby przecie do króla przywióz). Jak dojeżdżali, tak ón czerwoną chorągwią wywijá, oż się promiénie od chorągwi odbijały, taká wspaniałá była. Jak przyjachali, mówił: mász królu te córki, chtóre já je ci-h wybawił. Król powiadá: Na, dobrze, to sie ożeń z jedną z nich. A óne odpowiedają że sie żenić nie będą wcale, tylko ostaną do śmierci pannami; niech się ożeni z tą nászą najmłojdszą siojstrą, bo dla niego ofiarowaná jest. Król odebrał też te bryki tego dyjamentu, i widział że zięcia doskonałego w domu bedzie mioł. Jak ślub wzion ten głupi z tą co miészkała na ty czklonny górze, a zaś zeszła do pałacu króla, tak zaróz matce dopomóg i braciom swojim, żeby dobremi gospodárzami byli, chociaż się z niego wprzódy śmiali.

## 2.

## Ogrodnik królem [1]).

(Zamek zaklęty gdzie król zmarły pokutuje. Ogrodnik go wybawia i żeni się z jego córką. Zwycięża nieprzyjacioł, bo król zmarły wychodząc z drzewa daje mu brok i rynsztunek).

Od Leszna.

Ráz był też jeden w młodym wieku człowiek, który ón się puściuł we świát, bo nikogo nimioł, i chodziuł sobie po świecie wiela lat i bół ogromnie śmiáły, że sie nikogo i niczégo nie bojał, ino jednégo pana Boga. A był ogrodo(w)stwa bardzo pięknie wyuczony, we chterych ogrodach ón pracował, tak mu sie pieknie udawało wszésko i rosło bardzo sporo.

Bół króleski zámek, w chtórym tam w nim nicht wymiészkáć ni móg po śmierci tégo króla starego, bo ten stary król tam w nim kusił. A ten stary ostawił syna i cyrkę (córkę) w tém królestwie, a ten syn po nim panował.

Tak ten ogrodowy przyszed do niego i pojon (przyjął) służbę u niego. Pracuje u niego w ogrodzie, a temu młodemu królowi i królewéj ogromnie sie podobało w ogrodzie, że mu sie wszystko przyjeno i szykowało.

On ogrodowy dowiedział się że w tym zámku po nocach kusi. Bół już śmiáły jako do tego królewicza i do téj królewy jego

[1]) *Lud*, Ser. III, str. 117. 119. Co do konia w drzewie Ser. VIII, str. 5, (nr. 3).

siejstry, i zapytuje ich sie w tym ogrodzie: wedlé czego tam nicht nimoże wymiészkać. Tak mu óni opowiadają wedle czego. A meble i wszysko musiało tam tak po-ł-ostać jak wprzódy bóło, nietknięte. Tak ogrodowy pytał sie młodego króla, żeli ón by ni móg, za pozwoléniem króla, iść na jedne noc tam do tego zámku siedzieć, że ón pójdie, bo ciekawy był, co sie też tam dzieje. Królewicz powiedá: ach szkoda cie, mój człowieku, życie utracisz w tym zámku niewinnie, bo tam ludzi już nie mało było a głowy jém po-ukrącało. Ogrodowy powiedá: ja nikogo ni mom, ani ojca, ani matki, ani siojstry; ja sie nie pytom i pójdię.

Tak poszed. Wszed sobie tam do tégo zámku i siád sobie na krzesełku i zapalił sobie lampę na stole, roztworzył swoją książke od nabożeństwa y tak sie okropnie za tego modli, co tam po tym zámku chodzi i kusi. W tém o dwunasty godzinie wchodzi czárna osoba i nieznajomna. Przychodzi do niego ta osoba do stołu i mówi: uderz mnie trzy rázy w twárz. Ten ogrodowy wstoł, i trzy rázy go w tworz bije. Ten mu duch nieznajomny podziękował za to i opowiedá że już tyla a tyla lat za nim (za przybyciem jego) czeká, co go wybawić má, bo drudzy, bić mnie sie bojeli; weź klucz, wisi tam na ścianie, chtery trzy drzwi do jednego sklepu otwiéra, pójdź że za mną, żaden zły włos z ciebie nie spadnie. Ten ogrodowy poszed za nim; bez dwa sklepy przechodzili, a do trzeciego weśli, gdzie tam piniądze na trzech kupach były. Pirsza kupa tego, co oszukiwał bardzo ludzi swojich we swojém kraju. Druga kupa tego, że (co) swojim załmirzom traktamentu ucinoł i bardzo mało jém dawál. A trzecia kupa, że jałmużnego żádnégo bidnym nie dawál. Ta osoba mówiła do tego ogrodowégo w tém sklepie: niech że za te kupe pirsze piniędzy, chtóry ludzi oszukiwała to byłem já, wybudują kościół świętyj Barbary, i wielgie odpusty niech założą i niech odprawiają za duszę moją, bo piniędzy jes dosyć; za drugą kupę piniędzéj niechże załmirzom traktamentu nadkładają pokąd na ty kupie piniędze bédą i wystárczą; za te trzecią kupę więc dejcie jedne część ubogim a drugie trzy części sie rozdzielcie: téj (ty), mój syn i moja córka. Wyśli z tego sklepu, ta osoba temu ogrodowemu daiá pismo na to żeby mu wierzyli co mają uczynić z temi piniędzmi i powiedziałá, że w tym zámku teráz mogą mieszkać kto chce, i znikła. Ogrodowy pozamykál sklepy, poszed spać, spál sobie

aż do rana, aż zaspał do widoku jasnego, kawałek na dzień, że już ludzie w ogrodzie pracowali.

Królewic i królewa byli tó ciekawi, że ten ogrodowy z żadną odpowiedzią ze zámku nie powróciuł, a to już jes kawałek na dzień, i myśleli że już tam zginoł. I mówią do siebie: pódźma teráz oboje do tego zámku, bo nom we dnie nic nie zrobi (kusiciel) a dowiema sie co sie stało z ogrodowym. A mój ogrodowy sobie w pościeli śpik robi, auż miło. Przyśli oboje do zámku i szukają ogrodowego po pokojach. Patrzą na jeden ráz, a ón sobie leży tam na tém łożku gdzie stary król sipiáł. Zdziwowali sie że mu sie nic nie zrobiło, a w łożku ojczeskim spokojnie śpi. Przecucili go (obudzili) i pytają się: żeli też nic niewidziáł i nie słyszáł w tym pokoju? — Wtenczas ón oddaje temu królewiczowi to pismo, i królewicz przeczytał o tych piniądzach, zdziwiuł sie że ogrodowy widziáł się z jego ojcem, i ucieszył się że go wybawiuł. Wielgich łasków dostąpiuł ogrodowy u nich, że tak go kochali jak sami siebie.

Zaráz ten król młody przysłáł swojich urzędników, żeby te piniądze ze sklepu powynosili i także je zważyli, czy téż stárczą na ten kościół. Król widziáł że na cały kościół stárczy, i na wszéskie ozdoby i na wszyskie ubiory co zazwyczaj w kościele są potrzebujące, i także na księży i na te odpusty żeby starczyły, póki by kościół kościołem bół. Teráz te drugą kupę wynieśli, co dla żomirzy, co ich potem dzielili témi piniędzmi. Także te trzecią kupę odważyli na ubogich, co jałmużne dawali, co przeznaczone bóły na nich, a temi drugiémi częściami co rozważyli (wagą rozdzielili) brat i siestra i ogrodowy sie podzielili. Potem do zámku sie wprowadzili i tam mieszkali, bo już śmieli byli, bo już nie kusiło.

Ogrodowy wszed potem do ogrodu jako do swoji pracy, i pracuje tak jak (w)przódy pracował. Stojało tam jedno drzewo w ogrodzie, chtóre było okropne (duże) i chtóre liściem było odziáne. Pracuje ón tam kole tego drzewa, a tó w tém wychodzi znowu ociec, ten stary król z tego drzewiska i mówi: Ogrodowy, s(ł)uchaj co ci opowiem, suchaj moji rady, bo bez mnie (przeze mnie) bédziesz zbawiony, boś ty mnie wybawiuł, to ja cie teráz wybawie; musze ci doradzać, bo dużo bedziesz cierpiáł; będzie wojnę wielką miáł mój syn z drugim królem, któryj ón jéj (tej wojny) nie zwycięży, oż ty mu dopomożesz przez niewydanie

swoje (milczenie); jak ón straci jedne batalię i dużo kraju, potem przydziesz do mnie do tego drzewia, a ja dopomogę. I znik(ł) ten stary król.

Ten królewicz ciągnie ze swojim wojskiem na wojnę, tam na granice gdzie była wydana. Rozpoczyna sie ta wojna, i ón królewicz utracił dużo swégo wojska i swégo kraju. Ale chce się pomścić, i chce drugi ráz jeszczék walczyć i mówi: straciłem tyla to niech stracę i resztę. Miała się zacząć ta batalija; ten ogrodouwy idzie do onego drzewia, tam na to miejsce gdzie mioł przyść. Wyszła ta osoba tego starego króla z tego drzewia, i dałá mu mondur, buty prędkie, konia i stary pałasz i powiedziała: że ón tam w téj wojnie też sam (stary król) bédzie i dopomoże. Ten ogrodowy zajachál na tę wojnę w imie króla; opowiedział sie młodemu królewi, wzion tych ludzi nad któremi mioł komenderować, szed raźno i pałaszem tym wywijál, i zbiuł tego tam króla wojsko, że mu odebrał cały kraj zabrany i temu obskiemu królewi jeszcze jego własny kraj. Przyjachał zaś potem napowtór i poszed do tego drzewia; osoba króla starego wyszła, i ón ji oddał ten przyodziéwek, tego konia i ten pałasz [1]). Ten stary król powiedział: teráz mász cały kraj, chtóryś go sobie odbił i króla tamtego obskiego wypędził, wziąść sobie; teráz biegáj do mégo syna i do moji cyrki i zapytaj się żeli ónа cie będzie chciała (za męża), a jakby niechciałá, to przyńdź do mnie a já ci jeszczek doradzę. I znik.

Idzie ten ogrodowy do młodego króla i mówi mu o tem i prosi go o ręke królewny. A ta królewna powiadá: żeli mi w pięć minut zająca zabijesz, upieczesz i dostawisz, tak-że cie będe chciała. A ón (ogrodowy) ani o tem nie chciál słuchać, bo nimóg tego zrobić. Idzie napowtór do tego ogrodu gdzie pracował, i przychodzi do tego drzewia, i z tego drzewięcia wychodzi znowu ta oso-

---

[1]) Dr. A. Bastian (*Die Voelker des Oestl. Asien*, Leipzig 1866, II,s. 145—6) mówi: Der Prinz erzählte mir dann von seinem grossen Vorfahren Alompra, der die Feinde Birma's durch himmlische Waffen fünferlei Art besiegte, nämlich ein *Schwert* das durch die Luft flog und Köpfe abhieb (wie in den Traditionen der Mantras), einen *Szuh* mit dem man Meilen sprang, eine *Lanze* die gleich die ganze Soldatenlinie zusammen aufspiesste, einen *Pfeil* der in jede Entfernung geschickt werden konnte, und ein *Gewehr* das nie sein Ziel verfehlte.

ba i podaje mu dubeltówkę i mówi: biegáj, bo ci się to stanie. Wzion te dubeltówkę, i stało mu się; zabiuł zająca i w pięć minut upieczonego i oprawionego przyniós téj królewnie. Cóż óna miała robić? Brać pozwolił, i tak óni się do kupy dostali (połączyli). Tam zaś do swego kraju pojachał, gdzie mu się należało; także swoje piniądze zabrał.

## 3.

## Żaba zaklęta [1]).

Morownica.

Jednego razu poszed jeden chłopák w dróge; chcioł sie uczyć za młénarza. Szed do jednego miasta, bardzo daleko. A tam gó zaszła noc w téj podróży; jeszcze mioł parę stáj do boru dójść i powiedá: choćby ja chcioł teráz do boru iść, ale późno będzie. Jednák poszed, ale nie wláz daleko, bo zobaczył taką górę stáć na brzegu boru; była tráwą obrosłá, a ino była taká dziurka w té górze, co ino móg głowę wetknąć. Tak ón sie układ pod te góre, chce spać.

Jak tak troche zaczon spać, a tu przychodzi żaba do niego i rechce nad niém; idzie óna mu do gęby, a ten ją ręką odgarnie rauz (raz): idźże paskudná żabo, bédziesz mi się do gęby tu sprzeciwiáła. Ta żaba znou mu szła do gęby, ón ją znou odgarnół: idź precz, brzydká żabo! — A ta żaba idzie do niego po trzeci ráz, rechce. Ónemu sie zdłużyło, sprzykrzyło to uganianie z tą żabą; (w)staje na nogi i idzie za nią. Ta żaba idzie naprzód za te górę, a tam były drzwi w ty górze, i ta żaba właźi tam w te góre temi drzwiami, a ón też za nią.

A jak ón tam przyszed, — był tam ładny pokojik, w nim kociáłek z wodą zastawiony na ognisku i drzewo naszykowane kole tego kociołka i waninka; było i jedno łóże z pierzyną i z prześciéradłem. Ta żaba powiedá: mój kochany, włóż drzewa na ogień, pod ten kociáłek i zawrej (zgotuj) tę wodę w nim. Tak ón wzion drzewa, nakład pod kociołek, zrobił ogień i woda zawrała. I powiedá żaba: mój kochany, weź te wode z kociáłkiem, wlij w te

---

[1]) *Lud*, Ser. I, str. 296. — Ser. VIII, str. 7—157 (notka). 161.

waniénkę. Wzion te wodę, wlał w te waninko. Żaba znou powiedá: mój kochany, weź mnie, włóż mnie w tę wodę. A ón: ty brzydka żabo, to ja ciebie béde w ręke brał. — A óna sie prosi: a mój kochany, weź mnie i włóż. Ón ją wzión i włożył w te wodę. A óna powiadá: mój kochany, umyj mnie! — A ón: ty brzydká żabo, to ja ciebie jeszczé béde mół (mył). A óna sie prosi: ady mnie już umyj! Tak ón ją wzión, umył. A óna powiedá: mój kochany, weź mnie, włóż mnie w łóże (łóżko). A ón: ty paskudná żabo, to ja cie będe jeszcze do łoża nosiuł! — A óna: ady mój kochany, proszę, włóż mnie już w łoże. Tak wzión ją i włożył w łoże. A óna: mój kochany, owiń mnie w prześciéradło. A ón: to ja cie jeszcze mom owijać! — A óna: ady mój kochany, zrób mi te łaskę, owiń mnie. Wzión i owinoł ją w to prześciradło. Tak ta żaba znowu sie prosi: mój kochany, połóż się w łoze. A ón: żem ci wszystko uczynił, ale ukłaść sie nie układę, boś ty paskudná. A óna: ady mój kochany, układź sie.

Tak na prośbe jéji usłuchał i układ sie w to łoże. Ale ból klocek łokieć dłużyki; wzion ten klocek, włożył w łoże w środek, żeby z tą żabą sie nie stykał do kupy. Y tak usnół; y śpi aż do rana. A tu rano odcuci, otworzy oczy, — a tó taká śliczná panna kole niego leży i powiedá: widzisz mój kochany, jag'eś ty sie brzydził mnie, i taki'ś szkaradny klocek włożył w środek. Oj prawda! mówi chłopák. — On wstał, ubrał sie; — zobaczył takie pokoje spaniałe, takie meble, wszéstko czyste.

Tak zaś sie ożénił z tą panną i ból panem. Bo to był zapadnięty pałac, a ta panna była zrobiona za żabę, była zaklinta (zaklęta). Więc jak ją ten chłopák omół (obmył) w ty wodzie, to ją oczyścił.

## 4.

## Strzelec królem [1]).

(Trzy łabędzie v. skrzydlate panny. Strzelec żeni się z najmłodszą. Ta mu ucieka; on jej szuka. Pies, lew, jastrząb i mrówka. Strzelec ich obdziela zającem. Góra; w niej smok o 7 łbach, co zjadał co dzień wieprza. Zabił go strzelec i odzyskał żonę).

Od Obornik, Szamotuł (opowiadana w Czeszewie).

Ráz była jedna matka bardzo bidna. Więc nimiała tak utrzymania y mieszkała wprost w polu w budzie chtórną sobie zrobiła.

[1]) *Lud*, Ser. III, str. 123 (tu trzej bracia ptacy). Ser. VIII, str. 8. 10.

Potem ji dał pán Bóg syna. Ten rós(ł) sporo, i zrobił sobie strzáłe i strzélał różne ptastwo, i tak sie z tą ową matką żywił, a matka szywała. Potem dorobił sie i kupił sobie flinte i torbe i psa, i bół strzélcem dokładnym, i chodził dziennie na polowanie.

Ráz idzie w południe do domu, — az tu letą trzy łabędzie w powietrzu. Padły na jedno miéjsce w żyto; a ón dostrzeg, ale miárkował sobie w którnem miejscu.

Na drugi dzień poszed na to miejsce znowuk w samo południe. A tam była czystá ŭoda w wądołku; te łabędzie tam usiádły, te piérze ź nich spadło, i były trzy piekne panny. Jak sie zaczęny kąpać, — a (w)ón siedział w życie i przypatrywał iem sie, i sobie uważoł: gdzie chtórnéj leży pierze. Ta starszá miałá na prawém boku, ta średniá w środku, a najmłojdszá i napiękniejsza na lewem boku. Jak sie wykąpały, tak wyszły z wody, obsuszyły sie, to piérze znowu obelgło na nie i poleciáły sobie jako ptáki.

Na trzeci dzień on sie przybliżył już o pół do jedenastéj y tam w to miejsce usiád gdzie to piérze dycht leżało na smużku w życie. Tak one przyleciały, usiádły sobie, to piérze spadło z nich, znou sie zaczęny kąpać i chychotać w ty wodzie. A ón w tém wyleciáł ze żyta i łapnął buch to piérze téj młodszej i w torbę. Wtenczas te dwie starsze wyleciały, piérze na nie obelgło, i przyleciáły sobie, — a ta trzecia została nago w ŭodzie stojący [1]).

On ji sie prosi żeby wyszła do niego, a óna nie kce, że sie wstydzi, że nagá. Jak już dwanasta godzina przeszła, tak już óna widzi, że sie tam nie dostanie do téch drugich, tedy mówi do niego: ciepnij my sa płouszcz (mi tu płaszcz), to sie naodzieję, weń wyńdę do ciebie. On ciepnął, óna sie odziała, i wyjszła do niego. Więc sie wziéni obáj i poszli do jego domu i żyli sobie lat kielka, aż iem już Bóg dał séna.

Ale óna nigdy nie była wesołá, télko zawsze smutná. Tedy ji sie tego męża matka pytała: co ci brauknie (braknie), mász co jeść, pić, w czém chodzić i zawsześ mi taká smutná. — Moja matko, jam taka smutná guli (wedle) tego, żebym téż mogła jeszcze ráz swoje piérze obaczyć. Tenczás ta matka mówi: moja córko, to jest małá rzecz, to pierze jest zamknięte w kuferyszku; já wiem

[1]) Jest baśń i o trzech jędzach: o Łucy (Łucej), Kucy i Kacawacy, ale treści jej nie pamiętano.

BN

o niém, a ten kluczyk ón nosi przy sobie. Jak ón przydzie na objád, więc ón sie potem położy i śpi zazwyczáj. Tenczás já dońdę letko do niego i ten kluczyk mu wyjmię. Tak też ta stará matka zrobiła. Przyszłá jak nálekcéj i jak mu kluczyk wyjęna, tak ten kuferek otworzyła, szmaty ż nij tej (młodej) spadły, a piérze buch obległo na niom, a óna buch oňknem ućkła.

Wtenczas jak ón sie odecknoł (obudził), pyta sie o nióm; matka mu powiadá ten interes, ze óna ućkła, Tenczas mówi ón do swoji matki: co-ście też nágorszego uczynili; to já sobie żone od Boga zarobił prawie, a wyście my ją puścili we świát; teráż inszy rady nima z nami, ja wás tu dám pod opieke Bogu i mego syna, a ja pójde sobie swoji żony szukać.

Więc wzion sobie flintę i torbę na sie i idzie. Jak idzie tak idzie, a tu żadny wieski (wioski) nie natrafiá; już mu sie dłuży, ale leci pies chart, tak pysk ozdar(ł) széroko i leci prosto na niego. On do flinty, wymierzył, kce go strzélać. Chart powiadá do niego: nie strzélaj, coś ty za jeden? — Ja jezdem strzélec. — Takiego ja też szukám; tam nous (nas) jest sztyrech, złapali'm zająca; jak noŭs podzielisz dobrze, to będziesz szcześliwy; jak nás nie podzielisz dobrze, to cie wtenczás zaráz ozedrzemy.

On sie też bierze do kupy, cóż już má robić? i idzie z tem psem; przychodzi na to miejsce, do téch drugich trzech. Jest-ta tam przytem lew, jastrząb, i ten pies i mrówka. Tenczas sobie ten strzélec urznoł takie dwie soszki (sosny, sosenki), wetknoł je w ziemie, tego zająca powiesił na soszce, objąn go ze skórki, urzneł mu łepek, położył na jedno miejsce; wyjón wnętrznościa, położył na drugie miejsce; z tych gnácików poobiérál, pooskrobywał, i położyl na trzecie miejsce, a gnoutki (gnatki) na czwárte miejsce. Teráz ich dzielił: ty lwie, jezdeś námocniejszy, jezdeś naszym pánem, jezdeś mięsity, więc tobie sie należy mieso, — zazwyczáj psu dadzą gnoty (gnaty), ty psie mász gnoty; — jastrząb, ty złapiész ptaszyne lub bądź co chcesz, to ty zaroz sie drzesz do wnętrzności, do lelitów, mász flaki; — mrówko, ty radá siędzisz w piniaszku (pniu), mász łepek; a skórka jako mnie strzélcewi, to sie należy dla strzélca, jest mojá. Kontent-ście tam wszyscy ze mnie, z mego podziału? — Lew powiadá: kontenci'm, tak że wszyscy krzykli rázem: kontenci'm.

Terá(z) lew powiadá do niego: jak będziesz kciáł i to sobie zapomyślisz, będziesz taki mocny jak i já. — Chart powiadá;

jak sobie zapomyślisz, to będziesz tak móg biégać jak já. — Jastrząb powiadá: jak sobie zapomyślisz, to bedziesz móg tak ślatać jak já. — Mrówka powiédá: jak sobie zapomyślisz, to bedziesz móg być taki maluśki jak já. — Wtenczás sie pożegnali i oześli sie.

Więc strzelec jak idzie tak idzie. Wchodzi w długi, dalekośny bór. Zaszła go noc, ale má strách dołem nocować, chłopoce sie żeby go jaki zwiérz nie ozdar; ale sobie zapomyślał o tym podziale co mu ta zwierzyna podała. Żebyś ty sie móg stać jastrzębiem (myśli sobie), toby jednak było lepij na drzewiu nocować niż pod drzewięciem. Tak zará sie stál jastrzębiem i w(z)leciál do góry nad bór, a i w ty ciekawości, żeli ón téż nie ujrzy miasta, wsi, — ale nidz nie urzál, boć to i było wieczorem. Usiád sobie na náwyższy majok (majak, sosna) i tak sie przenocował.

Wtenczas rano, jak słońce wschodzi, oberzał sie we wszétkie strony, ale nidz nie widzi, télko niebo i bór. Ale na jedném miejscu widzi, że sie coś tak pod słońcem miéni, łyska (błyszczy) jakby spalone szkło. Więc sie wzión i leci durch na to. Jak przyleciał do tego; a to była tam ogromná góra, a w nij jedurne, jedne tylko były dźwirze. Więc usiád sobie, stał sie człowiekiem, chodzi sobie i ogląda te dźwirze i widzi w nich durkę od kiucza, a zresztą żadny skazy. Więc sobie zapomyśla: żebyś ty sie móg stać mrówką, — i wláz bez jedne dźwirki, bez drugie dźwirki, bez trzecie dźwirki. A tu siedzi jego żona (w) trzecim pokoju i wiszcze smoka co má siedem łbów. Ale wloz (wlazł) ji (jako mrówka) na rękce, na nogi, potem ji wloz aż zanadry. Wtenczas óna mówi do tego smoka: poczkáj ino troche, ja pójńdę do drugiego pokoju sobie ognać pkły, bo mnię ogrómnie łażą.

Jak weszła do drugiego pokoju, a ón stanół przed nią; (w)óna sie przelękła, aż struchlała: zkąd-eś ty tu sie wzion? — Opowiedá ón ji wszétkie te interesa co go spotkały; czegoś mie też tak zasmuciła, moja żono? — A óna na to nidz nie rzekła, telko: pośpieszaj jak náprędzy, żebyś sie móg wydostać tu ztąd, bo jak ón poczuje świeżą krew, to cie zará natenmiast ozedrze. — Niech się robi ze mną co kce, ja cie już nie opuszczom. — Óna: to tu jest wielgie królestwo, kiej-ć mię już nie kcesz opuścić i ni możesz sie bezemnie obejdź, więc já ci dám jeszcze starónek (radę, opiekę) ale cie bedzie jeszcze wiela pracé kosztować. Teráz wyńdzi nazod o trzy, sztéry mileczki, jest-ta tam wiöska; tamten

pon, to co dzień temu smokowi musi dać wieprza tucznego, to ty sie tam ź niém żebyś móg spotkać, to ty smoka zamordujesz.

Wzión sie y poszed do tego pána, n prosi o służbe. Ten pon po(w)iadá: já nie brukuje (potrzebuję) żadnego sługi, tylko my potrzeba świniarka. — Zatém já też idę, chetnie sie zgodze do pana za świniarka, ale prosze wielmożnego pána o pornik (parnik) nici (przędzy) na bat. — Zrobił sobie bat. Nazajutrz rano, zjád śniedanie; wyráchował mu pon sto wieprzy tucznych: teródz'em ci dáł sto wieprzy, na wieczór my przypędźisz -no dziewięćdziesiąt dziewięć (już bez jednego); a w południe o dwanasty godzinie to wieprze to już bedą wiedzieć, — tam jest taka góra, tam jest zdrój w ty górze, tam wyńdzie smok z tego zdroju, z ty dźury, i dosz mu wieprza jednego. — A ón świniarek powiadá: dobrze pánie.

Jak ta godzina nadchodzi, więc te wieprze już ciągną do tego zdroju; ón jak zacznie rznąć batem, co ino iem sierz (sierść) pryska; niepuścieł iéch w te dziure. Wtenczas wychodzi z ty dźury ten smok o dwanasty godzinie: hej, świniarek, daj my mego wieprza! — Jużeś wieprzowiny dosyć nażar, terá żryj ten gnój coś z niéch wypuścieł. — Wtenczas jak wypadnie ten smok do tego świniarka, — ten świniarek sie zrobił lwem; jak sie zaczną łomać, gryźć, aż ten świniarek tego smoka przemóg. — Smok mu sie taki maluśki zrobił, umknół nazad w dźure, w zdrój, Tedy na wieczór świniarek przygania wieprze. Pon rachuje te wieprze; — są wszéstkie, całe sto. Ten pon ozesłał po swojich wszéstkich dobrach, żeby ludzie w nocy nie spali, ino byli przytomni, żeby ten smok nie zatopił całych dobrów. Dali na kolacyją z pańskiego stołu dla świniarka.

Na drugi dzień śniedanie także z pańskiego stołu. Prosi go sie pon na Boga: żeby ten świniarek dáł temu smokowi te dwa wieprze, bo ón (pon) życia swego nie pewien. Świniarek mu rzék(ł): já już mu jéch nie dám. Pognáł swoje sto wieprzy. Pole (kole) dwanasty godziny w południe, poséła pon służącego, co óni też tam robią obaj wédle tych wieprzy? — Oni sie tam w dobrym sposobie jednak nie rozchodzą obá,. Przychodzi dwanasta godzina. Wieprze kręczą do ty dziury; ón sie zwlók (rozebrał) aż do koszuli i wzión bata, a bije, a tak bije, nie puścieł ich tam (do dziury). Smok wylatuje z ty dźury: świniarek, daj my moje dwa wieprze! — On: mász tam wieprzowego gnoju dość, to go żryj,

wieprzy nie dostaniesz. Tenczas po(w)iedá ten smok: żeby ja miáł ze swojéch dwóch wieprzy dwie kople krwi, tobym cię (r)oztrząs(ł) na tyla sztuków co drzewa stojącego na świecie jest-ta. Świniarek powiadá: żeby já miáł od swojego pána dwa razy w gębe wziąść wina i dwa razy ugryźć chleba, tobym cię trząs na tyla sztuczków co liścia na drzewie. Ten hardo, a ten jeszcze hardziéj. Jak wyprysnoł ten smok do niego, jak sie zaczeli gryźć, drzéć, — umknęł i zniknęł ten smok znowuk od niego. — Świniarek przygania na wieczór swoje sto wieprzów. A ten służący się przypatrzył temu wszystkiemu co óni tam robili, — to opowiedziáł panu. Znowuk świniarkowi kolacyją jak dla państwa, taki pán był rad.

Na trzeci dzień zajón swoje wieprze, pędzi zno(w)uj. Koło dwanasty godziny w południe nasmarował pon kawałek chleba z masłem i dał butelke wina służącemu, i ten sużący poszed tam do ty góry gdzie smok był, a tam passuje (passt auf, czatuje). Dwanasta nadchodzi, wieprze tak kręczą, tak cudują. do ty dziury; a ón iéch tak kropi batem, tak rznie, co ino siły má, a nie puszcza iéch. Ow-że smok wylatuje zno(w)uj o dwanasty i woła: świniarek! daj my moje trzy wieprze! — Tam mász wieprzowego gnoju dosyć, to go żryj, wieprzów już nie dostániesz. — Żeby já miáł (powiada smok) od swojich wieprzy trzy krople krwi, to bym cie trząs na tyla sztuków co kamini na świecie. — Żeby já mioł (powiadá świniarek) od swego pana trzy razy w gębe wina i trzy razy ugryźć chleba, tobym cie trząs na tyla sztuków jak piasku nad morzem. — Ow smok jak wyleciáł, tak sie z-imali. Tenczas ten sużący doleciáł do nich i dáł świniarkowi ráz połknąć wina i ráz ugryź chleba; więcy czasu już ni miáł. Wtenczas smoka zaráz zabił; już go nie puścił. Jak go zabił, tedy go ozdar(ł); jak go ozdar, wyleciáł ź niego zając. Ón sie (świniarek) zrobił chartem, złapał zająca, ozdar go na pół; wyleciał z tego zająca gołąb. Ón (świniarek) zrobił sie jastrzębiem, złapał tego gołębia, ozdar gó, z tego gołębia wykuło sie jajko. On to jajko rozbił, wykuły sie trzy śrébne klucze. To były do tego zámka u tych dzwierzy do ty góry, gdzie jego żona jest.

Wtenczas zajon swoje wieprze, na wieczór zagnał je do domu. Ten pon jego już o tém wszystkiem wiedziáł co sie tam stało, bo mu sużący powiedziáł. Więc już mu wieprzów nie rachował, télko go wzion pod pachę i zará go prowadzieł do pokoju. Wyprawieł wielgi bál; panów sie nazjéżdżało dość; — wesół był,

jakby sie na świat narodził drugi ráz. Po balu (strzélec) przenocował się; na drugi dzień dziękuje pánu za służbę i kce odchodzić. Ten pon na Boga go prosi i nie kce puścić, powiadá do niego: já mám jedne córkę, jedénaczkę; já ją tobie dám, możesz sie z nią żenić, ja ci całe dobra swoje zapiszę za to żeś my tego smoka uskrómnił; a já byla'm miál liftynk (utrzymanie) przy tobie do śmierci. Strzelec powiadá: dziękuje pánu za wszystkie dobrocie, ja sie żenić ni moge, bo ja mom żonę; więc sie pobieram do ni, i żegnám sie z panem. Pon mówi: já sie tak krótko z tobą żegnać nie będe; kiedy moji córki nie kcesz, to ino wyrzecz, dość piéniędzy chcesz? — Já nidz nie chce, télko pare talarów na dróge.

Chetnie ten pán mu dál, — i ón sie wzión, poszed nazad do ty swoji góry, wyjąn te klucze z kieszeni, otworzył jedne dźwirze, to tak trzaskało jak gdyby pieruny trzaskały; — drugie dźwirze otworzył, to taki szum, taki romot sie zrobił, co mu sie włosy na głowie podnosiły; — trzecie dźwirze otworzył, tedy sie oztworzyło całe królestwo, cały zamek taki co jeszcze nicht (nikt) nie widział; to drzewo co tam dokoła ty góry było, to wszystko było żołnierze, jazda, ŭojsko. — Więc ón przybył do swoji najukochańszy żony, uściskał ją i potem ji ślubował; wyprawiał wesele, ucztę wielgą; posłał po swojego syna, po swoją matke, i dle-li (v. leźli, jeźli) żyją, to tam jeszcze i dziś ciepło.

I já tam byłem, i já ját-em i piłem ź niemi, ale jak me kucharz warząchwią chlasnął bez d . . ., tak i-ażem do Czeszewa przyleciál.

## 5.

## O siedmiu braciach krukach [1]).

(Miesiąc, mróz, wiatr. Panna w dębie).

Morownica.

Jedna wdowa miała siedmi synów i jedne córke. Piekła ona chlib. a te dzieci, ci synowie, leciały za nią i wołały: matko, upieczcie nom placek. A ta matka odwróciéła się, odbryknęła sie na nie i powiadá: tak lecicie wy gałgany za mno, jak gdyby kru-

[1]) Ser. III, n. 5 (str. 123). Ser. VIII, str. 41. 37.

ki. Tak zaráz ci synowie dostali skrzydła krucze i zrobiéli sie krukami, i letą we świát, a ta córka, siostra jeich, nie wiedziała gdzie się podziali. A óni polecieli do jednego boru, a tam był taki zapadnióny pałac bar-zo bogaty; tak óni do tego pałacu pośli. W tym pokoju gdzie óni spali, było siedem łóżek i na tych łóżkach było siedém pościeli bar-zo czystych.

Tak ta siojstra jeich szła szukać tych bratów swojich, jeżeli by óna ich nieznejdła. Poszła do jednego boru, natrafiła chałupke; tak weszła do izby i prosi sie o nodzlig. A tam była tylko taká stará babusia. Ta babusia powiedá: moje dziecko, cię nie moge nocować, bo mój syn jest miesiącem, i bardzo zły, toby cie tu rozdar(ł). Ta panna jedna(k) sie prosiéła żeby jom nocować, aby w kuchence. Tak ta babusia ją przenocowała. A tu przychodzi ten syn jeji, i zaro jo(m) tam poczuł, te pannę. I powiadá: matko, tu som ludzie. A babusia powiedá: moje dziecko, tu jes taká ładná, grzeczná panná, prosiuła sie o nodzlig, bo óna poszukuje swojich bratów. Tak syn powiadá: niech tu wyńdzie do mnie. Matka poszła, wypuściéła jom i wprowadziła do izdby. Ta panna powiedá: kiedyś ty jes miesiąc, przeciéć miesiąc w káżde miejsce zaświci, to byś ty powinien wiedzieć, gdzie moji bracia som. A ón powiéda: że ón téż nimoże w káżde miejsce zaświécić, bo gdy zamkną drzwi i okna, okienice, to już tam świcić nimoże. Tak, ij dáł wrzécióno, kázał ij na to wrzécióno naprześć nici, i kázał ij iść znowu, natrafi tam jeszcze jeden bór, a te nici ma snuć za sobô, to bédzie wiedzieć dróge za sobą nazád.

Ona idzie, natrafiła drugi bór, i w tém boru chałupkę, a tam ból mróz. Tak óna włazi do izdby, a tam tylko była stará babusia znowu, i prosi sie ty babusi, żeby jom przenować. Babusia powiedá: moje dziecko, cię nie mogę nocować, bo mój syn jest mróz, jest okropnie zły, i jakby przyszed, toby cie umroziuł. A ona się prosi, że aby do kómory ją zamknąć. Dobrze. A ten przychodzi, jeji syn, poczuł jom zaroz, i powiadá: matko, tu są ludzie. A óna matka: mój synu, jes tu grzeczna panna, óna szuka swojich bratów. Ten syjn mówi: niek óna tu wyńdzie dó mnie. Ta matka ją wypuściła z komory do izdby, Ta panna powiadá: kiedyś ty jes mróz, a mróz téż wlizie w káżdą dziurę, czy byś ty nie wiedziáł gdzie moji bracia są? — A ón odpowiedá: chociáż ja jes mrozem, to kiedy som dobre budynki a palą w nich dobrze, to i tam niémogę wléźć; ale idź-no jeszcze z miele (mi-

lę) drogi, natrafisz tam jeszcze jeden bór, ale ty nici snuj za sobą, żebyś trafiła nazád przyjść.

Tak óna poszła, ta panna i natrafiła w tym boru zno-u chałupkę. Włazi do izdby, a tam była ino stará babusia. Prosi sie zno-u o nodzlig, a ta babusia powiedá: moje dziecko, ja nimoge cie nocować, bo mój syn jes wiatr, a zły okropnie; jakby ón przyszed, toby cie rozdar. Jak ten syjn przyszed, wloz do izby, zaroz jom poczuł i powiadá: matko, tu są ludzie. A ta babusia: mój synu: tu jes grzeczná panna, óna szuka bratów swojich. A ón: niech tu wyńdzie do mnie. Ta babusia poszła, wypuściła jo i wprowadziła do izdźby. A panna powiadá: kiedyś ty jes wiatr, a przecie wiatr w każdom dziure wewieje, to byś ty powinien wiedzieć gdzie moji bracia są. Ja-ć wiem o nich, ón wiatr powiadá, ale nie powiem ci, tylko idź nazád tą drógą zkądeś przyszła.

Tak óna idzie nazod, a óna natrafiła chałupkę inszą, weszła; a tam był okropny pokój, pałac, było siedem łóżek usłanych i stół nakryty czystą serwetą i siedem talirzy z potrawami i siedem czklunek z winnem. Tak óna z káżdego talérza troche potraw ujadła i z każdy czklónki winna upiła. Miała złoty zygnet na palcu, było jeji imie i nazwisko na nim. Włożyła go w jedne czklónke, ten zygnet (pierścień z dewizą), a óna samá wlázła pod łóżko, skryła sie. A óna trafiła rychtyk na to łóżko, gdzie óni te swoje skrzydła poćpali. Tak jag óni przyśli do tego pokoju, gdzie te potrawy mieli; trząśneli sobą, tak te skrzydła im poodlatowały, i poćpali je pod to łóżko. Óni do jadła zasiedli, do obiadu, a káżdy powiadá: ja móm troche ujedzóne, ja mom troche ujedzóne. Jak obiad zjedli, wtenczas pili winno; tak jeden powiadá: ja mám troche upite, a drugi powiadá: ja téż mám troche upite. A ten nástarszy brat bierze i pije ze szklónki i natrafiá zygnet, i patrzy: jes nazwisko i imie jeich siostry, tak powiadá: bracia moji, niech każdy szuká, to je znalezie; szukajma je, bo tu jes najkochańsza nasza siestra. Szukali i znejdli jom. I wyprowadzili jom zaroz do obiadu. Jak po obiedzie, tak ji powiedzieli: idź siojstro teroz do tego boru, ználiziesz tam dąb wypruchniały, i wliź w ten dómb, i bądź tam trzy lata w dębie, a nie mów nidz do nikogo ani słowa, choćby sie niewiem chtó pytał dó ciebie.

Przychodzi borowy, wypytuje ji sie co óna za jedná i zkąd jes, i co tu robi? — A óna mu nie odpowiedziała ani słowa.

Chodzi pon po polowaniu, patrzy, coś tam kole dębu ten jego pies szczeká. Tak ón idzie patrzeć, a tam taka śliczná panna siedziała w tym dębie. Gadáł dó nie, a óna mu nie odpowiedziała ani słowa. A ónemu sie okropnie upodobała, i wzión ją sobie do powozu i przywióz do domu. I chcioł jo miéć za żónę, ale że óna nie gádałá, bo jeszcze nieprzyszed jeji czas do gadaniá. Tak ta matka tego pana, okropnie sie gniwałá na nio że óna nie chce gádać. Tak, rok byli ze sobo, i nidz nie gadá do niego — ale óna już była w cióży (ciąży), ta panna.

Tak ten pon pojechał we świát. Aniżeli ón przyjachál, to ta żóna jego śległa. Więc ta matka niewiedziała, co miáłá ij zrobić na złość, wziéna to dziecko od téj jego żóny i utopiła i włożyła ji szczenie. Tak ten pon przyiżdża do domu y pyta sie: mamo, cóż robi żóna moja? — A cóż robi! nidz dobrego, miała porodzić dziecko, to óna porodziła psa. Na, niechże już bédzie co chce, ja ją jednak béde miál za żonę. Tak pobył zno-u z niom pół roku. Była w cioży drugi roz.

Ten pon znowu pojachál w świat; ta jego żóna, niż ón przyjachał, znowu śległa. Ta matka znou wziéna to dziecko od nij, i utopiła je, i włożyła ji prosie do łóżka. Ten pon przyjiżdża i powiedá: matko, cóż robi żona moja? — A óna odpowiedá: nie bédziesz mioł żadny pociechy z tą żoną, bo co óna ci mo porodzić dziecko, to óna ci rodzi zwierzęta. Ten pon sie okropnie zagniéwał, i powiadá: co ja mom zrobić z nio? A ta matka że: óna nidz więcy nie jes wartná, tylko ją wywieźdź na pole i zielaznemi brónami roztargać, bo ci to ani do mowy nie jes(t), ani ci dzieci nie rodzi, tylko psy, świnie.

Ten pon zaroz kazał zaprzągać sztéry konie do powozu i czysto jom ubrać i na pole ją wywieźdź i roztargać. Jak zaprzęgli cztyry konie i czysto ją ubrali, wsadzili jom do powozu i przyjéżdżają do brámy. Óni wjeżdżają w brámę, a tu siédmi panów téż w bromę przyjeżdżają. I witają i wołają zaroz: witejże szwagrze młody, i wiozą te dwa dzieciątka chtóre matka jego utopiła i powiadają: masz tu szwagrze téch aniołków, które żona twoja porodziła a siojstra nasza. Żona twoja porodziła, a twoja matka je potopiła — a kładła w miejsce tych dzieciąt psy i świnie. Tak te matke zaraz brał w miejsce żóny, i zielaznemi brónami kázál roztargać.

## 6.

## Ojciec i trzej synowie [1]).

Powieść gminna.

*(Przyjaciel ludu,* Leszno 1838, rok 5. N. 5).

(Stolik „otwórz się.“ — Baranek „otrząś się.“ — Miech „odwiąż się“).

Żyje jeszcze dziś pewien stary człowiek, który przed kilku laty bardzo był ubogi; miał zaś ten człowiek trzech synów i wyżywić ich nie mógł. Zawołał tedy najstarszego i rzekł: „Jestem stary i chory, pracować już nie mogę, idź więc synu w świat na wędrówkę i służ u kogo; a gdy rok minie, powróć z zarobkiem do domu.“

Najstarszy syn usłuchał ojca; wziął tłomoczki z chlebem i powędrował. I wędrował już jeden dzień pod wielką bardzo górę, a kiedy za tę górę zaszedł, zobaczył sztaruszka, który pasł owce przy drodze, i staruszek zapytał go: „czy nie za służbą idziesz chłopysiu?“

„A za służbą, staruszku!“ odpowiedział parobek. — „Więc służ u mnie i pilnuj mi tych owiec, aż wrócę“ rzekł sztaruszek, oddał parobkowi swoją torbę z maczugą i zniknął.

Parobek wziął torbę i maczugę, pilnował i pasł owce bardzo pilnie. a pasł je już rok cały, ale ten rok minął mu, jak jeden dzień. Aż wreszcie, kiedy rok minął, wraca staruszek i przynosi ze sobą mały stoliczek i mówi: „służyłeś mi mój parobku wiernie, za to ci daję ten stolik; wyjdź z nim za górę i powiedz: stoliku, stoliku mój, otwórz się.“

Parobek wziął stolik, wyszedł za górę i powiedział: stoliku, stoliku mój, otwórz się! Ledwo co to wymówił; nakrył się stolik białym obrusem, a na stoliku stał talérz i leżały widelce i nóż, a wszystko było ze srebra; na innych zaś talerzach ze srebra, były najwyborniejsze potrawy.

Parobek nie namyślał się długo, ale zaczął jeść i smakowało mu bardzo, bo był głodny. A kiedy się już najadł do woli, rzekł: stoliku, stoliku mój, zamknij się! — tak go bowiem nau-

[1]) *Lud,* Ser. III, str. 113.

czył staruszek. Ledwo co też wymówił, już znowu stolik stał próżny i nic na nim niebyło.

Wziął go potém na plecy i szedł daléj, ale noc była blisko, parobek zaś zmęczył się długą drogą, wstąpił na nocleg do gospody, która stała przy drodze.

Kiedy do téj gospody wstąpił, zobaczył tam wielu ludzi; bał się więc aby mu kto stolika nie ukradł i oddał go gospodyni do schowania.

Gospodyni ta, była to już bardzo stara kobieta, więc też była mądra. Tak sobie tedy myślała: dla czego nosi parobek ze sobą ten stolik? Przecież on nie wart najgorszego mego stołka, bo jest z prostéj sosnowéj deski, nawet nie malowany? A chociaż to takie ladaco, upominał mnie jednak parobek, abym go dobrze pod klucz schowała? Nie napróżno to! nie! Jest tu jakaś tajemnica!

Tak sobie myślała mądra gospodyni, poszła potém do osobnéj komory i poczęła oglądać stolik z téj i z téj strony, i oglądała go bardzo pilnie. Miał zaś stolik ten szufladkę, która była zamknięta, a któréj mądra kobieta w żaden sposób otworzyć nie mogła, więc rzekła: mój dobry stoliku, otwórz mi się sam.

Ledwo co to wymówiła, okrył się stolik białym obrusem, a na stoliku był talerz i widelec i nóż ze srébra i były wyborne potrawy; wszystko jak pierwszą razą.

Odkryła więc gospodyni tajemnicę stolika, bo była bardzo mądra, ale przytém bardzo była zła; tak tedy do męża rzekła: stolika tego nie oddamy parobkowi, lecz zrób w nocy podobien stolik i ten mu oddamy.

Mąż jéj począł zaraz robić stolik podobny, i robił go przez noc całą, nad ranem zaś skończył.

Kiedy już świtać poczęło, obudził się parobek i wstał. Gospodyni oddała mu stolik, który mąż jéj zrobił w nocy; z nim poszedł daléj i w południe samo stanął w domu swoim, zkąd przed rokiem był wywędrował i zawołał ojca swego i braci, aby im pokazać swój zarobek: myślał bowiem że to jest ten sam stolik, który sobie u dziada wysłużył, więc rzekł: „Patrzcie, com sobie przez rok służby mojéj zarobił. Nie potrzeba wam odtąd pracować na kawałek chleba, bo będziemy mieli co jeść i co pić.“

Ojciec i dwaj młodsi bracia myśleli, że zapewne w szufiadce stolika są schowane jakie wielkie skarby, ale kiedy ją otworzyli

i nic w niéj nie było, dziwili się bardzo mowie parobka, który potém rzekł do stolika: stoliku, stoliku mój, otwórz się!

Ale stolik nie nakrył się tą razą i nie było na nim talerzy srébrnych, ani potraw wybornych. Rzekł więc drugi raz i trzeci raz to samo, ale gdy stolik nie nakrył się jednak, porąbał go rozgniewany i spalił.

Więc znowu ojciec miał w domu trzech synów, a był ubogi, wyżywić ich nie mógł. Zawołał zatém średniego, któremu było na imie Lampart, i rzekł do niego: „Jestem stary i chory, pracować już nie mogę; idź synu w świat na wędrówkę, a po roku wracaj z zarobkiem do domu. Zawsze mi byłeś jedyny, boś téż najmędrszy z twych braci; nie daj się więc tak łatwo wygłupić.“

Lampart usłuchał ojca, wziął tłomoczki z chlebem na drogę i powędrował. I wędrował już jeden dzień, pod wielką bardzo górę, a za tą górą zobaczył staruszka, który pasł owce przy drodze, i ten staruszek zapytał go także, czy idzie w służbę, i urządził Lamparta za owczarka, oddał mu torbę, maczugę i zniknął.

Lampart pasł przez rok cały, ale ten rok minął mu jak jeden dzień; po roku zaś wrócił staruszek i przyniósł ze sobą małego baranka, i rzekł: służyłeś mi mój parobku wiernie, za to ci daję tego baranka, wyjdź z nim za górę i powiédz: baranku, baranku mój, otrząśnij się!“

Przypomniał sobie Lampart naukę ojcowską i los starszego brata, nie chciał tedy przystać na takie zasługi. Ale staruszek nic nie mówiąc, zniknął. A on bardzo ciekawy, co się téż to zrobi. Więc wziął baranka i rzekł za górą: baranku, baranku mój, otrząśnij się!“

Ledwo co to wymówił, otrząsnął się baranek, a z baranka spadła srebrna wełna [1]). Wziął on tę wełnę w torbę, a baranka wziął na plecy i szedł daléj, aż do wieczora. Noclegiem zaś sta-

[1]) Czasami w podobnej treści baśniach, jest mowa i o sakiewce, napełniającej się ciągle nowemi pieniędzmi w miejsce ubywających. W Żywotach ks. Skargi czytany: „S. Lidwina, Holenderka († 1433) sama będąc ubogą i chorą, wielkie o ubogie staranie miała, dając im co jedno miéć mogła. Gdy brat jej Wilhelm w długach umarł, miała jakiś klejnotek, który przedać i do kaletki jednéj pieniądze włożyć kazała; w onej kaletce pieniędzy zawsze przybywało, bo i długi z niej brata swego wypłaciła, i ubogim z niej wiele dawała, i po śmierci jéj zostało, i zwała ją kaletką Chrystusową.“

nął w téj saméj gospodzie, gdzie przed rokiem brat jego nocował. Oddał także owéj staréj gospodyni swego baranka, aby go napasła mlekiem i owsem, i kazała mu w osobnéj komorze podesłać miękiego siana, zamknął potém drzwi od téj komory na kłótkę i klucz wziął do siebie.

To dziwiło starą gospodynią, rzekła więc do męża: „Nie bez kozery zamknął parobek tak starannie swego baranka, trzeba mi go zobaczyć.“

Potém poszli do sklepu, zkąd małemi drzwiczkami wcisnęli się do komory, zamkniętéj na kłótkę. Baranek tak się w siano zagrzebał, że go ledwie znaleźli; potem oglądała go gospodyni z téj i z téj strony, ale nie mogła dobrze obejrzeć wełny jego, bo się na niéj bardzo wiele siana pozawieszało, więc rzekła: „kiedyś się w siano zagrzebał, to byś się z niego mógł otrząsnąć: baranku mój! “

Ledwo co to wymówiła, otrząsnął się baranek, a z baranka spadła srebrna wełna. Wyzbierawszy srebro, rzekła do męża: „baranka tego nie oddamy parobkowi, ale wybierz z owczarni podobnego baranka, którego mu oddamy. “

Kiedy świtać zaczynało, wstał Lampart, odebrał podobnego baranka i szedł dalej. W południe stanął w domu swojim i zwołał wszystkie domowniki i rzekł: „Oto patrzcie, co wysłużyłem sobie przez rok służby mojéj! Już nam teraz nie potrzeba pracować na panów, bo sami panami będziemy.“

Podniósł potém baranka na stół, i rzekł: baranku, baranku mój, otrząśnij się! Ale tą razą nie otrząsnął się baranek i nie spadła z niego srebrna wełna. Rzekł więc drugi i trzeci raz to samo, napróżno jednak. Żartowali i śmiali się z niego wszyscy, a on rozgniewany zabił baranka.

Więc znowu miał ojciec w domu trzech synów, których wyżywić nie mógł. Ostatniego jednak nie myślał w świat wyprawić, bo mu się zdało, że ten trzeci był najgłupszy z jego synów. W całéj okolicy nie zwano go inaczéj tylko Gawron, dla tego, że nie umiał tańczyć ani dróżbować po weselach. Więc tego Gawrona nie chciał stary ojciec wysełać na wędrówkę, ale on widział i czuł biédę, która się w domu rozgościła, a ojca swojego kochał bardzo; nie chciał też, aby na stare lata głód i niedostatek cierpiał. Cichaczem tedy nabrał w tłómoczek chleba i powędrował. I wędrował także za ową górę, gdzie przy drodze pasł owce staruszek;

u niego przyjął służbę, podobnie jak bracia, i pilnował gromady przez rok cały. Po roku wrócił znowu staruszek i przyniósł ze sobą miech podarty i rzekł: „służyłeś mi mój parobku wiernie, za to ci daję ten miech. Jak wyjdziesz za górę, to powiédz: mieszku, mieszku mój, odwiąż się!“

Gdy to Gawron wyrzekł za górami, miech się odwiązał, a z miecha wypadły dwa dębowe kije i biły na około, aż ziemia jęczała. Parobek przestraszony, kazał im co tchu się schować. Szedł potém do wieczora, a na nocleg stanął w téj saméj gospodzie, gdzie była mądra gospodyni, i rzekł do niéj: „schowajcie mi gosposiu ten mieszek pod kluczem, bo mam w nim wielkie skarby.“

Pomiarkowała od razu gosposia, że nie bez kozery kazano jéj schować to stare mieszysko. Nie trudno jéj także było odkryć tajemnicze słowa, bo się już wprawiła na stoliku i baranku; ale tą razą pożałowała swojéj mądrości. Skoro bowiem wyrzekła: mieszku, mieszku mój, odwiąż się; — wypadły z miecha dwa kije, i biły babę nielitościwie: z bólu i strachu zapomniała rozkazać, aby się napowrót schowały; więc biją owe kije mądrą lecz złą kobietę; a mądra lecz zła kobiéta, całém gardłem woła ratunku. Na ten krzyk obudził się Gawron i wbiegł do komory. Już od dwóch lat nie wolno było nikomu do niéj zaziérać, bo tám było schowanie stolika i baranka. Poznał Gawron rzeczy braci swojich od razu i dorozumiał się podstępu. Zawołał tedy:

Niech kij każdy babę siecze,
Póki krew z niéj nie pociecze!

Gosposia w modły: „Mój chłopysiu zmiłuj się! oddam wszystko, powiem wszystko, tylko się zmiłuj nade mną! „Więc Gawron rzekł: kije w miech!“ Potém odebrał skradzione rzeczy swych braci, bo gospodyni się przyznała z bólu do wszystkiego.

Już téż świtać zaczęło; Gawron zabrał się w dalszą drogę i przyszedł do domu swego koło południa, kiedy wszyscy za stołem siedzieli.

Dwaj bracia widząc stolik i baranka, zeskoczyli z ław, i każdy chwycił za swoje; w tém kije z miecha wypadły. Strúchleli wszyscy a Gawron dopiero zaczął rozpowiadać, jak się to stało, i tak zakończył: „Nie do was bracia, należy stolik i baranek, ale do mnie. Mogę niemi rozrządzać do woli i tak rozrządzam, aby nam wszystkim jednako służyły, co moje, to wasze; co wasze, to moje.

Czy przystajecie na to, tatusiu?“ — „Przystajemy, przystajemy!“ zawołali wszyscy; i odtąd poczyna się ich szczęście.

Baranka wziął stary ojciec do swojéj zarodowéj owczarni i dochował się z niego pięknéj gromady; miech powieszono w stodole, a kije wymłacają wszelkie zboże. Stolik zaś ustawiony w dużéj izbie, a za stolikiem siedzą goście dniem i nocą, i dobrze się mają, bo nigdy na wybornych potrawach nie zbywa i nigdy podniebienie im nie schnie. Mnie także jeszcze nie uschło, bo dopiero co z téj biesiady wróciłem!

## 7.

## Obdarowani [1]).

(Cudowne: owieczka, — stolik, — pałki w miechu).

od Kościana.

Jeden chňop miáł trzech synów. Nájmłojdszy z nich bół głupi. Ten najstarszy chciáł iść na służbe. Ten ojciec nie kázał mu iść na s(ł)użbe, ale ón jednak poszed, który szukał s(ł)użby. Szed sobie w kraj daleko. Przyszed na jedne zielono łąke; tam owczárz pasie owce i pytá go sie: gdzie ón idzie? — Służby szukać. — Czy byś ty u mnie nie chcioł służyć? — Czemu nie? — Zgody z nim żadny nie zrobił, ino mu dáł jeden chlib i jeden sér na całki rok i kázał mu owce paść.

A ten-że owczarz odszed od tych owców, i nie przyszed aż bez rok. I mówi do chuopáka: chciáłbyś dłuży u mnie być? — Nie; já sie téż chce wrócić ku mojému ojcu. — Na, idź, ale já ci zasługów żadnych nie dám, télko sobie weź jedne owieczke, idź sobie do domu, a nie wstępuj nigdzie do gościeńca, gdzie są wielgie zabawy i zgryjatyki. A ten owczárz bół pon Jezus, który go tak ópomniáł. A jeszcze mówił pon Jezus: jak powiész do ty owieczki „trzęś mi się, to ci owieczka bédzie trzęsła piniędzmi.

Idzie ón chopák bez jedne wieś z tą owieczką, a wośnie (właśnie) tam w tym gościńcu grali i ogromna zgryjatyka była. Mioł jeszcze pare trojaków przy sobie i chęć go wziena, wszed do tego gościéńca, do té cały kompanii, gdzie sie bawili. Mój

---

[1]) *Lud*, Serya III, str. 112. — Ser. VIII, str. 127. 133. — Niemieckie: Tischchen deck dich.

chuopák oddał owieczke gościnnemu, a ópomniáł go żeby do ni nie mówił: żeby sie trzęsła. Gościnny myśli: to coś w tém, i skował (schował) jóm do alkirza. Chłopák z drugiemi zaczón sie bawić i tończyć ouż (aż) do ranna. Rano mówi gościnnemu, żeby mu oddał te owieczke, że chce iść do swego ojca napowtór. Gościnny mioł też owce jako swoje, wiéc tą otrzymał (zatrzymał) a dał mu jedną ze swojich, tak że przemiénił.

Ón przyniós te owieczke do swego ojca i powiadá: widzicie ojcze, co ja sa przyniós. Postawił ją na izdbie i kázał ji sie trzęść, a óna ani mu sie nie zadrgnęła, bo tá samá nie była. Ten ojciec mówi: Widzisz, żebyś był lepij w domu robiuł, tobyś bół sobie przynájmiej na przyodziewek zarobiuł.

Wybrał sie znowu drugi syn tego chuopa, na te podróż, s(ł)użby sobie szukać. Idzie ten chopák i znou wchodzi na te łączke, gdzie ten owczárz pas(ł) owce. Ten owczárz go sie pytá: gdzie ty idziesz? — Ide służby szukać. — No, jakże, chciáłbyś ty u mnie służyć? — Czemu nie? przecie za tém chodze, żebym sie urządziuł. — Owczárz mu znou dał jeden chlib i jeden sér na ten całki rok, a opomniał: paś tak, abyś mi tu szkody nie uczynił pomiędzy owieczkami.

Bez rok (po roku) przychodzi ten staruszek owczárz i pyta go sie, żeliby ón nie chcioł dłuży paść? — Nie; já chce ku ojcu iść. — Dał mu owczárz za zasługi jeden stolik i powiedziáł: mász ojca letnego (w latach, starego), wiec dám ci stolik, co o życie nie bedzie sie ociec potrzebował chłopotać na stare lata; ino mi nie chodź do gościńca, a ino idź prosto do domu, bo w gościńcu bédo zgryjatyki. Chopák nie pomyślał że to bół pon Jezus, i że ón o tem wszystkiem bédzie wiedziáł.

Przechodzi bez te samuśką wieś, i tam była okropna zgryjatyka; miáł też jeszcze pare trojaków z domu; i poszed do tego gościńca. Oddáł gościnnemu i opomniáł, żeby nie mówił: stolik wydaj mi życia; — to jest jako strawów, strawy. Chłopák sie zabawiuł w gościńcu z drugiemi chopákami oż na powtór do ranna. Mówi gościnnemu o ten stolik, a gościnny przemiénił, dał mu swój stolik podobny do tamtégo.

Chuopák przychodzi do domu i mówi: patrzcie ojcze, co já to trzyniós (przyniósł)! — A ojciec powiadá: coś trzyniós? stolik; czém-tém (lada czém) was ino ludzie łudzą. — A ón: a nie, ojcze, bo jak ja béde mówił, to bédziecie widziéć, co ten

stolik wyda. — Ten chopák wymówił te słowa, a ten stolik, jak go postawił tak stojał.

Idzie ten trzeci syn na te służbe, ten g(ł)upi. Przyszed znou napowtór na to miejsce gdzie ten owczárz te owieczki pasie. Owczárz go sie pytá: gdzie ty idziesz? — Służby szukać. — Na, takbyś móg u mnie służyć. — Czemu nie? — Owczárz dał mu to co tym drugim, jeden chlib i jeden sér na cálki rok, i odszed.

Bez rok przychodzi i także go sie pytá: czyby u niego chciál dłuży być? — Nie, bo musi iść do ojca. — Owczarz dál mu miech, w którym miechu były poŭki (pałki), i zaś nie mów: pouki z miecha! bo cie bédo bić, a jak pójdziesz do domu, moużesz wstąpić do gościńca, ale nie pij.

Przechodzi ón bez te samo wieś, gdzie tam znou była ta samá muzyka i zgryjatyka. Wchodzi do gościńca i oddaje temu gościnnemu w ręce ten miech i opominá, żeby nie mówił: pouki z miécha! — a gościnny zaniós go do alkiérza i położył, Ale ból ciekawy i mówi: páuki z miécha! — Jak te páuki wyskoczyły, jak gościnnego zaczeny po łbie walić, tak wszéscy z gościńca pouciekali. Potem mówi chłopakowi i prosi go sie, żeby też odebrał te pouki. A chopák: odbiere, ale rázem ze stolikiem i owieczką, coś braciom wzión. A pauki biły go tak d(ł)ugo, póki tego stolika i ty owieczki nie oddał, i póki głupi nie powiedział: poŭki do miécha!

Ten g(ł)upi zabrał to wszystko z sobo i przyniós do domu. Powiedá ojcu swojemu, co ón to má. A ojciec na to: eh, ten to już nájg(ł)upszy, bo nietylko g(ł)upią owce i g(ł)upi stolik, ale jeszcze i głupie poŭki trzyniós! — A bracia poznali i mówią mu: oddaj nám ten stolik i te owieczke, bo to nasze! — A ón jak rzek(ł): pouki z miécha na braci! — i pauki bić ich zaczęny — tak (w)szak wnet i prośba byłá, i zgoda sie zrobiła, jak im to sám podarował co sám zdobył — i żyli razem.

## 8.

## Zła macocha.

Powiastka Wielkopolska,
ze zbioru Fr. Wawrowskiego.

(*Przyjaciel ludu*, Leszno, 1846, rok 13, nr 30, str. 236).

(Macocha wypędza pasierbicę. Studnia, jabłoń, piec w polu — wdzięczne za starania. Starzec. Piesek i kaczka. W skrzynce złoto i bogactwa. — Potem posyła matka własną córkę. Studnia, jabłoń, piec w polu - zagniewane. Starzec. Piesek i kaczka. W skrzynce węże i gady).

W jednej wiosce przed laty mieszkał chłopek ubogi w słomianej i lichej chatce. Jedna krówka, skrzynka czerwono w kwiaty malowana i koniecznie potrzebnych sprzętów trochę, były jego bogactwem. Żona mu umarła, i zostawiła grzeczną a gładką dziewoję. Biedna dziewczyna, rzewnie płakała, a płacząc izbę uprzątała, krówkę doiła, jeść gotowała, a ugotowawszy ojcu w pole nosiła. Ona to była ozdobą całéj wioski, choć uboga, choć nie miała wieńca ze złocistych kwiatów, ani tak wiele i tak różnofarbnych wstążek, w któreby się ustrojić mogła, jednak chodziła chędogo, a we wieniec z rozmarynu lub z polnych kwiatów przybrana, przewyższała urodą nie jednę córę gospodarską. Nie długo jednak przy ojcu mieszkać mogła, przyszedł czas nieszczęsny, gdzie rozstać się z nim musiała i porzucić domek luby, w którym jej matuchna umarła. Ojciec bowiem ożenił się znów z kobietą, wdową, mającą także córkę; ale była to wielka złośnica. Zazdrościła Kasi i urody, której córka jéj nie miała, i kawałka chleba, na który ojciec jéj krwawo i ciężko pracował. Macocha nie mogła patrzyć na Kasię, bo córy jéj uroda tak gasła przy Kasinej, jak światło miesięczne przy słońcu. Poniewierała więc niebogę, do roboty napędzając; rano wstać kazała, podczas kiedy córa jéj sobie dolegała, i wszystkich wygódek używała. Kasia chętnie wstawała, izbę chętnie umiotła, krówkę wydojiła, wody naniosła; ale wszystko macosze za mało było, wciąż na nią się dąsała. Bolało to i ojca; lecz cóż miał robić, święty pokój chcąc w domu zachować, przedstawiał tylko żonie i prosił, by się z córką jego lepiéj obchodziła. Nic to nie poradziło.

Nareszcie naprzykrzyło się Kasi siedzieć przy tak złéj macosze; prosi tedy ojca by ją puścił z domu na służbę. „A kędy pójdziesz, córo kochana?“ zapytał ojciec ze łzami. — „Pójdę w świat daleki, gdzie mnie oczy poprowadzą; a choć to trudna poniewierka u ludzi, może znajdę szczęście dla siebie u obcych ludzi miłosiernych.“ — Dał jéj ojciec błogosławieństwo na drogę, ucałował jedyne dziecię, i puścił poruczając ją Opatrzności. Cieszyła się macocha i radowała bardzo, że się pozbędzie znienawidzonéj dziéwki.

Szła Kasia płacząc, fartuszkiem łzy ucierając co spływały po licu by perełki; szła drogą w świat daleki. Znużona przyszła nad studnię, ocienioną wysokim jaworem, usiadła nad nią i serdecznie rzewnić sobie poczęła, rozwodząc skargi na złośliwą macochę. Wśród łkania słyszy głos ze studni: „Dzieweczko, dzieweczko, wyczyść mnie ryboczko!“ — a była ta studnia bardzo zamulona [1]). Wzięła się do pracy Kasieńka, bez ociągania się studnię wybrała, a wybrawszy w dalszą puściła się drogę. — „Będę pamiętała o tobie, gdy będziesz wracała“ wołał głos za odchodzącą.

Idzie znów daléj rzewniąc sobie, aliści nade drogą rośnie jabłoń, pełno mchu na niéj, liście pożółkłe i kwiaty powiędłe. Znużona siada pod oną jabłonią, chcąc odpocząć sobie, lecz ledwie usiadła, słyszy jabłoń do siebie mówiącą: „Dzieweczko, dzieweczko, oczyść i podléj mnie ryboczko!“ W okamgnieniu dziewczę ochędożyło jabłoń z mchu, listki zżółkłe obrała, suche gałązki obłamała, a przyniosłszy wody z bliskiej strugi, podlała zemdlałe drzewo. Kiedy chciała odchodzić, takie odebrała podziękowanie: „Nie zapomnę ci tego.“

Znów idzie biedna dziewczyna daléj w świat nieznany, i przychodzi do pieca w polu stojącego; przechodząc mimo, słyszy znów wołanie proszącym głosem: „Dzieweczko, dzieweczko, wy-

---

[1]) Jest u nas zwyczaj i dziś jeszcze (mówi Wawrowski), że w Zielone Świątki parobcy czyszczą, albo, jak zwykle mówią, wybierają studnię, potém za to, po kolendzie chodzą. Podobnie czynią, kiedy nową wykopią studnię; wtenczas obnoszą w dzbanku wodę od domu do domu, za co odbierają podarunki. W studniach mieszkają zaklęte królewne, wedle powieści ludu; do studni to, jak śpiewa pieśń: „Wpadły różczki rozmarynu z wieńca dziewczyny i t. p.“

mieć mnie rybeczko!“ Wzięło się dziewczę do roboty, wybrało popiół i piec wymiotło, a za odchodzącą wołał głos: „Jak będziesz kiedy powracała, zajrzyj do mnie.“ — Zdziwiona takiemi przygodami nieboga, idzie dzień i drugi, a nigdzie ani dachu, ani ludzi.

Spotyka nareszcie starca, siwego jak gołąbka, który nie mógł przejść przez rów i prosił nadchodzącej, by go jakim sposobem przeprawiła. Wzięła go na plecy Kasia i przeniosła. Starzec zaczął jéj się wypytywać, zkąd i dokąd idzie; a gdy się dowiedział o losie jéj, zapytał się, czyby u niego służyć nie chciała. „O czemu nie“ rzekła dziewczyna, „ja-ć przecie za służbą idę; a czy mi u was, czy gdzie indziéj służyć, toć mí jedno.“ — Zgodziła się tedy na lat siedm, bo starzec tak chciał, i poszła do chaty ze starcem. W chatce nic prócz pieska i kaczki, nie było. Te to źwierzątka starzec jéj pieczy poruczył, sam zaś często wychodził z domu i chodził po świecie. Kasia doglądała onego pieska i kaczuszki, a i starcowi posługiwała chętnie, kiedy do dom przyszedł. Minęło siedm lat, a Kasia zatęskniła do ojca; prosiła więc onego starca, by ją ze służby uwolnił, a obiecaną dał nadgrodę. Wypłacił jéj stary, dając pieniędzy co niemiara; lecz nie dość na tém, kazał jéj iść na górę (pod strych) i wybrać sobie pamiątkę. Stały tam skrzynie w piękne kwiaty malowane, złociste i piękne, ale téż i proste drewniane. Kasia patrzy, któraby wziąść, ale widzi jednę w kącie stojącą, najgorszą ze wszystkich, i tę wybiera, a wybrawszy, na dół znosi. „Dzieweczko, czemuś najładniejszéj nie wybrała“ zapytał starzec; lecz dziewczyna kontentując się małém, rzekła: „Będzie to dla mnie dosyć, piękniejszéj nie potrzebuję.“

Starzec dał jéj taczkę, aby wieźć mogła tę skrzynię, a aby jéj tęskno w drodze nie było, rozkazał biedz pieskowi i kaczusce z nią. Biegły tedy dwa te zwierzątka, a kiedy przybyły do wsi, wciąż wołał piesek: Hafu, hafu, hafula, jedzie nasza Kasiula; przed nią brzęk, za nią brzęk, wszystko ona dobre wiezie“ a kaczuszka mu przywtarzała, wołając: Tak, tak, tak.

Po kilku dniach swej podróży, przychodzi do onego pieca, który była wymiatała, zagląda do niego i widzi zdziwiona: pełen najpiękniejszych kołaczy; a kiedy stoji i nie wié co począć;

czy brać czy nie, słyszy znów głos: „Bierz ile chcesz, a co najlepszego. Nabrała więc kołaczów ile jéj dusza raczyła, i w dalszą poszła drogę.

Idzie, aż oto zdaleka widzi jabłoń, którą była ochędożyła ze mchu i suchych gałązek, a na niéj złociste połyskują jabłka; gdy się zbliżyła, znów woła coś na nią: Urwiéj sobie kilka, boś ty mnie chędożyła.“ Urwała siedm złocistych jabłek, a nie bawiąc się szła daléj.

Znużona podróżą i spragniona, przychodzi nad ową studnię którą była wybrała; napiła się wody czystéj jak kryształ a chłodnéj; a gdy chciała odchodzić, spostrzega trzy złote kule, a znów coś woła ze studni: Dzieweczko, dzieweczko, weź te kule rybeczko! Wzięła je i schowała.

Uradowana biegnie ku domowi, a tęskna miłość ku ojcu kroki jéj prędszemi czyniła, i już zdala widzi ojcowską chatkę i serce jéj bije, czy wszystkich zastanie przy życiu a osobliwie ojca, i coraz prędzej i prędzej biegnie, i już blisko jest chaty. Stary ojciec na progu siedzi, i myśli o swojéj biédzie i patrzy ciekawie, co za dziewczyna ku niemu się zbliża. Poważnie podniósł się starzec, bo poznał swe dziecię, uściskał córę do nóg mu upadającą, a łzy radości spływały po licu, bo myślał, że się gdzie zmarnowała dzieweczka. Ale macocha niechętnie spoglądała na Kasię, półgębkiem się z nią witała, a na boku szydersko się śmiejąc mówiła do córki: „Siedm lat służby, i cóż ma, stare skrzynczysko.“ Lecz jak-że się zdumiała, gdy Kasia skrzynczysko ono otworzyła, i wykładać zaczęła szczerozłote wieńce i stroje i suknie co najpiękniejsze, i srebrem tkane fartuszki; gdy zaczęła liczyć pieniądze i kule złote i jabłka; — zazdrość porwała złośliwą kobietę i w okamgnieniu w sercu postanowiła i córę swoją własną wysłać na służbę.

Wypytawszy się więc Kasi o wszystkiém, gdzie była, wysłała córę swoją z domu. Szła tą samą drogą co Kasia, i przyszła do studni, która jéj się prosiła, by ją wybrała, bo mułem zaszła; ale dziewczyna (spiesząc się) zamiast się wziąść do roboty, rzekła: „Daj mi pokój, muszę iść dalej!“ i poszła. Przyszła do jabłoni, omszałej i uwiędłéj; gdy pod nią usiadła, słyszy podobnie jak Kasia głos proszący, by jabłoń oczyściła i podlała. „A będę się tam skrabać na ciebie i drzéć łachy“ rzekła i poszła daléj.

Przychodzi do pieca; i ten się prosił, by go wymiotła, a i tu się wymówiła [1]).

W drodze spotyka starca; siedział nad wodą, któréj przejść nie mógł; prosi się on nadchodzącéj dziewczyny, by mu jako poradziła. Z początku wymawiała się, ale gdy jéj się przypomniało, że to może ten sam dziadek, co Kasi tyle dał bogactwa, przeniosła go przez wodę, i służbę u niego na siedm lat przyjęła. Ale jak mu służyła? — o piesku i kaczuszce któremi się miała opiekować, żadnego starania nie miała; kiedy jeść starcowi gotowała, to najlepsze kąski zjadała. Minęło siedm lat; dał jéj starek zasługi, i kazał jéj iść na górę, wybrać sobie pamiątkę. Poszła dziewczyna; blask złocistych skrzyń dziwnie ją zastanowił; szuka najbogatszéj i najpiękniejszéj, a gdy wybrała, na dół zniosła. Dał jéj stary taczkę, włożyła skrzynię do któréj zaglądać i otwierać nie miała, aż w domu; aby jéj się nie dłużyło, pieskowi i kaczce kazał stary jéj gospodarz biegnąć jak wprzódy.

Gdy już kilka dni szła i jeść jéj się zachciało, poczuła zapach przesmacznych kołaczy; aliści widzi piec przed sobą, bieży prędko i widzi: pełen rumianych kołaczy; chce brać, ale głos okropny słyszy: „Nie bierz, nie bierz, boś mnie wymiatać nie chciała“. Zlękła się bardzo i idzie daléj; aż znów zalatuje ją przedziwny zapach jabłek; aż oto i jabłoń; chce rwać jabłuszka złociste, ale i tu odzywa się jabłoń: „Chędożyć mnieś nie chciała, nie będziesz rwała.“ Smutna idzie; aż znów przychodzi do studni, w któréj napić się przynajmniéj chciała. „Idź precz“ zawołało coś ze studni i woda opadać zaczęła. Zesłabła, zadumana takiemi przygodami, szła pomału, pchając taczkę ze skrzynią.

Przybywa do wsi, gdzie mieszkała jéj matka; dziwią się ludzie skrzyni, ale piesek wprzód biegnie a woła: Hafu, hafu, hafula, jedzie nasza Jagula; przed nią brzęk, za nią brzęk, nic dobrego nie wiezie“, a kaczuszka przywtarzała, mówiąc: Tak, tak, tak.

„Widzisz, widzisz chłopie (tak kobiety nazywają mężów), moja córa idzie ze służby, o! co za skrzynkę ma!“ — i biegła czém prędzéj ku niej. Wniosła czém prędzéj skrzynię do izby,

---

[1]) Karol Baliński: *Powieści ludu* (Warszawa, 1842).

i z wielką ciekawością i niezmiernem łakomstwem otwiera wieko skrzynki; aż tu, o zgrozo! — zamiast wieńców złocistych i sukien i fartuchów srebrem tkanych, — pełno gadów, robaków, które się wiły jak ćma jaka i córkę chciwą z matką złośnicą zjadły. Taką to nagrodę odebrała zła ona macocha za poniewierkę biednéj sieroty!

## 9.

## Kojata.

Powieść gminna.

*(Przyjaciel ludu*, Leszno, 1838, rok 5, nr 21—22).

(Podał R. W. Berwiński).

(Król pije ze studni. Chwyta go tu duch z zieloną brodą, i puszcza, gdy mu obiecał dać to z domu, o czem sam nie wie t. j. nowonarodzonego syna. Królewicz, gdy dorósł, jedzie w świat. Kąpie się 30 kaczek t. j. panien; chwyta jednej koszulę. Córki to czarownika pod ziemią; do niego królewicz jedzie. Zbudować ma pałac, zgadnąć swoją między 30 pannami, uszyć buty. — Pszczółka; ślina gadająca. Pogoń czarownika; rzeka i most, gęsta knieja, klasztor i mnich).

Był pewnego czasu król nazwiskiem Kojata, który miał brodę aż do kolan, a był królem potężnym; posiadał bogactw, co nie miara; pałace jego błyszczały od srebra i złota; jednak czuł się nieszczęśliwym, bo mu Pan Bóg nie dał potomstwa.

Zdarzyło się raz, że Kojata postanowił objeżdżać kraje swoje; pożegnawszy się tedy z królową, puścił się w podróż, i po roku dopiero, zaczął z powrotem zmierzać ku domowi [1]).

Pewnego dnia, upał był nieznośny; zdawało się, że żywy ogień pada z nieba na ziemię; rozkazał więc król swojim dworzanom rozbić namioty, i pod niemi chciał czekać za wieczornym chłodem.

W tém mu się pić zachciało; a nigdzie kropli wody znaleźć nie było można.

Spragniony i zniecierpliwiony Kojata, wsiadł sam na konia i szukał zdroju w okolicy. Ledwie co kilka staj ujechał, postrzegł

---

[1]) Gliński: *Bajarz polski;* Kościej.

studzienkę pełną kryształowej wody. Na wierzchu pływał puhar złoty. Kojata siegnął co tchu po niego. ale o cuda! ilekroć razy miał go już, już uchwycić, zawsze mu się puhar wymknął z pod ręki; plusknął jak rybka, zanurzył się pod wodę, znowu wypłynął i znowu zniknął.

„Nie dam ja z siebie żartować!“ pomyślał król Kojata, położył się jak długi przed studnią, przytknął usta do wody i pił sobie po prostu, nie zważając na to że długa jego broda zanurzyła się w studni!

Napiwszy się do woli, chce wstawać; a tu oto niemożna, bo go ktoś w wodzie silnie trzyma za brodę.

„Kto tam? puszczaj!“ wrzasnął król obrażony, ale miasto odpowiedzieć, pokazała się tylko twarz straszliwa z pod wody! Dwoje zielonych ócz tkwiło głęboko w głowie; w brodzie królewskiej topiły się dwie orle szpony; a usta wykrzywione śmiechem szyderskim, przemówiły chrapliwie te słowa: „Daremnie wydziérasz mi się, o królu! Nie puszczę ja ciebie pierwéj, póki mi nie przysiężesz, że dostanę to z twego domu, o czém ty wcale nie wiész.“

Król Kojata pomyślał sobie: „Nie może to być rzecz wielkiej wagi, kiedy o niéj niewiem! — i przyrzekł ją poczwarze [1]).

W téj chwili uczuł się wolnym i usłyszał te słowa: „Jeżeli złamiesz przysięgę, biada ci, biada!“

Potém podniósł się z ziemi, otrząsnął brodę z wody, jak kaczka kiedy się znurzy i strzepie; wsiadł na koń i ruszył daléj.

Nie pamiętam jak tam długo jeszcze podróżował; ale gdy dojeżdżał do stołecznego swego miasta, wyszedł lud cały naprzeciw niego z okrzykiem radości. Na progu pałacowym przywitała go piękna królowa, trzymając małe dziecię na ręku.

Kojata zbladł jak czecheł śmiertelny; zwiesił głowę na piersi i wyrzekł smętnym głosem: „Więc to dziecię moje, o którem nie wiedziałem!“

I dwie duże łzy spłynęły na siwą jego brodę, a lud cały zdumiał się niepomału; ale nikt nie śmiał pytać się o przyczynę smutku. Nikt téż nie dociekł tajemnicy króla, chociaż wszyscy widzieli, że ma jakiegoś robaka w sercu, który go toczy i gryzie. Dni mu schodziły na niepokoju; nocą sen mu z powiek uciekał.

---

[1]) Przypomina obietnicę w powieści o zbójcy Madeju obacz *Lud*, Ser. VIII, str. 122.

Tak minęło miesięcy i lat niemało. Królewicz Milan tymczasem wyrósł już na chłopca i był najpiękniejszym z młodzieży; a król Kojata zapomniał zupełnie o owém zdarzeniu przy studni. Ale był ktoś, co lepiéj o tém pamiętał!

Zdarzyło się, że królewicz wyjechał pewnego dnia na polowanie! Scigając ranionego zwiérza, oddalił się od reszty myśliwych. Był sam w miejscu najdzikszém; w około niego drzewa rosochate i cisza głęboka!—Na raz coś mu nad głową między liściem szeleścić poczęło, i wnet ukazał się pomiędzy gałęziami jakiś staruszek dziwaczny i zlazł na ziemię; broda jego i oczy zapadłe, były zielone.

„Witam cię, królewiczu Milanie, rzekł dziadek, dosyć długo czekałem na ciebie; przecie-ś mnie wreszcie nawiedził!„

„Ktoś ty starcze?“ zapytał się królewicz.

„O tém, potém! Teraz słuchaj, co ci powiem. Pozdrów odemnie twego ojca, krola Kojatę, i przypomnij mu o długu, który już dawno miał mi być wypłacony. Wkrótce się znowu zobaczymy!„

To mówiąc, zniknął dziwaczny staruszek, a królewicz zdumiony wrócił do domu, i opowiedział ojcu całe to zdarzenie. Król Kojata, słysząc o starcu z zielonemi oczyma, pobladł jak czechel śmiertelny i zawołał boleśnie: „O biada ci biada! synu ukochany, królewiczu Milanie! Wkrótce trzeba nam się będzie rozłączyć!“ Tutaj odkrył ze łzami okropną swoją tajemnicę i przysięgę, którą wykonał przed laty.

„Nie płacz mój ojcze!“ rzekł wesoło królewicz, nie taki to djabeł czarny, jak go zwykle malują! Każ mi no okulbaczyć cisaka mojego, a dam ja sobie radę na świecie. Gdybym jednak po siedmiu tygodniach i po siedmiu dniach nie powrócił, to mnie już na téj ziemi nie zobaczysz!“

Przygotowano wnet wszystko do odjazdu Milana. Król ojciec dał mu złote strzemiona, miecz stalowy i błogosławieństwo swoje; królowa matka zawiesiła mu na szyi krzyż złoty i przeżegnała po trzykroć. Królewicz Milan puścił się wreszcie w podróż.

Ciekawi pewno jesteście, jak mu się w owéj podróży powodzi? Oto jechał bez ustanku, jeden dzień, drugi i trzeci; a gdy słońce po czwarty raz za góry się spuściło, stanął nad przestronném jeziorem, Powierzchnia jego, jak szyba wygładzona, pod strych równała się z brzegami: zdało się, że lada wietrzyk przechłuśnie bałwanem na ziemię; ale wietrzyk nawet nie śmiał zamącić prze-

żroczystéj wody, w któréj się przeglądało nadbrzeżne sitowie i kilka chmurek wieczornych. Królewicz Milan nadjechał bliżéj; i dla czegoż to z takiém podziwieniem spogląda przed siebie?—Oto trzydzieści szarych kaczek pływa i kąpie się między trawą i krzakami. Wziął jednę koszulkę, i czekał co się daléj stanie.

Kaczki tymczasem nurzają się i strzepują skrzydełkami, igrają z falami i kąpią się do woli, a potem dwadzieścia i dziewięć wypłynęło na brzeg, skłoniło się ku ziemi i wszystkie zmieniły się w przecudne dziewice, wszystkie wdziały na siebie koszulki i znikły! Tylko trzydziesta została na wodzie; krąży ona, żałośnie wyrzekając nad brzegiem; wyciąga szyjkę do góry, wzlatuje i spada, aż jéj się Milanowi żal zrobiło!—Wyszedł więc z ukrycia na widok, a kaczka ozwała się do niego ludzkim głosem: "Królewiczu Milanie, oddaj mi moją koszulkę, a nie pożałujesz tego!"

Wysłuchał Milan téj prośby i położył koszulę na trawie.—W téj chwili stawa przed nim dziewica tak piękna, jakiéj dziś niemasz pod słońcem, ani w powieściach, ani w gadkach cudownych [1])

Zarumieniona, podała mu rękę i rzekła: „Dzięki ci Królewiczu Milanie, żeś mojéj prośby wysłuchał. Nie pożałujesz tego, powtarzam, bo ja jestem córką czarno-księżnika Czernucha; imię moje Welena. Jest nas sióstr trzydzieści, a ojciec nasz panuje w królestwie pod-ziemném, nad tysiącami zamków i pałaców przepysznych. Od dawna oczekuje już ciebie i gniewa się, że tak długo nie przybywasz! Ale bądź spokojny, królewiczu, i słuchaj mojéj rady. Skoro staniesz przed ojcem Czernuchą, królem krajów pod-ziemnych, padnij na kolana i czołgaj się ku niemu. Chociażby zgrzytał zębami i tupał nogą o ziemię, nie zważaj na to królewiczu; a teraz za mną, hop! hop!" To rzekłszy, strzepnęła nóżką i wraz z Milanem przepadła się w ziemię.

W królestwie podziemnem stał pałac zbudowany z węgli pałających i oświecał ciemnicę, jak słońce oświeca ziemię naszą. Był to pałac czarno-księżnika Czernucha. Królewicz Milan śmiało wszedł do niego.

Czernuch siedział na tronie ognistym; czoło zdobiła mu świetna korona, a oczy iskrzyły się jak dwa szmaragdy zielone; skoro go Milan zobaczył, upadł na kolana i czołgał się ku niemu.

---

[1]) *Lud*, Ser. VIII, str. 8—14.

Czarno-księżnik tupnął nogami i zawył, aż podwaliny pałacu zadrżały! ale królewicz, pamiętny słów Weleny, czołgał się coraz bliżej, złożywszy ręce na piersiach. „Wygrałeś hultaju, przyprowadzając mnie twoją postawą do śmiechu," zawołał Czernuch i zaśmiał się serdecznie, „inaczéj byłbyś zginął niemylnie; a więc zgoda między nami; za opieszałość twoję w przybyciu, wykonasz mi trzy zadane roboty! Najprzód wybudujesz nocy dzisiéjszéj pałac z marmuru; okna w ścianach mają być kryształowe, a dach złoty. Jeżeli mi taki pałac wystawisz, to dobrze, — a nie, to się pożegnaj z twoją głową!"

Czarno-księżnik skinął ręką, dwóch służących przyskoczyło, wzięło Milana pod ręce i wprowadzono go do przepysznego pokoju, w którym stało łóżko dlań przygotowane; napróżno jednak nęciło go miękkim puchem do siebie; on zdrów jak ryba, a jutro ma umrzéć; więc pewno ostatniéj nocy przed śmiercią nie zaśnie! Smutnemi myślami zajęty siedział Milan przy oknie. W tém nadleciała mała pszczółka i brzęcząc skrzydełkami po szybach, wołała bez ustanku: „Wpuść mnie! wpuść mnie!" Milan otworzył okno, a pszczółka zamieniła się w téj chwili w piękną Welenę i rzekła: „Witam cię, królewiczu! ale czemuż to tak smutno?"

„Jutro mam urzeć z ręki twego ojca" odpowiedział zimno królewicz.

„Nie umrzesz, przysięgam! Jutro przed świtem stanie pałac gotowy; a ty chodź z siekierą do koła, jak gdybyś coś jeszcze poprawiał!"

Sam Czernuch zdumiał się nad pięknością budowy. „Doskonały z ciebie cieśla," mówił do Milana, aleś się musiał piorunem zwijać tej nocy. Na tém się jednak nie skończy, mój bracie! Mam ja w domu trzydzieści córek. Jutro staną wszystkie przed tobą w rzędzie, a powiesz mi która z nich najmłodsza Welena. Trzy razy wolno ci każdą obejrzéć. Jeśli zgadniesz, to dobrze; — jeżeli nie, to pożegnasz się z twoją głową!"

Milan roześmiał się w dsszy, powrócił do swego pokoju i myślał sobie: „Teraz toś mi się na tęgi koncept wysadził, panie Czernuchu! Ja bym nié miał mojej Weleny poznać?.... hm! hm!"

„Któż wié, czybyś ją poznał bez mojéj pomocy?" rzekła pszczółka wlatując znowu do pokoju. „Jest nas sióstr trzydzieści, a wszystkieśmy sobie podobne, jak dwie krople wody! Lecz słu-

chaj! Na mojém czole usiędzie muszka i po tém mnie poznasz. Bywaj zdrów, królewiczu!“ [1]).

Nazajutrz, zawołano Milana. Trzydzieści dziewic w bieli, stało już rzędem ze spuszczonemi ku ziemi oczyma. Czernuch siedział na stronie, złośliwie się uśmiechając; a królewicz, przeszedłszy raz rząd cały, zbladł, bo muszki na żadném czole nie było. Powolniejszym krokiem przeszedl drugi raz i zaczerwienił się, bo muszki na żadném czole nie było!

Szmer głuchy i ciche śmiechy rozległy się do koła; w tém usiadła maleńka jak maczek muszka, na skroni, żywym ogniem płonącéj. Co tchu schwycił Milan dziewicę za rękę i zawołał: „To jest Welena, najmłodsza twoja córka!“

„Hm, hm! tu mi jakaś baba bróździ“ rzekł Czernuch zagniéwany, „bo gdzie djabeł nie może, tam babę poślij! Ale baby mają długie włosy, a krótki rozum! Złapię ja ciebie, ptaszku, poczekaj! Za trzy godziny staniesz znowu przedemną; wtedy zapalę słomkę, a pierwéj nim się do końca dotli, masz uszyć parę butów. Jeżeli je uszyjesz, to ci powiem: „tęgi szewc z ciebie! — a jak nie, to się inaczéj rozmówiemy.“

Powróciwszy do swego pokoju, chodził Milan szerokim krokiem i marszczył czoło, aż mu się brwi ze sobą stykały.

„Ja syn królewski, mam bóty szyć!.... Nie, nigdy! nigdy tak rodu mojego nie splamię!“ — Kiedy to Milan do siebie przemawiał, wleciała piękna Welena przez okno: „Więc cóż myślisz robić?“ zapytała go z niespokojnością.

„Umrzéć wolę z ręki tego łotra; a szyć butów nie będę!“— „Nie, mój miły, ty umrzeć nie możesz, bo i jabym wtedy umarła“ rzekła Welena; „albo więc przełam twój upór, albo się ratuj ucieczką!“

To mówiąc plunęła na okno, a ślina przymarzła do szyby [2]). Poczém wyprowadziła Milana z pokoju, zatrzasła drzwi na rygle, i przybywszy na miejsce, kędy się w ziemię zapadli, wyrzekła: hop! hop! — i znów przed niemi było przestronne jezioro z kwiecistemi brzegami, na których pasł się jeszcze cisak

---

[1]) *Lud*, Ser. VIII, str. 28—29.

[2]) K. Baliński: *Powieści ludu* (Warsz. 1842).

królewicza. Ledwo zoczył pana swego, zarżał radośnie, przyklęknął do wsiadania i wnet popędził z Milanem i Weleną na wyskok.

Tymczasem Czernuch czeka i czeka na królewicza, a jego jak niemasz tak niemasz! Wyseła tedy swych dworzan po niego. Dworzanie przybywszy do drzwi zamkniętych, pukają; a ślina przymarznięta do szyby odpowiada: „zaraz przyjdę!“

Tę odpowiedź przynoszą Czernuchowi, który czeka na nowo i wyseła powtórnie służących. Powtórnie odpowiada ślina pukającym: „zaraz przyjdę!“

Rozgniewany tém do zywego czarno-księżnik, wrzasnął: „Czy on mnie myśli na dudka wystrychnąć! Wyłamcie drzwi i tu mi go przywleczcie!“

W mgnieniu oka wyleciały drzwi podważone, a ślina w głos się rozśmiała. Czernuch o ledwie nie pękł ze złości, postrzegłszy próżną komnatę, i wydał rozkazy do pogoni.

Cały rejment złych duchów rozbiegł się wszystkiemi drogami.

Wtedy szepnęła Welena na ucho Milanowi: „Słyszę ja zdala tentent kopyt końskich!“ — Milan zeskoczył z konia, przyłożył ucho do ziemi i rzekł: „Prawda! gonią nas, gonią, i są tuż za nami!“

Welena pomruknąwszy kilka słów tajemniczych, zmieniła się natenczas w rzekę [1]). Milana zamieniła w most żelazny, a konia w kruka. Gdy pogoń dotarła do mostu, stanęła nagle jak wryta, bo daléj tropu nie było; a za mostem trzy drogi, na trzy się strony krzyżują. Co tu począć? Trudna rada, trzeba z niczém powrócić.

Czernuch wołał już zdaleka do powracających: „Półgłówki! oszukano was; ten most i owa rzeka, to byli oni sami; daléj za niemi na nowo; albo was ukamienować każę!“ W téj saméj chwili szepnęła piękna Welena Milanowi: „Słyszę tentent końskich

---

[1]) *Lud*, Ser. VIII, str. 16—24. — Dr. A. Bastian (*Reisen in Siam*, Jena, 1867. III. str. 145) powiada, że urzędnik królewski w Bangkok dał mu książkę bramińska, opisującą 10 inkarnacyj Wisznu. Powiedziano w niej, jako Phra Insuen stworzył świat w taki sposób, że ze śliny zrobił wodę, ze swych włosów drzewa, z potarcia swych ramion wywiódł czy spłodził Braminów, z potarcia piersi Narei (Nareyana). (Ser. VIII, str. 24, rzéka z płótna, krzaki z grzebienia).

kopyt!“ — Milan zeskoczył z konia, przyłożył ucho do ziemi i rzekł: „Gonią nas i są tuż za nami!“

Bez zwłoki więc zamieniła Welena siebie, Milana i konia w gęstą i ponurą knieję, z tysiącem krętych ścieżek. W niéj zdało się ścigającym, jak gdyby przed sobą widzieli dwóch jeźdźców; a goniąc za niemi, tak się zbłąkali w bezdrożach, że powrócili na miejsce, kędy się schodzi do podziemnych krain Czernucha. Wtedy dopiero knieja, ścieżki i jeźdzcy jak sen przed niemi zniknęli.

Sam Czernuch wsiadł tedy na swego karosza, a Welena szepnęła znowu drżącym głosem: „biada nam! Czernuch, mój ojciec, nas goni! Ale przy pierwszym kościele kończy się jego władza i potęga. Podaj więc krzyż twój Milanie!“

Posłuszny królewicz, oddał swój złoty krzyżyk, któren mu matka królowa na piersi zawiesiła. Ledwo go ręką dotknęła Welena, zamieniła siebie w klasztor, Milana w mnicha, a cisaka w dzwonnicę.

Szczęściem, że się pośpieszyła. Bo już Czernuch stał przed klasztorem. „Czy nie widziałeś tu ojcze! dwóch jeźców uciekających?“ zapytał się mnicha.

„Właśnie“ odpowiedział zapytany, „wyruszył od nas z popasu królewicz Milan i piękna Welena i kazali cię uprzejmie pozdrowić!“

„Niech sobie jadą na złamanie karku!“ wrzasnął Czernuch zsiniały od gniewu, powrócił z kwitkiem do domu, i dostał ze zmartwienia żółtaczki.

Milan zaś i piękna Welena zdążyli bezpiecznie do stołecznego miasta króla Kojaty, który im wkrótce sute wyprawił wesele. Zaproszono na nie wielu zacnych gości, między innymi mnie także. Bawiliśmy się wszyscy wybornie; piwa, miodu, wina było do zbytku, a jednak nikt nie lał za kołnierz!

## 10.

## Szklanka [1]).

(Za potarciem cudownéj szklanki ukazuje się sługa-czart i spełnia rozkazy chłopca).

Morownica.

Było dwóch chłopáków, okropnie sie świaczyli (przyjaźnili). Pojszli raz w podróż obáj, a weśli w jeden bór, i zciemniało im się. Natrafili taki zapadły zámek; tam nie było widnąć drzwi nigdzie, tylko była dziura od małego okienka. A óni mówili do siebie: Pódźma heń (oto tam) oglądać. Pośli obáj, a tám jeden powieda: wléźma fttóry (który). co tám jes? -- A ten drugi: a jakbyś ztamtąd nie wyláz? — To mi podász laske i wyciągniesz mnie. I jak sie ten ta(m) wpuścił, to ten drugi uciék. Bo był mu na zdrádzie i już sie nie pokazoł.

A ten tam-ztąd nié móg wyliźć. Tak sie ten, co chcioł wyliźć, dobywa do ty dziury -- a heń (tam) nie było więcy nidz, tylko jedna szklónka stała na murku, a on nie wiedział co ta szklónka znaczy. Jak sie dobywał i te szklónkę potknoł nogą a ta szklónka sie zabłysła. Przylatuje służący z tego pałacu i powiadá: a co nájaśniéjsze ksióże żonda? — A ón powiada: ja żondam żebym ztąd móg wyjść. A ten służący mówi: dobrze, zaroz będzie. Tak ón pomiarkował sie, że to musi coś osobliwszego być ta szklonka, — tak ón ryśnie ją jeszcze ráz, a tu przylatuje służący: a co nájaśniéjszy ksioże żąda? — Ja żądam, żeby wszystkie drzwi były pootwiérane. Ten służący odpowiadá: dobrze, zaroz będzie. Tak ryśnie jeszcze ráz te szklonke-a tu przylatuje służący: co nájaśniéjszy ksioże żąda? — A ja żądam, żeby kolacyja (wieczerza) była. — Dobrze, zaroz będzie. Służący przychodzi, stół nakrywa i przynosi kolacyją, potrawy jakie ino ten parobek żądál.

Tak, po kolacyi, zajdzie do jednych drzwi ten chłopak, a te drzwi były zamknięte. Tak, ryśnie te szklónkę, a tu przychodzi służący: co nájaśniéjszy ksióże żąda? — Ja żądam żeby były drzwi otwarte do tego pokoju. — Dobrze, zaroz będzie. Jak te

[1]) *Lud*, Ser. III, str. 133 (nr 10).

drzwi otworzył, patrzy, a tu taká ładná panna śpi i służąca kole nij. Zaryśnie (ón) w tę szklónkę. Przylatuje sużący: a co nájaśniéjży ksióże żądá? – A ja żądam, żeby te panny dwie wstały. Dobrze, zaroz będzie. Wzión te jedne pannę za ręke i te służącą, i prowadzi je sobie do stołu. Ryśnie w te szklónke; przychodzi sużący: a co nájaśniéjszy ksioże żąda? — Ja żądam kolacyją dla tych dwóch pannów. Dobrze, zaroz będzie. Bo óne nidz nie jadły, bo óne spały od bardzo dawna. Wtenczas powiedá chłopák do téj ksiożęcy panny córki: czy teráz bédzie wola panny, żeby ja był mežem. — A tak, właśnie, bardzo dobrze, boś mnie wybawił i moją służącą, bośmy były obie w nieszcześciu; że-ć byś tak jeszcze móg wybawić naszego sużącego, tobyś nam dobrze zrobiuł.

Tak ón rysnoł w te szklónke, a tu przychodzi służący: a co nájaśniéjszy ksióże żąda? — Ja żądám żebyś ty wstoł heń w żywocie dawném, jag'eś był. Ryśnie jeszcze ràz w szklonkę. Tak już ten sużący nie przyszed, tylko ostał przy nich (bo to ón sám był). Tylko przyszed ten przepadlista, ten czárt, co ich tak dręczył. Przychodzi i pytá sie: a co nájaśniejszy ksióże żądá? A ja żądam, żeby ten pon wstoł, chtóry od tego pałacu jes. — Dobrze, zaroz będzie, mówi czárt. Tak ten pon (książe?) wstoł, co był od tego pałacu, bo i ón też był przepadniony i zmartwychwstál. Tak chłopok rysnół jeszcze ráz w szklonkę, a tu przylatuje ten czárt drugi ráz: co nájaśniejszy ksióże żąda? — A ja żądám, żebyś natychmiast z tego pałacu umykál, bo tu już jest pon. — Dobrze, zaroz bedzie. — Tak ten czárt zaroz z pałacu umknoł. Ten chłopák ożeniuł się z ksiożęcą córką i był ksiożęciem.

## 11.

## Przygody Wojtka.

(Trzech braci, z nich najgłupszy Wojtek. Siostra go iszcze. Czarnoksiężnik z cudownym ptakiem i koniem. Dom pod ziemią. Cudowna woda w kamieniu. Cudowny przez potarcie sygnet. Wojtek jako koń na jarmarku; kupuje go czarnoksiężnik Wyzwolenie).

Od Gostynia.

Jednego razu, mioł ślachcic trzech synów i córke jedynaczke. Pomiędzy trzema braćmi był jeden, ten najmłojdszy, nie spełna

rozumu, czyli po prostu: g(ł)upi Wojtek. Nájstarszy chcioł iść we wędrówke posobicą (osobno, sam jeden). Ociec mu z początku nie pozwolił iść, ale tak sie temu ojcu prosiuł, że mu w końcu pozwoliuł i dáł konia i piniędzy. Pożegnál sie z rodzicami i braćmi.

I przyjeżdżá do gościńca jednego, gdzie tam bóła w tém gościńcu ta gościnna, jako niewiasta z córką swoją. Hasknycht (Hausknecht) odebrał konia od niego i zaciągnoł (zaprowadził) do stajni. A ón sám poszed do tego gościńca i tak sie pyta: czyby nimóg dostać obiadu. Wyszykowali obiád; siadła tá gościnná i tá córka do tego stołu i mówią: proszemy, i onemu kázali siednąć na krzesełko, a krzesełko to było postawione na drzwiach w podłodze do sklepu (piwnicy); u tych drzwiów bóła sprężyna, na chtórą ta córka nadepnęna, tak, że ón wpád do tego sklepu, i te drzwi sie zamknęny prędko za nim, żeby nie wyszed.

Bez rok (po roku) chce jachać w podróż ten drugi brat mądry. Ociec mu nie pozwálá, bo jeszcze ten pirszy syn nie przyjachał z podróży, bo nimóg. On drugi okropnie ojcu sie prosi, że już ino mu má pozwolić. I dáł mu konia i piniędzy na te podróż. Przyjachał do tego samego gościńca. I tak sie samo stało jak z tém pirszym jego bratem.

Bez rok, prosi sie ten g(ł)upi swoji siejstrze Maryni, żeby mu w głowie wyiskáłá. Ónа płacze i uskarzá sie swojim rodzicom co ón to za niegrzeczny, że ón káże ji w swoji głowie wiskać i patrzeć tam owadu. Mówią ci rodzice do Maryni: czemu mu nie chcesz wiskać w ty głowie, przecież jéno jednego tu mász brata, bo ci-tam (tamci) nie wiem czy sie wrócą albo nie wrócą z ty swoji podróży. Ona mu poczena wiskać w ty głowie; ónemu sie tak smaczno usnęno na tym łonie, tak twardo zasnoł, — że na jeden ráz bez sen zawołał: ach mój Boże! já tu mom tak smaczno, tak dobrże, a moji braciá we sklepach siedzą uwięzióni, i wielgą niewygode, wielgi głód mają. Ci sie zrywają rodzice, budzą, cucą go, pytają się co ón mówi? — A ón, jak ocucił (ocknął), powiadá: przecie já o niczém nie wiem. Wtém spuścił znoŭ swoją głowe na łono Maryni, zasnoł i tak samo zawołał trzy razy, jak (w)przódy. Jak sie potem zerwál z tego śpiku, tak prosi rodziców, żeby mu pozwolili iść szukać swojich bratów w ten świát. Ci rodzice mu pozwolili jachać, aby ich wynáláz. Ten ociec mówi do niego: biegáj do stajni moji, wybierz sobie konia, chtóry ci

sie bedzie podobál nálepij, to ci go dám w twoją podróż, to może ich ználeziesz. On sobie wybrał kónia takiego chudégo, co by go palcem przebił. Ociec mówi: a cóż ci po takim koniu, przecie-ć cie ten koń ani mieli (mili jednej) nie zaniesie. — A já mu dám obroku dobrego, bo nie narowity, to mi sie wypasie. Dawał mu, i bez ściyry tygodnie koń sie wypás. Wzión z sobą stary pałasz zadrzewniały i mało-wiela piéniędzy, pożegnał sie z rodzicami i pojachál.

Wstąpił do jednego czarnego-księżnika w boru. Księżnik go sie pyta: gdzie ón jedzie? — A ón mówi: s(ł)użby szukac. Czarny-księżnik sie pyta: czy umié czytać i pisać? — Nie, czytać i pisać nie umiem. — Księżnik powiadá: No to u mnie możesz być, i z książek kurzawe śmiotać (zmiatać) i ścierać, aby zawsze czysto było jak ja przyjade. I oddał mu tego ptáka w klatce, co go karmić mioł, co mu zryć mioł dawać, i jednego konia we stajni chtórego oprzątać mioł co dzień. Ten czarny-księżnik wyjéżdżał w podróż heń daleko, chtóry, cálki rok do domu nie przyjachał.

Ten g(ł)upi chtóry u niego służył, po swoji robocie, jak sie uskromnił, brál ksiożki i w tych ksiożkach czytál (bo ón udál tylko przed księżnikiem że nie umié). Ón tak czytál i czytał, że sie więcy jeszcze wyj uczył czem (niż) ten czarnyksiężnik. A tego ptáka w klatce żywił bardzo dobrze, nie robiuł mu żadny krzywdy. I tego konia też to samo pas(ł) dobrze, tak jak tego ptáka. Jednego rázu ten pták káuzał sie temu gupiemu wypuścić z ty klatki; i ón go też wypuścił. Na jeden ráz ten pták sie strzepnoł i z ptáka stałá sie niewiastá, i mówi ta niewiasta do gupiego, że má ją wybawić. A ón: (je)żeli já będe w moji możności, to czemu nie? to i owszem. Długo sobie chodziła, trzy kwartały, wyzwolóna z ty klatki, czem (nim) ten czarnyksiężnik przyjechał do domu. A przed jego przyjazdem, niewiasta zamiéniła sie napowtór w ptáka i wlázła do klatki. Czem (nim) wlázła, powiedá do tego gupiego: nie chciéj ty od księżnika żadnych zasług, tylko mnie żądaj jako ptáka, a ty mnie wybawisz, że sie tak stane jak'em była, a ja tobie dopomoge. Idzie on do tego konia, oprząta go, a koń powiadá: nie chciéj ty żadnych zasług, ale żądaj mnie zamiast zasług, i wybawisz mnie, a ja ci tak samo dopomoge jak moja siejstra (bo to bół brat téj niewiasty zaklęty w ptáka [1]).

[1]) Obacz: *Lud*, Scr. VIII, str. 48. — Gliński: *Bajarz polski.*

Aż ten czarny-księżnik nadjachał do domu. I pyta sie tego gupiego: żeli má wszyśtko w porządku? — On powiadá że: mom tak jak pon ostawił, tak też i jes. Księżnik sie pyta: co chcesz za zasługi terá(z), za ten cáłki rok? — Nidz nie chce, jak tylko tego ptáka, chtórego żem ulubił sobie, za pu-roku (pół-roku); zaś za drugie pu-roku tego konia. Ten księżnik nie bardzo rad, wolał mu dáć co innego i mówi: ty chcij piniędzy za te zasługi, to ci dám wiela chcesz, a tego nie bierz. — Nie, powiada Wojtek, ja nie chce piéniędzy, bo mám ich dosyć na moją podróż i potrzeb. I musiáł mu księżnik dać tego ptoka i tego konia, i z niemi pojechál, a swego konia na ftórym (którym) przyjachał, ostawiuł księżnikowi.

Wojtek wy-j-uczył sie z tych ksiożek w ty nauce jeszcze lepij jak sám czarnyksiężnik. I łatwo mu było to sprawić, że z tego ptoka zrobiuła sie znou niewiasta, królewiczówna, i mogła pójść do swego ojca, że przez Wojtka od czarnego-księżnika wybawiona bóła. Wojtek jedzie na tém koniu dalij, a ten koń obrócił g(ł)owe na niego i gadá cięgiem bez dróge do niego: S(ł)uchaj, teráz jedziema do tego gościńca, do twych bratów, gdzie tam są w sklepie uwięzioni u ty cioty; jak przyjadziemy przed ten gościniec, nie dej mnie brać hasknechtowi, ale mnie uwiąż do barjery, i niech tam uwiozany u baryery stoje przed gościńcem; a nie siádaj na tém krześle po prawy strónie, gdzie ci go postawią do obiadu, ino siądź po lewy strónie; bo tam nima więcy jak trzy krzesełka; na jedném siedniesz ty, a na dwóch siedną te cioty obie, tak, że ty nadepnij na te sprężyné, co pod temi krzesłami bedo, a obie je wtrącisz do tego sklepu i wybawisz wszystkich chtórzy tam są uwięzioni. Podziękował koniöwi że go ópomniał i poszed za jego radą.

Jak już obie cioty wleciały do sklepu, tak bracia powychodzili ze sklepu, i wszyscy chtórzy tam w tym sklepie powtrącani, bo także ich powybawiał. Potem zatrzasnół ten sklep i te cioty tam sie zmarnowały w tych pod-ziémiach. Teráz mówił do braci i do tych wszystkich wybawionych (między któremi był i ten koń co sie w królewicza przemienił): bądźcie tu i tak długo zabawcie, póki ja na powtór tu do gościńca nie przyjade. I ostawił jich tam siedzić; królewicz co był koniem poleciał do swojich rodziców, a ón sám pojachał w swoją dróge.

Przyjéżdża do jednego smoka pałacu; chtóry pałac bół w kaminiu; był kaminiem opasany. Konia ostawił swego przed brámą; wchodzi do tego smoczego pałacu. Tam były dwie królewiczówny pojedzone przez smoka. Óne mówiły do tego glupiego Wojtka: ach ty człowiecze, zkąd-że ty sie do nas wzión? skryj sie, bo jak smok przyńdzie, toby cie na kawałki porozdziérał. On smok wpadá do pałacu, kręci sie, wąchá, poczuł świże miéso, i pyta sie tych swojich pannów: kogoż wy tu świżégo mácie? — A óne gul (gwoli, dla) niewydania, powiedziały, że brat przyszed jejich. Woła na nie smok, żeby sie pospieszyły i dały obiad, że go (Wojtka) bedzie próbował, jaki ón też bedzie mocny. Ten smok miáł dwa kaminie wody; w jednym była mocna, w drugim była słaba. Po obiedzie idą do ty wody, i káże mu smok pić z tego kaminia, gdzie myślał że jest słabsza woda, żeby sie napił ty wody, że sie pokrzepi; a ón sam napił się z drugiego kaminia, gdzie myślał że jes mocniejsza woda. Ale smok nie wiedział, że te kaminie były przekulnięte. Bo te panny naumyślnie te kaminie przekulnęły, żeby ten smok zesłab, a Wojtek żeby wzmóg sie, nabrał sił. Wojtek jak odmach swojim pałaszem zrobiuł, tak smokowi wszystkie siedem łbów na ráz ución [1]).

Ta najstarsza królewiczówna dała mu na palec taki zygnet (pierścień) i powiedziała mu, że jak bedzie pocierál drugą ręką o ten zygnet, to mu sie stanie wszysko co bedzie chcioł. Ón zabrał obie te panny z sobą, i zaciągnoł (prowadził) do tego gościńca, w chtórym ci bracia jego byli, i ci wybawioni. Tym braciom dwiema te dwie panny się podobały; oni chcieli je Wojtkowi zabrać, ale nie wiedzieli jakim sposobem Wojtka od siebie oddalić. Ta jedna mówi do Wojtka: idź, uczyń mi to, bo'm ostawiła u smoka moją koróne; przynieś mi ją. On poszed, a ta panna zamówiła ten kamiń (potarciem) i zrobiła to że ten kamiń sie pogrupił, zrós(ł) do kupy, tak, co ón ze środka już wyńść ni móg. Siedział w tym kamniu trzy dni i bardzo bół schłopotany, jak on z tego kamnia wyńdzie. Przypómniało mu sie o tym zygnecie, i zaczón trzéć reką o zygnet i mówi: ach! żeby to ja móg z tego kamnia napowtór na świat wyńść. Auż (aż) tu w tym kamniu zrobiła sie taka dziura, że ón móg z niego wyńść [2]).

---

[1]) Obacz: *Lud*, Ser. VIII, str. 69.

[2]) Obacz: *Lud*, Ser. III, str. 133, nr 10.

Przychodzi do tego gościnca. Ale już nie było znaku na tem miejscu, gdzie ten gościniec stojał. Bo sie zapad w osmanę (ze szczętem, w omamienie), chtóry gościniec już sie zarwál i przepad.

Ón teráz idzie sobie we świat daleko i szeroko, chtóry już do rodziców nie myślał wrócić wcale. A jednak idąc tak po świecie, natrafiuł niespodzianie do swojego domu, zkąd ón był, do swoji rodziny. A ci bracia przyszli wprzódy już do domu i już byli ożenioni z temi pannami. Jak przyszed ten Wojtek, nie poznali go; myśleli że to jaki inkszy wędrowny człowiek. Jak usiedli do kolacyji, tak ty pani matce sie rozpomniało o tym swoijm trzecim synie, gupim, którego w domu nimiołá i mówi do swojego męża: Trzebaby przyjąć tego podrożnego człowieka do domu naszego za tego trzeciego naszego gupiego syna, bo chto wié gdzie on jes, może go tam przyjęni gdzie, a my o nim wcale nie wiema. Więc tak go przyjęni i tak mu sie radowali, że znędzniałego człowieka w swojim domu mieli. Ci jego bracia mieli już dzieci ze swojich żón (przecie to trówało pare lat, czém ón przyszed). Ten Wojtek uczył te dzieci dobrze czytać, i pisać, w gospodárstwie dobrze sie rządzić; także nauczył ich na fortépjanie rozmajite kawálki wygráwać, i na wszelákich instrumentach, tak, ze ten dziaduś i ta babusia tych dzieci ogromnie sie cieszyli temu człowiekowi, że go tak Pan Bóg do nich przyprowadził. I ci jego bracia, chtórzy go nie ználi, i te bratowe,— wszysko mu było rade. Ze nawet ani nauczyciela inkszego nie potrzebowali.

Bół ráz jármark w mieście; i Wojtek chcioul dopomagać jeszcze tym braciom i rodzicom, aby im sie jeszczek lepij powodziło. Tak ón, stał sie w kónia czárnego (bo ón to z tych książek potrafił) i powiedział do ojca swego, żeby go nie sprzedawał rázem z j-zdeczką, choćby nie wiem wiela piéniędzy za nió dáwali. Ociec przyjachał na nim na targ; kupcy staneli kole konia i pytają się ojca: wiele chce za niego?— On powiada: trzysta talarów, tak, że mu nicht nie chcioł dáć tyla. Auż tu przychodzi ten czárny zakonnik i wejzdrzál mu w oczy i poznál że to jest ten Wojtek co u niego bół w służbie. Czarny-ksieżnik nie pytál sie, ino dál te trzysta talarów, a tego ojca upojił,— dał mu za te juzdeczke talara, i kónia z nią wzion. Wyjachał na nim czarny zakonnik z miásta, i jachał na wieś do kowala, co mu miál podkowy przybić. Ale że rychtyk na ten czas kowala nie było w domu, kowalka powiadá, żeby ón konia uwiązál kole słupa i zacze-

kał w izbie za nim (na niego), że mouż (mąż) jeji, kowal, zaryźko (zaraz) przyńdzie z miasta do domu. On uwiozáł konia przy słupie i czekał jako za kowalem w izdbie [1]).

A kręcił sie tam i latał kole tege konia chłopiec wiejski, a koń mioł w gębie talara i temu chłopcu pokazuje i wytyka tego talara, żeby chłopiec odebrał od niego tego talara i juzdeczkę ze łba zdar(ł). Ten chłopiec leci i powiada swoji matce na wsi, że ten koń koło kuźni coś kiwa łbem i pokazuje mu talara; ón nie wié, chłopiec, co má robić. Matka mówi: biegáj, weź talara, a juzdeczke mu zedrzéj ze łba. Jak to zrobił chłopiec, tak ten koń stał sie w ptáka i leci w powietrze. A ten czarny księżnik, jak spostrzég, zrobił sie w jastrzebia, i dalij za tém ptakiem, co go chcioł złapáć i zezryć. I tak obáj letą. Ten ptak leci kole króleskiego pałacu, a królewiczówna patrzy oknem i widzi go leciąc; pták uderzył w okno i wleciáł ji w zanadry. Kiedy jastrzób miáł go dopaść, óna łapie tego ptáka, a tu z ptáka robi sie zygnet i wpadá ji na palec. Królewiczówna cieszy sie że taki piekny zygnet má na palcu; pokazuje go królowi i królowy, jako swojim rodzicom.

Ten czárny-zakonnik zrobił, że ta królewiczówna sie udawiła, ze byłá udawiona i zachorzałá ogromnie, że na śmierć. Zwożą doktorów, a żaden uléczyć jo ni może. Ten czarny-księżnik melduje się za doktora, co ją chce ukurować. A z tego zygneta stał się przódy już porządny mężczyzna i opowiedáł, że tu

---

[1]) Pod Bukiem opowiadano nam: Chłop bół w boru i wtem nadjechał mnich, który wrócił z żebry z furą wypakowaną zbożem, i widzi wóz z końmi bez człowieka w boru. Kcąc filuternie zajść, aby dostać jeszcze konia dobrego, wyprzęga jednego konia chłopskiego, zaprzęga go do swego woza i pozostając sam na miejscu, każe jechać swemu człowiekowi do wskazanego miejsca, mówiąc, że tam wkrótce i on przybędzie.

Gdy fura jego odjechała, mnich użył fortelu; ubiera się w połszorek (czy w chómont) i stawa sam przy dyszlu obok drugiego konia. W tém chłop przychodzi i widzi cud, że z jego konia zrobił się mnich. Zadziwiony, żegna się i szuka sposobu ażeby się pozbyć mnicha, a mnich powiada, że za karę za grzechy był zamieniony na konia, a teraz przyszła łaska i zrobił się człowiekiem i żeby chłop go puścił — co chłop z największą zrobił chęcią i pokorą — i opowiadał to potém we wsi. *Lud*, Ser. III, str. 133; Ser. IV, str. 265.

przydzie za doktora czarny-księżnik i ópomni sie o ten zygnet chtórego óna má na palcu, żeby mu go nie dałá. ino, żeli ojciec go káże dać, ópuściła go na ziémię. Ten mężczyzna znowu się obinoł i był zygnet, tak jak sie należy. Wykurował ją bez jeden dzień że wzmogła sie i żąda teraz za zapłate ten zygnet. Ona mu podaje niby w ręke, i ópuściła go jakby nieumyśnie, jakoby wyleciáł ji z ręki. Z tego zygneta zrobiły sie trzy ziórki (ziarnka) grochu. Z tego czarnego zakonnika zrobiuł sie kokot i chcioł pozbirać te trzy ziorki. A z tych trzech ziárków zrobił sie turz czyli kona (tchórz, czyli kuna), ten złapáł kokota pod gardziel, trząsnoł z niém i udusił go. Z tego torza (tchórza) zrobiuł sie śliczny mężczyzna, a bół to nasz Wojtek. Królewiczówna miáłá do niego zamiár (pociąg, skłonność) i ożeniła sie ź nim. I pisał do swojich rodziców list, że na wesele mają przyjachać. Dopiro sie zaś wydało, bez (przez) kogo to oni bracia byli wybawioni ze sklepu od tej cioty, i chto uczył te dzieci, i chto taki bół przebiegły wszedy. Chtórzy rodzice myśleli, że ten gupi Wojtek zginoł; a jego bracia zdrádzić go w tym káminiu chcieli, ale że im sie sztuka nie udała.

## 12.

## Piecuch i królewna [1]).

(Ryba dała piecuchowi pierścień, za potarciem którego miał co chciał.— Królewna została matką.— Wyrzuceni oboje w beczce na morze.— Przypłynęli do wyspy i tu żyli u oberżysty a potém na zamku).

Od Krobi.

Jednego rázu miałá jedná kobiéta séna. Temu sénowi sie niechciało nic robić, ino na piecu leżéć. Matka mu kázała iść po wodę do studni. Musiał przechodzić kole króleskiego pałacu. Jak nabiéra te wodę, złapał dwie rybki i mówi: jedna bedzie na pieczyte (pieczyste), a druga na warzyte (warzyste). Rybka wytyka łepek z téj wody z ćwierci (konwi) jégo, i prosi mu się, żeby je puścił znowu na powtór w te studzienkę. Puścił ją, bo mu dała taki pierstrzonek, co jak wzión na palce a zaczón niém trzéć o swoją ręke, co chciáł, to mu się stało.

---

[1]) *Lud*, Ser. III, str. 133, 147.— Ser. VIII, str. 25

Przechodzi kole króleskiego pałacu; królewiczówna leży w oknie i przypatruje sie jemu i roześmiała się z niego. On mówił: kiedy ty się śmiejesz ze mnie, to żebyś porodziła syna, — i mówiąc to pociérał pierstrzonek o drugą rękę. Potem przyniós te wode matce i postawił je w kąciku. Poczyna matka gadać na niego, że: jak wylejesz wode gdzie trzebno, to czemu ty nie idzies do boru po drwa, zásób (cięgiem) sobie na tym piecu leżysz. A ón powieda: mój Boże, żeby ten piec chcioł iść ze mną. Tak, że się ten piec ruszył i szed z nim do tego boru, bo on potar(ł) pierstrzeń. Jak przyszed do tego boru, mówi: żeby się ta sosna obaliła na ten piec, i ten piec chciał razem ze mną zanieść do domu to drzewo. Musi przechodzić kole króleskiego pałacu z tą sosną i z tém piecem. Ta królewiczówna śmieje się znowu z niego, a ón ji życzy znowu to co (w)przódy. Przyniós to drzewo. Matka powiadá: Piecuchu, żebyś mi téż chciał porąbać to drzewo. A ón położył siekiere, i siekiera sama na jego rozkaz rąbała. Matka mówi: żeby ón powuosił na górę to drzewo, kiedy porąbał. Jak ón piersztrzonkiem zatar(ł), tak wszéstkie drzewo poszło i poukładało się samo na górze.

Ta królewiczówna porodziła syna. Ani ci rodzice, ci królewie nie wiedzieli z ką(d). Boć ona nigdzie nie wychodziła na żadne spacery, ani nie wyjeżdżała na żadne fizéty (wizyty) i tak ji sie ten przypadek zdarzył. Gdy ten jej dzieciak trzyletny był, bo już zaś 3 lata miáł, ojciec jeji wyprawił wielgi bal, i żeby się dowiedział chtó (kto) by téż ojcem tego dziecka był. Zaprosił wszystkich panów, królów i królewiczów. Zjachali się. A ten piecuch napiék(ł) pérek, natkał w kieszenie, powrósłem się opasał w pas i potém mówił do matki: ja téż pojadę na ten boul (bal) królewski. Matka powiada: lepij żebyś siedziáł za piecem w domu, bo cię tam wsadzą do dziury. On nie pytał się, ino na ten bál pojachál na piecu, chtóry potem matce do domu odesłál. Zaś potem wláz pod królewiczówny łóżko i siedział pod tym łóżkiem cichuśko.

Była wielga wieczerzá. Po téj wieczerzy dali temu dziecku czerwone jabko, bo jednak sie nimóg dowiedzieć wtó (kto) tego dziecka ojcem bół, bo sie nikt nie chcioł przyznać, bo jużci między temi gościami nimiało ojca. To dziecko kulnęło to jabko i mówiło: kululu jabłuszko, do tatuli pod łóżko! — Idą patrzéć gdzie padło jabko, a tu goście wyciągają gó, tego tatula, z pod

tego łóżka. A ten tatula w kiecce osmolonéj, opopielonéj, na twarzy omurzony, powrósem w pasie opasany. Król i królewa się bardzo zawstydzili, bo się wszyscy goście zaczęli śmiać.

Wziéni onego i onę i wsadzili ich do sklepu bez noc. Ona ogromnie płakała, że przecie ónego-ć nie znałá, ino go w oknie widziałá, i nie wie co się z nią stało. A ón piecuch powiadá: bodaj ś! bédziesz tam płakać! mász też czego płakać! Ta królewa matka kazała jej przynieść rano modry dyrdun (spódnik), także i drugi ładniéjszy dyrdun na wiérzk, chustkę jak to zwykle mają na wsi, i dó niego ją ubrała, żeby óna z nim pasowała.

Nie chcioł im król krzywdy zrobić, jako ojciec swojéj córce, aby ich na śmierć skazać. Osądzili szak, aby wygnać prek. Kazał ojciec zrobić wielgą beczkę, i przywieść ją do morza. Niż ona miała wychodzić z ojcowego (królewskiego) pałacu, tak óna prosiła rodziców o książkę od nabożeństwa, we któréj to ksióżce były dwa potreta otmalowane, jako ojca i matki. Tego piecucha i ónę w beczkę wpakowali; płynęli óni morzem ogromnie daleko. On mówi do nij: juz tak ja cię nie opuszczę, i ty mnie. Chcesz, żeby ta beczka na ląd wyszła?— Ja-ć bym to chciała.— Jak ón zacząn trzéć sygnet o rękę swoją, mówił: niechże ta beczka wyskoczy na ląd razem z nami. Ta beczka z morza wyskoczyła i naráz pękła.

Grosza pieniędzy nie mieli, bo im rodzice nie dali. Idą sobie tą wyspą okropnie dáleko, áż już zesłabli; jednak temczasewo do miasta doszli. Przychodzą do jednéj oberzyściny bogatéj na noclig. Ona sobie kázała bardzo kiepską kolacyją dać razem z niém. (H)ale ta oberzyścina widziała zaráz po jeji osobie, że nie z kiepskiego domu musiała być, bo delikatna na twarzy była. Była dobra ta oberzyścina, (d)lá nich dała obiema dobrą kolacyję, tyla, co się dosyto najedli. Po téj kolacyji widziała ta królewiczówna, że ta oberzyściná bardzo pięknóm sztukę haftuje i przytem wyszywa. Ta królewiczówna nie leniwa była, pojęna się zará do pracy tej oberzyścinej, aby ji wynadgrodzić za tę dobrą wieczerzą co ich obuch posiliła. Wzięna tę piękną sztukę od niej i jeszczyk pięknij wyszywała. Ta oberzyścina nic nie mówiła, ino sie przypatrywała na jeji piékną robotę co óna potrafiła, a ten Bartek piecuch chciał znow wynadgrodzić temu oberzyście, i mówił: żeliby mioł co do roboty, toby ón mu chętnie robił.

Tak, oberzysta mioł na podwórze sześć sążni drzewa leżeć, a nimiáł ani kawałka porąbanego, i mówił: kochany człowieku,

mógbyś też párę kláfetków drzewa órąbać na jutro na śniádanie, cobym aby miał dla gości ugotować. Jak od oberzysty odebrał siekiérę, to jak zaczon Bartek piecuch sygnetem przeciérać do drugiéj ręki, tak ta siekiéra chlastać to drzewo, że w godzinie te sześ(ć) sążni drzewa porąbał. Oż sie oberzysta zadziwił z tego, że to drzewo tak wnet potrzaskáł. Zeby ón był piąci chłopów postawiuł na cały dzień, takby drzewa nie byli skończyli porąbać. Nie-zkąd je Bartek porąbał, jeszczek je do drewnika ładnie poukładáł. Ten oberzysta się dziwuje, że to mały chłopek, a silny i rączy do roboty; tak, że jeszcze takich ludzi nie widział jak ci dwóch, co do niego na noclig przyśli. Bartkowi dobre wyspanie uszykował, co jeszczék mu się nigdy tak dobrze nie spało. A tejże królewiczównie osobno ta oberzyścina posłała, w jeji pokoju z nią spała.

Gdy óni rano (w)stali, śniodanie dobre zjedli, pytali się oberzyścini co óni za nocleg i kolacyją winni. Oberzyścina się pyta: a cóż to, czy odemnie już odchodzić chcecie ludzie? gdzież wy idziecie? — A no, my tak chodzemy od miasta do miasta, bo nigdzie domu nie momy. Oberzyścina ich otrzymała (zatrzymała), na policyją poszła i zameldowała, że tacy ludzie u nij mieszkają. Bartka obrócił ten oberzysta za hausknechta, że także sobie piniądze zarobił wielgie u oberzysty, bo bóu (był) zwinny we swoji pracy; co wzión do ręki, wszysko mu się szykowało. Wiela do roboty u tego oberzysty ni mioł, bo bardzo prędko skończył káżdą robotę. Ta królewiczówna też była krzepkiéj ręki, bardzo pięknie i prędko swoje roboty kończyła, że od większych paniów dostawała do szycia i do roboty, bo przecudnie wyszywałá. Trzy lata byli u tej oberzystéj, piniądz oboje, ona z Bartkiem zarobili.

Oberzyści powiedają: byście sobie mogli nająć za miastem w starem zamku jedne izdbe i sobie térá robić na chlib, bo widzę że potraficie i robotę dobrą znácie. Chociáż to jes trochę za miastem, także ludzie wszędzié trafią do pracowitych ludzi i do dobrych i rzetelnych. Oberzyścina poszła z tą królewiczówną na ratusz do rady miejskiéj, do burmistrza. Rada miejska mówi: cóż my od tych ludzi mámy za kómorne brać? czy nám tam te izdby próżne mają stać, niechże się ci dwóch ludzi dobrych do jednéj wprowadzą, do chtoréj im sie bedzie podobać. Oni sobie tam mieszkają. Wziena sobie kielkanaście pannów do szycia ta królewiczówna, uczyła je szyć i ze swojéj poręki każdą wyuczyła tych

pięknych robotów, które znała, a Bartek chodził ze siekierą po mieście co dzień. Mieszkali tam trzy lata w tém zomku.

Te panny poszły na objad, nikogo nie było u téj królewiczównéj. Deska iéj się odchyliła od ściany w téj stancyji jéj; óna idzie, patrzy co się to zrobiło. Zobaczyła, a tam stojało p u d ł o dwa razy zielazem opasane. Ona wzięna swoją komódkę i na to miejsce posunęła, aby n i c h t (nikt) nie widział że ta deska oderwana była. Bartek na wieczór przyszed do domu; óna mu powieda, żeli mnie Bartosiu niewydász z tego co ci powiem, to się do śmierci miéć będemy dobrze.— A gupi bym téż ból, moja kochana, żebym ja cie miał wydać a w nieszczęście ciebie wprowadzić, bo bym i sám siebie też.— Ona mu wskazała to miéjsce gdzie się ta deska odsuwnęła. Było to pudło bardzo ciężkie, i myślała óna że Bartek go z miejsca nie ruszy. A Bartek bardzo letko wyciągnął to pudło; jak weźmie siekiery, jak rznie w to pudło, pudło się rozsypało. Bartek prędko deskę oderwał w podłodze, i te piniądze zachował pod podłogą. A to były same dubeltowe ludory, a między tem dyjamenty.

Ona zaś bez (za) parę dni poszła do oberzyścinéj zapytać, czyby óna nimogła tego starego zomku dostać kupić. Ta oberzyścina poszła do rady miejskiéj z nią, żeliby jéj rada miejska niechciała sprzedać to stare zomczysko, ona by sie jeszczék zapożyczyła, i, coby miał kosztować ten zomek, dołożyła i go wykupiła. Miejska rada mówi: e co nam po tym zámku!— Podarowali ij ten zomek; niech ona sobie jeszcze weźnie cieśle i mularza, wyreperuje, bedzie ozdobą jeszczek miasta, nie zaś takie oczérznione, rujnowe. Wyreperowała i zrobiła z niego doskonałą oberzą, gdzie tam ból náwiększy (w)stęp ślachty i wielgich panów. Moj Bartek już drzewa nie chodził rąbać, bo óna go przez ten czas na swoje kopyto w y s t a w i ł a (wytressowała). W językach ostál wykształcóny, we francuzkij mowie, w miemieckij i tak we wszelakich mowach, w pisaniu doskonale. Bardzo dobrze im się powodziło na téj oberzy. Chociaż nie ślubowani, bogabojnie sobie żyli, tak jak pan Bóg przykazuje, tak, że żadnego sobie złego słowa nie powiedzieli jak długo żyli w kupie. Za to im też pan Bóg dopomagál. Ona kazała ojca swego i matkę swoją z téj książki otmalować przed dom na zomku swojém. Gdy wychodziła przed dom, to zawsze ojca i matkę swoją widziała, a jak weszła do izdby, w izdbie ich to samo miała w ksióżce.

Ociec jeji raz miał wielgą wojne z tym królem, który miał to miasto gdzie óni mieszkali, ten Bartek z nią. Wojsko ojcowe odbiło je i rychtych ciągło że bez to miasto, i przyszło do tej oberzy jeji. Wojsko się przypatrywało, bo na kwaterze u nij było, i sam prync tam stał. Ona wojsku wszelakie wygody dała, a zapłaty nie żądała. Mówił ten prync do żałnierzy: czyby tu oberzysta na székanadę to zrobiuł, że naszego króla i królową przed oberzę wywiesił? — Pojachali do kraju jeji ojca, to wojsko i ten prync, tak się cownęli.

Gdy przyjachali do króla, zaroz to meldowali. Król sie zabrał, wzioł 300 żołnirzy z sobą i żonę i to dziecko, i pojachał do tego miasta przed oberzę, żeby sie przekonać czy to prawda, czy ón tam wisi. Jak przyjachał; prawda. I wszed do oberzy z wojskiem swojem, widzi tych przyjemnych ludzi i bardzo mu się tam podobało. Siedzioł tam trzy tygodnie i te pótreta zobaczył na tym zámku. Zapytuje się tej oberzyściny: ale na jaką to wzgardę, szekanadę, te potreta wiszą przed domem na zamku? Ona powieda: znakiem, że ojca mego i matkę moje kochám, i dziecko swoje, i niezapomniałam o nich. Ojciec, ten król, powiedá: Tyćto córka moja?— i tyś to Bartoś jes, żeś córki mojéj nie opuścił? gdy já myślał że wyście się dawno w morzu utopili, a was pan Bóg jednák od śmierci obroniuł, żeś cie sie na ląd dostali. Tak się ociec i matka zapytuje: są-m żeście wy ślubowani?— Tak córka tych rodziców powieda że: nie.— Ociec i matka mówią: ja widzę że wy bogabojnie żyjecie, a pan Bóg wam dopomóg. I Bartoś piecuch z królewną Konstancyją wzión ślub i było głośne wesele. A ojciec wzion swoje królestwo i włożył na Bartka, i już sie ludzie im nie dziwowali.

## 13.

## O Bogdynku i królewnie [1]).

Jedynak Bogdynek. Klucz. Trzy lilije świetne. Koń. Królewna na wyspie. Trzy psy. Gryf. Wieloryb. Żywa i martwa woda).

Morownica.

Było ráz dwóch ludzi, chłop z babą. I dał im pan Bóg chtórzy nigdy dzieci nie mieli, syna na stare lata. Byli bardzo bidni,

[1]) Ser. III, nr. 12 (str. 139).— Ser. VIII, nr. 18, 28.

niechciał im nikt w kumotry stać, bo nimieli poczesnego dać. Wyszed chłop z domu i idzie szukać kumotrów (d)lá tego dziecka. Natrafiuł dwóch starych ludzi. Pytają go się: dokąd idzie?— Kumotrów szukáć. — A óni: biégáj do domu, przynieś dziecko do kościoła, my ci gó do krtu zaniesemy, i także krzasnemi tego dziecka i twojemi kumotrami będemy. Ón powiadá: kiedy ja nimom poczęsnego, a wybyście może chcieli żeby ja sute chściny wyprawiuł. Ten chop sie pyta: co za jedni óni są?— A jeden z nich odpowiadá: ja jest święty Piotr a ten drugi jest pan Jezus. Ten chłop mówi: Boże, jak ci się będzie ten dzieciak podobać, to go do nieba zabierzesz; ja mu sie téż ogromnie cieszę. Chłopek sie wróciuł do domu, i wzion dziecko i zaniós do kościoła óni dwaj starcy trzymali, a ksiądz mu go okrzcił.

I po krzcie przyśli starcy jako kumotrowie do niego do domu i oddali dziecko matce. Pan Jezus kázał temu chłopu iść do alkierza, i przynieś(ć) co w alkierzu jes. Jak tam wszed, patrzy, a tam mu pan Bóg dał wszystkiego tyla, żeby mu na całkie życie nie wyszło, okrasy, mąki, kaszy. Jak krzaśni odchodzili, tak dali temu kumotrowi (chłopu) klucz od stajni i powiedzieli, że tám jest wiązarek od nich dla dziecka, ale przykázali żeby nie otwirał i nie zaglądał do tej stajni, póki ten Bogdynek, jeich krześniák, nie wyrośnie.

Syn ten rós(ł) bardzo sporo, i dobrze sie ł-uczył czytania i pisania, mądrą głowe miáł. We dwudziestym roku idzie sobie we świat, ale że ten ojciec mu tego klucza dać zabáczył. Uszed sobie ten Bogdynek jedne mielę drógi; — dopiro sie tym rodzicom przypómniało, że mu nie dali klucza. Ten ociec zaráz zaczoł lecić za tym Bogdynkiem i dogónił go i widzi, jak sobie siedzi na kamyszku przy dródze i odpoczywa. Powiedá mu: pódź do domu, synu, i mász tu klucz od wiązarka swego, a otwórz do stajni i obácz co ci tam krzasny ostawiuł. Syn sie z ojcem wróciuł na powtór, otwira te stajnie;— a tam stáł anioł w postaci konia osiodłowanego. Tak on wyprowadza tego konia, siádá na niego, żegná się z rodzicami i odjachał.

Przyjachał na jedne zielóną łąkę, gdzie tam nigdy drógi nie było, co musiał bez te łąkę przejachać na poprzék. Stojała tam jedna śliczna lilija na ty łące. On powiadá: koniu, klięknij, zerwę te liliją. A ten kóń mówi: nie rwij lilii, bo ci-k będzie szkodzić. Ale ón prosiuł koniécznie. I kliękuoł kóń,

tak, że Bogdynek czyli Bogusław, zerwoł ręką swoją te liliją. Jedzie dalij. Stojała tam druga lilija na środku ty łączki. On powieda na powtór do konia: klęknij, co zerwę tę drugą liliją. A ten kóń do niego mówi: nie rwij lilii, bo ci-k bédzie szkodzić. A ón-że mówi: zerwałem jedne, niek-że urwię i drugą. Tak, koń klęknoł na kolana, a ón sięgnoł swoją ręką i lilije urwoł. Jedzie dalij. A stojała tam trzecia lelija, jeszczék śliczniejsza jak były te dwie. A kóń powiedá: ej nie rwij lilii, bo ci-k będzie szkodzić. A Bogdynek: zerwałem te dwie, niek zerwe i trzecią a pojadę dalij. Koń klinknął na kolana a ón zerwał te trzecią liliją. Pojachał dalij.

Przyjachał do jednego miasta przed króleski pałac. Król go przyjon do siebie jako do wojska, a ten król był kawalorem. Widział że ten Bogusław mioł mądrą głowę; dał mu stancyją w pałacu swojim na górze. A ón wieczorem, po odbyciu służby swoji wojskowy, przewijał te lilije w chusteczce swoji bioły w chtóry je mioł zawinięte. Widzieli ci starsi wojskowi, że co wieczór ogrómna jasność ubijała na okna w jego pokoju, jako by płóminie niezmierne, i to królowi swojému meldowali. Król poszed do jego pokoju na góre. Chcioł sie król przekónać co ón za jasność w tem pokoju robi. Król go sie zapytuje: czy ón myśli zámek króleski spálić? — A ón wzion nápiekniéjszą liliją i w prezencie darował swojemu królowi. Król odebrał jako prezent od Bogusława i uradował sie bardzo, i na drugi dziń zrobił go pryncem w królestwie swojém, bo widział rzetelność Bogusława.

Bez (po kilku) dni, dowiedział się król o jedny królewiczewnie na morzu, w którém miejscu wyspowém óna tam była z wojskiem swojim i z pałacem swojim. Tak, któż jest najwierniejszy, najsprawiedliwiejszy temu królowi, jak nie Bogusław? Król mu też mówi, Bogusławowi: Pojadziesz mi tam na to miejsce, gdzie ta królewiczówna jes, tak mi ją dostawisz do pałacu mojégo, bo jak mi nie sprowadzisz, tak ci życie odbierę. Gdy te słowa posłyszał od swego króla mówić, Bogusław idzie do swego kónia i płacze. Kóń zapytuje go sie: czego ty tak płaczesz? — Jag ja nimom płakać? dodej mi sposobu, bo mom te królewiczówne z tego a z tego miejsca tutaj dotąd zwieść (przywieść). Kóń mówi: móg'eś nie rwać lilije; szak ja ci powiedział: nie rwij lilii, bo ci-k bédzie szkodzić. Pojedziesz bez czklanny (szklany) most, chtóry bedzie ćtérdzieści miel dłużyki (mil długi); weźniesz z sobą ńokręt

i wojska swego, ale że samą muzykę; bo jak tam przyjedziesz, koużesz ogromnie gráć w tym (w)okręcie, bo ona lubi s(ł)uchác muzyke. A kogo trafisz na dródze w ty swoji podróży, retować go bedziesz.

I usłuchál Bogusław tego konia. Wybrál się i pożegnal z koniem. Jedzie ŭokrętem po morzu; przyjachál na jedno miejsce gdzie sie gryzły trzy psy o królestwo jejich (swoje); wołają na Bogdynka, aby ich retować móg. Okrętem dojachał do brzega dó nich, i ich rozsódził (rozsądził). Zapytuje się tych trzech psów: chtóry jes najstarszy? Oni mu spowiedzieli się, który;— bo byli zakleńci królewiczowie. Bogusław powiedział: jak umrze ten starszy, to weźmie ten średni i zaś po średnim ten nájmłojdszy to królestwo. Oni mu podziękowali i powiedzieli, że óni mu będą w pomocy gdy ón ich ráz (kiedykolwiek) bédzie potrzebował. Te trzech psów sobie odeśli i podziękowali mu za to.

Więc także jedzie dalij ów Bogdynek z okrętem. Krof (ptak gryf) niesie konia (d)lá młodych (piskląt) w swojim dziobie, i woła z brzega, bo ból pomiędzy gęstwą, żeby mu Bogdynek wyción pare sosnów z tego miejsca, co by móg zanieś(ć) do gniozda tego kónia, nakarmić swoje dzieci. Bogdynek mu wycion te kielka sosnów, tak, że krof doniós ściérw koński do gniozda. Ten ptok Bogdynkowi podziękował za to i obiécál pomocą mu być, że mu to ráz wynadgrodzi.

Bogdynek ruszył okrętem na morzu i jedzie dalij. Bałwan wyćpił z morza jednę wielorybę na ląd, która się ta ryba nimogła napowtór dostać w tę wodę. Bogdynek widzi że się ta rybá świgá; dojachał z okrętem do brzega i wkulnéli tę wieloryb napowtór w to morze. Podziękowała mu ta wieloryb i obiécálá mu pomoc, jak ją bédzie kiedy potrzebował.

Jedzie teráz do ty królewiczówny, tam gdzie óna na wyspie na morzu była. Okropnie rozkázał Bogusław gróć na ł-okręcie muzykentom, ouż (aż) sie wyspa trzęsła. Ona to usłyszała, i do okrętu, do brzegu przyszła ze swégo pałacu. Zaprosiuła z okrętu tego Bogdynka do pałacu. Poszed z nią; potém siedli do stołu do objadu. Po obiedzie oprowadziła go po ty wyspie, gdzie óna mioła fortece z wojskiém swojém założoną. On ją prosi do okrętu, żeby też i ona (w)okręt weszła odwiedzić. Ona weszła do okrętu, a wojsko Bogusława było namówiono. Czém prędzy puścili ten okręt na morze i czém prędzy uciékali z tego miejsca jak nájdalij, a

muzyka grała cięgiem, tak jak przódy, żeby sie ona niepomiarkowała że płynie, że óna wiela mil od swego pałacu upłynéła. Ón ją pooprowadzał po tym ŭokręcie i opokázywál ji i opowiadál jak to ten ókręt zbudowany. Ona sie zatrudniła i niewiedziała na chtórym óna miejscu była; myślała że jeszczek stoji okręt na miejscu. Oni ŭokręt zamkneli, bo sie bojali co by im w morze skoczyła. Mówi óna do Bogdynka, że musi iść do swégo pałacu, bo sie już dość długą chwiłę w okręcie bawi. A ón ij odpowiedá, że óna od swégo pałacu jes już kielkanaście set miél drógi. Jak ij to opowiedzieli, tak óna wzięna klucz swój od pałacu i rzuciła gó bez okno we wodę w morze, od złości swojij.

Przywióz ją Bogusław do swego króla, kawalora. Król ją zobaczył i chcioł się z nią żenić, A óna odpowiadá, że sie żénić nie będzie, póki swego pałacu nie będzie miała. A król do Bogdynka powiada: jedź po ten pałac, bo ty to sprawisz że ten pałac przeniesiesz. Bogdynek idzie do swego kónia dó ty stajni i płacze. Kóń go się zapytuje: czego ty płaczesz?— Bo móm rozkázane od króla, że mom ten zámek tu dostawić z ty wyspy, która ta królewiczowa w niém mieszkała. A kóń mu odpowiada: mówiłem ci-k, nie rwij lilii, bo c-ik będzie szkodzić, a-ś ty na mojé słowa nie zważał, ino swoją wolą żeś robiuł; biegaj do tych pirszych którzy cie retowali, niech cie też i dziśiáj retują.

Tak, że ón przyszed na to miejsce gdzie sie ci psi bili i gryźli. Te psy dostąpiły do niego i pytają się: czego ón żąda?— Bogdynek mówi: tén a tén zámek má być przeniesiony do króla mojego. Jak te psy poszły bez te wode (bo to byli zaklęci), tak przeniesły ten pałac z ty wyspy na to miejsce gdzie óna królewiczówna była. Królewiczówna mówi: jak-że ja wlizę (wejdę do pałacu), kiedy ja klucza mego nimom, bóm go rzuciła w morze, jakżem tu dotąd jachała; nie będe sie żeniła, póki klucza mego nie będe miałá. Chtó (kto) sprawi?— Bogdynek jedź, klucz z morza przywieź. Idzie ón do swégo konia i okropnie płacze i mówi: jak ja ten klucz z morza dostanę?— A kóń mu odpowiada: mówiłem ci-k, nie rwij lilii, bo ci będzie szkodzić; ftu (kto) ci mo iść w pomoc? a to, kogoś retował ostatnią razą, niech cie téż retuje.

Bogdynek poszed na to miejsce, gdzie tę wielorybę wkulnół we wodę; tam okropnie płacze i woła ty wieloryby. Ta wieloryb wypłyneła na wiérzk i pyta sie: czego ón tak płacze i czego żąda? On ij powiedział: że po klucz przyszed ftóry jes utopiony

od tego zomku co bół na wyspie. Ta wieloryb jak wpadła, jak do grujntu sie morskiego dostałá, jak drugim rybom rozkázała, tak dopiro ználazłá klucz, co ij oddała ryba mała. Ta wieloryb przyniesła ten klucz i oddaje go w ręce jemu, jako Bogdynkowi.

Przyszed do domu do króla, i oddaje ten klucz królewiczowy w ręce. Ona otworzyła ten zámek i weszła dó niego; zobaczyła, żeli téż tak wszysko béło w tym zámku jak ona ostawiła. Ona powiadá: nie będe sie żeniła póki nie będe miała żywy-martwy wody, gdzie czarci ją pilnują. Król mówi do Bogdynka: Bogdynek jedź, bo ty to sprawisz. On idzie do kónia i znów mocno płacze; opowiada temu koniöwi, gdzie mo w podróż sie zabrać. Kóń powiadá do niego: mógeś nie rwać lilii; szak ja cie dosyć upominál, że ci bedzie szkodziłá; idź do tego, coś i ty go drugą razą retował, niech cie wyretuje.— Bogusław pyta się co ma robić?— Koń mówi: idź do tego ptoka coś ty go ratował; a teráz weź dwie flaszeczki, co ci tu daję, i uwiąż te flaszeczki, jednę na jeden koniec, a drugą na drugi koniec sznurka dłużykiégo; siędź na tego ptoka krofa i udaj sie z nim w powietrze, tak cie ten zaniesie do ty studzienki; tak sobie zważáj, żeby w południewą godzine przyszed, miedzy dwunastą a pirszą, żebyś sie nie zpóźniuł; w ty studzience na prawy stronie mász mártwą wodę, a na lewéj stronie mász żywą wodę. Bogdanek, jak mu kóń rozkazał, tak téż uczynił. Pojachał na tym ptoku krofie do ty studzienki; nabrał ty wody, i zaraz uciékał na powtór na tym ptáku, lub ten ptok z nim. Tak, czarci wyszli z piekła, i dáli ognia z czártoskij gęby (jak zaczęni pluć na niego) óż (aż) mu, ptakowi, ognia upálili. On przyleciál, ten ptak z nim, do kraju jego z kąd pochodziuł, do tego krola. Téj królewnie oddaje Bogdynek te dwie flaszeczki wody żywi-martwi; w jedny flaszeczce była żywa woda, w drugij mártwia.

Teráz ona mówiła do króla: nie będe z tobą ślubowała, dopóki Bogdynkowi nie utniesz głowy. Król, chociaż mu Bogdynek tak wielgie oddał usługi, musiał słuchać królewiczowny, boby jéj był nie dostał. Tedy kat przyszed z toporem i z klocem przed króleski pałac. Niż do kloca mioł iść Bogdynek, ona mu nasmarowała martwią wodą jego szyję. Kat ścion mu głowe przy króleskich oczach. Ona wzięna te głowę, przysadziła mu do szyi, nasmarowała żywą wodą, i głowa przyrosła; ból jeszczék ładnijszy jak przódy. Tak, że ona powiadá do króla: nie będe ślu-

bowała, póki ty sobie głowy też tak nie dasz ściąć jak Bogdynkowi. Król myślał że będzie też taki ładny jako Bogdynek, i chętnie przyklęknoł do kloca. Bo sie w tém bardzo omélił (omylił). Kat spuścił topór na szyję jego. A óna rznęła flaszkę o flaszkę, tak dwie flaszki o siebie do kupy, i woda się rozpłynęła. Ta królewiczna mówi: niechże ten żyje ze mną co sie ó mnie chłopotáł, że mię tam ztąd wybawił. Króla gdy pochowali, wielgi tryjumf wyśpiéwali. Bogdynek sie ożenił z królewną. Kóń Bogdynka wybawiuł, i szczęśliwie go na ty ziemi ostawił. A ón poszed na swoje miejsce do nieba, gdzie od św. Piotra i pana Jezusa odbiéra chleba. Te lilije oznaczały tyle, że bez (przez) nie to ostał człowiekiem i królem.

## 14.

## Zapiecek [1]).

(Czasop. *Przyjaciel ludu*, rok 3ci, Leszno 1836, N. 1, 2, 3).

(Cudowna rybka. Zapiecek z królewną w bani rzuceni w morze. Wyspa. Ogród. Kradzież ulężałek).

Uboga jedna wdowa, żyjąca z ciężkiéj rąk swoich pracy, tém się przynajmniéj pocieszała w biédzie, że jak jéj syn dorośnie, będzie miała z niego pomoc i wyręczenie. Tymczasem omyliła ją nadzieja; bo synalek wyrósł wprawdzie jak dąb, był zdrów jak rydz; ale cóż po tém? kiedy polubiwszy z młodu nieszczęsne lenistwo, wcale się do roboty nie garnął: jadł, pił, spał wybornie; lecz téż o niczém więcéj nie myślał. Nie chciało mu się i z miejsca ruszyć, a dla większéj wygody i spokojności, aby go nikt nie wybijał z słodkiego o niebieskich migdałach marzenia, obrał sobie rezydencyją na przypiecku, którą chyba w najgwałtowniejszéj opuszczał potrzebie. Tam dni całe i nocy przepędzając, uważany był za prawego téj zimowéj kwatery dziedzica i już nawet, prócz matki, nikt imienia jego nie pamiętał, i tylko go Zapieckiem nazywano.

Pewnego razu, biedna matka wysławszy dziewuchę do roboty, została sama w domu, a piekąc chléb, nie miała się kim posłużyć. Woła więc: „mój synalku! zejdź jeno z przypiecka i przy-

[1]) Obacz: *Lud*, Ser. VIII, str. 10, 106.

nieś mi wody; bo widzisz, że zarabiam w dzieży, a Maryśka na pańskiém.“ Synalek zamiast odpowiedzi, przewrócił się tylko na drugą stronę. Biedna matka, krzątając się około pieczywa, przeklinała siebie i swe niezdarne dziecko; nakoniec jednak wpadła na koncept, i odezwała się do niego: „Zapiesiu! jak mi przyniesiesz wody, upiekę ci duży kołacz: tylko żwawo, ruszaj się przecie!“— Zapiecek zwykle drugiém uchem wypuszczał, co pierwszém usłyszał; ale to słowo kołacz jakoś go uderzyło, i już go nawet zalatywał zapach świeżego pieczywa. Niepodobna więc było oprzéć się takiéj ponęcie, zwłaszcza, że głód porządnie mu był dokuczył.

Schodzi więc z zapiecka, przeciąga się, ziewa; ale bierze konewki, i leniwym krokiem wlecze się po wodę: schyla się do strumyka, z którego zwykle wodę czerpano i nabrawszy, spostrzega, że coś po wierzchu pływa. Długo Zapiecek łowił, nim mu się udało schwytać prześliczną rybkę, żółtą i lśniącą się jak złoto. Dla tego też radość jego nie miała granic, gdy tak wielkiego dokonał dzieła, i trzymając mocno biedną rybkę w ręku, zaczyna ją zewsząd oglądać i rozmierzać, mówiąc sam do siebie: „ot! to dzwonko będzie dla ciebie Zapiesiu, a to dla Matusi!“ Ale jakże się zląkł, gdy rybka żebrzącym głosem przemówiła do niego: „nie czyń tego Zapiecku. bo cóż ci ztąd przyjdzie, że mnie zabijesz i porąbiesz na ćwierci; jestem mała, niesmaczna: a tak, napróżno mnie zgubisz, a siebie nie nasycisz; raczéj puść mnie do wody, a mogę ci się na co przydać.“ — „A na cóż byś mi się przydała, biedne stworzenie?“ rzekł ośmielony trochę Zapiecek. — „Oto“ rzekła rybka „jeżeli mi życie darujesz, zrobię cię szczęśliwym.“— „A to jak?“ — zapytał się daléj, coraz ciekawszy. — „Odkryję ci ważną tajemnicę“ rzekła rybka „czego tylko będziesz żądał, wszystko się stanie natychmiast, jak tylko wymówisz te słowa: niech tak będzie, w imie boskie i złotéj rybki.— Zapiecek ucieszony obietnicą, ale nie dowierzając jéj trochę, wyrzekł dla próby: „konewki ruszajcie do domu w imię boskie i złotéj rybki!“ — I o cudo! widzi z największém swojém podziwieniem toczące się konwie z wodą prosto ku domowi, które przybywszy na podworek, stanęły przede drzwiami, czekając aż im kto otworzy. Zapiecek, puściwszy rybkę, postępował za niemi wolnym krokiem.

Matka jego wychodząc z chaty, zobaczyła konwie, i była pewną, że jéj synalek pośpieszywszy się tą razą i przyniosłszy wo-

dy, poszedł sobie na wieś bawić się z chłopcami. Po niejakim czasie powraca i Zapiecek z wesołą miną i pyta o kołacz? — Podaje mu go czémprędzéj matka, kontenta, że jéj choć raz w życiu usłuchał.

W kilka dni potém matusia miała wielkie pranie w domu, a drzewa nie było. W tym kłopocie prosi snów synalka, aby się nad nią zmiłował i urąbał drew, a za to nagotuje mu na obiad klósek.— „Ale Matusiu! niemasz ani kawałka na podworku, cóż będę rąbał?“— „Więc jedź do boru, i przywieź jaką choinkę,“

Trafiła mu matka w dobry humor. Zapiecek wsiada na wóz, jedzie do boru, i tam upatrzywszy sobie najtęższą sosnę, rzecze: „moja chojenko, w imie boskie i złotéj rybki, połóż się na ten wóz i ruszaj do domu.“ Lédwo te słowa wymówił, powstał najprzód szum, a potém trzask łamiących się gałęzi: ogromne sosnisko z korzeniami i swem długim wierzchołkiem, leżąc jak najbezpieczniéj na wozie, wędruje prosto do domu. Zapiecek usiadł sobie na niéj, i wracał do matusi jak na tryumfalnym rydwanie.

Lecz wjazd takiéj machiny, nabawił go wielkiego kłopotu. Ponieważ droga była ciasna i kręta, niepodobna było ustrzedz się szkody. Tak więc tłocząc się środkiem wsi, płoty porozrzucał, chlewy i chaty stojące na zawadzie blisko drogi poobalał, nim przywędrował do domu. Ztąd w całéj wsi powstał wielki hałas i skargi na Zapiecka. Cała gromada poszukując swych szkód poszła z użaleniem do króla, żądając wynagrodzenia. Król wysłuchawszy skargę, ciekawym był poznać tak dziwnego woźnicę; wydał więc rozkaz, aby się natychmiast przed nim stawił.

Nieustraszony niczém Zapiecek, zajmujący swą zwyczajną kwaterę, chcąc woli królewskiéj w ten moment zadosyć uczynić, zawołał: „mój piecku, zawieź mnie do króla, w imię boskie i złotéj rybki.“ I zaraz piec wyruszył otwartemi drzwiami, a na nim leżał sobie spokojnie Zapięcek na brzuchu, i gwizdał piosneczkę: „Wlazł kotek na płotek i mruga.“

Przybył do stolicy właśnie w téj chwili, gdy król wyprawiał wielką ucztę. Była to nadzwyczajna feta; albowiem król, mający córkę jedynaczkę przecudnéj urody, postanowił za mąż ją wydać, i w tym celu zjechało się mnóstwo książąt z różnych krajów, z pomiędzy których królewna sama męża sobie wybrać miała. Dostojni goście, siedząc właśnie u stołu, zajadali przewyborne kąski

i popijali smaczne winko. Zapiecek, dostawszy się, już nie wiem jakim sposobem, do pałacu królewskiego, wszedł w piec téj sali gdzie stoły były zastawione, i tam dziurkę sobie zrobiwszy, przypatrywał się wszystkiemu z wielką ciekawością. Uraczony widokiem tylu królów i książąt jak najkosztowniéj ubranych, razem biesiadujących, pomyślał sobie: „ach! żebyś téż i ty mógł tak się weselić jak oni, jeść i pić i bankietować!“ „W imię boskie i złotéj rybki, niechże ja téż mam to, co oni.“ Ledwo te słowa wyrzekł, już ujrzał przed sobą stół nakryty i zastawiony najwyborniejszemi potrawami. Wziął się zatém do jadła i wnet zapomniał o królach, książętach i całéj dworskiéj czeredzie. Ale gdy głód swój zaspokoił i położył się znowu na brzuchu, jak był zwykł czynić, kiedy się czuł zupełnie szczęśliwym,— zaczął znowu patrzeć dziurką z ciekawości, co daléj będzie. Wtedy to dopiero przypatrzył się lepiéj całemu dworowi; lokajom z galonami, panom bogato ubranym, wysmukłym dworakom, nadskakującym i przychlebiającym się królowi, i damom przecudnéj urody. Wszystko mu się bardzo podobało; ale najbardziéj ta dama, siedząca obok króla, na którą wszystkich oczy były zwrócone. Nic podobnego jeszcze w życiu swojém nie widział. Westchnąwszy zatém i w zachwyceniu marząc o królewnie, sam nie wiedział, jak w nim powstało życzenie posiadania ślicznéj księżniczki za żonę. (Zapewne zaniósł o to prośbę do złotéj rybki),

Aż tu naraz król powstaje ze swego krzesła, pije zdrowie królewnéj swéj córki i przyszłego jéj małżonka, którego w téj chwili obrać sobie miała, i pyta sam ciekawy: „kogóż więc serce twoje wybrało?“— Zadrżeli książęta przejęci trwogą i ciekawością w tej ważnéj chwili. Księżniczka powstaje także i odzywając się poważnym głosem: „tego“ (rzekła, wskazując na piec, który się cudownym sposobem rozwalił), przedstawiając zdumionemu dworowi brudnego i zmurzonego Zapiecka. Łatwo sobie wystawić zamięszanie, jakie sprawiło wystąpienie na scenę nowego konkurrenta. Wszyscy z miejsc swych powstali; zrobił się rozruch po sali. Król zapalony gniewem i zawstydzony tak osobliwszym wyborem córki, pojąć się wcale nie może. Książęta wołają oburzeni: „kto ty? co ty? nędzniku! precz ztąd, jeśli chcesz unieść łeb cały!“ Ale królewna zbliżając się ku niemu i podając mu rękę, rzekła uroczystym tonem: „to mój małżonek, którego z woli króla a ojca

mego sobie obieram: tak chcę, tak się stać musi; nikt już nie zmieni mego postanowienia."

Zawstydzeni książęta, że brudny Zapiecek pierwszeństwo otrzymał, rozjechali się niebawem, a król zagniewany, nie mogąc cofnąć danego słowa, myślał tylko o zemście i o zatracie tak nierównego zięcia. Udaje, że pozwala na wszystko, lecz po ślubie zaraz kazał oboje zamknąć w dużą szklanną banię i wrzucić w morze [1]).

Zapiecek uszczęśliwiony posiadaniem cudnego anioła, mało się troszczył o to, co król o ich losie postanowi; przeciwnie zaś królewna pogrążona była w wielkim smutku, że zacząwszy dopiéro kosztować słodyczy małżeńskiego stanu, tak marnie ginąć musi. Osadzeni w bani i wrzuceni w morze, zrazu o niczém nie wiedzieli; śmierć okropna stojąc przed oczyma, wszelką im odjęła przytomność. Zapiecek pierwszy przyszedłszy do siebie i obejrzawszy się na około po swém niebezpiecznem mieszkaniu, przekonał się wkrótce, iż bez nadzwyczajnéj zręczności niepodobna będzie ocalić bani, a tem samem uniknąć śmierci. Tu wieloryby i potwory morskie otwierają straszliwe paszcze, tam znowu sterczące skały, pewném grożą rozbiciem. Trzeba było wielkiéj odwagi i biegłości, aby ujść tylu niebezpieczeństw. Zapiecek zaczął sterować, wywijać się pomiędzy skałami i hakami, aby się bania nie rozbiła lub na piasku nie osiadła. Znużony ciężką pracą zasnął słodko przy swéj cudnéj królewnie i śniło mu się o kołaczu, klóskach, kiełbaskach i kwaśnéj kapuście, które dawniéj u swéj matki z największym zjadał appetytem.

Na pół we śnie, wpół na jawie, wyrzekł owe znane nam słowa, aż tu ujrzał stolik między sobą a dostojną małżonką z wymienionemi wiejskiemi przysmaczkami. Jak głodnego Zapiecka ucieszył, tak królewnę przeraził zapach kapusty i widok łokciowéj kiełbasy pływającéj w rumianym sosie jak wieloryb po morzu. Już je zgłodniały sternik pożerał oczyma, gdy Jéjmość nagle dostała spazmów i przerwała mu smaczny wiejski obiadek. „A pfe! (rzekła królewna), cóż ja to widzę? chłopskie przysmaczki na stole królewskiego zięcia? fi-donc! udusi mnie ten brzydki zaduch. ach! dla-Boga, mdleję; ratuj twą kochającą żonę." Zapiecek w strachu,

---

[1]) *Lud*, Ser. III, str. 146, 148.

tysiąc życzeń wyrzekł w téj krytycznéj chwili: wódka kolońska, perfumy, olejki różane, wszystko to było na placu i wszystko nie wiedzieć jak stanęło na jego rozkazy. Wkrótce też królewnę ominęły mdłości, gdy na żądanie Zapiecka, zamiast wiejskiej strawy, ujrzano najwyszukańsze francuzkie przysmaczki i włoskie łakocie. Miękkie to było i niesmaczne dla strawnego żołądka naszego Zapiecka; jednak tenże obawiając się powtórnych mdłości swéj żony, zajada i chwali jak może wykwintne potrawy; a wpadłszy już raz na pański tor, zaczął rozmyślać nad tém, jakby to na potém po pańsku, a raczéj po królewsku żyć na świecie.

Przy pomocy boskiéj i wiadoméj opiece czarodziejskiéj rybki przypłynęła bania na wyspę, obfitującą we wszystko. Tutaj, stłukłszy banię, wylądował Zapiecek, a nie tak z własnéj woli, jako raczéj dla przypodobania się swéj dostojnéj małżonce; wiadomym sposobem wystawia przepyszny pałac w najpiękniejszéj okolicy, umeblowany z największym przepychem: ekwipaże, lokaje, kassa zawsze pełna, wszystko to było na ich zawołanie. Ich sława wkrótce po całéj wyspie się rozeszła, a co większa, doszła nawet uszu Jego królewskiéj mości teścia, który teraz zmieniwszy swe dawniejsze postanowienie, nietylko zięciowi łaskawie przebaczyć raczył, ale na dowód swéj szczególniejszéj łaski (inni mówią, że to uczynił z ciekawości, aby oglądać wspaniały pałac i przekonać się o przepychu onegoż) przyjechał także odwiedzić zięcia swego, a teraz wielkiego księcia. Nie będę opisywał obiadów, uczt hucznych i różnego rodzaju zabaw, z powodu przybycia tak znakomitego gościa dawanych; boć zapewne nie jedli, nie pili, nie bawili się inaczéj, tylko tak, jak i my się bawimy, zwłaszcza kiedy jesteśmy w dobrym humorze, i jak po nas bawić się będą. Wreście kto wié, czy nie gorzéj?, bo wielcy panowie ten zysk z swéj wielkości odnoszą, że się bardziéj niż my nudzą.

Gdy więc pewnego razu Zapiecek, a teraz wielki książe wstał z królem i gośćmi swymi od stołu, odezwał się do nich w te słowa: „Jużeście, moi panowie, wiele pięknych rzeczy w mym pałacu oglądali, ale żaden z was nie widział jeszcze przepysznego ogrodu; mówię: przepysznego, bo jestem pewien, iż nikt z panów nie ma nic podobnego u siebie, dla tego téż klucz od niego zawsze przy sobie noszę, i tych tylko tam wpuszczam, którym chcę dać dowód szczególniejszéj łaski: jest to zaszczyt, który w równi kładę z udzieleniem orderu tego runa. Lecz, kto chce

oglądać mój ogród, musi się przysięgą zobowiązać, że nie ruszy żadnego owocu, choćby mu nie wiem jak zasmakował.“ Wszyscy byli ciekawi widzieć tak zachwalane specyały, a zwłaszcza król. Po złożeniu przysięgi, wpuszczeni do ogrodu; ale jakież było ich zadziwienie, gdy zamiast oranżeryi, ananasów, cytryn i złotych pomarańczy, których się tutaj spodziewali, zamiast angielskich plantacyj, ujrzeli w prostym wiejskim ogrodzie: kartofle, dynie, kapustę, brukiew, ogórki. Zastępowały owe miejsce melonów i ananasów; gruszki, śliwki, jabłka, miejsce cytryn i pomorańczy.

Wszyscy goście przez grzeczność admirują ogród, oglądają zagony, zdobywając się na nowe coraz pochwały. Tymczasem Zapiecek kazał swemu nadwornemu ogrodowemu, aby upatrzył chwilę, jak się goście jego zagapią, i nakładł cichaczem teściowi w kieszeń uleżałek. Zrobił jak kazano: a przy wyjściu postawiono straże; nuż rewidować i przetrząsać każdego, czy nie ma przy sobie kontrabandy. Znaleziono u króla uleżałki. Wstyd go było, że tak podły owoc znajdował się w jego kieszeni; ale co gorsza, zięć z grzecznego gospodarza, przybrawszy minę surowego pana, rzecze groźnie: „Złamałeś przysięgę teściu mój, wiész, co cię czeka — śmierć niechybna.“— Jeżeli dla kogo, to szczególniéj dla wielkich panów, opływających we wszystko, śmierć najmniéj pożądanym jest gościem. Zbladł król ze strachu, i nuż prosić zgniéwanego zięcia swego, aby tego nie brał tak ściśle. Dał się wreście ubłagać i rzecze: „mógłbym się teraz zemścić za to, żeś mnie w morze wrzucić kazał, jednak nie uczynię tego; bo szlachetniejsza jest darować urazy i przebaczyć tym, którzy nas skrzywdzili, niżeli się mścić na bezbronnym nieprzyjacielu.“

Była to ostatnia przygoda głośniejsza w życiu naszego Zapiecka. O dalszych jego dziejach, tyle tylko wiary godni powiadają ludzie, że był szczęśliwy, miał kilkoro dzieci, które mu pięknie wyrosły, i że do śmierci pielęgnował starannie ów wiejski ogród, a to na pamiątkę niskiego stanu, z którego powstał.

## 15.

## O złéj matce i dobréj córce [1]).

(Matka zazdrosna kazała zabić córkę i przywieźć jéj wnętrzności i serce. — Włodarz ją puścił lecz obciął ręce. Poznał ją król, ożenił się i pojechał na wojne. Miała dwóch synów. Matka donosi, że porodziła psów i wygnała ją. W lesie spotyka ona króla i wraca z nim do zamku).

od Poznania (Górczyn).

Pewna pani owdowiałá miáła córkę. Ta pani chcioła się jeszcze sama ożenić (wydać za mąż). Ale kawalery, co przyjechoł który, pytali się zawdy o córkę, a z matką rozmáwiać nie chcieli. Pare rázy, gdy przyjechali kawalery i pytali się o te córke, ona (matka) odpowiadałá, że jej niéma w domu; a wtedy panowie nie chcieli robić żadnéj zabawy, jéno wybiérali się i odjechali.

Pani ta zafrasowana, zawołała do siebie włódarza i powiadá: mój włódarzu, co ja mám robić z tą moją córką? bo óna mi przeszkadza, że ja się nié mogę przed nią ożenić. Już darmo, musze się ji pozbyć. Zaprzężcie włódarzu parę koni do powozu i weźcie flinte i topór; wyjedźcie z nią do boru, i tam ją ze świata zgładźcie i przywieźcie mi ji wnętrzności, i także z rękami, ponieważ má na nich sygnety.

Włódarz posłuszny rozkázowi pani, wyjeżdża z tą córką. Gdy już dość długo jachali, pyta się go óna: Włódarzu, dokąd jedziema?— A on powiada: cicho tam bądź!— Tak ona mówi: czy wy mnie to chcecie zabić? że tak na mnie brykacie. — Tak jest, ja cie chcę zabić, bo mamula kázała.— A óna mu się prosi: Włódarzu, darujcie mi życie. — On: nie moge ci darować, bo muszę przywieźć twoje wnętrzności i ręce ze sygnetami. — Ona: no, utnijcież ręce, ale mi życie darujcie. — On: Muszę z ciebie wnętrzności przywieźć.— Ona: Ach, mój kochany włódarzu, oto tam leci sárná; zabijcie ją i weźcie wnętrzności. — Tak ón dał sie ubłagać, i zrobiół jak óna żądała. Uciąn jéj ręce, i wyciągnął wnętrzności ze sarny. Ale jąm jeszcze ostrzeg: a pamiętaj, nie pokaż się w domu nigdy.

---

[1]) *Lud*, Ser. III, str. 129.

Tedy ón przyjyżdża do domu i powiadá co zrobiół i oddaje pani te ręce i wnętrzności. Matka się z tego ucieszyła, pochwaliła go i była kóntenta.

Ta córka żywiła się latem, ugryzując wszystko co mogła zębami, ponieważ nic urwać dlo braku rąk nie mogła. Tak więc, porobiła wszędzie znaki po sobie, gdzie przeszła. Dostała się do sadu króla, i tam także poobgryzała owoce. Złapać jéj ni jak nie mogli, ale poobrywali ten owoc, posypali na ganku i zastawili tam sidła— i tym sposobem ją złapali. Ale nie chcieli jéj królowi wydać, bo im sie samym podobała wszystkim. Gdy sie jednak namyślili, mówili do siebie: równak muszemy jąm wydać królowi, ón jest kawaler, może mu sie bédzie podobała i z nią się ożeni.

I tak sie téż stało. Król sie z nią ożenił. I miáła przyjść w połóg. Królowie wydali sobie wojne. Tak téż i ón musiáł wyjachać na wojne. I gdy wojował, matka króla pisałá do niego, że jego żona ma ładne dwoje dzieci. Miała dwóch synów, jeden był ze złotąm gwiazdą, drugi ze śrébrną. A list ten posłała przez służącego do króla [1]).

Tak ten służący w drodze bydąc trafiół do matki téj żony króla. Ta go się pytała: dokąd jedzie?— Ten jéj więc opowiedział po co jedzie. — Zatrzymała go więc na nocleg, i w nocy kiedy spał, zrewidowała mu listy. Jak przeczytała, także mu napisała swój, że jego żona mo dwa psy, i podłożyła zamiast tamtego listu. I z tym listem służący pojechał do króla. Tak król odpisoł, że mo czekać do jego przyjazdu. A ten służący znowy powrócił na ten som nocleg. Tak znowy mu ta matka żony te listy zrewidowała, że niéma co czekać jego przyjazdu, ino puścić w świat.

Więc matka króla dała jéj jedno dziecko na jednąm rękę, drugie na drugąm, (tak jéj na ramionach pozawijała) i musiała w świat wędrować. A te dzieci nie były orzchcone (ochrzczone). Tak że óna idzie i trafiła dwóch na drodze iść, a to byli święci Piotr i Paweł. I óna sie użala przed niemi, że te dzieci nie są orzchcone. Więc óni te dzieci orzchcili i dali imie: Piotr i Paweł, i onéj saméj posmarowali ręce, i te ręce jéj znowy odrosły, i kázali ji iść do boru, że tam bydzie stáła chałupeczka i stajenka tam bydzie miáła co robić i jeść.— Tak też óna i zrobiła.

---

[1]) Ser. VIII, str. 19, 37.

Przyjachoł król po siedmi latach z wojny i pyta sie o nią. A matka jego powiado: teroz sie o nią zapytujesz, a kazołeś jąm wypędzić, a miáła takie śliczne dzieci. — Król: já tego nie odpisołem, já nie kázałem wyganiać. — Wołać służącego. I pytá sie służącego: gdzie ón zabáwioł, co ten list został przewrócony? — Służący rzek(ł), że tam a tam nocował, i że w tém to miejscu musiał list ten być przewrócony.

Tak król kozoł dwa konie osiodłać, dlá siebie i służącego, i swoji żony jachál szukać: Prędzy nie powróce, póki zony swej nie znojde. — Naszła ich noc, i nocowali pod drzewem w boru. W tém ujrzeli światło, i król posłał służącego zobaczyć czy to nie wieś jest-ta. Natrafił służący chałupke. A tam chodzą dwa dzieci po izbie i grają, i jedna pani siedzi sobie i szyje. Tak służący (chtóry widział to bez okno) wraca do króla i powiado, że zdaje mu sie jakby to żona króla, jeno że mo ręce. Poszli tam obydwaj i prosili o nocleg. Tak ta nie odmowiáła im sie, jéno dała kolacyą i ich zanocowała. Po kolacyi pani mówi: jeden może iść spać przy koniach a drugi w pokoju. Na żaden sposób nie chciáła króla puścić spać do stajni.

Więc szed do pokoju, a choć bół żądny śpiku (snu) bo bół strudzony i bardzo chrapioł, to jednák spać nie spál. — A te dzieci grają sobie po izbie i kulają jabka, a ich matka siedzi i szyje. Tak ten Pietrek mówi: Kululu jabłuszko, do tatuli pod łóżko. — A óna mówi do niego: kto wie gdzie twój tatula, może na wojnie zginął.— Wtedy król spuściuł ręke jedne z łóżka na dół. — A óna mówi: Pietrek, idź włóż tatuli rączke do łóżka, a jeno pó cichu, żebyś go nie obudził.— Tak ten drugi, Pawołek znowu kula jabko, i mówi to samo co brat jego powiedzioł. — Wtedy król zwiesił nogę z łóżka. A matka kazáła temu téż włożyć, mówiąc: włóż tatuli te nóżke w łóżko, ale pó cichu, żebyś go nie przebudziół.— Zrobił to chłopiec, ale król znowu zwiesił. Wtenczas ón mały złapał go za noge i mówi: ciągle też tatula bydzie noge na ziemie wykładoł! — A król nibyto sie obudziół (bo i tak wszystkąm mowe słyszoł); więc wstoł, objąn za szyje swojąm żone i pocałował jąm i uściskał. I tak sie poznali, i posłáł po powóz i wszyscy jachali do jego zamku.

Niedługo potem król wydał bál wszystkim panom w całém królestwie. Przy obiedzie pytál sie: co też tako matka wártá, co dziecko swe chce ze świata zgładzić. A ta matka jeji też tam byłá

na obiedzie, więc wstała i powiado: wártá aby wziąść zielazne brony i jąm rozszarpać. Na to król: wydałaś wyrok na siebie; bierzcie jąm, to jest tá samá. — A tak óna za swojąm zbrodnię została ukáraná i od tego czasu żył szczęśliwie ze swojąm żoną.

## 16.

## Królewna-strach [1]).

(Urodziła się czarną. Kusiła w kościele. Pilnowali ją żołnierze. Zrobiła się po pas białą; nareszcie zbielała).

od Rawicza, Krobi.

Jeden polski król, Ładysław, nimiał żadnego potomstwa. Powiadá do żony: wiész co, taki majątek jak my mámy, a nimámy go komu zostawić. Ale pojade ja we świat szukać szczéścia jakiegoś, żeby nám Pán Bóg dał abo syna abo córke, żeby my aby coś mieli.

Tak ón król pojéchał w świat. A nie wiedział, że jego żona już była w cióży. Niżeli ón przyjachał z ty podróży, to jego żona porodziła córke,— ale że ta córka zaklęta była jeszcze w żywocie matki. To też tak sie urodziła czarna jak murzyn. Tak ten król, jak wrócił, kiedy mu żona powiedziała: a widzisz, mężu, mám córkę, ale sie nie dziwuj, bo nie wiem co za przyczyna, że jest cálka czárná jak murzyn. Król powiadá: cóż poradzić? co Pan Bóg dał, to trzymáć muszémy. Ale ją w osobny sklep wsadzić kázał, tak, co mogła spójźdrzéć tylko na świat, ale ji na świat nie wykázał (nie pokazał światu) bo sie wstydził. Tak ją mieli długoćko w tym sklepie, háż mogła miéć z osiemnaście lat.

Jak sie królewie dowiedzieli inni, że ónemu sie urodziło i rośnie dziecko, tak zjachali sie wszyscy na bál, i przywitali go: witaj-że somsiedzie, dowiedzieliśmy się, że ci sie urodziła córka i że dorosła, a nie prosiłeś nás jeszcze na bál, więc my cie też tu nawiedzili, żebyś nám też pokázał to swoje dziecko. On im odpowiada: moji kochani goście, radbym wám pokázał, ale że bardzo niezdarná.— To nidz nie szkodzi, jakie jest, takie jest, niech my je też widzemy. Jak ję ón król wypuścił między gości do po-

[1]) *Lud*, Ser. VIII, str. 138.

koju, kiedy wyszła, tak tá córka zaroz powiadá: Ach mój ojcze! tej godziny, zaroz, umiérám. — Ale sobie wymówiła, jak ją do sklepu kościelnego poniesą, do grobu, że musi ojciec co noc dać jednego żałnierza na wartę.

Jak umarła, tak ją zará z troną (trumną) zanieśli do kościoła. Anu, pierszą noc dáł ji zaroz jednego na warte. Na drugi dzień już go nie było, bo go zjadła, choć była nieżywa. Jak sie wojsko dowiedziało, że óna żołnierzy żywo pojadá, tak nie chcioł żaden iść na warte. Tak ten ojciec zwołał wojsko do kupy i powiedział: który żołnierz pójdzie do sklepu, do córki, pilnować na noc, dostanie nadłożony traktament dubeltowy, to jest: culage (Zulage) i kwarte wódki palony co noc. Tak sie odzywa jeden z nich, że ón chce iść, ale mało kwarta, bo ón chce ich miéć trzy. Król przystał na to.

Jak poszed ten drugi żałnierz do kościoła, tak te trzy kwarty wódki mu przynieśli. On sie napił, co chciáł być śmiały, że sie nimiáł bojéć. Ale jak przyszła jedenasta godzina, to z kościoła ućik od strachu. Tak ta wychodzi nieboszczyca ze sklepu, wylatuje na dwór, i wyrzéka: Ach, nieszczęsny mój ojciec, kiedy on mnie dzisiáj żałnierza nie dáł na wartę, to já go jutrzejszego dnia sámego zjem.

Na drugi dzień, król zwołuje jeszcze raz żałnierzy i pyta sie: chtóry bedzie sie chciáł podjąć do kościoła iść do sklepu na wartę. Tak sie jeden odzywa bidny żałnierz a okropny pijak, że ón chce iść: já pódię, ale jeszcze więcy chcę wódki jak tamten dostał.— Dali mu też więcy wódki, i poszed tam. Ale jak przyszła jedenasta godzina, zaczoł umykać z kościoła od strachu. Już był na ulicy,— áż tu trafił go taki jeden staruszek i zapytał go sie: gdzie ty idziesz?— A ón odpowiadá, że: idzie do domu, bo má strach.— Na to staruszek mówi: nie, wróć sie nazad, idź do kościoła i wliź na ambone, to óna cie tam nie zobaczy.

Jak przyszła ta godzina, ona wyszła ze sklepu na kościół, ale go nie widziała, tylko ón ją widział. Tak wyleciała na dwór i szuka, ale przylatuje nazád i mówi: Ach, mój nieszczęsny ojciec, kiedy ón mnie dzisiáj nie dáł żałnierza na warte, to go jutrzejszego dnia samego zjem, to pewno.

Przyszło na drugi dzień. Żałnierz żył. Król go sie pyta: czy jeszcze pódzie?— On powiada: pódzie. I poszed na te wartę. Jak przyszła ta godzina jedenasta, ón znowu w nogi, umyka od

strachu. A ten staruszek go znoŭ trafił i znoŭ go sie pyta: gdzie ty idziesz?— A ón: już teráz do domu umykám, bo już teráz ni moge wycirzyć (wytrzymać). A staruszek: nie, wróć ty sie nazád, sewlidz (zewlecz, rozbierz) sie do naga, i położ sie pode drzwi, na tę stronę gdzie óna te drzwi otworzy, coby sie obaliły na ciebie (obróciły na twą strone i zasłoniły cię), co by cię nie widziała. Jak ona wyleci na dwór i minie cie, tak ty sie zbierz prędko i układź sie w ji trone (trumnę) d..ą do góry, ale téż nago. Potem óna przydzie, wróci, będzie cie straszyła, że áż kościół sie bédzie trząs, bédzie cie najéżdżać, bedzie wołać: umykej bo ci łeb urwę, bo ci nogi ujadę (że: brykami bedzie pó nim jeździć), cobyś wylaz z ty trony. A ty też prek, nie ruszaj sie tak długo, póki nie będziesz widział, że óna tak biała musi być jak człowiek, jak należy.

I ón też tak wszéstko zrobiuł, jak mu staruszek kázał. Więc go szarpała, i drapała, i wrzeszczała na całe gárło: wychodź z mego łóżka! wyłaź! — A ón sie ani nie ruszył z ty strony. Tylko coraz z oka wyjźdrzał, jak óna też jest (wygląda). Wyźdrzy ráz, była już do kolán biała. Tedy leży ón á leży, ani sie nie ruszy. Tak ona snoŭ cuduje nad nim, tak wrzeszczy: wyŭchodź, bo cie rozedrę!— A ón tylko wykręcił troche głowe i jedném okiem śwignoł na nią, — a już była po pas biała.— Tedy leży ón jeszcze, poprawił sie troche, ale leży. Tak óna znoŭ szarpie, dźwigá gó ażeby wyláz.— Nie, leży, prek; ale podnosi więcy głowe i wykręci znoŭ oczy na nią, — a óna już pod ramiona biała.— Tedy jeszcze ón leży i trzeci raz sie poprawił, choć ona wrzeszczała i cudowała, ale słyszy on że już nie tak głośno. On obróci sie całką głową do nij i wejźdrzał na nią pólnem okiem,— a óna już ze wszystkiem biała [1]).

Tak óna go tenczas złapi w pas, i z trony dźwigá go do góry, i już nie wrzeszczy, ale prosi go sie: ach, moje dziecko, wstoń teráz, boś już mnie wybawił z męki mojéj. Więc podniosła go i wyprowadziła na kościół. Wtenczas sie żałnierz ubrał we swoje rzeczy, jak był wprzódy, i usiedli sobie obá przy stoliku w kościele. I pytał jé sie: czy téż bédzie wódkę pić z nim? — A óna powiadá: moje dziecko, kiedy ty pijesz, i ja też bede pić z tobą.—

---

[1]) *Lud*, Ser. III, str. 68 (tu przemiana po pas, po szyję i t. d. w sól).

I napili sie rouz (raz) i drugi. Potém óna złapała tego żałnierza za szyję, a ón onę, i tak sie obá trzymali.

Na drugi dzień rano, przychodzi do kościoła od króla ordynans: czy téż ten żałnierz żyje?— Ordynans powraca do króla i powiada mu: Jasny panie, już tego żałnirza udusiła, bo go trzymie za kark. — Zaráz téż prędko wszyscy letą, chcą go jeszcze od ni obronić, — a ón już woła z daleka: brandebuli! (gorzałki) więcy dáwajcie bo nám już przybrakło. — Wracają naząd i meldują królowi: córka żyje, i ón żyje, i chcą więcy jeszczy brandebuli.

Król tedy czem prędzy rozkazuje, żeby zaprzęgać sześć koni do powozu i ubiór brać dla córki weselny. Przyjeżdżają po nią. Zaráz też obá do powozu siádają. I przywożą ją i jego do króleskiego zamku. Król zaprasza wszestkich królów i jednerołów na wielki bál do siebie. Wtenczas między tych królów i jednerołów we środek zasadza za stołem te córke z tym żałnierzem i pyta sie gości: co taki człowiek sobie zasłużył, że po śmierci córke jeszcze od śmierci wybawił? — A óni odpowiádają królowi: tyle sobie zasłużył, że te córke za żónę sobie ma pojąć. — A ci jednerałowie mu zawiścili i powiadają, że to pijak i bidny chłop, — i ten má króleską córkę dostać za żone, to jest niepodobnie! — Ale óna znoŭ swego za szyje i powiadá: chto mię wybawił tego já pojmię za męża. — Już-ci wolała żywego chłopa, jak ten choćby króleski grób (dodał opowiadacz).

## 17.

## Królewna-strach.

Odmiana.

od Środy (Dębica).

Jeden król był bogaty okrutnie, że niepodobna, — a ni miál dzieci ani ździebka. Więc prosi Pana Jezusa, żeby mu dał choć jakiego djabła, żeby królestwo przecie komu ostawić. Zaráz mu sie téj nocy obeśniło, że: ci Pan Bóg dá córe. I dał mu Pan Bóg bez rok (po roku) córke; ta córka zaraz przy urodzeniu była z czarnemi stopami. Tak mu rosła okrutnie do 13 lat a cięgle czerniała, że taka całka czarna była w 14tym roku, kiedy umarła.

Więc obśniło mu sie (a też i ta córka prosiła, jak umierała), żeby, jak bedzie pochowana w kościele, co noc była przy ni warta, żeby nigdy bez warty nie było. I dlatego téż, dali co noc na warte jednego żołnierza. Ale óna co noc z ty trómny wystąpiła i każdego żołnierza zabiła; już nie wyszed żaden ztamtąd żywy. Chtóry ino żołnierz miál tam iść, to sie spowiedał, bo wiedział że tam idzie na stracenie. I dużo wojska mu wytępiła.

A jeden już taki podstarzały żołnierz, choć mu kázali, nie chcioł tam iść, ale wędrował i mówił: choćby mnie mieli zabić, to tam nie pójde; czy tak, czy tak mám ginąć, to już wole ginąć między swemi. I poszed do boru i tam sobie odpoczywał. A tu idzie staruszek i powiadá: co tak mamęcisz (lameńcisz?) sobie, mój żołnierzu? — A ón: mój staruszku, co wy mnie poredzicie? — A starrszek: może ci też i poradzę. — I jak mu żołnierz opowiedział wszystką historyje, mówi mu ten stary: Wróć się, ty tam nie zginiesz; biegáj do kościoła, weź trzej-królowéj krédy, i tam stojąc opisz sie nią w koło, i ŭody (wody) święconej z dziewiąciu kościołów w kociołek; i jak przyúdzie do ciebie ta potępiona, to krop, i krop, i krop tą wodą; a nic ci óna nie zrobi.

Więc usłuchał staruszka i wrócił sie nazád i poszed stróżować. Koło północy wychodzi do niego ta córka z trómny i widzi że warta jest. Chciáła sie do niego drzéć, ale ón kropił i kropił święcoą ŭodą, i ni mogła sie do niego dostać. I dobył tak do białego dnia żywy. Ten król sie bardzo cieszył, że mu ten żołnierz to zwycięzył.

Na drugi dzień wzion go król do obiadu i prosił, żeby mu drugą noc znowu szed wartować. Ale ón sie chciáł wyprosić, i mówił że juz tyle strachu podjął, co niepodobno. Gdy król go chciáł do tego zmusić, ón znowu poszed wędrować.

Znowu zaszed do tego samego boru. Idzie i płacze, a mamęci. Staruszek mu znajomy idzie i pyta go sie: cóż mamęcisz, kiedyś już wybył! — A ón: kiedy król chce, żebym drugi raz tam poszed. — Staruszek powiada: wróć sie, i znów tak zrób jak wprzódy, a nic ci nie będzie. —

Ten żołnierz usłuchał go i poszed znowu do tego grobu. Koło północy wyłazi córka i widzi, że warta jest. A ón kropił i kropił, a gdy mu zabrakło święcony ŭody, to kotłem od niéj bił a walił, a to sie darło i darło do niego, a cięgiem bielało. I tak

wreście obielała jak papier. I wtenczas dopiero chycła (skoczyła) do niego, i gdy go mocno ścisła za szyję, ożyła.

Na drugi dzień wychodzą oboje zdrowi; ta córka ucieszona, bo ją wybawił żołnierz. Ten król bardzo wielki tryjumf (tryumfalny pochód) zrobił, że niepodobna. I zaráz sie ten żołnież z nią ożenił, bo tak król chciał (taki jak i ona ucieszony) i tak chciała królewna. A ten żołnierz, choć już niemłody, pozostawił z niéj syna na następce.

## 18.

## Ukarana niewierność [1]).

(Kupiec na okręcie. Ptakowi czartowskiemu syna zapisuje. Syn i czarnokiężniczka, im bliższa wybawienia, tém bielsza. Psota gadulstwa. Buty siedmiomilowe, kapelusz niewidek i bat. Przemiana w osła i oślicę).

Morowica.

Był to kupiec, który się wybierał w daleką podróż na morze, po towary. Upewnił sobie kupców, chtórzy by z nim jachali. Pare kupców złożyli się do kupy, żeby razem mogli jachać, bo to w posobicy (z osobna) dużo kosztuje fracht i podróż, i że piekniejszy towar razem sobie mogli wybrać. Oni z sobą zabrali żywność na sidem lat, bo bez (po) sidem lat dopiro wrócić mieli.

Przyjachali na miejsce gdzie towary brać mieli. Jak towary na okręt pokładli, tak do domu napowtór wracali. Okręt im stanoł na pół drogi, gdy ujachali; ani wiatr, ani powietrze im nie służyło, bo im czárt na środku drogi zatrzymał okręt. Stali tak dugo, aż kókąt (pokąd) wszystkiego nie zjedli, kókąd im wicht (żywność) starczył. A jak im przybrachło (zabrakło), mówili jeden do drugiégo, że muszą losy ciągnoć. Na kogo los trafi, tego zabiją i go jeść bédą. Ciągną losy. Rychtyk trafiło na tego kupca, który tym drugim mówił, żeby z nim po towary jachali. Mieli zabić tego kupca i go jeść.

Przyleciał okropny ptok i siád im na okręt. Ten kupiec wówi do tego ptaka: ach, żebym cie móg dostać, to bym cie nie skubał ino z piérzem zjád(ł). Ten ptak powiadá: żeli mi to zapiszesz, o czém w domu niewiész, to bez godzinę w domu będziesz.

---

[1]) Przypomina powieści w Ser. VIII nr. 49 (str. 123) i nr. 26 (str. 66).

Ten kupiec powiada: przecie ja o wszystkiém w domu wiem com ostawiuł; począn sobie przypominać na tym okręcie o wszyskim o czém wiedzial. Ptak, powiedział, żeby mu na tę bliską wyspę przywióz to, jak przyndzie ten czas. Kupiec źgnął się śpilką w serdeczny palec i onemu podpisał sie na to. W tém jak okręt ruszył, bez godzinę w domu był.

Na tym okręcie na przywitanie miasta, z armat zaczli strzylać. Gdy okręt do brzega przypłynął, kupcy powychodzili na ląd. Jego żona, tego kupca, przyszła, i tak ma synka, chłopiaczka w szóstym roku przy sobie, o chtórym on niewiedział, co go na morzu zapisał i w osiemnástym roku przywieść go tam na to samo miejsce mioł. On sie pyta jako swojij żony: czyj to jes ten dzieciok?— Ona mu powiadá, że to nász. Ten kupiec sie zasmucił, że tego dzieciaka na morzu zapisał, o chtórym on nie wiedział.

Ten chłopyszek uczył sie dobrze pisać, czytać, i bardzo dobry talent mioł, że ten ociec jeszcze barzy-k sie smuciuł. Nadchodzi ten osiemnasty rok, że go wieźć ma. Wyprawiuł ten ociec wielgi bál na pożegnanie, bo to już ostatnia była jego zabawa, ostatnie jego wesele. Naspraszał gośći dużo. Widzi, że wszyscy goście sie bardzo cieszą i bardzo bálują w ojca kamnicy. A ten ociec okropnie sie smuci i niedziwa (o mało że nie) płacze. Ten syn widzi że ten ojciec taki zasmucony; mioł pistolet dubeltowy nabity ten syn, włożył go we wazę na stole we swojém pokoju i przykrył go pokrywką. Poprosiuł swego ojca żeby szed z nim na górę do pokoju jego. Ten ociec szed z nim, bo nie wiedział po co; w godzinie ostatecznyj. W tem pokoju mówi syn do ojca: Mój ojcze, coś ty taki zasmucony; goście sie bawią, a ty niedziwa płaczesz. Ojciec mówi: Synu, jak ja nimom płakać, kiedy czártu żem cie zapisoł, w nieszczęściu mojim, — i opowiedział synowi jak sie na tém morzu z nim stało. Syn powiadá: O ojcze, to jes mały chłopot.

Na drugi dziń, poszed do spowiedzi syn, spowiádáł sie, bo sie chcioł przygotować na czartowską śmierć. Ten ojciec wiezie tego syna na okręcie w to miéjsce, gdzie go tam zapisáł. Zabrał ze sobą, jako ten syn kupca, stolik, książkę od nabożeństwa swoją, światła, kréty święconéj i wody święconéj, kropidło i kociołek od wody święconéj. Przywióz go na to miejsce, i ostawił go tam na wyspie, a sam wróciuł na okręcie do domu. Ten syn sobie postawiuł stół i krzesełko na środku wyspy, i opásał koło krétą świę-

coną. Począn sie modlić na ty wyspie ogrómnie. Chtóre czarty przyleciały o dwunasty godzinie i męczyły go áż do pirszy, a porwać go niémogli.

Na drugi dzień jechała czarnáksiężnica bez wyspę i zobaczyła go. Mówiła do swego służącego: biegáj i pytaj sie, co ón tam robi, że siedzi sám na téj wyspie. Sużący przychodzi i pyta go sie co ón tu robi? — a ón mu nidz nie odpowiadá, ino sie modli na swoji książce. Przyszed nazad do téj czarnejksiężnicy ten sużący i powiadá: to jest niemowa, bo ón nic nie gádá. Ona mówi do swégo służącego: biegáj, złap go za nogi, weź go na plecy, i przynieś mi go do powozu. On poszed, wzion go za nogi i przyniós na plecach do téj czárnyksiężnicy. Foszpan ruszył powozem i pojachał z tego miejsca prek. A ten-że kupca syn tak sie cował (cofał) od nij, bo óna cała czárná jes. Ona mówi do niego: nie bój sie! bo ty będziesz wybawióny i mnie wybawisz. Jak przyjachali do domu, tak-że óna mówi do tego kupieckiego syna: na noc puszczę cię do sklepu i zamknę cię w sklepie; tam bédziesz mioł światło na całką noc; przez trzy noce godáć nie będziesz nidz do nikogo; a tak, mnie i siebie przez to wybawisz. Przyjdą czárci w postaci twoich rodziców i tych gości, chtórzy byli na twoim ostatnim bálu; bédą gádáli dó ciebie i wmawiali, a ty nie gádáj do nich nidz, chociaż cię męczyć będą, utrzymaj sié od mowy. Okropnie go męczyli w te pirszą noc że gádać nie chciał, ale ón pary nie wypuściuł ze swoich ust. Áż omglał i jako nieżywy po-ostał w tém sklepie.

Jak ci poodlatywali, tak ta czarnáksiężnica poszła do niego do sklepu, wpuściła mu wody żywéj w usta, tak, że przyszed znowu do siebie, tak jak bół. On sie położył i noc przespał. Ona poszła sobie do swego pokoju i sie téż położyła. Jak sie ocuciła, tak zobaczyła w pokojach jedne część ściany białą, i óna także aż do kolan téż była białą. Ona poszła do niego, ze sklepu go wypuściła i do pokoju go ze sobą wziena.

Na drugą noc znowu do sklepu go prowadziła, i znou go prosiła żeby nidz nie gádał. Przyleciało ich dwa razy tyla niż co tą pirszą noc ich było; moc wielga. Poczęli go okropnie męczyć że do nich gádáć nie chciał, ani przemówić. Potem go na miejscu znowu pożgli do śmierci piekielnemi widłami, za to że on nic do nich nie gádał. Ona przyszła, położyła go na łóżko i posmarowała maściami i wody mu sie dáła napić; tak bół jak wprzód. Ona

poszła do swoji stancyi i położyła sie i spała áuż do rana. Rano wstała i widzi że dwie częśći u nij są biáłe aż do piersi, i w pokojŭ też jes bielsza ścianá. Poszła do sklepu, wziena go znou do pokoju do siebie, dała mu sie najeść.

Na trzecią noc, ona go znowu okropnie prosi, żeby nic nie gádáł, choćby go jeszczek więcy męczyli. A on odpowiada: żeli wedle moji możności, to nic niebede gádáł. Zaprowadziła go do sklepu na noc. Przyszło ich trzy razy więcéj; przynieśli także z sobą rozpalone żelazo i źgnęli go prosto w serce; áż od bólu zawołał: o Jezus! — Wszysko sie znowu obróciło napowtór tak jak było, czarne, wszysko oczerniało; pani czarno, pokój czarno i podwórze czarno (że znowu zamiast wybawienia, wyklęte ostało). Pani ta, czarna księżnica, przyszła do niego, nasmarowała maścią tę rane, w sercu, i rana mu sie zagojiła. Położyła go na łóżko i tak spał aż do rana. Rano, pani (w)staje; idzie do sklepu, i pyta go się: czemu ón gadał? — boć dobrze wiedziała o tem, że od bólu zawołać musiał. Ona go wypędziła ze swego podwórza prek.

On idzie bez jeden bór wielgi; szed wielolud, złapał go i wetkał go w torbę. Przyniós do brata swego jako w domu mioł brata swego za kucharza. Do brata mówi: widzisz, przyniós'em ci zwiérzę chtóre mi jutro na obiad ugotujesz; pół z niego warzyte, pół pieczyte (warzyste, pieczyste. Kucharz wchodzi na drugi dzień do sklepu, gdzie go wrzucili i chce go zabić, z toporem i z nożem. Począu się okropnie prosić żeby mu kucharz darował życie, żeby inksze miéso wzioł napieczyte i na warzyte. Kucharz mówi: ja cie ni mogę puścić, mój braciszku, bo jakby mnie mój brat wielolud złapał, takby i mnie i ciebie zabiuł. Jednak ubłagáł tego kucharza, i ón mu życie darował.

Dał mu ten kucharz buty siedemilewe na nogi i kapalusz taki, co jak zawdział na głowę, to go nicht niewidziáł, i bat w rękę. Wrócił się ten młody do téj czarnéj księżnicy; wszed do sklepu, co go nikt nie widziáł, bo go też nikt widzeć nie móg w tym kapeluszu. Przyszła o dwunasty godzinie do tego sklepu, gdzie ón tam bół, w nocy, niezmierna moc czartów; i mówią do niego: po coś ty sie tu wruciuł, kiedyś już bół tu ztąd wypuszczony. A ón nie czeka, aż by go zaczęni męczyć; jak złapał ten bat i kapelusz wsadziuł na głowę, jak zaczoł bić ich, tak uciekali, áuż okna i drzwi powywalali. Ta czarna księżnica wstaje

rano, patrzy, a óna jest już część biáła, tak jak przody była i część ściany biáła. Téj pani dziwno było, co się to stało, zaczęli po pałacu szukać, nikogo nie było.

Na drugą noc przyszło ich dwa razy więcy, bo już ci pirsi co tam byli, bojali się, co tęgą frykę dostali, namówili ich większą moc i kázali do sklepu wejść i: męczcie go do reszty. Oni pośli do sklepu wszyscy, i zaczęni go okropnie tam męczyć. Jak on złapał swój kapalusz, zawdział' na głowę, i ten bat w rękę; jakże tym batem im zaczoł kłaść, tak oni uciekali, ażby byli ze sobą zymek (zamek) porwali. Pani (w)staje i patrzy, a óna jes dwie częście biáła i wszysko koło nij; tak jij sie dziwno zdawało, bo nikogo niewidziała.

Na trzecią noc przyszło ich trzy razy więcéj; więc te dwie party (partyje) ostały na dworze, a téj trzeciéj kázali wnijść do sklepu i dobrze go męczyć. Wię i tym ón sie nie dał, ino zawdział kapalusz i zaczon ich bić jak tamtych, áż wszysko pouciekało. Pani wstała rano, patrzy, a ona cała biáła i wszysko biáłe.

Idzie do sklepu, i patrzy, żeli tam nikogo nima, a tam ten kupiecki syn Jasio sobie na łóżku leży; ona go zobaczyła i do pokoju z sobą wzięna. Mówiła że: już cię nieopuszczę i z mojéj majętności cię nie oddalę. On powiadá: nie teraz, pójdę ja do swoich rodziców i zobaczę co moji rdzice jeszczék robią,— bo już wyzwolony ból od czartów i móg iść gdzie ón chciał, bo ceregraf od czarta już mioł. Bo mieli w piekle strach, że jakby ón przyszed, toby im gnaty połomał; powiadali to Jancykrystowi, a ón mu czemprędzy kazał ceregraf odesłać. Ona mówi: ach, to jedźmy oboje do twoich rodziców. Kazała zaprządz fószpanowi śtyry kónie do powozu, wziena sużącego ze sobą i szkatułke piniędzé do siebie.

Pojechali do tego miasta, gdzie rodzice byli jego. On sie wywiaduje o swojim ojcu i matce, czy jeszcze żyją. Jednego starego obywatela, który znoł jego ojca bardzo dobrze; ten obywatel powiadá: mieszka w małym domeczku za miastem, tam w téj i w téj ulicy, bo przez nieszczeście zbankretował i swój majątek utraciuł. Kónie na oberzy ostawiuł, i forszpana i sużącego, a z nią do swoji rodziny poszed. Już go matka ani ociec poznać go nie mogli, bo przecie nigdy nie myśleli że ón sie do nich powróci, ani ón sam sie nie dał poznać, ino tak przyśli jako dwóch ludzi podróżnych, co proszą się o noclig. On powiada, ociec: moji kochani ludzie, jak ja wás tu przénocuje, kiedy bardzo wiela miejsca u mnie niéma,

ale was jednak przenocuję bez te noc. Na drugi dzień rano wstali y rodziców zretowali; y także ze szkatułki piniędzy im nasypali; potem sie pożegnali y od rodziców odeśli. Na oberzą pośli, a potem w podróż odjachali do domu.

Gdy przyjachali za jeden wielgi bór, była to tam zielona łąka; tam stanęli i kónie popaśli i się pożywili. On położył jéj głowę na podołek i usnoł; a przy sobie mioł pęczek (zawiniątko) z temi butami siedemmilewemi i z kapeluszem i z batem. Ona kazała konie zaprządz do powozu i siadła do powozu; onego śpiącego na dródze ostawiła, — i pojachała nie wiele myślący do domu.

On sie ocucił i patrzy gdzie óna jes i ten powóz. Tak, nie widzi już nikogo przy sobie, idzie i swój pęczek w ręku niesie Gdy przyszed na jedno pole, gdzie tam rós(ł) jarmuż, tak urwał listek jarmużu i wzion go sobie w gębe pod język, tak, że się z niego zrobił cały osioł. Biega po polu po tym jarmużu i depce go. Zobaczył chóp z daleka, że mu osioł w jarmużu chodzi, wzion k(ł)ónicy i idzie do tego osła i począn go bić kłonicą. Ten chłop pomyślał sobie, że tu gdzie rośnie taki jarmuż, szed sobie pewno człowiek, co urwał listek jarmużu i stał sie osłem. Na drugim polu rós(ł) znowu taki jarmuż, co sie osioł móg stać człowiekiem. Poszed chłop, i urwał tam ztąd listek jarmużu, wetkał osłowi w gębe, i stał sie napowtór człowiekiem. Ten Jasio podróżny; co zrobiuł? Poszed po ten pęczek, podniós go z ziemi, wyjon ten kapalusz i zawdział na głowę, wzion bat i poczon chopa dobrze łojić; więcy go jednak razy nie wycion ino tyla razy, co ten chop jego wybił. Potem zdjon kapalusz i dał Jasio chopu ręki na zgodę, bo sobie to oddali co sobie pożyczyli. Jasio mu mówił o jeden pęczek jarmużu takiégo i o drugi takiégo; tak, że mu chłop te dwa pęczki jarmużu urwoł i każdy pęczek inacy związał. Potem on chłopu podziękował, i idzie do domu za swoją panią.

Czém (nim) Jasio przyszed do domu, to już tam bół inkszy co tę panią wybawił; a óna myślała że sie Jasio już do niéj nie wróci. Jak on przyszed i dał ij sie poznać i przywitał, tak óna mu się ogromnie cieszy, ale obłudnie. On powiedział: ja ci przyniós taką potrawę, chtóréj'ś jeszczek nie widziała i nie jadła. Ona go się pyta: co to za potrawa może być, jak się ona zwie (nazywa)? On powiada, że to jes jarmuż. Ona mówi: niech zaniesie do kucharza powie jak sie to gotuje, bo óna tego niewie. Po-

szed i powiadá kucharzewi, żeby nie próbował ón ani do gęby nie wzion, bo by nieszczęśliwy ostał; i ma nikomu niepowiedzieć o tem, a ón mu to dobrze wynagrodzi. Mój kuchárz też tego niepróbował, ino włożył na talirz i pani posłał bez służącą. A kucharz ópomniał służącą żeby nie próbowała, tylko postawiła przed panią. Służąca ij to przyniosła. Pani zaprosiła tego swego polubieńca, żeby razem jedli, bo niewiedziała co to za jarzyna. Wtenczas, gdy włożyli jarmuż w usta, wypadły im widelce z ręków, i zrobili się oboje osłami. Ten Jasio wchodzi do pokoju, y mówi: cóż te osły, mają po pokoju chodzić! Posłał po olejnika i mówił do niego: weź mi te osły z pokoju, niech mi tu po pokoju nie łażą, możesz je zaprzągać i niech chodzą w olejni; i bić ich tyla kłónicą, ile ci sił starczy; a szczególniéj tego osła co to był polubiéńcem. Tak długo chodziły w olejni, przy wiązku siana i węborku wody, aż ten polubieniec sie zmarnował, zaś zdech(ł). Jasio wzion potym i dał temu drugiemu osłowi listek jarmużu z tego drugiégo pęczka, i przemienił tego osła w panią, jak wprzódy była. Mówi do Jasia: już cię nieopuszczę do śmierci, bo widzę że ty nietylko wybawić ale i kárać umiész. Zaś potem sobie ślubowali, i żyli jak ludzie,— jarmużu więcéj nie gotowali.

## 19.

## Królewicz i krolewna [1]).

(Królewicz ze złotą gwiazdą; ma wisieć w 20 roku. Wybawia od czartów 3 panny. Te mu dają 3 pieski (t. j. braci) które wybawiają go od Wielkoludów i od szubienicy. Potem pomagają zabić smoka co miał pożréć królewnę. Królewicz urzyna mu 7 łbów i wyciąga 7 języków. Koniuszy go zdradza i zabija. Pieski odżywiają wodą życia wydartą czartom).

od Szmigla. Kościana.

Jedna królowa poszła spać. Więc przyszło ji na sen, że porodzi syna, co bedzie miał na prawym boku złotą gwiazdę, a we dwudziestym roku bedzie wisiał na szubienicy. Tak przyszło drugą noc, napowtór; więc powiedziało (coś we śnie) nie lękaj sie, co ci jest powiedzone, to ci bédzie dáne. Tak óna sie zalękła w tém i poczyna sobie domać (dumać). Jeji mąż był jako

[1]) Lud Ser III str. 113. 117. — Ser. VIII str. 69. 76. 82. 83. —

król na wielgij wojnie, co go wcale w domu niebyło. Ona pisze schłopotany list i bardzo żałosny do swego męża: że porodziła syna chtóry mo na prawym boku złotą gwiázdę. Przyjachál ten jeji moż jako król z ty wojny, tak ónа, pokazuje tego dziecioka z tą złotą gwiazdo. Król zasmucony, tak, że mu jes bardzo żałośliwie, że ten syn bedzie kiedyś wisiál.

Ten synek uczył sie ogromnie czytać i pisać jak doros(ł), bół roztropny i mądry; więc także ten ociec sie jeszczék barzy martwił o to. Syn jak dorós, zapytuje sie tego ojca: cóż taki smutny i zmartwióny? A ten ociec mu odpowiadá: jag ni mom być zmartwióny, kiedy ty w dwudziestym roku mosz wisieć na szubienicy. Ten syn powiadá: niechcę tu w tém ojczeskim kraju wisiéć i té hańby ojcu zrobić; więc pójdię ja we świát daleko i széroko. Ociec mu dál piniędzy i bryczke i pare kóni, co sobie móg jachać. Pojachał; ale piniądze mu sie skończyły, i bryczke i konie musioł sprzedać, żeby mioł zá co żyć.

Idzie sobie bez jeden bór, w jednym cudzym kraju gdzie go tam nikt nieznoł. Wychodzi z tego boru, i natrafiuł śliczny pałác, gdzie ón tam nimóg wniść do niego, bo bół wodom opasany. A bół ten królewicz ogromnie zgłodniały. Powiadá: ach, jag ja tu mom wniść do tego pałacu, kiedy tu tako wodá jes? Tak w tem stáwa mu sie łowka (ławka, most) coby móg po ty łowce przeńść do tego pałacu. Wchodzi do jednego pokoju, a tu stoji (d)lo jedny osoby naszykówany objód, i powiedá: niewiem (d)lo kogo ten objád, ale niech bedzie (d)lo kogo chce, siąde i posilę się. Tak, wyszły trzy panny z drugiego pokoju do niego, i pytają gó sie: czy mu smakuje ten objod? W tym strachu powiada, że mu ogromnie smakował, i mówił że nie wiedzioł (d)lo kogo bół. Te panny bóły okropnie ucieszone, że on do nich przyszed. On chce odchodzić i dalij iść, i żegna sie z niemi. Te panny mówią: proszemy żebyś po(z)ostoł (pozostał), bo nás wybawić mosz. On pytá sie, co tam bedzie robiuł: jakim sposobem je tamztąd wybawić mo. One mu opowiedają: takim sposobem, że przyjdą w postaci jego rodziców i krewnych czarci i bédą kóniecznie z niém chcieli rozmáwiać, a ón má sie wcale utrzymać od rozmáwiania z niemi; że, chociaż ci będą największe meki zadawali abyś do nich nie gádál i páry (tchu, słowa) żebyś do tych czartów nie wypuścił; a teráz pójdemy, anó my przyńdemy ják bedzie trzebno.

W nocy o dwunasty godzinie stoł sie wielgi bál. I czorci poprzychodzili, a ón myślál że to jego rodzice i znajomi. Że mu panny naprzód o tem opowiedziały, więc ón nic z niemi nie gádál, ani słowa, ino uczynił sie jak niemowa; bawić sie bawiuł z niemi. Óni w niego wmawiają i tak mówią: co sie stało z tobo, żeś terá takim grubijanem ostoł, i wiemy Stanisławie, że mász na prawym boku gwiázde a w dwudziestym roku będziesz wisioł; zkądby my o tem wiedzieli, żeby my nie byli twoji ojcowie (rodzice). Ci czárci widzą, że ón wcale ani gádać nie chce, i grubijánem wielgim sie kole czártów postanowiuł. Więc zawołali na kociół z olejem żeby przyszed, i przyszed na czártów rozkaz, żeby go zesmażyć w tem oleju. Poczeni go parzyć i zaparzyli — Uderzyła pirsza godzina; czarci musieli od niego odstąpić i na swoje miejsce pobiegnąć. Te panny do niego dostąpiły i maściami nasmarowały; tak był zdrów jak ból (w)przódy. Te panny okropnie go prosiły żeby sie móg utrzymać i nie gádać jeszczék bez dwie noce. Ón powiedział że żeli utrzymom tyla bólu, żeli to bédzie w moji możności, to sie spojdziewám. A óny sie cieszyły barzo, bo przez to były jedné część wybawione.

Więc także, w drugij nocy przyszło ónych czártów dwa razy więcy jak w té pierwszy nocy. Poczeli się oni bawić wszescy w kupie z nim razem. Sprowadzili swoją muzykę aby go uwowić (ułowić) do mówienia. Oni wmawiają i dręczą go, że ón wielgim grubijanem jest i ani do rodziców słówka wyrzec nie chce. Czarci ogromnie na niego som rozgniwani. Zawołali na lodę (lada, w której sieczkę rzną) i porznęli ho w drobne kawálki, że królewicza skusić i przyprowadzić do mowy nie mogli. Uderzyła pirsza godzina, a czarci musieli na swoje miejsce pouciekać od niego. Panny (w)stáły, przyszły, i kawálki s niego pozbiérały; złożyły go w całości, i maściami nasmarowały. Wstál i ón zaś. I dziękowały mu za to, że już dwie częściе są wybawine. Prosiły mu sie, żeby utrzmál sie i trzecią noc, że to bédzie najcięższa męka w ty trzeci nocy. Jak óne sobie poszły, tak ón sobie klinknół (klęknął) i barzo sie gorąco modliuł do pana Boga, żeby to pon Bóg niedopuściuł na niego i czartoską moc strąciuł.

Więc trzeci nocy przylecieli czarcia trzy razy więcy jak bóło w tych dwóch nocach. Czarcia delikatnym słowem go witali i bardzo sie grzecznie z niem obeszli, że męków mu żadnych nierobili bo zapómnieli o mękach co mieł przyobiécane. Tak że, pirsza go-

dzina uderzyła, czarci już niémogli mąków zadawać, bo nimogli skórać, i polecieli. Ten królewicz Stanisław klinknoł i dziękował panu Bogu za te szczęśliwą trzecią noc. Te panny (w)stały, przyszły do niego, bo myślały że jes bardzo od czartów zmarnowany. Óne widzą klęncącego na swoich kolanach i poczęny w niego wmawiać, — a ón myślał że to czárty idą do niego napowtór i mówi: idźcie czarty przeklęte napowtór do piekła, bo przystępu po waszy godzinie nimácie do mnie, i mi w moich modlitwach nie przeszkadzajcie! I óne poszły do swojego pokoju napowtór i dały mu sie modlić. Modliuł sie aż do rana, póki panny śniodania nie uszykowały. Przyszły, do inkszégo pokoju go na śniodanie zaprosiły. On z ty ziémi (w)stoł i poszed z nimi na śniodanie.

Poczęny mu po tém śniódaniu dziękować, bo wybawióne od czartów béły. Ta starsza mówiła: czy by sie nie chcioł z nio ożenić? A ón odpowiadá: nie, ni mogę, dziękuje za te cąłóm łaske i dobroś(ć). Te panny powiadają wedle czego ón sie nie może żenić, bo dobrze wiedziały że sie nié może żenić, ale go tak probowały. Wedle tego, że mo Stanisław te złotą gwiozdę na prawym boku, a we dwudziestym roku na szubienicy wisiéć będzie. Ón sie żegna z niemi, a óne powiadają, żeby ón sie jeszczé chwiłkę zatrzymáł.

Óne mu przyprowadziły trzy pieski. Więc, byli tych pannó(w) bracia, trzech, i mają tego królewicza wybawić, ale że byli jeszcze zaklińci, i jeszczé ni mogli. Pirszy pies mioł imie :Obálmur, drugi mioł imie: Przerwij-żelazo, żeby przerwał wszelkie żelastwo potężne, trzeci mioł imie: Rozerwij- gmoch, rozerwij całoś(ć), żeby rozerwál wszysko co jes w całości. Te siostry tém pieskom dały po bułce káżdemu: więc ten królewicz odebrál te bułki dla tych piesków; i kázały żeby przełómál każdą bułke na pół, i żeby dál tém pieskom po połowie; to, jak im dá pubułki, to sie zawsze te bułki odrosną, zawsze bédą cołkie, a żeliby im dál cáłe, toby już więcy, pieski ni miały nic do pokarmu.

Pożegnał sie z témi pannami i poszed sobie w te daleką podróż i szukać ty szubienicy gdzie ón mioł być objeszony. Zachciało mu sie okropnie jeś(ć); natrafił jeden zomek, co musiál do niego wleź(ć). Przyszed do tego pirszego pokoju; bół tam prześliczny zygarek na stole stojący i było (d)lo jedny osoby jadło. Mówi: mój Boże kochany, niech będzie (d)lo kogo chce to jadło,

tak ja siąde i sie posilę. A te trzy pieski ostawiuł przed domem. Jak sie posilił; wychodzi z drugi stancyi jeden wielolud, gdzie ta szubnica już dla niego tak zbudowana bóła. Pyta się: czy ci sie Stanisławie królewiczu — bo tak my już wiela lát za sobą czekali, ta szubinica podobá tak jak ci-k sie ten zygarek podobá?— A ón królewicz mówi: żeli-ć dla mnie jest zbudowaná, tak mi sie podobać musi. A siedziało tam jeszczék dwóch Wieloludów przy ty szubnicy. Także sie królewicz jako Stanisław prosiuł, żeby mu pozwolili jeszczyk sie pomodlić na swojij książce, niż gó mieli wziąć i powiesić. Oni powiedzieli do niego: pospiesz sie i mów, odpraw swoje modlitwy, bo twoja godzina nadchodzi, gdzie mász wisiéć. Ón modlitwy swoje odprawiuł, i teráz westknął na swoje trzy pieski i woła do siebie: Obal-mur! Przerwij-żelazo! Rozerwij-gmoch! tak że te trzy pieski doskoczyły i rozerwały te szubinice na kawałki w tém pokoju gdzie była uszykowana. Także i tych dwóch wieloludów porozdzirli, a tego trzeciego mocarza nimogli auż (aż) sie do serca dostali. Ale zamęczyć gó ni mogły, bo bół okropny mocorz, i jak go darły, tak ón woła na królewicza: Weź Stanisławie rózge, chtóra stoi w kuńciku (kąciku), i biegáj w tym pokoju i umoczaj te rózge w tym wodzie co tu stoi w tym kaminiu po prawy stronie w tym pokoju; uderz mie trzy razy tą rózgo, stane sie kamiénnym, więc mi nie poradzi nicht (nikt) na całkim świecie. Królewicz wzión te rózge we swoje ręce i prędko na kominku noniciuł (naniecił) ogiń; a rózgę czém prędzy spalił, żeby mocarza nie zretował, i siły mocy mu nie dodał. Ten mocorz wielolud mówi: ach, ach, co za moja nieszcześliwa godzina, że já ci-k Stanisławie sposobu dodał, boby ja cie jednak bół moją mocą na szubnicy powiesił. Te pieski Obalmur, Przerwij- żelazo i Rozerwij-gmoch, rozerwały cáłki budynek w niwesz, w gruzy.

Królewicz wychodzi w podróż daleko ze swojémi pieskami, i zaszed gdzie sie nigdy nie spodziwał na takie miasto trafić i nieszczęśliwie (w)stąpić. Ale pu-mieli (pół mili) od tego miasta jak bół, posłał na wywiady tego pieska Obal-mur, żeby sie dowiedziáł co tam w mieście słychać; jako bół ten Obal-mur za lofra (laufra), co mu musiał wszystkie wieście donosić, temu królewiczowi. A te dwa drugie pieski, co kole królewicza były, więc jeden bół za sużącego a drugi za forszpana, chociáż śmiertelnym wózikiem jeździł po (na) swoich nogach. Ten piesek dolatuje do miasta. Siedzi

tam jedna babka z bu(ł)kami. To miasto jes w czarne sukno obite całkie, bo jes cały tydzień żałoba założona. Ta babka co nad temi bu(ł)kami siedziała powiadá: piesek umié gádáć? ja nigdy nie myślała że to piesek umié gádáć — bo ten piesek ij sie pytál: babko, co tu słychać w tym mieście? — Czy umiem gadać, czy nie umiem, ale powiadaj prędko, mówi pies, bo mój pan mnie nadjeżdża, to mu muszę z powieścią doskoczyć. Babka mówi: jako do pieska: powiedz twemu panu że jutrzéjszego dnia bédzie królewiczówna pojedzona od smoka, bo ten król nimoże już więcy dostawić wieprzy, co je smok pojadá, więc także musi dać swoją jedynaczke córke smokowi pojeść, aby w swojim kraju nieszcześliwy nie ból. Ten piesek nawracá do swego pána napowtór, i opowiadá mu te całką historyją co sie w mieście dzieje. Wiéc potem, powiada do swoich piésków: Weźmy sie do kupy, co by my królewiczównę smokowi nie dali pojeść; a chtóż nam dopomoże, kiedy nie pon Bóg w swojim miłosierdziu!

Zaś potem przychodzi do miasta i do jedny oberży wstępuje ze swojemi pieskami. Zapytuje sie królewicz Stanisław tego oberzysty: co tu w mieście słychać? — Ten oberzysta to samo mu opowiadâ, co ten piesek. Pyta sie ten królewicz oberzysty: żeli by ón ni móg iść obznajmić do tego króla, że tu taki znájduje sie w mojij oberzy, co by ón podjón sie wybawić królewiczówne od smoka. Ten oberzysta, jak usłyszoł, z wielką chęcią i radością poszed do króla. Opowiada królewi te całą historyją co ón od podróżnego czło(w)ieka słyszál. Król uradowany, i ta królewa; kozali fórszpanowi zajachać przed oberżę we ftóry (której) sie tam znajdował, i sám król przyjachał po niego. Ów królewicz Stanisław powiedział: jachać nie pojade do króleskiégo pałacu. Nie jachał. Pytał sie zaś tego króla: na chtórém miejscu ona bedzie pojedzona? Król mu powiedział: będzie w jego boru, stoji tam kapliczka świętego Alexandra, tamże w ty kapliczce mo być pojedzona.

Królewicz Stanisław (w)stoł rychło i pobiég do ty kapliczki ze swojemi pieskami, także świętego Aleksandra otwiedziuł. Klienknół królewicz na grádusie przy ółtarzu; począn sie szczérze modlić do świętego, żeby święty tak pana Boga ubłagał, żeby te królewiczówne Stanisław od śmierci ubroniuł.

Przywióz ją, te królewiczówne, forszpan czyli jak to mówili dawnij koniuszy, do ty kapliczki. Już rodzice powiedzieli, że tam

bedzie królewicz czekał na nią, i dali ji bógosławiéństwo jako ociec i matka, co sie już nigdy niespodziwali zobaczyć ji na powtór. Ona wchodzi do ty kapliczki, i widziała Stanisława na gradusie klięczeć przy ółtarzu; więc, tak sie bardzo zalękła, że dziesięć kroków sie od kapliczki odcownęła (cofnęła) — i także od strachu zakrzykła całym głosem, bo óna myślała że tam ten smok czeká na nią. A królewicz mówi do nij: pódź do mnie, klinknij na gradusie przy mnie, bo żaden zły wos (włos) nie spadnie z ciebie; mó(d)l sie do świętégo Alaxandra razem ze mną, tak mi może pon Bóg dopomoże, ciebie od smoka wybawić. Smok przybył i wetkał g(ł)owę do kaplicy, chtóry mioł siédem głów. Mówi do królewicza Stanisława: podej jom sa! (podaj ją tu). A królewicz mówi: żeli jom chcesz, pódź sobie sám po nią. Tak za trzecią razą mówił smok: podej jóm sa! — a królewicz odpowiadá: żeli jom chcesz, pódź sam po nią. Smok jak gorliwym pędem wpad do ty kapliczki, tak leci po nióm. Jak dopada do ółtarza, tak go te trzy pieski pochwyciły, że smok sam niewiedzioł zkąd ón rodem jes(t), tak go poroździerały na drobne kawałki. Wtenczas podziękowali świętemu Alaksandrowi za tę pomoc y panu Bogu. Ten Stanisław wzion te siedem głów smoczych, powyjmował z nich te siedem języków i powinoł je sobie w chustkę. Koniuszy czekał za nią, bo ogromnie bół ciekawy czy ją też ten Stanisław od smoka wybawi. Wtenczas óna sie Stanisławowi prosi, żeby ż nią do rodziców jachał i przysięge mu składá że jego żóną bedzie. A królewicz ani o tem nie chcioł słuchać, ani w głowe sobie nie bráć; ale żeli óna chce czekać rok i sześ(ć) niedziel za nim aż (aż) sie powróci do nij, to sie ożeni,— bo ón jeszczczyk w podróż daleko przyobiécuje sobie iść. Koniuszy wzión ją zdrajca do swojégo powozu. Ten Stanisław odeszed jako sie rozłączył z nią kole kaplicy, a óna mu dała swój złoty sygnet chtóry miała na palcu i swojij pół niedwabny chusteczki chtóro mioła przy sobie i przedarła, a drugą połowe wziena sobie.

Więc tero ją mój koniuszy wiezie bez bór, i cięgiem mówi że jéżeli nie bóła pojedzona od smoka, to bendzie zabita od niego (tego koniuszego), i jak przyjedzie do domu, mo powiedzić rodzicom że ji Stanisław królewicz nie wybawiuł, że go tam (w)cale nie było. Tak óna mu musiała podprzysiądz że za rok i sześ(ć) niedziel ślubować z nim, z tym koniuszym, bedzie; bo miała powiedzieć że ją wybawiuł. Przyjachali do domu, a skorno wyszłá

z powozu, ona swojim rodzicom powiadá że tam niebóło nikoguśko, ani słychnąć ani widnąć, jéno koniuszy aby tam bół, i jóm od smoka że wybawiuł. Ci królewie ogromnie sie cieszyli, i koniuszy łaski wielgié(j) do pałacu dostąpiuł. Tak sobie żył jak jaki ksióże (książe). Jak to wszysko miał przyobiécane, tak cichaczem wyprowadziuł sobie swego nálepszego konia i w pogóny za królewiczem Stanisławem pojachał za nim, jako go chciał zabić, bo sie bojał żeby sie nie powrócił napowtór gul (g'woli) niewydania (odkrycia jego zdrady).

Ten Stanisław królewicz położył sie za tem borem niedaleko na jedné zielóno łączkę, bo bół bardzo strudzony i zachciało mu sie spać. Opómniał swoje pieski że go miały pilnować posobicą (osobno) káżdy. Te pieski poszły sobie na łów, dwa. A temu trzeciemu sie bardzo dłużyło że ich nie widać, i poszed za niemi. Ten piesek trzeci, sobie łapáł myszy, i tak je sobie kład na kupke, co je chciáł zaś rázem zjeść, a łaska (łasica) niedaleko zobaczyła co ón sobie pięć, sześ(ć) na kupke nakład tych myszków, i chuchnęła, a wszystkie myszki z kupki się porozlatywały i powlatywały w mysze dziury na powtór. A pies jak łapie tak łapie, i na kupke kładzie, i nie wie gdzie mu sie te myszki podziewają. (H)ale sie ten piesek zasadziuł, i widzioł że mu łaska psotę robi. Wtenczas, jak złapáł te łaskę, chciáł ją zagryź(ć). Okropnie mu sie zaczęła prosić, żeby jij życie darował. Ten piesek mówi: żeli ty mnie nauczysz to, że: jak te myszki sie rozlatują z kupy, to ci życie daruje. Ten piesek leci do swego pana, tam gdzie społ na zielóny łączce, i chcioł to swojemu panu powiedzieć, i pochwalić się co on sie nauczył i co ón to potrafi. A tu przychodzi do swego pana, a pon już g(ł)owe ściętą ma od koniuszego, już go koniuszy zabiuł. Ten piesek zacznie wyć nad tym panem swojim, auz sie te dwa pieski do kupy zbiegli, że byli wszyscy w kupie. Jak sie zaczęni gryź(ć) jeden drugiego, że pana niepilnowali, auż sirz (sierść) z nich wylatywała. I mówią do siebie: co my tero pocznemy, kiedy my pana zagubili.

Ale mioł tam orzeł młode (pisklęta). Ten jeich pon zabity, mioł przy sobie dwie flaszeczki i śpagat. Przywiązali te dwie flaszeczki do tego śpagatu, a tego orła posłali po żywą-mártwą wodę przed piekło gdzie sami czarci pilnują; tak w połedniewą godzine musiał zalecić ouż (aż) przed piekło; tym czartom musioł skraś(ć) te wodę i tym pieskom przynieś(ć), a óni te młode

orlęta żywili temczasowo,— bo jak nie, to by go były (tego starego orła) zażarły i te pizględa. Pieski te odbierają od orzła te żywą-martwą wodę, chtórą ón z piekła czartom ukrad w południewą godzinę, jak czarci poszli na objad. Jeden pies drugimu lał te wodę na pazurki, a ten trzeci przysadzál do szyji te głowę pańską; jeden z tych piesków mówi do niego: tylko ty nie przysadzáj krzywo, ino jóm przysádź prosto, bo nasz pon nimioł krzywy g(ł)owy. Więc poczęni tą wodą p a z g a ć (czyli naciérać) po téj ranie, gdzie pon mioł przeciętą głowę, poczęli jóm smarować, — i g(ł)owa przyrosła. Pon żywcem zmartwychwstoł. Pon wrzeszczy: o Jezus, moje pieski, dajcie mi pokój, ja tak smaczno spál, a wy mie przebudzácie. Óne te pieski powiadają: zobácz pon na szyję, gdyż pon mioł obrączkę na szyi, a my głowe przysadzili, i żywą-martwą wodą nasmarowali, do życia pana przyprowadzili, czy jes ta obrączka jeszczé? Tak pon powiada, że mo obrączkę, (h)ale pódźmy ztąd dalij, bo b'my tu wszyscy nieszcześliwi pozostali.

Idą. Jak przyśli pod to samo miasto (bo ten pon leżał rok i pu-pięta tygodnia tam jako zabity) i poznać go nimóg, bo im wcale obskie miasto sie wydawało. Pan mówi do swego pieská loufra: idź i dowiédz sie znowu co tam słychać w tym mieście. Ten piesek poszed i natrafił te samą babkę, i pyta się: babko, co tu słychać w mieście?— Babka mu opowiadá: miły piesku, boć już raz cię znáję, boś tu bół i pytałeś się przody; powiédz twojemu panu, chtóry-ż jedzie na śmiertelnym woziku o dwóch nogach naturalnych za tobą, że koniuszy chtóry wybawiuł od smoka królewiczówne bedzie brál trzeciégo dnia ślub z tą królewiczówną, jest tó radoś(ć) w mieście wielgá. Ten piesek leci i powiadá to swemu panu jako Stanisławowi królewiczewi. On przychodzi królewicz, gdzie?— do ty oberzy i do tego oberzystego gdzie bół przed rokiem. I nie poznál go Tak sie pyta i co tu słychać?— Oberzysta mu to samo opowiadá co ten piesek, jego lofer (laufer). Stanisław ten założył sie z tem oberzystą o tysiąc talarów, ják ón pośle swego psa z listem do pałacu do ty panny królewiczówny Anastazyi, to przyniesie ze stołu strawę chtórą jeszczék goście wcale do ust nie wzięli.

Przykázál temu psu mocno, jak mu dál ten list, że jak mu ta królewiczowna da ten obrus ze stołu (co w tym pęczku miáła być zawiozana ta potrawa) tak ón mo suknią na nij rozedrzéć tyla co bedzie móg. Przyszed ów pies przed bromę, a żałmirze

na puście czyli na wasze (Posten, Wache) stojęcy niechcieli go wpuścić do pałacu; odganiali i płoszyli go. Tak mój pies bez płoty i ogrody jak przeskoczy, tak choć wpad w wułżywkę (uwżywkę, gnojówkę), przecie-ć sie dostał do pałacu. Pies ból zmarnowany i zmóczány, że tam niemało w pokoju miedzy gościami kadzidła od ty wułżywki narobiuł; (h)ale królewiczówna na to nic nie zważała, ino od psa list odebrała jako od znajomnego (v. znajomczego) psa (óna go zaro poznała, tego psa). List przeczétała, ucieszyła sie ogrómnie i bez psa posłała strawów nálepszych temu Stanisławowi do téj oberzy. Królewiczówna odprowadziła oż za bromę psa i przykázała żálmirzom żeby psów nie płoszyli, nie źgali, gdyby się zdarzyło żeby jeszcze więcy mieli przyść. Pies przynosi na oberżę ten prezent chtóry królewiczówna temu Stanisławowi przysłała, a ón siedział z oberzystą i czekał za tem. Oberzysta mioł płacić te tysiąc talarów, (h)ale mówił: przecieć bez wielgi honór, jakby to było od króla, żeby to nimioł przysłać, te pirszą stráwę. Więc królewicz powiedá: niechże stoji te tysiąc talarów, i ja kłade swój majuntek co ja go móm, że jak psa poślę z listem, to król sam przyjadzie po mnie z fórszpanem. A oberzysta założył się o cáłki majątek, że nie przyjadzie król po niego.

Królewiczówna wziena swojich rodziców do osobnego pokoju jak list od drugigo psa przeczytała, i powiedziała: że ten jest i znájduje sie w ty oberzy, co ją od smoka wybawiuł. Król każe zaprzęgać, gul niewydania (g'woli, żeby koniuszy sie nie dowiedział) sześ kóni do powozu; król jedzie najpiękniejszym powozem tak, że ani goście nie wiedzą gdzie. Przyjachał przed oberzę,— tak,— że oberzystemu nic więcy nie przyszło z jego majątku, jak wyjść o kijaszku z domu bez świat. Oberzysta zaczón płakáć i prosiuł żeby mu Stanisław darował, że już nie bédzie więcy czynił i zakładáł sie o swój majątek, bo nie wié z kim mówi.

Król wzion Stanisława do swego pałacu, była radość wielga i jak by sie tam nawięcy znowu cáłki świat narodziuł. W drugim dniu zaczęni sie oboje spiérać, koniuszy ze Stanisławem, przy przy wszystkich gościach, o te smocze łby, chto ich poucinoł, bo ón koniuszy te łby prezentówał Stanisławowi i gościom, bo ón je miał, co je pozbiérał. A Stanisław pytá sie: a nimają te łby języków?-- A koniuszy odpowiadá że: nimają. Tak Stanisław wyjon te języki ze swojij chustki, co mioł zapakowane, i wzion te języki i poprzykładał do każdy gęby do tych smoczych głowów,

i wszystkie pasowały dobrze. Stanisław swoje psy schował do jednego drewnika (drwalni) co óny tam ztąd nie wyszły. Ten koniuszy zabiéra się do ślubu z tą królewiczówną, jako już jachać mieli, i ona sie ubiera. Ta królewiczówna Anastazyja ubrała wielgą pupkę (lalkę); poczyna się użálać przed tą pupką przy tych wszystkich paniach co ją ubiérały: moja kochana pupko nie wydaj mnie, bo jak ci-k sie spowiédám i użalám sie że mnie koniuszy nie wybawiuł ino Stanisław. Goście to posłyszeli i tego koniuszego zaráz złapali, powrozami go związali, wołami go roztargali.

A Stanisław zapómniał w tym ambarasie o swojich pieskach, i pojachał do ślubu, z królewiczówną bez tych psów, chociaż óne psy sie go prosiły żeby mu mogły przy akcie weselnym służyć, jako sie i óni spojdziwali być ludźmi, (żeby ich był wypuścił, toby sie byli przeminyli w ludzi, byli by sie z ty skóry strzęśli i byliby ostali królewiczami). Przyjachál królewicz Stanisław z kościoła ze swoją małżonką Anastazyją. Posłyszeli ludzie jak sie te trzy psy gryzły w tem drewniku, doskonały zgieł(k) zrobiły, wtenczas kiedy ón jachał od ślubu. Do pokoju donieśli ludzie że sie okropnie psy gryzą. Królewicz sie przeląk(ł) jako Stanisław o tych zapomnionych psów, że ich nie wyzwolił z tego więźnia gdzie óny siedziały, a wyńść nimogły. Dopad do tych piesków i otworzył im, i zaczón ich przepraszać. Pieski mówiły: weź pałasza i poścináj nam głowy, bo na to inakcéj nám już nie przyjdzie; nasze'ś siojstry trzy wybawiuł, to'ś i nas móg wybawić. Więc im poścináł głowy, tak, sie zrobiły białemi gołębiámi i w powietrze uleciały. I poostali zbawione.

A já, jak bółem na tym weselu, także mi dali kawał miésa, kawał placka, i najeść tyla, co mi moja dusza roczyła. Oj jaka to tam była zábawa na tém weselu dopiro, to jo nieumiem opowiedzieć tego. Zabrálem ja sie do domu, przyszedem do boru jednego. Siod'em jo sobie na środku boru, i odpoczyłem sobie. Oj, jak ja sobie zcapiuł ten pień miesa w jedne rękę, a ten sztuk placka w drugą rękę, z tego wesela co mi dali, — to jak já zaczón obrabiać ten sztuk miesa i ten kawał placka, to óż sie z gęby kurzyło. Więc jachali dwóch winiárzy z winnem; im się konie zmęczyły i strudzone były, chcieli je papásać, ale wody nie mieli. Ano pytán ich sie: moji panowie, czego wy szukácie? A óni powiedzieli: do polánia obroku dla koni wody. Ja kulawy, jak żem

złapał dwa węborki, jak pójde po wodę, to áżem sie kulál po nio z temi węborami. Ja jim trzynius (przyniósł) ty wody, óni koniom obrok poláli aż wodę wyláli. Natoczyli mi za to węborek winna ci winiárze, i potem kouzali mi pilnować tego winna i tych bryków w boru. Mnie to winno zasmakowało, tak, że já sobie chcioł jeszczék węborek tego winna utoczyć, a to winno jak leci tak leci, nie potrafiłem beczki zaśrubować. Ten węborek musiałem pomału ćpić z tym winnem i także uciékać do boru, bom ich sie bójał. Przyszed'em w jedną topiel wielgą i chciáłem się tam ukryć między tą trzcinną, tak, że ja wpód w te topiel oż pod szyję. Przyszed lew i wilczyca. Chcioł mnie lew tam zeżryć, (h)ale odeszed, a bo mnie wilczzca odbroniła. Tak ja sie złapál wilczycy za ogón, i zakrzyknołem na wilczyce: ha hu! ha hu! tak óna się zlękła i przyniesła mnie aż héń tu do Morownicy.

## 20.

## Dydak i Dziad z mosiężną brodą [1]).

(Siłacz Dydak spotyka trzech olbrzymów: Kopi-kamień, Kopi-góra i Dębary. Zmogli dziada z mosiężną brodą. Uciekł do jamy, do której się za nim spuścili. Zabił go Dydak i wyswobodził trzy panny, (ze słońcem, miesiącem i z gwiazdą). Gryf wynosi Dydaka z jamy. Żeni się z panną - gwiazdą).

od Wyrzyska, Samocina.

Ráz miáła matka synka; dawała mu ssać piersi bez siédem lát. Jak tak siédem lat dytkał pierś, to taki był duży i mocny, niebody (bodaj nie) jak taki co ma dwadzieścia pięć lát. Zwál sie Dydák [2]).

Tedy poszed na wędrówke od matki. Natrafił sześci chłopów, co wieźli żelazo, i uwięzgli, zarzli w błocie. Prosili go sie, żeby im pomóg tam sie wydostać ztąd. Tak ón mówi: já wás tu wypomogę ztąd, abo (ale) my dácie tyle żelaza, wiele já go uniosę. Ci mówią sobie: przecie, choćby ón wzión pręt żelaza, to więcy ón nie uniesie. Przystali na to. Odjąn łańcuch od jedny fury, od

---

[1]) U Niemców okolicznych, którzy również baśń tę znają, nosi on nazwę: Cycmal (Zitz-mahl). —

[2]) *Lud*, Ser. III, str. 113. — Ser. VIII, str. 76.

drugi fury, od trzeci fury, áż do ostatniéj, wszystkie sześć łańcuchów; złożył je sobie do kupy, skręcił je ze-soby (w jedno), i jak zaczął kłaść żelazo na te łańcuchy z jedny fury, z drugij, i tak do końca, tak wzión to żela:o całkie, zabrál sobie na ramie i poszed do dom. Potem do kowala we wsi; i kázál sobie ukuć loŭske (laskę) z tego żelaza wszéstkiego.

Przyszed do matki; tedy ją ćpił, te loske, w powietrze do góry, i jak leciáła tam het aż pod niebiosy, tak ón sie położył do łóżka aby sie przespál i mówi do matki: Jak sie taki szom (szum) zrobi, to mnie matko obudźcie, bo bandie (będzie) spadała. Powstál taki wiátr, szóm, tak za dobre dwie godziné, — i matka go obudziła. A ón wyszed na wieś, (na dwór) i wystawił na przód ręke (czasami mówią: ranke) dłonią, i ta láska mu padła końcem na dłoń. Láska sie skrzywiła na pośrodku i ręka mu udrgła na dół. Tedy mówi Dydak: hola, matko, jeszcze musze siedém lát dytkać (ssać piersi).

Jak drugie siédem lat wydytkál, poszed napowtór na wędrówke, pa-pa (patrzy) i znowu-k natrafił sześć fur żelaza, i to samo zrobił co z temi piérwszemi, zabrał im, tym chłopom, to żelazo. Dál sobie dokuć óne żelazo do téj saméj laski (a tak, już miál láske ze dwunastu fur żelaza). Tedy ją puścił znowu pod obłoki, pod niebiosy, i znoŭ położył sie spać: matko, jak sie taki szom zrobi, to me obudźcie. — Matka téż go obudziła. On wystawił ręke na przód, láska stanęła mu prosto, ręka mu nie udrgła. Wtedy powiedział: teráz dobrze, — i poszed z láską na wędrówke.

Jak idzie, tak idzie. Natrafił jednego, pyta go sie: A wej sasa! (hejże, ady tu!) coś ty za jeden? — A ón powiadá: já jezdem Kopi-kamiń; jak kopne kamiń, choć i náwiększy, to sie zaráz w mąke rozsypie. — Dobryś! pó (pódź) ze mną, mówi do niego Dydak.

Idą obaj, natrafili trzeciego: A wej! coś ty za jeden? — Já jezdem Kopi-góra; jak kopne górę, to sie dół zrobi w tém miejscu, a gdzie dół był, tam sie zrobi góra. — Dobryś! pó (pójdź) z nami, pórno (porówno, wspólnie, pewnie) mówi Dydak.

Idą dalij, natrafili czwartego: coś ty za jeden? — Ja jesdem Dębary, choć náwiększy dąb, jak go złapę, to go zaráz na maść, na mąke pokruszę. — Dobryś! pó (pódz) z nami! —

Idą wszéscy szterech. Przyśli w ogromny bór, natrafili taką małą chałupke, taką budę. Wleźli tam do chałupki, bo noc ich

zaszła. Béły tam pomiany (różne rzeczy) [1]) béło co jeść, co pić, abo (ale) wszéstko béło serowe (surowe). Najedli sie, napili, przenocowali sie, rano wstali. Teráz mówi Dydák do Dębarego: toro tu ostań, a my pódziem' na polowanie, ugotuj objád.

Jak mu sie w nálepszem gotowało, a tu przychodzi dziad z mosiężną brodą [2]) i powiadá: A wej, coś ty za jeden? — Já jezdem Dębary, jak kopne dąb, to sie rozsypie w drobny mak. — A ten stary powiadá: Já jezdem starzec z mosiężną brodą mom bat ze skór stó ruskich uołów (wołów). — Jak sie schwycili, jak sie zaczną bić obadwa; wybił stary Dębarego, wyrznoł mu pas ze skóry z pleców od karku aż do d..., potem mu ogień na kóminku wygasił, jadło mu z garków powyrzucał i powyliwał i poszed sobie prek.

Ci drudzy przychodzą z polowania; nie znaleźli nic, télko jego (Dębarego) w łóżku chorego. Naniecili świéżo ogień, pozastawiali sobie garki, gotują pantówki (ziemniaki), aby zjeść co mogli, i przenocowali sie. Na drugi dzień ostał w domu Kopikamień, a óni pośli znowu wszéscy trzej na polowanie. Temu Kopi- kamieniu starzec zrobił to samo co Dębaremu.

Na trzeci dzień ostáł Kopi-góra. I temu stary dziad zrobił to samo co tamtym. A nie chcieli powiedzieć, co ich to spotkało.

Na czwarty dzień ostáł ten Dydák, kiedy óni znoŭ pośli na polowanie. Tak sobie ten Dydák ogiéń nałożył, gárki ponastawiáł, a láske postáwił sobie w kąciku. Objád mu sie gotuje wesoło, że ino bębni. Przychodzi ów dziod, pyta go sie: coś ty za jeden?— ty tłuczy-kącie (włóczęgo). Ja jezdem Dydák, com sztérnaście lát dytkáł i mom loŭske ze 12 fur żelaza; a ty coś zá jeden? — Já jezdem Starzec z mosiężną brodą, mom bat ze skór sto ruskich wołów. — Jak sie złapali, jak sie zaczną bić, — wybił ten Dydak tego staruszka, złapáł go za te mosiężną brode lewą ręką i wyprowadził go za te chałupe. Była tam ogromna brzoza; w prawą ręke wzion te láske, jak huknoł nią w te brzoze, ta brzoza sie rozszczepiła. Tedy on temu staremu wetknoł te brode i wszczepił mu ją, — láske wyjón, i ostawił go tam siedzieć.

---

[1]) Ser. IV str. 275.

[2]) *Lud*, Ser. VIII, str. 9 (miedziany dziadek).

Poszed nazad do chałupy, nagotował jeść, i ponaliwáł na pumiski. Ci przyśli z polowania, a ón zdrów, pozastáwiáł iém na stół. Oni posiedli, jedzą, a względują jeden na drugiego, co sie to zrobiło. Jak sie najedli, tedy ich sie pyta, co iem sie tu stało bez te dnie? — A oni nie wiedzą, czy gadáć czy nie. A ón rzek: już já wiem, co wám sie stało, pódźcie ino go zobáczyć, tego, co wam tu tak donáglał. Pośli wszéscy obaczyć, a ónego już nie było; wyrwáł brzózke i poszed sobie z nią w świát, ale brzózki nié móg uniéść, ino jom tak wlik (wlókł)z tym piéńkiem.

Ale óni sie wzieni do kupy wszyscy, i mówili: pódźma za nim tym śládem, co tu widać. Śli tym śládem na taką ogromną góre; na ty górze była ogromna jama, a w te jame ten stary wlaz z tą brzóżką. Tenczas ten Dydak mówi: Kopi- kamiń, ty pódziesz do miásta po dzwonyszek; Dębary, ty bedziesz dár(ł) łyko z drzewa; Kopi-góra, ty bedziesz kręcił powróz, a já będe plót(ł) kosz. — Jak Kopi- kamiń przyszed z miasta ze dzwónkiem, a tamci ukręcili powróz i upletli kosz,— tak wsadzili tego Kopi-kaminia z dzwonkiem w ów kosz, i spuścili na powrozie w jamę. I mówi ten Dydak: jak tam bedzie źle, to dzwóń, to my cie wyciągniem. Spuścili go tak ze sześć łokci, źle, ón dzwóni, wyciągają nazád; — spuścili drugiego Kopi-górę, dzwóni, wyciągają; — spuścili trzeciego Dębarego, jeszcze nie tak daleko, dzwóni, wyciągają; spuścili czwartego Dydaka, ten już nie dzwóni, i tak w całą skałe go spuścili fort aż na dół. Ci trzej zostali tak na świecie, a ten czwarty był w ziemi, w jamie.

Przychodzi Dydak do taki budowni przeklęty, otwiéra tam dźwirze (drzwi), a tam siedzi na sydlu (krześle) ten dziad z mosiężną bródką, ale już sobie obcion (obciął) te brzózke, ino taki piéniaszek (pień) z nij má. Jak sie schwycili tam zará(z) napowtór, jak go zaczon rznąć, walić, tłuc, aż mu Dydak podción giry (nogi) a potem i na śmierć zabił. Potem tám-oj było dalij jeszcze trzy pokoje; a to także béło takie przeklęte,— a w káżdym pokoju była panna, siedząca na sydlu (krzesełku) z opartą nogą o ryczkę (ławeczkę). Jedná, starsza, miáła na ściánie s(ł)ońce, druga miesiąc, trzecia najmłodsza gwiozde. Ady wzión je wej wszéstkie trzy do tyj jamy. Tenczas wsadził te starszą w kosz, dzwónił, a ci co ostali na górze (Dębary, Kopi-kamiń i Kopi-góra) wyciągli ją na świát; — potem wsadził te średnią, dzwónił, wyciągli go; — zaś potem wsadził te trzecią,

dzwónił, wyciągli ją. Ale ten miesiąc, te sońce, i te gwiozdę ón tam otrymáł (zatrzymał sobie). Spuszczają kosz po niego. A ón zaś włożył ogromny kamiń w kosz; óni wyciągli do połowy w góre, i nagle urzli (przerznęli) na wiérzchu powróz, i ten kosz spad na dół, bo go, Dydaka, khcieli, namówieni przez Kopi- kamiinia, ostawić hejna (tam) żeby sie zabił. Potem myśleli że zabity ostał w ty jamie, zaś sobie pośli w insze, dalekie kraje z temi pannamy, do tego króla, chtórnego óne były córki. Ten Kopi-kamiń mioł sie już z tą nájmłodszą żenić, z tą co to ją Dydak kciáł, — i ci drudzy ze swojemi, co każdy miáł jedną dlu sie (dla siebie).

Ale ten Dydak tego starca wywlék z ty budowni w te jame, bo mu tam był smród wielgi z tego cielska zabitego. A przychodził tam i pták Gryjf, bo miáł tu swój żyr, co mu go brál z tego starca cielska. Więc ten Dydák chciál tego gryjfa zabić; ale gryjf go sie prosi żeby mu darował życie a ón go za to tam wypomoże ztąd. Jak ten gryjf najád sie ściérwa z tego starca, tak się wzmóg(ł), i wzión Dydaka na plecy (grzbiet) samego, bez ty żelazny láski, boby był ji nie uniós, i wyniós go na wiérzch. Potém go znów wzión na siebie w powietrze, i poniós go za jego kamratami (Kopigórą i t. d.) do króleskiego miasta [1]).

---

[1]) Dr. A. Bastian (*Reisen in Siam*) „Jena 1867. III. s. 141) mówi: Na pomnikach Kambodżij służy wielogłowy wąż za ozdobę mostów, wspinając się przy przyczółkach w górę jako opiekuńczy ich strażnik. Ale na dachach pagód czyli świątyń ukazuje się wąż ten jako gad zwalczony przez człowieka-ptaka u stóp tego ostatniego. — Tu robi Bastian uwagę, że w Chinach nie dostrzegamy podobnego przeciwieństwa między ptakiem a smokiem, gdyż tam smok o pięciu szponach symbolizuje cesarza, a fenix cesarzowę. Adam Bremeń'ski mówiąc o Litwinach, wyraża się: Dracones adorant, cum volucribus, — Apulejusz zaś mówiąc o szatach ludzi poświęconych: hinc dracones indici, inde gryphes hyperborei. Na początku był nie-starzejący się czas w postaci smoka wyobrażony (wedle Danrascius'a). Movers wskazuje z Syryjskiego jako węża, zdobną jak narzeczona przez wszystkich bogów Harmoniję. Orzeł w szponach trzymający węża, uważany był za godło zwycięztw u starożytnych (Pliniusz) jak i u Azteków w Ameryce. Na osice Ygdrasil wznieciła wiewiórka kłótnie pomiędzy orłem i wężem Nidhugger. Ptolomeusz wspomina o wężach, które podczas ofiar ludzkich spełnianych nad rzeką Indusem połykały wszelkie latające tam ptactwo, gdy tymczasem w Egipcie skrzydlate węże przez ptaków by-

Właśnie wtenczas ten Kopi-kamiń wdział na sie paradną suknią (surdut), co miál iść do ślubu z tą młodszą, co była przy gwieździe. Ale-bo óna bez ty gwiozdy do ślubu iść nie khciáła. Tak ten Dydak udál sie za złotnika, i niby zrobił te gwiázde (bo ón już ją miál, z ty jamy wyniós). Jak te gwiozde przyniós, tak mu óna zaroz struchláła; tak zaro hyc! i łapie jego za szyje, i z Dydakiem sie żeniła, a tamtego puściła. Przed weselem jeszcze, tego Kopi-kaminia zdrajce (r)ozstrzelili, a tamtym darowali, bo ón ich namówił. Kopi-góra sie ożenił ze starszą. Dębary ze średnią, Dydak z młodszą, i wtenczas Dydak pooddawál i tamtym także, jak już były, ożeniáte, jejich s(ł)ońce i miesiąc.

## 21.

## Historya

o rycerzu złotoskrzydłym, o porwanej dziewicy z drogim klejnotem i o złotym zamku [1]).

Opowiedział Ignacy Danielewski.— Poznań (Księgarnia Chociszewskiego) 1875. (Skrócone).

Treść tej baśni podają tytuły rozdziałów:

I. Jako zginęła dzieweczka z drogim klejnotem, i jako zmarnięli ludzie na jéj szukaniu. — (Była córką możnego i bogatego pana. Wyszła do ogrodu, na pole, do lasu — i zniknęła. Szukali jéj długie lata; ludzie się przytém postarzeli, ba nawet pomarli, ale syn od ojca, wnuk od dziada dowiadywał sie o niej i szukał jej i klejnotu jaki z sobą zabrała a który był droższym nad wszystkie skarby).

II. Jako pachole ubogie znalazło kości pod kamieniem i miecz z napisem, a żyło na puszczy jajami ptaków i miodem pszczół dzikich. — (Szukało też jéj pachole; szło w upał letni, spragnione, po piaszczystej drodze i doszło do wiel-

---

wały pożerane. Podług Aelian'a, bazyliszek boji się koguta, i umiera przy jego pianiu.

[1]) *Lud*, Ser. VIII, str. 3. Szklanna góra.—

kiego kamienia, przy którym dużo było ludzkich kości; kopiąc znalazło ono rycerza w zbroji a przy nim miecz poszczerbiony z napisem na brzeszczocie. Wytrysło źródło, a idąc nad strumieniem, spostrzegło pachole gniazdo wielkiego ptaka a dalej rój pszczół, i tu się żywiło).

III. Jako pacholę uczyło się pisma i odczytało znaki na mieczu, i szukających zgromadziło przy kamieniu. (Na mieczu napis opiewał o dzieweczce, że: Zaginiona, zatracona, — w silnem miejscu osadzona, — straż podwójna, bardzo czujna, — strzeże jej tam dniem i nocą, — a nie zdobyć jéj przemocą. — Niema drogi, do niebogi; — przy niej puszcza głodem zieje, — silne klamki, zwarte zamki, — klucz zgubiony — krew się leje. — Droga prosto, ruszyć ostro, wszyscy razem, — ale trzeba miéć ze sobą — co potrzeba każdą dobą).

Młodzieniec zebrał towarzyszy przy kamieniu i mogile, i objaśniał ich co do dalszej drogi).

IV. Jako wróciwszy (do siedzib) wszyscy do wyprawy długo się gotowali, potem ponownie wyruszyli i wracali, aż wreszcie w pustyni osiedli. (Pięć lat przygotowywali się do drogi, i wyruszyli; lecz widząc przeprawę ciężką i okropne tam bagna, wrócili po wielkich trudach. Wyruszyli po raz drugi i znów po latach pięciu poczęli drogę torować; lecz w końcu obaczyli wysokie góry i gdzieś w oddaleniu błyszczący zamek z dziewicą. Wrócili po raz trzeci, i zrobiwszy trzecie przygotowania, po 5 latach ruszyli na dobre i napotkali wielką puszczę, którą uprawić trzeba było, nim się do zamku mogli dostać).

V. Jako się przez puszczę do złotego zamku przeprawiali, opędzili się pokusie (co im dziad staruszek doradzał), oraz o śpiewających ogrodach i drugiem kuszeniu głodnych. (Idąc, przechodzili koło jezior z łabędziami i złotemi łódkami w których śpiewały przecudnej urody dziewice, dalej koło ogrodów pełnych przepysznych owoców. Oparli sie pokusie by je rwać — i szli dalej, bo wszystko zniknęło jak bańka, i tylko wśród piasków dziad, który ich zachęcał do wytrwałości, siedział na wielkim kamieniu).

VI. Jako spadła mgła gęsta i przeróżne strachy, jako ujrzeli mękę dziewicy i jakie było obwarowanie zamku, a żałość

między ludem. (Mgła zaciemniła pochód, a przykrości powiększały się, jak: przeraźliwe krzyki wojenne, ryk zwierząt drapieżnych, wicher walący drzewa i kłody i t. p. dopiero modlitwa ich uspokoiła to. Wreszcie ujrzeli zamek na stromej szkłem błyszczącej skale; na wieży siedziała cudna lecz smutna dziewica, a na piersiach jej błyszczał wielki klejnot, jakoby słońce; w koło niej trzy sępy; jeden jakoby chciał wydziobywać mózg, drugi do serca i piersi się dobierał, trzeci do ust i języka. Towarzysze ujrzeli zamek potrójnym otoczony murem; pierwszy kamienny, drugi żelazny, trzeci ze szklistego kamienia. W murach jedna tylko brama silnie obwarowana, lecz nie było mostu. Na kamiennym murze smok przy smoku ziejący ogniem; na murze żelaznym potwory o długich szyjach wyciągających się po za mur; na szklistym murze potężne ptaki, gryfy. — Młodzieniec nasz kazał kopać rowy, wznosić wały, lecz odwrócone mieć oczy od zamku).

VII. Jako smoki ogniem omylono, do kamiennego muru dotarto, i bramy wysadzono; potwory gubiono, łabędzie nakarmiono, na wodzie daremno budowano, woda się rozstąpiła, olbrzymy z łabędzi wyrosły i znikł mur żelazny. (Udawał dowódca że przypuszcza szturm do bramy, a wszystkie smoki poczęły tu ziać ogniem; wtedy on tych smoków obszedł w ciemności i pod sam mur podszedł, bo smoki, mając sztywne karki, tu już szkodzić nie mogły. Do bramy żelaznej nie było klucza; więc ją rozpalono i zrobiono otwór; gdy weszli, smoki i brama zniknęły. — Teraz przeprawiono się przez wodę; gdy się w nią rzucono, rozstąpiła się, a stado łabędzi na niej przemieniło się nagle w olbrzymów w żelazo rycerskie kowanych. Rzucono się na potwory żelaznego muru o długich szyjach; i tu dowódca ich obszedł, a ginęły od pochwyconego w paszczękę paliwa, które na nie ciskano; gdy wojownicy nasi wstąpili na mur żelazny, ten malał wciąż i zniknął zrównawszy się z ziemią).

VIII. O rzece warem kipiącej, rybach miedzianych, drzewach w rycerzy konnych przemienionych, oraz jako znikł mur trzeci ze szkła ulany. (W rzece gorącej pływały duże ryby o łuskach miedzianych a w paszczy ich sterczały kły jakoby krokodyle; u brzegów stały drzewa skrzypiące, jakoby

z zardzewiałego żelaza. Gdy pod tę wodę się podkopano, drzewa skłoniły się ku wodzie i upadły, a w ich miejscu stanął szereg konnych rycerzy w zbroi, z paszczy zaś ryb wychodzili piesi kopijnicy, jako pomoc dla naszego wojska.

IX. Jako idąc na zamek, z gryfami walczyli; ziemia się rozstąpiła, płomienie z przepaści buchały, woda ich zalać groziła, a cudowna pomoc ich wybawiła. (Wojsko to pobiło chmurę całą gryfów, których szpony tępiły się o żelazo zbrojnych, aż w końcu z szumem jakoby wzburzonego morza, gdzieś zniknęły. Teraz roztwiera się przepaść buchająca płomieniem; ale konni rycerze przybierają dawną postać drzew i kładą się pomostem po którym wszyscy przechodzą, i płomienie gasną. Teraz woda wzbiera od strony zamku i zalać jch usiłuje, ale olbrzymy, kopijnicy i rycerze konni kładą się zrzuciwszy swą postać i tworzą tamę, a woda odpływa).

X. Jako na zamek ruszyli, strachy zwyciężyli, do złotych ścian dotarli, drabiny zarzucili, bramę otworzyli, potem ze strachu upadli, a złotoskrzydły rycerz wzniósł się na wieżę, tam biały ptak przed nim leciał i sępy pobić pomógł, a potem zniósł go z dziewicą na ziemię i co się potem stało. — (Zwalczyli jeszcze stado byków godzących na nich rogami, i różne strachy piekielne. Wreszcie dotarli plecami do złotych ścian zamku. Gmach zamknięty na siedmiorakie zapory; klucza niema. Dowódca kazał stawiać drabiny, i po szczeblach szli coraz wyżej, gdy drudzy dorabiali klucze i otwierali zamki. W tem huk powstał straszliwy, zamek jakoby się chwiać począł, wszyscy się zalękli i staneli; sam tylko dowódca śmiało jakoby w powietrzu szedł naprzód. Z barków wystrzeliły mu złote skrzydła, a z walącego się zamku uniósł się ptak biały, strzepnął z nóg pęta, i szybkim lotem przewodniczył naszemu złotoskrzydłemu rycerzowi ze starym owym mieczem w ręku, dolatującemu szczytu wieży. Tu rozpoczęła się walka z trzema sępami, których ubił, i łańcuchy dziewicy przeciął. Pochwycił ją w ramiona, a biały ptak vziął ich na siebie i osadził na ziemi, gdzie żyli szczęśliwie. Olbrzymy kowane, kopijnicy i rycerze koni pokładli się na ziemię aby odpocząć na zawsze snem śmierci; bylito ci, którzy dawnemi czasy szukali dziewicy a nie

wytrwali do końca, Runęła wieża, a z zamku nie pozostało ni śladu, bo był cudzą zbudowany krzywdą.

## 22.

## Królewicz i trzy panny.

Król ma trzech synów. Najmłodszy głupi. Każe im pilnować jabłek na jabłoni po kolei. Najmłodszy znalazł złodzieja pod ziemią. Tam był smok i 3 panny. Zabija smoka. Panny mu dają koronę, okrycie i trzewiki. Bracia i ojciec zdradzają go, zostawiając w jamie. Pustelnicy dają mu obrusik i kij. Wydobywa się na wierzch, wydaje wojnę ojcu i braciom i zwycięża.

Przemęt.

Razu jednego, czasu dawniejszego, więc mioł jeden król trzech synów. Tych dwóch miáł mądrych a trzeci bół tak niespółna rozumu. I miał w ogrodzie prześliczną jabłoń, chtera była obmurowana w murze (opasana murem) tak, że ta jabłoń wydawała złote jabka, które złodzij chodził co noc kraś(ć). Tak ten król mówił do tych trzech swoich synów: gdyby óni mogli właśnie każdy posobicą (osobno) pilnować co noc; gdyby te jabka mogli upilnować od nijakiegoś złodzieja co je kradnie [1]).

Tak że ten pirszy, najstarszy i najroztropniejszy wzion sobie jedne dubeltówkę i wzion sobie cáłom grę kartów (taliję) i także światła wiela mu było potrzeba bez całką noc. O dwunasty godzinie, gdy sie złodziej zakradáł, to ón usnoł ten najstarszy. I tak, że złodziej zerwał jedno jabko i poszed sobie. On sie ze snu ocucieł; przychodzi jego ociec rano i rachuje te jabka na ty jabłoni. Mówi: synie, brachuje jédnego jabka, zaś źle pilnował. Przychodzą oboje do pokoju; powiadá ten ojciec do tégo drugiégo średnigo, abyś ty dobrze uważoł i pilnował.

Tąk sie zdarzyło w ty samy nocy, tak jak z tym pirszym bratem. W tém powiadá: synie, zbłuńdziłeś, bo jabko skradzone tak jak tamtemu; bo jédno i to samo dwiema braciom sie sdarzyło.

Teraz przyśli do pokoju swégo; więc powiada ten trzeci, ten g(ł)upi: ach papko, ja poletę, ja pójde te trzeciom noc pil-

---

[1]) *Lud* Ser. VIII str. 48 (nr. 20).

nować, niechże mi papka da też to samo co ci drudzy wzieli. Więc także, jako ten król, ociec tych synów powiádá: ach, dwóch mądrych pilnowali, upilnować nimogli, a ty g(ł)upi błáźnie, że ty chcesz upilnować. Nie jest to podobno, żebyś ty upilnował tych jabłek od złodzieja, boś ty niedájmuś (niezdolny) do tego. Ale ón sie niepytál nikogo i poszed do jabłoni. siod sobie pobok (tuż obok) jabłóni, wzion ze sobą starą dubeltówkę, ani światła, ani nic. Tak, że ón nie usnoł; siedzioł sobie całką noc śmiało. Przyszed złodziéj o pu-nocy. Zaczon sie skrobać po murze, tak, że on powiáda: czyś ty dobry złodziéj, czy ja dobry pilnowacz? Złodziéj sie zląk(ł), od muru odskoczył, tak, że on źleciál zaro z tego muru, od ty jabłoni złoty. Ten złodziéj uciék w myszą dziurę, co się skrył. Ten g(ł)upi dostał tyla mocy, tyla siły i tyla chęci. Złapał wielgi kamiń i przycisnął myszą dziurę, aby mu ten złodziéj nie uciek. Obwalił tak te myszą dziurę na kilka fur kamieniami. Siád(ł) sobie w ty altanie koło muru, kole ty złoty jabłoni. Przychodzi jego ociec; powiada syn: złapanego złodzieja mám, chtóry nom chodziuł na te jabka i te jabka nám skradál.

Dodał ojcu sposobu żeby kilkenaście żálmirzy przyszło i te kaminie otwaliło. Otwalili, ale złodzieja w dziurze niéma. Syn powiadá: papko, kaminie my odłożyli, ale złodzieja my nie zobaczyli, tak, że teroz trzeba kopać mogiłą wielgóm, głębokóm i szérokóm. Dokopali sie żálmirze do drugiégo światu. Więc powiada: papko, nidz nie trzeba, ino dłużyką linę i wębor srogi i stłup na kółku, co zaś będą gó (syna) spuszczać tam na dół. Ón siod(ł) w ten wembór, i tak że go spuścili do drugiego świata. Więc szukoł w tém świecie tego złodzieja, auż (aż) przyszed do jednego przecudnego pałacu, gdzie tam béły trzy królewiczówne wykradzone od smoka. Tak że się one zalękły, skąd ten człowiek tam przybył dó nich. Nie wiedziały co miały z nim zrobić, ale że gó przechowały, schowały [1]).

Przyszed ten smok i poczuł świże miéso tam u nich w pokoju; z téj dziczyzny i z ty wścieklizny swoji auż sie otrząsnoł. Przychodzi do tych pannów, a óny mu opowiedają: że to jest brat nasz tutaj. Wyznaczył mu pojedynek, ten smok ś nim. Potem że ten smok mioł dwa kamnie wody; w jednem kaminiu słab-

---

[1]) *Lud* Ser. VIII str. 69. 79. Ser. III str. 114.

szą, a w drugiem mocniejszą. Te panny wzieły i dały temu królewiczewi jeden tępy i zdrzewniały pałasz. Więc poczęni się pojedynkować, — a (w)przódy chciál mu sie dać napić ten smok ty słabszy wody, a sám mioł pić mocniejszą. Ale że te panny przekulnęły ten kamiń z mocniejszą wodą na prawą stronę, a ten z tą słabszą wodą na lewą stronę. Więc napili sie oboje; smok napił słabszy wody (choć myślál że to mocnijsza) i tak, że zesłab(ł) — a królewicz napił mocniéjszy wody, co mu panny podsujneły. Poczéni sie pojedynkować; więc ten królewicz mu uciun jedne głowe. Potem smok uciék, i królewicz zabrał jedne panne ze sobą; chtórą? nájstarszą. Nabrał ze sobą złota i dyjamentu i rozmaitych drogości. Więc ta panna mu dała jedne koróne spaniałą, chtéryj żaden złotnik zrobić nie potráfił.

Przyśli do tego wębora oboje z tą panną. To złoto i te drogoście pokład tam królewicz; pannie kouzoł (kazał) siednąć w ten wębór. A u góry, u jego ojca, był zwónek i ten zwonek miół sznurek auż do dołu, żeby możná na dole zazwónić, coby ciągli ten wębór do góry. Oni wyciągli te panne z drogościami i cieszyli sie, a panna opowiádá ojcu i braciom, że tam są na dole jeszczyk dwie panny, że mają wębor na dół zwindować.

Tenże królewicz poszed na powtór po drugą panne posobicą (osobno), żeby jom znowu móg wybawić ot okropnego smoka. Poczeli sie drugą rázą pojedynkować ze smokiem; tak, że ución znou smokowi drugą głowę. Smok na powtór uciék. Ón wzioł znowu złota i wielgie drogości z tą panną y także przybyli do tego wębora. Ta panna mu dała jedno okrycie, chtóre nie káżden krawiec jest w stanie zrobić. Nakład w ten wębór wszéskie drogości i znou kozoł ty pannie siednoć; zazwóniuł i pociągli, wewindowali jum do góry. Ci bracia z tem ojcem sie okropnie cieszą.

Tak ten królewicz co ostał, poszed napowtór po te trzećiom panne. Ten smok mówi: a stój bracie, dwieś panny mi zabrál, a trzecij mi nie potrafisz wziuńć. Tak że znowu sie poczéli pojedynkować. Westhnoł ten królewicz ciężko do pana Boga, żebé mu pan Bóg dopomug i te trzecią panne jeszczyk wydobyć z niewoli. Ten pojedynek trówoł trzy godziny; smoka zmóg(ł) królewicz i uciun mu trzecią głowę. Smok za trzecią rázą uciék, znaleź(ć) już do swego domu nie potrafiuł. On królewicz wzion te trzecią pannę i z nią takie same drogości co już zabrał z temi

dwiema. Ostawiła mu ta panna pare trzewików, chtórych by żaden szwiec (szewc) nie był w stanie zrobić. Więc włożył w ten węb0r znou to złoto i té pannie kozał siednąć. Wzion sznurek i pociągnoł za zwonek, i żałmirze wywindowali te panne do góry, A óna widzi; i mówi do sióstr: sumeśta tu ?— A sumeśma (jesteśmy).

Ociec i bracia byli zdrajcami; ociec ból zdrajcą nad synem swojim a óni zaś nad bratem swojim. Także óni mówili sobie wszyscy trzech (pomiędzy sobą): spuszczémy mu ten węb0r nadół; a jak go wywindujemy na połowe tej mogiły do góry, line przetnemy, ce ón wpadnie na dół, i tego bogastwa mu życzyć (oddać) nie będemy. Więc jako ból g(ł)upi królewicz, tako ból mężém silném i roztropném; tak, że ón im we węb0r wewalił kamiń ciéżki i za zwónek pociągnoł; poczeli go windować do góry; wywindowali gó na połowe tego dołu, przecióni line bez pół, i ten kamiń z tem węborem spoud (spadł) na dół. Poznał on swego ojca i bratów dobre serce, że jako mu na zdradzie wielgij béli. Óni u góry sobie pomówili wszyscy trzech ze sobą: że ci dwóch braciau sobie wezną po jedny pannie jako za żony, i temu ojcu temu staremu téż jedną dadzą, bo óni chcieli wszyscy trzech ślub z niemi wziuńś(ć). Ale te trzy panny sie tak umówiły mocno: że sie żenić ani ślubować nie bédą aż bez rok i sześ(ć) niedziel.

Teráz bedemy gódáć o tem gupim królewiczu co ostoł w zimi. Ón królewicz te koronę, okrycie i te trzewiki pozbirał i w pęczek sobie powiózał w białóm chustkę Zaś potem ten prezent tych pannów chtóre odebrał w tem smokowem zomku, wzión ze sobą i puścił się na wędrówkę. Przyszed do jednego boru, co musiał trzy dni i trzy noce bez ten bór iś(ć). Zaszed do jednego pustelnika i prosiuł sie o noclig. Pustelnik bardzo mile i chętnie gó przyjón, aby od wielgij zwierzyny i od robastwa niebół w tym boru pojedzony. Rano poszed sobie pustelnik na modlitwy; gdy prosiuł pana Boga gorąco o łaskę żeby mu pan Bóg, temu królewiczewi, dopomóg. Potem szed z nim ze swoich modlitwów do swoji pustyni. Mioł on serwytkę, i rozłożył sobie w téj pustyni na goły ziémi. I mówi: ach Boże, o co cię proszę, to mi dodaj. Więc żeby mu ta serwétka wydała na dwie osoby życiá, to jest posilénia. Ta serwétka wydała posilenia i światła. Panu Bogu podziękowali mile za ten posiłek. Ten pustelnik położył sie na twardy ziémi, y ten g(ł)upi królewicz téż. Pustelnik usnoł bardzo

twardo, a ten króewicz nie był tego nodzligu zwyczajny, ino chcioł miękciej, chcioł miękciejszego posłania. Tak sie przewracá z lewy strony na prawą, auż mu koście wissły (zwisły). Ten pustelnik społ, a ten królewicz wstoł, i zabrał te serwetke ze sobą, jako temu pustelnikowi. Zaś potem pustelnik ocucił w ty swoji pustyni; patrzy, serwétki nima. Ale tó wszystko Bogu ofiarował, a ón sobie pomyślał że ón sie sám korząžkami (korzonkami) używi, a temu gupiemu królewiczowi w podróży, w potrzewie (potrzebie) zawdy mu to serwetka nadbije [1]).

Mój królewicz gupi przyszed z tą kradziuną serwétką do drugigo pustelnika, i prosi mu sie znowu o noclig. A pustelnik go bardzo mile przyjon i ucieszył sie, bo przynajmij opowie mu królewicz co w tamtych stronach s(ł)ychać. On mu ópowiedział co sie gdzie dzieło (działo) i co sie w całym kraju dzieło. Pustelnik wysłuchał go dobrze i bél dla niego bardzo grzeczny i powiadá: mój człowiecze, nimom ci posiłku dać, bo sam go nimom, bo ja sam ino korząžkami żyje. A ten królewicz powiadá: nima chłopotu, bo ja mom taki obrusek co ón posiłek wydaje. Mój starosta pustelnik bardzo sie ucieszył że przez dziewięćdziesiąt dziewięć lat jeszczyk jak żył nie jad nic takiego, i że jeszczyk aby przed śmiercią swoją użyje od królewicza tak dobry strawy jakij nimioł. Panu Bogu ten pustelnik podziękował za tę opatrzność boską, że ten posiłek od królewicza odebrał. Oboje sie pomodlili klęczący; zaś wtenczas sie oboje położyli w pustyni spać. Rano, gdy noc sie skończyła, powstali i panu Bogu podziękowali. Ten królewicz rozpostar te serwetke i prosiuł żeby wydała na dwie osoby śnioudania. Ten starosta pustelnik jak sioudał do tego śniodania, tak sobie miłosiernie zapłakał nad niem (że go opatrzność pożywiła jeszcze), że auż sie ziémia pod nim zatrzęsła. Po tém śniodaniu mówi do tego królewicza, żeby mu dáł ten obrusek, to ón mu dá taki kij, co jak go zacznie śrubować, ten kij, to mu wszelkie wojsko bédzie wychodzić z tego kija [2]). I to bó-

---

[1]) *Lud* Ser. III str. 112.

[2]) Dr. A. Bastian *(Die Voelker des Oestl. Asien,* Leipzig 1866, Tom II str. 241) powiada, że w Birmie dwóch zazdrosnych mnichów-czarownikówwalczyło o lepsze w swojéj sztuce w obec królowej. Pierwszy z nich, Damma-natoh, tworzył niezliczone wojska, odmawiając czarodziejskie formułki zaklinań *(mantras)* po nad koszykiem napełnionym

dzie obroną jego. Tak, że óni się pomijali oboje; ten pustelnik wzion serwétkę, a królewicz wzion kij, i pożegnał sie z tym staruszkiem i poszed.

Uszed kielkanaście miél drogi, i zachciało mu sie jeść. Wyśrubował z tego kija śtyrech żałmirzy i posłał napowtór do tego pustelnika starosty żeby mu te serwetkę oddał. I óni mówią: jak nie oddácie to was objeszemy. Ten starosta wyciąga ręce do nieba: przecie'ście moji ludzie béli, a teráz mnie chcecie objesić (obwiesić) jak wom ty serwetki nie oddam. Ten starosta oddáł jém te serwétkę, a óni przynieśli ją znou do tego gupiego królewicza. Królewicz odebrał od nich te serwétkę i wśrubował ich znou w kij, tych żołmirzy. Więc sobie serwetkę rozpostar na darnie (darninie) i posilił sie. Niedaleko tego miesca béło jedno miasto. On to, ten królewicz, niechciał jejich krzywdy, tych pustelników obudwuch. Więc także wyśrubował tych śtyrech żałmirzy i odesłał temu pustelnikowi staroście te serwetkę, i bez téch żałmirzy kozáł powiedzieć temu pirszemu pustelnikowi, żeby poszed do tego drugiégo i tam obaj sie z ty serwétki silili. Więc także ci dwóch pustelników złączyli się do koupy.

Więc królewicz przychodzi bez rok i sześ(ć) niedziel do swego miasta, zkąd ón pochodziuł, i wywiadywał sie co tam słychać w tém mieście. Ludzie mu opowiadają, boć go nie znali, że jutrzejszego dnia bédzie ślub brał ze znajdzóną panną starszy królewicz, chtera (która) od smoka béła znajdzóna (wyzwolona) bez gupiego królewicza. Na drugi dziéń bedzie brał ślub ten mojdszy (młodszy) królewicz z drugą panną téż tak znajdzóną od gupiego królewicza. Także na trzeci dzień bedzie brał ślub ociec król sam ze znajdzoną, chtera béła bez kielkanaście lat wykradzioną od smoka, a bez gupiego królewicza béła wybawiona. Jak sie zabrali do ślubu, tak jadóm do kościoła, co ten pirszy brat. Ten gupi królewicz sie dowiedział i poszed naprzód do kościoła; stoji sobie w kruchcie jako wędrowny człowiek. Dáł znak do ty

---

ryżem, skutkiem których każde ziarko przemieniało się w żołnierza. Ale przeciwnik jego Damma-sedih znał swoją rzecz nierównie bieglej, i w końcu przez lepsze rozumienie textu swoich ksiąg, pobił na wsystkich punktach swojego współzawodnika, tak dalece, że ten z życiem swém odeń uciec chciła, lecz uwikłany w swe długie kapłańskie szaty, upadł i dopędzony przez nieprzyjaciela, zabity został.

panny chtóra szła z królewiczem do ślubu, a panna ten znak co pokozoł, zaro poznała. Panna przyklińkła do ołtarza z tym swojim narzeczónym, a ón, ten gupi, poszed koło ółtarza i stanoł, a temi podarunkami trząsnoł przed tą panną, co to dostał pod tą zimią. Ona jak wejźdrzała na niego i uznała go, ale że niemogła wydać tego że ón (gupi) tam jest, bo sie bojała zdrady. Ksiądz stanoł przy ółtarzu i chce jém ślub dać. Panna powiadá: ślubu nie będe brała, póki taki i taki koróny nie będe miáła, — tak, że óni od ółtarza odeśli do krolestwa (pałacu) swego bez ślubu. Ojciec stary mówi: kaduka! co to, że ta panna tak długo czekała, i ślubu brać nie chce. Ten ociec prędko do złotników posłał, żeby sie chtóry podjon zrobić taką a taką korónę. Nie myslęcy, ale żaden nie chcioł zrobić, bo nie potrafił. Ten gupi królewicz poszed do jednego bidnego złotnika co robiuł u tych bogatych za czeladnika. A ten bidny: miły braciszku, ach cóż ja zrobie, kiedy nimom sám roboty, ino za czeladnika robię, zkąd by ja tyla złota nakupił, kiedy ja piniędzy nimom. Ten gupi królewicz mówi do tego złotnika: ha ha ha ha (ón sie wyśmioł jeszczyk) idź ty do króla, niech ci da dwie bryki piniędzy, to ci koróne wystawie na jutro rano, czém ty z twego łożowego odpoczynku (w)staniesz. Ja ci pomoge. Mój złotnik poszed i melduje się u króla że ón podejmie sie te korónę wystawić. Król sie zadziwił i dwie bryki piniędzy mu przysłał bez (przez) swojich żałmirzy. Ten posłał do gospody złotniskiej czy też do cechu złotniskiego, żeby sie wszyscy zgromadzili na rynek przed rátusz. Wystawili przed rátuszem winna i piwa i wódki i jádła na tych ławkach, auż sie przy tém złotniki pobili, tak, że każdy poszed złotnik do swego domu. Poczeli sobie szemrać i gadać że bidny złotnik koróny nie wystawi, a piniądze przepije, tak, że ten sam stary majster mioł strach, i zaląk sie że mu jego czeladnik nie wystawi ty koróny na jutro. Wstaje rano i idzie do alkirza do swego czeladnika; a tam jasność(ć) i (b)łóna uderzyła na tego majstra że auż sie w progu obalił. Ten jego czeladnik (a to był gupi królewicz) także wstał, podniós go ze ziémi i postawił go na nogi i docélił go (docucił zemglałego wodą). Mówi on do majstra: (w)szakże majster nimioł przyńść póki ja majstrowi korony w ręce nie oddam. On wzión te koróne i obwinoł w czysty obrus i zaraz list napisał i odesłał bez (przez) majstra korone jako do króla a list (nieznacznie żeby ij majster podał, żeby król nie widział) do ty panny. Mój złotnik jak im

to oddał, tak przyszed do domu. A ta panna wziena ten list i przeczytała. I uznała, że to jes właśliwa ta koróna, co królewiczewi gupiemu w ręce jóm oddała. Óna mówi do tych dwóch pannów: ach, ach, jest ten zabity i znájdzóny nasz królewicz co nas wybawiuł od smoka.

Na drugi dziń jachała druga do ślubu. Przystąpiła do ółtarza i powiedziała księdzu, że ślubu nie będzie brała, póki takich a takich trzewików nie będzie miała. Więc napowtór przyjachali do królestwa swego jako do zomku, i niebyło ślubu. Ten król schłopotany, i ón nie wie co sie z temi pannami zrobiło. Więc dał znać do szewskiego cechu, oryndował po tych szewcach, żeby sie ftóry (który) szewc podjón zrobić trzewików (d)la panny do zomku króleskiégo. Tak że sie szewcy nawet bały zrobić trzewiki bo nimioły formy czyli kopytów (mogli byli bestyje od koni wziuńć— dodał opowiadacz). Gupi królewicz co zrobiuł? Poszed do jednego szewca bidnego, co sám nawet nimioł co jeść a mioł kielkoro dzieci. Prosił go o robotę, żeli by go nie przyjón za czeladnika lub też za towarzysza. A ten szewc opowiedział mu tak: mój braciszku, ja sám nimom co jeść i co sám we swoją dusze włożyć. A ten gupi królewicz powiedzioł: ha ha ha ha, cóż majster sobie rozumie, ja majstrowi bide z jednego kąta wypędzę. Spojzdrzáł majster miłosierdnym okiem na tego czeladnika i przyjón go we warsztat swój; ani nawet nimioł pod czém mu dać spać, ino pod swojim właśliwym surdutem musioł spać. Posłał zaroz tego szewca do króla, żeby dał pu-tory bryki piniędzy na trzewiki chtóre panna sobie życzé. Król przysłał te piniądze bez żołmirzy, temu szewcowi jednemu. I majster posłał do céchu żeby sie szewcy zgromadzili przed ratuszem na rynku; każdy szewc żeby przyniós w ręku kopyto. Więc także wyprawiuł wielgi bál tym szewcom; szewcy bo temu bidnemu barzo zawiścili: kopytami się pobili. Pośli wszyscy do domu i ten bidny za niemi. On przyszed do domu i położył sie na swój spoczynek. Rano czeladnik szewczyk wstoł, ten gupi królewicz, i majstrowi trzewiki owinięte w obrus oddał w ręce i list do królewiczówny, żeby oddał apartnie. Król odebrał trzewiki a królewiczówna list. Ta panna też przeczytała i zawołała: jest tu nasz zabity i znajdzióny, co nas od potężnego smoka wybawił.

Tak znou trzecia, na trzeci dziń, z tém ojcem pojachała do ślubu. Ona też ślubu nie chciała wzionć póki takiégo a takigo

okrycia nie będzie miéć. Więc także i ten król od ółtarza odeszed i musiał do swego zomku króleskiego odjachać. Król złośliwy okropnie sie gniwał, i w złości niewiedział co robi. Posłał do krawców żeby krawcy przyśli i podjęni (jęli) się okrycie zrobić konsztowne, chtóre żaden krawiec nie robił jeszcze. Ten gupi królewicz do jednego lichego krawca, co nimioł wiela roboty, przyszed za towarzysza niby za czéladnika krawieckiego. I prosi mu się, majstrowi, żeby go przyjąn do roboty. Ten majster powiadá: kiedy jo sám tak roboty nimom, chodzę od komina do komina, latám ode wsi do wsi, a ledwo wyżyć mogę. A ten gupi królewicz powiáda: ha ha ha ha, cóż majster sobie rozumie, ja swój kij rozpuszcze w majstra stancyi, to całą bidę wypędzę. Ten majster sie zadumiał, co to za człowiek do niego przyszed; przyjon go do roboty, tego gupiégo królewicza. Kazał temu majstrowi iść do króla żeby mu dał trzy bryki piéniędzy, bo potrzebuje na wielgie wykłady, bo to okrycie bédzie więcy kosztowało niż ta korona. Król ten przysłał mu bez żołmirzy te trzy bryki piniędzy. W tém, na wieczór, także sie położył ón krawiec do łóżka, i także rano oddał mu królewicz jako jego towarzysz, to okrycie, żeby zaniós do króla, i oddał królewi okrycie a pannie list. Była wielga radość pomiedzy temi pannami, jak ten trzeci list przeczytały. One mówiły, czegóż my chciały, tegoż my doczekały. Wtenczas ten król ogromnie sie wywiaduje czemu óne ślubu nie kciały wzuńć. One wyznały, że ten co ich wybawiuł, od smoka potężnego sie znajduje tu u náus (nas) w naszym mieście.

Tego króla synowie chcieli sie dowiedzieć i pytają się tych pannów, jak one mogą wiedzieć, że on gupi w mieście sie znájduje. One znaki poukázały i te trzy listy. Óni ogromnie sie rozgniwali i źli byli, — i dziwili się zkąd tam ón móg przyść i być tu w jejich mieście, kiedy tam bél zabity, brat jejich. Óni kazali go szukać, po mieście, czemu ón sie nie znájdzie do króleskiego pałacu, jako do ojca swego. Ón sie dowiedział i w oberży napisál list do ojca swojego: cóż ja sie mom do ojca pałacu znájdywać, widzę że ociec zdrajca z mojemi kochanemi braciąmi. W tém liście też napisał że ojcu wyda okropą wojnę. Ten ojciec z temi synami rozśmiali się: ha ha ha ha, zkądże on wojne nam może wydać, kiedy on wojska żadnego nimá. Ojciec mu odpisał: idź błaźnie gupi, przeklęty, bóleś gupi z młodośc, widzę żeś i na starość gupi. — Królewicz odebrał ten list jako jego sén (syn), prze-

czytał, siod i napisał do ojca drugi list że wydaje mu ogromną wojne. Ojciec się gniwał, wysłał żołmirzy żeby go szukali, do tego oberzysty i żeby sie pytali gdzie się zabáwiá i gdzie przechowuje. A on wyszed za miasto, na jedne gołe pole, gdzie tam nic nie béło, żeby szkody nikomu nie zrobił. Jak tam zaczoł ten gupi królewicz z kija śrubować wojska, takiego jak sie znájduje rozmajite w kraju co królowie mają (bo już posobicy nie béde powiadál), wyśrubował sobie konia który był przecudny nad konie, że drugiégo takiego niebyło w kraju. Jak jego muzyka sie rozpartowała i to wojsko w linii stanęło, w szeregi, jak swoje instrumenta rozpuścili, ziémia i miasto drzało auż sie budynki niechtóre stare obalały albo zarywały. Wtenczas ociec sie wywiadywał: czyja to muzyka graje i czyje wojsko ciągnie ? Wysłáł też swego dowódce nálepszego i náj wierniejszego w pole, na wywiady ftu (kto) to ciągnie do miasta. W tem dowiedział sie ten dowódca i nawrócił napowtór do zomku króla: jako gupi królewicz ciągnie do miasta ojczeskiego i mo uderzyć na ojca. Ociec ze synami dwiema nieprzysposobiony, bo niespodziwał się na séna swego gupiego, ani o żadnego króla, bo żadny wojny nimioł wydany. Jak wjiżdżał ze swoim wojskiem do miasta, to miasto drzało i zimia stękała pod tem wojskiem, tyla go mioł. Ociec i jego sénowie dwoch, jak zobaczyli téla wojska swego séna i brata, tak uciékli od stracu do sklepu w zomku. A te panny chtóre były w zámku, mu (gupiemu) assystowały i bardzo mile go przyjmowały, więc niewiedziały jakie mu to dobroście miały wywdzięczyć za to. Chciały go na rękach nosić, za wybawienie od smoka. On sie zapytuje ich: gdzie ociec mój, gdzie bracia? One odpowiadają: Ociec i synowie skryli się od niezmiernego strachu. Wtenczas ón gupi posłał sześci żołmirzów do sklepu i kázał brata jednego za głowe złapać i drugiégo za wosy (włosy) a ojca za ręce i kazał wyprowadzić przed siebie. Więc ojciec po kolonach (na klęczkach) i bracia po kolánach idą do brata swego królewicza. Ociec mówi. Synie daruj mi życie, bom nie wiedział co czynie, zbłundziłem! rozumem swojim przez głupstwo, przez trzy wębory bogajstwa i przez trzecią swoją polubienicę (kochankę). Wtenczas rzucił mu sie ociec pod nogi i zapisuje mu przy świadkach cołkie swoje królestwo dobrowolnie. A on gupi, rozporządził, rozdysponował tak: że ojcu dał utrzymanie do śmierci, łaskawy chlib, a braciom życie do śmierci i żeby byli przy nim pryncami do niczego. Dał

im po jedny pannie a sam wzion te pirszą, nápiekniejszą i był królem mežnym, stałym i roztropnym.

## 23.

## Owczarek królem.

(Idzie do boru. Tu w chałupce zabija 12 zbójcow. Odbiera trzem: buty milowe, pałasz samobij i torbę samorodkę.

od Wolsztyna, Babimostu.

Była wdowa, w boru mieszkała. Miała syna, był owczarkiem. Ten spał na ścianie na chliwie, i tak mu sie śniło, że má iść do tego miasta, nábliższego, bédzie tam królem, bo tam król ma wojnę. Przyszed do izdby do matki, i powiadá: matko, mnie sie tak dzisiaj śniło, że mom iść tam i tam, do tego miasta, tam bede królem. A matka mu odpowiada: jakiś ty wszáku do króla! żebyś ty królem był! Tak ón matki usłuchál i nieszed tam.

Na drugom noc, także to samo mu sie śniło, że mo iść do tego miásta, tam bedzie królem. Przychodzi do izdby i powiadá: matko, mnie sie znou śniło, że já mám iść do tego miasta, że będe królem. A matka powiadá: ino nie bądź głupi, że ty mász królem być. Tak ón znowu powiada: kiedyć znoŭ mówicie, matko, toć już nie pójdę.

Ale na trzecią noc tak to samo śniło mu się, że má iść do tego miasta na króla. Tak ón wzion swoję owczarską szuflę (kij) i buty zawdział i szed sobie do tego miasta. Tak idzie, wlaz w bór okropny, zaszła go noc. Idzie, natrafił że sie świci w oknie, tak do tego światła szed. A tam była tylko taka jedna chałupka w boru. Wszed on do nij, a tam była taka stara matka w izbie. Prosi się o nodzlig (nocleg), żeby sie tam móg przenocować. A ona: mój człowieku, nimogę nocować nikogo, bo tu przydzie dwunastu chłopów o dwunasty godzinie, a to só zbójniki, to by cię zabili. A on się tylko prosi, aby chociaż do kuchni sobie wlizie. Tak óna mu powiadá, że może aby do kuchenki sie skryć. A tu o jedenasty godzinie, przyszło dwunastu chłopów. Ón sie przypatruje od klamki tą dziurką na nich. A óni te swoje rzeczy, co chtóry mioł, popowieszali na ścianie — i jedli kolacyją. Jak sie ponajodali, tak się ci drudzy pokładli spać, ten tu, ten tam, gdzie sie chtóry ćpił, tam spál. (*Lud* Ser. VIII str. 14. 34. 133).

Tylko trzech nástarszych niespało. Tak sobie mówili dó siebie: nás tu jest teraz trzech, powiédzmy sobie, co chtóry coś umie. Więc ten jeden powiadá: ja mám takie buty, co kroknę to mila. Drugi powiadá: ja mom taki pałasz, jak mówię: runder met a kepen, (herunter mit den Köpfen) tak wszystkim razem głowy zetnie. A trzeci mówi: że mom taką torbę co jak powiem wiele chce wojska, to tyle z téj torby wyńdzie. Więc też niepotrzebujemy tyle ludzi trzymać, tylko sobie trzech mogemy żyć; więc tych drugich odprawić wszystkich, niech sobie idą. Tak ci, wszyscy trzech, oparli się na stole i posnęli. A ten owczarek przypatrował się tą dziurką od klamki, i widzioł gdzie óni te rzeczy powiészali. Wláuz (wlazł) po cichu do izby, zaroz z-jón pałasz najprzód, i jak machnoł, tak zaraz wszystkim łby pościnoł od ráuzu, tylko ta jedná matka została. Tak wzion ten pałasz i te buty (a te swoje tam zostawił) i poszed do tego miasta.

Wstąpiuł do jedny szénkowni, i pytał się co tu słychać? — A tam mu powiádają, że nasz król ma okropną wojnę, już zbankretował, już przegrał. Tak ón melduje się tym starszym, że ón chce podjąć służbę do wojska. Tak zaráz jednerál melduje królewi, że taki owczarek przyszed, chce podjąć służbę króleską i chce wygrać. Król go natychmiast zwołuje i kouże mu sie ubiérać w żałnierskie rzeczy, a ón nie chcioł, tylko we swojich rzeczach iść. Król mu dál kompaniją wojska i kouzał mu iść na plac. Ci wszyscy żałnierze lamencili, że taki owczarek ich wszyśtkich zagubi. Jak przyjśli na plac do nieprzyjaciela, — jak raz machnoł pałaszem, więc całkie wojsko mu zabiuł. Przychodzi do króla z tymi żałnierzami swojemi, i melduje sie że inne wojsko weźnie i pójdzie znoŭ w inne strone. Tak to samo było, — jak przyszed na plac, tak wszestko wojskie nieprzyjacielskie położył. Zaś ten król niewiedział już rady, i pozdał (poddał) się.

Tak ten król, gdzie ten owczarek był, zrobiuł okropny bal. Zaprosiuł wszystkich znou królów do kupy i powiadá: moji goście, coście tu sóm (co tu jesteście), co taki człowiek sobie zarobiuł odemnie, że jużem przegrał we wszestkim a ten człowiek mnie wyretował? Goście odpowiadają: taki człowiek sobie tyla zarobił, twoją córkę dostać i królem być. I był królem. Teraz sie ożenił z tą córą.

Jak byli rok u ojca, tak ón powiadá do króla: ojcze, jabym chcioł też ze swoją żóną jachać do rodziców swoich, zobaczyć

ich. Król powiadá: weź sobie jedne kompaniją wojska ze sobą i jedź. On też wzion i pojachał. Przyjachał do nábliższego miasta od tego domu, ostawił wojsko i konie swoje i śli na piechotkę oboje, do tych rodziców jego. A gdy tam przyśli, już ich zastał wieczór, a matka jego już spała. A on puká do okna: matko, otwórzcie mi. A matka powiada: (a) bo ty to niewisz jak się ta otwiéra? — Otworzył sobie i wszed do izby, z tą swoją żóną. I powiadá: matko, dy zaświéćcie troche! Matka nato: bo ty to niewiész, jak się zaświci? Potem sie pytał: gdzie pódziemy spać? — spałeś na chliwie na sianie, to téż tam biegáj. A to taka pani, żona jego myślała że on w mieście jakim bogatym, a ón do takiego chliwa idzie, myślała że na stracenie przyszła, zalękła sie. Tak, się układli na to siano oboje.

A gdy ón usnął, wziena mu pałasz i buty i poszła sobie, ućkła mu w nocy. A ón rano wstaje, nimá żóny przy sobie. Powiedá: widzicie matko, jezdem królem, a dla waszéj upórności żóna mi poszła. A no moje dziecko, ja niewiedziała żeś ty takim królem jest. Ale to nic nie szkodzi, ja to sobie poradzę.

Ostawił matce te piniądze co przy sobie mioł i poszed ta znowu tam do tej chałupki zbójniczéj, i wzión znowu ze sobą tę torbę. I poszed do tego miasta, gdzie ten jego ojciec był. I wyjszed na pole, za miasto i jak zaczón komenderować w tę torbę, tak straszná moc wojska z nij wyszła. Posłoł trębacza do króla, żeby wychodził czém prędzy na plac do niego, bo jak nie wyńdzie, to mu jego miasto w proch obróci. Tak ten król czemprędzy kouzał konia wyprowadzić i jachał naprzeciwko jemu. A ón się zapytał: gdzie jest żóna jego? A król zaroz posyła po nio, żeby natychmiast przyszła do niego. Przychodzi żóna, i ścisnęła go za szyję, i prosi go o przebaczenie, że óna za to nie może (nie winna temu), bo ona się wystraszyła, bo myślała że na stracenie tam poszła, więc od strachu niewiedziała co miała robić. Pałasz przyniesła: i dała mu ten pałasz, i zgoda. — I był królem jak sie należy.

## 24.

## O niedźwiedziu królewiczu.

Morownica.

Jednego razu miál król córkę bardzo łebską; taká ładná była co niepodobno. To też król ją bardzo ulubił. Téj matce

było markotno że ón te córkę tak bardzo kocha. I ona niewiedziała co miała téj córce zrobić, żeby onemu ją zbrzydziła. Ale poszła do (h)aptyki, i kupiła proszek i dała téj córce wypić z kawą. A ta córka niewiedziała co to jest, i wypiła jako kawę. I zrobiuła sie w cióży od tych proszków. Tak ta matka mówi do swego méża: widzisz, tageś jó lubił, kochał, a patrz co ci za świństwo zrobiła. Tak ten król sie rozgniwał i kázał te córkę wyprowadzić nad morze i rybakom rozkozál żeby ją wsadzili w łódkę i puścili na wodę, że się miała zatopić.

A óna w ty łódce siedziała i tak ją wiatr popychał aż jo dopknół do jedny wyspy. Tak ona wylazła z ty łódki, poszła na te wyspę i tam była bardzo długi czas, — tak, że hoż (aż) porodziła. Ale to dziecko był niedźwiedź, dziecko w niedźwiedzkiéj skórze. Tak ona sobie myśli: Mój Boże, kiedy mnie téż pan Bóg dał niedźwiedzia za dziecko, weznę zaraz do wody śwignę go i utopię. A gdy ona chciała rzucić, a to sie uchwyciło jij szyje niedźwiedzkiemi łapkami i zaczęno płakać. Tak ona jeszcze sie cownęła: no, kiedy to tak płacze, to nie utopię, niech żyje jak długo chce. Jag miało putora roku, więc zrobiło jamę dla swoji matki, i tam znosiło samo różne pokarmy, miód leśny, korzonki. A gdy miáł dwa roki tak mówił do matki: Mamo, ja bede próbował, jeżeli já bede móg te wodę przepłynąć, więc mama wsiądzie na mnie, uchwyci mi się siérzchu, ja z mamą przepłynę na drugą tątam stronę. Tak ón przepłynąn na drugą stronę i tam zrobił jamę i chodził do miosta po żywność. Choć tam rzeźniki były, niémogły mu nic zrobić, — choć on zaszed do piékarza i powiédá: ty byś mi téż móg co dać do jadła dla moji mamy,— to mu dał chleba, — zaszed do rzeźnika, to mu dał miesa. Tak tę mamę używił, — bo i do krámu jak zaszed, to wszystkiego dostał, mioł ogromne szczęście.

Tak jednego rázu, ten jeji ojciec mioł wojnę z jednym królem, a ten król był jeszcze kawalor — a ón niedźwiedź zaszed do tego króleskiego kucharza i mówi do niego: ty byś też móg co dać dla do żywienia moji mamy. Tak ón mu nadał chleba, ókrasy, słoniny, co ino tego było. I drugi ráz przyszed do niego że: ty byś mi więcy móg dać, bo ty tego mász zadość, a ciebie nic nie kosztuje. Tak ten kuchorz tak troche smutno chodził. A król go sie pytá: coś ty dzisiaj taki nie wesoły jest? — A ón kucharz: jaśnie' królu, jakże ja mom być wesoły, kiedy tu chodzi taki zwierz

mnie napastować o żywność, a já mom wszystko pod rachónkiem. Więc król powiadá mu tak: Mój kochany, jak ten zwierz tu jeszcze raz przydzie, ja obstawię wartę i każę go zabić. A ten zwierz gdy pszyszed, to go ani jeden żałnierz nie tknoł. Poszed do téj saméj królowéj co była matką téj córki i powiadá: ty byś mi téż mogła co dać do obleczénia (ubierania) dla moji mamy. Królowa się pytá: jakich byś ty żądał obleczeń dla twoji mamy? A ón jéj odpowiadá: suknię, fartuch, koszulę i pończochy, trzewiki, wszystko ślubne. Potém zaś przyniós to wszystko do swojé mamy. Ta mama sie ubrała w te jego rzeczy, i tak w téj jamie siedziała jeszcze taká ubrana.

A ci królowie jachali na polowanie, ten ojciec tej córki, i ten kawalor król. Tak jego ogromnie (tego kawalora) brała ochota zajzdrzéć do tyj jamy, co to tam jest. A tam wychodzi naprzeciwko jemu ten zwiérz. Tak śtrzelił go ráz, i zaś go strzelił drugi ráz. Zaś potem powiadá: co to za przyczyna że zwierza trafić niémogę? — A ón o pięć kroków naprzód niego szed a ten go trefić niemóg. Tak go zaprowadził aż do saméj jamy ten zwiérz. I stanół ten zwiérz przy tej jamie i powiáda do kawalera: ty byś téż sie móg ożenić z moją mamą, i mógbyś być moim ojcem. A kawalor: a co ty mász za mamę, co by się (d)la mnie zdała? - A niedźwiedź powiadá: stań ino prosto we drzwi, a kiwnij palcem, óna do ciebie wyńdzie z ty jamy. Tak ten kawaler kiwnoł palcem i prosi: chtó jest, niech wyńdzie do niego. A tó wychodzi do niego taká śliczná panna że jeszcze nie widział takiéj. Tak czém prędzy do domu swego pobiég, kázał zaprzągać zaraz cztéry konie, co nálepsze do powozu, i tak kozał jechać co tylko wybiédz będą mogły. Tak jom do powozu wzion i przywióz ją sobie do dom.

I zrobiuł okropne wesele, bál, — i tego jeji ojca także zaprosiuł na ten bal — ale ten kawalor nie wiedział że to jeji ojciec, a ojciec nie wiedział że to jego córka, ón już nimóg zeznać (poznać). Jak się ożenili, tak ten zwiérz zaroz kozał temu młodemu, z tym starym ojcem swojém robić wojnę, oczéwiśnie kozał na niego bić. I wydali sobie wojne. Ten zwiérz szed ze wszystkim wojskiem na niego, na tego starego Zaś tego wtenczas tęgo zmarnowali, odebrali królestwo temu staremu. Niedźwiedź powiadá na tego co się z jego mamą ożeniuł: teraz ty ojcze masz swoje królestwo, a ja béde mioł tego starégo królestwo, więc mię teraz

tnij trzy razy mieczem bez skórę, co ino siły bedziesz miał. Tak go trzy razy ciőn bez plecy, tak mu skórę przeciőn, i był ten zwiérz człowiekiem, — i byli oba królami. — Niedzwiedzką skórą był ulinżony (ulężony) ros, ros(ł), a jednak wiedział wszystko co má robić.

(Opowiadał *Walenty Babiór* 1872)

## 25.

## Zaczarowane pączki.

(Baśnie wielkopolskie, zebrane przez **Emmę z Kurowskich Puffke**).

*Leszno* 1863.

Skrócone.

(Szewc bierze na wychowanie syna uwięzionej księżnej. Łysy karzełek z pod ziemi opiekunem. Wrony na dębie i strzała. Smierć księcia. Sroka ze sznurkiem i listem do księżnej. Pani w zielonej sukni zaczarowała pączki, że latały. Owczarz i jego sznurek biały. Zatrute pączki i szczury. Skrzydła. Ryba; z niej pani w zielonej sukni. Karzełki. Drzewo).

Z nad Gopła.

Szewc Smolewicz był biedny i narzekał na brak drzewa, gdy mu mróz dokuczać począł. Żona Agnieszka doradziła mu udać się za miasto, obalić i porąbać stojący tam stary i spruchniały drogoskaz mający postać człowieczą, a będą z niego mieli ciepło na parę dni. Usłuchał jéj mąż i poszli oboje do drogoskazu. Podciąwszy mu siekierą nogi, zabierali się do odrąbania mu głowy i rąk, gdy wtém usłyszeli głos wołający ich i ujrzeli leśniczego z chłopczykiem dwuletnim na ręku. Chcieli uciekać, ale on ich zatrzymał i powiada: Nie powiem nikomu o kradzieży którą popełnić zamierzaliście, ale weźcie tego chłopczyka sierotę na wychowanie, a drogoskaz zostawcie; daję wam tu 300 talarów, a za godzinę przyślę furkę drzewa. I odszedł.

Podziękowawszy leśniczemu wrócili Smolewiczowie z chłopcem i pieniędzmi do domu, a Agnieszka rozbiérając go znalazła jeszcze 20 luidorów w jego bluzce. Szewc uradowany wziął się pilnie do roboty, powodziło mu się dobrze i odtąd już nie narzekał. Ród jednak chłopca był dlań tajemnicą. A rzecz miała się, jak następuje:

Księżna Wiesława straciła męża. Wtedy jego krewny, książe Wacław wpadł do kraju, zabrał jej dobra, i zamknął ją z synkiem do ciemnej wieży po nad Gopłem. Pogrążona w smutku, siedząc przy kołowrotku, którego dotknąć nie miała ochoty, usłyszała księżna jednego wieczora jak coś skrobie po murze, wreszcie zastukało za piecem. W blasku księżyca widziała, jak się kilka cegieł za piecem podniosło, i z pod nich wyszedł mały karzełek z łysą głową, i mówi do niej: Przybywam by cię ocalić, bo książe Wacław i jego żona wydali już wyrok śmierci na ciebie; najprzód więc trzeba dziecko w bezpieczne ukryć miejsce, więc go zabiorę z sobą, a za kilka godzin powrócę, by i ciebie także zabrać i wywieźć za granicę.“ Księżna wachała się długo powierzyć swe dziecię tej małej pokrace, ale poczciwa twarz Łysalka i wzgląd że dziecko już 24 godzin było bez pokarmu, skłoniły ją do oddania dziecka, acz ze łzami, w ręce karła, który je nakarmił bułeczką z miodem i z sobą uniósł, aby je oddać do rąk leśniczego Hardosza, który je, jak to powiedzieliśmy wyżej, oddał Smolewiczom.

Ale oddając mu je, mówił Łysalek do Hardosza: Zanim dnieć zacznie, mam obowiązek wywieźć matkę tego dziecka za granicę; ty musisz mi dopomódz; oddawszy dziecko Smolewiczowi, pospiesz się, przybądź o północy do boru i stań pod wypróchniałym Dębem nade drogą; gdy wrony które będą siedziały na wierzchołku drzewa, zakrakają po raz trzeci, wtenczas napnij łuk i puść strzałę w powietrze ku drodze, nie zważając w kogo ona trafi; od spełnienia tego zależy szczęście Wiesławy, a ja nie wypełniwszy zlecenia, byłbym zmuszony wrócić do mieszkań mej podziemnej ojczyzny; liczę na twą poczciwość, a twa fatyga będzie wynagrodzoną. To powiedziawszy, udał się w głąb lasu.

Wiesława zaś czekała i czekała, a Łysalek jak nie przychodził po nią, tak nie przychodził, a to z tej przyczyny.

Hardosz, wedle instrukcyi, udał się o północy i dopełnił co mu nakazano. Gdy strzała jego zaświsła w powietrzu po trzecim wron krakaniu, rozległo się wśród lasu głośne rżenie rumaka, i ktoś spadł z konia. Pobiegł tam Hardosz, i roznieciwszy światło, poznał w umierającym osobę księcia Wacława, zabłąkanego w lesie na łowach. By ujść podejrzeniu, dał zaraz Hardosz o tem znać do sądu, i tym krokiem popsuł wszystkie szyki ka-

rzełkowi, że ten nie mógł teraz dokończyć dobrego czynu, bo musiał wrócić do ojczyzny i dopiero po 13 latach wolno mu było wyjść na powierzchnią ziemi. Zostało mu tyle tylko czasu, by powierzyć środek do ocalenia Wiesławy rybakowi Korbalczykowi, jej wiernemu słudze.

„Weź rzekł Łysalek) oswojoną srokę, którą masz w domu, przywiąż jej, gdy dnieć będzie, sznurek do nóżki, co go znajdziesz pod wieżą; zawiąż jej około szyi, list, w którym doniesiesz Wiesławie że mi przeszkodzono w jej ocaleniu, i że ma do tego użyć owego sznurka, który chociaż bardo cienki, ale robiony w kraju karłow jest tak mocny, że największe utrzyma ciężary; gdy go przywiążesz sroce do nóżki, poleci ona z nim wprost do wieży po nad Gopłem".

Wierny sługa uczynił jak mu polecono. Sroka wleciała oknem do więzienia księżnej, a Wiesława odwiązawszy sznurek, postąpiła sobie ściśle jak było napisane. Już była na połowie wieży spuszczając się po sznurze na lód, gdy gwałtowny wiatr rzucił ją na bok, tak, że wpadła w przeręblę przez rybaków wyrąbaną. Rybak widząc to zdala, poszedł do swego krewnego leśniczego Hardosza i prosił go by się zajął poszukaniem ciała utopionej księżnej. Hardosz radził mu by o całej przygodzie zamilczał; sam zaś rozmyślać począł, jakby sobie powetować utraconą nagrodę od karłów i Wiesławy, a pozyskać względy owdowiałej księżnéj Wacławowej.

Udał się do niej, przedstawił że jej mąż zbrodniczą ręką zabity został a nieprzyjaciołka uciekła; że ma on moc w skutek związku swego z karłami wielką i powrotowi Wiesławy przeszkodzić może; że ma sznur (na którym się Jadwiga? spuściła) z przędziwa jakiego niemasz na naszej ziemi. Istotnie wszyscy wezwani powroźnicy oświadczyli, że nie widzieli jeszcze takiego sznuru. Zrobiła go więc intendentem swoich dóbr i zupełnem zaszczyciła zaufaniem. Wkrótce nawet pozyskał i księżnej Wacławowej rękę, gdy jej przyrzekł, że razem dla wspólnego dobra będą działać, by zgubić syna Wiesławy, nader niedogodnego dla nich obojga w przyszłości współzawodnika. Tembardziej to uczyniła, gdy cyganka wróżka przepowiedziała, że Hardosz uczyni ją nieszczęśliwą, jeżeli mu ona swej ręki odmówi.

Syn Wiesławy rósł tymczasem u Smolewiczów, którzy go Kazimierzem przezwali. W pierwszych latach wiodło mu się dobrze,

lecz gdy się pieniądze wyczerpały, a więcej nie przybywało, musiał się uczyć rzemiosła szewskiego, i nieraz pociągiel dawał mu się na plecach we znaki. Do sklepu Smolewicza przychodziła między innemi po trzewiki jedna pani obca, bardzo dla Kazimierza uprzejma, która nosiła zieloną jedwabną suknię, zawsze równie świeżo wyglądającą, lubo obca pani zapewniała, że jest to jej codzienny ubiór.

Nadeszły zapusty. Pani majstrowa za-robiła pączki, postawiła tygiel z tłuszczem na węglach w kominku, by je w nim smażyć, gdy w tém została odwołaną przez sąsiadkę, i kazała Kazimierzowi dać baczenie na tygiel. Zaledwie wyszła z izby, nieznajoma pani w zielonej sukni ukazała się we drzwiach, i rozmawiając z Kazimierzem wsypała biały proszek w tygiel. Chłopiec się przeląkł, lecz ona go uspokoiła mówiąc: Nie troszcz się, to na twoje dobro! — Gdy majstrowa wróciła, pani ta kupiwszy parę trzewików odeszła. Szewcowa zaś wzięła się na nowo do pączków, mówiąc: śliczne ciasto! będą tą razą smaczne pączki, i wszystkie sąsiadki będą mi tego pieczywa zazdrościć. Patrząc z radością w tygiel, widziała jak się pączki same przez się przewracały w tłuszczu i świetnego żółtego nabierały koloru. Właśnie chciała wyjąć pierwszy, by zobaczyć czy już w środku wypieczony, gdy — o dziwy! — pączek wzniósł się i wyleciał kominem. Widelec wypadł jej z ręki; przeżegnała się kilka razy. I tak samo stało się z drugim, trzecim, czwartym i wszystkiemi pączkami. Włożyła inne, lecz i z temi nie inaczej się robiło. Mówiła pacierz, klęła, wlała świeżego tłuszczu; nic to nie poradziło. Pobiegła i zwołała sąsiadki by się naocznie przekonały co się dzieje, i że nie z jej winy popsuła się poobiednia uczta. Wszystkie były pewne że to była sprawka djabła. Wtem odezwał się Kaźmierz, że widział jak zielona pani wsypywała do tygla biały proszek. A więc to ty (rzekła) djabelski chłopcze, pozwoliłeś nas oczárować; precz z mego domu, podrzutku!“ — I bijąc i klnąc wypędziła Kazimierza z domu, w czem dopomagał jej i sam majster okładając biednego razami pociągla.

Tak wyszedł biedny wygnaniec z domu w świat o głodzie i chłodzie. Stroskany usiadł na kamieniu przy drodze, w tem dolatuje go zapach świeżych pączków. Nie wierzył własnym oczom, gdy ujrzał w powietrzu mnóstwo latających pączków, które mógł łapać i połykać. Jeden z nich, który zdawał się przewodzić

drugim i miał złote skrzydełka, tak był pięknym, że go miał chętkę złapać, lecz tego dokazać nie mógł, bo mu się zręcznie z rąk umykał. Idąc tańcował z radości, a za nim i nad nim rosła coraz większa chmura pączków, bo gdzie tylko przechodzili, wszędzie pączki z innych domów uciekały kominami i łączyły się z nimi. Te które schowane w śpiżarniach nie mogły uciekać tą drogą, wybijały szyby i dążyły przez okna do swych towarzyszy. Książęta i królowie zdawali się teraz przy Kazimierzu biednymi, bo żaden nie miał pączków w takiej jak on obfitości, a wszystkie pulchne i świeże, jakoby dopiero z tygla wyjęte.

Teraz przybył nasz wędrowiec do lasu. Chmara pączków rozdzieliła się na kilka oddziałów, które nad wierzchołkami drzew latały. Jedna tylko gruppa była obok niego, a wśród niej ów pączek ze skrzydełkami. Kaźmierz znów go chciał pochwycić, lecz usłyszał te słowa: „Daj mi pokój, zuchwalcze, gdybyś mnie schwycił, rozpierzchły by się wszystkie pączki; lecz słuchaj co ci powiem: Za lasem napotkasz owczarza co pasie owce na zmarzłej oziminie; staraj się wziąść mu sznurek który ma w torbie owczarskiej i obwiąż go sobie koło pasa na gołém ciele; strzeż go, bo dopókąd powróz ten posiadać będziesz, nie zaszkodzi ci miecz, sztylet i strzała.

Kazimierz wyszedł z boru, a z nim i cała chmura pączków. Owczarz zdziwił się, otworzył i nadstawił gębę, i gdy mu pączki w nią wlatywały, Kaźmierz tymczasem wydobył z jego torby zaczarowany sznurek; był on biały jak śnieg, przeźroczysty jak kryształ, ten-to sam, na którym jego nieszczęśliwa matka spuściła się z wieży. Uczynił, jak mu zaczarowany pączek doradził, a obwiązawszy sznurek około pasa, uczuł natychmiast iż siły jego wzmagały się i zimno przestało mu dokuczać.

Po kilku dniach przybył z gromadą pączków do pięknego pałacu. Wszyscy mieszkańcy zbiegli się na tak niezwykłe widowisko; okna się pootwierały same przez się, a mnóstwo pączków pousadzało się na stole; wszyscy podziwiali ich smak. Niektóre pozostały jeszcze w lesie, ale na jedno słowo Kazimierza „pójdźcie do mnie“ zbiegały się i latały wokoło niego.

Panem zamku, w którym się znalazł Kaźmierz, był nie kto inny, jeno wspomniany wyżej Hardosz. Zrazu powitany przez niego uprzejmie, został następnie badany, zwłaszcza gdy księżna ude-

rzona była podobieństwem twarzy jego do krewnej jej, księżnej Wiesławy. Nawet dawny paź Wiesławy, odezwał się, że to nie kto inny być musi, jeno jej rodzony syn. Ale Hardosz i księżna nie chcieli aby ludzie dworscy domyślali się czegośkolwiek, i zalecili surowo Kaźmierzowi, by się podawał za syna szewca Smolewicza, bo i im pączki jego niezmiernie smakowały.

Raz wieczorem, gdy Hardosz z małżonką siedząc sobie w pokóju, rozważali jakie im i posiadłościom ich grozi niebezpieczeństwo, jeśli się Kaźmierz dowie że jest synem Wiesławy, przemogło łakomstwo, i postanowili go sprzątnąć. Księżna sama zarobiła trochę pączków, wsypała w nie trucizny i usmażyła w końskim tłuszczu. Chłopiec obudziwszy się, chciał sięgnąć po pączek na śniadanie, gdy wtém pękła kryształowa szyba w oknie z takim trzaskiem, że wszystko w pokoju zadrzało. Był to ów pączek, ze złotemi skrzydłami, który wpadł oknem do pokoju i zawołał: „Nie ruszaj ich, bo one zatrute“. W okamgnieniu przyleciały oknem i inne pączki; jeden z nich, niby kamień, padł z łoskotem na podłogę; deska na której leżał, podniosła się do góry, zatrute pączki pokulały się pod nią, a trzy wielkie szczury je pożarły; znów się deska zapadła, i wszystko było jak pierwej. — Gdy nadeszli potem Hardosz z małżonką, i usłyszeli co zaszło, wydobyli puginały i chcieli go zamordować, ale żaden cios nie zdołał go ugodzić, bo zaczarowany sznurek wszystkie ciosy odbijał, i to na każden ciała wymierzone członek.

Hardosz więc kazał mu związać ręce i nogi, włożyć go na wóz i usiadł z dwoma z swoich ludzi obok niego. Zatrzymano się przed wieżą po nad Gopłem, gdzie niegdyś więzioną była matka Kazimierza, wprowadzono go na najwyższe piętro i ztąd wrzucono go w wodę, w miejsce najgłębsze. Spadając, zdawało mu się, że skrzydła dostał na ramionach, które go lekko na drugą stronę jeziora przeniosły. Hardosz widząc to, osłupiał, lecz wysłał ludzi, by go chwytali. Kaźmierz upadł na miękką murawę, i spostrzegł że kryształowy sznurek w formie skrzydeł rozszerzony był na obudwu jego ramionach; potém odpięły się skrzydła same przez się, sznurek wyprężył się i był tak ostrym na końcach, że poprzerzynał powrozy krępujące członki Kazimierza, i nakoniec zwinąwszy się niby wąż w pierścienie, leżał cicho obok niego. Przy tych poruszeniach sznurka. uczuł Kazimierz iż się skóra

na jego twarzy przemijała, spostrzegł nawet że kolor jego ubioru inaczej wyglądał. Spojrzawszy w jezioro, ujrzał się w zupełnie innej postaci. Uszedł tym sposobem przed poszukiwaniami Hardosza który go nie poznał, lecz pdchodząc przestraszony, zostawił sznur i uciekł spieszno. Wkrótce, żałując sznurka, wrócił się po niego, lecz już go na miejscu nie znalazł.

Tak idąc, przyszedł do chatki rybaka Korbalewicza i u niego zgodził się na pomocnika przy robocie. O swojich atoli przygodach nie wspomniał ani słowa. Jednego dnia przybył rybak Korbalewicz do domu, pełen uciechy, i pokazał czeladzi, co znalazł nad Gopłem; oto jest sznurek, mówił, na którym się niegdyś księżna Wiesława spuściła z wieży by ocalić życie; księżna Wacławowa żona Hardosza obiecała wielką nagrodę temu, kto go jej przyniesie; lecz ja go oddam żonie Korbalewicza, bo nie jestem chciwy, i mam, co mi potrzeba. — Gdy to usłyszał Kaźmierz, żałował mocno, że się sznurka samochcąc pozbył. Upadł więc do nóg swemu panu, wyznał mu prawdę, powiedział kim jest, i o zwrot sznurka prosił. Na dowód, zawołał: pączki moje, chodźcie do mnie!— a natychmiast świeżuchne pączki drzwiami i oknami zlatywać się poczęły. Rybak i jego rodzina cieszyli się i przyrzekli zachować tajemnicę.

Sznurek był odtąd w ręku Kaźmierza, który go przywiązał do wędki i tyle ryb łowił, że ich rybak sprzedawać nie nadążył. Jednego dnia atoli, wśród ciszy, łowił dzień cały w Gople, ale napróżno; nakoniec, gdy mu przestać kazano, zapuściwszy raz ostatniwędkę, wyciągnął ogromną rybę osobliwej postaci; ciągnął on przy pomocy sieci drugiego rybaka, lubo ryba łatwo ująć się dała. Była ona jasno- niebieskiego koloru, z złotemi skrzelami i czarnemi oczyma. Korbalewicz włożył ją w wielką wannę, i woził po okolicy, począwszy od Hardosza, ale każdy się dziwił a nikt jej kupić nie chciał. Więc postanowił sam ją pokrajać, nasolić i powoli spożyć z rodziną. Rybaczka wzięła noża i zaczęła skrobać łuszczki, lecz — o dziwy! — łuszczki opadły nagle gdyby skóra — i ukazała się śliczna pani, ubrana w zieloną suknię, z złotemi trzewikami i z ciemnemi lokami włosów. Cała rodzina osłupiała z podziwienia, i do nóg się jej rzuciła, bo ujrzałaprzed sobą księżnę Wiesławę. „Dzięki wam, zacni ludzie, lecz gdzież mój syn, i gdzież poczciwy Łysalek?

Ledwo to wyrzekła, zastukało za piecem i ukazała się łysa głowa Łysalka. Powitał miłym uśmiechem wszystkich, odwiązał kryształowy sznurek od wędki, owinął go Kazimierzowi około pasa, i wnet ukazał się tenże w swej właściwej postaci. — „Oto jest twój syn!“ rzekł, obracając się do Wiesławy, — lecz spieszmy się, bo czas nagli, a miecz sprawiedliwości zawieszony już nad zbrodniarzami, [1]) ciebie zaś (mówił do Korbalewicza) za wierną pomoc, udaruje księżna kilku pięknemi wioskami nad Gopłem, wówczas, gdy ukarze zdrajców.

Rybakowi zostało zaledwie tyle czasu, by podziękować Wiesławie i Łysalkowi, bo ten wziął w usta koniec sznuru, i tak silnie w niego dął, iż wkrótce rozszerzył się do grubości drzewa. W pośrodku sznura ukazały się duże ciemne kule i dał się słyszeć łoskot podobny zupełnie do grzmotu. Wiele tysięcy pączków poleciało teraz do zamku Hardosza. Najprzód leciał ów ze złotemi skrzydełkami, które teraz podobne były do kolczastych skrzydeł nietoperza. Hardosz ujrzawszy tak dawno upragnione pączki, łapał je i pożerał z chłapczywością. Naraz stanęła mu gęba otworem. Pączek ze skrzydłami kolczastemi wpadł mu w gardło i — niegodziwy zdrajca padł nieżywy. Gdy bliżej przypatrywano się pączkowi, pokazało się, iż to była szpulka z kołowrótka księżnej Wiesławy, który ona zostawiła była niegdyś w wieży. — Księżna Wacławowa zaś, chcąc sięgnąć po latające pączki, została niemi gdyby gradem kul zabitą. Tak nie ominęła zdrajców zasłużona kara.

Księżna Wiesława odebrała wydarte sobie posiadłosci, rządziła niemi jeszcze przez długie lata mądrze i sprawiedliwie, i wychowała Kazimierza tak dobrze, iż się stał zaszczytem i chwałą dla całego kraju.

---

[1]) Karły w Mitologii północnej Europy ważną odgrywają rolę. W poemacie staro-niemieckim Otnit, król karłów Alberych, przez późniejszych poetów Oberonem zwany, występuje jako ojciec rycerza Otnita, i nie jest duchem nienawidzącym ród ludzki i szkodliwym jak w poemacie Lorin; lecz wystawiony w barwie chrystianizmu, staje się geniuszem opiekuńczym, aniołem stróżem bohaterów. Daje synowi swemu bogaty rzęd na konia, towarzyszy mu na morzach i pomaga do pozyskania małzonki, zawsze wesoły i dowcipny w wynalezieniu sztuk złośliwych i dowcipnych. — Alberych umie zgłębić najskrytsze tajemnice. zwalcza

## 26.

## Królowa sów.

(Baśnie Wielkopolskie, zebrane przez **Emmę z Kurowskich Puffke**).

*Leszno*, 1863.

(Skrócone.)

(Sen. Sowy ścigają wilka z dzieckiem w pysku. Przygody w Turcyi. Sowy i karły zbawiciele).

z nad Gopła.

**I. Sen Bogusława.** Hrabia Bogusław po powrocie z Warszawy, odetchnął wolniej, znalazłszy się znowu w wesołym saloniku swego wiejskiego zamku.

Wieczór był prześliczny; z zachwyceniem spoglądał hrabia to na zachodzące słońce, które spuszczało się właśnie za kraniec bukowego lasu, zostawując po sobie różane chmurki na niebie, to na ciche, przejrzyste, kołyszące się lekko wśród zielonych krzewin pod oknami zamku jezioro, na którem przesuwały się lekkie czółna rybaków. Powoli, w miarę wzrastającej nocy, mgliste, ciemne chmury pokryły niebiosa, a wiatr chłodny i dżdżysty zaczął wiać od zachodu. W tém jękliwy głos sowy, powtórzony kilkakrotnie, zbudził go z zadumania.

Bogusław udał się na spoczynek, i wkrótce zasnął. Ale sen powtórzył mu te same niemal obrazy jakie widział na jawie. Po ciszy, ujrzał jezioro burzące się w niebotyczne bałwany, a potem stojące przed nim niby mur z kamieni. Na tym murze stała postać ptaka, która ulatując zwolna przemieniła się w niewiastę z rozpuszczonemi włosami i rozpaczliwą miną. Ta sięgła na drugą stronę muru i pociągnęła do góry za rękę inną nierównie piękniejszą postać. Była to młoda dziewczyna w jasno zielonej sukni, złotem haftowanej, i w wieńcu białych róż na głowie. Jej piękność zwiększała się widocznie. W tém

---

wszystkie przeszkody, smieje się z nastawionych sideł zdraliwych i przybiera do woli postaci najdziwaczniejsze. (Szabrański, Rys literatury niemieckiej, Warszawa 1876 str. 46).

pierwsza pani skinęła ręką; jasne płomienie wybuchły do koła i dziewczyna w wieńcu różanym znikła mu z oczu. Rozpaczająca niewiasta sięgnęła znów po za mury i wyciągnęła teraz skromnie ubraną dziewczynę z kołowrotkiem w ręku, piękną także i tchnącą anielską dobrocią. Ta upuściła kołowrotek, uklękła, złożyła ręce do modlitwy; skrzydła aniołka zjawiły się na jej ramionach i uniosły ją ku niebu. Pierwsza niewiasta spoglądała za nią z uczuciem boleści. W tém znagła krzyk sowi: huhu! rozległ się wśród ciszy, całe stado sów ukazało się w powietrzu, a pozostała niewiasta zniknęła pomiędzy niemi.

Hrabia się obudził, ale sen ten nie chciał mu wyjść z głowy, nawet wtedy jeszcze gdy odebrał list wzywający go do siebie, by go ucieszyć niespodzianką od wuja, o parę mil ztamtąd w zamku swym siedzącego. Dorozumiewał się przecież, że wuj pragnie go ożenić z hrabianką Pelagiją. Dojeżdżając do wsi wuja wieczorem konno, zamyślił się o swym śnie i ujrzał jak kilka sów trzepocąc skrzydłami, zleciawszy z dachu chaty pobliskiej, krążyły mu nad głową. Wtém potknął się jego koń i hrabia spadł bez zmysłów na ziemię. Gdy przyszedł znów do siebie, ujrzał się okryty kurzawą i krwią w izdebce miejskiej, i dziewczynę młodą, obmywającą jego ranę a następnie oczyszczającą jego suknie i rzeczy. Naraz zadrżał, bo dziewczyna zupełnie była podobną do owej postaci anielskiej, modlącej się, którą widział we śnie zeszłej nocy. Dowiedział się od staruszki, gospodyni, że jest ona jej córką przybraną, sierotą; a staruszka nieszczędząc pochwał gdy mówiła o Urszulce, opowiedziała jakim sposobem dostała się do jej domu. „Przed 18 laty mieszkając w małej wiosce o 3 mile od Warszawy, w sam dzień popielcowy idąc do lasu po drewka, ujrzałam wilka niosącego w pysku małe dziecko. Ścigało go i dziubało stado sów tak, że musiał upuścić dziecko by im się obronić. Przybiegłam tam z mojim nieboszczykiem i zabraliśmy dziecko do siebie, a teraz urosła nam Urszulka na naszą pomoc i pociechę; bo nawet i przełożona bliskiego klasztoru chwali ją nad wszystkie inne dziewczęta“. Hrabia zastanowił się nad okolicznością, że sowy które go mało o śmierć nie przyprawiły, siedziały i dziś na jéj dachu, — i wyjąwszy z kieszeni dukata chciał go wraz z najszczerszem podziękowaniem wsunąć do rąk staruszki, gdy Urszula wstrzymała jego rękę i żądała aby dar ten udzielony był ubogim, uboższym od nich.

Tymczasem dano znać wujowi o przypadku Bogusława. Przybył natychmiast, a widząc go już niemal zdrowym, ucieszył się i zabrał z sobą do zamku, gdzie już czekali goście. Bogusław poszedł do osobnego pokoju by zmienić ubranie i dowiedzieć się od służących czegoś bliższego o Urszuli. Ale wkrótce przybył po niego wuj' poprowadził do salonu i przedstawił hrabiance Pelagii. Jakież było jego zdumienie i przestrach, gdy w niej poznał ową piękną dziewicę, którą widział we śnie rozpływającą się w płomieniach. Poznał się z nią, ale nie miłe mu były jej przymówki i duma, zwłaszcza gdy usłyszał z jej ust słowa: po co trwonić majątek dla hołoty, wyrzeczone wówczas gdy w ogrodzie będąc chciał dawać żebrakowi owego dukata zaleconego jej przez Urszulę. To mu obmierziło hrabiankęPelagiję, i skłoniło szukać odtąd towarzystwa Urszuli.

Po przechadzce odwiedził ją; siedziała przy kądzieli. Cnoty jej podbiły jego serce, a rozmowa rozweselała umysł. Więc przychodził często, choć go Urszula prosiła żeby ze względu na wuja i szyderstwa gawiedzi, zaniechał tych wizyt. Aż razu pewnego nie zastał jej wcale w chacie, a staruszka zrazu milcząca, dopiero gdy jej sen swój opowiedział, wyjawiła mu, że Urszulka przeniosła się do przełożonej klasztoru. Tam się tedy udał Bogusław, i prosił a błagał przełożonej, by nie tamowała jego szczęścia, i dozwoliła połączyć się dozgonnym z ukochaną ślubem. Przystała na to przełożona, lubo zwracała uwagę na nieprzyjemności i przeszkody jakie czekały ze strony całej arystokracyi. Po ślubie tajemnie odbytym, przenieśli się małżonkowie do wioski Bogusława, i żyliby tu najszczęśliwiej, gdyby nie oburzenie wuja i wszystkich panów z jego kroku, a następnie nieszczęścia z nieurodzaju i pożaru pochodzące, które zniszczyły i zgnębiły Bogusława do reszty. Urszula, widząc w osobie swej przyczynę tego złego, sama namawiała go by ją opuścił i został wolnym, tém bardziéj gdy pożar zniszczył także i kościół z plebaniją gdzie był akt ślubny, a świadkowie, równie jak proboszcz i przełożona, poumierali, więc dowodów małżeństwa nie było. Mówiła że z poddaniem się woli Opatrzności wróci do swych zatrudnień wieśniaczych. A tak, mimo długiego oporu męża, rozstali się z sobą małżonkowie. Urszula zniknęła i nikt o nij nie wiedział.

Wuj teraz się rozradował i dopomgał we wszystkiem, ale nie zdołał nakłonić go do żeniaczki z hrabianką Pelagią. Wysłał go

więc w podróż do obcych, dalekich krajów, by się rozerwał i wrócił uleczony ze swej dawniejszej namiętności. Ale napróżno; Bogusław zapomnieć nie mógł swej Urszuli, a obraz jej boleści, smutku i osamotnienia, zatruwał mu wszelkie zabawy i rozrywki. Wreszcie, po kilku latach powrócił do domu i zaczął opowiadać swoje przygody, a wszyscy ciekawie słuchali opowiadań o bitwach w których brał udział.

II. Sowy. Razu jednego przejeżdżał nocą przez las, i napadnięty przez zbójców, zrzucony został z konia i zawleczony pod wysoki dąb, poczém zbójcy czémś odstraszeni, uciekli. Gdy się ocknął z odurzenia, usłyszał jakoby z drzewa wychodzący smętny śpiew kobiecy:

Pośród ciemnej nocy
sowy przebiegają,
temu co w ich mocy
spoczynku nie dają.

O biada dla tych osób,
co za własne winy,
muszą w taki sposób
spędzać swe godziny.

Bogusław osłabiony, i robiąc sobie gorzkie wyrzuty iż przeniewierzył się Urszuli i opuścił ją, gdy usłyszał ten śpiew i zawołał: gdzież jestem? — ujrzał kilka kroków ob siebie jasny ogień, około którego siedziało siedem sów ze spuszczonemi głowy. Dziewczyna smukła opatrywała mu rany i pot z czoła ocierała, lecz gdy otworzył oczy, znikła za dębem. Poznał w niej ową w pierwszym swym śnie widzianą rozpaczającą niewiastę i wyszeptał: nie opuszczaj mnie, aniele! — Po tych słowach podniósł się ogromny, zginający konary drzew wicher i deszcz ulewny lunął wśród ciemności, a huk sów mięszał się z wyciem wiatru. Nazajutrz, przyszedłszy do sił, podniósł się Bogusław i szedł dalej. Zaledwie kilka zrobił kroków, ukazały się w powietrzu ośm wielkich sów, z tych, siedm były brunatne, a ósma naprzód lecąca, srebrne miała piórka i złoty czubek na głowie. Ta wydała głośne huhu! i więcej niż tysiąc sow zleciało się na ten głos. Wszystkie pousiadały na drzewach, ich dowódczyni zaś usiadła na ziemi pod dębem, odskrobała nóżkami i dzióbem mech i zniknęła pod ziemią. Za nią zniknęły wszystkie siedem tymże samym sposobem. Bogusław zbliżył się, by obejrzéć kryjówkę tych cudownych ptaków. Zdawało mu się, iż te sześć sów były te same, które przeszłej nocy widział przy ognisku. Lecz nie było żadnego znaku, tylko wielki kamień leżał pod dębem. Z ciekawości starał

się go odwalić, lecz jego usiłowania były daremne. Nagle uniósł się kamień sam przez siebie, i wielka sowia głowa z długiemi uszami i świecącemi oczyma ukazała się z pod niego, i zarazem dał się słyszeć śpiew z towarzyszeniem arfy w tych słowach:

Pójdź tu do nas mężu śmiały,
bo gdy cię kule mijały,
strzegła cię królowa sów.

Jeśli czujesz dziękczynienie,
to nam przynieś wybawienie,
wywdzięczym ci znów.

Bogusław nie namyślał się długo. Po schodach marmurowych dostał się do obszernego salonu, wybitego czarnym aksamitem i oświeconego bladem światłem lampy. Mnóstwo sów otoczyło go; lecz on ujrzawszy w przyległym pokoju sowę z srebrnemi piórkami, siedzącą na kobiercu przerabianym złotem i wołającą: huhu! bez ustanku, pośpieszył do niej. Schwycił tego ślicznego ptaka, i spostrzegł z podziwieniem, iż wielka szpilka żelazna tkwiła jéj w głowie i oku. Nie namyślając się długo, wyciągnął ją gwałtem; biedna sowa zaczęła jęczeć przeraźliwie i uciekła za piec. On pobiegł za nią, lecz już jej tam nie było i wszelkie szukania były daremne.

Postanowił pozostać tam do dnia następnego, potrzebując wypoczynku, i usiadł w wielkiem krześle pokrytem kosztowną materyą, złotem przerabianą. Lecz nie mógł zasnąć ani na chwilę, bo sowy robiły zgiełk wielki w przyległym salonie; a niepokojiła myśl, czy go nowa nie spotka przygoda. Nagle usłyszał na dworze głośny wrzask sów, na który sąsiadki jego donośnie odpowiadały. Ośm dziewic z rozpuszczonemi włosami, z których pierwsza świetną koronę miała na głowie i suknię srebrem wyszywaną, drugie zaś w czarnych jedwabnych były sukniach, wbiegły do pokoju. Ta pierwsza, w najdroższym stroju, miała bolące oko i twarz krwią oblaną. Bogusław poznał w niej natychmiast swą wybawczynię, ową rozpaczającą niewiastę w śnie swojim. Ozwała sie doń z płaczem: „Przyjmij dzięki nasze, szlachetny człowieku, ale zarazem i prośby, abyś nas wybawił z okropnej, ciężkiej niedoli, w której dni nasze pędzić musimy; przeklęte od własnej matki, tułamy się już przeszło dwa tysiące lat w tych okolicach, czekając daremnie wybawienia. Nasza ciotka była sławną królową za dalekiem morzem. Chciałyśmy jej wydrzéć królestwo, którego ja miałam kiedyś zostać dziedziczką. Lecz nasza matka

chcąc odwieść nas od tego niecnego zamiaru, pilnowała siostry w dzień i w nocy. Przypadkiem przemieniły one swe posłanie, a my potwory zraniłyśmy własną matkę. Przemienione w sowy, jednę tylko miałyśmy wolną godzinę w samo południe, w której naszą ludzką postać przybrać nam było wolno. Bólesną tę ranę musiałam cierpieć przez te wszystkie lata. Ty wybawiłeś mnie z tego za zrządzeniem Opatrzności, lecz dopomóż nam jeszcze dalej i wybaw nas dokładnie, byśmy się mogły połączyć z naszemi krewnemi w innej planecie! Przedstaw się królowi Sobieskiemu, który właśnie wybiera się na wojnę z Turkiem, i ofiaruj mu twą pomoc w tej walce. Walcz przy jego boku i oddalaj oddeń niebezpieczeństwo. Jeden z baszów tureckich uderzy morderczą bronią na króla. Rozpłataj mu głowę i weź mu sztylet, który na złotym łańcuchu wisieć będzie przy jego boku. Ten sztylet nosiła matka moja zawsze przy sobie, i od niego zawisło całkowite nasze wybawienie. Lecz pokonasz przeciwnika tylko, robiąc w powietrzu bronią twoją znak krzyża, zanim uderzysz na niego, bo przed tym tylko znakiem znika tajemnicza siła tego sztyletu. Lecz nie daj się przez nikogo, nawet przez przyjaciół zatrzymać w twej drodze. Spiesz się i ocal nas."

Bodusław dał słowo honoru, iż pobieży bez zwłoki do króla Jana, pójdzie z nim na wojnę i zdobędzie sztylet na baszy. Przed podziemnem mieszkaniem znalazł znów swego osiodłanego wierzchowca, wsiadł na niego i ruszył w drogę, pełen nadziei że zaczarowane księżniczki w zamian za ich wybawienie, dopomogą mu do wznalezienia Urszuli. Gdy wyjechał z boru, ujrzał nade drogą nędzną wieśniaczkę siedzącą na kamieniu i wyciągającą błagalnie ku niemu ręce. Zaledwie ją minął, przypomniał sobie że rysy jej podobne były do rysów Urszuli i chciał konia nawrócić, gdy stado sów zleciało się i zawrzasło koło niego. Wkrótce sowy odleciały, a on ujrzał na głowie konia karteczkę z napisem: „Nie troszcz się o Urszulę, bo ją czeka pomyślność".

**III. Przygody w Turcyi.** Król Jan przyjął Bogusława łaskawie, dozwolił mu zostawać przy jego boku i towarzyszyć w wyprawach. W jednej z nich, spostrzegł Bogusław oczekiwanego baszę, u którego boku błyszczał ów zaczarowany sztylet. Ten jednak, na widok Bogusława, zwrócił swego konia, bo mu raz wróżka powiedziała, że ma się strzedz jeźdźca na bułanym koniu,

a gdyby się ten przypadkiem dostał w jego moc, obchodzić się z nim jak najlepiej, bo znać on będzie przymioty sztyletu. Bogusław miał właśnie bułanego konia, i nie czekając, natarł na baszę by mu wydrzéć sztylet. Szczęk broni zajęknął, dwaj zapaśnicy długo z równą walczyli siłą; wreszcie siły Bogusława opadły, i uledz musiał, bo zapomniał bronią swą zrobić znak krzyża w czasie walki.

Basza trzymając w niewoli Bogusława, dbał o to, by mu na niczém nie zbywało. Bogusław tém ośmielony, upraszał go o dobrowolne odstąpienie mu sztyletu, do wybawieniu wielu nięszczęśliwych osób potrzebnego. Ale basza na to żądanie gniewem zawrzał, i pragnął dowiedzieć się o wszystkich tego sztyletu własnościach. Użył do tego i groźby i prośby. Mówił: daję ci cztery tygodnie namysłu; jeżeli mi w przeciągu tego czasu nie wyznasz wszystkiego co wiesz o tem sztylecie, czeka cię śmierć niechybna. Basza odjechał, lecz dał służbie polecenie wybadać jeńca co do tajemnicy tego sztyletu. Napróżno. Bogusław lubił przesiadywać w ogrodzie w cieniu rozłożystego buku; tu go raz obstąpiło dziesięć ślicznych dziewic, które wśród śpiewów i pląsów podawały mu czarę z winem, a wśród gwarów miłych starały się dowiedzieć czegoś o sztylecie. Napróżno. Gdy basza powrócił, znów go, i to po raz ostatni, zapytał o tajemnicę sztyletu. I to było napróżno. Bogusław odpowiedział: „Dałem słowo honoru, że nie powrócę do domu bez sztyletu; tajemnicę, która do niego jest przywiązaną, objawię wam, gdy go drogą pojedynku zdobędę; wyznaczcie więc jednego z waszych wojowników; jeśli pierwszy przez niego odbiorę ranę, rozporządźcie mem życiem lub odeślijcie z hańbą do ojczyzny, jeśli zaś przeciwnik mój pierwszą ranę odbierze odemnie, oddajcie mi sztylet i odeślijcie do granicy“.

Zgodzono się na to i przyprowadzono Turka olbrzymiej wielkości, by się z Bogusławem potykał. Bogusław musiał w zapieczętowanym liście spisać własności sztyletu, na przypadek gdyby został uśmiercony; sztylet zaś leżał w pogotowiu na aksamitnej poduszce dla niego, gdy zwycięży. — Bój się rozpoczął. Bogusław całej użył zręczności swej i siły, bo wiedział o co chodzi; wkrótce też trysnęła pierwsza krew z rany zadanej olbrzymowi, a nawet — gdy żądano dalszego boju — Bogusław położył go na placu. Dopełniwszy tego, pochwycił z tryumfem za sztylet, gdy basza wziąwszy list, przeczytał go ciekawie, i ze smutkiem dowiedział się

jaki to klejnot stracił w tej broni. Potem ponowił obietnicę odesłania go do granicy i na wspaniałą pożegnalną zaprosił ucztę.

Wieczór nadszedł; zwycięzca widząc przy uczcie wielu zazdrośników, wreszcie znużony, oddalił się na chwilę do swego pokoju by wypocząć. Wszedłszy, spostrzegł za oknem siedzącą wielką sowę i pukającą w szyby. Bogusław otworzył, i gdy sowa wleciała, spostrzegł że ma uwiązaną u nóżki kartkę; odebrał ją i wyczytał: „Dziś w nocy chcą cię zamordować; spuść się więc po sznurze, który znajdziesz przymocowany do okna i uciekaj spieszno. Lecz wprzódy przypasz miecz który znajdziesz w przyległym pokoju, i przywiąż na nici sowę do twego pasa i idź w stronę, którą ona ci wskaże, a tak, dojdziesz niebawem do granicy". [1])

Bogusław uczynił jak mu kazano; w chwilę potem znajdował się w ogrodzie, i wyszedłszy przez furtę w murze którą sowa dziobem otworzyła, umknął. Basza i goście, zdziwieni jego nieobecnością, posłali po niego, i gdy im doniesiono że uciekł, nakazali pogoń za nim przy świetle pochodni, obiecując wielką nagrodę temu kto go złapie. Sam basza należał do tej pogoni. Usłyszawszy tentent koni za sobą, widział Bogusław, że nie ujdzie i że trawa, ni otwarte pole, ukryć go nie zdoła. Basza z orszakiem swym rzucił się na niego; ale sztylet jego dokazywał cudów a sowa dzióbem swym mu dopomagała. Lecz liczba wrogów wzrastała nadzwyczajnie; wtedy słabnąć już jego ramię poczęło, i broń mu wydrzeć usiłowano; aż oto straszliwe huhu dało się słyszeć, nowa chmara sów zaszeleściła w powietrzu, grad kamieni posypał się na nieprzyjacioł i powiew skrzydeł zagasił wszystkie pochodnie. Nieprzyjaciel pierzchnął, a Bogusław osłoniony cieniami nocy, dostał się pod przewodnictwem sowy do granicy. Tutaj dwie sowy przyleciały na jego spotkanie i postawiły przed nim koszyczek z żywnością i ze sporą kwotą pieniędzy na spodzie.

IV. **Sowy i karły.** W pierwszem miasteczku kupił sobie konia, na którym zajechał szczęśliwie i zdrowo do boru przemienionych w sowy księżniczek. Kamień pod dębem został odwalony, a gdy przyszedł po marmurowych schodach do znajomego mu salonu, zastał tam z wielkiem swojem podziwie-

[1]) *Lud* Ser. X str. 140. Broniszewice.

niem ośm pań siedzących u zastawionego stołu. Powitały go uprzejmie i prosiły by zasiadł z niemi. Bognsław oddał im gorąco upragniony sztylet, a odebrawszy serdeczne podziękowanie, usiadł. Podczas objadu, widząc że same westchnienia wydzierały mu się z piersi, zapytały go o przyczynę smutku. Bogusław opowiedział im wszystko, i sen swój w którym po raz pierwszy ujrzał królowę sów, piękną hrabiankę i Urszulę, potém jak za namową krewnych opuścił haniebnie żonę ukochaną; dodał, ile wycierpiał, jak mało miał spokojności od owego czasu i że chce ukochanej żony po całym szukać świecie, — a śmierć tylko zdoła go od niej rozdzielić.

Gdy te słowa domawiał, podniosła się zasłona, i Urszula stanęła przed nim. Pełen szczęścia, serdecznym uściskiem powitał żonę, a łzy które oblewały jego lica, okazywały, jak szczerą była jego radość i skrucha.

„Teraz kolej na mnie“ ozwała się jakaś staruszka, na którą Bogusław nie zważał dotąd. „Moje córki musiały zająć się twym losem, ponieważ byłeś wybrany do ich wybawienia. Dla tego przyjęły twą żonę, gdy ją wygnałeś od siebie. Pod ich opieką była szczęśliwą i spokojną. Ja przybyłam tutaj, by moje córki uwolnić, bo upłynął czas ich kary zasłużonej. Urszulę mianuję dziedziczką wszystkich kosztowności naszych, które się znajdują za tą zieloną zasłoną w srébrnej urnie. Pójdźcie dzieci moje“ rzekła obracając się do ośmiu sów „lećcie ze mną na jasną gwiazdę, która nam odtąd za mieszkanie służyć będzie!“— Jedna po drugiej musiała uklęknąć przed nią (staruszką); ona dotknęła sztyletem ich czoła, i ośm czarnych trumien ukazało się z pod ziemi, które przyjęły nieżywe ciała ośmiu córek. Urszula i Bogusław stali przerażeni tym widokiem, ale stara księżna oddała im srebrną urnę i wyprowadziła ich na powierzchnię ziemi. — Kamień upadł na wschód, a pnące się po nim rośliny, zasłoniły to miejsce do niepoznania.

Stara księżna stała nieporuszona, pogrążona w zamyśleniu. Nastąpiło głębokie milczenie. Małżonkowie podziwiali niezmierne skarby, które teraz były ich własnością i wynosiły (w srebrnej urnie) sto razy więcej niż Bogusław niegdyś posiadał. Lecz czuli się tak przejęci ważnością tej chwili, iż nie mogli wielkiej kłaść wagi na dobra ziemskie. — Księżna pomodliwszy się chwil kilka, schyliła się ku ziemi, zrobiła na niej sztyletem wielkie koło

w około obojga małżonków, i rzekła: „Zostańcie spokojnie na miejscu i nie troszcie się, w jaki sposób dalszą odprawiać macie podróż. Przyjaciele mych córek poprowadzą was i dopełnią waszego szczęścia“.

Teraz rozstąpiła się ziemia w miejscu, gdzie było koło zrobione sztyletem, i siedem karłów z długiemi białemi brodami wyskoczyło z pod ziemi, pokłonili się nisko przed księżną i oznajmili jej, iż wszystko jest w pogotowiu. Ta przycisnęła sztylet mocno do piersi, uklękła, a mglista powłoka zakryła ją przed oczyma otaczających ją osób. Karły obwinęli teraz swe długie brody około ręki, zaczęli tupać nogami, i w mgnieniu oka małżonkowie wpadli głęboko pod ziemię.

krótki czas tylko znajdowali się w ciemności. Bo zaraz potem ujrzeli nad sobą ogniste sklepienie, które nie było nic innego jak okrąg ziemi, świecący wewnątrz podobnie do zorzy północnej, a tak jasno, iż mało się różnił od światła dziennego. W tém tylko zachodzła różnica, iż wszystko zdawało się być w różanym kolorze i każdy przedmiot był ze wszech stron równo oświecony. — Podróż odprawiała się wprawdzie zwolna, ale bez przerwy. Siedząc na miękkiej murawie, Bogusław i Urszula jechali, nieznaną siłą wiedzeni, przez państwo karłów. — Sliczne krajobrazy z kryształowemi górami, które przeplatały góry ze złota i srebra, przedstawiały się zdziwionym oczom wędrowców. Czasami byli bardzo blisko przy urodzajnych łanach i łąkach tej podziemnej krajiny, na których żółto-zielone drzewa i rośliny w rozmajitych ukazywały się kształtach. Niezmierne gromady karłów zbiegały się zewsząd, by się przypatrywać tak rzadkim u nich gościom, i witali ich radosnemi okrzykami, które zupełnie były podobne do grzegotania żabiego. Mężczyźni tych podziemnych krajin, mieli na sobie czerwone ubiory, po których złote prążki i gzygzaczki się ciągnęły; głowy ich pokryte były czarnemi czapeczkami. Kobiety miały białe lub niebieskie spódniczki i czarne aksamitne gorsety, spinane na złote lub srebrne klamry. Włosy ich były kunsztownie uplecione i ozdobiony perłami i drogiemi kamieniami. — Po kilkodziennej podróży ściemniało się powoli. Gruba powłoka ziemi, która dotąd świeciła niby jasne płomienie, stała się szarą jak popiół i otworzyła się przed niemi.

Uczuli znów orzeźwiające powietrze naszej atmosfery, i ujrzeli się w ślicznym ogrodzie. Bogusław musiał pozostać tutaj, lecz Urszulę zaprowadziły karzełki do pobliskiego pałacu. Właśnie dnieć zaczynało; psy dworowe umilkły na widok karzełków; kogutowi zamarło pienie w gardzieli. Wszystko zresztą było w głębokim śnie pogrążone, a drzwi otwierały się same przez się karzełkom. Cichutko wprowadziły małe pokraki zdziwioną Urszulę do sypialni przed łóżko, które było osłonione karmazynową adamaszkową kotarą. Dwa karzełki wskrobały się zręcznie do góry i rozsunęły firanki. Tutaj leżała we śnie pogrążona śliczna pani (Pelagija) i tak przez sen mówiła: „O matko, czemuż nie pozostałaś z nami w Warszawie! Wszyscy obchodzą tam dziś popielec, my tylko sami jedziemy przez ten las ciemny, ścigani przez gromadę wilków. Ojcze, patrz! oto trzech wilków koniom drogę zabiega. Biada nam, już (w)spinają się do sanek. Ojciec zastrzelił jednego. Janie, Stanisławie, ratujcie bliźnięta! Moje kochane siostrzyczki! straszliwe zwierzęta już je schwyciły. O Boże! Maryniu! Anneczko! Matka rzuca się na wilka i wydziera mu z paszczy Anneczkę. Ale Marynia? — Wilk ucieka z nią daleko. Ojciec i słudzy nie mogą go dogonić. Wilk już pożarł biedną dziecinę. O Boże, zmysły mi się mięszają! — Umilkła na chwilę, gorzka boleść twarz jej skrzywiła. Potem daléj przez sen mówiła: „Lecz Anneczko, zostałaś przy życiu, by nam tém większe zgotować strapienie. Słaba i blada dożyłaś zaledwie lat piętnastu i połączyłaś się z Marynią w rajskich krajinach. Ojciec umarł, matka nie żyje! opuszczona jestem od całego świata! Lecz zasłużyłam na to, bo byłam dumną, złośliwą i próżną, ale teraz czuję, iż jestem tylko nędzne i ułomne stworzenie; poprawię się, stanę się pokorną i dobrą“!

Przestała mówić. Karzełek dotknął swą małą ręką jej liców. Wyraz boleści ustąpił miłemu uśmiechowi i otworzyła oczy. Spoglądała z niezmierném podziwieniem na Urszulę i zawołała nakoniec z radością: „O Boże, czy to być może! Anneczko, czy ty wyszłaś z grobu?“ — „Nie“ zawołał jeden z karzełków; „to nie Anneczka, lecz Marynia, twoja dawniej stracona siostra. Królowa sów ocaliła ją z paszczy wilka. Dotąd nie wolno ci było znać ją, bo byłaś dumną, złośliwą i próżną; teraz poprawiłaś się, więc dla tego odzyskałaś siostrę.“ — Obie siostry uściskały się, wylewając łzy radości. Nie miały wyrazów, by okazać uczucia swego

uszczęśliwionego serca. Karzełki spuściły teraz firanki, kotary, i prosiły hrabianki Pelagii (boć ona to była szczęśliwą siostrą Urszuli), by się ubrała, bo jeszcze jedna czeka ją niespodzianka.

Gdy się to stało, wszedł Bogusław. On wiedział już o wszystkiem, lecz jakże zadziwiła się Pelagija dowiedziawszy się, iż ta przez nią tak pogardzana Urszula, była jej siostrą Maryą. Wyrzucała sobie bardzo, iż nie starała się dawniej zapoznać z Urszulą: mówiąc, iżby ją zapewne była poznała dla jej podobieństwa z zmarłą siostrą. —Wszelka niedola była teraz zapomnianą. Pelagia cieszyła się serdecznie, iż jej siostra Marya była żoną Bogusława, i dziękowała Bogu, że jej nie zostawił bez opieki i pomocy w tém życiu.

Karzełki udały się potém w kącik pokoju, podniosły deskę w podłodze, ukłoniły się na pożegnanie i zniknęły. Słowa dziękczynień towarzyszyły im w pod-ziemne krajiny. Potem słychać jeszcze było szelest i sztukanie, nakoniec wszystko umilkło.

Po kilku wesoło spędzonych tygodniach udał się Bogusław z obiema siostrami w odwiedziny do wuja. Przygody obojga małżonków, jako i dziwne spotkanie i odnalezienie się obudwóch sióstr, zrobiły na nim głębokie wrażenie. Uważał teraz ową Urszulę jako niewinną męczennicę i błogosławił chwili, w której się Bogusław z nią połączył.

Niezapomniano także o przybranej matce Urszuli, i od tego czasu uważano starą wieśniaczkę za członka rodziny, a poważana i pielęgnowana, przeżyła w domu Bogusława jeszcze szczęśliwych lat wiele. Pelagia i wuj żyli także przy Bogusławie, a miłość i jedność łączyła odtąd całą rodzinę, więc i błogosławieństwo niebios spoczywało ciągle nad nimi [1]).

## 27.

## Góra zaczarowana [2]).

(Ubogi wypatrzył jak zbójcy wchodzili i wychodzili z niej, niosąc tam łupy. Dobył się tam i mierzył potem pieniądze miarką od brata. Złodzieji połapano).

od Poznania, Obornik.

Był raz jeden szwiec (szewc) bardzo bidny, miał żone i kilkoro dzieci, i bardzo mu kiepsko szło. Z bidy, poszed i kupił so-

[1]) Ocena w Bibl. Warsz. czerwiec 1863.

[2]) *Lud* Ser. VIII str. 84.

bie powróz, wszed do boru i chcioł sie tam na brzegu objesić, ale mówił: jakby ja sie na brzegu objesił, toby któkolwiek szed i mnie jeszczek odbronił. Poszed w ten bór głęboko, wláz na sosnę wysoką, mówi sam dó sie: chocby ja sie objesił, czártu dusze oddáł, to przecie nie podobna, pan Bóg jes pirszy jak wszysko, — i nie objesił sie, ino tak siedziáł na ty sośnie.

Potem przyjachali furmánia ze szóśćmi brykami; pomiędzy górami staneli, koniom obrok dali i towary skradzone składali w te góry. Jeden z nich mówił, nájstarszy do góry: Figa góra, otwórz się! — Góra się otworzyła, i pakowali w te góre skradzone rzeczy. Jak poskładali z tych wozów, tach odjachali i powiedzieli sami dó sie, że: za tydzień przyjademy znowu. Jak odjachali, tak że ten szwiec szczed (zszedł), mioł miech pół-czwortkowy (pół ćwiartki), i zawołał do téj góry: Figa góra otwórz się! — i wszed do tej góry i nabrał sobie dubeltowych ludorów pełen worek. Wyszed z téj góry i powiadá: Figa góra! zamknij się — i góra się zamknęła. Przyszed do domu, jego żona i dzieci już spały; zawołał na żone, ona mu otworzyła, a on piniądze poszed i skował (schował); żona się dziwowała zkąd on tyla piniędzy wzion.

Na drugi dzień poszed do kościoła; a ta jego żona poszła naprzeciwko do bratowy, chtóry jego brat bół okropnie wielgim kupcem. Ta szewcewa bidna prosi téj bratowy żeby ij pożyczyła kwárty. A bratowa sie pytała co ona będzie mierzyła? — A szewcowa: musze przemierzyć trochę kaszy, bo nie wiem dość jeszczek mám. Ona dała ij kwartę, ale trochę ciasta podlepiła na dno pod spodek. Ta bidna szewcowa mierzy te piniądze i cieszy się, że ten jeji moż tyla piniędzy przyniós, że sie teráz przynájmnij zretują. Jak te piniądze przemierzyła, tak te kwartę otniesła i téj swojej bratowéj podziękowała.

Ta bratowa wziena te kwartę, patrzy pode dno, a tam był ludor przylepiony. Tak óna powiada kupcowa swému mężowi: słuchái ino, já niewiém zkąd twój brat może tyla piniędzy miéć, co je kwartą mierzy. Ten szwiec przyszed z kościoła i stoji sobie przed domem. Ten kupiec tego swego brata (szewca) wołá do siebie; a temu szewcowi jest dziwno, gdy ten brat jego taki był dómny, że z nim ani gádáć nie chciał. Idzie jednak do tego swégo brata, jako kupca. Ten brat mówi; słuchaj, pódź ze mną do moji stancyi. Przyniós dwie butelki winna i poczęstował tego brata áż

go na połowę upił (upoił). Pyta go sie: ach bracie, zkąd ty mász tyla pieniędzy, że twoja żona aż mierzy? Ten brat szewiec nie chciał się przyznać co sie ten szpos (Spass, żart) stał u niego; przyznál mu sie przecie, i opowiádał mu o tym całkim interesie, co mu sie w boru zdarzyło. Ten kupiec mówi do niego, — łakomość go ogarnęła, — mogemy iść razem oba w nocy. A brat mówi, no czemu nie! kiedy chcesz możesz iść ze mną.

Ten bogaty kupiec uszykował sobie duży ćwiertniewy miech, a ten szewc wzion sobie ten mniejszy woryszek co go miál wprzody. Wleźli oba na sosnę, ten na jednę, a ten na drugą. Patrzą, żeli tam chtó nie idzie albo nie jedzie. Nicht nie jachał. Oni oboje zeszli, ón z tym bratem, i poszli do téj góry, kazali ij sie otworzyć i nabrali piniędzy. Potem sobie idą do domu. Bogaty kupiec pyta sie szwieca: czy on jutro znowu nie pójdzie po piniądze. Ten szwiec mówi: bo ja wiem? — bo wiedział że na tę noc złodzieje przyjadą. Mówił szwiec do kupca: Jak chcesz! mogemy iś(ć). Umówili sie, że na jednę godzinę wstać mieli i oboje iś(ć). Ten kupiec — łakomość go ogarnęła, — poszed samotny, bo chciál jak nájwięcy miéć. Wyszed z domu, brata nie wołał i przyszed do ty góry i zawołał na nią. Góra mu się otworzyła, on wszed, nabrał złota, i w tém chce wychodzić, i zapomniał na te górę nazwać, jak ten brat mówił. Temczasowo nadjechali złodzieje ze sześciómi wozami ze skradzonym towarem i koło góry stanęli. Ten nájstarszy wchodzi do góry. A ten kupiec nimioł sie gdzie w górze skryć. Oni tego kupca zobaczyli, że ón im (tym złodziejom) te piniądze krád. Złapali kupca, na sztyry części go rozcięni i na śtyrech rogach go w téj górze powiesili. Towary poskładali i otjachali sobie.

Więc ta kupcowa, dziwno ij to bylo, że tak długo mąż jeji nie wiácá. Ona idzie do tej bratowej szewcówej pytać się: czy óni też poszli? — Ale zastała i szewca w domu; a ten mówi: ón mnie wołać nie wołał, bo ja myślę że brat w domu jes. — Szwiec wzion swój woryszek i poszed znów do téj góry. Wchodzi w tę górę, patrzy, a tu brat na śtyréch rogach wisi rozcięty. On go wzion, te kawałki w miech włożył, troche piniedzy nasypał, i potem sobie idzie do domu. Przyniós te kawałki jako z brata, do bratowéj, pokazał iéj i powiadá: że jest zabity od złodziejów.

Ona co zrobiła, ta kupcowa? — miała s(ł)użącą któréj imie było Kasia. Ta prędko poleciała po jednego szewca, chtóry bar-

dzo wielki już był staruszek, chtóry atłasewe i wszelkie trzewiki szył dla paniów. Kasia jemu opowiadá: żeli by ón tego ciała, tych kawałków ni móg zczyć (zeszyć) do kupy. On powiadá: czemu nie! że ón może. Tak mu dała sześ(ć) ludorów dubeltowych. Ten stary szwiec odebrał od nij ludory i położył sobie na wa(r)sztat przy którym pracował. Ale trzebno oczy zawiązać i wyciógnąć (wyprowadzić) się z izby. Ona mu oczy zawiązała, i trzy razy się z nim w koło jego domu obróciła w koło. Potém go do kupcówy, swojij pani domu przyprowadziła i oczy mu otwiązała. On wzion to ciało, ładnie do kupy poskładał te kawałki, ten stary szwiec, i tak je ładnie pozczywał, że znáku nie było. Ta jego żóna, poszła zaráz do księdza i opowiedziałá że jeji mąż nagle umar. Zwónić kazała, jako na znák kupca, że umár. Wtenczas go pochowali, jak się należało.

W tém złodzieje przyjeżdżają do góry, patrzą, a tu ciała już nima. Złodzieje mówią: ou! tu musi chtóry więcy chodzić nom po piniądze. Te złodzieje się zaráz roześli, wywiadywać się, żeli chto spleśniałemi ludorami nie płaci (bo óne zaś w tej górze spleśniały). Z nich, z dwunastów złodziejów, ten nájstárszy idzie sobie wieczorem kole tego szewca co to ciało zczywał. Widzi że tam szwiec miészka, i wszed do niego, żeby mu but zeszył, bo mu się rozpruł. Mówi także: żeli by ni móg buta mu na doczekaniu (poczekaniu) zeszyć. Widzi że ten szwiec stary takie ogromnie delikatne rzeczy robi, i wieczorem przy świetle. Wtenczas szwiec bierze jego but i zeszywá mu. Jak mu zeszył, ten złodziéj nie pytał się już co ón żąda za ten but, ino wyciągnoł z kieszeni dwa ludory i dał mu, bo widział że był bidny. Ten szwiec się ucieszył że miáł ośim takich już ludorów w kupce zarobionych w tym tygodniu. Powiadá do tego złodzieja: ach ja takie piniądze już dostałem jak te dwa ludory. Ten złodziej kázał sobie óne pokazać, i poznál że to były z jego góry piniądze, bo były trochę spleśniałe. Pytá się: od kogo on je má? — A szwiec powiadá: że zczywał jednego mężczyznę z czterech kawałków. — A złodziej pyta się, i czyby mu nie móg powiedzieć z któréj kaminicy? — Szwiec powiedział że go zaprowadzi. Szwiec temu złodziejowi kazał aby sobie związał oczy; szwiec mu związál oczy i potem trzy razy go obrócił w koło i ciognoł (prowadził) dó miasta wieczorem, jak wszyscy spali. I zaprowadził go do téj kamnicy, gdzie krám był, do téj kupcowéj. Złodziéj miáł kawałek kréty (kredy) przy sobie i nazna-

kował na okiennicéj, co chciał rano zaś rozpoznać te kamienicę jak ona wypatruje.

Ta sużąca Kasia wstała rano, patrzé że na okiennicy jest nacéchówane krétą; a Kasia złapała kréty, i po wszystkich kromach (kramach) popisała na okiennicach też tak jak u nich było. Gdy złodziéj przyszed i chcioł rozpoznać kaminicę, patrzy, że po wszystkich kromowych okiennicach jes popisano jedno i to samo. Wtenczas idzie do swojij bandy, i opowiadá bandzie: że tak i tak sie stało, że nie znájd(ł) i teraz już znaleźć ni może. Mówił że trzeba kupić teraz i zawieść do miasta jedenaście beczków trónu (tranu), aby, chtóry kupiec bedzie płacił takiemi skradzonemi piniędzmi, to się wyda, bo my muszemy odwieść trón ten do tego kromu. (A w 10 beczkach będą złodzieje).

Przychodzi kupcówa i zakupuje od złodzieja ten trón na rénku (rynku), który jest przywieziony. Ona płaci temi piniędzmi spleśniałemi, skradzonemi. Potem ji zawieźli ten trón i poskładali, a to było krótko nad wieczorem. On mówi, ten złodziéj, żeli by tam nimóg ostać na nocliku u nij. Ona widziała że to jest spaniały kupiec, i mówiła: czemu nie? — Ón więc tam ostał, y wtenczas po kolacyi mówiła do swojij służący Kasi i do swego séna (syna) że óna może párę kawałków pokazać, bo óna umiała téatr pokázywać (ta Kasia) z tym synem. I przytém miała u boku swego taką broń. Gdy téatr skończyła, idzie do tego pana z talirzem, aby ij téż coś włożył na talirz. Jak że ón sięga do sakiewki, tak óna widziała że miáł w cholewach dwa tęgie knypy (noże). Ona go dejgą (Degen, szpada) przebiła zaráz na miejscu, chtórą óna miała w ręce. Zaráz Kasia zmiarkowała że to są sami złodzieje, chtórzy ich chcieli stracić. Kasia poszła do beczków, i w te beczki puka po malušku. Idzie od beczki do beczki, a tam jéj się coś odzywa w beczce: czy już? — Ona odpowiadá: jeszczé-g nie. Zaraz Kasia poszła na policyją; i wojsko przyszło i złodziejów połapali, y na szubinicy popowiészali.

Ten szwiec, (szwagier téj kupcowéj) melduje na policyi, że ón wié gdzie óni mają zachowane skradzone piniądze. Na sądzie powiedzieli do tego szewca, że ón ma powiedzieć gdzie ta góra, to dostanie wynadgrodzenie od sądu. On powiedział gdzie óna jest. I wziéni żałmirzy i wielgie bryki i pojachali do téj góry i piniądze zabrali a szewca wynadgrodzili. Zaś ta kupcowa te Kasie ze swojim synem ożeniła, za to że od śmierci ją odbroniła.

## 28.

## Targowa przygoda Bartosza

(Powieść gminna).

(*Przyjaciel ludu*, Leszno 1839 rok 6ty N. 1. 2).

(Orzeł go niesie na księżyc. Gąsior odnosi na ziemię).

„Niech będzie pochwalony!“ rzekł Bartosz wchodząc wieczorem do chałupy swego sąsiada Jędrzeja. — „Na wieki wieków“, odezwał się gospodarz, i podał mu rękę na przywitanie. „Siadajcie na ławie i powiedźcie mi, proszę, czyś cie wczoraj z miasteczka szczęśliwie powrócili; boście sobie nieźle u Szmulowej czubek gorzałką zalali. Czekałem ja na was dość długo, ile że mnie wasza o to prosiła; ale widząc że niéma końca, wsiadłem na wóz, wrzasnąłem na moje chetki, i zostawiłem was przy kieliszku“.

Zeby was gęś kopła, Jędrzeju! wy nigdy nie dotrzymacie placu: zawsze się gładko wyniesiecie, gdy się człowiek w najlepszą zagada. Właśnie śmy się z Kubą sprzeczali, czy lepiéj czynsz z roli płacić, czy też pańszczyznę, jak dotąd było, odrabiać. Ja jak wiecie sąsiedzie, byłem za pańszczyzną; bo to człowiek nie potrzebuje tak sobie głowy łamać, zkąd grosz wziąść; pcha robociznę jak może, a wymłóciwszy wiertelik, to się przyda na kwartę soli. Nie potrzeba było tyle zabiegu; jeżeli przybrakło na przedeżniwku, lub co z bydełka wypadło, to się poszło z miechem do dwora: ale teraz kto mnie poratuje?“

„Wy zawsze swoją piosnkę śpiewacie, Bartoszu, choć was już tysiąc razy przekonałem, że to próżna gadanina, którą niedołężni gospodarze swoje lenistwo, nierozum, a co gorsza, szkodliwy nałóg pijaństwa pokryć usiłują. Jakto? to wy wolicie, jak ów wół, który ciągle dla człowieka w jarzmie chodzi, na kogo innego niż na siebie pracować? Czyż chcecie być w tej mierze koniecznie podobni do nierozumnego bydlęcia“?

Ej; co mi tam do bydlęcia! wszakże mój ojciec, dziad i pradziad, nie byli bydlęta, a dobrze im tak było; chwalili sobie dawne czasy; teraz wszystko do góry nogami przewrócone, i dla tego téż taka biéda, żeby jéj siekierą nie uciął“.

„Jak trudno jest trafić do końca z człowiekiem ciemnym, przesądnym, a do tego upartym: ksiądz swoje, djabeł swoje. Ale na szczęście nie potrzeba tu wielkiego rozumu, aby pojąć, co jest lepiéj, czy być sobie samemu niezawisłym panem, mieć zabezpieczony grzbiet od odlewanych (batów), czy też brać harapnikiem po plecach, gdy pan okonom lub włodarz, połajany sam od pana, lub z innéj jakiéj przyczyny markotny, zechce swój humor na naszych plecach rozjaśniać".

„No, no! wyście zawsze aż do znudzenia przemądrzali, gdy zaczniecie o téj niemiłej materyi rozprawiać. Dajcie temu pokój, bo mnie już dalibóg korci; oto pożyczcie mi na jutro gratu do koszenia owsa; a posłuchajcie mojéj wczorajszéj przygody.

„Owóż tedy utyskując z Kubą na ciężkie czasy, zwłaszcza gdy już ś. Marcin za pasem, a tu z nikąd wsiąść grosza, aż człowiek w głowę zachodzi; bo jak wiecie, mnie się pieniądz nie trzyma, wszystko się rozlezie. Kazałem dać półkwaterek wódki; poczciwe Kubasisko rozczuliło się, kazało dać drugi, ja trzeci. Wychodzę nareszcie ostatni z szynkowni, chcę siadać na wóz, wytrzeszczam oczy, bo mi się w głowie wszystko kręciło; nic nie widzę. Domyśliłem się zaraz, że moje zniecierpliwione szkapska, jak zwyczajnie, same do domu ruszyły. Cóż było robić? musiałem, choć mi głowa okropnie ciężyła, ba! i nogi nie statkowały, wracać pieszo do domu. Już tego wreszcie nie baczę, co się ze mną stało; pomnę tylko jak gdyby we śnie, że gdym się z trudnością dobił do rozstajnych dróg koło mostku, ten mi całkiem znikł z oczu, szukam, biedolę się, aż tu woda jakoś coraz bardziéj przybiéra; ani podobna przejść. Pomyślałem sobie, (Boże odpuść ciężkie grzechy), żeby cię trzysta kaduków porwało i z mostkiem, aż tu, ni ztąd ni z owąd, postrzegam w rogatym kapeluszu bliskc mnie stojącego kusielca.

„Dobry wieczór, kumotrze" rzekł do mnie nieznajomy: „co porabiacie? cóż wam to? czego się tak w kudły drapiecie„?

„Dobry wieczór waszeci" odemknąłem; domyślałem się bowiem co to za sztuczka, zwłaszcza że nie pochwalił pana Boga; alem się go nie zląkł bynajmniej: księżyc świecił pięknie, i ja, jak wiecie, kiedym podochocony, nie dam sobie lada komu w kaszę dmuchać. Jednakże pomyślałem sobie po chwili: lepiéj będzie dać mu dobre słowo; bo mnie tak poczciwe tatusisko, Boże świeć nad jego duszą! nauczyło: żeby być potulnym, nie

brać nigdy na kieł, chyba, gdy do ostatniego przyjdzie, a wszakże lada urwisz może człowiekowi dopiąć, gdzie się ani spodzieje. Owoż tedy, dodałem spokójnie: a jakże się nie mam frasować, kiedy moje poczciwe kobiecisko, już dawno mnie wygląda; a tu przeklęty mostek znikł jako dym; żeby go trzysta djabłów wzięło! Rozśmiał się mój kusal na to moje nabożeństwo, i nabierając, jak się zdawało, lepszej ochoty, rzekł do mnie: „No kumotrze, jeżeli tylko o to idzie, to ja was przeniosę.“ — W to mi graj, myślę sobie; tego mi właśnie było potrzeba. To jakieś poczciwe, usłużne djablisko; zapewne nie wie jeszcze, żem mu przedwczoraj r o ż k i u figury za naszą karczmą biczyskiem poutrącał; nie wydawajmy się sami.

„No, jeżeli wielmożny pan chcesz być tak łaskaw, i nie żartujesz z biednego człowieka, który, na nieszczęście, dzisiaj trochę sobie za wiele zalał swoję mózgownicę“. Słowo honoru! odpowiedział tamten, i w tym momencie straszne o r l i s k o nadstawiło mi swego grzbietu. Ja nie wiele myślęcy, skłoniłem mu się nizko do nóg, a potém wewaliłem się śmiało na niego i uchwyciłem za szyję. Raz tylko machnął skrzydłem, gdyby śmigą od wiatraka, a już wzbił się het tam w powietrze ze mną, jak gdyby z dudkiem. „Ależ jaśnie wielmożny orle, (byłem bowiem całkiem w jego mocy), gdzież-to u kata lecicie, wszakże ja was prosiłem tylko o przeprawę do mojéj chałupy; przecie moje gniazdo nie na skale pod obłokami zawieszone; jeżeli więc pozwolicie sobie powiedzieć.

Milcz, przeklęty gaduło! ofuknął mnie tenże, a trzymaj się dobrze, byś nie zleciał i karku nie skręcił. Alboż nie widzisz strzelca z fuzyą wynurzającego się z krzewiny. W samej rzeczy! tego by jeszcze potrzeba, żebym sobie dał wpakować nabój może poświęconych loftek dla takiego, jak ty, szubrawca! A któż ci zaręczy głuptasie, żeby się i tobie nie dostało.

Nie było co na to odpowiedzieć, choć wyznać muszę szczerze, że mi się nie bardzo spodobał ten ton pański, szafujący obficie tak pięknemi tytułami. Cóż było jednak robić. Połknąłem gorzką pigułkę, choć czułem w sobie chętkę nakręcić temu urwiszówi karku, który był w mojém ręku. Pomny jednak na moje własne dobro, spuściłem nos na kwintę i odezwałem się tonem pokornym: Ależ zważcie jaśnie wielmożny orle, że już moja nizka chatka znikła mi zupełnie z oczu. Gdzież-to lecicie jak oparzeni?

Tam do kata, jaki mi zuch! Mówię ci po raz ostatni obwiesiu, siedź spokojnie; bo jak cię kopnę nogą, to zlecisz na łeb, i zetrzesz się na miazgę, iż ani ziupniesz! — Pomyśliłem sobie: Przeklęta gorzałko! do czegoś ty mnie przywiodła. Bartoszu! mogłeś sobie spokojnie chrapać przy piecu na ławie, a teraz jak włóczęga jaki wałęsasz się po nocy. Czy mnie licho opętało! Tu między kawkami za katy wietrzno i mglisto; a co gorsza, mój znarowiony wierzchowiec djable mi się coś rozbrykał; gdybym go się tak mocno nie trzymał, jużby mnie był podobno dawno z siebie zrzucił.

„No! cóż tam sobie pomrukujesz przebrzydły opoju!“ odezwał się znowu do mnie. „Tobie dobrze siedzieć, ale mnie dźwigać takiego bałwana! już mi skrzydła mdleją; szczęściem, że oto księżyc niedaleko; musisz się na moment za róg uchwycić, aż sobie trochę wytchnę“. Nie chciałem na to przystać, bo mi się wcale nie podobało, że mam dyndać i nogami w powietrzu przebierać jak wisielec; a do tego mam garścią chwytać za ten sierp błyszczący. Lecz wiele ten z siebie zrobi, co musi; albowiem dolatując właśnie do samego miesiąca, tak się gwałtownie otrząsnął, żem mimowolnie uchwycił za róg księżyca i zawisnąłem w powietrzu.

„Do szczęśliwego zobaczenia!“ zarzegotał się szatańskim śmiechem mój powietrzny woźnica; „pozdrówcie ode mnie waszą, jak ją zobaczycie, i powiédzcie jéj, że skoro będę miał naprawione moje rożki u figury za karczmą, to was znowu spuszczę na ziemię tymczasem możecie sobie trochę podyndać, i czekać na inną jaką okazyą“.

O urwiszu, obwiesiu, cygańska duszo! żebyś z piekła nie wyjrzał! tak to umiész zwodzić poczciwych ludzi? — Nakląłem mu do woli, co mi tylko ślina do gęby przyniosła, bo i nie miałem już przyczyny go ochraniać.

Gdym go tym sposobem pożegnał, obróciłem oczy moje na miesiąc, szukając zkąd jakiej pomocy: aż tu potężne chłopisko gnój z kupy rozrzuca.

„Szczęść Boże“ rzekłem, chcąc z nim zacząć rozmowę; a lubo mi ledwo odmruknął: daj Panie Boże! pytałem go się dalej; „jak się miewacie? co porabia wasza? czemuż to tak usilnie pracujecie, jak gdyby wam podstarości stał z batogiem na karku. I, dali-byście robocie pokój; proszę was oto na tabaczkę, i opowiem wam moją przygodę“.

Ale ów mrukliwy gnojek, jak gdyby tego nie słyszał, nie ustając bynajmniej w pracy, odezwał się do mnie groźnie: A ja wam mówię Bartoszu, idźcie sobie precz! niéma tu dla was miejsca.

Poszedłbym bardzo chętnie, żebym tylko mógł (odrzekłem jeszcze pokornie); przecie wam tu nie wiele zawadzam, gdy się troszynkę różka miesiąca czepiam.

A właśnie ja na to żadną miarą zezwolić nie mogę; miesiąc mógłby się przegibnąć na jednę stronę, tobym i ja się skulnął. Idźcie więc precz, mówię wam po raz ostatni!

Już mnie też niecierpliwość wzięła; widzę że to niepeć, i odparłem groźno: Ej co mi tam! komu się tu nie podoba, niech sobie idzie precz; ale ja się tu zostanę. — Widzisz go, jaki mi zuch! — Wiédz-że mięsięczny drągalu, że mnie teraz sam pan niéma do rozkazania, a cóż dopiéro taki drab i taki grześnik jak ty jesteś! Myślisz pewnie że ja nie wiem, coś ty zać? O znam ja cię dobrze, ptaszku; i słyszałem ja nieraz od mego poczciwego tatusia, Boże świéć nad duszą jego, o twojém ukaraniu [1]). Jeżeli więc dla przebrzydłej chciwości, cierpisz bożą karę, nie pomnażaj przynajmniéj winy nieludzkiém twojém z bliźnim obejściem; zwłaszcza, że tu zapewne rzadko kiedy kto nadużywa twéj gościnności.

Lecz ten niegodziwy mruk od gnoju ani słowa na moję perswazyą tak gruntowną nie odpowiedział; ale podniósłszy swoje widły do góry, gruchnął z całéj siły w róg, za który się trzymałem. Róg się naturalnie ukrychnął, a ja trzymając go w ręku, het znowu w podróż z powrotem.

Szczęśliwa droga Bartoszu! zawołał teraz niegodziwy ten człowiek; pozdrówcie swoję ode mnie; a nie spieszcie się tak prędko, bo wam tchu przybraknie.

Chciałem mu należycie odpowiedzieć, bo wiecie, że nie lubię chować w kieszeń takich przekąsów; ale byłem zbyt sobą samym zajęty, przewracając się jak snop słomy, to głową, to nogami na dół. Aż w tém coś zaszumiało i zagęgało mi koło uszu. Myślę sobie, dobre spotkanie, to zapewne sznur dzikich gęsi tak-

---

[1]) Wieśniacy powszechnie mniemają, że plamy na księżycu i słońcu wyobrażają chłopa i jego żonę, gnój rozrzucających, których Pan Jezus tam przeniósł, za karę, że poszli w niedzielę podczas nabożeństwa gnój rozrzucać.

że w podróży do cieplic. I nie omyliłem się, a stary gąsior na przodzie odezwał się do mnie: Ha Bartoszu, jak się macie? co porabia wasza i dzieci, czy wszyscy zdrowi? — Odpowiedziałem, że wszystko, chwała Bogu, zdrowe. Zagadnienie takowe nie zdziwiło mnie bynajmniéj, gdyż same dziwy działy się ze mną; nie uderzyło mnie więc wcale, że gąsior tak łaskawie do mnie przemówił, żeśmy się już oddawna znali.

„A zkąd to", zapytał daléj, „i dokąd tak spiesznie"?

„Lecę sobie na ziemię z miesiąca" odrzekłem, „dokąd mnie niegodziwe orlisko, pomimo méj woli zaniosło, i zacząłem mu od samego początku opowiadać, jak'em trochę w szynkowni miarkę przebrał i jak mi się w głowie kręciło".

No, kiedy nie macie pilniejszego interesu, to się uchwyćcie za moję nogę; polecicie w naszéj kompanii. — Pochwyciłem go mocno za stopę i lecieliśmy razem chyżym lotem i złamanym sznurem za gąsiorem, ja i inne gęsi.

Po małéj chwili zaleciało mnie coś i połechtało po nosie, jak gdyby moja stara szperkę na tygielku smażyła. Stójcie, gąsiorku! zawołałem na mego lotnego przewodnika, a wszakże to moja chałupa; pozwólcie mi na nią się spuścić.

Gdzie tam Bartoszu!, przetrzyjcież dobrze oczy, a zobaczycie, że tuż kałuża pod nami; gdybym was spuścił, tu pluśniecie jak szczupak. — Przecie ja to muszę lepiéj wiedzieć, gdzie moja chałupa; bo mnie już, prawdę powiedziawszy, niecierpliwość brała, że mnie jeden gąsiorek chciał rozumu uczyć; a prócz tego, już tyle razy sparzony, nie ufałem już nikomu. Nie wiele więc myślęcy, puściłem z garści gęsią stopę i — klap — plusnąłem w samę kałużę. Tą razą miał dalibóg gąsior słuszną racyą!

„A ty niegodziwy opoju, chrapisz jak zarznięty, ze łba ci się jak z komina kurzy, już słońce ma się ku południowi, a ty jeszcze od wczoraj pod płotem kiermaszujesz! Koniska same się przywlekły; półkoszki, drabki od woza pogubiły; dziś pogoda piękna, czas wyjść z kosą w pole, a ty zalawszy pałę gorzałką, w najlepszą chrapisz! O! bodaj przepadło przeklęte gorzałczysko! tyle razy ci mówiłem, że nas zgubisz twém opilstwem; a ty jakbyś się na własną ruinę uwziął, nie opuścisz i jednego poniedziałku, żebyś się nie upił, iż nie wiesz i o bożym świecie".

Poznałem zaraz przenikliwy głosek mej Marysi, a przetarłszy oczy, przekonałem się, że nie leżę w kałuży, lecz że moja

powracając z konewką wody od stoku i widząc mnie leżącego pod płotem, sprawiła mi tę orzeźwiającą kąpiel. Nie odrzekłem tą razą i słowa, lecz jak zmyty wcisnąwszy czapkę na uszy, poszedłem naklepać kosę.

*R.*

## 29.

## Czerwony pies.

(Baśnie wielkopolskie, zebrane przez **Emmę z Kurowskich Puffke**).

*Leszno.* 1863.

Skrócone.

(Czerwony pies z koszyczkiem i dziecięciem. Starzec z brodą w czerni. Czarny kot. Wojna z Tatarami; inkluz i pierścień. Pałac; ogniste kule i niebo w płomieniach. Czarownica. Ścięli głowę psu i ukazał się człowiek żywy z niego, Śmierć księcia tatarskiego).

Z nad Warty.

W jasny wieczór latowy powracał do domu kat Chłapka z swojim parobkiem Marcinem przez różne bezdroża i manowce, by ujść Tatarom, którzy zalegali wówczas całą okolicę po nad Wartą. — „Broń nas Boże od spotkania się z Tatarami (rzekł Marcin) zabijają oni co natrafią, i nasza chata dawnoby zburzoną była, gdybym ją nie był obstawił k o ś c i o t r u p a m i p s ó w, k o n i i w o ł ó w, by im pokazać, kto w niej zamieszkuje .“— „Gdybyśmy się tylko dostali (odpowiedział Chłapka) do naszego wzgardzonego domu; zapewne nie zachce się Tatarom niepokoić ubogiego kata w jego gnieździe“.

Gdy domawiał tych słów, ogarnęła ich niezmierna jasność. Ze wszech stron spadały z nieba o g n i s t e k u l e i g w i a z d y, a przed sobą ujrzeli c z e r w o n e g o p s a, który niósł w pysku k o s z y c z e k. Kat bez namysłu schwycił go, a w okamgnieniu miał go już Marcin na powrozie i prowadził za sobą to zwiérze osobliwej piękności. Z chciwością spojrzał teraz Chłapka do koszyczka, lecz jakże się przeląkł ujrzawszy w nim m a ł ą d z i e c i n ę, która go powitała głośnym płaczem. Stanął nie wiedząc co począć. Marcin zaś rzekł: „Zostawmy w boru tego krzykacza, mógłby nam na kark sprowadzić nieprzyjacioł, a i wasza baba nie

bardzoby z podarku tego była kontenta.“ — Chłapka odrzekł: „Marcinie, wszak i tobie miłe życie, i ochraniasz je, a tego robaczka chcesz oddać na łup wilkom.“ — Parobek umilkł, myśląc w duchu: „Nieś-że głupcze ten ciężar, natrze ci twoja Marcyanna za to uszu do syta“.

Powitanie pani Katowej w istocie nie było wielce przyjazne. Mruczała z początku, ale wreszcie uspokoiła się wspomniawszy, że tak pies jak i dziecko (dziewczynka) nader dla nich może być rzeczą pożądaną. „Dziewczę (rzekła) przyda nam się, bo i tak żadna dziewka u nas służyć nie chce; wychowam ją po swojemu i nauczę pracować.“ — W koszyczku znalazła także złoty pierścień, który starannie schowała.

O ród dziecka dopytywać się w owych pełnych zamieszek i napadów czasach, było niepodobieństwem. Chowała się więc Kasia (bo tak ją nazwano) u Marcyny, wraz ze swym towarzyszem, czerwonym psem przezwanym Nero, i była pociechą przybranej matki. Mając lat 9, zapoznała się z rówiennikami swemi Pawłem i Jadwigą, dziećmi młynarza; lecz gdy młynarz zakazał chodzić dzieciom do domu kata, ukradkiem tylko mogła się z niemi widywać. Nawet do szkoły z Jadwisią na naukę nie wolno jej było uczęszczać.

Gdy dnia jednego towarzysze Kasi znajdowali się w szkole, ona błądziła po polach a Nero skakał przed nią. Z pola poszła do lasu; wtem ujrzała w oddaleniu małą chatką. Zbliżyła się, a na szczekanie Nera, wyszedł z chatki, starzec z długą brodą siwą i słodkiem, łagodnem obliczem. Człowieka w podobnym ubiorze nigdy jeszcze Kasia nie widziała; był cały w czerni, a na piersiach miał krzyżyk żelazny. Starzec wiele rozmawiał z nią o Bogu i jego dobroci, o jego dziełach i miłości dla stworzeń swojich, a wie o tém z księgi, która się bibliją nazywa. Prosiła więc by ją uczył, co gdy przyrzekł, poprowadziła do jego pustelni także Pawła i Jadwigę. Więc i młynarz nie bronił już i Kasi przystępu do swego domu. Że zaś lepiej jeszcze niż jej towarzysze, pojmowała Kasia naukę o religii i historyę świętą, przeto za wstawieniem się pustelnika, przyjęła ją na dalszą naukę przełożona bliskiego klasztoru, gdy do szkoły jej nie przyjmowano, jako córkę kata.

Odbierając w ten sposób wykształcenie, Kasia poznała wśród jakiej żyje rodziny. Nietyle ją atoli dręczyło rzemiosło jej przy-

branych rodziców, bo dla Marcyny wielką czuła wdzięczność, a nawet ją w naukę religii wtajemniczyła, ile postępowanie ojca, który obok swojego rzemiosła, należał także (wraz z Marcinem) do bandy złodziei, i widziała nieraz jak się z drugimi dzielił skradzioném dobrem bliźniego. Nie chciał on nigdy słuchać jej czytania ani nauk, szydził z nich, i tylko matka chętniej się temu przysłuchiwała. Gdy Kasia wyrosła na piękną dziewicę, Marcyna martwiła się o jej przyszłość, że jako córka kata, mimo cnót i wdzięków, nie będzie się mogła pokazać między ludźmi.

Wreszcie zawoławszy ją dnia jednego, rzekła Marcyna: „Nie smuć się, moje dziecię, że jesteś wzgardzoną u świata z naszej przyczyny. Znalazłam ja jednak cudowny sposób do zapewnienia ci szczęścia. Od trzech dni ukazał się u nas duży czarny kot; czatuję nań by go schwytać, gdyż zamyślam raz jeszcze uciec się do mojej sztuki, lecz potém nigdy.„ — Kasia chciała ją od tego odwieść, lecz wszystko było napróżno. Marcyna rozniecіła wielki ogień na kominie, postawiła nań kociołek z wodą, w którą wsypała korzeń balderyanu, żywokostu i różnych innych ziół i korzonków. Gdy były ugotowane na miazgę, wylała je na miskę, kazała Kasi otworzyć drzwi i zaczęła zwoływać kotów, które się też w wielkiem mnóstwie stawiły miaucząc przeraźliwie. Baba odganiała wszystkie, dopiero gdy się ukazał wielki, czarny kot z białym ogonem, schwyciła go, wsadziła w miech (worek), i zawołała z radością: „Kasiu, twoje szczęście zrobione“. Potem zamknęła go do komory. Aż do wigilii nowego roku, pasła Marcyna tego osobliwego kota w komorze. Gdy nadeszła noc nowego roku, udała się w milczeniu z Kasią i z czarnym kotem w miechu na rozstajną drogę. Tutaj zrobiła kocią łapą wielkie koło na śniegu, w chwili gdy z przyległej wieży kościoła zaczął bić zegar dwunastą godzinę. Naraz zjawił się jakiś człowiek przebrzydłej postaci, wcisnął Marcynie w rękę talara, odebrał czarnego kota i znikł wśród ciemności nocnych. — W milczeniu wracały obie teraz do domu. Marcyny życzenie zostało spełnione, dostała inkluza [1]) to jest talara przyciągającego do siebie pieniądze. Odtąd było w domu pełno pie-

---

[1]) Gadka o inkluzach jest bardzo powszechną pomiędzy naszym ludem. Przyp. autorki.

nędzy, a chociaż przypadkiem wydano inkluza, powrócił niebawem do pierwszego właściciela.

Majster kat poprzestał odtąd kraść, na usilne prośby żony i Kasi, i słuchał co wieczór z szczerą skruchą czytania Kasi w księgach pobożnych, a nawet rad pustelnika, jakby przebłagać Boga za grzechy. Marcin atoli nie dał się w żaden sposób rozłączyć od bandy złodzieji, musiał jednak w domu być cierpiany, jako wiedzący o dawnych majstra sprawkach.

---

Wiele lat upłynęło od poprawy kata. Paweł poszedł na wojnę z Tatarami. Jadwiga poszła za mąż za poczciwego rzemieślnika w przyległem miasteczku. Marcyna zachorowała niebezpiecznie, a czując zbliżającą się śmierć i wyspowiadawszy się, wezwała Kasię do siebie, powiedziała jej że jest podrzutkiem, oddała jej inkluza i pierścień i rzekłszy: „Przedmioty te jak i pies Nero są twoją własnością; weź je, i niech ci one szczęście przyniosą“,— umarła.

Kasia po tej stracie była niepocieszoną, a dowiedziawszy się że jest sierotą, tém większą czuła wdzięczność dla przybranego ojca, który ją wychował i był jej opiekunem.

Pewnego dnia wszedł Marcin do izby starego Chłapki i tak się do niego odezwał: „Jesteście mi wiele winni wdzięczności i musicie mnie wynagrodzić zawczasu. Zestarzeliście się, a wasza przybrana córka wyrosła; dajcie mi ją za żonę, odstąpcie mi waszego rzemiosła, a wy udajcie się na spokojność.“ — Kasię przejęła zgroza na myśl zostania żoną niegodziwego złoczyńcy; ojciec nie przymuszał jej wcale i odrzucił oświadczyny Marcina z dodatkiem, że nie życzył sobie nigdy aby Kasia całe życie pod tym wzgardzonym została dachem, a on sam dosyć w sobie jeszcze czuje sił, by rzemiosłu poradził. — Marcin zgrzytnął zębami, i pomyślał sobie: „Poczkaj, stary, dumny głupcze; szlachcic nie przyjdzie po twego podrzutka, a z rzemiosłem twojem niedługo będzie koniec“.

Mało zważając na groźby Marcina, polecił Chłapka siebie i córkę opiece niebios. Nie przeczuwał nawet, jak niegodziwe plany knuł parobek przeciwko niému. Ten bowiem okradł przed kilku tygodniami z innymi złoczyńcami pałac księcia w przyległem mieście, i skradzione złoto i srebro zakopał w boru. Postanowił więc przez zemstę oskarzyć Chłapkę przed księciem o tę kradzież

ubrawszy się czysto, udał się do zamku, i gdy oznajmił służbie że ma ważną do powiedzenia wiadomość, wpuszczono go do księcia, któremu opowiedział, gdzie są zachowane te kosztowności, i że majster jego takowe skradł. — Gdy złoto i srebro w istocie znaleziono na naznaczonem miejscu, kazał książe wsadzić Chłapkę do więzienia, a rzemiosło i dom jego oddać Marcinowi. Kasia rzuciła się do nóg księcia, błagając go o litość, ale nic to nie pomogło, bo sama przez to wpadła w podejrzenie wspólnictwa. Została znów opuszczoną, a wszystkie pieniądze nawet inkluz jej zabrano, i pozostał tylko pierścień. Szczęściem że inkluz dostał się do rąk Jadwigi, która go Kasi odesłała. Widząc ją w tem położeniu, ponowił Marcin swe oświadczyny, lecz nietylko z oburzeniem odrzuciła jego propozycye, ale nawet i wierny Nero rzucił się na napastnika, tak, że go ledwo odeń odegnano. Marcin znów pomyślał: „poczkaj, wrócisz ty sama do mnie, jak będziesz bez przytułku, jako córka kata“.

Opuszczona, postanowiła szukać służby w miasteczku; wpierwej jednak udała się do swego dobroczyńcy, pustelnika. Ten ją pocieszył słowami, iż Bóg sieroty nie opuszcza, by na niego rachowała, a zarazem miała się na baczności przed swym prześladowcą. Wzmocniona i pocieszona radami pustelnika, szła Kasia przez las z wiernym Nero przy boku. Właśnie chciała usięść na pniu ściętego buku, gdy ujrzała jak niebo stanęło w płomieniah, niezliczona moc gwiazd przelatywała po niebie, ogniste kule zlatywały z sykiem z płomienistego nieba, a po chwili spadł cały wóz, złożony z gwiazd i kul ognistych, przed nią na ziemię. Młodzieniec w białej jak śnieg odzieży siedział na nim i tak przemówił do niej: Nie możesz dłużej pozostać w tej okolicy, gdzie ci wielkie grozi nieszczęście, usiądź przy mnie, zawiozę cię ztąd daleko. “ — Kasia ufna w prawdę tych słów, wsiadła do jaśniejącego powozu a Nero wskoczywszy za nią położył się u jej stóp. — Kasia ujechała prawie trzydzieści mil w powietrzu, a całą tę drogę smaczno przespała. Po wschodzie słońca obudziła sié na zielonej murawie, i zdziwiła się niezmiernie, ujrzawszy się w zupełnie innem ubraniu. Pierścionek i inkluz znalazła w kieszeni.

Zaledwie się podniosła, by iść dalej, gdy spostrzegła przybywający orszak Tatarów. Odważny zwykle Nero, skomląc ukrył się teraz za swą panią, która już była uklękła błagając

o litość, gdy Tatarzy wydawszy nagle sami okrzyk przerażenia zniknęli. Wtém nadjechał drugi oddział Tatarów; ona ukryła się w krzaki, lecz Nero dziwne wyprawiał skoki i wycia, aż nareszcie zniknął znów z oczu Kasi. Ta idąc dalej, przybyła do lasu, zobaczyła tam chatę, i do niej wstąpiła prosząc o posiłek. Zaledwie odpoczęła, wpadł trzeci oddział Tatarów, daleko od poprzedzających liczniejszy; związano Kasi ręce, wsadzono na konia i uprowadzono. Wieczorem przybyli do porządnej wsi, gdzie się na noc zatrzymali; Kasi dano posłanie i smaczną wieczerzę, a jeden z Tatarów umiejący trochę po polsku powiedział jej, że jutro będzie przedstawioną dla swej piękności jednemu z dowódzców Tatarskich, który obóz swój rozłożył o 10 mil ztamtąd.

Zaledwie w pierwszym znajdowali się śnie, gdy ją obudził nowy szelest; podniosła się czując że ją coś ciągnie za suknie. Był to Nero, który skomląc i radując się, szarpał jej suknie, dając znać by szła za nim. Dobre psisko wyprowadziło ją z domu, przeprowadziło przez cały obóz tatarski do ciemnego lasu, a ztąd manowcami na gościniec bity. Bezpieczna już, przyszła do cienistego gaju, i w nim znużona położyła się do snu. Rano, obudziło ją znów szczekanie wiernego psa. Jakież było jej zdziwienie, gdy ujrzała przed sobą Pawła w oficerskim mundurze, który po czerwonym Neronie już był poznał, kto się w gaju ukrywa.

Paweł, który był ulubieńcem generała swego, poprowadził Kasię do obozu polskiego, i tu przedstawił generałowi jako sierotę i znajomą swoją od lat dziecinnych. Prosił o pozwolenie odwiezienia jej do przyległego miasta. Generał zgodził się na to i rzekł do niej: „możesz pozostawać za pannę bawiącą u mej siostry, która przed kilku dniami w bitwie z Tatarami straciła męża swego pułkownika; pocieszaj ją i zajmij się jej trzyletnią córką“. — Paweł odwiózł ją do siostry generała, i widział że mile tam przyjętą była. Kasia tém szczęśliwszą się czuła, że miała sposobność dowiadywać się o uwięzionym ojcu i dopomagać mu.

Razu jednego Nero wpadł niespodziewanie do salonu pani pułkownikowej. Mała trzyletnia Michalina tak się przelękła czerwonego psa, że odtąd już i do Kasi zbliżyć się nie chciała. Pułkownikowa sądziła, iż Kasia zadała strach dziecku przez czary, zwłaszcza, że w mieście szerzyły się pogłoski iż biedna ta dziewczyna, z tatarskiej wydarta niewoli, znaczne summy pieniędzy rozdziela między ubogich a niewiedzieć zkąd takowe bierze; przy-

tem mówiono i o starcu z siwą brodą który się często przy zamkniętych drzwiach ukazywał w jej pokoju. Kasi było markotno, że pułkownikowa zimno i pogardliwie poczęła się z nią obchodzić, ale przypisywała to temu, że się dowiedziano z jakiego pochodzi stanu; i już chciała wszystko pani swej wyznać. Tymczasem nastąpiło zdarzenie, które inny jéj losowi zwrot nadało.

Pewnego poranku bawiła się Kasia z dzieckiem, które jak zwykle, wielki do niej wstręt okazywało. Pułkownikowa, dawszy mu do zabawy pierścionek który był podarkiem od jej brata, poszła w odwiedziny do hrabiny X. Wróciwszy do domu, chciała odebrać dziecku pierścień by go schować, lecz nigdzie go znaleźć nie było można. Podejrzenie więc kradzieży padło na Kasię. Na nieszczęście przybył w ten sam dzień i generał, raniony przez Tatarów (których pobił) w rękę, by odpocząć parę tygodni u siostry. Powiedziano mu o tem, przeszukano Kasi pokój, i znaleziono pierścień pod jej łóżkiem wraz z pieniędzmi. Osądzono więc Kasię jako złodziejkę i czarownicę, wsadzono do więzienia i skazano na spalenie.

Gdy już rozniecono pożreć ją mające płomienie, nadbiegł sędziwy starzec (ów pustelnik), rzucił się do nóg generałowi, i błagał go o ułaskawienie Kasi, gdyż jest niewinną, słuchała nauki Zbawiciela i żyła zawsze wedle niej. — Ale generał żadnemi nie dał się wzruszyć prośbami, bo dowody jej winy zbyt były widoczne.

Teraz ukazał się jeździec pędzący galopem. Był to Paweł. I ten także zaklinał generała, by jéj darowano życie; ona to nauczyła go znać Boga, kochać go i żyć podług przykazań jego; nie może więc być czarownicą; musi w tém być pomyłka. Wszakże i jego też prośba została bez skutku, i musiał plac exekucyi opuścić.

W tem w pędzie przybyła siostra generała, trzymając w ręku zgubiony pierścień. Przebaczenia! ozwały się głosy w około. „Drogi bracie (rzekła pułkownikowa), w tej chwili przyniósł mi jeden z mojich ludzi pierścionek; znalazł go pode drzwiami méj przyjaciołki, u której byłam z wizytą; widać żem go musiała zabrać z chustką do nosa ze stołu. i zgubić na drodze".

„To nowe czary" rzekł generał „ten zaczarowany pierścień jest zupełnie podobny do tamtego; jeżeli będziem zwłóczyli spalenie osoby która potrafi robić złoto i pieniądze, doczekamy się

dziwniejszych jeszcze rzeczy.“ — Kasia chciała się tłumaczyć co do pierścienia i inkluza, ale widząc że tém pogorszy sprawę, zamilkła i poddała się z rezygnacyą woli Bożej. W tem wyskoczył z pośród tłumu Nero i z wściekłą zajadłością rzuciwszy się na generała, podarł mu świetny mundur, a następnie w mgnieniu oka poszarpał więzy krępujące Kasię. Generał rozkazał hyclom i Marcinowi (który szyderczo się temu przypatrywał) by psa pochwycili i ucięli mu głowę. „Już po jego barwie widać (rzekł generał) iż to jest zwierze czarodziejskie; któż słyszał na świecie o psie z czerwoną skórą; pozbądźmy się jak najprędzej tej czarownicy“.

Ogień zatlił się już pod stosem, lecz impet wiatru zagasi go znowu. Głowa Nerona upadła pod mieczem katowskim, i — o cudo! na jego miejscu ukazał się człowiek, starzec poważnej postaci z długą siwą brodą, lecz młodzieńczej krewkości i siły. „Dziękuję ci generale (rzekł) iżeś mnie wybawił. Przypatrz mi się dobrze, a poznasz we mnie tatarskiego księcia z którym walczyłeś przed osiemnastu laty; ja to, jako zwycięzca przebiegałem te kraje niosąc mord i pożogę; ja to, gdyś ty innym mojim oddziałom stawiał czoło, napadłem twój dom i chciałem jako łup uprowadzić twą żonę, a gdy za mną iść wzbraniała się, utopiłem miecz mój w jej piersiach, zdarłem z jej palca pierścień i wrzuciłem go w koszyk, w którym leżało jéj nowonarodzone dziecię, i wyrzuciłem na ulicę wśród ciemności nocnej. Po spełnionym tym niecnym czynie, jechałem milczący i ponury na czele wesoło gwarzących mojich ludzi. Wtém dojechawszy lasu, stanąłem jak martwy i czułem jakieś przeobrażenie, gdy z góry, jakoby z nadziemskiej krajiny usłyszałem głos: „ Niegodziwy potworze, nie oszczędzający i nowonarodzonego dziecięcia! — od tej chwili staniesz się psem i musisz się opiekować tą dzieciną, dopókąd ręka kata nie utnie ci głowy.“ — Powróciłem tedy w postaci psa do twojego domu i wziąłem w zęby koszyk z twem dziecięciem. Kat Chłapka znalazł nas, ulitował się i wychował twą córkę. Uwięzienie Chłapki zmusiło nas (mnie i twoją córkę) zmienić mieszkanie, i dziwnem zrządzeniem losu dostaliśmy sie w pobliże mojich tatarskich rodaków. Oddział mojich dawniejszych poddanych rzucił się na nas i zabrał nas w niewolę. Lecz moja naturalna postawa (człowiecza), którą wolno mi było przybierać gdy córka twoja tego nie widziała, odstraszyła ich i zmu-

siła do cofnięcia się. Wtém spostrzegłem mego syna jedynego na czele mojich wojaków; uczucie miłości rodzicielskiej pognało mnie za nim; opuściłem dziewczynę, lecz kara niebios dosięgła mnie niebawem. Widziałem mego jedynaka upadającego we krwi pod mieczem nieprzyjacioł; skomląc szedłem za ciałem jego aż do obozu Tatarów i tu znalazłem szczęśliwym trafem twą córkę jako jeńca. Wyprowadziłem ją szczęśliwie z obozu nieprzyjacielskiego i przybyliśmy do wojska waszego. Oto widzisz córkę twoją na stosie. Ona nie jest czarownicą. Pierścień który u niej znalazłeś, jest to obrączka ślubna jej matki; ja to byłem duchem widzianym w jej pokoju. Jak przyszła do pieniędzy, opowie ci sama".

Pierścień o którym generał mniemał, iż pogrzebany jest z żoną jego, był mu teraz podany razem z pierścieniem siostry, a po ścisłem przypatrzeniu się obudwom, nie można było wątpić dłużej o prawdziwości słów tatarskiego książęcia; bo na jednym było wyryte polskie *M.*, na drugim zaś *W.*, dla tego, przewróciwszy pierścień, łatwo było wziąść jednę literę za drugą.

Zaprowadzono teraz Kasię wśród okrzyków tryumfalnych do domu jej ojca, generała, który wylewał łzy skruchy i radości zarazem. Niedola, jaką przecierpiała, została jej teraz sowicie wynagrodzoną, i wkrótce także doczekała się tej pociechy, iż jej niewinnie uwięzionemu przybranemu ojcu wrócono wolność, i niepodległe zapewniono w domu Kasi życie. Bo brat jej ojca, był to właśnie ów książe którego Marcin był okradł.

Paweł został wkrótce potem szczęśliwym małżonkiem Kasi, a Marcin otrzymał zasłużoną karę. Księcia tatarskiego ukarał już sam Bóg za jego morderstwa (przemieniwszy w psa) dla tego generał uważał za rzecz zbyteczną oddać go pod sądy ziemskie, zwłaszcza że córka o jego wolność błagała.

# Powieści moralne. Legendy.

## 30.

### Piszczałka [1]).

Od Jaraczewa, Szremu.

Jeden ojciec miał trzy córki, i óne poszły wszystkie trzy na jagody do boru. Ta námłojdsza zawdy więcy urwała jagód, jak te dwie starsze. Tak sie te dwie zaczeny umawiać, żeby sie mścić ná ni, ty námłojdszy. Ale że nájstarsza béła gorsza od średni. Najstarsza wziena kija wierzbowego, y tak ją biła, te nájmłojdszą siojstre, i zabiła jóm. A ta średniá ją broniła. Zaś ten kij, wsadziła ta średniá siojstra w ziémie na to miejsce, gdzie leżała óna zabitá. Zaś z tego kija urosła wiérzba [2]). Pas(ł) owczárek kole ty wiérzby, i ulinił sobie piszczołke z gałunzki wirzbowy. I zaczón gráć na ty piszczálce, a óna mu tak zaczena wdzięcznie wygráwać:

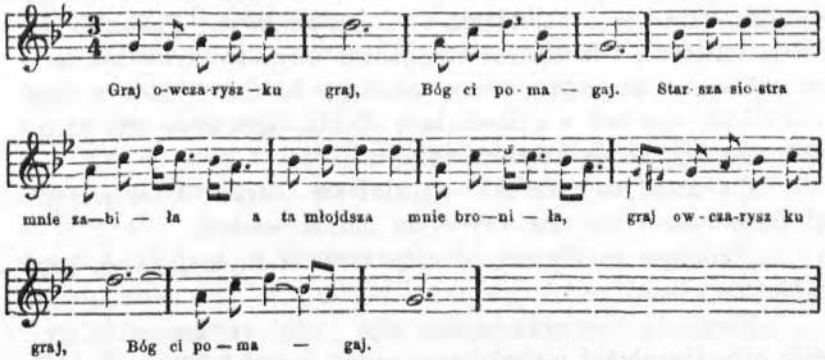


[1]) *Lud* Ser. I, str, 293.

[2]) *Lud*, Ser. X, str. 18. Brzoza Gryżyńska. — Na grobach ludzi zabitych wyrastają niekiedy kwiaty i zioła.

## 31.

## O świętym Krysztofie.

Z ust gminu.

*(Przyjaciel ludu,* Leszno 1838, rok 5 N. 3).

Będzie temu tysiąc pięćset lat prawie, jak żył na świecie pewien wielolud, nazwiskiem Oferusz. Był to człowiek tak ogromnego wzrostu, że w wielkim palcu swojéj rękawicy wyprawił siostrze wesele; a kiedy mu matka umarła, on chcąc jéj grób usypać, nabrał w bót swój ziemi i wytrząsnął ją na ciało matczyne i wzniosła się góra aż pod obłoki. Tam zaś, zkąd owéj ziemi nabrał, powstała przepaść, a była ta przepaść tyle mil głęboka w ziemi, ile mil owa góra nad ziemią stérczała. Nad przepaścią usiadł Oferusz i płakał rzewliwie; a wszystkie łzy jego w otchłań kapały i zrobiło się morze. Dla tego to woda morska jest gorzka i słona.

Potém wyszedł Oferusz na wędrówkę i szukał pana, któryby ze wszystkich był najmocniejszy i najpotężniejszy; u takiego pana jedynie chciał służyć. Radzono mu tedy, aby się udał na dwór pewnego króla, który nie znał wyższego od siebie, i nie znał co to strach w życiu.

Przybywszy do niego Oferusz, popisywał się z swoją siłą i został mile przyjęty; nie odstępował odtąd ani na chwilę boku mocarza, i był jego najulubieńszym powiernikiem. Podobało się to bez wątpienia Oferuszowi; postanowił więc całe życie na dworze pozostać. Ale zdarzyło się pewnego dnia, że jeden z sług królewskich wymówił w gniewie imię djabła. Słysząc to król bogobojny, przeżegnał się krzyżem świętym.

„Dla czego to zrobiłeś?“ zapytał się Oferusz, który jeszcze był Poganinem i nie znał zwyczajów chrześciańskich.

„„Zrobiłem to dla tego““ odpowiedział król, „„że się boję djabła““.

„Kiedy się ty djabła bojisz, więc jesteś słabszy od niego; pójdę ja zatém służyć u silniejszego pana“ zawołał Oferusz, i zaraz dwór królewski opuścił i powędrował na puszczą, w któréj dnia pewnego napotkał rotę czarnych rycerzy, z rogami na głowie, z pazurami u rąk, a z widłami w pazurach. W pośrodku siedział

najczarniejszy i najokropniejszy, na tronie z głów trupich i z kości ludzkich, i wrzasnął rykliwym głosem: „Oferusie, czego szukasz?“

„Szukam djabła“ odpowiedział nieulękniony Oferusz „ażeby u niego służyć“.

„Ja jestem djabłem“ rzekł wódz czartowski i podał rękę Oferuszowi, który odtąd boku jego nigdy nie odstępował; a był mu jak prawa ręka przydatny.

Pewnego dnia wyruszyła cała owa rota po zdobycz do pobliskiego miasta i przybyła na drogi krzyżowe, kędy stała boża-męka. Postrzegłszy ją dowódzca, zatrąbił co tchu na odwrót.

„Dla czego to zrobiłeś?“ zapytał się Oferusz.

„Dla tego, mój przyjacielu, że się boję Chrystusa“ odpowiedział djabeł.

„Ty się bojisz Chrystusa“, pomyślał sobie Oferusz, „więc jesteś słabszy od niego; pójdę więc służyć Chrystusowi“

I znowu djabła opuścił; a wędrując po puszczy napotkał ubogiego pustelnika i zapytał go: „gdzie jest Chrystus?“

„Wszędzie“ odpowiedział pustelnik. Ale Poganin nie rozumiał i pytał powtórnie: „jak ja mam służyć Chrystusowi?“

„Módl się a pracuj!“ rzekł zapytany. Modlić się Oferusz nie umiał, lecz umiał pracować; poszedł tedy za pustelnikiem nad bystry strumień, płynący z góry, i dowiedział się, że każdy pielgrzym, chcący się przeprawić na drugą stronę, tonie na środku. „Tobie“ mówił pustelnik, „dał Pan Bóg silne zdrowie i ciało olbrzymie; przenoś więc podróżnych na twojich barkach. Jeżeli to zrobisz dla miłości Chrystusa, to cię przyjmie za swego sługę!“

„Zrobię to dla miłości Chrystusa“ zawołał Oferusz i przenosił dniem i nocą wszelkich pielgrzymów, wspierając się na ogromnéj sośnie, którą wyrwał z korzeniem.

Pewnéj nocy zasnął głęboko, znużony pracą dzienną; w tém słyszy głos dziecięcia, wołający go trzy razy po imieniu. Wstał on bez zwłoki, wsadził dziecię na barki i wkroczył we wodę, która dawniéj zaledwie kolan mu sięgała. Ale dzisiaj, gdy stanął na środku, szum powstał i wicher, woda się wzburzyła, bałwany biły z wściekłością o brzegi, a Oferusz zgiął się pod dziecięciem jak pałąg, i pierwszy raz w życiu uczuł strach i drżenie. Podniósł więc głowę i rzekł: „Dziecię, dziecię! dla czegoś ty tak ciężkie! Mnie się zdaje że świat cały dźwigam na moich plecach!“

„Nietylko świat dźwigasz na twoich plecach“ odpowiedziało dziecię, „ale i tego, który świat stworzył. Ja jestem Chrystus, któremu ty służysz; ja ciebie chrzcę w imię Ojca, w imię moje i w imię Ducha świętego. Odtąd nazywać się będziesz Krysztof, to jest piastun Chrystusa“.

Odtąd więc nazywał się ów wielolud Krysztofem i chodził w dłuż i w szerz po świecie, aby nauczyć słowa Pana swojego i został za te nauki od Pogan ukamienowany.

## 32.

## Ucieczka Pana Jezusa do Egiptu [1]).

Legenda.

*(Przyjaciel ludu* rok 2, Leszno 1835 N. 22*)*.

Kiedy Pan Jezus uciekał ze świętym Józefem do Egiptu, spotkał chłopa pracującego w polu. „Cóż to robicie, miły człowieku?“ zapytał się Pan Jezus. „Pszenicę sieję“ odpowiedział wieśniak. Pan Jezus rzekł:

„Siéj, człowieku siéj,
a jutro przyjdź i żniéj“.

I udał się w dalszą podróż. Nazajutrz chłop idzie w pole, do zwyczajnéj roboty; ale jakże się zdziwił, gdy ujrzał pszenicę dojrzałą, a kłosy grube jak ogony baranie. Ucieszony, wraca czémprędzéj do domu, woła czeladź i najemników, i wychodzi z nimi z wielką uciechą w pole, żąć pszenicę. Gdy więc chłop sprząta ową pszenicę, nadjeżdża król Heród, który ścigał Jezusa, aby go

---

[1]) W *Przyjacielu ludu* (1837, rok 3 N. 42) zamieszczono także wierszem Balladę J. N. J(aśkowskiego) pod tyt. Pan i Sierota.

W czasie żniw, Pan pilnując roboty żeńców w polu, był zagniewany, i dwie małe sieroty, które przyszły błagać go o kawałek chleba, kazał odpędzić karbowemu Janowi. Ten je odprowadził na drogę i obdarzył kawałem chleba. Wkrótce potem piorun uderzył (kara Boża) w pańskie stodoły i spłonęły, bo nikt nie śmiał gasić ognia piorunowego a ocalały tylko dwie kopy owego Jana, nad któremi widziano unoszącą się postać ś. Floryjana.

zabić; stawa także i pyta się: „A nie widziałeś tu chłopie takich a takich ludzi, uciekających tędy?“ — „Oj widziałem Panie!“ odpowiedział wieśniak. „A kiedy?“ pyta się daléj Heród. — „A wtedy, jakem tę pszenicę siał.“ — Herod tą odpowiedzią odurzony, zawołał do swych dworzan:

„Oh! to łoni!
tego już nie dogoni,
choćby siadł na sto koni“.

I powrócił do domu, nie ścigając już daléj Pana Jezusa.

## 33.

## Groch w zimie.

Legenda.

Jednego razu przyszed zakonnik do gospodourza na nodzlig. Y ten gospodourz kciou (chciał) żeby ón w izdbie jego spáu. A ten zakonnik powiadá: mój kochany gospodorzu, ady jo pódię (pójdę) do stajni z parobkiem, i tam mi bedzie cieplij jak w izdbie.

Poszed ten zakonnik do stajni, spau, — i przebudziél się, mogła być pu-noc albo pirsza godzina. A mróz był okropny, gwiazdów paune (pełne) niebo, śnig. Tak, wychodzi ten zakonnik na dwór z ty stajni, stanie sobie na podwyrzu, wejźdrzy do góry, wejźdrzy na gwiázdy że ich tam dość gęsto było i powiadá: ach mój Boże, żeby to wtu (kto) w ty godzinie groch zasiáł, coby też to za groch miáł, żeby rady nie dáł, i gumna by mu nie starczyły. A ten parobek słyszau jak ón to muwiél, i poszed do stodoły; był groch na grzebiéniu (na bojowicy) namucony (namłócony); tak wzion miecha, nagarnoł pałen (pełen) miéch grochu, poszed na pole w ty nocy i zasioł ten groch. I temu gospodárzouwi nie powiedziáuł jak przyszed do domu.

Tak przyszło na wiosne, w marcu, a gospodourz muwi do parobka: namiérz miéch grochu i weź go na pole i zasiéj, bo już teráz czas. A ten parobek powiadá: gospodárzu, ja już groch dawno zasioł, a wielgi mróz był. Gospodourz powiadá: coś ty nágorszego zrobiél; ptastwo groch pożbiérało po śniegu i może niechtóre też zgniło ziarko; grochu nie bedzie. Parobek: przeko-

namy sie czy też to prouda (prawda) bedzie, bo ja go wtedy zasioł, ty nocy, kiedy zakonnik u nas nocował, więc ten zakonnik wyszed na dwór i powiadá: żeby ftu (kto) groch zasiáł, toby miáł okropny zbiór, a já słyszáłem go tak muwić, poszedem do stodoły, wzionem miech, nagarnółem pełen miech i wysiáłem. A no, gospodárz powiadá, to dobrze, to sie przekonámy.

A gdy zaś ten czas przychodziół jak groch kwit (kwitł), choćby był jaje kulnoł po niém, nie byłoby do zimi (ziemi) padło, taki gesty (gęsty) był. Jak zaś go parobek posik (posiekł) we żniwa, samego grochu mioł pełnou stodołe, że ni miáł gdzie tego drugiego zboża pakować. Wtenczas gospodárz sie ucieszył i powiedziau, że zawdy takiém zwyczajom trzebno wierzać (trzeba wierzyć).

(Opowiadał r. 1867 w Morownicy rymarz Józef Chota, pracujący po dworach w okolicy Leszna, Wschowy, Przemętu, Szmigla i Kościana).

## 34.

## Chciwość ukarana.

od Kostrzyna (Siekierki).

Mieszkały w jednéj wsi dwie kobiety, ratajki. Jedná była bardzo biédná, ale schludnie się zawsze utrzymywała, i kontenta była z losu przy swojéj ciężkiéj pracy. Drugá zaś bardzo zamożná, zawiściła káżdemu komu się tylko dobrze wiodło, a mianowicie zawiść miałá na tę biédną kobiétę, któráchociaż biedná, utrzymywała się tak porządnie.

Nastąpiły wielkie mrozy, i owa biédna poszłá do lasa uzbiérać cokolwiek chrustu na opał. Zimno jej było bardzo, i zaczęła strzepować (klaskać, wybijać) rękoma. W tém pojawiá się jakiś wielki pán i mówi do niéj: „Mróz, kobicino, wielki mróz!“ — A óna odpowiadá: „Oj mróz, paniczku, mróz; dáł go Pan Jezus!“ — On: A no, kobicino, nie chcielibyście cokolwiek węgli do ogrzania, jábym wom udzielił? — Ona: Dobrze, paniczku, ale w cóż ja je wsypię?“ — On: „Weźcie we fartuch“. — Ona: „Oj paniczku,

---

[1]) Obacz *Lud* Ser. VII str. 30, 31.

spaliłby mi się, a cóżbym ja przypasała? — On: „Nie lękajcie się, matko; nic wám sie nie stanie, zawińcie tylko dobrze i zanieście do domu, a w domu rozniecicie tém ogień“. Poczciwa kobiéta z całą wiarą usłuchała, a ón jej nasypał żarzących węgli we fartuch.

Gdy przyszła do domu, mąż się na nią począł gniéwać, że nie przyniosła drzewa do zgotowania obiadu. Wtenczas ona mu opowiadá, że jéj jakiś Pán dał żarzących węgli na roznietę ognia. Mąż ją wyśmiáł i złajał że dałá się złudzić komuś, i kazał jéj fartuch odchyjnąć (odchylić). Ale jakież nastąpiło zdumienie, gdy odwinąwszy fartuch, oczom ich same się ukazało złoto.

Rzecz ta nie została tajemnicą, i wkrótce po całej wsi rozniosła się wieść o nagłem szczęściu biednéj wyrobnicy i w jaki sposób do niego przyszła. Wieść ta doszła też i do uszu zawistnej kumoszki. Ta z początku nie chcąc dać wiary temu zdarzeniu, posądzała sąsiadkę o nieprawy złota tego nabytek. W końcu jednak powodowana chciwością i ciekawością, poszła samá do lasa, by doświadczyć, czy i ją także równie pomyślnym skutkiem uwieńczona spotká przygoda. Jakoż, ukazáł się i jej także ten sam pán, i podobneż uczynił zapytánie: „Mróz, kobicino, wielki mróz!“ — Na co ona odpowiedziała: „Oj prawda, niech go pioruny zatrzasną i diabli żabierą“. — On: „Kiedy sie tak, matko, gniewacie, to możebyście węgli chcieli na rozpałkę“. — Ona: „Oj daj paniczek jak najwięcej“. — On: „A macie-ż w co wziąść?“ — Ona: „A jużci mám fartuch z sobą a nawet mogę jeszcze i spódnik zdjąć, i płachtę też mám, aby jak najwięcéj zabrać“. — On na to: „Dobrze, dobrze, dostaniecie dość“. — I nasypał jej tych węgli tyle, ile tylko mogła zabrać.

Wyszedłszy z lasa, zdawało jej się, że słyszy brzęk złota koło siebie. Mąż, który już jej oczekiwał na krańcu lasa, ażeby rychło odebrać od niej te miłe ciężary, zapytuje się jej: „A co, czy masz?“ — Ona: „Eh, jeszcze-ć by téż! żeby taka mądra kobiéta jak já, nie mogła dostać czego zechce“. — Mąż odebrawszy jej połowę tego ciężaru, pochwalił ją że taka zabiegła i podziwiał czystość złota, kiedy mu ono tak pięknie dźwięczy na plecach. W czasie drogi umawiali się o to, aby się zamknąć, żeby tych skarbów nikt nie dojrzał, jak je będą wysypywać. To też przyszedłszy do domu pozamykali drzwi, okna pozasłaniali, i zabrali się dopiero do odkrycia otrzymanych skarbów. Lecz o zgrozo! zamiast spodziewanego złota, widzą że z tego ubrania same wyska-

kują na nich węże, żmije, padalce, jaszczurki i coraz więcej gadu i różnego robactwa. Zrobił się wielki krzyk i wołania o pomoc, ale że drzwi mocno pozapierali, tak, że się nikt do nich dobyć nie mógł, więc owe roje gadów rzuciły się na nich, kąsały do cna i w koncu uśmierciły. Chciwość ich i bezbożność w ten sposób ukaraną została.

Tej drugiej zaś kobiecie z mężem wiodło się bardzo dobrze. Zagospodarzyli się, dzieci im sie ładnie chowały. I gdy na drugi rok ukazał jej się tenże sam pan i zapytał: czyś kontenta, kobicino, czyś kontenta? — odpowiedziała: „Paniczku, ja nigdy przeciwko woli Boskiej nic nie mówiłam, zawszem się z nią zgadzała". On jej na to: „Postępuj tak zawsze, i w tej samej wierze uchowaj swoje dzieci, a Pan Bóg zawsze wam będzie błogosławić" [1]).

## 35.

## Miesiące [2]).

od Rawicza.

Jeden mežczyzna, gdowiec (wdowiec), miáł jedne córke i ożeniuł sie z gdowo (wdową), chtéra też swoje miáła córe. Tak ón szed do roboty, moúż jeji, a óna, ta matká, swoji córce wielgie wygody robiuła, zawdé lepij jeść ji dawałá, i strojiła jóm ładnij. A téj swoji pasierzbicy, jego córce, gorzéj jeść dawała, strasznie jóm ubiérała i jeszcze biła. A choć ją tak trzymała, do téj jego córy kawalory sie znájdowały, a do jeji włásny córki ani jeden. A gdy poszły do gościńca, tó ta jego córka tańcowała, a ta jeji córka stojała przy drzwiach. Tak ta córka okropnie sie uskarzá téj matce swojéj, że tak ładnie ubraná, a ta tak strasznie; óna tańcuje, a já nie. Tak ta matka powiedá jeji: żeby my jé mogli coś zrobić, żeby óna umarła. A ta córka: wyślijmá jóm do boru. A był okropny mróz i śnieg. Tak ta jeji córka powiedá do tej jego córki: idź do boru, przynieś mi bukiet chwijołków (fijałków).

---

[1]) Legenda podobna, ludowa, znajduje się zamieszczoną w powieści Pauliny z L. W. (z Lauczów Wilkońskiej) pod tyt.: Hanna z Grzymałowa i Natalia (Warszawa, 1842, Tom 1, w rozdziale: Chłopka swatką hrabianki, str. 212). Tu wszakże węgle przemieniają się w ogień i palą całą chałupę i dobytek.

[2]) *Lud* Ser. VII str. 30. — Ser. VIII str. 164.

Ta córka jego, Kasia, idzie i płacze: przecie teráz taki mróz i śniég, chwijołków tam nie bédzie. Jeji córa, Magdá, powiedá: musisz iś(ć), umár-znij jak chcesz. Tak ona idie, wlázła do boru i zobáczéła ogiéń sie pálić w tym boru. Idźie do tego ognia prosto. A tam widzi, jak dochodzi, siedzieć przy nim dwunastu mężczyznów. Ci sie pytajóm: gdzie ty idziesz, dziewczynko? — A ona: bo macecha i jeji córa wygnáły mnie po chwijołki; mój Boże, taki mróz, gdzie teráz chwijołków znájde? — A ci powiedają te osoby: usiedź sobie, dziewczynko, ugrzéj sie. Potem sie pytál jeden: jes dwanaście miesięcy w roku, chtery z tych dwunastu miesięcy jest mędrzejszy albo lepszy? — A ta Kasia powiedá: są wszéscy sobie równi, bo ich jeden Pán Bóg stworzył. Tak rozkázał marzec kwietniowi, a kwiecień majowi, żeby wzión laske i uderzył w ziemię, a niech sie (r)oztworzy lato w tém miejscu i rozkwitną chwijołki. Tak óna narwała tych chwiółków i przyszła do dom. A ta jeji córa, Magdá, i macocha okropnie sie dziwiły, gdzie óna tych chwiołków narwała.

Tej macochy córce sie zachciało jabków (jabłek). I powiedá do Kasi: kiedyś ty chwijálków przyniesła, biegáj do boru a przynieś jabków. Ta Kasia znou idzie i lamenci, płacze, przecie taki mróz, gdzie ja teráz jabka znejde?, gdzieby já je znéjdła? — Idzie do tego boru, snowu natrafiła ten ogiéń sie palić. Idzie do tego ognia; siedzieli te dwanaście osobów, znou sie pytajóm: gdzie ty idziesz, dziewczynko? — A óna: że macöcha i córa jeji mnie wygnáły po jabka. Tak te osoby mówiły: usiedź, ugrzej sie. Ona usiedła, ugrzała sie. Jeden mežczyzna sie pytał: jest dwanaście miesięcy w roku, powiedz nam chtóry też jest mędrzejszy albo lepszy? — A óna te słowa: wszéscy są sobie równi, bo ich jeden Pan Bóg stworzył. Tak rozkázał lipiec sierpniowi, żeby wzión laske i uderzył w jabłoń, a niech sie roztworzy lato w tem miejscu, rozkázał żeby jabłoń zakwitła i niech dojźdrzéwają jabka, a sierpień wrześniowi, żeby dojźdrzały te jabka. Tak óna wziéna urwała kielka jabłek i poszła do domu. Ta macöcha z tą córką sie okropnie dziwowały, gdzie óna te jabka dostała, i mówi córa jej Magdá: jou (ja) matko, teráz pójdię po jabka samá. Ta matka jeji: no, idź córko.

Córa jeji, ta Magda, poszła. Przyszła do boru i zobaczyła też ten ogień sie palić. Tak idzie do tego ognia, a tam siedzą znou dwanaście osobów przy tym ogniu i tak jé sie pytają: gdzie

ty idziesz, dziewczynko? — Ona im odpowiadá: idę po jabka. A óni: usiedź, ugrzéj sie; a powiédz nám, jes dwanaście miesięcy w roku, chtery też jes mędrzejszy albo lepszy? — A ona odpowiedá: luty to jest pluty, — a maj, reszte bydłu daj, — a kwiecień, reszte ze stodoły wymiecie. Więc żáden nie dobry. Ta jéj córa była bardzo harná i odpowiedziała grubo, áż ją też ukarali. Tó też jak uderzy mróz, śnieg i krzykwa (kurzawa ze śniegu), tak ta Magda w śniegu ulgnęła i śniég ją zawiál i umár-zła. A téj jeji matce sie dłużyło okropnie, co téj córki nie widnąć, co ta Magda tak długo nie idzie. I poszła jóm szukáć. I te matke śniég przywiál, i tak samo umár-zła jak i córa jeji.

A ta Kasia, że była dobrá, wtenczas przyjachál bogaty pán ożenił sie ź nią, że była panią.

## 36.

## Pustelnik i Anioł [1]).

Dębicz.

Jeden pustelnik był bardzo nabożny, że był prawie już święty. I przyszło, że ledwie trzy razy już w tydzień rozmawiał, i to z Aniołem. Tak on pustelnik chciál wiedzieć tajemnice boskie od Anioła. A Anioł stróż przyszed i powiedá: kiedyć ty już chcesz wiedzieć tajemnice boskie, to pójdźma w podróż.

Tak, byli jedni ludzie tak bardzo biedni, co nie podobna. Ale zaś okrutnie Pana Jezusa prosili. Pan Jezus im téż dopomóg, że óni się dorobili, — że mieli już szmaty, do kościoła w czém pójść Więc jak zaś tén Anioł stróż poszedł z nim, tak im to wszystko powybierał ze skrzyni do ździebka, że óni ino nago zostali. I zaś ten pustelnik mówi do Anioła: pódźma dalij jeszcze.

Pośli dalij — i byli znów bardzo tam bidni ludzie, i prosili Boga i zapracowali na dwoje bydełka i zaś sobie orali tém bydłem. Ten Stróż Anioł z tym pustelnikiem poszed na noc do tego bidnego człowieka i wzion im te dwoje bydła z obory i zaprowadził do takiego bogatego gospodárza, co wszystkiego miał dosyć. Pustelnik mówi (myśli) a dziwno mu. No, zaś znowu: pódźma tera dalij.

---

[1]) *Lud* Ser. III str. 153 (nr 20).

I zaśli oboje do jednego gospodárza co miał jedynego tylko syna, i kochali go rodzice okrutnie. Jak się zaś przenocowali oba, tak Anioł prosił gospodarza, żeby ten syn (który miał 13 lat), na drogę ich wyprowadził. Syn ich też wyprowadził, a ten Stróż Anioł wzion i zabił tego syna i pochował, a ci rodzice nic o tem nie wiedzieli.

Teraz pustelnik chciał zakląć tego Anioła i powiedá: to nie podobna, żebyś ty miał być Anioł, kiedyś ty bidnym szmaty pobrał, a zanioś bogatemu; kiedyś ty te bydlątka odebrał biédnemu a bogatemu naprowadził; kiedyć tego syna zabił za jego uczynność. A Anioł mówił: Stój! nie zaklinaj mnie! Kcesz wiedzieć tajemnice Boską, oto jest óna taka, teraz ci ją powiem, że i ci ludzie których'em okrad i pozanosiłem te szmaty bogatym, to oni póki byli bidni to bardzo Boga prosili, więc iem Pan Bóg dopomóg do tych szmatów przyjść; ale jakby zaśli do kościoła, toby oni już Boga nie prosili, ale oglądali drugich na to, żeby óni też jeszcze lepsze mogli mieć jak drudzy, więc bez taką zawiść zarazby zgrzeszyli. A ci co im wzionem dwoje bydełka, oniby się pysznili, że mają więcy, jużby nie chcieli gadać, to bez to byliby grzeszyli. A ten syn jedynak, taką miał pogładę od rodziców, taki był rozwiezły, że gdyby dorós do lat swojich, to byłby własnego ojca i matkę zabił, więc toby wszystkie te trzy dusze były potępione, a tak to będą szczęśliwe. Widzisz, to jest tajemnica boská i znik(ł) Anioł, a ten pustelnik się ostał i poszed Boga chwalić jak dawniej.

## 37.

## Żyd nawrócony.

od Gostynia.

Raz téż bél jeden żyd, chtóry miál żone i pare dzieci. Bardzo ciéżko mu szło. Chodziuł do boru i urzynál od brzózki gałunzki. Siedzi sobie na brzózce i rznie te gałunzki na mietlonki (drobniejsze wici na miotłę) i z nich robi mietły i rozséła bez swoje dzieci, żeby sprzedawały i zbiérały grosze. Jak te mietły posprzedál, poszed na powtór do boru i znowu siedzi sobie na drzewię i rznie te gałunzki.

Przychodzi do tego żyda borowy (a to był Pan Jezus [1]) w postaci borowego) i powiadá: żydzie, co ty tu robisz na ty gałęzi, na co ty to drzewo psujesz? pódź ze mno, zaprowadze cie do pana. — Mój żyd zaczón sie ogromnie temu borowému prosić, żeby mu darował, że już więcy rázy psuć drzewa nie bédzie: aj waj, co já béde musiál do tego pané iść!

Jidą oboje, jako Pon Jezus z tym żydem. Żyd myśli że ón go prowadzi do pana. Przyśli do jednego miasta, jako króleskiégo. Tam umarła temu królowi królowa. Pon Jezus sie melduje za doktora u tego króla, i że ón tak te królowe postanowi (postawi na nogi), że óna zmartwychwstánie. Ten król sie ogromnie ucieszył i wpuścił go do pokoju, tam gdzie óna zmarła leżałá. Wtenczas kázał sobie Pon Jezus przynieś(ć) dwie ćwierci wody i kociołek do té stancyi. Postawił ten kociołek w ty kuchence chtóra w tem pałacu króleskim była; wzión królowe i porąbál ją na kawały, włożył w kociołek i ją rozgotował na klij. Mówił także temu królowi, żeby mu dál prześciéradło biołe, chtóre ón doktór potrzebuje. Jak sie to ciało rozgotowało, tak Pon Jezus ze żydem wziéni ten kociołek i do łoża przynieśli, gdzie óna wprzódy leżałá. Ten kociołek postawili kole łoża. Ten żyd okropnie uważál pilnie, jak ten doktór bédzie robiuł. Pon Jezus rozpoztar(ł) prześciéradło na tém łożu, i to wszéstko ciało rozgotowane wylál na to prześciéradło. Gdy wtenczas, mówił ten doktór jako Pon Jezus, do ciała rozgotowanego: „(w)stoń! bo dosyć dugo śpisz, królöwo! — A óna nie wstałá, ino sie w ciało obróciła, tak jak była wprzódy, ale zastygła, bo jeszczék duszé ni mioła w sobie. Pon Jezus wziół swoje maście, nasmarował to ciało jako ten doktór, wtenczas chuchnół w jeji gębe, wtenczas królowa ocuciuła, i napowtór na nogi wstałá i chodziła jak wprzódy.

Potém zaprowadziuł ją Pon Jezus z tym żydem do króla, i królowi ją pokázał, że z umartéj postanowił na nogi żywóm, co óna chodziła. Król ucieszony, pytá go sie, co ón żąda za wynadgrode lub za zapłate? — Żyd myślał, że to ten doktór bédzie chciál piniędzy, a doktór żądał tylko od króla trzy bochenki chleba i trzy gómółki séra. Ten król powiadá: ach to jest mało zapłatá i wynadgrodá, przecie trzebno piniędzmi zapłacić.

---

[1]) Niektórzy mówią: to był taki księżnik, inni: to był święty Pietr.

Żyd był zły i dziwiuł sie, że to ten doktór nie chce piniędzy. Pon Jezus te trzy bochenki chleba i te trzy gómółki séra dáł żydowi w miech żeby niós, i pośli we świát. Pon Jezus strudzony tak się położył w rowie pod kierzkiem i tak sobie usnół smacznie. A mój żyd co zrobiuł? Pobrál ten chléb i sér z tym miéchem i te maście, co Pon Jezus przy sobie mioł, i poszed do jednego obskiégo miasta, gdzie tam znowu drugá królowá umarła.

Żyd sie melduje do tego króla, że chce tę umartą póstanowić do życia nazád, jako ón jest tak mocny doktór. Król go zaprowadził do ciała. Żyd tak zrobiuł akurat, jak to Pana Jezusa widział robić (że zrobił) z tą pirszą królówą. Ale przecie żyd tyla mocy ni mioł, żeby dusza w to ciało weszła po jego chuchach żydoskich. Król przyszed i widzi całe ciáło królowy rozgotowane i na łóżko rozláne. Posłał król po żálnierzy i kázał żyda złapać i na szubnice prowadzić. Zyd mówił do siebie: aj waj, coś ty sobie narobiuł, żeś ty od doktora odeszed; tyś myślál żeś ty sie nauczył, a ty za twoją nauke bedziesz na szubnicy wisioł.

W tém idzie Pon Jezus, jak już na szubnice prowadzą tego żyda. Tak żyd wołá i wrzeszczy i prosi tego doktora, żeby go od szubinicy wybawiuł. A ón sie zapytuje żyda: czy więcy rázy tak bédzie robił i od niego odéjdzie? — Zyd mówi: dalibóg, że już więcy rázy nie odejdzie. Na w tém, poszed doktór. jako Pon Jezus i zrobił z tą królową tak jak z tą pirszą królową. Pytá go sie król, co on za wielgą wynadgrode chce za to? — A Pon Jezus odpowiadá: nic nie żądam za to, żadny wynadgrody nie chcę. Ten żyd bół okropnie zły napowtór na tego doktora, że ón niczego od króla nie żądá.

Potem sie pobrali (zabrali) i idą do tego boru, gdzie ten żyd te brzózki rznął na te mietlonki. Pon Jezus idzie zawsze naprzód, a żyd ostawá za nim, bo mu sie jeść zachciáło. Sięgnół do miecha, wyjón bochenek chleba i gomółke séra, i zjád cáłkie, a Pon Jezus dobrze o tem wiedziál chociáż nie widziál. Jak óni przyśli na to miejsce do ty brzózki, tak Pon Jezus mówi do żyda: weź mój kij, chtóry ja go nosze ze sobą i utknij w ziemie i nachyl ten kij; wyważysz trzy kociołki piniędzy. Za rozkázem Pana Jezusa, żyd wyważył trzy kociołki piniędzy z ty ziemi. W tem mu káże Pon Jezus wysuć (wysypać) te trzy bochenki chleba i te trzy gómółki séra z tego miecha. Jak żyd złapál miech za dwa końce czyli rogi i przewrócił ten miech, tak mu sie wysuły

ino dwa bochenki i dwa séry. Tak go sie Pon Jezus zapytuje: gdzie jes ten trzeci bochenek chleba? — Zyd jak zaczón trząść tym miechem po drugi ráz, tak mówi z bojaźni: dalibóg, dalibóg, dalibóg, że já chleba nie zjad, — a ciągle miechem trzęsie. Pon Jezus dzieli teráz temi piniędzmi, i pyta się żyd Pana Jezusa, jako tego doktora: chto weźnie ten trzeci kociołek piniędzy? — Pon Jezus powiadá: że ten, co ten chlib zjád. Wtenczas żyd powiadá: dalibóg, dalibóg, dalibóg, że ja chlib zjád. — Pon Jezus dál tedy żydowi wszystkie trzy kociołki piniędzy, i tylko rzek: bédziesz z tego zbiérał owoce. Zyd mioł chłopot, jak ón te piniądze zaniesie ztądtam do domu. Pon Jezus cudem swojim (d)okáuzał, że je wzion ten żyd na plecy, ani mu nie zaciężały, że jakoby plewy niós.

Przyniós do domu, a żona go sie zapytuje: gdzie ón to tak dugo bél? — Zyd odpowiadá żonie, z kim ón po świecie wędrował. Teroz bél bogaty; kupił sobie kamínice, dobra. I miół trzech synów, chtórych rodzice pieścili bardzo, a óni, że byli bogaci, to sie puścili na różne zbytki, tak, że im to prawie nie wystarczało. I tak sie zepsuli, że jeden był chciwy oszukaniec, drugi łakomiec, a trzeci łgarz wierutny, aż ich wszystkich na tém złapali i obiesili (powiesili). — I teráz mówi ón stary żyd do żony: tak to mnie Pan Bóg skarał, uznajma jego cuda i słowa. I nawrócił sie z żoną na chrześciańską wiarę i pokutował, ale już synów nie odzyskoł.

## 38.

## Z żołnierza król, z króla pastuch.

od Kościana.

(Kozy Pana Jezusa).

Jeden ślachcic miał trzech synów; dwóch mądrych a trzeciego g(ł)upiego. Ten gupi mioł chęć koniecznie do wojska iść. Prosiuł sie temu ojcu, żeby go oddał do wojska i odwióz go do fortecznego miasta. Ten ociec wzion tego syna. forszpana i piniędzy, i pojechali do miasta. Ten syn bół oddany pod komende wojskową. Ociec odjachał do domu. Tak temu synowi dali wojskowy mondur; bo cóż żałnierza nie ozdobi, kiedy nie giwera (Gewehr), pałasz i jego cały móndur? — Naprzykrzyło mu się, jak już był w wojsku dłużyki czas, w giwerze przy gimajnie służyć. Dopra-

szał sie żeby móg być za tambora. Ale cóż po tém? kiedy tego było za wiele. Jak mu bęben dali do pasa przypasać na bok i dali mu pałki do bębnienia w ręce, tak, że bił temi pałkami i we dnie i w nocy, i nie chciał przestać. Dostał ón sie do jednego starego infalidy na kwaterę. Mówi do tego infalidy: mój Boże, moji bracia mają tak dobrze w domu u rodziców, a ja muszę przy wojsku bide miéć i nędze. Infalida powiadá: kiedy ty masz takiego bogatego ojca, to niech ci przyśle piniędzy, i niech cie spomoże, — ale piszma list do ojca twego, żeś ty wczorajszego dnia ostał sierzantem, — choć nie prawdá było.

Ociec dostał w ręce ten list, i czytá go, — i mówi ten ślachcic do żony: widzisz kochana żono, co to z gupiégo może przyść na coś porządnego. Ociec wzion trzysta talarów, zapakował mu w paczkę i posłał. Jak ten syń dostał te piniądze, więc te trzysta talarów mu nie starczyło ani na dwa miesiące; pił ze swojimi kolegami, jako i z infalitą; infalita się dobrze też przy nim miół. Jak już piniądze sie skończyły, infalidzie sie też markotno zrobiło, bo i ón używał. Potem infalida go namówił: Pisz dzisiaj do ojca żeś został underoficerem. Więc także ociec i matka przysłali mu dwa tysiące talarów, że się ma też jakoś pokazać ze starszyzną.

A ón sie z taką starszyzną pokazał, że nawet go już do służby przyjąć nie chcieli, — i cóż mieli z pijakiem robić? ale miał piniądze, to go trzymali na tambora. Jak sie piniądze mu skończyły, infalita mówi do niego: napisz teraz do rodziców, żeś awanzował na lejtnanta. Jak napisał, — ociec mówi do żony: widzisz, co to z gupiego naszego syna, jednak na porządną osobę wyszed przy wojsku. Ojciec mu posłał pięć tysięcy talarów. Jak dostał te piniądze, więc o służbę wojskową wcale nie dbał. Pił, i wszyscy koledzy mieli się od niego dobrze, bo się przy nim darmo napijali. Nie pisał do ojca bez półtora roku, bo mu te piniądze już starczyły.

Jak po piniądzach było, pisze do ojca swego, że ostał jednerołem. I ojciec mu przysłał dziesięć tysięcy talarów. Po dwóch latach, jak to przepił, znowu pisze (z tym infalitem) że został przy królu pryncem, trzeba mu teraz przysłać piniędzy dużo, żeby sie też teraz móg wszystkiemu wojsku wykupić. Zaprzedali rodzice jedne wieś wełne, zboże, i posłali mu całą brykę piniędzy. Matka mówi do ojca jako do męża swego: ty mu tyle piniędzy posyłasz, a może on to wszystko przemarnuje i nas zgubi. A mąż powiadá:

bodajś! kiedy on na takiego wysokiego prynca wyszed, to przecie ón potrzebuje mieć, bo sie musi pokazać przy królu, a może też nám kiedy odda. Jak ón młody dostał te piniądze, tak hulał bez trzy lata z tym infalitą.

Ci rodzice byli ciekawi i przyjachali w czwartym roku do niego, jako zobaczyć też swego syna prynca. Trafili akurat na ten dzień jak od wojska odbierał król parade na wielgim placu. — Rodzice stanęli na oberży, pytają się tego oberzysty, żeli tu nima takiego prynca w imieniu takim i takim, i nazwisku takim i takim. A oberzysta powiada: ja nie wiem i nie słyszałem o takim pryńcie, bo tu takiego prynca nima; — ale idźcie, panowie, na plac i przekonajcie się, bo dzisiaj król odbira parade od swego wojska na placu. Tak óni poszli, i przechodzą się po placu i patrzą: gdyby (czy) swego syna nie poznali. Zbliżyli się do jednego żółmirza i pytają go sie: żeli tu nima takiego w imieniu a takiego prynca? Ten żałnierz i ci drudzy odpowiadają: my nie wiemy o takim pryńcie ani my go nawet nie znamy. Aż jeden z nich powiada, tu jest w takiem imieniu i nazwisku, ale jes tambur pijak nie żaden prync.

Usłyszał z dalki ten infalita chtóry má kwatere u niego, że jako rodzicé przyjachali. Ten ojciec prosi tych starszych, żeby on go chciał rad widzieć, tego syna. Wysłali cztyrech żómiérzy z wachy, żeby szukać tego tambora. Znaleźli go pijanego w ryństoku na ulicy leżeć. Tak óni go wzięni, i przyprowadzili go przed ojca jego na ten plac, tak że ten infalita już nie odeszed ino z dalki dał baczenie na tego tambora, co się z nim stanie. Także ten ojciec prosi tych starszych, żeć by go móg wziuńć do domu swego. Mówił do tych żomierzy (do téj starszyzny) że jak przyjedzie w bór, tak że go (tego syna) zaśtrzeli. Ten infalita słyszał, bo ból najwięcy pobudką do tego złégo, co go namawiál do tych pieniędzy. Tak mu okropnie żál, temu infalicie, że ón tak okropną śmiercią mo być od swego ojca tracony. Ten infalita naojstrzył sobie ten pałasz chtóry przy sobie go nosiuł. A tambor ból przywiązany za ręce i za nogi do powozu w tyle. Jak oni przyjéżdżają do tego boru, tak że infalita dopad do tego powozu, i urznoł go za tym powozem. Wszed z nim w bór kawáłyszek, i mówił do niego: biegój gdzie cie oczy poniosą, bo ci-k ojciec życia nie daruje.

Ten tambor poszed w dalekie i szerokie kraje. Zasie przyszed do murzynów, gdzie murzyńskie wojsko miało parade przed

króleskim pałacem. On stanoł sobie na mojście (moście) niedaleko tego pałacu króleskiego, z fterygo (którego) ten król i ta córka jego patrzali na te parade. Królewiczówna zobaczyła tego tambora stojéć. I tak powiada: ach, papko, co tam za śliczny człowiek stoji na tym mojście? — może by ón miáł chęć do wojska przystać, co ón sie tak przypatruje na to wojsko. Król powiadá: moja córko, mógemy pó niego posłać. Służący króleski idzie pó niego. Prowadzi go służący do pałacu króleskiégo. Król go sie zaro śmiele zapytuje, czy by nie chcioł przy jego wojsku s(ł)użyć? — Tak ón powiadá: czemu nie! — Król zaroz kázał mu dać mundur, i po swojemu go tam ubrali. Na drugi dzień stojał na puście (na warcie, niemieckie: Posten) przed giwerami, niedaleko króleskiego pałacu.

Ta królewiczówna jak skorno go zobaczyła przed giwerami, oka z niego nie śpuściła, póki nie był z wachy zluzowany. Ona powiadá do swego ojca: ach, czemu ten żółmirz nie może stać na puście przed króleskim pałacem, nie przed giwerami. Ten ociec: czemu nie! moja córko, ale terá nie może być zluzowany aż póki drugą wachę nie bédzie zaciągał, drugą rázą. Więc zaciąga bez (po) kilkanaście dni wache przed króleski pałac. Córka otworzyła okno, i przypatruje sie okropnie na tego żómirza, bo jij sie okropnie podobał. Wpakowała sto ludorów w paczke i list zapieczętowany i oknem mu to spuściła. Bez niejaki czas, jak był zluzowany, podnioś te paczkę i ten list ze ziémi. Stojało w tym liście, jak go odpieczętował, że ma wielgi bál wyprawić swojim kolegom. Wyprawił potem wielgi, huczny bál i całe starszyzne i żółmirzy zaprosił na ten bál. Wszyscy sie na tym balu ucieszyli, i bawili auż (aż) do rana. Król i ta królewiczowna byli téż na tym balu.

Bez (po) niejaki czas, stojał znowu przed króleskim pałacem na puście (Posten) i ta królewiczowna zapakowała w paczke dwieście ludorów lub dukatów i list napisała, żeby jeszczyk ráz większy bál wyprawiuł i pospraszał napowtór wszystkich jak byli, i tego króla z królewiczówną. Wszyscy się na tym bálu ucieszyli jeszczyk barzy jak na tym pirszym. Po tym balu prosi tego króla jako swego ojca ta królewiczowna, czy by on ni móg ostać jakim starszym przy tém wojsku. Ojciec powiadá: czemu nie, moja córko, ino całe moje wojsko szkaradzą mi tego człowieka jako białego, że już był wyzwolony z tych giwerów i jako starszy na osobności móg stojéć. Ostał underoficerem. Córce sie jeszcze nie zdawało

że to ón mo być underoficerem, i uprosiła ojca że prawie co dzień na wyszego (wyższego) awanżował, aż przyszed na prynca. Ból rok przy tym królu za prynca. Przez ten rok prosi ta córka króla, czy by jij sie nie pozwolił z nim ożenić jako z pryncem. Ojciec: no, moja córko, kiedy ci sie podoba, tak ci królestwo zliczę (zostawię) w dziedzictwie, bo ja gó ze sobą w ziémie nie weznę jak umrę. Więc ożeniła sie z tym pryncem.

Zyli pu-rok ze sobą po tym ślubie. On jako terá swoją żone prosi, że chce bez niejaki czas swojich rodziców odwiedzić. Tak óna mówiła: możesz jachać i pozwolę; weź ze sobą sto huzarów i dwóch sużących, fórszpana, na przezpieczeństwo, żeby cie w podróży nie okradli.

Wjachał w jeden bór, — że musiał jachać całki dziéń, a choćby jachał i całką noc, toby nie ból jeszczek przez ten bór przejachał. Tam na środku boru ból gościniéc (karczma). Swego ordynansa żołmirza posłał do tego gościńca, żeby uszykowali ci gościnni na sto żółmirzy wichtu (wieczerzy). Gdy przymasierowali, to już tam zastali inszych, bo zgwizdali sie i zwołali całą bandą złodzieje. Ci wieczerze żółmiérzom otruli, co wszyscy pomrzéć musieli. Jeden służący, co się ukreł (ukrył) od tych złodziejów, dostał sie na sosne i patrzał, co sie w tem gościńcu dziać będzie, jako z jego panem, królem. Potem wzięni tego króla i posadzili go w gościńcu pod lustro, i poczeni z nim w karty grać. Złodzieje od niego wszystko powygrawali, że nawet przyodziwek i kónie i całką majętność co mioł przy sobie. Bo złodzieje widzieli w lustrze karty jakie mioł, i śmiało do niego grali. Oni go puścili w saméj koszuli; ani spodni, ani gatków nie dali.

Idzie sobie drógą ku swojému ojcu. Sużący ze sosny sie spuściuł i tak idzie za swojim panem, áż go dogonił. Także mu dáł parę spodni, parę butów, poszcz (płaszcz) i czapke, aby swego pana odziáł. W tém zaczón list pisać jako do swoji żony królewy, że go nieszczeście spotkało od złodzieji i od zbójników. Potem pieczętuje ten list i daje swojému służącemu. Ten sużący wraca napowtór do swego kraju, do swoji pani królewy. Co jij nie dopowiedział służący, to w liście miáła napisane. Tak, że óna wziena dwieście uzarów i jedzie do swego męża przez ten sam bór. Wziena ze sobą sztyry bryki żywności miésa i winna, i opómniała (upomniała) tych żóumirzy gdy tam przyńdą i na kwaterze bédą w tym gościńcu, żeby nic do ust nie wzięni ani nawet

wódki, piwa, bo to wszystko jest zatrute, bo by im sie tak mogło stanąć jako jejich braciom sie stało. Gdy z królem bez bór jachali, król kaużał, jak ſtrzáł usłuszą, to jejich wojsko żeby drzwiami i oknami wpadali i zaráz tych zbójników rąbali. Ona ordynansa do tego gościńca złodziejskiego przysyła żeby uszykowali na dwieście żałmirzy wieczerzą. Ona przyjeżdża do tego gościńca ze swojém wojskiem. Ona p o c z é n a (poczęła) w karté grać ze złodziejami. Złodzieje ją proszą, żeby óna tam usiadła gdzie jeji mąż był, pod lustro. A óna powiedziała że: za moje piniądze mnie wolno sobie siednąć gdzie mi się podobá.

Ten król młody przyszed do swego ojca jako jego syn. Upád ojcu do nóg i ojcze, daruj mi to, com ciebie okpiuł i oszukoł bez niejakieś namowy, a jezdem dziś tém samém, jak żem te oszukane, obłudne listy pisoł, i kochanego ojca do bidy wprowadzáł. A ojciec mu odpowiadá: żeś se dzisiaj jest takim królem jak żeś bół dawnij; żeby mnie cie żal nie bóło, to bym wzion dubeltówki i ciebie zaſtrzelił; w tém ci daruje to wszystko, ale mi musisz kozy i bydło nauczyć mustry, (kiedy óno mówić nie umié). Poczón tego dnia nad wieczorem dészcz rosić jak bez sito. Ów bidak królewicz ulatáł sie po boru; co spędzi parę kozów do kupki, to mu sie te drugie rozbiegną po boru. Ogromnie płacze ten król i składa ręce do pana Boga, żeby mu dopomóg. Natrafił staruszka na jedny krzyżewy drodze. Ten go sie pytá: czego ty płaczesz, młodziéńcze? — Ach, jak ja ni mom płakać, kiedy w nieszcześciu żem jest. Także sie spowiedział temu staruszkowi o swojich wszystkich dziejach. Dáł mu ten staruszek piszczołkę. Bo to bół ten staruszek pon Jezus. I w tém zaczon na nij król gwizdać. Tak, że te kozy zaczęny wszystkie schodzić sie do kupy, i stanęły w rzędzie jak wojsko. Prowadzi do domu ojczeskiego te kozy. W te piszczałke sobie wygrowa rozmaite marsze. Więc przypędził je na podworze, przed swego ojca pałac. Ociec jego i matka wychodzą, i ci brácia, i jako z g(ł)upiego sie wszyscy śmieją. Ale nic to mu nie poradziło, musioł je paś dzień przy dniu (co dzień), te kozy w tym boru.

Ta królewá zaś, jego żona, powygrowała w karty piniądze i majętność tych zbójników i złodziejów w gościńcu, i ten przyodziéwek co ón go przegrał pomiedzy złodziejami. Ona do tych złodziejów powiedá: żem, com wygrała, to mi wolno panowie, od was wziąć. A złodzieje jij odpowiedzieli że: bez mały kwadrańcik

będziesz ty brała, jak bedziesz miała głowe na klocku. Ona poczęna francuzką mową do nich mówić. W téj mowie wycióngła pistolet z kieszeni, i wyśtrzeliła tak, że sie złodzieje w tém gościńcu zalękli, niewiedzieli co sie stało, a jij żółniże posłyszeli, drzwiami do gościńca wpadali, okna zastąpili, żeby żaden złodziej nie ucik z tego gościńca, tak, że ich porąbali w drobne kawałki. Aby dwie niewiasty zostały, chtóre im żywności gotowały, tak, że jedna niewiasta była staroletna a ta drugá bóła w mojdszym (młodszym) wieku. Ta królewa sie pyta tych dwóch niewiastów: żeli więcy zbójników i złodziejów do tego banda nie należą. One musiały przysięge składáć przed królewą że więcy złodziejskiego banda nie znajduje sie w tém boru. Ona kázała popakować tém swojim żołmirzom na bryki to wszystko co od tych złodziejów wygrała i zabrała ze sobą. I te dwie niewiasty wziena też ze sobą, do jeji męża rodziców przywiezła.

Ona przejéżdża przez bór, ta królewiczewa, gdzie ón te kozy i te kozły pas(ł) i muśtrował. On poznał swojich żołmirzy jak ciągli przez ten bór, tak, że ón wystąpił im naprzeciwko i przywitál ich. Idzie do swojij żony, i także ją witá i óna go sie zapytuje: co ón porabia w tym boru? bo go widziáłá takiego obdartego z kozami. On jij opowiadá że ociec mu taką karę zadał, że musi te kozły i kozy w boru paść. Bół plac w tym boru, gdzie tam drzewa niebyło, a było zágajenie duze. Więc tam to wojsko ón wprowadził na odpoczynek. Ta królewiczewa jego żóna posłała do jego rodziców ordynansa, że mają na sto osób żołmirzy naszykować wichtu, mają zabijać bydło nálepsze, bo królewa má tam przyjachać i bedzie u nich na kwaterze w pałacu. Ordynans powraca do nij do boru z powieścią. Więc wziena z sobą sto uzarów a jému ostawiła sto w boru i te bryki chtóre powygrówała od złodziejów. Ona przyjachała do ojca jak gdyby obska była; mąż też niedługo za nią z temi kozami ciągnie i w piszczałkę sobie wygrowá rozmaite marsze. Tak te kozy i te kozły ciągną za nim jak (glid) szereg wojska. Przyciągnoł do domu i kole pałacu stanoł z temi kozami i kozłami. Wszyscy wylecieli z pałacu, i ten ojciec i cała familija, i zaczęni się śmiać z g(ł)upca, z kolewicza. Baby przyszły ze wsi, i pobrały swoje kozy i kozły do domu.

Potem mioł kucharz wydawać objad do stołu; więc ona chciała żeby ón (ten jako jeji mąż) usługował do stołu. Ten ociec i ci bracia zebrali mu tam przyodziéwku, co go troche inacy ubrali:

Więc mu buty dali takie dłużykie od polowania. On wzion wazę, i idzie do kucharza, jako po zupe do objadu. Był to tam próg kole tego pokoju nie mały; jak założył temi ratajami (butami chłopskiemi) za ten wysoki próg, tak waza poleciała w jeden kónt (kąt) a ón poleciał w drugi kunt. Kucharz klnie w kuchni, że ón zupe wylál i wazę roztrzas(ł), bo kucharz musiał znou bulion wzionć i rosół doszykować. Królewa ta mówi że to wszystko zapłaci, i chce żeby ón do stołu usługował. Więc tak go prowadzi jeden brat pod jedne pachy, drugi brat pod drugie pachy, żeby sie bez ten nie maluśki próg nie przewrócił znowu. Jak przyniós te wazę i lekuśko ją postawiuł, tak zará ta waza na pół pękła na stole; i ledwie mieli z nij co jeść. Wtenczas ona chce żeby i ón téż z niemi jad(ł) w kupie. Jak wzion łyżkę w ręke, tak po talirzu zamiatál áż sobie po brodzie lál, tak, że matka i ociec i braci i wszyscy ućkli od tego stołu. Aby tylko ta królewa z nim ostała w tym pokoju. Ón sobie myślał: o, co ja tu mom dopiro ostać! pójde téż za rodzicami.

Więc potem poszed do boru do tego wojska, gdzie tam mioł ostawiono swoje sto chłopu. I ze sześć brykami majętności po zbójnikach. Oni go ubrali w ten swój króleski przyodziéwek, że ino sie tak miniło na nim. Wtenczas ordynansa posyła do królewy, że jako sie dowiedział że królewa w ty wsi jes na kwaterze, tak, że on mąż ciągnie do nij, do ojca dworu. Muzyka jego gro áż sie ziémia trzęsła. Ojciec i matka ij, bracia y królewa wyjéżdżają naprzeciw niego, że jako go nie znają, bo go poznać nimogą. Wszyscy mu sie kłaniają i onego witają. Przyjachał do dworu z muzyką i z paradą wielgą. Wchodzi do pokoju ojczeskiego. sam ojciec wystawia mu krzesełko, jako sam niewié komu: Ten król, syn jego, siad w to krzesło. Widzi że sie ci dwaj bracia kole niego uwijają, co usługę mu robią. On sie pyta swego ojca: Panie, dość że pon ma synów? On powiadá: tych dwóch ino. Ta żona jego królewa powiada: nie, pon masz trzech synów. On król młody wysłowił słowo, że: jag mi pon tu nie dostawisz tego trzeciego syna, tak pana i sénów dwoch zabiję i całkie podworze w niwecz obrócę. Ten ociec strapiony, zchłopotany, szuká tego trzeciego syna. Braci wysłał, fornali, ludzi swoich, szukáć tego trzeciego syna, gdzie on zginoł. I nimogli go znaliźć. On powiadá do swego ojca: znakiem ociec nie zná swego syna siedzącego na krześle? — Jakto powiedział, ojciec i matka i brácia upadli mu

do nóg, że jako syna swego i brata nie znali. A ôn powiada: A nie tak ojcze, to ja muszę ojca przeprosić i wynadgrodzić te krzywdę, co ja ojcu narobił. Zaś ten syn, ten król, z tą swoją żoną królewą, kupili parę wsiów i ojcu wynadgrode oddali. Z rodzicami sie pożegnali i do swégo kraju odjachali.

## 39.

## Bóg zapłać!

Od Leszna.

Przyszed żebrak do pána o jałmużne. Tak ten pon miáł mu dać dwuzłotowca ($^1/_3$ talara), a dał mu przez pomyłke całego talara (jakoby trzy dwuzłotowce). Ten żebrak, jak mu pán dawał tego talara, powiedziáł trzy razy: Bóg zapłać! i idzie sobie dalij.

Ten pon, jak sie pomiarkował, káuzál wołać nazad tego żebraka, i powiadá: ty stary, já ci miáł dać dwa złote, a já ci dał całkiego talara, to-ć wróć mi go nazád! — A żebrák mówi: a nie wróce, chyba mi pon wróci moje trzy razy: Bóg zapłać! — Pon powiadá: O jakiś ty głupi, stary, co to jest: Bóg zapłać?, przecie i já też moge trzy razy: Bóg zapłać! powiedzieć; to nic: to wiatr. Tak ten żebrak powiadá: nie, pánie, bo to można napisać; to niech mi pon te Bóg zapłać na karteczce trzy razy napisze, a já te karteczke wezne i talara pánu oddám.

Tak ten pán napisał na karteczce trzy razy: Bóg zapłać!, ale mu ji jeszcze nie dáł i smiejąc sie powiadá: czekaj stary, bedziemy te karteczke i tego talara ważyć: co ciésze (cięższe) jest? żeli karteczka przeważy, toś talara wygrał. — Włożył tego talara i te karteczke na wage; więc szálka z karteczką spadłá, a ten talar na drugij szálce ani drgnoł, ni móg téj karteczki zważyć. Tak dołożył jeszcze drugiego talara do tamtego na szalce, ale i tak jeszcze karteczki nie zważył. Tak dołożył jeszcze i trzeciego, i dopiéro obniżyła sie szalka tak, że w równości było z kartką.

Tak ten pon powiadá do żebraka: weź ty te trzy talary i idź z Bogiem, a karteczki ci już nie dám; będe patrzyć na nią i wierzyć będe pókim żyw, jak wiele twoje: Bóg zapłać! znaczyło.

## 40.

## Wdzięczność nieboszczyka.

Od Odolanowa.

Jeden kupiec bardzo bogaty miał syna. Póki ten ociec był młojdszy, to sam jeździł we świat po towar. Jak zaś się zestarzał, mówi do syna: terá ja już stary, słaby, możesz teráz za mnie jeździć po ten towar, a ja zostaję w domu. Dál mu siedémset talarów, i jedź po towar, a kup bardzo ładny. Ten syn jedzie; natrafił że bili umartego po śmierci za długi. Tak ón się okropnie zlitował nad tym umartym i powiadá: Mój Boże, przecie umarty już nie żyje, i jeszcze go biją. Przychodzi do tych ludzi, wypowiada: za co wy bijecie tego nieboszczyka? — Óni odpowiadają: póki żył, narobił dość długu, my mu za życia nimogli nidz zrobić, bo nom obiécał oddać, więc teraz po śmierci za to muszemy odbić nasz dług. A ón syn kupiecki pytał się, czy mu wolno go wykupić, tego umartego? — A óni mu odpowiadają: czemu nie! kiedy będą długi popłacone, co ón tu nám był winien, to można go dostać wykupić. A kupiec się pyta: dość ón bédzie kosztował? — A óni na to: siedemset talarów. Tak ón zaraz te siedemset talarów zapłacił za tego umartego, wzion go ze sobą, pojachał i przywióz go do domu.

A ten ojciec wychodzi ze stancyi i pyta się syna: coś przywióz? — Syn odpowiada: mój ojcze kochany, widziałem jak bili umartego po śmierci; tak, zlitowałem sie nad nim i wykupiélem go; dałem za niego siedemset talarów. A ojciec na to: coś ty głupcze najgorszego narobiuł, żeś ty umartego kupił, cóż ty z nim terá bédziesz robiuł? — A syn odpowiada: ja go pochowám. Ojciec powiedá: pojedziesz mi jeszcze ráz po towar. Dał mu znowu siedemset talarów, a powiedá: jedź, a przywieź mi ładnego towaru.

Tak ten syn jachał. Przyjachał do jednego boru y natrafił dwie bar-zo ładne panny. A te panny stojały w ogniu pod pas, paliły się. Bo te panny bóły zaklęte. Tak ón syn powiadá: to zgroza, patrzéć na to, że sie ma człowiek żywo palić. Tak idzie do tego ognia. Stojało tam dwóch mężczyznów; pyta ich sie: czyby mi nie było wolno wykupić tych dwóch pannów, chtóre sie

tak mają palić. A óni powiadają: czemu nie! — On: cóż bédą kosztować? — Siedemset talarów, odpowiadają. — No, dobrze. Kupił te panny ten kupiec i wzion ze sobą. Przywióz je do dom, a ociec sie pyta: coś ty przywióz? A ón syn powiada: przywióz'em dwie panny, i to żywe. Ojciec: a no, jaki żeś ty głupi jes!.. a dość żeś ty dáł za te panny? — Syn: dałem siedemset talarów. Ojciec: przecie, kiedy ty tak bédziesz chciáł robić, to ja ciebie po towar nimoge posłać; — ja sam teráz pojade po ten towar.

Tak ten ojciec pojachał po towar i okropnie długo sie tam zabawiół we świecie. Niż ten ociec przyjachał do domu, to sie ten syn już ożénił z jedną panną, z tych dwóch. Tak ten ojciec powiadá: jag'eś ty sie ważył żenić przeze (bez) mnie?, ten majątek, co ci sie należy, nie dostaniesz, i wypędze cie z temi dwiéma małpami we świát, idź gdzie chcesz, ja o tobie wiedzieć nie chce.

Tak poszed we świát z temi pannami, ten syjn. I przyśli bez bór do jednego miasta, i dał sie za rzeźnika; i bół tam trzy lata tym rzeźnikiem w tym mieście; szło mu okropnie dobrze, i uszperał sobie na tem rzeźnictwie czternaścieset talarów. Tak powiada do swoji żóny ten syjn kupca: wiész co, żono, my sie tak teráz dorobiéli, weźma te piniądze, i podźma do mojego ojca nazád, Tak idom (idą); przyśli do tego samego boru przez chtóry przechodzili tamdotąd; natrafiéli chałupke w tym boru; pośli do ty chałupki, a tam bół gościnny zbójnikiem. Pytá sie ten gościny: co pan żądasz? — A ten kupiec (syn) powiadá: żądám kolacyją dla trzech osób. — Dobrze, zaráz będzie. Przynosi dziewczyna kolacyjom, a ten gościny pozamykał bromy, żeby mu ten kupiec nie uszed. Tak przynosi dziewczyna drugą patrawę, i przynosi przy tém karteczkę ołówkiem napisaną. Kupiec bierze te karteczkę i czyta co tam stojało napisano: „już tu postanowiono, moji panowie, że żywo ztąd nie wyńdziecie, ale wiedz, że tu sie znájduje i ten umarty chtóregoś wykupił; nie bój sie, młody kupiec, weź swoje panny, i wyprowadź je po cichó na podworze, bédzie broma otwártá; tyś bół litościwy nademną jak mnie bili po śmierci, a ja ci jezdem pomocą za życia, że ci bromę otworzę".

Ón wyszed i uszed ze życiem z temi pannami. Przychodzi do ojca i powiada: mój ojcze kochany, proszę o przebaczenie, żem sie tak tu źle zachowował, com ojcu straciuł, to teraz ojcu oddaję. — Dobrze mój synu, kiedyś sie tak dorobił, niech ci pan

Bóg pobłogosławi, i odbierzesz odemnie kupiectwo, bo ja jużem stary i trudnić się tém nie będe. Ten syn odebrał to kupiectwo i był tym kupcem.

## 41.

## Zmarły kawaler.

Od Gołańczy (Czeszewo).

Jedna dziewczyna miáłá kawalera, — i umar ji. Bardzo go płakałá, gdzie tylko sie ruszyła, i w nocy i we dnie. Poszła wieczór do gościńca gdzie gráli, nie bawi sie i myśli: żeby tu mój był! — i idzie znów z gościńca do dom a płacze.

A wtém on jedzie (ten umarły) na koniu i rzeknie ji tak: Tyś Kasiu? — Oná: já Jasiu. — On: siádáj Kasiu! — Ona: zará Jasiu. On: na-wia-wej! (prędzej)! — I tedy siádła na koń z nim i jechali we świát. Ale wybiła dwunasta godzina a ón powiádá do ni: Ludzie śpią, kury śpią, a umarli ze żywemi po świecie jeżdżą. — A óna mówi: Cicho ty, niechaj ci zaśpiewają, co rogowe pyski mają (kuraki) [1]).

Ale zajechali do smętarza, tam gdzie ón leżał. A tam szpytal był, a w nim dzioud (dziad) tam umarły leżał, i tam go pilnowali dwa żywe dziady na pustéj nocy. A óna Kasia, zalęknionа, jak z tego konia zeszła, tak uciekła do tych dziadów do szpytola y zaparła dzwiérze miełłą, ale suknia ji sie przycięna we dźwiách. Ón (Jaś) wtem doleciáł, i aby téj sukni oberwáł kawáł, to co się przycięno we dźwiach. I wuołał na tego umarłego (dziada): bie, bie! (biegaj, idź!) [1]), — żeby z tyj tro(m)ny wstáł i żeby mu otworzył. A ten żywy (dziad) huknął kijem na tego dzioda umarłego bez trónę i ŭoła: Leż, gdzie cie położono! — Tak też ten sie nie ruszył.

I wisioł pornik [2]) przędzy na grzędzie i ten umarły (Jaś) ŭołał tak: Przędziuno, co cie we czwortek przędzono, a podkurku

---

[1]) *Lud*, Ser. VIII str. 248, nr. 87.
[2]) *Lud*, Ser. IV str. 268.
[3]) *Parnik* jest to miara = 20 pasm (czyli 40 pół-pasem) przedzy. (Ob. *Lud*, Ser. IX str. 108).

przy tobie nie jedzono, śliź! (zleź), ot(w)órz my! — A ten żywy huknął w te grzęde i ňoła: Wiś, gdzie cie powieszono!

Wtém kuroki zapiały, i ten umarły (Jaś) poszed sobie we swoje, a z ty sukni tę szmate podar na kawałki, i na kážды grób po kawałku położył, — i tak mówił: Nie tyś głupia, ale já głupi, żem cie zaro nie skwyciół (schwycił) i nie porozdziérál [1])

## 42.

## Zbawienie dwóch duchów.

(Gadka wielko-polska, z manuskryptu: Strachy wielkopolskie).

(*Przyjaciel ludu.* Leszno rok 4ty 1838 N. 44).

od Rawicza.

W pewnej wioszszczynie wielko-polskiej pokutowało. Ledwo noc zapadła, widywano na cmentarzu, który otaczał drewniany, mchem porosły kościółek, osobę w bieli klęczącą. Nikt nie śmiał do niéj się zbliżyć: pielgrzym o téj porze mijał z daleka cmentarz; a kto go przebiegać musiał, z odwróconą twarzą i trwogą w sercu przechodził jak najśpieszniej. Daremnie dawano na msze: gorące modły pasterza gminy nie zdołały ubłagać odpuszczenia win pokutującemu, który zawsze w oznaczonej godzinie na swoim pojawił się grobie.

Zdarzyło się razu pewnego, że się w karczmie kiermasz odbywał. Rozochocone gorzałką chłopki (chłopcy), weseliły się w noc późną, aż część znaczniejsza znużona ciągłemi tany, a niejeden może i nadużyciem trunku, do domów się rozeszła; zostało tylko kilkunastu młodych parobków, dobrze podchmielonych wódką. „Wiesz co, Kuba", ozwał się Jędrek, „wszak ty to zawsze wielkiego zucha udajesz; jeśliś taki śmiałek, przynieś nam tego ducha, co tam zawsze klęczy przy kościele!" — „Ha, ha, ha" odrzekł na to Ignacy, siedzący na ławie przy potężnym półkwaterku gorzały, „choćbyś mu złote góry obiecywał, pewnoby nawet pod cmentarz nie zalazł." — „On mi téż do tego stworzony" pomruknął inny.

---

[1]) Powieść ta zupełnie inny niż w Ser. VIII str. 160, jak i w Balladzie Bürgera (Lenora) bierze tu obrot.

Powstawała coraz żywsza wrzawa, kiedy Kuba oburzony przycinkami i pośmiewiskami, „no“ krzyknie, „bo ja tu z siebie drwinkować nie pozwolę; — co mi dacie, a za kwadrans ujrzycie nieboszczyka na tym oto stole! — „Cztery garnce wódki“ ozwali się jednogłośnie. „Dobrze, przystaję; ale biada temu, co z karczmy uciecze, kiedy ja powrócę!“ — I wcisnąwszy baranią czapkę na uszy, odszedł, a parobczaki, śmiejąc się, potakiwali sobie: „dyć go tu jeno patrzeć za chwilkę. — Ha, kiedy już ksiądz proboszcz, osoba przecież poświęcona, a nie śmie z duchem się spotkać, cóż dopiero z nas który! — Oj żeby mu też tam dobrego strachu nagnało! będzie mędrszym nadal sobaka. — Panie Pietrze, jeszcze po lampie (szklaneczce) tutaj; tylko téj naszéj, co to tak głaszcze po sercu, jakby weń zarzewia nasypał.

1. Nie masz-ci to jak dzień godny (godowy, duży)
   kiermaszowy, kiermaszowy;
   pije wódkę człek swobodny,
   przez noc całą z dnia połowy.
2. Nie troszczą go dzieci, żona,
   nie zna ich parobczak młody;
   jeśli westchnie wpośród grona,
   to, by klasnął w twarz jagody!...

Oh, cóż nam tam zawsze jednę będziesz dudlił, Maćku. — Jedna, jedna, ale dobra! — Nu, Maciosiu, ty coś już się kiwasz; opowiedz nam jeszcze co, boć przecie niepodobno spać, kiedy tu duch ma przyjść. — Oj ma, ma, zobaczycie wy tu ducha, ale w baraniéj babie, bladego jak śnieg: będę-ć się też śmiał serdecznie ha, ha, ha! — Słyszysz go, jak już drapie do drzwi! oślepła psia-wiara, nie widzi nawet, gdzie rygiel od karczmy.

Tu się drzwi z zgrzytem na wpół rozwarły. „Najsłodszy Jezu!“ zawołał z trwogi stary szynkarz, a parobczaki oniemieli; w kąt się tłoczą na wpół martwi, bo przed nimi martwiec w śnieżystej szacie, wybladłej twarzy, z rękoma na krzyż złożonemi, stanął poważnie na stole, na którym go odważny przewodnik usadził, i wzrokiem wstrząsającym najtwardsze serca potoczył około siebie, I po długiéj chwili milczenia, obrócił się do mężnego Kuby, i wskazując oschłą dłonią na drzwi, grobowym odzywa się głosem: „zkądeś mnie przyniósł, tam mnie odniesiesz.“ — Zadrzeli wszyscy, zadrżał i Kuba; nogi mu drętwieją, serce mróz dreszczu

ścina; chciałby się zrzucić z tak srogiego rozkazu, ale duch tak silnie nań spogląda, że nawet ust otworzyć nie śmie. Bierze więc drżącemi dłońmi srogiego towarzysza, wkłada na ramiona i obaj znikają.

Śmiertelna cisza rozlała się po całej izbie, i młodzi krzykacze milczą, jakby im żelazem zakuł usta; nie jeden duszą skruszoną ciche wznosi modły do Boga; aż nareszcie przerwał milczenie Maciek, ale już nie rozkazującym, lecz słabym głosem: „Oj wiecie, prędzéj wierzyłbym był, że ziemia podemną pęknie, a ja weń zapadnę, jak że ujrzę taki cud! Drwiliśmy z Kuby, ale to jednak człowiek nad którym boska czuwa Opatrzność. Zgrzeszyliśmy, uderzma się w piersi i zmówmy trzy Zdrowaś i jedno Wierzę za tę duszę, którąśmy tak znieważyli". I wszyscy uklękli i przy mdławym blasku dogorywającej świeczki i dotlewającego się ognia na kominie, szeptali pacierze.

Tymczasem Kuba wśród czarnéj nocy drżącym pośpieszał krokiem na cmentarz. Skrzypiącą otworzył furtkę i przystąpiwszy do grobowca, na którym nieboszczyk zwykł był chwile swojej pokuty odbywać, chciał go znów na nim złożyć. „Nie tutaj teraz moje miéjsce" ozwał się znowu grobowym głosem duch, „przed ołtarz do kościoła mnie zanieś; zanieś, bo biada temu, co naszych nie spełnia rozkazów!" W obłąkaniu prawie zbliżył się Kuba z swym towarzyszem do wrótni świątyni, gdy sie ta z hukiem sama rozwarła, przerażając okropném echem cichą modłów zachronę; pękły takoż i drugie drzwi kruchty; i jakaś jasność uderzyła oczy Kuby. Przecież w téj chwili nadzwyczajnym dziwem trwoga znikła z jego duszy, a duch rzekł z łagodnością: Czy widzisz tę białą osobę, co tam klęczy przed wielkim ołtarzem? Jest to mój kumotr, z którym zwaśniwszy się za życia, pomarliśmy obaj w zagniewaniu. Już pięćdziesiąty rok tutaj pokutujem, a prędzéj zbawionemi być nie możemy, dopóki nas kto na téj ziemi, z któ-rej-śmy w gniewie odeszli, znów nie połączy. W twojéj dziś mocy zbawić lub zgubić nas na wieki! Chcesz naszego szczęścia, to przystąp wraz ze mną do ołtarza i połącz nasze dłonie". Zdumiał się Kuba na tę prośbę groźnego wprzódy ducha; lecz jakąś dziuczuwszy odwagę w sercu, niedługo się wahając, zbliżył się do osoby przed ołtarzem Pana Zastępów klęczącej. Duch klęczał, nie rzuciwszy ni jednego nań spojrzenia, aż Kuba się ozwał: „Bóg waszéj zgody pragnie widocznie, bo się ulitował nad grzesznymi,

podajcie więc sobie braterskie dłonie". A duch wesoło nań spojrzawszy, wyciągnął białą jak śnieg prawicę. Kuba ją silnie pochwycił i złączył z ręką swego towarzysza. W tém wzrok jego jakimś nadziemskim oblany blaskiem, napróżno usiłował rozpoznać twarze istót, które wybawiał. Widział tylko jakby przez mgłę, dwie osoby uroczej postaci; wkrótce znikły; głos tylko dźwięczny obił się o jego uszy: „Prawy człowieku, idź do twojej powinności, nie bądź za wielkim śmiałkiem, a nie wątpiéj o wdzięczności tych, których-eś z paszczy piekła wyswobodził". — Upadł Kuba na kolana, długo się modlił gorąco do nieba, poczém wrócił otwartemi jeszcze wroty z kościoła do swoich towarzyszów.

Zadrzeli wszyscy, gdy wstąpił do karczmy; ale go nikt daléj nie badał. On też w myślach pogrążony, dumał niejaki czas na ławie; a gdy już ludzkie gwary po wsi powrót dnia oznaczyły, pożegnawszy towarzyszów uprzejmie, odszedł. Widziano go w tym samym dniu jeszcze na mszy, której klęcząc słuchał z wrytémi w ołtarz oczyma. I wieść cudu wkrótce rozeszła się po całej okolicy. Kuba był odtąd w wielkim u gminy szacunku, który, przez cnotliwe nader życie tém mocniej sobie zatwierdził.

*A. B.*

## 43.

## Cierpienia niewinnéj.

od Kościana.

Kupiec jeden bogaty mioł dwoje dzieci, syna i córkę, — i miół brata co był księdzem i proboszczem na swojej właszności. Była księdzu proboszczewi potrzebna gospodyni w gospodarstwie. Pisze on do tego brata, jako do kupca, czy by nie pozwolił téj swojéj córce u niego gospodarzyć. Kupiec, że ino mioł jedynaczke w domu, to nie bardzo chciáł księdzu oddać ją na gospodynią. Ale że ten ksiądz bez pismo ogromnie sie prosi, żeby mu ją ino przysłał. I przysłał mu kupiec wreście córke. Córka ta bawiła sie u księdza, a swego stryja, pięć lát. Ten ksiądz był bardzo himera. Poczón jij kupować barzo straszne książki do czytania, co óna się nigdy nie spodziéwała od stryja, co ich nie znała i czytać nie chciała, bo to były szkaradne książki, które dla panny bogabojnej nie należały sie wziąć do ręki. Bo chcioł ją ksiądz na swoją strone

miéć ale ni móg. Pisze on ksiądz do swego brata kupca, że ona wielga niezbednica, lata po gościńcach i po nocach, a gospodarstwa swego nie pilnuje. Ten ojciec temu księdzu uwierzył bardzo prędko. Dał dwa pistólety swemu synowi i nóż: pójdziesz po siostre swoją i weźmiesz ją ze sobą, nie przyprowadzisz jéj szak ze sobą do domu mego ino ją w borze zastrzelisz albo zabijesz.

On syn przyszed po siojstre i mówi: zabiéraj sie, pódziesz do domu ze mną Ona zabrała z sobą rzeczy i przyodziewku co mogła, a reszte u księdza ostawiła. Przyśli oboje pod bór; ten brat od żałości poczón płakać, co jij miáł życie w boru odebrać. Óna go sie zapytuje: cóż tak płaczesz bracie, co ci tak żál jes? — Jak ja ni móm płakać, kiedy ja cię w tym boru zabić mom, bo cie ksiądz wuja bardzo szkaradnie przed naszym ojcem opisał. Ona mówi do brata: czyń co możesz, a ja ci-k za śmierć mile dziękuję, bo niewinna na śmierć idę, tak przynajmij w czystości położonna będe. Przyśli oni na środek boru oboje, jako brat ze sicjstrą. Ten brat mówi: klenknij tu siostro, bo cie zabić muszę, bo nie ja ciebie, to mnie kauzał ojciec nasz. Ona klękła na swój tłomoczek, chtóry go przy sobie miała; mówi do niego: odeńsi (odejdź) dziesięć kroków ode mnie lub dwadzieścia. Ten brat niewinny bierze pistólet do ręki i wycélował jij prosto w serce. Jak wyśtrzelił, przeleciała mu właśnie dzika świnia przód nij, i zabił te dziką świnię zamios(t) siostry. I mówi ten brat do siostry: widzę że to cud boski, że Bóg nie chcioł żeby já ci życie odebrál. Mioł ojcu przynieś(ć) język i te oba oczy jeji na pokazanie że zabiuł. Wydłuboł ty świni oczy i wzion ojcu na pokazkę. Ta siostra mu przysięge składa że z tego boru już nigdy nie wyńdzie. Ona wchodzi w bór, szuka sobie pustyni. A ten roszczed (rozszedł) sie ze siojstro, jako idzie do ojca swégo. I pokazuje ojcu swojému: to mász ojcze język i oczy od córki swojij. Ojciec rozgniwany mówi do syna: bierz te ślipie i ozór, niech ja ich więcy nie oględuję.

A óna w tym boru sobie zamieszkuje. Jeden ślachcić, właściciel czyli posiedziciel tego boru, bół on to kawaler jeszcze, zrobiuł wielgie polowanie ze swojémi śtrzelcami po tym boru. Jak óni polują, napolował śláchcic sobie te pannę. Widzi że ładná, urodná, przystojná, rozkozál swojému sużącemu chtóry był na polowaniu, żeby szed po powóz i po fórszpana do domu swojégo (jego). Ślachcic mo matke przy sobie, chtéra była wdową. Ta matka

mówi: coś przywióz za borową kur.. do domu mégo. Ogrómnie ta matka jóm prześladowała, a ón jóm (pannę) ogromnie kochát. Ón mówi: niech mi matka da cząstkę ojczeską i ja sobie wyjadę z domu matki, a wszelak ślubować ji będe. Ale ta matka nie chciała syna swego z domu pozbyć. I wzion z nią ślub.

Potem, pojachała óna, bez (po) niejakiś czas krójtki do ojca swégo, ale mu sie poznáć nie dałá; ojciec myślał że przyjechałá jaká ślachcianká. Kupiła óna materyjału od ojca na bardzo piekne roboty, co wyszywała. Zrobiuła matce i swojému mężewi na gwiozdkę prezent taki sławny, który-ż inkszá niewiasta zrobić by nie potrafiła. We wiliją, jak twardo zasypiali, kładzie na stół matce i na stół mężowi. Gdy sie przebudzili i (w)stali rano, syn dziękuje za prezent matce, a matka synowi. Matká mówi: ja ci-k synu nie dała, a syn: ja téż matce nie dát. Matka mówi że: to Pan Bóg bez (przez) anioła przysłát; aniół im na stół pokład. Ón syn mówi: że to pewno żóna. A matka powiadá: gdzie by ci ta morowa kur.. potrafiła! — Syn: to niepodobná, żeby to Pan Bóg bez anioła przysłát.

Te gody sie skóńczyły. Ślachcic musiał na wojnę jachać, jako ślachcic. Bół półkownikiem. Ostawił w domu żonę i cáłki majątek. Bół w ty wojnie bez niejaki długi czas. Ta jégo żona powiła w domu syna. Pisze listy do swego męża; jeden list doszed szczéśliwie do męża jeji. Ale ta matka przepłaciła tego swojego s(ł)użącego, żeby, chtóre óna żona listy napisze. i ón od nij na pocztę ponieść będzie mioł, żeby przynioś do matki a nie na poczte. Ta matka swojóm rękóm przepisowała z tych listów, ale nigdy mu prawdy nie napisała, i nigdy sie z nich prawdy ni móg doznać syn. Bo przez to, że matka listy obłudne do niego pisała. Po ostatnij bataliji ten mąż pisze jako do swojij żony, żeby ona sie zabrała z tém dzieciakiem, i do tego miasta przyjachała, do którego ón przyjedzie i tam sie w niém bawić będzie. Matka zdradliwá przepłaciła forejtra i forszpana, ażeby óni, jak przyjadzie synowa z dzieckiem do boru, odebrali od nij to dziecko i zabili. Jak przyjachali do tego boru, tak ten foszpan stanoł, a forejter mówił do nij: Podej sam to dziecko, ty morowa k..wo! — Wydar jij i wzion to dziecko za nóżkę; jak rznoł tém dzieckiem, główką, o koła, tak sie mózg rozprysnoł. I mówi dalij ten forejter: także i tobie k.... tak bédzie. Ona wyjść musiała ze szkatułą z tego powozu, i do forejtra mówi: mnie nie tak łatwo zabić jak to dziecko. Jak

ją wciągnoł dalij do tego boru, tak ją tam chcioł zabić. Kole tego miejsca stała rosochatá sosna. Mówi ona do forejtra, żeby ściągnoł te buty z nogów swojich, bo mu będzie lżéj ją zabić; prędzy ją zabije. On też na to przystáł, ale jak zrobić? A ona mówi, żeby włożył te jedne noge w rozsochę ty sosny nizką, to ónа mu pomoże but zdjąć. I zdjęna mu ten but. Założył te drugą nogę z tym drugim butem znou pomiędzy te rozsochy. Jak ónа weźnie ten drugi but, jak go myrsznie (uderzy) butem w głowe, áż mu ta ostroga weszła naskoś (na ukos) do gęby. Ón zaczón gęglotać, bo słowa wymówić nié móg. I ostawiła go w tym boru leżéć. Ónа od strachu pobiégła głębij do boru i swoją szkatułę zabrała ze sobą. Ten fórszpan słucha, że ten tam forejter gegloce w boru, i mówi sám do się: co za gupia psia-jucha że tak d(ł)ugo ją zabija i zabić ni może. Ten fószpan poszed do niego, widzi że ón sám leży; wzion go i zaniós do powozu i zawióz go do ślachcica matki do domu. Pisze do tego miasta ta matka list jako do syna swego: że jego żona w boru dziecko zabiła i forejtra zeszkaradziła, że ani mówić forejter nié może. Syn list odebrał w téj podróży, zmartwił się i już do domu powrócić się wcale nie chciáł [1]).

Ta pani wyjszła z tego boru. Natrafiła babę chtéra szła z koszyczkiem żebrającą. Ta pani mówi: babko gdzie wy idziecie? — Ja sobie idę páre kawałków chleba uprosić. — Ta pani, bez nie wydania (przez to, aby się nie objawić, aby się ukryć), kupiła od nij ten babski lichy przyodziéwek. Dała jij sto talarów i swój właśliwy przyodziéwek. Ta pani ubrała sie w ty baby, a ta baba w ty pani przyodziéwek, bo sie pomijali z przyodziéwkami. Wyciągła ta pani pulares, pytó się ty baby zkąd ónа pochodzi, jak ji imie i jak sie nazywa. Baba powiedziała, a ta pani sobie zakondytowała (zakonotowała) w ksiożeczce. Ta pani idzie swoją drógą, i ta baba swoją drógą, jak sie obie z kupy rozeszły.

Jedzie uzár na koniu, i ta pani go natrafiła, jako posłaniec od jeji męża. Ona sie pytá: uzorze, gdzie ty jedziesz? — O babo! (ón odpowiadá) czy ty wiész czy nie, to ci wszysto jedno, gdzie ja jade; a ja sobie z ciebie, bábo, nic nie robie. Ale ta pani miała parę kawałków chleba w koszyczku, kawałek séra i flaszeczke wódki w ty podróży. Jak ten uzar te słowa wymówił, tak ta pani

---

[1]) *Lud* Ser. VIII str. 36—37.

odpowiedá: bodajś żołmirzu, stój, dám ci kawáłek chleba i séra i wódki. Uzar ból zmęczony i ucieszuł sie temu posiłkowi. Jak sie pożywił, tak ta pani (niby baba) mówi znou: Miły żołnierzu, przedaj mi tego kónia i ten swój mundur, bo jako po wojnie, już ci-k nie bedzie potrzewny, a nikt o tobie wiedzieć nie bédzie. Ten żáłmirz sprzedáł ij ten uzarski mondur i konia i wzion za to trzysta talarów. Wyciągła ten swój pulares i pytá go sie: jak mu imie, jak się nazywa i zkąd pochodzi? Także i ón ji opowiedział, a óna w pularésie zapisała. Uzár odstąpił potem i poszed we swoje stronę. Óna się przebrała za uzara, w ten uzarski mundur, siadła na konia i ból z nij uzar. Jadzie óna i przyjachała do jednego boru do gościńca, gdzie gościnny byli oboje starzy. Pyta sie ten niby-uzar: żeli by ni móg tu dostać kwatery i nocligu. Gościnny powiada: owszem, jes stajnia ciepła, konia można wprowadzić. Rozebrał ten uzar konia, swoją powinność kole konia zrobił, na wieczerzą poszed do izby. Zabawiał się i potrafił sie ználeść z ludźmi w gościńcu. Gdy sie ludzie porozchodzili z gościńca, gościnny zamknoł drzwi i położył sie spać. Gościnná do tego gościnnego mówi w nocy: jest to ten uzar szykny, ładny chłopak, może by ón u nas chciał po-ł-ostać (pozostać) jako za swégo (naszego) séna (syna); tak by sie tu móg w gościéńcu ożenić, a my dwóch starzych mielibyśmy przy nim spoczynek i wycug (chleb zgodzony).

A to mój uzar nie spáł, ino to wszystko wysłuchał, co ci gościnni mówili. Wstał rano, poszed do konia, jak to zwykle kole konia żáłmirze robią tak i ón zrobiuł; kónia sobie ósiodłował i chcioł odjachać. Pytá sie gościnnego: co ón winien za ten noclég, za wieczerzą i za śniádanie. Gościnny i gościnna mówili: bodajś, miły żáłmirzu, ty tu lepij ostáń, bédziesz za naszego, bédzie ci lepij i możesz sie ożénić; my przy tobie bdemy (będziemy) jak twoji starzy rodzice. Ten żáłmierz uradowany ostał u tych gościnnych. Umiał coś opowiedzieć, historyje rozmajite, że ludzi rauz na rauz (raz w raz) pełen ból gościniec furmanów, zaganiaczy i podróżnych ludzi; po całkich nocach bawili sie przy żáłmirzu.

Témczasem ślachcic robiuł w tém ború polowanie. Zaprosiuł śtrzelcy, bo to ból jego niezmierny bór. Przysłał swego borowego do tego gościńca, żeby za rozkázem pana była wielga, huczna kolacyja w tym gościeńcu wystawiona (d)la tych strzelców. Gościnny sie przygotował. A ten uzar, że sie w tym znál, także sie tam

z wieczerzą wyszykował. Ci ſtrzelce na wieczerzą przybyli wieczorem i ten sam pán. Wieczerza była wystawiona barzo hucznà i składnà. że sie temu ślachciowi ogromnie podobało i wszystkim gościom, tak, że sie po téj wieczerzy zabawili, bo im sie barzo podobało i coś nowego zdało. Ten ślachcic, pukównik, właściciel sám, mówi do uzára: ale miły uzarze, zkądżeś ty się tu wzion? — A ten uzar: jako do wuja żem przybył. — Powiédz mi téż, miły uzarze, jak to u tych wojnach szło, bo my starszyzna w tyle siedzemy, to my wiela o tém nie wiemy, co się w batalii dzieje. — Uzar powiadá: najáśniéjszy pułkowniku, dzisiaj o batalijach nic nie bédzie powiadane, ale bez ſtyry tygodnie zrobię wielgi bál, wszyskich gości zaproszę i o batalijach powiem, jak sie w tych wojnach działo.

Pukownik prosiuł Pana Boga żeby dwa, trzy dni składały sie na jeden dzień, żeby jak náj prędzy te styry tygodnie przybyły. Ten uzar pojachał do swojich rodziców, jako do tego kupca, ale nie dla tego żeby sie dać poznać, — i tam udawał ſtulca (den Stolzen) że jest uzarem; nakupiuł sobie materyi kobiécy, tak jak ona sobie pirwy chodziła panną i mężatką, i powrócił do gościńca. Nocami poszuł (poszył) sobie suknie, co nicht (nikt) o tem nie wiedział, ani nie widziáł. Przysposobił sobie także wszysko na ten wielgi bál. Naprzód pisał zaproszenie do kupca (jako do swoji rodziny) jego żony i jego syna, żeby przyjachali do tego gościńca na bal na ten dzień odłożony. Terá pisał do księdza (jako do swego wuja) żeby stanoł do tego gościeńca na bal w ten a ten dzień. Terá pisał po te babę, chtóra ten przyodziewek od téj pani kupiła pod tém borem. Teráz pisał po tego prawdziwego uzara, od chtórego odkupiła baba mondur i kónia. Terá pisał po forejtra, po foszpana i po te matke, chtóre dziecko ji zabili. — Także i tenże ślachcic czyli pukownik zaprosił ze swojéj strony gości chtórych miarkował. Stawili sie goście, zjachali na ten dzień, w chtórym miáł ten bál być. Wszyscy sobie w zgromadzeniu posiedli. Ten pukownik po ty wszystkiéj wieczerzy i w ty zabawie, zapytuje sie śmiele uzara: jak to było w téj pirszy batalii? — A uzar mu na to odpowiadá: Pirsza moja batalija była taká, ale moji panowie, bo to bez (przez) sen jest; — że: wzion ksiądz od kupca córkę jego jako swoją synowice, więc straszne ji książki kázał czytać, ale że óna była bogabojna i ksiożki te ćpała w kąty i czytać ich nie chciała, a ksiądz rozgniwany opisał ją źle u ojca,

ojciec posłał swego séna żeby jij jako złéj życie odebrał, brat w boru strzelił do nij, ale zabił dzike świnię co przelatywała. I tak ón opowiedział całe batalije, co się zdarzyło téj córce przez życie całkie. Jak ón opowiedział te historyje, tak potem poszed ten uzar do alkierza i przebrał sie w te swoje kobiéce przyodziewki, tak, jak dawnij óna chodziła, i stała sie znowu z niego kobita. I wyszła do ty dużéj sali w gościńcu, pokazała sie gościom jaká była dawnij. I wszyscy się podziwili. Pukownik, mąż jeji, zapłakał jak usłyszał te wszystkie historyje, co óna ucierpiała z młodych jeji wieków — u wuja, co ją czarno oblekał (oczerniał). Ale ksiądz i ta matka i forejter i forszpan, i ten sużący przepłacony, okropnie się polękali że sie wszystko wydało, co narobili złego. A ojciec jéj nie był winowajca, ani brat, i dla tego darowali im życie. Ale tym drugim winnym nie darowali. Zaraz też goście złapali tego księdza, nałożyli stós drzewa i spálić go kázali; złapali też tego forejtra i tego forszpana i nazadawali im męków a potém powiesili na szubienicy; i złapali też i wzięni te matke tego pukownika i wołami ją rozdarli. Ci co ją bronili i retowali od tych złych przypadków, jako: ta baba, ten uzár, i ten gościnny z gościnną wielgie wynadgrody podostawali od pułkownika. I wzion wszystkich do pałacu swego, a temu uzarowi chtóry iéj ten mundur zaprzedał, udarował ten gościniec i kazał mu sie ożenić, tak jak chcieli tego ci gościnni starzy.

## 44.

## Dwaj żołnierze

(Szczodry i skąpy. Spotykają Pana Jezusa i św. Piotra. Boskie i czartowskie pieniądze. Kamień).

od Kościana.

Dawniejszego czasu była raz wielga wojna. Jak się ta wojna skończyła, którzy zálmirze po-ostali po téj wojnie, zgromadzili ich do kupy i poczęli ich puszczać do domu. Jeden, co mioł pięćset mil drogi do domu, biadál sobie że to samotny do domu musi iść, a kolegi nima. W tém słyszy, jak wywołują z drugiéj armii, także z jego wsi kolegę. — Ucieszył się że przynajmij będzie miał kolegę iść do domu rázem. Dostali swój traktament obrachowany na każdą mielę aż do domu.

Ten pirszy był szczodry, a ten drugi był skąpy. Ten szczodry mówi do skąpego: chciołbyś iść ze mną na piwo? A skąpy: jak chcesz! — Wstąpili oba do jednego gościńca. Szczodry kázał dać posiłku, żeby oba mocniéjsi byli do biegania. Ale zazwyczaj, jak dwóch ludzi mają żyć z jednego traktamentu, to daleko ujńść nie mogą. Temu szczodremu skończyły się piniądze, ino mu zostało pu czwarta trojaka w kieszeni. Ten skąpijszy przecie nie pobierał się (poczuwał się) do tego żeby tego kolegę szczodrego retował. Szczodry idzie o kielkanaście miel drogi, bardzo zgłodniały. Wszed do jednego domu, áż go tam zretowali, tak mu tam dali sie posilić. Wzmocniał, i przyszed ze swoim kolegą do promu gdzie się mieli dać przewozić przez rzékę. Stojeli tam dwóch dziadów. Jeden z tych dziádów idzie do tego skąpego i prosi żeby go kázał przewieść tém promem bez wodę. Ten skąpy żołmierz bryknął na tych dziadów, bo nie wiedział co to za dziady byli. Idą do tego szczorszego żołmirza, co ino miał pu-czwarta trojaka w kieszeni. A ten sie zapytał przewoźnika: dość żąda za przewiezienie od osoby? — Po groszu, po groszu, mój panie żálmirzu, mówi ten promowy. Przewióz zatém ten promowy tych dwóch dziadów i tych dwóch żoumirzy, a ten szczorszy zapłacił mu za siebie i dwóch dziadów trzy grosze. Nadeszli nad drugi prom, i znowu skąpijszy nie chce płacić za dziadów, ino powiadá: o my żołmirze bidni, nie chodzemy od wsi do wsi jak wy dziády ażeby grosze wyżebrać; możecie za siebie płacić; ale ten szczorszy zapłacił za nich. Nadeszli zasie i nad trzeci prom, i tak samo zapłacił promowemu za nich ten szczorszy, a skąpijszy nie chciał płacić.

Jak przejachali bez ten prom, stanęli sobie za promem na placu kole promu, pod miastem. Ten skąpijszy z tych żálmierzy zaślep(ł). A do tego szczodrego przyszed z tych dwóch dziadów jeden, aby mu to wynadgrodzić za te trzy promy, co ich kázał przewieść. Pytá go się co ón chce za ten pirszy prom? — Co ja bym od was żądał, kiedy wy sami, dziady, ni macie nic. — Więc nie wiész z kim mówisz? ja jestem święty Piotr, a ten drugi jest Pan Jezus, więc ci chcemy wynadgrodzić za te trzy wody. Ten żálmierz się zadumiál. Ale mówi: więcy nic nie chcę, tylko moje dwie sakwy pieniędzy, pełne póki będę żył. Święty Piótr mu daje i mówi: no, to mász Teraz go sie pyta co ón chce za tę drugą wodę, za ten drugi prom. A żołmirz mówi: coby ja żądać mioł? — Za tę drugą wodę nie chcę nic. — A nie pamiętasz też na swoją

duszę? mówi święty Piótr, — żeby twoja dusza trefunkowo mogła być zbawiona. — Tak by ja sobie życzył, ale bez męków żebym móg do nieba wniść. — A za ten trzeci prom co żądasz, za ten trzeci, coś nas kazał przewieść? — Żołmierz sobie przypomina coby ón to mioł żądać? Pinądze do utrzymania ma na całkie swoje życie, dusza jego zbawióna będzie, — tak, że żołnierz mówi: za trzeci prom nie pamiętám nic takiego. A święty Piotr: przecież ja ci za trzeci prom też wynadgrodzić muszę. I kázał mu sobie dobrze przypominać święty Piotr. — Załmirz powiada po namyśle: jest tam wielgi kamin u ojca mego na podworzu; kogo ja posadzę na ten kamiń, żeby nigdy z kamínia nie zszed. — Dobrze, powiedzieli, tak mieć będziesz. — On im podziękował, a ci dwaj starzy rozeszli się ze żołmierzem; óni pośli w jedną stronę, a ón w drugą.

Ten skąpy żołnierz przewidział, i tak patrzał jak przódy. Zaś oboje znowu poszli do oberży, bo ten szczodry wzion ze sobą tego skąpego żołmirza. Káże jako oberzyścinej dać sobie butelke winna. Oberzyścina mówi: żeli mi zapłacisz naprzód, to ci żołnierzu butelkę winna dóm,— bo óna myślała ze żołmiérz pinędzy nima. A ón jak sakwę wyciągnoł, jak sakwę rznął o stół, a sakwa byłaby zabiła oberzyścinę, tak była pełna pieniędzy. Oberzyścina mu kázała czém prędzy dać winna, a ón zażądał tyla jadła i tyla picia, co tam ludzi było w ty oberzy. A ón kosztu zrobiuł aż za 50 talarów u oberzyściny, tak, że ją zaraz zapłaciuł. Ten jego kolega skąpy dziwował się zkąd ón tyle pinędzy má. Idą sobie tak áuż do domu. Przyśli do swojéj wsi. Ten skąpy poszed do swojich rodziców i zaráz się ożenił i miészkał sobie na swojém gospodarstwie.

Ten szczodry żołmirz poszed téż do swojich rodziców. Bawił się u nich párę dni; a jego rodzice byli na wydbanku u jejich syna a jego brata. Brat tego załmirza był záwisny że ten tam bawił się przy tych rodzicach, co on ich wszyskich utrzymował ze swego gospodarstwa. Ten szczodry poszed z temi sakwami do gościńca; siedział cięgiem w gościńcu, jad i pił i wielgie wydawał bále (uczty) i bidnym ludziom dawał jałmużne i wielu retował. Bez trzy lata tam był w tym gościńcu. Gościnna mówi do gościnnego: trzeba temu żałmirzewi jako te sakwy porwać; to sie z témi sakwami dorobiemy. Rano żałmirz (w)stoł ze swego łóżka. Patrzy sakwów; sakwów nima. Wyszed sobie na dwór i medytuje sobie. Przyszed do izby i patrzy jeszczyk ráz

tych sakwów; prawda, sakwów nima. Wyszed sobie na dwór i medytuje sobie. Przyszed do izby i patrzy jeszczyk ráz tych sakwów; ale jak nima tak nima. Zasmucił sie i medytuje sobie: przecieżém bidnych retował, każdemu najeść, napić żém się dáł, i krzywdyżém nierobił, ino żem jeszcze dubelt zapłacił kiedy było potrzeba. Pytá się gościnnéj: żeli nie widziała jego sakwów? Gościnna wyrzeka na niego (bo już miała te sakwy): idź mi sobie, psiehultaju, piniądze żeś porozdawáł, poprzepijáł i terá byś sie na mnie o piniądze opominał.

Ten żałmiérz poszed do swojich rodziców, i znowu bawił się tam sześć tygodni. Tak, że ten brat począn znou gádáć na niego: po cożeś tu przyszed, psi ultaju! biegáj tam gdzieś piniądze ostawił i komuś piniądze porozdawáł; przynájmij, żebyś mi też aby za to młócił. Więc ón bratu młóciuł. Ręce mioł delikatne, zaś od tych cepów dostał bąbli. Zboża już niebyło w stodole, więc mówi mu brat żeby sieczki urznął. A ón ci-k poszed do stodoły i zaczón te sieczke rznuć. Naprzykrzyło mu sie ty sieczki rznuć; otworzył w tyle furtkę i zgwiznął i zawołał czárta. Crárt mu sie nadwinoł barzo prędko i zapytał: co ón żąda? A ten żałmierz mówi: żeli mi przyniesiesz i nasyjpiesz pełną stodołe piniędzy, to ci-k się zapiszę i mój ceregrot ci-k dám. Czárt uradowany że móg żoumirza uwábić, kazał żeby sie żaumirz żgnął w serdeczny palec i swoją krwią zapis podpisał. Zołmirz się pyta czarta: na długo by mu chciáł folgować, i czekać? — Czart mówi: jak ty chcesz. Załmirz mu wyrzek, że na jedenaście lat; bez (po) jedenaście lat mo po niego przyjść. Czárt nasypáł pieniędzy do stodoły oż wrotami wychodziły. Załmirz dał mu ceregrof, a ón z nim poleciáł do piekła. Załmirz najon chłopów, kázał piniądze w doły pochować. Półén alkirz piniędzy nasypał u rodziców, co by mu starczyły na te jedenaście lat. Mój żałmirz poszed do gościńca na powtór y tamże za czartoskie piniądze bidnych ludzi retował i bále im tak napowtór wyprawioł jak wprzody. Ludzie dziń i noc bálowali w gościńcu; bo żóumirz na to fundował, i wiedział że mu piniądze na jedenaście lát starczą.

Przeszło jedenaście lát; czart przyszed po niego do gościńca. Począn na niego kiwać ręką żeby wyszed z gościeńca. Zóumiérz wyszed. Czart mówi: no jakże będzie? bo już ostatnia godzina nadchodzi. A zołmirz mówi: pódź ze mną braciszku de moich rodziców, co sie z niémi pożegnám. Czart poszed z nim, bo gó opú-

ścić już nie chciał. Weśli oboje na podwórzę ojca. Jak czarta na ten kamiń posadziuł, tak mu kázał na tém kaminiu odpocząć, bo się czart bardzo zmęczył, co po niego daleką odbył drogę z piekła: Czart jak siedzi tak siedzi na kamniu; zadka uniéść wcale nimoże. Ten wychodzi żoumiérz z izby od rodziców swojich. Czart mówi do żołmirza: no pośpiészaj sie, bo godzina twoja już przeszła. A żołmirz na to się rozśmiał, że czarta gupiégo ułowił i na kamiń go posadziuł co mu święty Piotr dał. [1]) Potem poszed żołmirz do gościńca, do swoich gości, gdzie sie bawiuł. Potem tych gości przyprowadził z muzyką, z tryjumfem do tego czarta na podworze, żeby sie na czarta siedzącego patrzyli. Rozkazál tańczyć koło czarta, koło kamnia a muzyka grała. Potem wzion rozworę od woza i tego czarta bił.

Drugie jedenaście lat ten czart na kaminiu przesiedział bo musiał a żołmirz go codzień rozworą walił. — Zołmirzowi się już naprzykrzyło na tym swiecie bálować, już mu się dłużyło. Tak, że wszystko po-ł-ostawiał w gościńcu i poszed zaś do domu. Ale nie chciál już tam siedzić, bo rodzice pomarli; i prosił brata i bratowé; żeby mu wydali jego mondur, giwerę, pałasz i cały żołnirski ubiór, że pójdzie na drugi świat, gdzie ma przyobiecane od świętego Piotra. Czém ón wyszed jeszczek z domu, a już od czarta ceregrof odebrál. Bo czartowi sie dłużyło siedzić na kaminiu, wyséch(ł) ze skóry, i oddał żołmirzewi ceregraf, żeby ino uwolnił go z kaminia, Poleciál czart do piekła; a ci drudzy, pytają się gó: gdzie ón tak długo bawiuł? Jak ón im powiedział co go spotkało, tak mu starszy kázał siedzieć za karę na bromie przed piekłem.

Kiedy się żałmierz wybierał na drugi świat, brat jego i bratowa mówią: przecieć z duszą i z ciałem, z mundurem i giwerem nikt do nieba nie idzie. A ón odpowiedział: Mnie wszysko jes jedno. I poszed. Jak poszed przed niebo, tak puka ten zoumiérz w brómę. — Zapytuje sie święty Pietr: któż tam? — Ja jes, żołmiérz, chtóry żem cię przewoził bez te wody; ja ide teráz do nieba, jakóżeś mi przyobiécał. A święty Piotr powiadá: nie, ty musisz iść tą széroką drógą do nieba gdzie ta muzyka graje, a nie tą wunską (wązką). Wrócił się żołmirz, i idzie teráz do piekła. A jak go ten diabeł zobaczył, co siedział na brámie (co-go ten

[1]) Obacz *Lud* Ser. III str. 181.

żomiérz trzymał jedenaście lat na kaminu), tak się ruszył na ty brómie auż się piekło zatrzęsło i ucik. Zomirz wszed do piekła i przyszed przed Jancykrysta. Leżał Jancykryst jak baran zwiazany. Zołmiérz sobie zápalił fajtkę. Czart go się pyta, co ón to má w ty gębie? — A ón do czarta powiedział: to lulkę. Jancykryst powiada: co byś mi móg dać tu te lulkę, co by mi sie tak nie dłużyło, ja bym też chciał palić. Zołmirz mówi: czekaj óż ino tytoniu w nią natkom, bo by-k ci sie nie kurzyła. A ón wzion i nasypał prochu w giwerę i także założył kuperek (kapiszon). Wetkoł mu w papę te giwery i mówi: teráz ciąg mocno, co ci sie zapali ten tytóń. Mój czart jak pociągnie, a ten jak zomek u giwery spuści, tak kula z giwery wyleciała i łeb Jancykrystowi rozwaliła. Drudzy czarci ousłyszeli, i z piekła pouciekali. On też powiadá, jak pouciekali: co ja tu mom robić? także i ja tu z piekła pójdę prek. Idzie sobie napowtór z piekła do domu. A tu anioł zastąpiuł mu drogę, żołmirzewi, i powiada: biegáj do domu swego; przód sie wyspowiádaj, przed kap(ł)anem swojim i potem przydź do domu i połóż sie w łóżko; pieniądze chtóre masz zachowane także zlicz na familiją swoją, potem sie pożegnaj z ludźmi z chtóremi'żeś sie w kompanii bawiuł, połóż się na łóżko i umrzesz; niech cie pochowają. I potem w niebie będziesz. [1])

---

[1]) Fr. Schönwerth: Aus der Oberpfalz, Sitten und Sagen (Augsburg 1859. III Th. s. 77; Der Schmidt und der Teufel; str. 10; Der Schneider und der Tod.— Powiastka ta ma rysy znajdujące się w Ser. III *Ludu* nr. 32, jak i w Ser. VIII nr. 49 (str. 122) oraz zakończenie baśni o Twardowskim w Ser. V str. 338.

# Gadki o czarcie i djabłach.

## 45.

## Madajowe łoże.

(Baśń spisana przez F. Wawroskiego w W. Ks. pozn. a udzielona I. E. Smoler'owi. Wydrukowana w zbiorze pieśni ludowych łużycko-serskich: Próżnicki serskégo ludu we górejcnych a dołojcnych Łuzycach (po łużycku i po niemiecku) wydanych przez L. Haupta i I. E. Smolera w mieście Grimma 1843. Tom II str. 315) [1]).

Dawnémi laty jechał kupiec przez wielki bór. Deszcz ciągle padał z gradem, okropny wicher szumiąc po boru, nie małego go strachu nabawił. Droga była zła, tak iż wciąż wóz pod osie prawie w błocie chodził. Ciężko było kupcowi na sercu; chciał bowiem jak najprędzéj zobaczyć żonę i dzieci lube, których już od lat kilku nie widział, lecz darmo pospieszyć. Naraz uwiązł w błocie wśród boru.

Widząc się bez wszelkiej pomocy, zaczął narzekać i opłakiwać swoje nieszczęście. Już myślał konie wyprządz i towarami, ileby się dało, je obładować, a resztę zostawiwszy w błocie, do domu się udać. Lecz nagle powstał jeszcze większy szum po boru. a stada kruków i kawek, krzycząc wzbijały się w powietrze, — i widzi człowieka idącego ku bobie — nie był to człowiek, jeno djabeł — a poznał go kupiec po fraczku niemieckim, kapelusiku

---

[1]) I. E. Smoler (Schmaler) zwraca uwagę na podobieństwo tej baśni z łużycką o Lipskulijanie (str. 177 jego dzieła), sądzi że nazwa Madaj może być zepsuta z Amadeus, i wspomina o znaczeniu Madeja u Polaków gdzie nazwę tę podłożono pod nazwę głośnego zbójcy w dawnych czasach, a którą także spotyka się w przysłowiach i pieśniach (np. Zeg .Pauli, *Pies. ludu pols.* w Gal. 1839 str. 32).

spiczatym i po pazurach, które z bótów mu wyglądały. Zbliżywszy się ów djabeł do kupca, ofiaruje mu swoją pomoc pod tym warunkiem: „jeżeli mu da to, o czém nie wie w domu.“— Kupiec namyśliwszy się dobrze, przyrzekł mu; wtém djabeł wyjmuje byczą skórę ze zanadrza, pisze ugodę, którą kupiec krwią ze serdecznego palca podpisał. Schował djabeł cyrograf, a podważywszy wóz silnemi barkami, od razu z topieli go wyciągnął. Uradowany kupiec jedzie do domu, lecz jakże się zdumiał, gdy przyjechawszy do rodzinnego miasta dowiedział się, że żona spowiła mu syna. Odtąd zadumany i zasępiony chodził, — nic go rozweselić nie mogło. Dziwiła się żona i przyjaciele téj jego posępności, lecz on nikomu nie wyjawił tajemnicy.

Tymczasem synek dorastał, chodził do szkół i miał zostać księdzem. Widząc ojca tak zawsze smutnego, spytał go się razu jednego o przyczynę. „Mój synu, jużeś ty nie mój, w podróży mojej zapisałem cię djabłu.“ — „Oj nie bój się ojcze, ja zapis odbiorę djabłu, pójdę do piekła samego“.

Co rzekł, to uczynił. Odebrawszy pierwsze święcenia, udał się w drogę. Idzie i idzie, — lecz do piekła daleko; nie jedna to mila ani dwie. Nie mało on tam trudów podejmował, nie raz po borach błąkał się i puszczach. W téj podróży, gdy razu jednego noc go zaszła, nie wiedział gdzie się podziać. Widzi nareszcie światełko słabo błyszczące w dali, spieszy się, i z wielką radością spostrzega chatę. Wchodzi, — nikogo nie zastaje, tylko staruszkę, która krzątała się około wieczerzy. Prosi jéj o nocleg.— opowiada jéj całe swe nieszczęście, i dodaje, że idzie do piekła, djabłom wydrzéć swój cyrograf. Z początku staruszka nie chciała go przyjąć, perswadując mu, że syn jéj jest rozbójnikiem; gdyby go chciała przenocować a onby przyszedł z towarzyszami, zabiłby go bez miłosierdzia. Lecz gdy się prosił bezustannie, ulitowała się jego doli, i dawszy mu cokolwiek strawy, schowała go za piec i przykryła drzewem i gałęziami.

W tém przychodzi syn, a pęchcąc po izbie, zawołał okropnym głosem: „Stárko, stárko, świeże mięso tu słychać, — daj jeno je sam!“ Napróżno starka się wypierała, — syn bowiem sam zaczął po wszystkich kątach szukać. Widząc stara, że to nie przelékwki, opowiedziała mu całą przygodę młodego kleryka, prosząc go, żeby mu nic złego nie wyrządzał. Wyciągnął go Mádaj,— gdyż się tak zwał ów rozbójnik, — sam ze zapiecka, i kazawszy drżącemu ze

strachu klerykowi opowiadać sobie całą historyę, pilnie się jéj przysłuchiwał, a gdy skończył rzekł: „Daruję ci życie, lecz przyrzecz mi, że dowiesz się w piekle, co mnie tam czeka, i za powrotem znów do mnie wstąpisz i opowiesz mi, coś tam widział.„— Na drugi dzień ze świtem udał się kleryk w drogę.

Już siedm (trzy) dni podróżował od spotkania się z rozbójnikiem, a jeszcze drogi do piekła widać nie było. Znów wchodzi do boru z bijącem sercem, aby podobna mu się nie nadarzyła przygoda jak z Madajem. Nad wieczorem przychodzi do klasztoru będącego wśród boru. Ucieszony przestępuje progi klasztoru, gdzie go z wielką gościnnością przyjęto. Udaje się natychmiast do przełożonego, aby dowiedzieć się o drodze do piekła. „Mój synu, daleká to jeszcze droga“ rzekł czcigodny starzec, „lecz ufaj Bogu, a ten ci dopomoże. Trzy bory jeszcze takie przejdziesz i trzy pola wielkie, a dopiero przyjdziesz na koniec świata — na puszczą wielką, ale tam nie zabłądzisz, bo tam droga wielka, széroka; na końcu téj drogi przyjdziesz do wielkiej bramy żelaznej, którą otworzysz za pomocą szkaplerza a święconéj wody.“ — Na drugi dzień, po wysłuchaniu mszy świętej, pokropił go przełożony klasztoru święconą wodą i dał mu potrzebną broń do wojowania z djabłami, jakoto: szkaplerze, święconą trzykrólową krédę, kadzidło, święconej wody kociołek, kropidło, błogosławieństwo na drogę i przestrogę, aby się po drodze nigdzie nie oglądał, jeno mówiąc wciąż pacierze, szedł prosto naprzód.

Tak zaopatrzony udał się w dalszą podróż, pewien swego. Tu dopiero zaczęły się pokusy: latali djabli za nim wołając okropnie: „Umykaj, bo cię zajadę!“ — lecz on, jakby nic na to nie zważał, szedł prosto drogą, nie obracał się a wciąż modlił się. Przychodzi nareście do owéj bramy wielkiej, kropi wodą święconą i dotyka się jéj szkaplerzem. Naraz z wielkim hukiem otwiera się brama, wchodzi do okropnych lochów, a bráma znów zapada z takim łoskotem, że całe piekło się trzęsło. Idzie gankiem i wchodzi do wielkiéj sali, a ino dwóch djabłów w niéj siedziało. Pytają go się: „Czego chcesz?“ — odpowiada: „Cyrografu!“ — Bierze święconéj wody i zaczyna kropić djabłów, pokreśliwszy wprzód na czole i po całem sobie krzyże trzykrólową krédą, aby go się nigdzie djabli dotykać nie mogli. Krzyk uczynili djabli i mówią, że go (cyrografa) nie mają. „To prowadźcie mnie dalej!“ — zawołał kleryk. Prowadzą go tedy do następnéj sali, gdzie już kilku dja-

błów duszyczki biédne kuło na kowadłach. Podobnie jak z pierwszymi zaczyna wojnę, a gdy i ci mu powiadają, że go nie mają, każe się prowadzić daléj. Przechodził więc tak przez kilka sal, gdzie djabli różnémi sposobami męczyli dusze, aż nareście przyszedł do ostatniéj. Tam to było siedlisko samego Lucypera. Kulawy, na łańcuchu do słupa przykuty, a w koło niego kotły wielkie gotowały się ze smołą, z któréj duszyczki to ręce, to głowy wyciągały, płacząc wyrzekając i przeklinając ciągle swoje życie ziemskie. Jednym djabli lali smołę palącą się w gardło, inne kuli, inne piekli, smażyli i t. p. Kleryk zbliży się do Lucypera, żąda oddania cyrografu, kropiąc go wodą święconą, bijąc szkaplerzem i kadząc mu pod nos. Lucyper wyje okropnie, całe piekło się trzęsie; nareście wydaje rozkaz oddania cyrografu. Djabli wzbraniają się a kleryk kropi, bije a kadzi. Gdy już tyle mąk wycierpieli djabli, daje Lucyper rozkaz strąbienia wszystkich. Bierze djabeł trąbę i gdy zatrąbił na cztéry świata strony, w okamgnieniu niezliczona djabłów moc staje na rozkazy. Lucyper rozkazuje wydać cyrograf. Djabli oddać nie chcą,— a kleryk wciąż mu dokucza wodą i szkaplerzem. Gdy więc Lucyper już wytrzymać niemógł, krzyknął piekielnym głosem: „Bierzcie tego na Madajowe łoże!“ — Przestraszony djabeł prędko oddaje cyrograf klerykowi, aby się ochronić od męczarni. „Nie dość na tém, pokażcie mi téż to Madajówe łoże!“ rzecze kleryk. Prowadzą go djabli, i oto, napełnione brzytwami, nożami, wężami, pod spodem gotują się kotły smoły, a przytém kowadło, i inne narzędzia do męczenia biédnéj duszyczki Madaja.

Zobaczywszy wszystko, wyszedł z piekła, i z radością wielką udaje się do klasztoru owego, aby Bogu złożyć podziękowanie za szczęśliwą podróż. Tu ztąd prosto idzie do Madaja, od którego przyjęty gościnnie, wystawił mu całą okropność mąk nań zgotowanych. Przestraszony rozbójnik i zmiękczony, prosi go o sposób, jakimby uniknął owéj męczarni. „Pokutuj!“ odrzekł mu kleryk. Madaj więc zaczął płakać jak bóbr, żałując swych grzéchów, wyspowiadał się przed klerykiem, który jednakże rozgrzeszenia dać mu nie mógł. Tymczasem kazał mu przynieść pałkę, którą najwięcéj ludzi pomordował, a wziąwszy ją, wsadził w ziemię i podléwać zalecił, dopókiby nie rozpuściła listków.

Nie tylko wodą, ale klęcząc przy niéj, łzami szczeréj skruchy podléwał Madaj wsadzoną pałkę, która, niedługo puściwszy

liście, w jabłoń piękną wyrosła, bo była też z drzewa jabłkowego Zakwitła rozliczném kwieciem i owoc obfity na niéj się zawiązał.

Długie znów lata minęły i wielekroć jabłoń kwitła a owoc zradzała, nim ów dawny kleryk jako biskup przypadkowo przez owe bory przejeżdżał. Było to w pięknej jesieni. W podróży zalatywał go wciąż zapach jabłek. Zatrzymuje się i zaleca woźnicy szukać owych jabłek. Chodzi woźnica po boru i znajduje jabłoń rozłożystą pełno jabłkami okrytą; chce zrywać, ale głos z pod jabłoni: „Niech rwie, kto sadził!“ — odstraszył go, i zadyszany biegnie do pana, opowiadając mu co widział. Zdziwił się biskup z początku, lecz wnet przypomniał sobie Madaja, który zapewne na rozgrzeszenie czeka. Schodzi i idzie wprost ku jabłoni, — zbliża się — i o dziwy! — Madaj siwiuchny jak gołąbek z długą brodą jak len białą, klęczy pod jabłonią. Biskup odmówiwszy pacierze nad nim, dał mu rozgrzészenie i zerwał jabłko jedno z drzewa. W téj chwili wszystkie znikły, — bo to były dusze pobitych przez Madeja ludzi, — a Madaj rozsypał się w proch. Biały gołąbek unosił się nad biskupem. jakoby zwiastując zbawienie Madaja. [1])

## 46.

## Madejowe łoże.

(*Przyjaciel Ludu*, Leszno 1835, rok 2gi — nr. 3. 4. 5. 6).

Był to dzień pochmurny jesiennej pory, gdy pewien kupiec, powracając z dalekiej podróży, wjeżdżał nad wieczorem do gęstego

---

[1]) J. Grimm (D. Myth. str. 977) Diabeł. W Hessyi dolnej takie krąży podanie: chłop na Ellenbach (pod górą Sandershäuser blisko Kassel) niemogąc mnóstwa zebranego plonu ulokować w małéj stodółce, szedł zamyślony i spotkał szarego człowieka, który obiecał zbudować mu obszerną stodołę przez noc na podworzu, jeśli mu da to co jako ukryte posiada dobro. Chłop, myśląc że o skarby podziemne chodzi, których on jeszcze nie wyśledził, chętnie na to przystał, ale odchodząc spostrzegł u szarego człowieka końską nogę. Przyszedłszy do domu, gdy to opowiedział żonie, ta załamała ręce i mówi: jestem brzemienną, a tyś mu to dał co pod sercem noszę. W nocy usłyszano jak się Diabeł krzątał i budował stodołę; słyszano okrzyki furmanów, cieślów, mularzy i t. d. i przed świtem cały niemal

lasu wypakowaną ładownie bryką, z zakupionemi w odległém mieście towarami. Jego woźnica radził, choć było nieco zawcześnie, w poprzedzającej wiosce na nocleg pozostać; wiedział bowiem, że bór na trzy mile był rozległy, a przytém spadłe deszcze drogę i tak nienajlepszą, trudną do przeprawy czyniły, i nie prędsze jak o północy, do najbliższego noclegu rokowały przybycie. Lecz niecierpliwy kupiec, pragnąc po dwumiesięcznem oddaleniu, jak najprędzéj oglądać dom własny, a nadewszystko swoją ukochaną żonę nie chciał napróżno marnować tak drogiego czasu; postanowił, więc choć późno w noc przybyć do zaleśnego noclegu, aby już jednym dniem stanąć w rodzinném mieście. Na nieszczęście droga była coraz gorsza, a gruba nocy ciemność tak dalece utrudzała postępowanie przeładowanej bryki, iż niedługo pan szczerze żałować począł, że mądrej rady swego sługi nie usłuchał. Z tém wszystkiem nie pozostawało nic więcej, jak zdawszy się na Opatrzność boską, dalej postępować.

Już się byli z wielkim mozołem do połowy lasu dobili, gdy naraz bryka w błocie tak uwięzła, że żadnym sposobem z miejsca ruszyć nie mogli. Napróżno gorliwy woźnica wśród wytężonych zachęceń wiu! wiu! — siekał biczem zmęczone konie; biedne te zwierzęta zataczając się coraz bardziéj w bezdennym roztopie, same nareszcie tak w błocie zagręzły, że bez obcéj pomocy już nie podobna było z miejsca wyruszyć. Cóż tu było robić? wieś była zbyt odległa, aby z niéj ratunku zasięgnąć. Nasz biedny kupiec znajdował się istotnie w opłakanym stanie. Zmęczony, zadyszany od natężonej pracy około wydobycia bryki, a przytém przemokły, deszcz bowiem czasami kropił, rzucił się nareszcie z rozpaczy na ziemię, przeklinając drogę i swój nieszczęsny upór, że się o tej dobie w ten las zapuścił.

Naraz przy bladym świetle księżyca, który z za chmury był wyjrzał, zobaczył koło siebie stojącą postać. Na pierwszy rzut oka, wziął ją z kusego, zielonego ubioru, za strzelca tej kniei; lecz twarz płomienista, oczy jaskrawe, cienkie i w kurzą stopę zakoń-

---

budynek był gotowy. Ale chytra kobieta, przebrana w swego męża suknie, poleciała do kurnika, biła w dłonie i naśladowała pianie koguta, po czém wszystkie zapiały koguty, a diabeł zły, poleciał niedokończywszy gzymsu, którego potem nikt już dokończyć nie zdołał.

czone nóżki, na których zdawała się płynąć, zdradzały posłańca piekła. Aby się więc tém lepiéj przekonać o charakterze przybysza, przeżegnał się nieznacznie. Syknął, choć zdala od niego stał, jak gdyby z bólu, i skrzywił się konwulsyjnie myśliwiec piekielny, wołając na kupca: „Precz z tą głupią mataniną! przyszedłem cię ratować: jeżeli nie chcesz użyć mej pomocy, i wolisz przepaść w tej otchłani, mniejsza o to, ty nie jesteś pierwszy, co tu w tém topielisku kark skręcił.“ — Gdy kupiec nic mu na to nie odpowiedział, diabeł biorąc jego milczenie za zezwolenie, dodał: „No! widzę bracie, że masz rozum, i nie zechcesz czekać, aż koniom łbów widać niebędzie, i wolisz mniéj stracić niż wszystko. Lecz wiesz dobrze, że niemasz nic darmo na świecie: ja nie jestem zbyt interesowany; jeżeli mi dasz to, co masz w domu, a o czém nie wiesz, wydobędę cię z tego błota“. — Kupiec zaufany, że zna na palcach dokładnie cały inwentarz swego majątku, pomyślił sobie: to musi być jeszcze nowicyusz, mało widzę ma znajomości świata; nie wie, że teraz ludzie, a zwłaszcza kupcy, lepszemi są kalkulatorami: korzystajmy z jego głupoty. Gdy djabeł widział gotowość jego, dodał złośliwym tonem, w którym się oraz tłumiona radość malowała: „Ostrożność wszędzie potrzebna; musisz mi wystawić mały rewersik; wiesz dobrze, że teraz na gołe słowo spuścić się nie można; a nie chciałbym w sądzie przegrać sprawy, gdyby przyszło do processu“. — I w mgnieniu oka, wydobył z zanadrza kawał byczej skóry, a ostrym scyzorykiem utoczywszy kupcowi krwi z serdecznego palca, wystawił kwestyonowany rewers in optima forma. Poczém podskoczywszy z radości, wydobył niepojętym sposobem brykę, i wyprowadził ją na suche miejsce. Nagle okropny wicher zaszumiał po gałęziach gęstego lasu: znikła czartowska poczwara, blady tylko promyk, jak gdyby błędnego światełka, mignął w gęstwinie, a w odległości dał się słyszyć przeraźliwy świst i piekielny odgłos: ha ha ha! — Wystraszone złowieszcze sowy, puszczyki i kruki huczały i krakały nad głową przerażonego kupca, którym straszliwe wycie wilków okropnie odpowiadało. Włosy stanęły na głowie naszemu podróżnemu, a biedne zsieczone nawet konie, dobywając ostatniej siły, z najeżoną grzywą, parskając i chrapając, w największym pędzie z tego okropnego miejsca oddalić się usiłowały. Jakoż po niejakim czasie wyjechał przecie na otwarte pole, gdzie dopiero z przestrachu opłonął, i biednym zwierzętom wytchnąć pozwolił.

Pogodny i uśmiechający się poranek, zatarł w nim niedługo pamięć tej nocnej zgrozy; a zdala wynurzone z horyzontu znajome wieże ojczystego miasta, do bliskiego domu całą jego zwróciły uwagę. Gdy ładowna bryka już przed domem stanęła, uradowana żona z utęsknieniem wyglądając przybycia męża, porywa syna swego na ręce, upragniony zakład miłości, którym ją łaskawe nieba w czasie tak długiego oddalenia męża, udarować raczyły, i bieży skwapliwie z uczuciem najwyższej radości na jego spotkanie. Rozczulony ojciec przyciska do swych piersi matkę i syna, którego tak dawno pragnął, roniąc łzy radości; lecz nagle jak gdyby iskrą elektryczną uderzony, przypomina sobie swoje nieszczęsne z djabłem kunszachty: „Ach biada mnie nieszczęśliwemu biada! cóżem najgorszego uczynił! biedna ty niewinna istoto!“— Potem zakrywszy sobie twarz obiema rękoma, rzucił się na ławę, i w największej rozpaczy jęczał i płakał. Zdziwiona kupcowa tym niepojętym męża postępkiem, tysiączne czyniła pytania aby wybadać przyczynę smutku mężowskiego i zmartwienia; lecz czyli to, że boleść jego przechodziła wszelkie wyrazy, czyli też, że chciał czułej małżonce oszczędzić tak wielkiego strapienia, nic z niego wydobyć nie mogła.

Nieszczęsny kupiec wylawszy łez strumienie, ulżył sobie wprawdzie nieco; jednakże bez przestanku wewnętrzną zgryzotą dręczony, w ciągłym pogrążał się smutku; nigdy od tej okropnej przygody, nie osiadł wesoły uśmiech na jego ustach: i tylko w handlowym i domowym zachodzie, niejakie znajdował wewnętrznego zmartwienia zapomnienie i ulgę. Anielski nawet uśmiech lubej dzieciny, zdawał się w nim podwajać srogie męczarnie.

Tymczasem małe dziecię wzrastało i rozwijało coraz bardziej tak fizyczne jak i moralne zdolności. Troskliwa matka, cała wychowaniu jedynego dziecka poświęcona, wpajała weń wcześnie zarody cnoty i bogobojności; a nawet i ojciec, gdy się smutek jego nieco ukoił, najbardziej lubił z dzieckiem rozmawiać o boskich wyrokach religii, zwracając wcześnie jego uwagę na duszne zbawienie. Nic dziwnego zatem, iż synaczek, gdy już w naukach znacznie postąpił, stosownie do życzenia rodziców, duchownemu się poświęcił stanowi. Odwieziony do Seminaryum, nie tylko pilnością i gruntowną nauką, ale też i pięknem postępowaniem stał się wkrótce wzorem dla swych towarzyszów. Posiadając miłość swych współuczniów, przychylność przełożonych, był zupełnie szczęśliwy:

ta go tylko okoliczność martwiła, że ile razy wytchnąć na wakacye do domu przyjechał, zamiast wyczytać radość z twarzy swego ukochanego ojca, zdawało mu się, iż powodzenie jego, nowego nabawiało go smutku. Nareszcie gdy już został Dyakonem i był bliskim kapłańskich święceń, przyjechawszy po raz ostatni do domu na wakacye, upatrzył sposobną porę, i tak czule wyraził ojcu potrzebę odkrycia mu powodu jego ciągłego kłopotu, iż ten nie mógł się dłużej opierać, zwłaszcza, że już i sam był u siebie postanowił wyjawić synowi fatalne o duszę jego z djabłem frymarki.

Odważny kleryk, wysłuchawszy spokojnie rzeczy całej, bynajmniej się nie uląkł grożącego mu niebezpieczeństwa; owszem, natychmiast przedsięwziął odwiedzić czartowską rezydencyę i wyrwać piekłu zapis swej duszy. Chciał mu wprawdzie ojciec odradzać tak śmiałe przedsięwzięcie; atoli widząc jego niezłomną wolę i sądząc, że duchownym zabezpieczony charakterem, prędzej sobie da radę z djabłem, zezwolił nareszcie. Kleryk opatrzony najskuteczniejszemi świętościami, które go od napaści szatańskiej chronić miały, za broń zaczepną wziął z sobą kropidło i święconej wody kociołek.

Trzeciego dnia swéj samotnéj wędrówki, wszedł w gęsty las, przyspieszając kroku, aby mógł jak najprędzéj przebyć tę ponurą gęstwinę; lecz na próżno: im dalej postępuje, tém dziksza i posępniejsza otacza go knieja. Już słońce schyliło się ku zachodowi, już i gruby zmrok zapadł, a do tego rzęsisty deszcz kropić począł; położenie naszego wędrowca było w istocie opłakane, gdy naraz ujrzał zdala pomiędzy gęstą zaroślą słabe światełko. Ucieszony, spiesznie kroki swoje w tę stronę skierował, i spostrzegł wkrótce przed sobą w gęstwinie nędznie skleconą lepiankę. Chociaż odludność tego ukrytego i do łotrowskiej jaskini podobnego miejsca, nieradziła w niém szukać gościny, to jednakże potrzeba, głód i utrudzenie przemogły. Kilkakrotne sztukanie do drzwi, sprowadziło nareszcie do niego zgrzybiałą babę, która naszego wędrowca do izby, od ognia na kominie gorejącego oświeconej, wpuściła. Tu gdy mu się lepiéj przypatrzyła, ulitowała się jego młodości, a może i kapłańską odzieżą poruszona, rzekła; „Kochane dziecko, uciekaj czém prędzej, bo cię tu niechybnie śmierć czeka. Mój syn jest rozbójnikiem, wyglądam go co chwila, a jeżeli cię tu zastanie, życiem twojém swéj śmiałości przypłacisz; uciekaj dla-boga! on

jeszcze nikogo żywcem z rąk swoich nie puścił.“ — Ale kleryk tak był zmęczony, tak łaknący posiłku, tak przemokły do nitki, iż wolał pozostać w ciepłej chacie, niż na nowe w lesie narażać się niebezpieczeństwa; błagał przeto miłosierdzia staruszki, aby go posiliła i ukryła w miejscu bezpiecznem. Ledwo lichą strawą pokrzepił się cokolwiek, gdy nagle usłyszeli gwałtowny kołat u drzwi. Przelękniona kobieta z trudnością zdążyła ukryć go za piecem, i przyrzuciwszy go łuczywem, pobiegła drzwi otworzyć.

Zniecierpliwiony zbójca wkroczył do izby popędliwym krokiem, pomrukując groźnie pod nosem, że mu tak długo za drzwiami stać kazała, a potem strzeliwszy po izbie swym jastrzębim wzrokiem i wąchając jak wyżeł, gdy zwierza trop poczuje: „Ha matko! (rzekł), czuję świeże człowiecze cielsko; gdzie jest? albo: czy chcesz, abym i tobie moją maczugą łeb zgruchotał? — Nim struchlała niewiasta zdołała ruszyć się z miejsca, odważny kleryk, nie czekając ostateczności, przekonany iż lepiéj jest wcześnie zajrzéć w oczy choć najokropniejszemu niebezpieczeństwu, a przytém karmiąc się nadzieją, że jeżeli nie jego młodość, to przynajmniéj kapłańskie znamię zdoła zmiękczyć okrutne serce zabójcy, wyskoczył z za pieca i w pokornéj postawie błagał jego litości. „Co, litości? zagrzmiał straszliwym głosem rozjuszony rabuś; „litości! ja nie znam tego słowa; jak się twój mózg pod razem moiéj pałki rozpryśnie, to będzie moja litość. Ale czekaj, mogę ci wyświadczyć przysługę: klękaj i gotuj się na śmierć; lecz krótko, bo ja nie lubię długich ceremonii.“ — Nieszczęsny młodzieniec widząc się tak nagle przed bramą wieczności, przed wydobyciem z paszczy piekielnej zapisu swoiej duszy, tak przenikliwym, tak rozdzierającym głosem podwójne swoje, cielesne i duszne wystawił niebezpieczeństwo, iż rozbrojony zbójca spuścił podniesioną pałkę, i zamyślony, o bliższe przyczyny jego piekielnej wędrówki dopytywać się począł. Wymowny kleryk obszernie opowiedział rzecz całą, ponawiając swą prośbę, aby duszy jego nie wystawiał na szwank nieochybny, oddając ją w moc czartowską; że przecie żywy, będąc opatrzony dzielnemi środkami do odparcia napaści piekła, prędzej podoła szatańskiej sile. Uderzony rozbójnik tem podwójnem, zamierzoném ciała i duszy zabójstwem, stał długo zamyślony; nakoniec ozwał się ponurym głosem: „ty jesteś pierwszy, który z rąk moich cały uchodzisz; puszczam cię, ale jedynie pod tym warunkiem, że powrotem wstąpisz do mnie i opowiész mi, coś

w piekle widział i słyszał; mam w tém ważne przyczyny, które sam łatwo odgadnąć możesz.“ — Kleryk przyrzekł uroczyście, ucieszony że mu się przecie udało życie swoje ocalić, i zmiękczyć serce srogiego mordercy. Załatwiwszy ten interes z zobopólnem, jak się zdało, zadowolnieniem, pożywali zgotowaną wieczerzę, i udali się na spoczynek; a nazajutrz skoro świt, już kleryk nucąc pobożną ranną piosenkę, puścił się w dalszą podróż.

Idzie przez pola, góry, lasy, pustynie, — aż zaraz, prędzéj aniżeli się spodziewał, ujrzał się przed bramami piekła. Opalone czeluście, z których niekiedy grube kłęby dymu wybuchały, zapowiadały główną kwaterę djabléj-mości. Szum płomienistych bałwanów, przeraźliwy świst wiatrów, okropne jak gdyby obracających się kół młyńskich łoskoty, trzask płomieni, syk węzów, przeraźliwy ryk katowanych, wszystko to czyniło straszliwe, prawdziwie piekielne chaos okropności i zgrozy. Ale mężny kleryk, ufny w moc świętych talizmanów, a nadewszystko w czystość swego sumienia, ochoczo się do zapasów z piekłem sposobił. Wydobył święconą kredę trzech króli, skaplerze i relikwije świętych, zanurzył po trzykroć kropidło w wodzie święconéj, potém zaintonowawszy pieśń: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“, odważnym krokiem pogrążył się w ten krater piekła. Co tam jego oko widziało, co ucho słyszało, tego żadna ludzka ręka skreślić nie zdoła: tu straszna poczwara wije się w kłęby, syczy żądłem i straszliwe kłęby nad nim roztacza; tam inna rozwiera czarną paszczę, klaszcze kłem ostrym i bucha płomieniem; tu kipi płomienista fala, tam otwiera czarna otchłań bezdenną przepaść; owdzie, gdyby w hucie, wyziewają ogromne piece ogniste żary, przy których zwinne biesy przypiekają w kleszczach biedne duszyczki, a potem kują ogromnym młotem na rozpaloném kowadle. Jęk, pisk, rozpacz i wściekłe zgrzytanie zębów, groźne djabłów fuki i szydercze ich śmiechy, huk i łoskot męczarni, stawiały tak okropny widok, iż potrzeba było mieć tyle odwagi, tak ważny interes, jak nasz kleryk, aby nie cofnąć w tył przelękłej stopy. Jakoż niewzruszony w swém przedsięwzięciu śmiało naprzód postępował, i raźno machając kropidłem i rum sobie czyniąc, walił prosto do Lucypera, jako do najwyższego władzcy tenaru. Gdy się do niego zbliżył, oświadczył mu wręcz, że przychodzi po swój cérograf, który tak nieuczciwym sposobem jeden z czartów na ojcu jego wyłudził: — a gdy Lucyper nie wiele pokazywał ochoty przychylenia się do jego słusznego żądania, aby dodać więcej wagi

swym słowom, tak ostrym z góry powitał go exorcyzmem, tak gorącą swojém kropidłem sprawił mu łaźnią, że biedne djablisko ryczące z bólu, rzucało się jak wściekłe na wszystkie strony i ledwo się nie urwało z łańcucha, którym do swego piekielnego tronu było przykute. W takim położeniu rzeczy, nie pozostawało Lucyperowi nic więcéj, jak przychylić się do prośby tak natarczywego supplikanta. Kazał więc zawołać posiadacza dusznego wekslu, i oddać go natychmiast interesentowi, bez odebrania waluty. Był nim ów osławiony duszołowca Asmodeusz, kulawy na jedną nogę, wywiędły, a nadewszystko nieużyty jak skuera, kiedy ma powrócić grosz już schowany do swej szkatuły. Zacięcie więc wzbraniał się wydać w sporze będący cerograf. To uchybienie przeciw subordynacyi, pociągnęło za sobą porządkową karę: Asmodeusz porwany został na męczarnie, aby na nim wydanie cerografu wymusić; lecz ten zawiędły złoczyńca z takiém zażarciem, z taką zaciętością znosił najsroższe męki, któremi go piekielni oprawcy stopniowo dręczyli, iż się zdawała znikać wszelka nadzieja pomyślnego skutku. Z tém wszystkiem kleryk, którego ten interes najmocniej obchodził, nietracił otuchy; lecz z podwojoną natarczywością uderza na Lucypera, i jużto kropidłem, jużto skaplerzami, już nareszcie, gdy wody przybrakło, samém poświęconem kociołkiem, tak mu dojmować zaczyna, że ten wśród najokropniejszych bolów zagrzmiał straszliwie: „b i e r z c i e g o n a M a d e j o w e ł o ż e.“ Na te słowa Asmodeusz rzuca z największą wściekłością klerykowi cerograf pod nogi. Była to bowiem najstraszniejsza piekielna męczarnia, usłana z samych najdoskonalszych angielskich brzytew, które ze wszech stron ciało na nie wrzucone, w najdrobniejsze siekąc kawałki, w jednej chwili na miazgę ścierały; męczarnia mówię, przy której, sławne łoże Prokrusta, czczą było igraszką.

Ułatwiwszy tedy kleryk swój interes w piekle, myślił o odwrocie; ten mu się równie pięknie udał, jak wodzowi, który wstępnym bojem dał się nieprzyjacielowi we znaki. Lubo odważnym umysłem téj wyprawy dokonał, jednakże gdy już opuścił terytorium piekielne i ujrzał promienie słońca, westchnął sobie głęboko: „Bogu chwała!“ a padłszy na kolana, dziękował gorąco niebu, za tak potężną opiekę; poczém zadowolniony sam z siebie, powracał tą samą drogą. Przechodząc przez ów las, przypomniał sobie dane słowo; zboczył więc do chaty rozbójnika, któremu wszystko co do joty opowiedział, dodając, że dopiero męczarnia na Madejowem

łożu zniewoliła czarta do wydania cerografu. Na te słowa zbladł zakamieniały morderca, a potem w największéj rozpaczy załamując ręce przeraźliwym głosem zawołał: „ja jestem Madej, dla mnie te męczarnie zgotowane: biada mi, ach biada! zbrodni moich miara jest tak wielka, że żadnéj już dla mnie nie masz nadziei.“— To rzekłszy, z rozpaczy w prochu po ziemi się tarzał, twarz sobie ostrym drapał pazurem i prawie od zmysłów odchodził. Wzruszony kleryk jego gwałtownym żalem, chciał go pocieszyć, mówiąc: iż miłosierdzie boskie jest nieograniczone, że niemasz tak wielkiego grzechu, któregoby Bóg nie odpuścił, jeżeli tylko grzesznik z prawdziwą skruchą do niego się nawraca. Te uwagi uspokoiły nieco złoczyńcę i miały zbawienny skutek; gdyż w téj chwili uroczystą wykonał przysięgę, że porzuca okrutne swe rzemiosło, i pozostałe jeszcze życia chwile, choćby w najtwardszej pokucie przepędzić pragnie. Co większa, padłszy klerykowi do nóg, prosił go i zaklinał ze łzami, żeby mu się przed Bogiem usprawiedliwić dopomógł. Napróżno składał się kleryk niemożnością wysłuchania go spowiedzi; żarliwy pokutnik tak przenikliwym sposobem błagał téj jedynéj łaski, z takiem rozczuleniem wylał przed nim swe skruszone serce, iż ten nie mógł mu iej odmówić, tém bardziej, gdy rozbójnik w nim jedynie jako będącym w szczególnej łasce u Boga, całą swą nadzieję pokładał. Wziął więc jego pałkę, zatknął ją w ziemi, i rozkazawszy uklęknąć przy niej Madejowi, wysłuchał go długiej, straszliwej spowiedzi; po czém rzekł do niego: „Grzeszna duszo, rozgrzeszenia dać ci nie mogę, choćby nawet mniejsze były winy twoje; bom jeszcze kapłańskich nie odebrał święceń; jednakże nie rozpaczaj, miej ufność w Bogu, żałuj z całego serca za grzechy, skrapiaj łzami tę ziemię, a niebo próśb twoich wysłucha, i ześle ci kapłana, który ci da absolucyą; a jeżeliby to nie nastąpiło, to ja do ciebie przybędę, skoro tylko uzyskam moc odpuszczania grzechów. To rzekłszy, polecił go gorącą modlitwą miłosierdziu Boskiemu, i niemogąc znieść dłużej tak rozczulającego widoku, w dalszą puścił się drogę.

Nie długo z wielką radością rodziców w rodzinne zawitał progi. Uciecha z jego przybycia była tém żywsza, że mu się udało uwolnić ojca od jego udręczenia. Obsypali go więc oboje swojemi pieszczotami i wylewali łzy radości, że im niebo dało takie dziecię.

Niedługo młody kleryk, będąc zawsze i wszędy wzorem dla wszystkich w nauce i cnocie, odebrał z rąk biskupa kapłańskie pomazanie. Został księdzem, a postępując dla swej głębokiej nauki i szlachetnego serca, na coraz wyższe stopnie, i z największą gorliwością pełniąc swoje obowiązki, tak sobie przez swoje poświęcenie dla dobra ludzkości, na powszechny zarobił szacunek, iż po śmierci biskupa na tę godność wyniesionym został. Trafiło się że gdy raz w interesie powierzonej sobie dijecezyi, dość daleką odbywał podróż i przez gęsty las przejeżdżał, zaleciał go zapach wonnych jabłek, które z niezbyt odległej jabłoni błyszcząc szkarłatem i złotem, uśmiechać się do niego zdawały. Kazał więc stanąć swemu człowiekowi i pójść urwać kilka tych pięknych jabłek; lecz gdy się ten do jabłoni zbliżył i rękę skwapliwie po owoc ściągnął, obiły się o jego uszy słowa: „Kto mnie sadził, ten tylko rwać może.“ Przelękły sługa przybiega do swego pana, z oznajmieniem tak dziwnego zjawiska. Te niepojęte wyrazy odnowiły w nim pamięć dawniejszej przygody: przypomniał sobie dane przyrzeczenie rozgrzeszenia, o którem dla ważnych obowiązków swoich był zapomniał. Przywdział więc kapłańskie szaty i pośpieszył do jabłoni.

Tu pod drzewem widzi klęczącego, ku ziemi pochylonego starca, którego broda siwa aż do kolan spływała. Poznał w nim swego pokutnika; wzniósłszy zatém umysł do Boga, czyni nad nim znak krzyża św., i wymawia absolucyą. Lecz o cudo! gdy go się palcem dotknął, ciało jego w proch się rozsypało, — a złote jabłuszka w błogosławione zmienione duszyczki, do nieba uleciały.

## 47.

## Zaprzedany djabłu. [1]).

Od Leszna.

Jeden kowalczyk miáł sie do jedny pokojówki. A ten jego ojciec bół bogatym gospodorzem. A óny pokojówki spały na drugim piętrze. Tak ón kowalczyk pawiadá: moja panno, já teráz przyjde do ciebie. A óna mówiła: możesz przyjść. — Ale, kędy-k

[1]) *Lud*, Ser, V str. 21. 335.

ja tam wlizę do wás? — A óna z drugiemi: spuszczemy oknem na dół sznur i ciebie wciógnemy. On przyszed w nocy; a óné spuściły ten sznur. Ón sie uchwycił sznuru i óne go ciógły do góry. Jak go wciogły na pół muru, tak i ostawiły go tak wisieć. Tak ón od strachu nie wiedział co má robić; skoczyć sie bál, bo by sie bél zabił. Tak ón okropnie lameńcił na tém sznurze, że ón teraz ani na dół ani do góry ni może przyść. Aż przyszed jeden taki waspán do niego i powiedá: żeli mi sie sprzedász, to cie spuszcze. A ón na to: wolę sie sprzedać niźli sie zabić. Tak ten go waspon spouścił z tego sznuru, a ten kowalczyk powiadá: ale prędzy mnie nie weźniecie aż (aż) będe w Rzémie.

A ónego ráz posłał ojciec z furmanką w dróge. Przyjachał do jednego gościńca w boru i zakciało mu sie okropnie pić. Mówi do swego furmana, chłopaka, co z nim jachał: pódźma do gościńca, wypijma sobie piwa. Stawają przed gościńcem. Ten kowalczyk zaro ślaz (zlazł), poszed do gościńca, a ten jeszcze chłopák siano koniom rozkładał, dawál im żryć przed tym gościńcem. Wchodzi ten chłopák téż do gościńca i powiadá: ach majster, co tu tych glapów (gap, wron) na tym gościńcu! — Tak pyta sie ten kowalczyk tego gościnnego: jak sie to nazywa ten gościniec? — Ten gościnny odpowiadá: Rzém. Tak ten kowalczyk powiadá: to źle, źle'śma trafieli. — A tu, jak glapów naleciało, że áż oknami do iztby chciáły wlázić.

Ta gościnná miáła dziecko w sześci niedzielach (przed sześciu tygodniami narodzone). Tak ón, ten kowalczyk, wzión prędko to dziecko na ręke, i trzymał óne áż kokoty zaczęny piáć. Te glapy zaś podlatowały, ale nie mogły przystópić. On myślał że już, jak kokoty zaczeny piać, wszéstko sie ukończyło; oddaje to dziecko gościnéj. Teráz siádejma a jadźma co tylko konie bédo mogły wyskoczyć, — mówi do chłopáka.

A to te glapy były djabły; a óné sie djabły zrobiły glapami, żeby porwać tego kowalczyka, ale go ni mogły porwać, bo to dziecko trzymál w sześci niedzielach. Jak te kokoty zapiały, bół już pewny, że już ich nimasz. A tam ten jeden sie zatrzymál w kuńcie (kącie) i kdy ten kowalczyk wyszed na dwór i chce siadać na wóz, a ten djabeł doskoczył do niego, jak go ciepnął o mur i powiadá: a fuj! panie kowolu, słowa swego nie dotrzymać. I porwał go do piekła. Bo, co zaprzedane, temu i kokoty nie pomogą.

## 48.

## Sierota.

(z *Pisma dla ludu polskiego*, Pozn., 1845, str. 41, skrócone).

(Sierota w służbie u diabła w piekle. Ścierka, pogrzebka i trąbka. Sierota bije wojska wroga i zostaje królem).

od Gniezna.

Pod jesień w dzień słotny, chodził po wsi biedny chłopak, sierota, szukając służby, ale nie mógł jej dostać, mając złe świadectwo od pana, który go wypędził. Rodzice tego chłopca, posiadali byli w jednej z pobliskich wsi zaciężne gospodarstwo, ale pan ich tak im dokuczał, tak ich obciążał pracą, że oboje odrabiając zaciąg na pańskiem, z przesilenia i choroby wkrótce po sobie umarli, pan zaś rolę ich zabrał dla siebie a chłopaka wypędził. Biednej kobiety, przed śmiercią, ani pan, ani ksiądz proboszcz, ani włodarz poratować nie chcieli, i tylko żyd dał parę wierteli zboża.

Syn jej, sierota skrzywdzony, nie mogąc znaleźć służby dla złego świadectwa, wyszedł ze wsi i szedł ku borowi, spuszczając się na los. Gdy już uszedł kawał drógi, wyrzekał na nieczułych ludzi i na swą niedolę, spoczął na pieńku i wykrzyknął: że już i samemu diabłu by świeczkę zapalił, a nawet i u samego diabła przyjąłby służbę, gdyby mu się nawinął. Zaledwie to wyrzekł, słyszy turkot, i niedługo spostrzega zdala jadący powóz w cztery tęgie, kare zaprzężony konie. Powóz szybko nadjechał i stanął wprost przed nim. Z powozu wychylił się młody, piękny pan i do zalęknionego zrazu chłopca, grzecznie się odezwał, „czegoż tu siedzisz taki smutny i zadumany?“ Chłopiec ochłonął i odpowiedział: „że służby szuka“. Pan mu na to: „może byś służył u mnie“? Ucieszony, odrzekł chłopak nieodmachem: „O! nietylko u pana, ale u samego diabła przyjąłbym służbę, byle się tylko nie poniewierać“, Rozśmiał się ów pan i mówi dalej: „Więc dobrze, przyjmuję cię; nic więcej nie będziesz u mnie robił, jak tylko będziesz ogień palił pod czterema kotłami i będziesz drzewo podkładać, skoroby chciał ogień ugasnąć; dam ci za to zasługi, jakie sam zażądasz.“ Chłopak przystał na to z chęcią, a pan rzekł: „Kiedy więc zgoda, to siadaj za powóz, bo mamy daleką drógę“.

Wsiadł chłopak, a w okamgnieniu nawrócił się powóz i pędził jak kula, nie jakby się toczył po ziemi, ale jakby leciał w powietrzu. Niemiał nawet czasu uważać chłopak, dokąd jedzie, bo się musiał całą siłą trzymać za kutasy aby nie spaść, zresztą wszystko mu się z oczu umykało bez spostrzeżenia. Jak jadą, tak jadą bez ustanku, dopiero kiedy już słońce zbliżało się ku zachodowi, nagle stanął powóz przed potężną, żelazną bramą, którą na rozkaz pana zaraz otworzono. Dziwnie zaskrzypiały ciężkie podwoje bramska zczerniałego i długo jechali w zupełnej ciemności, aż nareszcie przybyli na plac wielki, zabudowany ogromnemi gmachami, z których okopconych kominów walił się dym gęsty i smrodliwy, Na placu tym było cicho i pusto, i niebyło widać nikogo, tylko pełno rozmaitych słupów, słupków, poręczy, szubienic, haków, łańcuchów, rusztowań i tym podobnych, siepaczych narzędzi. Przejeżdżają przez plac cały i stawają znowu przed drugą bramą. I tę na rozkaz pana otwierają z łoskotem i wjeżdżają znowu na plac nieprzejrzany, i jak pierwszy naokół zabudowany. Wszędzie pełno dymu i smrodu siarczanego, a prawie jakby na samym środku widać studnią, z której nie tylko dym, ale nawet i żywy bucha ogień. Wszystko to, nie przestraszyło chłopca, bo nie wiedząc gdzie się znajduje, zdawało mu się jakoby to było snem; a gdy powóz stanął, on udrgnął tylko, i ujrzał wspaniały pałac i mnóstwo służby witającej swego pana.

Pan wysiadł, i prowadzi chłopca do pokojów błyszczących od srebra i złota. Dano mu posiłek, a potem powiódł go pan na miejsce, gdzie miał rozpocząć umówioną robotę. Była to dość duża kuchnia, w której ujrzał cztery wielkie wmurowane kotły, zakryte żelaznemi pokrywami, a pod témi palił się ogień okropny: na boku pod oknem stał stolik i łóżko dla chłopca; na stoliku leżała trąbka mosiężna, a na ławeczce niedaleko od czeluści ogniowych, żelazna pogrzebka z drewnianą rękojeścią i ściérka płócienna dość czysta. „Tu więc, rzekł pan, będziesz ustawicznie przykładał na ogień drzewa, którego ci słudzy co wieczór poddostatkiem nanoszą; ale cię zaklinam, abyś nie zaglądał do żadnego z kotłów. Gdy ci będzie czego potrzeba, nie przychodź do mnie, bo ja rzadko jestem w domu; ale masz oto tę trąbę, w nią zatrąbisz, stanie ci się czego będziesz żądał.“ Odszedł pan, a chłopiec wziął się do roboty; na noc dostarczono mu zawsze drzewa

ile było potrzeba na przyszły dzień, regularnie też nosili mu jeść i pić. Zeszedł mu więc rok, ani się obejrzał.

Z upłynionym rokiem przyszedł pan i pyta się czyli chce u niego i na drugi rok pozostać. Został chłopak, a drugi rok przeminął tak jak i pierwszy; toż samo i rok trzeci.

Ale w trzecim go już poczęła nudzić jednostajność życia, zamknięcie i niewola. Umyślił więc panu podziękować; ale nim miejsce opuścił, wzięła go ciekawość dowiedzieć się co też jest w onych kotłach, pod któremi tak nielitościwie palić mu kazano. Uchyla więc pokrywy pierwszego, i widzi — o cudo! — włodarza z tej wsi zkąd on pochodził, smażącego się w smole, a ten go ujrzawszy i poznawszy woła: „Stasiu, zlituj się a ugaś ogień choć na chwilę". Ale chłopiec przypomniawszy sobie, jak mu on za życia dokuczał, nakrył znów prędko pokrywą kocioł. Idzie do drugiego kotła, a uchyliwszy pokrywy, widzi w nim ekonoma, który go również poznaje i prosi o ugaszenie ognia. Ale chłopiec powiada: takiś to teraz potulny? a jéno przypomnij sobie coś ze mną i rodzicami dokazywał". I nakrył znów pokrywę i jeszcze drzewa pod ogień przyłożył. Idzie do trzeciego kotła, a tu po uszy w smole siedzi jego dawny pan, i jak go tylko ujrzał, prosi o zmiłowanie i ugaszenie ognia. Ale chłopiec na to był głuchy, spuścił pokrywę i jeszcze więcej drzewa pod kocieł przyłożył. W czwartym kotle siedział ksiądz, który go nie chciał był wspomódz, lecz i tego nakrył chłopiec tak jak i drugich.

Ale kiedy odszedł na stronę, wzięła go litość, więc wygasił ogień pod kotłami a potem je poodkrywał. Uradowani potępieńcy że mają ulgę, zaczęli mu dziękować za litość nad nimi okazaną; najpierw przemówił włódarz, i radził mu, aby jak będzie opuszczał to miejsce, zażądał za pierwszy rok w nagrodę ścierkę którą nosił (chłopiec) u pasa, a jak nią strząśnie, będzie miał złota wedle życzenia; ekonom zaś radził, aby za drugi rok służby prosił o pogrzebkę którą trzyma w ręku, a która gdy nią uderzy, przyniesie mu wiadomość wszystkiego, czego wiedzieć zapragnie; pan zaś mówił, aby za trzeci rok zażądał trąbki mosiężnéj wiszącéj na ścianie; bo gdy w nią zatrąbi, będzie tyle wojska miał na swoje rozkazy, ile zechce; nakoniec ksiądz radził, aby trąbki tej użył na wyswobodzenie ludu w pocie czoła pracującego. Stanisław (ów chłopiec) zachował te słowa w swojém

sercu i okazał litość nad wszystkiemi czterema aż do końca roku, i dopiero w ostatnim dniu ogień nałożył.

Przychodzi Pan około południa, i pyta się go, czyby jeszcze i na rok czwarty u niego nie pozostał. Ale tą razą Stanisław podziękował stanowczo, a Pan się pyta, jakiej żąda zapłaty. Stanisław zażądał ścierki, pogrzebki i trąbki. Długo mu się Pan dać tego wzbraniał, ale wreszcie, pamiętając na swą obietnicę, przystał na to, mówiąc: że teraz on sam (oddawszy zwłaszcza trąbkę) będzie w służbie u Stanisława, i radzi tylko aby trąbki na złe nie użył, bo mu ją odbierze z czasem. Potem wsadził go do powozu i tak jak przyjechali, wrócili na powrót; ale Stanisław miał teraz sposobność widzieć różne męki piekielne z duszyczkami odbywane na owych placach, przez które przejeżdżali. Wyjechali nakoniec za bramę i znów lotem kuli przybyli na to miejsce zkąd przed trzema laty zabrał go ów pan, i tu go on znów zostawił, mówiąc: „tą drogą na prawo zajdziesz do wielkiego miasta, i staniesz w rynku w zajezdnym domu pod: Złotém berłem; będziesz tam mógł wiele dobrego uczynić, ale i o mnie nie zapominaj“. Potem ruszył na powrót, a chłopiec poszedł wskazaną drogą ku miastu.

Przybywszy tam, udał się zaraz do hotelu pod Złotem berłem w rynku i zażądał dużego pokoju. Ale służba, widząc obdartego, w łachmanach Stanisława, chciała go odprawić z niczem. Nawet i sam gospodarz chciał się go pozbyć, mówiąc że tylko jedna jest jeszcze stancya bardzo droga po jakimś księciu co dopiero wyjechał. „A więc o tę stancyę proszę“ odrzekł Stanisław stanowczo, mówiąc że zapłaci za nią sowicie, i zażądawszy półmiska, potrząsnął nad nim ścierką, a tu się obficie z niej sypnęły dukaty. Zmiękł nagle gospodarz ujrzawszy złoto, a zdejmując czapkę, wprowadził go do żądanego pokoju; zwołał swoje sługi, i kazał im panu temu z największém usługiwać uszanowaniem. Stanisław kazał sobie wyborny przynieść obiad, potem przywołać krawca, który mu siedmiorakie zrobił ubranie, jedno piękniejsze od drugiego, bo Stanisław złotem płacił. Ubrawszy się w nowe szaty, Stanisław łachmany swe zachował na pamiątkę, włożywszy je do dużej mocno oprawnéj szkatuły i takową zamknął na klucz.

Objezdżał całe miasto, bywał na zgromadzeniach publicznych a całe miasto zwróciło na niego oczy, a nawet dwór królewski

i królewna. Wspaniałość i hojność jego obudziły w gospodarzu chciwość, i posłał mu do usług trzy swoje dorosłe córki by go bawiły. Stanisław uderzywszy pogrzebką, dowiedział się o ich zalotności i celach, i oburzony tém, oddalił je od siebie. Gospodarz sądząc, że mu się te właśnie nie podobają, podsunął mu Kasię, ładną sierotkę. Pogrzebka znowu wykazała, że ta Kasia była bardzo cnotliwą, i gdy gospodarz spostrzegł że zanosi się na związek małżeński, z zazdrości sierotę tę wypędził z domu. Ale Stanisław dał iej ową szkatułę z łachmanami i drugą złota i kazał tymczasowo mieszkać na wsi na ustroniu.

Tymczasem liczne i groźne wojsko nieprzyjacielskie kraj ten napada, i król zebrawszy swoje wojsko, ogłasza że kto wroga odpędzi i pobije, otrzyma rękę jego córki. Stanisław, przypomniawszy sobie owe słowa, które ksiądz w kotle mówił do niego, uzbraja się, dosiada rumaka i zajeżdża przed pałac, oznajmiając że się podejmuje tej bitwy i przyjmie dowództwo. Król z radością mu je powierzył. A nieprzyjaciel nadciągnął z wojskiem gęstem jakby chmura, że aż ziemia pod niem stękała. Stanisław widząc że potędze jego niepodoła, i że wojsko jego ucieka za mury, mury, dobywa swej trąbki i zaczyna trąbić. Aż tu w mgnieniu oka występują z pod lasu, jakoby z ziemi, nieprzeliczone pułki wojska; im więcej trąbi, tem więcej ich przybywa, i gdy wróg już nadchodził, sądząc że i to wojsko pierzchnie jak królewskie, Stanisław na jego czele wpadł nagle na nieprzyjaciela jak lew, i rozbił go w momencie jak kupę zmarzłego śniegu na lodzie. Potem w pogoń za uciekającemi, jednych wycinają, drugich topią trzecich imają w niewolę. Król widząc to, zdjęty zazdrością nie chce puścić Stanisława do pałacu, mówiąc że niechce znać ludzi którzy siłami piekielnemi rozporządzają. Oburzony tą niewdzięcznością, wyzywa Stanisław samego króla do walki. On ją przyjmuje, i znowu Stanisław trąbi i gromadzi wojsko swe, które pobiłc zaraz królewskie zespoliwszy się z niem jak mgła z dymem, — aż i sam król legł na placu.

Ale szatan (który mu usługiwać musiał na głos trąbki) widząc że Stanisław oszczędza rannych i trąbić chce do odwrotu, wytrącił mu trąbkę z ręki, i gdy Stanisław w skutek cięcia zemgłał, odbiera mu ścierkę i pogrzebkę, a z niedobitkami do piekieł uchodzi. Nastał zmrok i cisza zaległa plac boju.

Rano, chłopi zbiegłszy się na pobojowisko, widzą tu Stanisława leżącego, i odnoszą go do ładnej i litościwej Kasi. Ta go zaraz poznała i pielęgnowała, a on wyzdrowiawszy, z nią się ożenił. Zaraz też zajechało mnóstwo starców, i uprosili go o przyjęcie zawakowanego tronu. Z tryumfem tedy wjechał do miasta, i zamieszkał w domu pod Złotem berłem który kupił, zostawiając pałac królewnie, a sam zwołał zgromadzenie, które obrało dwunastu senatorów a na czele ich postawiło Stanisława, ażeby w senacie zastępował sprawę ludu [1]).

*X. Łukasz.*

## 49.

## Potępiona księżniczka

w Zamku Gnieźnieńskim [2]).

(Baśnie wielkopolskie dla młodzieży, puzez **Emmę z Kurowskich Puffke**).

*Leszno.* 1863.

Skrócone.

W pobliżu zwalisk zamczyska, bawiła się wieczorem w piłkę gromada chłopców. Antoś stolarczyk cisnął piłką należącą do towarzysza swego Walentego w wystraszonego nietoperza, i piłka wpadła w głąb zwalisk przez otwór w murze. Antoś pobiegł, by ją ztamtąd wydobyć. Towarzysze zlękli się o niego, bo często słyszeli powieść o księżniczce która w głębi pokutowała, i o północy w brzęczących łańcuchach, otoczona zbrojnymi rycerzami, woziła w łódce na jeziorze podziemnem niezmierne skarby. — Po dwu godzinach jednak, wyszedł Antoś z lochu, ze zwalisk, z piłką i pełną kieszenią pieniędzy, ale był milczący i zamyślony, a towarzysze widzieli 5 plam czarnych na jego twarzy. Pieniądze oddał on ojcu i żył odtąd tylko z Walentym,

Jemu to opowiedział, jak owego wieczora w głębi i ciemnicy uderzył nogą o łańcuch i spotkał postać z rogami, kopytami

---

[1]) *Lud* Ser. III str. 145. Ser. VIII str. 125–127.

[2]) Obacz *Lud* Ser. XI str. 218. Okop Gnieźnińko.

i iskrzącemi oczyma, lecz gdy się przeżegnał, nastała jasność i ujrzał w łódce stojącą panią cudnej piękności w czerwonej sukni, złotym pasie i trzewikach, przegarniającą pieniądze szuflą, która ukazała mu piłkę jego i dała znak by się przybliżył. Ale szatan zaskoczył mu drogę. Wtedy chłopiec znów się przeżegnał, a szatan zamienił się w dużego koguta z podwójnym dziobem i pierzem podobném do ognistych węgli; gdy się jeszcze raz przeżegnał, czart zamienił się w szczura wielkości psa, nakoniec w ropuchę i zniknął w gruzach. Przy wszystkich tych przemianach chłopiec żegnał się prawą ręką; przy ostatniem uczynił to lewą przez pomyłkę, skutkiem czego dotknął go czart łapą i nacechował mu twarz 5 plamami na całe życie.

Księżniczka dziękowała mu za odegnanie tego dozorcy i zapraszała do łódki, lecz on pozostał na miejscu. Gdy wskazała ręką na ścianę, wizerunki rycerzy na ścianie ożywiły się tak, że opuściwszy swe miejsca, poczęli rozmaite wyprawiać gry i tańce, co księżniczkę bawiło, lecz płakać zaraz poczęła, gdy starzec ze ściany pogroził rycerzom i upadł na ziemię, poczém wszystko zamilkło. Wtém woda zaczęła wzbierać i zalewać sklepienia; Antoni wstąpił do łodzi, a księżniczka uchwyciwszy żelazne wiosło, kierowała łodzią z wysileniem aż do sali marmurowej, gdzie woda uszła znów przez szpary. Potem wysiadła z łodzi i gdy spoczęła na kanapce a Antoni obok niej, odezwała się doń: „Dwa razy na dzień muszę tę uciążliwą odbywać podróż; jest to kara za mój żywot bezbożny i nielitościwy, i zbytki jakie robiłam przez owe bogactwa jakie w łodzi widzisz nagromadzone; zgraja próżniaczych zalotników otaczała mnie i rozrywała, gdy mój ojciec chorobą dotknięty konał na łożu boleści i w ostatniej jeszcze pogroził nam chwili. Wkrótce po nim umarłam i ja także i tu od wieków pokutuję za te grzechy. Ty pierwszy tu przybyłeś i możesz mnie wybawić. Postaraj się tylko aby do tych zwalisk przyszła processya z kościoła, przy której jednakże nic brakować nie powinno, jeżeli mám być zbawioną. Więcej jednak jak trzy processye przyjść tu niemogą; jeśli żadna z nich nie będzie bez nagany, jestem zgubioną na zawsze". — Antoni przyrzekł postarać się o te processye, a ona oddała mu piłkę, garść złota wsypała do kieszeni, on zaś pożegnawszy ją, wyszedł.

Postarał się też wkrótce, lubo nie bez trudu, o żądaną processyę. Zwróciła się ona w uroczystym pochodzie ku zwaliskom;

atoli, gdy tu wchodziła, spostrzeżono człowieka idącego bez świecy. Śmiech szatański, szyderczy, i jęk kobiecy obił się o uszy uczestników, którym ognista zaświeciła w oczy łuna, — i wrócić się musieli z niczem, bo processya się nie udała. — Po kilku latach, przy pomocy kochanki swej Basi, postarał on się o drugą processyę, lecz i ta się nie udała, bo zapomniano szczypcy do objaśnienia świecy, gdy się znajdowali wśród ciemności w lochach [1]).—

Ponieważ Antoni był ubogi i miał na twarzy owe czarne plamy, przeto rodzice Basi odmówili mu jej ręki i skłonili, że ją oddać miała Walentemu. Tymczasem Antoni postarał się o trzecią processyę, gdzie już nic nie brakowało, iktóra widziała jak obok niej płynie strumień z łodzią i księżniczką, a zaś przy wyjściu usłyszała słowa dziękczynne i szepty pacierza wybawionéj.

W kilka dni potem, gdy Walenty odwiedził Antoniego prosząc go na swe wesele, otworzyło się nagle pędem wiatru okno, i wleciała do izby karteczka biała jak szkło a na niej napis złocistemi literami: „W czwartek, gdy zegar kościelny wybije dwónastą, idź na zwaliska gdzieś niegdyś zgubił piłkę, przyłóż rękę do owej rozpadliny, a odbierzesz zapłatę na którą zasłużyłeś.“

Nakoniec nadszedł dzień ślubu. Wesoła muzyka brzmiała w domu Basi, lecz Walenty powodowany chciwością, uprzedził Antoniego i na pół-godziny przed dwónastą pobiegł do owej rozpadliny, by wsunąwszy w nią rękę zapłatę obiecaną pozyskać. Gdy się zbliżała dwónasta, poszedł tam i Antoni, a za nim i Basia i goście zaniepokojeni nieobecnością narzeczonego. Przybywszy do rozpadliny, znaleźli — o dziwo! — Walentego bez życia, konwulsyjnie skurczonego, a twarz jego pokrytą czarnemi plamami, podobnemi plamom na twarzy Antoniego.

Gdy czas żałoby minął, Basia oddała swą rękę Antoniemu, i widziano jak w czasie ślubu u ołtarza, ukazała się przy nim jakaś obca świetna dama, która pogłaskała go po twarzy tak, że plamy czarne z niej zgładziła, — poczem i sama także znikła.

---

[1]) Obacz: *Lud*, Serya IX str. 27. 35. (skarby w pieczarach).

## 50.

## Mocny Bartek na wysługach [1]).

Przemęt.

Raz była kobita, miáłá jednego syna. Tak, mu dawała bez siédem lat piersi; kármiłá go żeby dostał mocy niezmierny. Przez te (po tych) siédem lat, jak już należyto podydkał, kázałá mu iść do boru, wyrwać majówke (sosnę) z korzeniami i ze wszystkiem przynieść do domu; chciáłá sie przekonać i próbować jego mocy. Począn ją rwać w siódmym roku, ale że ji ni móg poradzić. Przyszed napowtór do domu i powiadá matce, że ón jeszcze tyla siły nima, żeby ón móg wyrwać majówke z korzeniami i przynieść. Takze matka mu dawała drugie sidem lat piersia, żeby ón wzmocniáł. Przez te (po tych) śtyrnaście lat kozalá mu znou pojńść do boru i te majówke przynieś(ć). Chłopak jak poszed do boru, jak złapáł te majówke i wyrwał, wzión ją sobie na ramię i przyniós do domu. Matka kozała mu iść na s(ł)użbę, że kiedy teráz taki mocy dostał, to może iść szukać sobie s(ł)użby [1]).

Przyszed do jednego dworu, i prosi się pana o służbę. A pon mówi: kiedy já mom służby dosyć. Ale, że go przyjón za ręczniaka (do ręcznéj roboty). Pytá go sie pan: jakie ón zasługi chce ?. — A ón: já żadnych zasług nie chcę, tylko jaśnie pon dá mnie dwa baty (uderzenia na tyłek) a ja jaśnie pánu dám jeden bat. Ten pon sie z tego rozśmiał, i w tych zasługach go otrzymáł. Káże mu iść do stajni; jak fornale przyjdą na objád, tak i ón z niemi razem má iść. Kucharka nagotowała dwie miski klusek, i jak kluski zawrały, gospodyni wydała dwie ćwierci maślonki do tych klusków. Ten chłopak obski co ból przyjęty, spogląda na ten objád, i kiedy kucharka położyła łyżki na stół, tak jak zazwyczaj sóm, ten chłopak nie kontentuje sie na tych łyżkach, (h)ale poszed do stajni, wzion szuflą, i zaczem te insze chłopaki poczeni jeść, przyszed z tą szuflą i zagarnół im wszystkie kluski z maślonką. Pośli do pana, uskarżają się, że ten obski wszystko im zjád, że óni głodni. Pon powiadá: za śtyrnastu zjad

---

[1]) Obacz nr. 20. (str. 94) Dydak i Dziad.

i za siebie pietnastego, to niechże teráz za was štérnastu robi i za siebie pietnastego.

Pon kázál mu iść z modernikami (co chodzą na mouder, małder; nie bierą za zapłate piniędzy ino zboże). Moderniki mu dali swoje cepy; ón powiadá: coście mi dali za dziecińską zabawę, przecie i dzieciak sie moze tém bawić. Poszed do páná i prosi o inksze drzewo nad cepy, że ón temi cepami maluśkiemi nie potrafi młócić. Tak, że ten pon musiał mu dać parę koni i wóz, co ón sobie pojechál do boru po drzewo na cepy. Więc zrobiuł sobie dzierzák i bijok po swojemu, że jak zaczón m(ł)ócic, to moderniki pouciekali ze stodoły, boby ich bół pozabijál temi cepami, i ón sobie posobicą m(ł)ócił groch, żyto, wszelakie zboże co sie na ziemi nájduje, wszystkie zbił do kupy, tak, że ten pon miál chłopot, jak ón to będzie wiál, kiedy to wszéstko zmieszane. Jak wymłócił, poszed do pana, żeby mu dał szuflą do wionia tego zboża. Pon mu dál szufle po naszemu, jak to nasze chopy mają; tak sie ino wyśmiał z pána, co ón mu za grzebatko dál, że to ino dziecińská zabawa, do zbiérania piásku. Pon mu musioł dać pare koni i wóz, żeby pojachál do boru po drzewo na szuflą sobie. Jak szuflą sobie zrobiuł, tak sześci ch(ł)opów miało co dźwigać ty szufli. A chopy sie dziwowali, jak ón tą szuflą może wiać , kiedy taka cieżká. A ón ją jak porwál jedną ręką i uniós jak kiedy dziecko jaką zabawke. Jak zaczón wiać, to tak mocno wiał, że wywioł to zboże, i każdy gatonek zboża poszed na swoją kupkę.

Jak ón to zwiál, tak poszed prosić pána, żeby mu dál chopów do pomocy zboża tego noszenia na śpikrz. On mu dał ch(ł)opów, i chopy zaczęny nosić po jednem miéchu na śpikrz. A ten Bartek powiadá: nié możecie wy to brać po dwa miechy a nie po jednym; czekajcie, jak ja pójde po lipowe łyko, to ja związę pięć miechów zboża i wezne przed soby, i związe pięć miechów i wezne za soby, i razem dziesięć miechów zboża poniese na śpikrz. I widzieli go chopy z tém iść, jak poniós to zboże.

Wtém káże pon na drugi dzień wynosić z oborów na nosidłach gnój na podwórze. Bartkowi było bardzo trudno na tych nosidłach, że to mu sie bardzo długo zdawało. Tak, jak Bartek pójdzie do snopka słomy dłużykij, jak uwioże powrósło takie jak ta obora całkie jest, powiadá do ludzi: Wychodźcie z ty obory, bo ja te obore gdzieindziej przedegráduję (przestawię).

Wszyscy ludzie, i pon i okonom, i wójt i wudarz, patrzają co ón z tą oborą robi. Jak ón opasał tym powrósłem te obore, jak sie podsadził, tak te obore z tego gnoju przeniós na inksze miejsce. Ci ludzie sie dziwowali, widzący go z tém iść.

On powiadá: teraz ludzie wjeżdżájcie, będziemy gnój nakładać na fury i w pole wywozić. Ten gnój skończyli wywozić. Wzión obore i postawiuł na swoje miejsce, gdzie przódy stała. Ten pon káże fornalom swojim jechać do boru po kwiki (grube sosny) na budownią. Ci fornale już pojechali czém (nim) ón sie tam wytetrá ł, czém wóz pozbijál, czém Bartek woły zaprząg, ci drudzy fornale już byli w boru i kwików sobie na fury nakładli. A mój Bartek czém wyjechał z podwórza, to ci już na pół drogi nazad byli, tak, że mówili do Bartka: a widzisz ty łakomcze, obżartuchu, że choć ráuz (raz) sobie porządnie objad zjemy: kiej cie w domu nie będzie. Mój Bartek co zrobiuł? — to powiedział: ho ho, czem wy kole podwórza bedziecie, to ja też za wami już powróce. Bartek jak zaczón kwiki w boru na wóz kłaść, tak, że ledwie koło u woza nie połomał. Woły nimogły uciognąć, ani z miéjsca ruszyć. On woły pozabijoł, ich cielsko na wozy pokład razem z kwikami, i sam sie zaprząg do tego woza i sám ciognół, tak, że tych fornali jeszczek wyścignół i bół przody w domu czém (niż) óni. Mowi do nich: widzicie, śmialiście sie ze mnie, a ja przódy jeszczek jezdem w domu jak wy. Ten pon widział te woły zabite, h-ale nic nie mówił, bo sie bojał, że ón jeszcze i jego razem z okonomem, wudarzem i wójtem pozabijá.

Na drugi dzień kázał mu pon kopać studnią. Kopál te studnio. Więc pon kázał zwieść ménski (młyński) kámień i wielgi (d)zwón, żeby go w ty studni jako zagałuszyć (zadusić) jak będą na niego spuszczali ten zwón z tym kamniem. Jak spuścili ten zwón, tak ón wyciągnoł ręke w górę i krzyknół z dołu, że mu ojciec jego spuścił kapelusz z nieba. Jak spuścili na niego ten młeński kamiń, tak ón powiedział, że jego ojciec przysłał mu z nieba na zapomożkę koło od woza, — i rázem ten zwon i ten kamiń wyśwignoł temu pánu z ty studni.

Ten pon widzioł że żadnego skórania z nim nie weźnie. Kázał mu jachać na swój wiátrok po sześ(ć) miechów (w)ospy, gdzie tam żaden dostąpić ni móg, bo tam czárt pilnował na tym wiatráku. Przyjechał ón i mówi do tego mynarczyka, żeby mu dał sześ miechów wospy, że ón nie bedzie czekał. Ten mynarczyk

woła go na wiatrok, i że sie on (Bartek) ma pojedynkować z nim, z tym czártem. A mój Bartek jak pochwyci czárta, tak, że jak wsadził go na kamiń w te dziure, to mu obie pu-rzyty (pół rzyci) umół (umlił). Mój czárt jak uciék, to prosto do piékła, i za to że sobie d... dał zmléć, musioł za karę w piékle na wromie (bramie) siedzieć. Tak, przyjachał Bartek z tą wospą do pána do domu. Ten pon sie zaląk że ten mynarczyk mu dał te wospe; dziwno pánu było widzić, że ón to dostál, gdzie nimóg nikt tam ztąd powrócić sie nazad, bo go ten czárt káżdego porwál.

Ten pon widzi że mu s(ł)uży dobrze, i ni mioł już żadnego strachu, ino o tego jednego bata co miál dostać od Bartka, jak sie umawiali o zasługach. Chciál sie pon wywinąć. Tak posłał go jeszczék po siedem beczek złota do piekła, bo myślał ten pon, że już tam z tędy-k ón sie nie wróci nazád. A ón Bartek wzión z sobą lipowy kij; jak zaczón Jancykrysta okładać tém kijem, tak mu Jancykryst dál te siedem beczek złota. Jak óne niós, tak ci czarci mu sie sprzeciwiali, chcieli mu jeszcze to złoto odebrać. Przynieśli rozwore od piekła i káżą mu dźwigáć, a ón powiadá: dźwigajcie wy przód, a zasie (potem) já bede dźwigoł. Bo jak já dzwignię, to wám ślipie na wierzk wyńdą od tego rozmáchu co já zrobie. Jak óni chcieli wziąść żeby dźwigali a usłyszeli go to mówić, tak uékli do piekła, tylko jeden náśmielszy przy nim ostál i przy ty rozworze. Bartek powiádá: jak já wezne te rozwore, to ty sobie musisz ślipie dać zawiązać fustko (chustką), bo by ci ślipie wyláźły na wirzk. Bartek jak mu ślipie zawiózál, i jak mu zaczón tym lipowym kijem po ślipiach gwizdáć, tak czárt krzyczy: mioleś słuszną racyją, że mi ślipie na wirzk wyszły. Tak ten czart, żeby siebie wykupić i te rozworę, musiál znowu przynieść siedem beczek złota, tak, że rázem mioł Bartek śternaście beczek złota. Pon ten sie zadziwiuł, że go czarty z tego piekła puścili i jeszcze mu te śtérnaście beczek złota dali.

Przeszed rok cáły; trzeba Bartkowi dać zasługi. Teráz pon w strachu. Zawołál go pon do pokoju jako Bartka i powiada: nakładź sie teraz na łowke (ławkę), dám ci teráz twoje zasługi, dwa baty w zasługach. I położył sie Bartek na łowke, i otrzymał co mu sie należało, od pána dwa baty mocne, odliwane z cały siły, co sie tylko zmieściło. Teróz chce go bić Bartek. Pán mówi: cóż to ty bédziesz bić pana? A ón odrzeknie: Ha

panie, ja za to ni moge (ja temu nie winien), taki bél kóntracht. Teráz sie kładzie pon na te ławe, bo musi. Bartek ino lekuśko spuścił ten sam bat, — i oto, na dwoje pána przecioł. Teraz trzebno pána pochować w dłęboki mogile, żeby już więcy nie wyszed na ten świat. Bartek mówi do pani, że jak óna sie z nim nie ożeni, to ón ji też tak sprawi jak sprawiuł pánu. Widziała że ón nie żartuje, że to u niego nie przelewki, że mu musi przyświarczyć. To i wziéna z nim ślub, i jeżeli nie umarli, to jeszczek żyją — ch(ł)op z panią. [1])

## 51.

## Czart zakonnikiem [2]).

Morownica.

Poszed jeden chóp do boru rąbać drzewo na klofty, a ta kobita piekła mu zawsze chléb z popiołu i dawała mu do tego boru. Chlib leżał na pieńku, i czárt raz przyszed i wzion mu ten chlib. Przynosi ten chlib do piekła i pokazuje Jancykrystowi że bez ten chlib dzisiaj kogo ułowi, bo sie chłopi będą bili gdzie o ten chlib. Jancykryst odpowiadá mu: nie, tak nie idzie — i zwołuje czartów swojich i óni osądzili że: má ón ten chlib temu chłopu odnieść na to miejsce zkąd wzion i ułożyli karę na niego (na czarta) że musi być w jednym zakonie za chwestourza siédem lát; — że musi tam pokutować w tym zakonie.

Czart wstępuje do zakonu i melduje sie za chwestórza, co go tam ni-mieli. Przyjęni go na pó roku. Dali mu parę koni i wóz. Jeździ ode wsi do wsi, od pana do pana, i ogrómnie dość ludzie mu dawali; jeszczék musioł prosić o furmanki ludzi, chtóre rzeczy na swój wóz już ni móg zabrać. Przywozi do zakonu, i tę jałmużnę oddaje księżom. Potem znou nawraca napowtór; przyjachał do jednego dworu, gdzie tam pana nie było, bo odjachał w po-

---

[1]) Ob. *Lud*, Ser. III str. 137. 182. Ser. VIII str. 167. — Fr. Schönwerth: Aus der Oberpfalz. (Augsburg) 1859. III. str. 33.

[2]) *Lud*, Ser. III str. 177. — Tu wszakże, słowa księdza przypominają odpowiedź Radboda księcia Fryzyi daną świętemu Wulframowi biskupowi Senońskiemu. — Ser. VIII, str. 167.

dróż, ino pani. Pani powiada: mój kochany zakonniku, ni mom ci co dáć, ale ci dám trochę piniędzy, bo mégo męża nima w dóma. Ten pon mioł taki zwyczaj, że jak chtóś do niego przyszed, to ón wszed do takij szafy co ją mioł, i przed nim się skrył, żeby gościa nigdy nie miéć.

Zakonnik sobie odjechał i jedzie daléj. Przyjachał do jednego dworu, trafiuł na obiad, gdzie tam ugotował kucharz całego soma (suma, rybę) i przysłał na stół. Goscie, jak sie już inszych strawów najedli, tak sobie zaczéli i tego sóma brać i kłaść na talérze. A zakonnik wiedział, że temu jego kuczerowi (furmanowi) nic niedali obiadu, a był mocno głodny. Zakonnik uczynił, jakby zaczón zwracać (womitować) to jádło co ón je zjad przy tym stole, tak, że goście pouciekali od stołu do inkszego pokoju, a ón tenczas wzion tego suma i zaniós swojemu furmanowi, i mowi: na masz, jédz, bo ci-h tu nic nie dali, to przynájm teroz sie najész. W tém goście poprzychodzili, patrzą: gdzie sum? — a suma już nima na stole. Ci panowie dali mu jałmuzne i zakonnik pojechał sobie z tego dworu dalij.

Przyjáchał znou do tego dworu, gdzie się ten pon zawsze krył do téj szafy. Trafił na objad, a pana znou nie było. Ón wtenczas co zrobiuł? Wisiał na ścianie pistólét nabity; zakonnik wzion ten pistolit do ręki, i krétę (kredę), i na drzwiach tej szafy gdzie pán w nij siedział, prosto ku jego sercu, napisał kółko krétą, i zaś odczet (odszedł) od téj szafy i stanoł prosto naprzeciw téj szafy i celuje, — i pyta się téj pani: Pani, nie trafię ja w to kółko? — Ta pani zakrzyknęła, że nimá strzélać, bo ij męża zabije. — A przecie-ć pána niéma. — A jest.. — Potem też pon wychodzi z téj szafy. Zakonnik mówi: a to tak panowie w podróż odjéżdżają do szafy, jak chtoś obski przyjédzie do nich. Pán na to nidz nie odpowiáda, bo się bardzo zawstydził Prosi go zakonnik o jałmużnę. Pan miół okropnego bykó we swoji oborze, złego, co nikt obski nimóg do niego dojść, żeby sobie poszed tego byku wziąć, bo myślał że mu nie poradzi. A ón zakonnik poszed, złapał tego byku na łańcuch, przywiozał do woza i go sobie ciągnie. Ten pon mówi: co to za szelmoski jes zakonnik, że ón tego byku jednak wzión. Ale kázał też spuścić swojich psów i poszczuć za tym zakónnikiem, żeby napadły i cudowały tego byku, coby ón się urwał i do domu przylecioł. Ten zakónnik jeszcze te psy złapał i przywiozał do woza i do zakonu swego

prowadził. Ten pon nimioł ani byka ani psów, bo mu sie już więcy niewróciły. — Był ogromnie zły na zakonika, ale go sie bojał.

A zawsze ten zakonnik pęk prętów przywoził do zakonu áż nakład wielką kupę. Księża się dziwowali, na co ón te pręty zwozi. A ón powiedział: jak się ráz płot rozwali, to káże płot grodzić z tych prętów, nie potrzebują kupić.

Upływa te siédem lat jak ón tam jest w tym zakonie. W siódmym roku chwestarza robią szafirzem, a inkszego chwestarza znów przyjęni, co jeździł. Bez te sześć lat jazdy, ten zakonnik tak przyozdobił ten zákon, że były piekne w nim i ubiory i rzeczy w kościele, i wiktuały, co im zaś nigdy już nie przybrakło. Jak ostał szafirzem, tak wydawał na kuchnię i co miał wszystko pod mocą, i ubogich retował. Raz poprosiuł dużo gości; najprzód rozdál bidnym jałmużne bo ostatni raz już ją dawał i więcy nie będzie, potem zaprosił króli, ślachty wiele na bál, na podziękowanie, że mu ślachta tak dáwała. Ale kucharzewi nic nie wydaje, jako na ten bál co ón ma przyszykować; kucharz klnie, tu już dwunasta godzina, a ón jeszczek nic nima w kuchni, ani drzewa, ani do jedzenia, kuchnia c i e m n a (próżna).

W ten som dziń wyprawia jeden król ogromny bál, gdzie sprasza gości na ten bál; goście przyjachali i bawią się okropnie u króla. A ten szafirz poszed tam do tego króla kuchni i pobrał wszysko co tam było uszykowane i poprzenosił do swojego zakonu, dla swojich gości. Patrzy kucharz w kuchni, a tu już wszyskiego połno má. Kucharzewi było dziwno, że ón nic nie wybirał ani szykował, a wszysko jes. Mówi szafirz do służącego (co też o tych przenosinach nie wiedział): żeby teraz przyniós na stół, a służący odpowiada: jak ja mom dawać i szykować, kiedy kuchnia ciemna i kucharz nic nie wybrał. Szafirz: idź do kucharza i patrz co tam jes połno. Służący idzie i patrzy, o u ż (aż) sie zaląk. Po tem obiedzie, goście sie podpili doskonale, bo ich ten szafirz czárt skusił, więc do bijatyki ich przyprowadził, że piećdziésiąt osób sie pozabijali temi prętami, chtóre ón je zwoził. Czart za jedne duszę dostał piećdziesiąt i wzion ich do piekła, i zniknoł i niewiedzieli gdzie sie podział. Księżom było dziwno, co to za jeden móg być, ale dobrze o tem miarkowali, bo zaś gości pochowali.

## 52.

## Trzy słowa,

ludzi zaprzedanych diabłu.

Morownica

Jednego razu trzech rzemieślików szło we wędrówke. Jeden starszy, drugi młojdszy, trzeci jeszcze młojdszy. W téj wędrówce mieli okropną bidę. Tak ten starszy powiadá: wiécie co, koledzy, momy okropnom bide, więc żeby my sie mieli lepij, to bym ja sie zaprzedał. Ten drugi powiadá: jabym sie też zaprzedał. Ten trzeci to samo. To sie teráz wszyscy trzéj zaprzedómy. Tak przyszed do nich jeden pon i powiadá: zaprzedalibyście wy się? A óni: zaprzedalibyśmy się. Ten pon powiadá: a jakże sie zaprzedácie?, to sie tak musicie zaprzedać, że każdy bedzie gádał tylko trzy słowa bez całki rok; więc ty najstarszy będziesz mówił: my wszyjscy trzéj, to mász trzy słowa. A ty drugi będziesz mówił: my za piéniądze. A ty trzeci mász mówić: tak jest rychtyk.[1]) I to bez całki rok nie będziecie gadać jino te trzy słowa; bo jak bédzie więcy, to wámłby pourywám. I dał im piéniędzy.

Tak oni trzej, choć zaśli do szynkowni abo do krámu, to ten starszy zawsze mówiuł: my wszyscy trzej, i na tę rzecz wskazywál palcem chtórą chcioł kupić. A ten drugi zaráz powtórzył: my za piniądze, a ten trzeci dodał: tak jest rychtyk.

---

[1]) Przypomina to cokolwiek ową anegdotę, (tu wszakże komiczny biorącą obrót), opowiadaną o królu Fryderyku II, który przeglądając i obchodząc swe pułki grenadyerów, miał zwyczaj zadawać każdemu w szeregu stojącemu żołnierzowi trzy zapytania: Wie alt ist er? — Wie lange dient er? — Bekommt er sein Geld und Tractament richtig?, i odbierał na nie odpowiedzi. W pułku tym służył młody polak, którego koledzy, jako nieświadomego języka niemieckiego, wyuczyli machinalnie odpowiedzi na te trzy pytania; i gdy król przypadkowo zmieniwszy porządek, rozpoczął od drugiego pytania: Wie lange dient er? Polak odpowiedział: Zwanzig Jahre. Król widząc że to młokos, pyta zdziwiony: Nun, wie alt ist er denn? i odbiera odeń odpowiedź: zwei Jahre. Zniecierpliwiony, mówi król z gniewem: Was?, bin ich denn, oder ist er verrückt? na co znów żołnierz najspokojniej odpowiada: Beides richtig.

Pośli do jednego gościńca na wsi. Zaszłá ich noc. Tak mówili temu gościnnemu znakami, że chcą nocować; ten starszy pokazował na ziemie i na słómę i powiadá: my wszyscy trzej. A ten drugi: my za piniądze. A ten trzeci: tak jest rychtyk. Gościnny kázál słomy położyć. A gdy sie ci wędrownicy pokładli spać, tak przyjachál okropnie bogaty pon, że niezkąd (nietylko) w kieszeniach, ale i w siedle i w butach piéniądze miał. Tak ten gościnny dał mu pościel i káuzál mu na łóżku posłać, temu pánu, ale w ty samy izdźbie gdzie ci wędrownicy spali. A jak ci wędrownicy posneli mocno i ten pán usnoł, tak ten gościnny wyszed ze swoji izdébki gdzie spál, i zabił tego pána i piniądze mu wszystkie poodbiérał. Potem żamknół gościniec gdzie ci spali wędrowniki, poszed na wieś po száltysa i przyprowadzieł go do gościńca i powiedziál mu, że ci wędrownicy tego pana zabili. A ten pon nie był zabity; bo to był nie pon, ino był diabeł, co tylko tak momiuł (mamił), bo ón chciał żeby ci wędrownicy od strachu gadali więcy jak potrzeba. Żeby byli gadali, toby ich sám bywszystkich trzech wziół. Tak ten szałtys powiada do tego gościnnego: Jakże óni go mogli zabić, tego pana?, kiedy óni tak tęgo śpią. — A gościny powiada: bo sie napili a po tem zabiciu widać układli, to tęgo usnęli. A szałtys sie dziwi że nie ućkli; ale budzi tych wędrowników, że mają wstać. Oni powstali, i nie wiedzieli co sie dzieje. Szałtys sie pytá: zabiliście wy tego pána? A ten starszy odpowiada: My wszyscy trzej; ten drugi: my za piniądze, ten ostatni: tak jest rychtyk. Tak gościny powiada do szałtysa: cóż chcecie szałtysie więcy, dyć wom sie przyznali. No dobrze, mówi szałtys, to sie zaráz ich powioże (powiąże) żeby nie umkli, i weźnie jutrzejszego dnia do komissourza.

Jak ich zaprowadzili do komissourza, ten sie pytál: zabiliście wy tego pána? — A óni mu odpowiadają tak samo jak szałtysowi. No, to pon widzisz, że sie przyznali dobrowolnie, mówi ón gościny. Tak komissourz odesłał ich do naciższego (najcięższego) h-aresztu, i siedzieli do wyroku, całki rok. Wtenczas przeszed rok i zapad wyrok, — mieli ich tracić.

Jak ich wyprowadzili na plac do trácenia, tak najprzód ten starszy ukléknół, a za nim i drudzy. Ten kat chtóry ich ścinać mioł, powiedział im przemowę, a ten gościny też tam przy tem stojał. A była tam blisko okropna studnia, głęboka. Już go miál

kat ciąć, tego starszego, a tu bije ta godzina w chtórą oni sie zaprzedawali (rokiem wprzódy). Wtenczas wstali wszyscy na nogi i powiadają: teráz będziemy gádać jak sie należy [1]). Ten gościnny nie czekał już, ażeby óni gadali, tylko skoczél w te studnią i utopił sie. A ci wędrownicy dopiero opowiedzieli swoje przytrefunki (przygody).

## 53.

## Kawaler-czart [2]).

Czeszewo.

Jedni ojcowie mieli córkę i chodził do nij kawaler co dzień na wieczór. Jak przyszed w jeden wieczór, tak ji się prosił żeby go odprowadziła; a ona niekciała. Ale matka ij kázałá go odprowadzić nie daleko, bo do siéni jéno. A óna poszła dalij.

A w téj saméj wsi bél kościół; a óna poszła z nim, i już była w kościele na progu. Wtém widzi, że ón tak latał po ołtarzach, tak łomał świéce, tak z(d)rucał wszystko — a óna potem powróciła do izby, i położyła się spać i nic nie mówiła matce.

Tak przylatá ten kawalir na drugi wieczór (a to był czart przeklęty) i tedy ją się prosi: żeby mówi powiedziała, co widziała, kiedy go odprowadzała. A ona mówiła: że nic niewidziała, nic nie słyszałá. A ón się pyta: co ŭolisz, czy powiedzieć coś widziała kiedyś mnie odprowadzała, czy żeby ci ociec umár.— Jak Bóg dá że mój ojciec má umrzéć, to umrze, a ja żeć nic nie widziałam i niesłyszałam. I ojciec też umar.

Tak przylata na trzeci dzień i powiada: żebyś była my powiedziała coś widziała, kiedyś mię odprowadzała, tobyś była ojca miała. Co wolisz czy powiedzieć coś widziała, czy żeby ci matka umarła. Ona: Ja nic niewidziała ani słyszała, jak Bóg da że matka má umrzeć, to niech umrze. I matka też umarła.

Przyleciał na czwarty dzień. A ón znów mówi: A widzisz, żebyś była powiedziała coś widziała, tobyś była matkę miała. A ona:

[1]) Obacz zakończenie baśni nr. 8 w Ser. VIII str. 20.

[2]) *Lud*, Ser. VIII str. 140. 17. — Fr. Schönwerth: *Aus der Oberpfalz* (Augsburg. 1859 t. III s. 318.

A niech umarli, kiedy pan Bóg tak dał że żyć niemieli, będą umarli, a ja nic nie widziałam. On: co wolisz, czy powiedzieć coś widziała, kiedyś mię odprowadziła, czy sama umrzéć? Ona: Nic niewidziałam. I zaraz poszła do pani do dworu, i powiedziała ij że ona jutro umrze, ale jak umrze, żeby ją nie położyli w izbie w podłuż ino w poprzek, nogamy do okna a nie nogamy do drzwi, coby ją oknem wynosili a nie dźwierzamy, i jak ją będą chować, żeby nie na smentarzu, ino kole smętarza, w rowie.

Jak kazała, tak ją pochowali — a z nij wyrosła lelija. Jechał pon; i mówił do służącego żeby mu ślaz (zlazł) ten kwiátek urwać. Służący zeszed i kciáł go urwać. A ten kwiátek powiedziát: nie rwij mnie; ten chto mię kce, niech mnie sobie przydzie sám urwać. I pän ten urwał go i wetchnął sobie za kapalusz. I przyjechali na nodzleg tam gdzie mieli nocować i kazał swemu kucharzewi kolacyją gotować. Zjedli kolacyją; lokaj posłał łóżko panu, i pän się położył spać, a lokaj usiad przy stole i czytał, a kapalusz pana leżał na stole.

Wybiła dziesiąta godzina, potem jedenasta; jak dwanasta wybiła, tedy wyszła panna z za kapalusza i mówiła: Hm, panowie się gościa nie spodziewali, bo na faforkach (farfurach) nidz nie zostawili. Jak tak panna wymowiła tak i zniknęła. Potem i lokaj się położył spać.

Na drugi dzień lokaj powiada to panu, co było w nocy i mieli jachać dalij, ale dla tego ostali na tém miejscu bez cały dzień. Kazał kucharzewi kolacyją ugotować i stół nakryć dla gościa. Lokaj poszed spać, a pan usiod przy nakrytym stole przy świcy, i czytał sobie. Wybiła godzina dziesiąta, jedenasta, j - aż dwanasta. Wyszła panna z zá kapalusza, i tedy powiada: Hm, to panowie dziś grzeczni, bo się gościa spodziewali i na faforkach zostawili. A w tém pän skoczył na nogi, i złapał ją za włosy, za warkocz. Ona go się prosiła żeby on ją puścił, bo już czas na nią. A ón ij nie puściéł, ale wzion ją sobie do domu.

Potem w domu, kciáł się z nią żenić i ożenił się — a na wesele pospraszał panów. Pojechali do kościoła; śli bez kościół — a w tem przylata ten sam (czart) do nij, i pyta się co woli, czy powiedzieć co widziała kiedy go odprowadzała, czy drugi raz umrzéć. Tak ci panowie (goście) wszyscy się do nij ześli w gromadę, i mówią żeby powiedziała, co widziała, kiedy go odprowadzała. W tém ona powiedziała księdzu i tém wszystkiem panom,

że dla niego ojciec umar ieji i matka umarła, i ona umarła, że nie odprowadziła go dc swoji siéni na próg, ale-ć ona już była w kościele na progu, potem ón látał po ółtarzach, z(d)rucał lichtarze, świce łomał, — a jak świce połamał i ona przyszła do izby, położyła się i nie opowiedziała nic rodzicom. Poczem on się (czart) w smołę rozlał w kościele, a óna ślub wzięła — i ja byłem na weselu — ale mi pod językiem było sucho — i pod nogóma piosek.

## 54.

## Djabeł i wdowa [1]).

od Kościana.

Jedná wdowa gospodyni, ratajka, miałá kilkoro dzieci. Tak tylko ona sobie samá w gruncie robiła, młóciła, orała i wszystko. Miała ostatnią kromkę chleba na stole dla dzieci. Przyszed diabeł, ten chlib ij porwał y poszed do piekła, okazuje tém drugim diabłom, że nimioł co ułowić, ale porwál ostatnią kromkę bidny wdowie, co miáła dla dzieci. Tak ten nájstarszy w piekle zará go wypędził z piekła i: biegaj na ziemię i będziesz pracował téj kobiécie na chlib [2]).

Przychodzi on diabeł do téj wdowy i mówi: Ty, mogłabyś mnie urządzić za parobka, ja ci béde robić w grujńcie. Tak óna go uznała że to był djabeł. — Ano dobrze, to ja cię urządze, bo mi nima chto robić. — I uszykowała baba sobie pu-szorek z lipowego łyka i uzdę z lipowego łyka i bat z lipowego łyka i zaprzęgła go do pługa i orała z nim od rana do południa. Na południe uwiozała go u pługa, ostawiła bez południe w polu i poszła na obiad. A gdy po obiedzie, znowu zaczéna z nim orać, i orała (h)oż do samego wieczora i uwiozała go znowu wieczór u pługa i ostawiła go w polu i poszła na kolacyją, a gdy rano wstała, sno u (znowu) zaczyna z nim orać oż do południa. Potem go uwiozała u pługá, i poszła na obiad, a ón tak stojał, miłosiernie patrzél, już bół zmęczony.

Tak szed jeden wędrownik, a on diabeł wołał na niego (bo ón sie wyprządz nimóg): ty, pódzi-no sá(m), bądź tak dobry

---

[1]) *Lud*. Ser. III str. 184 Ser. VIII. str. 167.

[2]) Obacz nr. 51.

i wyprząż mnie, bom téj babie porwał kromke chleba, a musze za to pracować na ten chlib a óna mnie okropnie morduje, bo mnie nie wyprzyrze (wyprzęże) nigdy, óna idzie na obiád i kolacyjom, a mnie uwióże u pługa za każdo razą i musze w polu stojéć, tak bądź dobry wyprzoż mnie, a ja ci tak zrobię, bédziesz wielkim dochtorem, bo ja pódię do tego miasta, jest tam okropnie bogaty kupiec, mo bardzo ładną panią, ja wlize w nio, a ty przydź do tego miasta i ty mnie wypędzisz.

Tak ten człowiék go wyprząg, a ten diabeł poszed do tego miasta i wloz w te panią. Tak ten wędrownik przyszed do tego miasta za nim, a tó okropnie lamencili, co sie to zrobiéło, żeby te panió chto móg uratować, więc by trzy tysiące tal(a)rów nie żałował kupiec. Tak ten wędrownik sie obznajmuje że ón ją uratuje od śmierci. Pósłali pó niego, — przychodzi wędrownik do ty pani i rznoul (rznął, uderzył) piéścią w stół i zawołał: wychódź szatanie z ty pani! — Tak ón djabeł natychmiost wyszed z nij. I ta pani wstałá i była zdrowá. Kupiec ten dół mu trzy tysiące talrów.

Tak ten diabeł znou powiedział do tego wędrownika, że pódzie do tego miasta drugiégo; jest tam okropnie bogaty pon i ja wlize w niego, a gdy óni sie o tobie dowiedzą, to po ciebie jako dochtora przyjadą powozem, to ty mnie znou wypędzisz z niego. Tak ten chory pán sie dowiedział że w tym drugim mieście jest dochtór okropny i kázał zaprzągać sztyry konie do powozu i posłał po niego. A gdy przyjachał dó tego pana,: jeżeli mnie dochtorze uratujesz, to ci dom trzy tysiące talerów. Dochtor schwycił pana za rękę, posadził go na łóżku i: wychódź szatanie przeklęty z tego pana. Diabeł natychmiost wyskoczył, i pán został zdrów. Pan temu dochtorowi dał trzy tysiące talrów.

A ten diabeł znou do tego wędrownika powiedział: teraz jużeś jest dosyć bogatym, więc já teroz pójdię do tego miasta, jest tam bardzo bogatá pani, i wlizę w niom, bo mnie do piekła nie chcom przyjąć, ale tam już nie chódź, bo tam mnie nie wypędzisz. Ten wędrownik kupił kopę raków i káždemu rakowi przylepiuł świczke na plecy i obstalował sobie kielku chłopców i dał im zwónki, káždemu chłopcu zwónek i te raki popuszczał kole tego pałacu naokoło i pozapalał te świczki, a tém chłopcom kouzał latać naókoło tego pałacu i temi zwónkami brząkać y w kościele zwónić, i z takiemi brzękotami przyszed. Ten wędrownik

poszed do ty pani (i mówi do diabła): a czy ty nie wisz, że cie ta baba (coś u niej służył) szuka z ożegiem; kázała zwónić w kościele y z chłopcami szukać, boś ty miol pracować na chlib, a tyś ij uciék, więc umykáj co możesz, bo widzisz jaka jasność kole pałacu już jes(t) i brzęk od zwonków, że już ta baba wié gdzieś ty jes(t). — Co? ta baba mie szuko? to ja wolę umykáć do nagéściejszego boru, a do ty baby nie pójde, bo by mnie była umorzyła. I znowu go wędrownik wypędziuł z té pani i także dostał znou trzy tysiące talrów, i był okropny bogácz.

## 55.

## Hemp - hamp [1]).

Czeszewo.

Ráz bél jeden chłop, kómornik, miál bardzo piękną żone. I do ty żony mu zachodził sługa kościelny. Wtém rázie, ten człowiek zmarniál; bez to, że mu to dość ubywało w swojém domu. To też ona, że nie béla duszná (dobra, uczciwa), bez gwałt kciáła męża zgładzić ze świata. Ale nie wiedzieli jakim sposobem.

A ten pán sie drużył (przyjaźnił) z kościelnym bardzo dobrze. Wtenczas ten kościelny mówi do tego pána: Ten a ten chłop (komornik) sie podejmuje dzisiejszéj nocy, panie, wystawić ci płot kole twego całego podwyrza żelazny. — Káże sobie ten pon tego chłopa wołać i mówi: Człowieku, pony's ty jest, i wiem żeś jest ty (w) możności, że my (mi) dzisiejszy nocy wystawisz płot żelazny; gdy my tego nie zrobisz, bedziesz stracony.

Tak ón kómornik idzie do domu, markotny, dziwo (o mało) mu serce nie pęknie i użala sie przed swoją (żoną). Ta żona jego mówi: Moje dziecko, ty raza (ani razu, nigdy) tego nie zrobisz; a niż cie taki obieś z pána má powiesić albo stracić, na! (na masz) ty powrózka, bie(ż), sie obieś (powieś) som.

Wzión ón ten powrózek, poszed do boru pod taką krzywą brzózke pole (wpodle, koło) głęboki strugi. Aby (ale) obawia sie, ogląda sie na wszystkie strony. Wychodzi z ty strugi chłopyszek niewielczki, w zieleni ubrany i powiadá do niego: co ty tu

[1]) *Lud* Ser. III str. 174.

kcesz? — Já sie chcé powiesić, w takim i w takim interesie. — Bież do domu i połóż sie spokojnie, jutro rano ten płot będzie gotowy[1]).

Ów chłop poszed sobie do domu. A ta żona powiadá: toś ty przyszed nazod, a wiesz co ciebie czeka? — A ón powiadá: daj mnie pokój. Położył sie spać. Názajutrz rano z ciekawości, skoro dzień, idzie obáczyć czy ten płot gotów. A tu płot, ino sie tak miéni. Idzie na dziedziéniec w ty wesołości, melduje sie pánu.

Po tém mu napowtór ten pon nakázuje: kie-ś ty my płot zrobił, to my téż ty nocy, zrób kanał w mojim ogrodzie, kamińmi wymurowany, i karpie w niem żeby sie ino tak wolgały (pływały); bo jak nie, to bedziesz wisiał.

Smutny znowu odchodzi kómornik. I téż dzisiejszy nocy przychodzi do swoji żony, użala ji sie. Óna mu powiadá: Moje dziecko, kiedy cie ten pán guli tego (g'woli, dla tego) má obiesić, obieś ty sie sám. I dała mu znowu stryczka. On poszed do ty brzózki, ogląda sie na te i na te strone. Ów chłopek, ten sám co przód, wychodzi do niego: bie-bie (bież) do domu, połóż sie i śpij, i (w)cále sie żonie nie pokazuj; kanał jutro będzie gotów. — Rano, ów chłop wstał, idzie z ciekawości naprzód obáczyć ten kanał. Kanał jest zrobiony; karpie w niém są. Idzie do pana meldować.

Pán do niego: no, kie-ś ty my zrobił płot i kanał, to my też zrobisz hemp-hamp. — A co to, panie? — Nie pytaj sie, ino zrób jak ci kázałem.

---

[1]) W żywotach ks. Skargi czytamy: S. Lidwina, Holenderka, wiele ludziom i duchownym rady zbawiennej dawała i z wielkich je pokus wybawiała. Zacny jeden człowiek wpadł we złe myśli i czartowskie pokusy i obiesić się usilnie chciał; czego gdy mu spowiednik odradzić nie mógł, uciekł się (spowiednik) do rady św. Lidwiny. A ona go nauczyła, aby z pokuty i posłuszeństwa obiesić się mu (człowiekowi) rozkazał, wiedząc, iż czarci mu tego, gdy to tém sercem uczyni, nie dopuszczą. I gdy nie śmiał tego kapłan uczynić, ona na się grzech wzięła, i usłuchał kapłan. A on gdy się wiesił, czarci którzy go oną śmiercią na potępienie wprowadzić chcieli wnet mu powróz urwali i pod ławę go wrzucili, rozkazując aby się nie wiesił; tak wolnym od onej pokusy został.

Przychodzi ón do domu do swoji żony: terá mi pon nadáł takie, co wcale ślipy (oczy) ludzkie nie widziały ani uszy nie słyszały. — Ona: to ty jednak, moje dziecko, nie wykonasz; już twoja śmierć będzie pórno (niezawodnie, pewno) ale na! mász stryczka, powieś się lepij sám, bo ón ci coraz więcy będzie nadawáł, i ráz, skończone będzie twoje życie.

Wzion stryczek, poszed do owy brzózki, ogląda sie na wszystkie strony, ale tego nie widać. Czeka tak i już patrzy na brzózkę. Potem, tak za godzinki pół, znájduje ón sie do niego: terá jużeś przyszed ostatni ráz do mnie w porade. — Ułomáł różczke z ty brzózki ten zielony chłop: na mász te różczkę, a jak kopniesz tą różczką i będziesz mówił: przylgnij! to óno wszystko przylgnie; jak znou szaśniesz tą różczką i będziesz mówił: odelgnij! to też to odelgnie znowuj; teráz bież do domu i skrycie wliź do swoji izby, żeby cie nikt nie widziáł.

Potem przyszed kościelny do jego izby. Żona nie wiedziała o swojem mężu, że ón tam był pod łóżkiem, ale wystawiła stoczną kolacyją. Jak sie najedli obaj, óna z kościelnym, tak usiedli na łóżku. Ale miała tam wázkę, poszła do nij; on też kościelny zaráz po nij do wazki. Jak tak stoją przy ty wázce; a tu mąż nagle wyprys(ł) i szasnął ich bez tył i mówi: przylgnij! — Tak óni obaj przylgli do ty wazki jak stali. I tak ich wzion, wygnáł i pędzi do dworu.

Tymczasem zrobił sie dzień. Pędzi pastuż bydło, krowa leci naprzód wprost na nich; jak przyszła do nich, tak ón tą różczką krowę bez zad, krowa przylgła do nich. Za tą krową idzie byk, leci i szujsnął na to, a ón tą różczką byka bez zad, — i przylgnoł, i pędzi wszéstkich czterech na podwyże. Skotarz leci, łap za kij, i chce byka uderzyć; ón go szast bez tył, i ón przylgnął i trzymá ten kij do góry. Aby (ale) idą ludzie na zaciąg z cepami, widłami, grabiami; káżdy na nich bije, bo pon krzyczy żeby to rozegnali; tak ón każdego szast bez tył rózgą, każdy przylgnął do nich. Przygnáł to wsiórko (wszystko) w kupce na dziedziniec. Melduje sie do wielmożnego pána, żeby przyszed obaczyć ten hemp-hamp, co ón żądał.

Pán wychodzi na wieś (na dwór) oglądać. Bawiło go to. Kole godziny jedenasty mówi ten pán do niego: Ej chłopie, coś my ty tu zrobił! tu wszyscy ludzie mi mudzą, południe nadchodzi, i nic nie zrobiono. A ón: a pon tego kciáł. — Pán: ale

odczyń my to wszystko, proszę cię, a bedziesz spokojny w swojém gospodarstwie.

Potém wzión ów chłop ty różczki, i każdego: szas! bez tyłek, odelgnij, odelgnij! — i puszcza jeden drugiego. Jak zaś przyszło na ostatku do kościelnego i ty kobity, nie potrzebował już gadać, bo zielony chłopek przyleciał i wzion ich oboje; i chwili nie warowało (trwało). Bo to był czárt; więc za te jedną dusze co oni chcieli zgładzić dostał diabeł dwie.

## 56.

## Jabłoń.

(Rogi [1]).

Morownica.

Raz jeden chłopak bidnego kómornika pas(ł) cztyry proszczaki pod borem i usnół. Te proszczaki poszly mu do boru i zginęły mu. Tak ón, jak ocuciél, idzie do tego boru szukáć tych proszczaków. Ale że ich znaleść nié móg. Tak powiadá sam do siebie: kiedy-ć mi świnie zginęły, toć i ja nimóm roboty do dom chodzić; ja też pójdię teraz gdzie mnie oczy poniosą. Poszed.

Idzie kawał w bór; natrafił parę jabłoni. Na jedny jabłoni były jabka; jak zjad jedno z nich, zaráz wyrós mu róg na głowie. Tak, ón okropnie w chłopocie że mu ten róg urós; jak ón go zdéjmie? — Powiadá sam do siebie: przecie tu muszą być takie jabka, co sie ten róg séjmie (zdejmie) z głowy. Tak, idzie do drugi jabłonki, urwie znou jedno jabko, i zjad to jabko, ten róg mu śloz (zlazł) z téj głowy. Tak, ón urwoł kielka jabłek z téj i kielka z téj jabłoni; takich kielka co od nich rogi wyrastają, i takich kielka co sie to rogi syjmą (zdejmą).

Tak, idzie z temi jabkami, a każde mioł osobnie, do miasta i sprzedaje te jabka. Tak sie trafiełó, że jednego bogatego kupca córka, panna, kupiła sobie takie trzy jabka od niego, dała siojstrze jedno, a óna sama zjadła dwa. Onéj wyrosły dwa rogi na

[1]) *Lud* Ser. III str. 146—147. Ser. VII str. 219. nr. 65; tutaj młodzian błaga Boga o złote rogi. — K. Szulz: Mythologija słowiańska str. 201 (Byk, pies, jabłonka).

głowie, a jeji siojstrze wyrós jeden róg. Tak, lamencą okropnie te córki, co óne teroz bédą robiéły z temi rogami.

Tak, ten kupiec posłał po doktora i chcom te rogi zdjąć. Doktór nie chciál sie podjąć tych rogów s y j m o w a ć (zdejmować). Melduje sie ten chłopák co te jabka sprzedawál, że ón doktorem jes, żeli dostanie dobrze zapłacono, to ón te rogi syjmie. Tak, posyłają po niego, i powiadają: jeżeli te rogi syjmiesz, za każdą córkę dostaniesz trzysta talarów. Tak ón, wzión jabka téj drugi jabłonki, i dał tym córkom s-jeść; téj co miała dwa rogi, dał ji dwa jabka, a co miałá jeden róg, dál ij jedno jabko. I rogi jim odpadły. Dostał szcześcet talarów i powiadá: eh, kiedym tyla piniędzy już dostał, to teráz pójdię dalij.

(W dalszym ciągu chłopak ten spotyka zwierzęta różne, jak to opiewa bajka: Wilk, lis, zając, kot i kogut).

## 37.

## Chłop i djabeł.

Powiastka gminna z nad Warty.

Ułożył ją wierszem F. M. i mówi w przypisku: „Powieść ta po kilku bląka się krajach, a w każdym odmiennie opowiadana; ja wolałem ją skreślić podług tej wersyi, jaką wyrobiła ludu naszego wyobraźnia. Godném jest zastanowienia, że gdy gdzie indziéj czart nakoniec tryumf odnosi, chłop w naszém opowiadaniu ciągle jest zwycięzcą, i djabłu nawet przemódz się nie daje".

1. Dziwiąc się djabeł zmyślnej chłopa głowie,
zaczął i dumać i marzyć.
Ot! wiész co, chamie, tak do niego powié:
pójdźmy! razem piwo warzyć.
2. Pójdźmy! rzekł Szymczak — i już kocieł grzeje,
na tęgie piwo się sadzi;
warzy i warzy, mięsza, — spuszcza, — leje,
i ot cały war już w kadzi.
3. Dzielmy-ż się teraz, djabeł się odzywa;
Szymczak działu nie odmawia:
dzielmy się, rzecze, i wierzch bierze piwa.
a djabłu drożdże zostawia.

4. Źle coś! czart woła, zmieńmy więc umowę;
posiéj mi ziarno na grzędzie:
ty sobie spodnią zabierzesz połowę,
a co z wiérzchu, mojém będzie.
5. Sieje więc chłopek na wspólne korzyście,
wschodzi, rośnie plon wzbujały.
Przyszło do działów, — djabeł dostał liście,
a rzepy chłopu zostały.
6. Czarcią, rzekł djabeł, masz chłopie naturę;
widzę, że jesteś mądrzejszy;
lecz jeszcze jedno: — rzucajmy się w górę,
a ujrzem, kto z nas mocniejszy.
7. I porwał, schwycił (chłopa), i z takim zamachem
śmignął go łapy silnemi,
że chłop z pięć sążni uleciał nad dachem,
nim go czart schwycił przy ziemi.
8. Tęgi-ś chłop rzeknie, zbladły i zdyszony,
myślałem że już nie wrócę;
lecz teraz kumie, pójdźno w moje szpony,
niech i ja ciebie podrzucę.
9. I w pas go bierze i za róg pochwyca,
i tak w dwojgu rąk go trzyma;
lecz zamiast rzucić, — nagle w twarz księżyca
wrytemi patrzy oczyma.
10. I patrzy, patrzy, a nasz czart się dziwi,
choć djabeł, — pojąć nie zdoła;
aż wreście gdy się znudzi, zniecierpliwi,
czego tam ślepisz? — zawoła.
11. Ślepię, rzekł Szymczak, bo wprzód rzeczy ważę,
nie chcę cię rzucać daremnie;
czekam aż się tam mój tatuś pokaże,
co cię odbierze ode mnie.
12. Co! ryknie djabeł, czyś głupi? szalony?
wydarł się z ręku Szymczaka,
i jakby wodą święconą sparzony,
aż w piekło urznął drapaka.

(Czasop. *Przyjaciel ludu.* Leszno 1838 rok 4ty N. 31).

Ob. *Lud* ser. III (Kujawy) str. 185 (o djable i babie). Ser. VIII str. 290.

## 58.

## Chłop i diabeł.

(Z zbioru gminnych gawęd wielkopolskich).

(*Przyjaciel ludu*, Leszno 1840, rok 6. N. 33. 34. 35).

Zapewne nie jednemu z was, których nie razi widok ubogiéj chatki wieśniaka, zakopciałe jéj ściany i proste sprzęty; którzyście się z rozkoszą nieraz przysłuchiwali jego dziwacznym opowiadaniom: o powrocie dusz po śmierci, o wodzeniu po kałach, kuszeniu i. t. p.; zapewne, mówię, nie jednemu już się tam dowiedzieć zdarzyło, że jak dziś przebiegłym i mądrym, tak niegdyś djabeł zupełnie był głupim. Zkąd taka zmiana? kto go ucywilizował? jakie trudności i koleje przebiegała ta kultura? — o to raczycie zapytać krytyków, jak n. p. panowie Gawędzki i Dudziński, pod Karpatami żyjący; ja[1]) wam tylko ustami ludu chcę stwierdzić, że i jak istotnie dawniéj djabeł bardzo był głupim!

### I.

W jednéj z wioszczyn Wielkopolski, lecz któż to wié w któréj i kiedy? dosyć, że w jednéj z tych wiosek, żył sobie chłopek pracowity i rzędny. Owoż też w jego zagrodzie nie zbywało na niczém: w stodółce był zboża zapas, w oborze bydełko jak ulane, w domu chleba i miodu sporo, w sakiewce grosz na zawołanie. Ale Tomek (takie jego imię) nie miał przyjacioł, i nawet nie dbał

---

[1]) „Przed niejakim czasem umieszczono w Przyjacielu ludu interessowną dwóch tych panów rozmowę o gadkach gminnych. Odznacza się ona szczególniéj nadzwyczajną umysłu bystrością i oryginalném postrzeżeniem, że owe powiastki, te proste utwory dziecinnéj ludu wyobraźni, są allegoryami!. Szkoda, że szanowni badacze może za daleko posunęli ostrość swéj krytyki, dając dość jasno do zrozumienia, iż owe drogie pamiątki patryarchalnej ludu naszego przeszłości, częstokroć też tylko nazwę takowych nosząc, niczém więcéj nie są, jak wymysła mi ich mniemanych zbieraczy. Byłaby to lekkomyślność, lekceważenie narodowych świętości, którego nikt mniéj się nie dopuści, jak piszący dla ludu". (Przypisek redakcyi).

o nich. Lecz co najdziwniejsza, że, choć nikomu w życiu najmniejszéj nie wyrządził krzywdy i z nikim się nigdy nie zwaśnił, każdy od niego stronił, jakby od złego ducha. Sąsiedzi dziwne o Tomku powiadają rzeczy: że na msze, do spowiedzi nie chodzi, że musi z Złym trzymać, boć od Boga nie pochodzi ta jego pomyślność. Wszakżeż i na Tomka przyszedł skweres nie mały. Piorun chatę mu spalił; ledwo wzniósł drugą, gdy nowy kłopot: inwentarz mu wypadł, w polu wszystek plon pognił. Aż tylu nieszczęściami przygnębionego, jakby na domiar wszystkich, ciężka niemoc powaliła o łoże.

Stan kmiotka był opłakany. Uzbierany przez lata pomyślności pieniądz, wyszedł na budowlę, na nowy inwentarz, zakup żywności, nawet i długu nieco zaciągnąć musiał. Lecz wszystko to bez użytku, gdyż ręka gospodarza była bezwładną. On na twardém z desek, troszka słomy posłaniu, coraz to gorzéj się miał. Choroba wymagała pielęgnowania; nikt mu go nie niósł, bo każdy nawet próg chaty przestąpić się lękał. Zrazu biedny, jak mógł mocował się z niemocą; lecz wkrótce sił brakło, leżał więc nieporuszony, a śmierć coraz srożej w oczy zaglądać poczęła.

Sąsiedzi nazajutrz z pierwszym zaraz świtem wyszli na robotę. Ale jakież było ich podziwienie, gdy ujrzeli Tomka około chałupy, znów zdrowo i żwawo się krzątającego. Dziwnie potrzęśli głową i szybko odeszli w milczeniu. Za powrotem do domu powiadają im żony, że dziś w północy strasznie świstało i chychotało się około Tomka chałupy, aż włosy na głowie stawały; pewno bies przyszedł po jego duszę, bo pono wczoraj bardzo już źle z nim było. Zwyczajnie, jak proste kobiety.

Nadszedł tymczasem wieczór. Tomek siedział zadumany przed chałupą, kiedy coś strasznie zaszumiało i zahuczało w powietrzu, i ukazał się przed nim djabeł: z końskiem kopytem u jednéj, kurzą stopą u drugiéj nogi, z długim ogonem, rogami na łbie osmolonym, i z sążnistym nosem na potwornem obliczu [1]). Chłop się wzdrygnął mimowolnie, lecz djabeł rzekł:

„No kmoterku? cóżeś się tak zadumał? czyć jeszcze czego potrzeba?“

---

[1]) Takiego djabła widują jeszcze dotąd pod Goruszkami, za zniesionym klasztorem OO. Reformatów, (w powiecie Krobskim).

O i bardzo, bardzo jeszcze wiele.

„Czegoż więc, gadaj!“

Hanu! — pieniędzy; boć oto biéda wszystkiemi dziury zagląda, a nie ma jéj czém odegnać (odpowiedział Tomek drapiąc się w głowę).

„To fraszka“ odparł djabeł, „tych ci pożyczę; mów tylko, ile?“

Przynajmniéj, przynajmniéj, kumie — (zwolna chłop na to, rozkładając rękoma i poglądając w ziemię) — ile owo w tę piazdę od koła się zmieści.

„Dobrze; poczekaj chwilkę, zaraz wszystko mieć będziesz kmoterku!“ rzekł usłużny djabeł i jak piorun sunął w powietrze, z takim trzaskiem i szumem, że cała wieś zadrzała, a wszystkie grusze w polach i sadach do ziemi się przygięły.

Ledwo chłop koło ustawił, już był djabeł z powrotem, z ogromnym na barkach miechem pieniędzy.

„Gdzież miara kmoterku? bo jestem.“

Dyć oto, oto, mój kumie (odpowiedział Tomek).

„Ale tu tak ciemno, kmoterku; ja nic nie widzę.“

Anu, mój kumie, (rzekł znowu chłopek przebiegły); u światła mogliby nas ludzie zdybać. Trzeba nam już tu pozostać.

„Więc poczekaj!“ — I rozerwawszy miech, począł sypać w koło. O jakżeż rozradowało się serce Tomka, gdy posłyszał brzęk złota! Teraz, teraz, to ja dopiéro zadrwię sobie ze świata, pomyślał w duszy. Ale w tém coś pociemniało mu w jego myśli, bo się zadumał; lecz spojrzał na błyszczący kruszec, i smutek zniknął. Djabeł tymczasem jak sypie, tak sypie, a piazdy napełnić nie może. Aż zniecierpliwiony, krzyknął:

„Pioruńskie, kmoterku, masz koło! Jużem co nie pół miecha wytrząsnął, a jeszcze ni znaku!“

Anu, kumie, zważcie téż jeno, że złoto ciężkie i że się usadza.

„Masz racyą, kmoterku.“ — Już się też i druga wypróżniała miecha połowa, gdy djabeł raz jeszcze trząsnął i poskoczywszy, z radością zawołał:

„Przecież zatkałem. Lecz patrz, kmoterku, jak'em odmierzył: żeby też jeden nie został dla mnie!... Ale teraz, bracie, kiedyż dług zwrócisz?“

Co do tego, mój kumie, toć już nie prędzéj, aż liście z drzewa opadnie.

„Dobrze“ rzekł djabeł: „ale pamiętaj też i o drugiéj ugodzie, którąśmy dzisiejszej nocy zawarli; pamiętaj że po latach siedmiu i o duszę się będziemy rachować. Bądź zdrów tymczasem.“

Tomek zadrżał na to wspomnienie, począł szczerze żałować za czyn co popełnił, kiedy doń złoto tak rażącym i tak miłym zaśmiało się blaskiem, że znów o wszystkiém zapomniał. Uniósł z zapałem koło, i tu dopiero nieokreślona roskosz owładnęła mu zmysły, gdy dół, nad którym je mimo wiedzy djabła był położył, cały czerwonemi złotemi zapełniony ujrzał. „Ha kumie! wykrzyknął z radości; „jam widzę jednak od ciebie mędrszy, choć'eś ty djabeł, a ja chłop. Kto wie, może się wreszcie i pokwitujem tak gładko?“

## II.

O Tomku dziwnie lud we wsi plecie. Stare kumoszki widują go często: to w ognistym płomieniu, rozmawiającego na polu z okropnym djabłem; to jak z ogromnemi skrzydły leci po nad lasem; to znowu wysoko, wysoko stojącego gdzieś w obłokach z szatańskim uśmiechem na licu; gospodarze zaś znów w nocy słyszą, jak rachuje nieprzeliczone skarby i znów ukrywa w zakątach domu, czy w ziemi.

Tomek, chociaż dziś pan bogaty, nie zmienił dawnego obyczaju; jak był, tak jest sobie prostym i pracowitym chłopkiem. Tylko że nie dba o Bogu; ksiądz z ambony rzuca nań klątwy, on ani zajrzy do Pańskiej świątyni.

Już się ma dobrze pod Wrzesień; bliżej uważający sąsiedzi powiadają, że Tomkowi coś strasznego roztacza duszę, bo bardzo zasmutniał; często nawet jak obłąkany chodzi po polach; nieraz go noc tam zaskoczy. Lecz któż odgadnie, co go tam dręczy? Tak mówią ludzie. Tymczasem na łanach coraz to widniéj: zboże po zbożu schodzi do stodół, blade tylko po sobie zostawiając ściernia. Z drzew takoż znika zieloność, liść po liściu żółknie i za każdym wiatru powiewem w coraz liczniejszych gromadach na ziemię się sypie; a psotny wiaterek, jakby go radowała ta igraszka, coraz to silniej podmuchuje. Aż przybiegą mu w pomoc szrony i na drzewach już tylko gołe pozostały gałęzie.

Cudny był ranek. Słonko dopiero co wstało z różanego posłania, a już tak mile spogląda na osierociałą naturę! Wiatr od

północy się zerwał i mroźno dąć począł, gdy zajrzał w czarujące jego liczko, i mimowolnie ogrzane mu opadły skrzydła, i tylko ciepławym chłodem muska rankiem ozłocone trawki. Skowronek, smutnie przyczajony na niwie, chociaż się zdawna już wyprzysiągł śpiewu, teraz mimowolnie w niebo podleciał; dzwoni wesołą piosnkę swojéj królowéj. Jastrząbki go widzą ze szczytu olsz zeszkieleciałych, przecież nie gonią, bo patrząc na świetną dnia gwiazdę, zapomniały o żarłoczności. Wróble nawet, te prostaki bez głosu, rozkosznie dziś skaczą po dachach i jak mogą wyświstują, a skurczona na wierzchołku gruszy wrona, chrypkim dopomaga im krakiem. Po nad niskiemi strzechy wioszczyny, w powietrzu dymy w niebieskawe układają się kolumny, jaskółki gromadami spędzają, a w dole, po zagrodach, dziewczęta wydajają krowy, uprzątają podwórka i ponucając, raz po raz spojrzą, czy tam gdzie przez płot nie zagląda Jonek lub Ignacy, a bliski kiermasz warczy im w sercach, jak głośne skrzypki Szymka przy tańcu. Czasem się koło nich przetoczy zamyślony gospodarz, czasem przebiegnie żywo jego krzepka żona i dziewkom krzątać się kaze, nawet i dobrze ofuka, gdy bezczynne zoczy.

Z porannym brzaskiem już i Tomek, jak zwykle, w podwórzu. Spojrzał na słońce i ciężko mu na sercu; ono tak czyste, w jego duszy tak ciemno! Posłyszał wesołe śpiewy sąsiadów, miłe rozmowy gospodarzy z gospodyniami, i łzy mu w oczach się kręcą.

Zadumał się i pomyślał: jakżeż szczęśliwi, choć stokroć ubożsi ode mnie; a ja?... I cóż mi przyniosło to złoto, co tam bez użytku leży?... W samotności płyną moje lata; — nie ma do kogo ust otworzyć; nie ma podpory w starości....

Ale w tém pociemniało dokoła; wicher strasznie zawył i groźnie potrząsł gałęziami, i djabeł stanął przed Tomkiem, taki sam, jak przed rokiem.

„No, kmoterku! liście z drzew opadło; przychodzę po dług mój.“

Chłop spojrzał na niego, i śmiejąc się, odpowiedział zimno: O kumku! nim z wszystkich drzew liście obleci, pierw nam obojgu dobrze posiwieć trzeba.

„Co?“ krzyknął przelękniony wierzyciel: „co ty gadasz? patrz, wskaż mi choć jeden na drzewie.“

Hoho, nie jeden! (śmiejąc się rzekł Tomek), ale i sto wam pokaże kumku. Chodźcie no tylko!

I wyszli żwawo z zagrody, przez pole, po nad łąkami, biegną oboje, aż stanęli w ogromnym lesie sosnowym. Tomek rzekł djabłu, wskazując na drzewa: A co kumku? czy widzicie ile ich tu jeszcze?

„Ha!“ ryknął djabeł, „czemuż'em osieł prędzéj o tém nie wiedział. Ale poczekaj-no chamie! jeszcześ mi nie uszedł.“ I porwawszy się z wściekłością, wskoczył na sosnę i począł zrywać ostre iglice. Lecz jeszcze trzeciéj nie oberwał części, gdy cały krwią zbroczony, po nogach i łapach i łbie pokłuty, ryknął z rozpaczą: „Przeklęty chłopie! niech ciebie piorun zatrzaśnie! widzę, że jesteś mądrzejszy. Nie chcę pieniędzy, ani nawet twej duszy, bobyś ty mi chamie! stokroć wprzód moją z ciała wydarł.“ I nie obejrzawszy się więcej, z grzmotem odleciał [1]).

Tomek w zadumaniu powracał do domu. Wieczór nadchodzi; niebo się wyjaśniło: znowu tak pięknie jak nad rankiem. Tomkowi znów ciężko na sercu, te same troski co wtenczas ściskają mu duszę. Spojrzał na wioskę, i mimowolnie jego oko spoczęło na krzyżu kościółka. Tomek go nie odwrócił, jak dawniéj, bo jakaś wyższa władza rozkruszyła zatwardziałe serce i po tylu latach, w duszy grzesznika zajaśniała znów myśl o Bogu. Za nią stanęły: odszczepieństwo od wiary i kościoła, starość, przyszłość okropna! Żal ścisnął serce chłopa, padł na kolana, złożył ręce, wzniósł oko do nieba i modli się gorąco o przebaczenie win.

O północy dopiero posłyszano w podwórku Tomka zgrzyt fórtki i wchodzącego do chaty gospodarza.

## III.

Dzisiaj odpust w parafii. W kościołku ludu pełno, i starych i młodych, mężczyzn i kobiet, a wszystkich twarze podziwem zamroczone, wszyscy do siebie z cicha coś szepcą i oczy w jedno

---

[1]) J. G. v. Hahn: *Griechische und albanesische Märchen* (Leipzig, 1864, Th. I. s. 173). Herr Lazarus und die Draken. Tutaj drako gra rolę olbrzyma głupiego, jak u nas diabły. Gdy drakosy chcą wody ze studni do sziedzib swoich, to Lazar kopie na około studni dół, mówiąc im, że ją c a ł ą do nich p r z y n i e s i e. Gdy chcą drzewa, Lazar opasuje sznurem wszystkie drzewa (na granicy lasu) mówiąc: że im odrazu c a ł y l a s p r z y n i e s i e, gdy oni tylko po jednem drzewie z niego wyrywali i. t. p.

obracają miejsce. Tam ksiądz w konfesyonale siedzi, przy nim klęczy chłopek, już w latach, lecz jeszcze krzepkiéj postaci, w modréj sukmanie z pętlicami, na którą spływa włos posiwiały z obliczem pełném skruchy i boleści, z złożonemi na krzyż rękoma. kapłan odmówił nad nim modlitwę po łacinie i przeżegnał. Chłopek się przybliżył i zaczyna spowiedź. Ksiądz grzesznika słucha; widzi, że coś strasznogo wyznaje, bo po obliczu kapłana bladość i oburzenie na przemiany błyska; zimny pot leje się strumieniem, a oko strasznym sądem jaśnieje. Organista na chórze już szóstą pieśń kończy z ludem. Pasterz jeszcze nie uwalnia grzesznika, — wyznał nareszcie wszystko. Ksiądz z wrytą w ołtarz źrenicą znowu po łacinie odmawia nad nim modlitwy, żegna po trzykroć, podczas gdy chłopek z pochyloną do ziemi twarzą silnie się uderza w piersi i Boga o przebaczenie prosi. Ksiądz się oddalił do ołtarza, rozpoczyna mszę świętą. Chłopek padł krzyżem i przez cały ciąg ofiary leżał.

Po nabożeństwie chłopki do karczmy się schodzą — długie obsiadają stoły i przy półkwaterczach gorzałki coraz głośniéj to o tém, to o owém gwarzą.

„Ale mi téż powiedzcie, Jasiu“ rzekł Kuba, „cóż się stało z tym zakamieniałym bezbożnikiem, tym kmieciem?

„A nu“ — odrzekł Jan — „przyszedł rozum na stare lata, i upamiętał się przecież.“

„Nie, kumotrze“ — odparł znów Kuba — choć'em tego człeka nigdy cierpieć nie mógł, przecież dziś, jak'em go tak skruszonego zoczył przed konfesyonałem, gwałtem mi się łzy z oczu rwały.“

„Ho!“ — zawołał Ignacy — „dość też sobaka nabrojiła złego; żeby mu tylko dobrodziej dobrze tam był natarł uszu. Nie ma go co żałować.“

„Kumotrze“ — przerwał Jan, — „kiedy mu pan Bóg przebaczył, nam się już nań bluźnić nie godzi; owszem jako nawróconego brata przyjąć znów do siebie.“

„Co to, — to już pono nie będzie podobno, mój Jasiu“ — odparł Ignacy. „Zaraz po kościele zniknął, i, jak powiadają, podobno już więcéj nie wróci do wsi.“

„Kiedy-ć tak, to niech tam Bóg szczęści pielgrzymce i zapomni mu wsystkich grzechów.

Po kilkunastu latach, — tak dodaje powieść — jechała przez wioskę bryczka, na niéj siedział posiwiały zakonnik w habicie. Gdy mijali wąwóz, po nad którym dość długie rozwlekało się topielisko, woźnica jął się żegnać i konie żwawo poganiać; noc była ciemna.

„Cóż to ma znaczyć, Szymonie?“ zapytał kwestarz.

„A bo Dobrodziéj nie wié?“ — rzekł woźnica. — „Adyć to tu przecie, co djabeł chłopa wodził. Tylko, iż Bóg był mocniejszy i obłąkaną przezeń duszę czartu odebrał. Chłop się upamiętał, żałował za grzechy i gdzieś w świat odszedł na pokutę. Bies zaś ze złości snać całe mieszkanie zatopił i z niém pono wielkie skarby. Nieraz one tu się palą o północy, a rogaty nad niemi wykrzykuje i przejeżdżających zawodzi w błota. O, nie ma tu co bawić, Dobrodzieju!“

Zakonnik westchnął głęboko i rzekł do Szymona:

„Zmówmy za wybawionego paciorek, Szymonie; on jest przy tobie.“

Woźnica pojrzał na mnicha z przestrachem, lecz widząc go zatopionego w modłach, sam złożył z głowy czapkę i przeżegnawszy się, coraz żwawiej jął poganiać konie [1]).

*B.....*

## 59.

## O chłopie i o czarcie.

Od Czempina (Brodnica).

Jeden chłop, rataj był bardzo biédny, ale był bogabojny i pracowity. I kusił go czárt, żeby mu dáł swojąm dusze, to mu przyniesie dość piéniędzy i zróbi go bogatym. Ale chłop nie dał się tym odwieść od Boga, a przytym był bardzo wielki filut, i co mu zrobiuł?

Najął sobie on rataj trzech ch(ł)opów i kopali wielki dół trzy dni i potem ładnie nakrył, że ani nie było znać że tam taki wielki dół był wykopany, a na wierzchu położył koło od woza.

I jak przyszed do niego czárt, to ón mówił do niego, że jeżeli mu nániesie pełen baraṇ od koła (ob. *Lud* Ser. IX str. 110)

[1]) Porównaj powieść w seryi III dzieła *Lud* str. 180.

to mu dá dusze. Więc czém predzéj zaráz poleciál i nosili diabli, ale niestety ten barán od koła był bardzo wielki, i wynieśli wszystkie pieniądze co tylko mieli, i niebyło pełno; aż wreszcie kogut zapiał i musieli przestać się targować z chopem, i pouciekali, a chopa z wszyskiemi piéniedzmi zostawili.

Ale było im bardzo żal, że wszystkie piéniądze pozbyli za nic, wiec posłali znowu jednego do rataja, żeby się obaj bili, który będzie mocniejszy to bendąm jego pieniądze.

I przychodzi do rataja i powiadá mu, że to niepodobno, żeby mu tyle piéniedzy mieli darować za nic, i chciál żeby sie koniecznie bili. Ale rataj powiadá: já dziś jakoś nie jestem zdrów, ale tam za stodołąm jest mój staruszek (dziadek), to idź, możesz się znim bić. I poszed, a tam był niedźwidź i zaczął go tam szturchać, żeby się z nim bił, a niedźwiedź jak go pacnął pazurami, że aż się wywrócił, i jak wstał to tak uciekał że aż zaleciał do piekła i powiadá: któż by się tam z nim bił, kiedy on tylko się ze swojim staruszkiem kazał bić, a jam sie już zaráz wywrocił.

Tak znowu się radząm, co tu zrobić żeby coś za to dostać. Jak sie naradzili, i posłali znowu innego, żeby się ścigali. I poszed jeden z nich do rataja, że sie mająm ścigać, kto bendzie chybciejszy, to bendąm jego pieniądze. A chłop powiadá, że go trochę noga boli, ale idź, tam pod miedzą leży mój braciszek, więc się znim ścigaj. Tak on poszed i szuka i lata od miedzy do miedzy, aż nareście znalaz zająca; wystraszył go pod miedząm a zając zmykał jak tylko móg; czárt za nim leciał i wołał, ale zając jeszcze chybciej; nareście zmeczony poszed czart do piekła do swojich i powiada: a ktoż tam z nim pokóra (wskóra), kiedy już jego braciszek mnie zostawił w tyle, a wołałem i goniłem tak długo aż'em się zmeczył i przestać musiałem.

Tak znowu się radzieli co z nim robić. I posłali jednego, żeby obnieśli źrubka na około sadżawki trzy razy. I tak przychodzi on do rataja i powiada: przyszedłem tu do ciebie, mamy obnieś trzy razy na około sadzawki źrubaka. — Nu, to dobrze, to pojdźma. Wziol sobie chłop świenconą krédę od trzech króli, i poszli. Jak zaśli na łączkę, gdzie żar(ł) on źrubak, tak ten czart powiadá: nu, to weź i obnieś. A rataj powiadá: kiedyś ty tu przysłany, to musisz przod obnieś a potem ja. I wziol tego źrubaka za przednie nogi na ramiona i niósł. Obniós raz i drugi raz niesie,

a rataj mu przekryślił tąm kredąm; a on czart powiadá: haula (hola!) ry(ń)sztok, (rów),— i ćpiął źrubaka, bo nie móg go dali nieść. A rataj jak chycnie na źrebca i obleciał z nim w minute trzy razy naokoło, bo nie on go niósł ale źrubak onego.

I ten także zawstydzony odleciał sobie do piekła i powiadá: już tam z nim niema inny rady, jak muszemy mu wszystkie te piéniądze darować. Pytająm się: czemu? — Nu, bo ja obniózem dwa razy i zrobił mi się rysztok (rów), i dali niemogłem, a on jak tylko miedzy nogi wsadził źrubaka, i w mignieniu oka obniós. — Nu, ale przecie szkoda tyle piéniedzy, żeby mu darować za nic.

Ale posłali jeszcze jednego do niego ze zaporąm od piekła; kto wyży śwignie, to będąm jego pieniądze. I przychodzi z tąm zaporąm i powiadá do chłopa rataja: mámy świgać te zaporę, kto wyży śwignie, to będąm jego pieniądze. — Nu dobrze, powiadá chłopina i idzie z nim na pole. I wyszli duży sztuk za wieś. Tak ten mu daje te zaporę i powiadá: nu, to świgaj! — A rataj powiada: kiedyś jąm tu przyniós, to też najprzód musisz świgać. Jak jąm śwignął czart, to ani jąm widać nie było i jak spadła na ziemie, to uwiezgła prawie cała w ziemie. I powiada: nu teraz wyciągaj i świgaj ty. — A rataj powiadá: kiedyś ty jąm śwignął, to też ty jąm wyciągnij. I wyciągnył i podał jąm ratajewi a rataj uchwycił się tej zapory. A byłby jéj ani nie ruszył z miejsca; ale jak umiáł zawsze, tak i teráz. T r z é m i e (trzyma) jąm w ręce i patrzy do góry, a czárt się pyta: czemu tam patrzysz? A on mu powiadá: bo mám tam o j c a (inni: brata), w niebie kowalem; chcę mu jąm tam swignąć na goździe. -- A ón czart mu jąm czempredzy wydar i ucieka z nią co móg do piekła.

I przylatuje i powiadá, że ledwie co już nie pozbył zapory, bo mu jąm chciáł śwignąć do nieba ojcu na goździe. I tak, nie mogli mu, ratajewi, nic zrobić, musieli mu wszystkie piéniądze darować i bogatym zostawić. (*Lud* Ser. III str. 178. 180).

## 60.

## Kowal.

Od Leszna.

Jeden kowal sie zaprzedał diabłom. A ból bogaty; mioł trzech czeladników. Tak powiedział do diabłów: że mnie weźniecie po żniwach. Tak óni mu dali pokój, a u ż (aż) po żniwach.

Jak minół ten czas, tak przylatuje jeden diabeł i powiadá: no, ty kowalu, bo już z tobą czas, żebyś ze mną szed! — A tó przyjachał jeden pán i kázał sobie konia kuć. Jak konia temu panu ukuł, czeka na zapłate. A pán: wiela majster żąda za te robote? — Kowal: já nidz nie chce, tylko taką moc, bo mi bar-zo chłopcy goździe kradą, żeby já im móg tak zrobić jak będą brać goździe, że muszą tak długo przy tych goździach stojeć, póki ja nie przyjde. Ten pán powiadá: dobrze, dostaniesz taką moc.

Tak przyprowadziuł znou jeden gospodourz konia do okucia. A ten kowal powiadá do tego diabła co czekał: idź, przynieś mi goździ, co tego konia okuje! A ten jak zaszed po te gojździe, diabeł, jak weźnie, więc sie ruszyć ni móg, musiáł tam stojeć. Kowal ten mówi do niego: kiedysz mi ty przyniesiesz te gojździe? Powiadá do kowalczyków: bierzcie na kowadło a bijcie młotami. Jak go kowalczyki porwali a wzięni bić, to jak im sie wydar, to sie nie oglądał áż w piekle bół. Tak go sie pytają w piekle: no, dostałeś go? A ten diabeł odpowiadá: h-ale! já dostáłem dobrze ale nie ónego; już tam więcy rázy nie pojdię po niego. Ci drudzy diabli powiadają: no, to jutro pójdzie inkszy.

Przychodzi drugi (diabeł): no kowalu, bo już czas z tobą. A kowal: czekáj ino, aż sie pójdzię najeś(ć). A ten tak kowal zrobił, że ón (diabeł) w kuźni musiáł siedzić, ni móg sie ruszyć. Jak ten kowal przyszed z objádu z kowalczykami do kuźni, i powiadá: jeszczé to tu siedzisz? bierzcie go na kowadło a bijcie młotami. Tak go też wziéni na kowadło, jak wzieni bić, — jak im sie wydar, to sie nie oglądał áż w piekle był. Pytali go sie ci drudzy: a co, dostałeś go? — A ón: h-ale! dostałem, já sám tak dostáłem, jak ten pirszy dostáł; jak mnie złapili, tom sie długo wydrzyć ni móg. Tak óni mówią: to pójdzie trzeci; ten go dostanie.

Jak poszed ten trzeci do tego kowala, tak powiadá: no ty, bo już z tobą czas! bo jużeś tu dwóch tak letko wypłoszuł, ale mnie nie potráfisz. A kowal; pódź-ino ze mnóm, mám taką jabłoń w sadku; wliziesz na te jabłoń, utrzysiesz (utrzęsiesz) mi kielka jabłek na podróż, bo já głodny nie pójdie. Tak ten diabeł wláz na te jabłoń i trzyńsie (trzęsie) te jabka, a ten kowal zbiéro. I pozbierał te jabka kowal i poszed do domu na objad. A ten diabeł tam ostáł na ty jabłonce i ni móg sleź(ć). A ten kowal idzie po objedzie do sádku i powiadá: jeszczé ty to tu

siedzisz? Zawołał kowalczyków, kazał go ściungnąć z ty jabłoni. Jak go wciungneli do kuźni, włożyli na kowadło, jak wzieni bić młotami, tak im sie wydar, że sie nie oglundał aż w piekle był. Tak go sie ci drudzy w piekle pytają: a co, dostałeś go? — A gdzie'm go tam dostał: jak mnie na kowadle zaczęni bić, ledwie mnie nie zabili.[1])

Kowal mówi do żony: wiész co, już tak béde musiał dobrowolnie iść do piekła. Tak wzión ten swój szurcfel (fartuch) skórzany, kowadło, młot wielgi, i szed do tego piekła. Przyszed przed piekielne drzwi i stuka. Jak otworzyli drzwi, tak zobáczyli, że to ten sám co ich to tak bił. Zatrzasnéli drzwi i nie wpuścili go a mówili: ty byś nám tu wszystkim tak zrobiuł, jak tym trzem. Zaś poszed do nieba i stuka do drzwi. Święty Piotr go sie pytá: chtó tam jes(t)? A ón po niemiecku odpowiadá: ich (já). A święty Piotr rozumiál, że ón mówi: mnich. I otworzył drzwi, a ten prędko postawił w niebie przy drzwiach kowadło i usiad na niem. Tak święty Piotrz poszed do Pana Boga sie pytać: co má zrobić terá z tym kowalem; czy go mo wygnáć? — Pan Bóg odpowiedział: kiedy-ć wszed, niechże tam siedzi do skończenia świata; na dzień ostateczni to gó sie osądzi, za jaki występek (postępek) on tu przyszed. Tak też siedzi teráz i czeka[2]).

## 61.

## Kowalczyk i kusiciel.

Przemęt.

Jeden kowalczyk służył u kowala kiélka lat. Bardzo mu sie zasługował. Tak tén kowal powiedá: já już teraz stary, tyś mi

---

[1]) *Lud*: Ser. III str. 181. — Adalbert Kuhn: *Märkische Sagen*, Berlin 1843 str. 88, Der Schmidt zu Jüterbogk. — F. Schönwerth: *Aus der Oberpfalz* (Augsburg 1859) III. s. 10.-33.

[2]) J. Grimm *(Deutsche Mythol.* str. 972). Diabeł. Najmocniej wyraziła się jego pogańska natura tam, gdzie podstawiony został olbrzymowi; obu, olbrzyma i diabła ściga bóg piorunów swojim młotem, i podobnie jak miölnir Thora uderza śpiącego olbrzyma, tak też uderza diabła prosty młot kowala. Diabła z trzema złotemi włosami (K. M. Nr. 29) porównałem już z Ugarthilocus'em (obok Loki'ego w Eddzie).

tak dobrze służył, tyle lat, móg byś sie ożenić z moją córką. Dobrze, mój majsterku kochany, ale ja wprzód pójdzię we wędrówke, to się rozmaitéj roboty nauczę.

Tak poszed sobie we świat, i przyszed do jednego boru, a bardzo ładnie umiał grać na skrzypcach. Usiad sobie na pieńku i graje ładną piosneczke. A tam w tym boru podobnie, okropnie kusiło. Tak w tém leci do niego ten pokusiciel i wyciąga ręce do niego, chce grać się nauczyć. A ón powiadá: Poczekaj, aż ino ja pójdię do mego majstra, bo ty mász palce bardzo twarde, ty byś nie ugrał.

A ten kowalczyk poszed do miasta, do jednego majstra, i tam sobie podjón robote u niego na rok jeden. Potém, jak rok przészed, tak prosi majstra, aby mu za to dał choć jeden szrobsztok (Schraubstok). A ón sobie jeszcze zrobiuł kij, dał go oświęcić księdzu, i wtenczas wzion szroubśtok i ten kij ze sobą i poszed znou na to miejsce gdzie piérszy raz grał, i przybił ten szroubśtok do sosny. Żaś sobie usiad na pińku, wygrávał ładną piosneczke. A tu leci znowu ten pokusiciel do niego i wyciąga pazury i chce grać. Tak ten kowalczyk wstał i powiadá: pójdź no sám, wetknij tu pazury (w ten szraubstok) co ci troche wyprostuję pazury, bo byś ty nie ugrał. Tak ten pokusiciel włożył te pazury w śrobsztok. Jak wzion kowalczyk święconego kija, jak wzion pokusiciela bić, tak pokusiciel wyrwał śrobsztok ze sosną z ziemi i poszed sobie.

Kowalczyk poszed do jedny bogaty pani, co była wdową, i urządziuł sie za s(ł)użącego. Jachała ta pani w podróż, a ten służący stojał za powozem w tyle. Przyjeżdżają do tego boru samego, a tu leci ten kusiciel znou i śmieje się i powiadá, że ztąd jednego dostanie. Tak ta pani okropny strach miała, bo ónа myślała że to onę chce porwać. Tak ten służący powiada (bo sobie przybaczył o szrubsztoku): żeli pani to uczyni co ja koużę, to ja panią wybawię od śmierci. A ónа powiadá: co kaużesz to

---

Utgardar są to ostateczne krańce zamieszkanego świata, gdzie mieszkali olbrzymi i potwory. W baśniach dziecinnych niemieckich jest niejednokrotnie mowa o tém, jak wyrwano diablu włos z głowy leżącej na łonie babki jego. Norwegska baśń wyciąga z ogona zabitego smoka trzy pióra. (Folkeeventyr Nr. 5).

uczynię. Tak służący: spuśćma budę powozu na dół, a pani niech się układzie na wznak i niech wyciągnie nogi ku górze. A ten p o k u s i c i e l zobaczył te nógi, myślał że to jest ten sam śrobsztok co już raz mioł pazury w nim. Powiada: oho, myślisz że ja taki głupi bede, że ja ci tam pazur wetknę jakem ci już raz wetkał, cobyś mi tak zrobiuł jageś mi już r o u z (raz) zrobił. I poleciał. Wtenczas pani powiada do kowala: kiedyś ty mnie wybawiuł od śmierci, ożenisz sie z moją córką, dam ci wieś i będziesz panem.

# Powieści o zbójcach, oszustach, głupcach, babach i t. p.

## 62.

## O dwunastu rozbójnikach.

Powieść tę podaje R. W. Berwiński w swém dziele: Powieści Wielkopolskie (Wrocław 1840) str. 232. Powtarzamy ją tu w skróceniu.

I. Okolice nad Obrą, dają pełno obrazów sielskiej piękności. Po wzgórzach nie dostrzeżesz ani latową porą ani z początkiem jesiennej — śladu owej rzeki, która z wiosną na dobry rzut oka zalewa okolice. Miejscami ujętą jest woda w kanały, przy spadkach zaś i kotłach rzeki nie da się ona w nie ująć, ale rozlana na lewo i prawo, znaczy swoje granice warstwami piasku, łączu, tataraku. Czasami wcale jéj nie dojrzéć, bo gęste sitowie i płowe oczerety kryją brzegi i mielizny. — Dawniej Obra zarosła olszami, łozami i trzciną, stanowiła ciemną, bagnistą knieję, zamieszkałą od dzikiego zwierza i strachów; dziwne też w niektórych miejscach krążyły o niéj pogłoski. Nieraz zniknął tu podróżny, który śmiał sam jeden przeprawiać się na drugą stronę po wąskiej grobelce, czepiącej się wzgórków, wijącej się pomiędzy krzakami.

Właśnie w połowie tej grobli było ostrowie wyniosłe, suche. Na nim stał młyn wodny, z szopką i ogródkiem, mocno zbudowany, warowny. Strzegły go u okien kraty, u wnijścia drzwi dębowe i czujne dwa kondle. Tu to mieszkali młynarz z żoną i wesołą córką Basią. Ale dzisiaj ojciec i matka poszli na jarmark, a Basia sama pozostała w domu. Siadła do kądzieli, sukała

---

) Recenzya w Tygodniku literac. Pozn. 1840 Nr. 25–27.

wrzecionem że warczało niby cywie we młynie, i rozmyśla sobie, i przybaczyły iéj się powieści pastuchów o ludziach wąsatych w lesie, z długiemi brody, z nożami za pasem. Młynarz słynie z zamożności, u niego pieniędzy kwartami, miodu na kilka beczek — więc o rabusiów nie byłoby trudno. Pomyślała sobie o tém Basia i poszła zawrzyć drzwi sienne na rygle, — ale psów zapomniała spuścić z łańcucha.

II. Na dobrą milę od karkiskiego Ostrowia ciągnął się prawym brzegiem Obry las dębowy, odwieczny, ciemny. Ramie jedno Obry przyciskając go, stanowiło wysepkę, przystępną chyba przebiegłemu zwierzowi, tak miejsce to było zarosłe i dzikie. Wśród niej stała chatka zapadła; w chacie ujrzałeś babsko stare, wywiędłe. Gdybyś oknem zajrzał, widziałbyś jak roskosznie przy blasku kaganka kobieta ta przyglądała się sznurkowi czerwonych paciorków, które trzymała, sądząc że ma prawdziwe korale w ręku. Przytoczyła się wreszcie bliżej do komina, wzięła od ognia garnek wrzącej wody, wylała go na miskę i wrzuciła w nią sznurek czerwonych paciorków. Zarumieniła się zaraz woda, — a sznurek paciorków zbladł jak mleko, — bo się z nich zmyła krew skrzepła i z owych prawych korali zrobiły się prawe perły!

W tem zawarczały dwa brytany, zakołatano do drzwi; stara je otworzyła, i wszedł do izby człowiek sążnisty okryty dziadowskiemi łachmany, a za nim innych jedynastu. „Co to chłopcy, tak prędko z jarmarku? zapytała stara. „Będziemy mieli lepszy jarmark matuchnu“ odpowie starszy zbójca, „młynarz z Karkisza jest w mieście z babą, — doma została tylko córka; tam pieniędzy huk; na jarmarku człek zarobi mało, a ma strachu dużo.“— Stara kiwała głową, i odradzała, bo na Karkiszu są mocne drzwi i złe kundle. Na drzwi wzięli rabusie pałki, a na kundlów brytany.

Spieszno idą gęstwiną, a czasami śród bagna skaczą z kępy na kępę. Stanęli u młyna, a starszy zawoła: „Trza się zwinąć z robotą, bo starego jeno patrzéć z powrotem.“

Kondle zaszczekały gwałtownie, ale mają na karkach obróże i łańcuchy, a przed niemi stoją brytany. Zbójca uderzył w dębowe drzwi pałką; zadrżały okna ale drzwi ani rusz; połączono wspólne siły by je wyważyć; — daremnie. „Kiedy nie drzwiami, to pode drzwiami“ mówi starszy zbójca, i wnet poczęto wyjmować kamienie i wygrzebywać ziemię z pod proga. Gdy się znaczny już zrobił

otwór, rzekł najszczuplejszy między niemi a niecierpliwy: „Ja się już zmieszczę, koledzy.“ I włożył głowę, wlazł do połowy, drgnął na raz, cofnął się trochę, wierzgnął nogami, ale znowu popełznął i wlazł szczęśliwie. Za pierwszym pakuje się bez zwłoki drugi; temu trudniej, bo grubszy; wcisnął się jednak do połowy, drgnął na raz, wierzgnął nogami, potem wlazł także. Za nim poszedł trzeci, czwarty, aż do ostatniego dowódzcy, któremu dziwno bardzo, że się każdy w połowie drogi na chwilę zatrzymał. Ostrożnie tedy głowę pod próg podkłada — podnosi oczy w górę, aby zajrzyć do sieni. Zajrzał — i cofnął się nagle. Zapóźno! — już mu strumień krwi trysnął z ponad czoła, z szerokiej rany wyciętej na czaszce, zalewał oczy, ściekał na wąsy i plugawą suknię. Przewiązał chustą głowę, pogroził pięścią młynowi, i zabrawszy swe brytany, uszedł w gęstwinę. [1])

III. Tymczasem młynarz wracał z żoną z jarmarku, i śpieszył do domu niespokojny o los Basi. Odzywa się do żony „Dyć dla niej wyszed'em, bo był Stach z Łobza, a on się Basi zaleca i chce ją pojąć? — „Nie dla psa kiełbasa“, mruknęła młynarka, mnie wróżono, że do Basi zajeżdżać będą szóstkami, w złocistych karetach; nie darmom ją też dzieckiem w mleku kąpała i marcowym myła śniegiem.“ — Wreszcie zbliżają się oboje ku młynowi i słyszą psów swych szczekanie. „Źle, żono“, mówi młynarz, „złodzieje, nie ma światła, Baśku!“ — „Tatynku, ratuj“ odpowiedziano z sieni, i drzwi odemknięto z łoskotem. Młynarz stąpiwszy na próg, uskoczył w tył, i zawołał: „Co to jest? — trupy, kto pomordował?“ — „To ja, ojcze! — oni przyszli, podkopali próg, włazili, jam toporkiem ucinała głowy, a ciała wciągała do sieni; jedenastu'm zabiła, ale jeden mi uciekł, bom go źle trafiła.“ — „Jeden uciekł?“ mruczał młynarz, „to źle, ale świat nie powinien wiedzieć że na tem pustkowiu ludzi pomordowano, więc trza te trupy zakopać.“ Żona przyniosła więc trzy rydle, i wszyscy troje poczęli kopać groby w podwórzu; do nich wrzucono jedenaście tułowów, a głowy pochowano z osobna.

Ale rodzina cała odtąd posmutniała. Stary młynarz chodził zmartwiony, młynarka nie wspomniała już o swych świetnych

---

[1]) *Lud*, Ser. VIII str. 179 i str. 178, gdzie tylko 3 zabito zbójców. — J. G. Hahn: *Griechische u. albanesische Märchen* (Leipzig 1864. T. I, str. 287: tu ginie 40 zbójców (v. drakos).

wróżbach, a Basia radaby była co najrychlej wynieść się z tych miejsc, więc nieprzyjmowała zalecanek młynarczyka z Łobza, bo musiałaby w Karkiszu, odebrawszy go w posagu, pozostać.

IV. Tak minęły dwa lata. Trzeciego lata, w dzień skwarny, w samo południe, przejeżdżał powóz czterokonny groblą Obrzańską. Przed młynem zatrzymały się spienione konie. Basia wyszła przede drzwi. Jakiś Pan, w powozie siedzący, poprosił ją o świeże mleko, a wypiwszy je, pogłaskał Basię i obiecawszy jutro wrócić, odjechał. Widziała to i słyszała młynarka, polewając na bielniku płótno, i zaraz wszystkie świetne przypomniały jéj się wróżby. — Nazajutrz pod wieczór zajechała znów kareta przed młyn, wysiadł z niej tenże sam pan, wszedł do izby, pochwalił pana Boga, przeżegnał się święconą wodą z kropielniczki wiszącej nade drzwiami i o zdrowie zapytał. — „Bóg zapłać Panu“ odpowiedziała młynarka i podała mu czerwono malowany zydel z żółtemi kwiatami, a Basia zakrzątnęła się koło wieczerzy, i stół nakrywszy bielizną podała jadło i napitek i wszyscy byli gościowi radzi, tylko kondle wciąż warczały. Pan słucha gawędy starego młynarza a co chwila zerka oczkami na Basię. Nareszcie odjechał, lecz wkrótce powrócić przyrzekł, a matka już nie wątpi o szczęściu córki i sprawdzeniu się jéj wróżb.

I doprawdy powrócił też pan bławatny po dwóch tygodniach, a padłszy starym do nóg, prosił o rękę córki. Rodzice uszczęśliwieni, przyjęli jego oświadczyny a młynarz chciał zaraz po zasiewkach sute wyprawić wesele. Ale pan-młody prosił aby je odbyć jak najrychlej i bez hałasu, a prośby i nalegania jego przemogły.

V. Biedna Basia, nie było u niej według zwyczaju, ani swatów, ani zmówin w sobotni wieczór, ani młodzianek, ni drużby. Bo panu młodemu spieszno, więc wesele krótkie. Głaszcze on wprawdzie pannę-młodą, która kontenta że jutro smutny ten Karbisz opuści. Głaszcze on i kondle, ale kondle warczą i chleba z jego ręki przyjąć nie chcą.

VI. Ledwo jutro nadeszło, już wszystko do wyjazdu gotowe. Bo panu trzeba w świat, a żonę trzeba na wielką panią wyuczyć. We młynie płacze i szlochy, córka żegna się z rodzicami, a pan-młody spokojny, ieno się uśmiecha. Wreszcie wsiedli do powozu i pędzą. Wkrótce zjechawszy z grobli małą drożyną do dębowego lasu, kazał pan-młody woźnicy przystanąć, schylił się, a ukazując żonie głowę powiada: Popatrz jeno, bom się wyciął o niskie drzwi

we młynie. Ona zobaczywszy to, zawoła: Cóż to jest, taka szrama nad czołem, czy na wojnie byłeś mój miły? — Oj nie, Basiu! to nie na wojnie, ale we waszym młynie drzwi twarde a niskie, że aż pod progiem włazić trzeba. — Basia zbladła jak chusta. Czemużeś taka blada? wszak to rana już zgojona, a gorzéj było jak się z niej krew lała. — I rozśmiał się. Basia zadrzała jak osowy listek. Czemu ty drzysz? wszak to tylko szrama, a lepiej umknąć ze szramą, niż wléźć do sieni bez głowy. Basia przypomina sobie że dwunasty uciekł, i okropne przeczucie ozwało się w iej duszy: To on. A on gwizdnął w palec i siedmiu ludzi wąsatych wypadło z po za krzaków. A ci porwali Basię z karety i krętą ścieżką powlekli zaroślem aż do znanej nam już chatki w lesie. Brytany zaszczekały, i legły, gdy pan skinął, u drzwi. Weszli. Stara już na niego czeka, a może nową ofiarę wiedzie, i pomści się na niej za swoją ranę. Z piekielną radością wymyślają na nią katusze, a Basi ucho łowi te starej słowa: drzazgi za paznogcie.... za skórę zaléwać.... przy ogniu. — Dobrze, matuchnu, rzekł zbójca, zastawcie tu oleju w kotle, a ja z kamratami pójdę nałupać smolnych drzazg i łuczywa. Pokaż no paluszki, Basiu, pokaż! jakie miękkie i białe, a żadna się nie przyłamie. I wyszedł spiesznie z towarzyszami do lasu.

---

VII. Po wyjściu zbójców, stara grzesznica spojrzała na Basię i żal się jej zrobiło, widząc ją płaczącą. No, no. nie płacz, ja cię uratuję, bo ja cię znam, ja byłam na Karkiszu przed laty, i uciekłam gdy mnie tam chciano spalić jako czarownicę, że krwią dojiły krowy, a ekonomowi postrzał się na nogi przyrzucił. Rodzice twoi przygarnęli i bronili mnie, a jam wróżyła tobie (coś pół roku wtedy miała) że dostaniesz męża w złocistej karecie. I wywróżyłam na twoje nieszczęście — ale cyt! ja cię uwolnię, mniejsza o mnie, jam się już nażyła dziewięćdziesiąt lat z górą. To mówiąc wypuściła Basię oknem, kazała uciekać lasem na prawo, i sama usiadła na pniaku przede drzwiami i rozmyślała uderzywszy się po trzykroć w piersi.

Gdy zbójcy wrócili, pytają: gdzie Basia ? — Stara mówi: Uciekła mi, bo gdy dla gorąca u ognia, wyszłam z nią do sieni i trzymała ją za warkocz, ona go urznęła i poszła w las na lewo.—

A oni pytają: gdzie warkocz? — Wpadł w ogień. — Ha jędzo! wrzasnął najstarszy, tobie za paznogcie drzazg nawbijam, z ciebie pasy zedrę, i w kotle cię usmażę, jak Basi nie dognamy! — I pobiegli w las, ale nie na lewo, bo brytany zaraz ślad znalazły, gdyż Basia uciekała boso. Wreszcie psy stanęły, kręcą się w koło, bo śladu dalej niema, — aż im zbój łby palcatem strzaskał. Potem wraca do chaty przysięgając zemstę.

---

VIII. Nazajutrz rankiem, o chłodzie wyjechał sobie ubogi chłopek po drzewo do lasu. Z kluką chodził od kwiku do kwiku — obłamywał suszki, i już prawie wóz miał naładowany, kiedy upatrzył jeszcze jednę sporą odnogę, a nie wysoko od ziemi. Podchodzi tedy pod drzewo z podniesioną głową i kluką; — naraz opuścił ręce i wlepił oczy w drzewo, splunąwszy trzy razy i zrobiwszy krzyżyk na wargach: „w imię ojca! a to co?“ Bo też dziwny na drzewie widok, — kobieta o sęk zawieszona i wołająca ratunku, gdy zobaczyła człowieka. Dopiero chłopek ochłonął z przestrachu, kiedy widział że to nie duch i nie trup; wlazł na drzewo, odhaczył kobietę i poznał w niej młynarczankę z Karkisza.

Dowiedział się od niej, jak uciekając przed zbójcami, wdrapała się na drzewo, jak psy poginęły za to, że ją z węchu straciły; — jak rabusie wracali spieszno do chaty, a potem płomień z komina (chaty) wybuchnął i jął go się niby siarki — bo słońce suszyło przez długie lata słomę na dachu. Potem widziała przy jaskrawéj łunie siedmiu rabusiów, uciekających w las bez dowódzcy i słyszała jakieś głuche jęki bolesne. Potem chcąc złazić z drzewa, zawiesiła się na sęku i tak doczekała ranka.

Chłopek kręcił głową okrutnie, a nie wiedział, czy wierzyć — zwłaszcza, że psów pod drzewem nie było. Postrzegł tam jednak świéże krwi ślady i poszedł za niémi. O kilkadziesiąt kroków od drzewa leżał jeden brytan, a za nim o kilkadziesiąt, leżał drugi, który zebrawszy ostatek sił swojich, chciał się przyczołgać do domu, a znalazł miasto niego tylko kupę popiołu, i zdechł przy dwóch szkieletach; — jeden z tych był kobiecy, — drugi męzki z szeroką szramą na czaszce. Ciało obgryzł płomień z obydwóch szkieletów.

Kilka tygodni później, klekotał wiatr siedmiu innemi szkieletami na grodzkiej ulicy. Ani byś poznał, że to byli rabusie od

Obry, którzy niedoświadczeni, bo nowi w rzemiośle — wnet wpadli w ręce sprawiedliwości, straciwszy przebiegłego dowódzcę. Darmo byś ich tam pytał, jak go stracili? — darmo byś pytał, zkąd się wziął ogień, którym spłonął w chacie wespół ze starą?.... Rozwiązaliby oni tę zagadkę, gdyby rozwiązać mogli węzły zadzierzgnięte na ich szyje [1]).

## 63.

## Dwunastu zbójników [2]).

Morownica.

Ráz ménarz (młynarz) mioł jedne córke jedynaczke, bardzo urodną, że nie wiedział komu ją miáł dać. Rodzice odjachali ráz jako na bál, na wesele. Jak ich nie było, ino ta córka była w domu, tak przyszło dwunastu zbójnikąw, pod przyciesią wydłubali dziure i chcieli tego mynarza okraść.

Ale że ta córka była szczuwała (czujna) i składna do tego, tó jak usłyszáła, że óni sie dobywają, tak-że wziéna ostrą siekiere i stanéła w tém miejscu gdzie zbójniki dziure dłubáli. Jeden gůowe wtyká, a óna ściéna mu guowe i wciągła ciáło do alkiérza. Tak-że wszéstkim jedenastóm pościnałá guowy i wciągła dó alkiérza i na kupe ich pokładła. Wtém ten dwónasty wtyká

---

[1]) Hanusz (*Die Wissenschaft des Slavischen Mythus, Lemberg* 1842 str. 134) mówi: „Że *Afrodite Apaturos* nie była to Wenera w późniejszém bóstwa tego znaczeniu, ale *Venus Urania* (firmament, światło księżycowe), pokazuje to wyraźnie sam myt jaki Strabo o niej przytacza, gdy powiada, że przydomek bogini wywodzą niektórzy z podania, jako tutaj (w *Phanagoria* gdzie była jej świątynia; nazwa wedle Hanusza przypomina Pani-góra i indyjskie *Awatar* = Zeus azyatycki) napadnięta przez gigantów, wezwała na pomoc Herkulesa, którego następnie ukryła w jaskini; poczem przyjmując jednego po drugim oddawała wszystkich gigantów Herkulesowi, by ich podstępnie (*Apate*, podstęp, zdrada) pozabijał. Herkules zatem, bohater słoneczny, ukryty wedle tego podania został w jaskini; jaskinie zaś uważano także za siedliska bóstw słonecznych (Uschold *Vorhalle* I str. 195; Creuzer I str. 246, grotta = symbol świata, horyzontu). Giganty wskazują tu na różne szczegółowe przyczyny zaćmień światła dziennego i księżycowego, zwalczonego działaniem słońca - Herkulesa. (Ser. VII. str. 203).

[2]) *Lud* Ser. III str. 326. — Ser. VIII str. 180.

te guowe, a óna spuściła za prędko siekiere i ściéna mu troche włosa ino i skórke drasneła. Ten zbójnik, jako sie cáwnoł (cafnął) i uciék do domu, do boru, i wygojił sie.

Jak sie wygojił, przyjachał do ni w kompliimenta. Widżą rodzice, że to taki ślachcic przyjachał do nich porządny, szterma kóńmi ostro zajachał, fórszpána, sużącego przy sobie mioł, więc dali mu te córke, ożenili ją z tym zbójnikiem. On ją po tem weselu wzión do siebie, do swego domu.

I dopiéro wiedziała óna, że jest u zbójnika, w tym boru. Káuzał ji sobie ráz tak wiskać po guowie; jak go wiska, tak natrafiła te rane co to jemu zrobiła. Ona sie troche wzdrygła, ale nic nie mówiła. Ten jeji mąż, zbójnik, pytá sie: co sie tak lękasz? — Ona: o, nic. — On: o, já wiem, boś ty mi ją zrobiła, i mojich jedénastuw braci zabiła. W tém ją złapali, do sklepu ją wsadzili, i miáła być tracóna od zbójników. I mioł matke starą przy sobie, co ją miáła pilnować, co by nie ućkła.

Oni zbójniki poszli znowu na łów, jako na kradzież. Ona dziure wytetrała w sklepie i ućkła. W boru wlázła na sosne, żeby ją zbójniki nie znájdli. Zbójniki, jak przyśli do domu, idą do sklepu, a ónéj nima. Pośli do boru, natrafiili te sosne, żgali lancami tak, że i poprzebijali nogi, ale nie wiedzieli że óna tam jest.

Pośli sobie do domu. Tak óna zlázła z téj sosnéj. Jachał fornal; tak óna gó prosi, żeby ją zabrál. Fornal ją zabrał i zawióz do domu do ojców jeji. Dopiero ojcowie wiedzieli, że córke zbójnikowi wydali za mąż i także fornalowi wynádgrodzili, i córke w domu otrzymali (zatrzymali).

## 64.

## Pycha upokorzona.

Od Rakoniewic.

Jednego razu miał jeden gospodarz bogaty córkę urodną, i niechciał ją dać, tylko za pana, żeby zajachał śterma końmi w powozie po nią. Znajdowali sie do nij rozmaici okomonia, rządcyj, kupcyj, co ją za żonę chcieli, a ci rodzice nie chcieli jij dać, ino gwałtem za pana jakiégo. Co ci okomonia zrobili? i ci kupcy, i ci mniejsi.

Namówili hycla od kata, dali mu dużo piniędzy, i tak mówili: najmij ty sobie służącego, fórszpana tęgiego, piekny powóz, liberyją ładną i konie piekne, zajedź tam na ten folwark, i proś tych rodziców żeby ci dali córkę za żonę. Wtenczas ci rodzice, jak zajachał, widzieli że wszysko na nim fajn, że dobrze ubrany, wypytali sie forspana żeli też má dużo wsiów, folwarków. Ten fórszpan powiedział, że má piekne folwarki, dość bydła, wołów, kóni i wszyskiego. Przyrzekli mu te córkę, na zapowiedzie dali w tej parachfii, a ón sobie na te trzy tygodnie do domu wrócieł, i hycla grát tak jak wprzódy był.

Po trzech tygodniach pojachál do nij i ślub wzion. Potem wzion ją zaráz do domu, i powiedział rodzicom, że jako gospodynią potrzebuje ją żaráz w dómu. Ci chtórzy mu piniędzy dali, namówili go, że má po konia do nich przyjachać zdechłego, jako na podwórze, i ma przyjść z tym koniem na powtór do tego gościńca gdzie óni tam będą.

Jak jachał do domu z nią, tak óna sie pytá: daleko te dobra jego jeszczék są, ten folwark? — On powiadá: ino za miasto zajademy, to tam zaráz jest moje gospodarstwo. Przyjechali przed to gospodarstwo jego. Fórszpan stanął, ón káże ij schodzić, a ona mówi: przecieć ja tu żadnego zamku nie widzę. A ón powiadá: ino schódź, ino schódź z tego powozu, zaprowadzę cię do niego. Ona zeszła i ón ją prowadzi do swego dómu. Wchodzę na podwórek, a óna widzi, że tam pełno ścierwa na podwórku leży. Wprowadza ją do izby, a tam ta jego matka mo rękowy pozawijane pod łokcie i tak w tém ścierwie grzebie. Tak óna powiadá: co, fé, bo ja to za hycla czła? — On powiadá: bierz, rozbiéraj się, bo teráz w professyi pomożesz robić. Radá nieradá, musiała ten pirszy dzień matce pomágać.

Na drugi dzień przyszed chłopák powiedzieć, że má przyjechać ón po konia. Konia zaprząg do taradajki i powiadá do żony: na, pojedziesz ze mną. Ona się upiérała, nie chciała, — ale musiała, boby była dostała powrozem. Jak tam zajachali, óna musiała pomódz konia wciągnąć na taradajkę.

Zajechał z nią do tego gościńca, gdzie tam ci byli. Tak óni, się wyśmiali z niéj, że wysoko patrzała, a z niska sikła. Ale że się temu hyclowi czy katowi dobrze powodziło, więc ona niepotrzebowała nic robić, i dobrze się ótrzymowali, bo dużo czeladzi

mieli. I w mieście sobie wysoką potém kamienicę kupili, i mogła patrzyć wysoko, bo na drugie piętro [1]).

## 65.

## Kapitan nawrócony [2]).

W górach hiszpańskich mieszkał pewen rycerz młody, i ten miał kilkunastu swoich objeśników, towarzyszów rycerzy. Wyprawy robił z niemi zbrodniacze.

Miészkał niedaleko jego granicy pewny rycerz nieznany nazwiskiem, wdowiec, i ojciec jedynaczki córki, bogábojny bardzo, miał to samo swoich rycerzy, ale był sprawiedliwy i nie robił takich napadów.

Ten pierwszy rycerz, książe, miał swego kapitana imieniem Wiktor. Raz jednego wieczora siedzą oboje w gawędce, namyślając się jak tę córkę sąsiada dostać w swoje objęcie. Kapitan mu powiada że: nie da się inaczy, książe będziesz łaskaw sam do nij w odwiedziny zajechać i prosić ojca o ji rękę. Rycerz nie namyślając się, odjéżdża. Przyjéżdża do ojca téj córki, i prosi o nią. A ojciec ji znając go z jego postępowania złego, odmawia mu rękę córki, że niegodzien pojąć ji za żonę.

Kawaler odjeżdża, namyślając się nad swojemi postępkami, i postanowił zemstę. Przyjeżdża do domu, każe wołać Wiktora, opowiada mu swoją całką historyę. Wiktor mu pomyka słowo, aby ją wykraść. Przystał na to rycerz, zapytując się go jakim sposobem. Kapitan mu odpowiada: ja widuje że tamten pan z córką jéżdża często na mszę zakupną do klasztoru. A dobrze; kapitanie, a co daléj uczynić? Kapitan odpowiada: wezmę sobie kilkunastu swoich towarzyszów, zastąpiemy mu drogę i ujmę sam tę młodą dziewicę.

I tak się stało, kiedy tamten pojechał do klasztoru, ci wypadli z zasadzki, bili się i porwali tę młodą, a kapitan wzion ją

---

[1]) Jest i pieśń o tém, któréj początek ob.: *Lud*, Ser. XII str. 225 (nr. 433) Ser. VIII str. 181.

[2]) Opowiadał w Górczynie pod Poznaniem, b. żołnierz austryacki z Bolesława blisko Pragi czeskiéj. Treść przypomina Wałgierza Wdalego.

na koń i uciekł z nią. Reszta rycerzy jego wspólników, odjeżdża do domu. Gdy przybyli, kawaler rycerz zapytuje wyszedłszy na próg: czy ją macie? — A oni odpowiadają: mamy, książe, ale kapitan ją ujął i nie wiemy gdzie się z nią obraca, bo w borze znikł. Książe oczekuje każdéj chwili przybycia, ale napróżno.

Ale książe wié gdzie kapitana stara siedziba była, to jest jego zamku ruiny. W tém każe kulbaczyć, siadają na konie, w nocy wyjeżdżają za bramy, książe rozkazuje udać się w pochód ku wschodowi słońca. Jadą przez 13 godzin, obsadzają (obstawiają) stare ruiny, książę sam wchodzi do zamku. Znajduje swojego kapitana z młodą dziewicą, każe go wiązać, ujmuje go ze sobą razem i z tą młodą. Przyjeżdża do swojego zamku, młodą dziewicę grzecznie do pokoju bierze, a kapitana wtrąca do sklepu więziennego.

Raz jednego poranku książe każe kulbaczyć. Zajeżdżają téż kolaską, a przed zamek jego rycerze na koniach Bierze on młodą dziewicę za rączkę, prowadzi do powozu, i rozkazuje drogą do starego sąsiada zajechać. Przyjeżdża młody z dziewicą i wita tego starego wdowca, i oddaje mu jego córkę: tu jest panie twoja córka. W tém ojciec zapytuje się córki: czy masz wolą pojąć naszego sąsiada, książęcia. Ona na to: Mam wolą, poznałam jego postępki. Ojciec na to: błogosławię was dzieci. Zapowiedź ma nastąpić, i zaręczyli się. W czwartym tygodniu ślub następuje.

Po ślubie młodego państwa, odwozi ich ojciec z towarzyszami do zamku książęcego. Tu przybywają i witają ich koronami złocistemi, bogaci i bidni. Wstępują na stopnie zamku starożytnego i wchodzą. Marszałek domu przystępuje i melduje mu, że Wiktor z więzienia uciekł. Młode małżeństwo żyją i wypatrują, że zbrodnie w ich dobrach powiększają się, bo kapitan pali go i rabuje przez zemstę.

Raz, o poranku, wysyła książe księdza z dwoma fornalkami z wiktualią, ze żérem, do klasztoru. Gdy na pół drógi zajechali, zastępuje mu kapitan i zabira księdza do swego obozu. Ogień rozpalili pod dębem wielkim, w obozie, z koni schodzą i pasą konie, a wszyscy usiedli przy ogniu. W tém kapitan pyta się księdza szyderczo: co tam słychać w zamku u młodego państwa?— Ksiądz na to: nic nowego. Ale ja ci powiem coś nowego, mówi kapitan. Widzisz tę suchą gałęź, będziesz na niéj wisiał. Chociaż będę wisiał, to mi moje grzechy będą odpuszczone. — Co to jest grzéch, że ma być odpuszczony (widać że jeszcze był poganinem),

Ksiądz otwiera brewiarz i modli się. Kapitan się go pyta: co ty robisz? — Ksiądz: ja się modlę. — Co to jest modlitwa? — Jest to odpuszczenie grzéchów, abym był zbawiony, teraz mnie możesz powiesić, bo już jestem wysłuchany z moich grzéchów. — Co to jest wysłuchany? — Ksiądz na to: każdy dobry chrześcijan, idzie raz w rok do spowiedzi. — Kapitan: co to jest spowiédź? — Spowiédź jest wyznanie swojich wszystkich grzéchów. — Kapitan: Czy ty mi możesz odpuścić wszystkie grzechy? i czy ci mogę wyznać wszystko co mam na sumieniu? — Możesz, ksiądz odpowiada, bo księdza gęba jest na siedem kłótek zamknięta. — Kapitan pyta: co to jest na siedem kłótek zamknięta gęba? — Jest to to, że księdzu nie wolno grzéchów cudzych rozpowiadać. — Kapitan: jedź do domu, jesteś uwolniony.

Ksiądz odjechał do klasztoru. Jednéj nocy, siedzi ksiądz sam w swojéj celi, klęczy i modli się. Puka ktoś, w tém się drzwi otwierają — wchodzi wysoka osoba w czarnym płaszczu i pyta się księdza: czy spowiedzi nie może dostać? — Ksiądz uklęknij: grzyszniku i spowiadaj się szczérze. — Spowiadał się ten człowiek, i odchodzi od konfessionału, ale nie dostał rozgrzeszenia, a to dla tego, że się spowiadał z tego: że na wszystkich czterech rogach zamku i klasztoru miny z prochem założył.

W tém kapitan w porze jesiennéj stojąc u okna swego, czekał na rezultat — bo myślał że ksiądz powié to księciu — i patrzał bez okno co ksiądz będzie robił. Stoji kapitan i patrzy, ale widząc że ksiądz kładzie się spokojnie we swoje wyrko, i zagasza świéce — siada na konia i odjechał.

Na drugi dzień, w nocy, ksiądz znów czyta swój brewijarz, i znowu ktoś puka. Wchodzi zesiniały od zimna mężczyzna i żąda spowiedzi. Ksiądz słucha go. Szczerze mu się wyspowiadał, i gdy mu ksiądz dawał rozgrzeszenie, widział że się ten człowiek nawrócił. A był to kapitan. Ksiądz go prowadzi do księcia, i kapitan przeprasza za wszystkie swe zbrodnie, i przyobiecał poprawę. Książę go znów pojął do swoij poręki (łaski, zaufania) i banda została rozbitą.

## 66.

## Wykradziona[1]).

(Powiastka wielkopolska).

(*Przyjaciel ludu*, Leszno 1846, rok 13. N. 17 str. 132).

W pięknym zamku mieszkał pan bogaty, a pan był Wojewoda. Zamek otoczony wałem i wodą, na któréj białe pływały łabędzie, a w zamku wszystko się śklniło od śrebra i złota, a okna w nim były kryształowe. Ale piękniejsza nad złoto i kryształ była Kasińka, urodna córa starego Wojewody. Rumiana jak polna róża, świeża jak leśna malina, oczkami czarnemi, co połyskiwały by dwie tareczki, nie jedno serce młodzieńca do siebie wabiła. Przyjeżdżali panowie, rycerze z dalekich stron, strojni i bogaci, a każdy, jak mógł, zakazywał się nadobnéj dziewicy, każdy z nich chciałby posiadać i serce i rękę, bo dziewczę jak słońce, a i posag nie mały. Ale Kasińka żadnego nie chciała, żadnego nie wybierała, jeden po drugim z grochowym odjeżdżał wieńcem.

Potajemnie już serce swe komu innemu oddała, i o tym swojim kochanku, siedząc przy kryształowym oknie na złocistém krześle, tęskne piosnki nuciła i wyglądała, rychło przed zamek zajedzie. Złote wrzecionko, na które jedwabne sprządała niteczki, jak pajęczyna jesienna delikatne, często opuszczając na ziemię, o nim myślała. Około zamku ogród był piękny, pięknemi kwiaty zasiany, i tam to Kasińka chodzić lubiła. A kiedy weszła do prześlicznego ogrodu i kukaweczkę kukającą usłyszała, o wtenczas prędko jéj się pytała: „Kukaweczko, panieneczko, powiedz że mi, za ile dni Jasinek mój przyjedzie". — Kukaweczka milczała, jakby powiedzieć nie chciała. Po chwili słyszy Kasińka w dali: kuku. — „Raz tylko, to mego Jasia dzisiaj zobaczę jeszcze", rzekła dziewica, a serduszko radośnie bić poczęło,

---

[1]) *Przyjaciel ludu*, 1835 rok 1 N. 49—52 daje także (niewiadomo, czy z życia ludu wziętą) Historyą okropną o walecznym Stasiu i pięknéj Anulce. — K. Baliński: *Powieści ludu.*

a uśmiech osiadł na krasnych ustach. „Dziś go zobaczę; ale ojciec, ale matka, oni choć go przyjmują, słodkim miodem częstują, jednak nie chętnie patrzą na nas, gdy ze sobą mówimy“.

Z Jasia był to wojak zawołany; choć był młody jak jagoda, jednak na dalekiéj był wojnie, ale cóż po tém! nie był bogaty, a rodzice Kasiuli bogatego pragnęli mieć zięcia, a Jasiu na jednéj tylko siedział wioseczce, nie miał ani złotych rzędów na konie, ani sług licznych, świetnie ubranych, jak inni zalotnicy.

Zajeżdża Jasiu na biegłym koniu, a konik wrony raźnie nóżkami przebiera; zajeżdża przed dwór bogaty Wojewody. Wojewoda stary hojnie Jasia przyjmuje, słodkim miodem częstuje; ale rycerzowi nic nie do smaku, bo Kasiuli swéj nie widzi; pogląda ku kryształowemu oknu, próżne miejsce, gdzie siedziała, na złotém wrzecionku prządała. Kasiula w ogrodzie wśród kwiatów chodzi, piękniejsza niż białe lilije, z drobnych kwiateczków wianeczki wije, przeplatając je rozmarynem, bo i rozmarynek kwiat dla panienek; rozmawia z ptaszkami, co gadać umieją i pyta się znów tęskliwie: „ptaszki, moje ptaszki, powiedzcie mi wieści, czy przyjedzie Jasiu dzisiaj, jak kukaweczka wróżyła?“ — A ptaszki odpowiadają: „Gdybyś ty wiedziała, wzdyć byś ty prędko bieżała, bo Jasia wrony (koń) przed bramą“. — Wzięła się Kasiula, czém prędzéj bieżała do dworu. Weszła skromna dziewoja jak liiijowy kwiat, rycerz się skłonił, na licu zapłonął, i owa czarne spuściła oczęta. Mądréj głowie dość dwie słowie, a tym, co się miłują, jedno wejrzenie.— „Panie rycerzu, już to oddawna widzę, jakoś się macie do mojéj dziewoji“ zawołał Wojewoda, „ale, ale, nie będzie z téj mąki chleba. Wpadła wam w oko a i w serce pewno; zamierzyłem ja ją wydać za innego. Bawić i bywać u mnie możecie, to pozwolę, pomnąc na usługi waszego nieboszczyka rodzica, ale o Kasiuli nie myślcie.

Dziwnie brzmiały te słowa rycerzowi, który ciężkie westchnienie ledwo mógł powstrzymać; chciał się wymawiać, ale słowa utknęły w ustach. Sliczna dziewoja odwróciła się ku oknu, a łza stanęła jéj w czarném oku; rycerz Jasiu zadumał się trochę, po chwili udawał wesołość i gawędził i śmiał się ze wszystkimi. Nareście trzeba było odjechać, polecił ich Bogu; siadł na wronego i daléj cwałem w swą stronę; a Kasiula tymczasem wysunęła się do ogrodu, aby jeszcze z chwilę pomarzyć i zaczętego dowić wianeczka. Ale zamiast wianek wić, chodziła zadumana, myślała

o Jasiu. A Jasiu przejeżdża koło ogrodu, widzi swoją kochankę po ogrodzie chodzącą, wstrzymuje konia i z niego schodzi, aby z nią parę słówek pomówić; powiedzieć jéj to o czém milczeć był zmuszony. Długo, długo ze sobą rozmawiali, znać się namawiali; Jasiu odchodząc, za dni kilka przyjechać obiecał; Kasię ścisnął za rączkę, siadł na wronego i pojechał. Za kilka dni wielka uczta we dworze, bo to podobno zaręczyny były Kasiuli z bogatym jakimsiś panem i wiele i pysznych i bogatych, a między nimi ubogi Jasiu. Kasińka choć smutnie chodziła, piękniéj i bogaciéj ubrana w złocistych szatach z pierścieniami na palcach, mile jednak na Jasia patrzyła. Trwała zabawa późno w noc, wesoło tańczyli, z wielkich złotych kielichów ochoczo i rzeźwo spijali. Zbliżył się Jaś do Kasiuli i tak ją zagadnął, aby nie wszyscy rozumieli: Moja panno tym czasem, — stoji burza nad lasem: — będzie czyli nie będzie? — Na co mu Kasiula odpowiedziała mile się uśmiechając: Będzie, jeno się dąb z lipą powali, nim ci zagrają, co rogowe pyszczki mają [1]).

Ustała kapela; jedni odjeżdżali, drudzy się udali na spoczynek, a i Jasiu siadł na wronego i pojechał niby w swoją stronę. Kiedy się wszystko we dworzo uciszyło, kiedy się dąb z lipą powalił, t. j. ojciec z matką zasnął, nim koguty piać zaczęły, wyszła Kasiula drzwiami do ogrodu, i już-ci była na koniu miłego rycerza, już jedzie, przebiera rączo konik nóżkami, bo wié kogo wiezie.

Rano wstają, szukają panny, i nie ma, i nie ma w bogatym dworze; gdzie się podziała, nie wiedzą; aż jaskułka, która gniazdko swe lepiła, w szczycie wyświegotała, w którą uciekła stronę. Siadajcie na koń, siadajcie na koń! biegnijcie, co konie wybiegną, przywieźcie mi córę jedyną.

Posiedli słudzy na rącze konie i pędzą, i pędzą różnemi drogami, i znaleźć nie mogą, i śladu nie mają, kędyby panna uciekała, bo kto ucieka ma jednę nogę bez liczby, którzy szukają i często choć blisko są siebie, często się jednak mijają. W dalekiéj stronie Jasia zgonili z Wojewodzianką na koniu; pannę odebrali, Jasia puścili, bo taki rozkaz mieć mieli. Cieszą się wszyscy, jadą wesoło a panna szlocha i płacze; a gdy do dworu wielkiego przy-

[1]) *Lud*, Ser. VIII str. 248, nr. 87.

byli i bramą wjechali, ojciec jéj nie chciał przypuścić do siebie, ale w ciemnéj zamknąć kazał wieży. Tam to Kasiula, cudna dziewula, w smutku i ciężkiej żałości płacząc, siedziała i małém okienkiem, rzewniąc sobie, na świat boży patrzała. Tam to w téj wieży wysokiej i ciemnéj mijała jéj młodość, ginęła uroda. Ale nie długo było gniewu rodzica, dał się przeprosić, przebłagać, i żal mu sie robiło, tak krasnéj córy, jej pięknej urody; wypuścić ją kazał. I znów Kasińka w ogrodzie chodziła, wianeczki wiła i z drobnych kwiateczkow, znów przy kryształowém oknie siadała, na złote wrzecionko niteczki sprządała. Nie długo potém i Jaś zajechał na swym koniu wronym, ojca przeprosił i matkę przeprosił, i córy rękę otrzymał.

Sprawili wesele, roskosznie tam było, tańczono wiele, pić i jeść było do sytu, dzikie zwierzyny, leśne ptaszyny, kaczory, gąsiory, pieczono obficie; a po weselu pan Wojewoda córę jedyną mianował, połowę wiosek i miast połowę, i piéniędzy jéj dał co nie miara, a tak, rycerz ubogi stał się panem bogatym, ale, jak się zwał, nie pomnę i Jasiem go tylko wszyscy nazywają; dość, że na tem weselu i já byłem, z młodą panną tańczyłem, jadłem i piłem, aż z brody kapało, a w gębie nic nie postało.

*W.*

## 67.

## Nauczka i pokuta królewnej.

od Szmigla.

Mioł jeden król, Ján, ráz jednego syna. Ten sie dowiedział o jedny królewiczównie, Wojciechównie, że była ładná i urodna. A ten królewicz téż był nie szpetny. Słyszał ón, że król Wojciech, ociec téj ładnéj, potrzebuje błazna. Pisze list do tego króla (jakoby-to od błazna) z zapytaniem, żeli ón má do niego przyjść na błazna?, bo temu królowi, gdzie teráz służy, wymówił ón miéjsce i podziękował. Król Wojciech odpisał mu, że má przyjachać, bo jego córki i panien przy nij, nimá chto bawić.

On królewicz przebrany za błazna przyjón służbe u króla Wojciecha. Był tam sztery tygodnie. I podobał sie królowi, i pannom i wszystkim gościom, bo różne zabawy ucieszne udawał i figle wyćwirzał. Król ten musiał jachać w podróż ze swoją żoną.

Po-ostawił te córke i te chtóre przy nij były, i tego błazna w domu. Ten błazen poszed do zygiermistrza i kupił taki kunsztowny zygarek z brylántami za putora tysiąca, — i nosi go. Nad wieczorem pośli sobie do ogrodu na spacér, ten błazen i te panny. Bardzo wielgie zabawy w tym ogrodzie robią, chtórych królewiczówna jeszcze w swojém życiu nie widziała, — a bardzo ji sie i błazeński zégarek i sam błazen podobá. Przyśli zaś sobie do pokoju napowtór. Nie na tém to dosyć, że ón w ogrodzie zábawy robiuł, ale w pokoju jeszczek zabawniejsze. Koniec końców, że sie królewiczówna aż — zapomniała.

Na drugi dzień ón jej zégarek daje, taki wielgi prezent. Ona go odebrałá, ale że była smutná, ale że we smutku. Onemu dudy zmiękły; żadnych już zabaw i figli nie wyćwirzał. Ale też i myśli: ej nie źle to jakoś, bo wiedział, że królewiczówne za żone dostanie.

W parę dniach rodzice królewiczówny przyjachali do domu. Dziwno im było, że w domu nie było zabawy nawet takiéj, jak kiedy z domu odjeżdżali. Król Wojciech pytá sie córki co sie z nią stało? — A óna mu padła do nóg i całą historyję opowiedziała, bo sie zaprzéć nimogła. Złapali córkę i błazna, i wrzucili oboje do sklepu (piwnicy), bo mieli być traceni. On błazen miáł papiórowych piniędzy przy sobie dość, a óna miała ino ten łańcuch z zygarkiem co od niego w prezencie wziena. Oni ućkli w nocy oboje, bo kratę ze sklepu wyłomali. Ućkli z tego ojczewskiego kraju prek. Przyśli na jedne wieś i téj królewiczównie zachciało sie jeś(ć). Ona mówi do niego: cóż zrobiemy, nimasz ty piniędzy?— Nimom nic i czemu się pytasz, żeli mom piniądze? — Bo mi się bardzo jeść zachciało. — Ano, cóż będziem robić? ty musisz iść po jednéj stronie wsi, a ja pójńdę po drugij stronie wsi, i będziemy kawáłka chleba prosić. — Óna weszła do jednéj chałupy i prosi kawáłka chleba, a ją tam wygadali, żeś młoda, zdrowa, możesz kawałka chleba zapracować; idzie od domu do domu i płacze bardzo, nigdzie jij chleba nie chcą dać. A mój błázen wpád do chałupy, kupił pieknego chleba dwa grube kawały, ten chlib pokrajáł na kawałki mnijsze i kupił séra, połómał na małe kawałki, kupił śtyry jaja i klepuszkę masła. A ón ty królewiczównie powiedzioł żeby przyszła do gościńca.

Ona przychodzi do gościńca i czeka za nim. A ón przychodzi do gościnca i niesie torybę (torbę) chleba. Tak ón ji sie pytá: mász téż co? — Ni mom nic, — i zaczyna ona płakać. — Nie płacz,

bo ja ci dám posiłku dosyć, bo ja nażebrał więcy jak ty. — Gościnnej te jaja kazał usmarzyć w tym maśle, potém się ten błázen z królewiczówną pożywił, a téj gościnnej zapłacili, co tam mioł párę fenegów (fenikow) żebrających. Chociaż nie żebrał, ale przed królewiczówną musiał tak powiedzieć.

Przyszed do wody, gdzie okrętem dojéżdżał do jego rodziców Sziffer. Dał dwieście talarów Szyfrowi, żeby go z królewiczówną przewióz do jego rodziny, i żeby sie nie wydał przed królewiczówną jako ón (błazen) zapłacił za przewóz. Szyfer przewióz ich do jego rodziny, do króla Jana. Jak przypłynęli, ześli oboje z tego (w)okrętu. I powiedział on do nij (bo ją tak trápiuł) że jes świniárze syn. Nocowali na jedny oberży oboje. Namówił te oberzyściną żeby królewiczowne okraść (bez figiel). A jak na drugi dzień królewiczówna chce wstać, a tó nima sie w co oblec [1]). Zaczyna lamenčić, i musiała sie oberzyścina zmiłować i dać jij spódnik, grube pónczochy, papcie na nogi, kawałek lumpa (gałgana) na szyje. Powiedział do nij: bądź ty tutaj w ty oberży, a jo pójdę do moich rodziców. I poszed do ojcowego dworu, do świniarza dworskiego, i powiedział do tégo świniourza któ ón jes, ale że ón przyjdzie tu z królewiczówną i będzie gádál do niego: ojcze, i do nij (do téj świniarki): matka. Wrócił do gościńca i powiadá: no chodź, pójdziema do moich rodziców. Ugotowała ta świniarka grochu i kapusty, i tak ją uczęstowała. Oj! jak ij to smakowało, gdy brzuch wprzód próżny miała. Po obiedzie „pędzi ćna (królewiczówna) z tym świniarzem, jako z ojcem, świnie na pole; a on mówi do nij: bądź ty tutaj, a ja pójdę piniędzy się wystarać i będemy świniami handlować.

Ale ón poszed do swego ojca, do króla Jana, i opowiedział że już te królewiczówne tutaj má. Ojciec i matka go prosili, żeby jóm przyprowadziuł. — Nie, matko, nié mogę jéj jeszczé przyprowadzić, bo chciałbym ją jeszczék potrápić, pomártwić, żeby ona poznała co to bida może, i żeby sie nałuczyła na swojim gospodarzyć. On młody poszed nająć szynkownię w tym mieście, udál się za szynkourza; a potem zaś poszed do tego świniarza i wzion ją ze sobą i do ty szynkowni przyprowadził, chtórą najął. Przywieźli mu piwo, wódkę i trunek rozmaijty, także i przyodziéwek

[1]) *Lud*, Ser. III str. 152.

dla nij, coby sie porządnie ubrała. Poszed do żołnirzy, i namówił ich żeby pili a nie płacili, a potem wrócił do nij i powiedział, żeby ona dawała żołnierzom pić na kréjdkę tyła ile bedą chcieli, a óna ma pisać: co trojak to dwa (zamiast trojaka, dwa trojaki), co dwa trojaki to śtyry, co śtyry to osiem. A żounirzom jeszczek powiedział po cichu, że ona przypisuje (więcéj jak należytość jest) i jak przyńdzie pirszy (miesiąca) a óna bédie mówić o piniądze, żeby ij nie zapłacili, ale jeszcze ij potrzaskali flaszki, szklanki, beczki i wszystko w izbie, aby ji tylko nie bili ani nie tknęli, bo pod karą wielgą. Oni tak wszystko zrobili jak ón kazał; a jak już po wszystkiemu, że się uskrommili i poéli sobie, tak ón przychodzi do domu. Ona powiadá: widzisz kázałeś mi przypisować, a oni dobrze wiedzieli co óni są winni, i jeszczék mi wszystko potrzaskali. I óna ogromnie płacze i mówi: co óni terá oboje poczną! — On: cicho, nie płacz, ja pójde, kupie ci porcenelów, będziesz handlowała porcenelami, bédziesz miała lepszy zarobek.

Przywieźli te porcenale na rynek, bo to bół targowy dzień. Óna szerokie miejsce sobie zabrała, szeroko porcenele porozstawiała na rynku przy dródze gdzie fury jachały; ón ij tam na tém miejscu kázał rozstawić, żeby więcy przedała. Panie wielmożne okropnie porcenale kupują od nij, bo miała ładne, kunsztowne. A ten królewicz poszed do ojca, przebrał się za prynca, co ona go nie poznała. Wyszeregował dwie szwadrony wojska, niedaleko tego miejsca; muzyka graje wojskowa i jadzie, ciągnie to wojsko prosto na te porcenale. Konie tretują porcenale za prynca rozkazem, tak, że óna stoji i wrzeszczy i płacze; — choć wojsko chciało się namykać, bo wojsku żál było, ale musiało. I potłukli ji wszystko. Ona przychodzi do domu i okropnie płacze, co óni teráz oboje poczną, że tera piniędzy nié mają, że bez prynca zgubioni będą. On zewlek ze siebie one pryncoskie ubranie u ojca i przychodzi do domu; ona mu opowiada: widzisz, jaki to nieuczciwy jest ten prync; wojsko się chciało namknąć, a on ciągnoł go prosto bez te porcenale i potrzaskáł. On mówi do nij: cóż my teraz poczniemy? pójdę teraz do króla, może mnie weźnie za stróża a ciebie za kucharkę. (*Lud* Ser. V str. 336. Twardowska na rynku).

On poszed do swojich rodziców i namówił się z niemi, żeby mu wynieśli piłę i siekiérę do drzewa rąbania, a óne żeby, jako ta matka zgodziła za kucharkę do kucharza. Więc teráz ón sie

wracá pó nią do domu swego; mówi: pódź, jużem się zgodziuł za stróża a ciebie za kucharkę. Oboje idą do króla. Weśli do sieni, król wychodzi i królewa jako rodzice jego; onemu ociec wyniós piłę i siekiére i prowadzi go do drewnika do drzewa rąbania; a onę, wziena matka, i prowadzi do kucharza do kuchni. Kucharz ma powiedzone, żeby sie delikatnie z nią obchodziuł, a żeby wiela co do roboty nie dał, bo to było wszystko namówione, co się stać má. On (królewicz) najon chłopa i kazał mu rąbać drzewo; a sam poszed do pokoju i przebrał się za prynca. Tak ónej dał kucharz trochę rosołu i dwa gołąbki opieczone. Ta królewiczówna widzi że ón tak okropnie to drzewo rąbie; wziéła ona ten rosół i te dwa gołąbki w garnuszku i uwiązała sobie pod szeroki fartuch, żeby nikt nie widział, ten garnek z tym rosołem. Tak óna ob(w)ineła w papiór te dwa gołąbki jako swojemu chłopu. Jes ona na podwórku i kręci sie tak, żeby nich(t) nie widział jak óna mu poda. Od nieszczęścia się broniła jak mogła, żeby zaś nie posądzili że ona te gołąbki skradła. Prync wychodzi na galeryą i woła jóm, żeby mu przyszła wysokie pół-butki na nogach zawiązać. Tak óna niewiedziała, co z témi gołąbkami miała robić; i wrzuciła je za ślachetki a garnuszka pod fartuchem nimogła odwiązać bo prync na to patrzał. Tak óna mu poszła, te półbutki zawiązała. A tutaj na sáli muzyka graje; ón ją wzión za ręke i wprowadziuł jom na sálom; oba tończyli, aż sie rosół z garnuszka klubá (kłapał, bełkotał). Panie siedziały i sie ogromnie śmiały, że óna na sali wodę puściła.

On ją wzion: wyprowadził ze sáli do innégo pokoju, gdzie tam zygarek skradzony ból jeji, chtéry w prezencie od niego odebrała i rzeczy (d)lo nij uszykowane były. Panny dostąpiły i piéknie ją ubrały. Piszą do rodziców jejich, żeby przyjachali do Jana króla, na córki ślub jejich. Wociech król odpisuje do Jana, że on, żeby ból wiedzioł że to syn jego, tak by ból wesele w jego domu wyprawiuł; nie bółby córki swoji z nim do sklepu wtrącoł. Przyjachali na ślub rodzice jeji.

## 68.

## Swiercz wielki prorok [1]).

(Czasopismo *Przyjaciel ludu*, rok 3ci, Leszno, 1836, nr. 7, 8).

W jednéj wiosce żył ubogi wyrobnik, nazwiskiem Świercz Licha była jego odzież, ale nędzniejsze jeszcze pożywienie: suchy kawał śniadego i spleśniałego chleba, był zwyczajnym jego pokarmem. Dla tego, gdy mu się czasem najętemu do żniwa, gdzie zwyczajnie lepszą strawą podsycają ochotę pracowników, udało skosztować nabiału, séra lub masła, nie posiadał się natenczas z radości, a gdy go kiedy kawałkiem tłustego mięsa uraczono, ukontentowanie jego nie miało granic, i w uniesieniu zwykł był powtarzać: chętnie bym poniósł najsroższe kary, a nawet i to nędzne położył życie, gdyby mi kto przez trzy dni przynajmniéj pozwolił użyć wszystkich roskoszy pańskiego stołu.

Zdarzyło się, że powracając z roboty i wstąpiwszy w pewnéj wiosce do karczmy, dowiedział się, iż pani tych dóbr zgubiła niedawno bardzo kosztowny brylantowy pierścień, i że znaczną temu obiecała nagrodę, ktoby go znalazł. Okoliczność ta zdawała się naszemu zgłodniałemu chłopu najdogodniejszą nastręczać sposobność do zaspokojenia coraz bardziej wzmagającego się appetytu Myśli więc sobie: udam się za wróżka; powiem, że potrafię wynaleść pierścień, pod tym warunkiem, aby mi przez trzy dni wprzódy najwyborniejszych potraw i napojów używać dano. Po trzechdniowym bankiecie wyda się oczywiście szalbierstwo moje; poniosę zasłużoną karę; ale mniejsza o to, doznawszy takiej roskoszy, mogę też cokolwiek pocierpieć. Odzywa się więc w karczmie do ludzi dworskich, iżby może potrafił pierścień znaleść, ale żąda, aby go pierwéj po pańsku przez trzy dni częstowano.

Gdy się o tém pani dowiedziała, ucieszona, kazała natychmiast chłopa do dworu zawołać, wyznaczyła mu osobny pokój, i dała rozkaz, aby go jak najszczodrzéj traktowano, nieszczędząc

---

[1]) Obacz *Lud* Serya VIII str. 226, dykteryjka o gadających Mrówczych jajach.

najwykwintniejszych potraw i napojów. Uradowany nasz biedak Swiercz tak nagłém i niepojętém szczęściem, myślał tylko o roskoszach, które go czekają, nie zaś o odkryciu zguby, która go wcale nie obchodziła. Gdyby był miał trochę więcej oleju w głowie, byłby może użył jakiego fortelu dla wyśledzenia sygneta, znajdującego się podług wszelkiego podobieństwa w ręku domowników.

Jakoż było we dworze trzech lokajów, którym pani zgubionego w ogrodzie pierścienia szukać kazała. Ci znalazłszy tak kosztowny brylant, i utaiwszy go między sobą, nie mało się teraz zjawieniem tak niebezpiecznego sobie człowieka strwożyli. Lecz bystry wzrok naszego wieszczka, nie sięgał daléj jak do półmiska; marzył o tylko o bankietach, zresztą polecał się Bogu, będąc zdecydowany na wszystko. Przeznaczony na jego usługi jeden z trzech wspólników przytajonej kradzieży, służył mu jak najpilniéj, uważając na każde jego poruszenie. Na wieczór, gdy sobie chłop należycie podjadł i podpił, położył się w łóżko, a przypomniawszy sobie, że już dzień jego rajskiej rozkoszy upłynął, rzekł spoglądając na lokaja: „Bogu dzięki, to już jeden“. Na złodzieju czapka gore; przestraszony lokaj myślił, że chłop do niego mowę stósuje; pobiegł więc śpiesznie do swych towarzyszów i powiedział, że się ich kradzież wydawać zaczyna, gdyż już jego pierwszego wieszczek wymienił.

Strwożyli się wszyscy niezmiernie, postanowili jednak czekać końca téj katastrofy, a w tym celu drugiego lokaja do usług chłopa z pomiędzy siebie wybrali. Chłop pozwoliwszy sobie drugiego dnia więcéj niżeli wczoraj, marząc o tak szybko upływającéj szczęśliwości, westchnął sobie i rzekł patrząc na lokaja: „Chwała Bogu, to już i drugi“. Lokaj tém większą zdjęty trwogą, bieży natychmiast do swych kamratów, twierdząc, że już wszystko stracone.

Lecz ostatni lokaj krzepi odwagę swych towarzyszów, każe im wytrwać do końca, kiedy rzecz nie jest jeszcze całkiem odkryta; a tymczasem bierze sam na siebie obowiązek służenia mniemanemu wrożkowi; lecz mając już głowę nabitą postrachem rzucanym przez swych kolegów, a przytém dręczony wyrzutami sumienia i obawą zasłużonej kary, drży na każde spojrzenie chłopa, uprzedzając jego skinienia. Nie żałował sobie i dzisiaj zasz chłopek, aż nareszcie znużony snem i winem, zabierał się do spoczynku, i kładąc się w łóżko, rzekł: „Otóż już trzeci i ostatni;

dokazałem swego". Na te słowa zimny dreszcz przejął występnego sługę, który był pewien, że się te do niego ściągają. Tymczasem chłop widząc koniec swych roskoszy, a wiedząc oraz, że go za to niechybna czeka kara, począł nareście wzdychać. Gdy lokaj z przestrachu nieco opłonął, spytał go się: dla czegoby tak wzdychał. Chłop na niego smutno spojrzawszy, rzecze: „Ach bracie, jakże niémam boleć; trzeba będzie ciężką wytrzymać karę".

Przerażony lokaj zagrożoną sobie karą, bieży czémprędzéj do swych towarzyszy, potwierdza ich obawę, dodając: iż niéma innego ratunku, jak wyznać wszystko dobrowolnie przed chłopem, i o zamilczenie prosić. Jeszcze Świercz w najlepszą chrapał, gdy niespokojni wspólnicy kradzieży przychodzą wszyscy trzéj raniuteńko do jego pokoju, padają na kolana, oddają pierścień, błagając na klęczkach, aby ich przed panią nie wydał. Chłop z początku myślał, że go przyśli brać na tortury; prędko jednak przychodzi do siebie, udaje jakby o wszystkiém wiedział, i przyrzeka zręcznym sposobem zataić sprawców, byleby pierścień u niego złożyli.

Niezmiernie uradowani słudzy, że im się tak szczęśliwie powiodło, przynieśli na jego rozkaz tajemnie wielkiego indyka, któremu pierścień chłop ów dał w chlebie połknąć. Wprowadzony potém wieśniak do pani na posłuchanie, przybiera poważną minę i oświadcza, że pani chodząc wtenczas a wtenczas po ogrodzie, zdejmując rękawiczkę, zgubiła pierścień, który od indyka tamże biegającego połkniętym został; że sygnet ten znajduje się dotąd w jego brzuchu, i może być w téj chwili z niego wydobyty. Ucieszona pani kazała zaraz spędzić wszystkie indyki, a chłop po chwili wskazał znajomego sobie ptaka, kazał go rozpruć w przytomności pani, i z wielkiem podziwieniem wydobył z wnętrzności jego kwestyonowany pierścień.

Można sobie wystawić niesłychaną radość pani i powszechne zdumienie domowników. Reputacya naszego wieszczka była zupełnie ustalona, gdyby nie pan, który właśnie w ten dzień do domu był powrócił. Ten pomówiwszy nieco z tym zawołanym prorokiem, nie chciał żadną miarą uwierzyć w jego dywinacyją; aby więc zawstydzić prostaka, postanowił go wystawić na małą próbę. Właśnie gdy się dość żywo umawiał z swoją żoną, uporczywie sławy jego broniącą, zdarzyło się, że świercz w kominie się odezwał. To

dało powód, iż pan kazał go służącym poszukać, wsadzić do półmiska przykrytego talerzem, a zaleciwszy głębokie milczenie, wezwał do swego pokoju wiejskiego augura, i rzekł do niego: „Widzisz oto stojący na stole półmisek: jeżeli mi natychmiast nie powiesz, co się w nim znajduje, każę cię jako bezczelnego oszusta ochłostać i uszy ci oberznąć“. Zmięszany chłop tem niespodziewaném zagadnieniem, znajdował się prawdziwie w krytyczném położeniu; nie wiedząc co na to powiedzieć i ulegając już niejako losowi, rzekł sam do siebie, spoglądając na półmisek, jako na przyczynę swego nieszczęścia: „biédny Świerczu, otóż cię złapano!“

„Brawo“ zawołał pan, podając rękę zdumiałemu chłopu: „daruj mi moje niedowiarstwo!“ a uczęstowawszy go jak najlepiéj, hojnie obdarzonego do domu odesłał.

## 69.

## O płocie kiełbasianym [1]).

Powiastka ludu (z nad Obry).

*(Przyjaciel ludu* 1847, rok 14. Nr. 41, str. 326).

(Chłop znalazł skarb. Kiełbasiany płot, ryba w sidłach, a ptak w więcierzu. Cuchnący dészcz. Babka plotkarka).

W jednéj wsi mieszkał ubogi chłopek imieniem Maciek, a miał bardzo złą żonę, która jak się rozgniéwała, to i grzech śmiertelny na swego chłopa gotowa by była wywołać; bo przy złości miała tę przywarę, że żadnéj tajemnicy nie mogła dochować. Maciek znał ją dobrze z tego, i we wszystkiém strzegł się jéj okrutnie. Będąc bardzo biédnym, trudnił się, oprócz uprawy roli, zastawianiem wieńciorków na ryby, w stawie przy jego gruncie leżącym; a że miał zaraz przy stawie dużo jarzębiny i jałowcu, stawiał więc i sidła na ptaki, które gromadami do tych zarośli rade się zlatywały.

Jednego razu orząc w polu, zawadził on pługiem o coś takiego, co mu się zdawało nie być kamieniem. Jakoż odwaliwszy

---

[1]) *Lud* Ser. VIII str. 215.

skibę, postrzegł jakieś żelazne wieko, a gdy głębiéj począł ręką ziemię odgarniać, przekonał się, że to była żelazna skrzynka, którą otworzywszy, znalazł pełno pieniędzy. Zrazu bardzo się ucieszył; ale gdy pomyślał, że do zniesienia tych pieniędzy potrzeba mu będzie koniecznie pomocy, i gdy sobie wspomniał na żonę, na jéj złość i długi język, zasmucił się bardzo i począł rozmyślać. Długo tak stojąc i myśląc, przygrzebał nareście skrzynkę ziemią, zrobił nad nią znak i wrócił z wołami do domu.

Wkrótce wymyśliwszy przed żoną jakąś przyczynę i wziąwszy miech (worek), poszedł do miasta. Jedynym jego sprawunkiem w mieście było kilkadziesiąt łokci kiełbas, które kupiwszy, udał się prosto do swego zagajnika. Na drożynce do wieńcierza prowadzącéj, wbił parę kołków i uplótł na nich z owych kiełbas płot; a gdy go skończył, wziął ptaka który się złapał w sidła i wsadził go w wieńciorek, a z wieńciorka wyjąwszy rybę, zawiesił ją w sidłach; wreście poszedł spiesznie do domu i tam wziąwszy garnek gnojówki i kropidło, schował to za kamień niedaleko miejsca, gdzie skrzynkę znalazł.

Potem wróciwszy do chałupy, do żony, począł się niby smucić, mówiąc do niéj o swojéj biédzie. Baba swojim sposobem marudziła mu nad głową, jakoby on był winien téj biédzie, chociaż, mówiąc po prawdzie, baba była sama przyczyną niegospodarstwa, bo przy złości i długim języku, miała jeszcze i tę wadę, że lubiła często wychylać kwaterki z komoszkami. Chłop słuchał cierpliwie baby, a gdy się wychałasiła do woli, rzekł jéj: „Wiesz co, weź no miech i ja wezmę drugi, pójdziemy do wieńcierza i do sideł, a co ryb i ptastwa zastaniemy, to zaniesiemy do miasta przedać". — Gdy byli niedaleko zarośli, rzekł Maciek: „Wiesz ty, ja jakoś okrutnie zaniemógł, muszę odpocząć, — a ty idź jeno do wieńcierza i do sideł, a co znajdziesz ryb i ptastwa, to jeżeli będziesz mogła, zabierz, a jeżeli nie, to mnie zawołaj".

Baba szła prosto dróżką ku lasowi do wieńcierza, a gdy w lasek weszła i zobaczyła dróżkę zagrodzoną kiełbasianym płotem: „O jakież to dziwo!" — zawołała krzykliwym głosem: — „adyć to płot kiełbasiany!" — Powąchawszy i spróbowawszy, że to doprawdy kiełbasy z czosnkiem — zawołała całém gardłem na chłopa: „Maciek, ady jeno pójdź, zobaczysz dziwo, — dróżka do wieńciorków zagrodzona płotem z kiełbas". — „Nie gadała byś lada co" — odezwał się Maciek; — ale gdy ta zaczęła mu się

przysięgáć że prawda, szedł do niéj, niedowierzając niby. „Bogu dzięki“ zawołał Maciek, zbliżając się do kiełbasianego płota, — „będziemy mieli pożywienia na jaki tydzień, z obiadem; idź-że jéno ty teraz, wybierz ryby z wieńcierza, a ja tymczasem będę kładł te kiełbasy do miecha“.

Baba uradowana z kiełbas poszła czémprędzéj; ale gdy włazłszy we wodę, i wyciągnąwszy do góry wieńcierz, zobaczyła w nim zamiast ryb, ptaka, — krzyknęła jeszcze przeraźliwiéj jak pierwej: „A toć co? przecie to istne czary!“ — i pobiegła z tą nowiną spiesznie do chłopa, który resztę kiełbas spokojnie do miecha pakował. „Tyś pewnie ogłupiała, kobieto“ odpowiedział, gdy skończyła opowiadać, i rzekł: „Kiedyć ryb niema, idź-że przynajmniéj do sideł i pozbiéraj ptastwo, które się tam pewnie nałapało, a ja pójdę przekonać się do wieńciorka“.

Baba znowu pobiegła prędko, a Maciek szedł zwolna ku wodzie, śmiejąc się w duszy. — Jeszcze baba nie doszła do sideł, gdy zdala zobaczywszy w sidłach wiszącą sporą rybę, krzykła znowu na całe gardło: „A cudzie, cóż się to dzieje? adyć tu znowu ryba zamiast ptaka wisi“. — Maciek na ten hałas baby, zbliżył się ku niej, mówiąc do siebie tak głośno, aby ona usłyszała: — „Widzi Bóg, ja sam już nie wiem, co o tém myśleć“ — a gdy do sideł przyszedł i zobaczył w nich rybę, rzekł: „To jakiś dzień dzisiaj dziwny, on nam albo jakie szczęście, albo wielki kłopot wywróży“. — Po długiej radzie, wrócili oboje zamyśleni z kiełbasami, ptakiem i rybą do domu.

Wnet potém, wyjechał Maciek w pole z pługiem, niby orać, i gdy się ku zmierzchowi zbliżało, wrócił do domu. — Usiadłszy w izbie przy piecu, począł znowu myśleć i wreszcie odezwał się do baby: „Słyszysz matka, ja bym ci coś powiedział, coby ciebie i mnie uszczęśliwiło, ale się boję, bo ty wszystko wygadasz“. — „Boże odpuść, co téż ty gadasz, przecie-m-ci ja znowu nie taka, żebym miała wygadać sobie nieszczęście“ odpowiedziała baba, i poczęła się zarzekać na sekret. — Maciek uwierzywszy jéj niby, powiedział, że orząc dziś w polu, wyorał skrzynkę z pieniędzmi, ale że bez jéj pomocy pieniędzy tych do stodoły znieść nie potrafi. — „No widzisz, jaki ty mój Maćku, i jabym też to o tém komu powiedzieć miała? — a Boże mnie skarz, nie powiem, adyć by nam to pan zaraz zabrał“. — „To weź miech i chodźmy“ odpowiedział chłop. — Gdy Maciek z kobietą nasypali w miech

pieniędzy, rzekł do niéj: „Czekaj, ja ci zadam miech na plecy, bo byś ty sobie nie poradziła, a mnie łacniéj będzie zadać go sobie samemu“. — Baba usłuchała i wziąwszy worek na plecy, szła ku domowi wolno. Maciek nasypawszy sobie w miech mniéj pieniędzy, wziął śpiesznie garnek z gnojówką i kropidłem, który tam był wprzód postawił i idąc z wolna za babą, kropił ją wodą. — Baba z początku szła spokojnie, ale gdy przez koszulę zaczęło ją ziębić i coś cuchnąć, „Maćku!“ rzekła — ady to deszcz cuchnący pada“. Maciek udając niewiarę, znowu rzekł: „Nie gadałabyś lada czego“, — ale zaraz niby postrzegłszy, że prawda, — odezwał się: „Ano, w saméj rzeczy, że cuchnący deszczyk pada“, i kropił daléj! Baba przestraszona i odurzona tém wszystkiém, niosła cicho pieniądze do stodoły i parę razy z mężem po nie nawróciwszy, znieśli wreszcie wszystkie i zakopali w stodole.

Chłop nie w ciemię bity, wiedział pewno, że baba sekret wywrzeszczy. Poszedłszy tedy na drugą noc do stodoły, wydobył owe pieniądze i zakopał starannie w inném miejscu. I nie omylił się na swojich przewidywaniach. Zgoda między nimi nie długo trwała, baba gwałtem dopominała się pieniędzy, chłop dać nie chciał, bojąc się, żeby się baba nie wydała przed komoszkami, przez lekkomyślne ich używanie. „Nie dasz?“ zawołała raz na chłopa w największéj złości. „Nie dam“ odpowiedział chłop spokojnie. „Wiec czekaj“ rzekła baba — „ani ty ich nie będziesz miał ani ja — pójdę do pana — powiem wszystko“, i wyleciała jak oparzona do dworu.

Pan wysłuchawszy babę i schowawszy ją za piec, posłał po Maćka. Maciek wiedział już co się święci i szedł spokojnie. „„Słuchaj Maćku““ — rzekł pan do niego — „„słyszałem żeś wykopał pieniądzé i nie powiedziałeś mi nic o tém““. — „Miły Boże“ — odpowiedział chłop, — przydały by mi się bardzo, bo już nie wiem sobie rady z biédą, ale gdzież tam! paniczku, nie zdarzy się to biédnemu człekowi. Wiem-ci ja, wiem kto to paniczkowi o tem powiedział, — bo jéj to już nie piérwsze; już-ci to nie kto inny, tylko moja kobiéta gadała o tém, która mi już nie od dzisia ogłupiała i cudośne rzeczy wyprawia i wygaduje. Ja już dawno wybierałem się do paniczka, podziękować za gospodarstwo, bo bym wypsiał (na psa wyszedł) „na niem dłużéj z kobietą nie spełna rozumu“. — „A będziesz ty mie w taką niepoczciwą suknią obłóczył“, — krzykła baba na męża, wylatując z zapiecka, — a czegoż

się to zapierasz? a nie pamiętasz to już kiedy to było? — a toć wtenczas, kiedyśmy to idąc do wieńcierzy zastali dróżkę zagrogdzoną kiełbasianym płotem; — a nie jadłeś potém tych kiełbas ze mną jakie dwa tygodnie — he?“ — „Boże odpuść kobieto, przecie się upamiętaj, a takich głupstw nie wygaduj, bo się tylko ludzie będą śmiali z ciebie“. — „No czekaj“, — odrzekła baba, — „ja ci Maćku zaraz przypomnę: — to było wtenczas, kiedym ptaka w wieńcierzu złapała we wodzie — jeszcze nie pamiętasz? — a przypomniéj-no sobie, to były dziwy — w ten sam dzień na sidła złapała się ryba“. — „To Jegomość widzi“ — przerwał Maciek — co to człek musi mieć biedy po całych dniach z taką kobietą“. — „O bodaj cię też i niewiem co już wzięło, kiedy się zapierasz“, — wyrwała się znowu baba, — „ady ja sama paniczkowi zaraz powiem, kiedy to było; to sobie paniczek przypomni; — to było wtenczas, kiedy to pod wieczór deszcz cuchnący padał.“ — „„A idź-że już sobie babo!““ zawołał pan zniecierpliwiony i wypchnął babę za drzwi. — Chcąc się jednak do prawdy przekonać, posłał ludzi do stodoły Maćka i kazał ją całą skopać — a gdy nic nie znaleźli, utwierdził się w tém, że baba zwaryowała.

Maciek też i na wsi opowiadał sąsiadom o tém nieszczęściu, który znając babę z wielu głupstw i złości, uwierzyli łatwo że to jest prawda. Bojąc się jednak, aby się to wreście nie wydało, podziękował panu za gospodarstwo, pod pozorem, że mu nie może poradzić, mając żonę głupią — i wyniósł się w dalekie strony, a kupiwszy sobie tam piękny kawał ziemi, wziął babę więcéj na wodzę, i żył z nią potém szczęśliwie.

## 70.

## Co to jest bieda?

(Powieść) [1]).

*(Przyjaciel ludu*, Leszno 1842, rok 9. Nr. 2, 3).

(Królewicz kąpie się, a dziad mu kradnie konia i odzież. Królewicz nago włazi nocą do chałupy. Wyłudza od zalotnika kowalowej ubranie. Dzieli się z mężem przygotowanem przez żonę jadłem. Wypędza biedę).

Co to jest bieda? drogi ojcze, ciągle słyszę to słowo nie tylko z ust nędzarzów błagających o wsparcie; ale nawet co

[1]) Porównaj *Lud*, Ser. III (Kujawy) str. 165, 169, 174. — Ser. VIII. str. 226, 267.

dziwniejsza, między dworzanami daje się nieraz słyszeć to fatalne słówko, kiedy kogo pociągniesz za język, aby ci szczérze skrytości serca swego objawił, zawsze znajdzie się na dnie nieszczęsne: bieda! Mości książę!

Tak się pytał pewien królewicz swego sędziwego ojca, nie kontent z siebie, że nie mógł pojąć tak pospolitego wyrazu. Troskliwy ojciec chcąc jak najdokładniéj odpowiedzieć na jego zapytanie, zaczął mu wykładać wszystkie rodzaje biedy, zacząwszy od królewskiej idąc stopniami aż do najnędzniejszego żebraka. Ciekawy królewicz słuchał jak o żelaznym wilku, nie mogąc pojąć słów ojca, znać go ktoś oprzyroczył. Ponieważ zdaniem mędrców goszczących na królewskim dworze, miał pojęcie nader bystre i z wielkiém ich podziwieniem rozwięzywał najtrudniejsze polityczne i filozoficzne zagadnienia, korciło go tém bardziéj, że nie czuje i nie pojmuje tego, co najpospolitszy człowiek. Była to pierwsza przeciwność, na którą w życiu swém natrafił, zapalił się więc tym gorętszą żądzą dojścia prawdy i postanowił jechać w świat i szukać biedy.

Nazajutrz oznajmił ojcu swe postanowienie; a ten, jak nigdy, tak i teraz, nie sprzeciwił się jego woli. Przyszykowano wszystko do wyjazdu, wybrano najdzielniejszego rumaka, ubrano go w złociste rzędy, drogiemi wysadzone kamieniami. Królewicz trzeciego dnia wstawszy rano i pożegnawszy się z ojcem, wsiadł na koń i ruszył w świat. Było to jeszcze bardzo rychło: nieznacznie z wilgotnego zmroku świt się wykradać zaczął; naokoło głęboka panowała cisza, tylko czasem spłoszona zakrakała wrona, zaszczekał zaszargany lis wracając do nóry, lub zaturknął skrzydełkiem ranny skowronek, ulatujący w górę, aby powitać wschodzące słońce. Królewicz choć nieco chłodnym wietrzykiem w swym zapale ostudzony widząc pierwszy raz w życiu tak wspaniały majestat natury, pokrzepił tém bardziéj powzięte postanowienie, że prędzéj do domu nie wróci, aż swego celu dopnie. Jedzie więc daleko, daleko! — Już był dawno minął granice swego państwa; teraz zapuścił się w jakieś okiem nieprzejrzane puszcze, którym ciemne i ponure lasy tém więcéj dodawały ponurości. Nigdzie ani widnąć człowieka. Tylko zając niekiedy spłoszony szelestnym biegiem stępaka, z kotliny poskoczył na bok, przysiadł w dołku, stuliwszy słuchy, czekał póki nie przejedzie; chyba ptaszek zaszeleścił, wlatując na wyższą gałązkę.

Królewicz zamyślony, ba może i nieco głodny, nie uważał już ani na zająca, ani na ptaszka, ani na inne piękności natury; ale ciągle wytężał wzrok naprzód, a myślą wzrok swój wyprzedzał. Lecz ów dzielny rumak zwolna postępował, bo jakoś nieznacznie stępiała jego rączość, występować zaczęły coraz widoczniéj żebra na wierzch; pomimo tego jednak wlókł się szkapina jak mógł, bo królewicz miał kolczate ostrogi, któremi szeroko boki mu podziurawił, a i ostre gałęzie podrapały jego dawniéj tak połyskującą sierć, iż zaczęła się jeżyć jak szczecina. Co gorsza, że i sam znużony królewicz draśnięty i skubnięty nieraz w gęstwinie, musiał często zginać swój prosty kark, a i tak nie zawsze uszedł szwanku, bo niekiedy giętka gałąź śmignęła go po dostojnym grzbiecie, lub co gorsza, zgięta o łeb konia, musnęła po samém nawet najjaśniejszém obliczu. Na domiar trudu straszny wicher zaszumiał jękiem po rozłożystych konarach wysokich drzew, a głuche wycie wilków dodawało mu więcéj okropności i zgrozy.

Nie wiele brakowało, a nasz królewicz byłby znalazł to, na co się tak zawzięcie usadził, gdy w tém naraz gęsty las przerzedzać się zaczął, coraz to większe w nim jaśniały łysiny, wiatr ucichł, a nasz podróżny ujrzał się znowu na otwartém polu, na którém zdala widać było paszące się trzody. Widok to był dla niego zachwycający: kołyszące się zieloném zbożem rozległe pole, daléj nieprzejrzane okiem łąki, na których długim rzędem postępujący kosarze, gdyby sznur żórawi, cięli bujną trawę, połyskując z dala kosami i pobrzękując w takt osełką. Powietrze tchnęło miłą wonią, a ptaszki roskoszniéj niż kiedy śpiewały, i nie dziw, bo mu w uszach dzwoniło jeszcze grobowe wycie wilków.

Gdy więc tak jak gdyby nowonarodzony puszcza się daléj, napotkał idącego ku sobie dziada, który choć dość czerstwo wyglądał, schylony pod sporym tłomokiem na plecach i dwoma na krzyż przewieszonemi skórzanemi torbami z trudnością na krukwiach utykał.

Zdziwił się niemało dziadowina, widząc tak znakomitego pana w tym stanie z gęstwiny wyjeżdżającego; zabiegłszy mu więc drogę i pochwaliwszy Pana Boga, zawołał: A słowo stało się ciałem! a zkądże to tu panisko wzięło się z téj dzikiéj knieji, którą chyba drapieżne przebiegają zwierzęta, lub taki oto jak ja żebrak zmuszony jest przebywać, zdążając do zaleśnéj wioski po jałmużnę. — Królewicz nadrabiając fantazyą rzekł: Ja się też o trakt bity nie

pytam, jadę w świat szukać biedy! — O jeżeli tylko paniczkowi o to idzie, żeby biedę znaleźć, to ja wiem gdzie ona siedzi. — A gdzie, gdzie? zapytał skwapliwie niecierpliwy królewicz. — Hajwo. Jaśnie panie, w owych krzakach na prawo, możemy ją zaraz zobaczyć.

Było to polne zdrojowisko, obrośnięte na okół niskiemi krzakami. Otoż tu jest, odezwał się filuterny dziad do królewicza, gdy się do tego miejsca zbliżyli. Kto się w tém źródlisku przez pięć sekund zanurzy, podniósłszy się, ujrzy biedę na własne oczy. Niech mnie Bóg ciężko skarze, jeżeli kłamię. A zresztą musi ważyć kaczora, kto chce wygrać gąsiora. Na próbie nie wiele paniczyk straci. Ja tymczasem dam baczność na konia, który, jak się zdaje, sam przez się placu dotrzyma.

Nie dał się królewicz długo prosić; rozebrawszy się do naga, położył szaty na koniu i daléjże do wody; ale że były gęste i cierniste krzaki, musiał mu je dziad krukwią na bok uchylać, aby niedraśnięty mógł je przekroczyć. Na komendę dziada: Raz, dwa, trzy! wskoczył ochoczo w wodę i zanurzył się z pluskiem. Tego też momentu filut dziad oczekiwał: rzucił jednę krukiew na bok, wyprostował się jak świéca, a uchwyciwszy silną ręką za grzywę konia, wskoczył za pomocą drugiéj krukwi dziarsko na siodło i przysiadłszy szaty królewicza, nuże poganiać szkapę krukwią, hajsa do lasa, aż się za nim kurzyło.

Po kilku sekundach wynurzył się z wody ciekawy książę, przeciéra oczy i widzi, co się dzieje. Wyskakuje nagle z wody, chcąc biedz w pogoń za złodziejem, ale draśnięty cierniem, cofnąć się musiał, gdy tymczasem oszust już dopadał gęstwiny. Była to chwila krytyczna dla najwyrozumialszego człowieka, a cóż dopiéro dla królewicza, co nie doznał cienia przeciwności. Nie dziw więc, że widząc swą gołotę i opuszczenie od całego świata, załamał ręce i zawołał w głos: o j b i e d a ż mnie, b i e d a!

Słowa te własnemi usty wyrzeczone, były balsamem pociechy w jego niedoli, znalazł bowiem to, czego szukał, a zatém dopiął celu podróży; mniejsza więc o resztę. Szło teraz tylko o to, jak do domu powrócić. W takiéj przyrodzonéj goliznie nie mógł się przecie i najlichszemu człowiekowi prezentować. Zaczął więc przedewszystkiém nad tém przemyśliwać, jak by okryć swą nagość, tymczasem schował się w życie, które go na szczęście całego zakrywało. Spostrzegłszy z dala kosarzy, podszedł żytem ku nim,

skradając się nieznacznie, czyby mu się nie udało zdobyć jakie łachmanisko do okrycia. Właśnie leżały na miedzy brzuszlaki i kamizele, ale co chwila który z kosarzy, to ze znużenia, to z lenistwa, wyprostowawszy się, ostrzył pół godziny brzęczącą kosę, oglądając się jak gawron na wszystkie strony. Królewicz przeklinał uroczy brzęk kosy, a jeszcze bardziéj lenistwo wieśniaków, które mu było na przeszkodzie zaradzenia tak nagłéj jego potrzebie.

Słońce zaczęło się schylać ku zachodowi, kosarze skończywszy pracę, powracali z gratami na ramieniu do domu, pokrzykując radośnie; ale w sercu królewicza było pusto i głucho. Nieborak już poznał biedę! Chłodny wietrzyk, wieczorna rosa, zaczęły dojmować jego goliźnie i popędzały go mimowolnie do mieszkań ludzkich, gdzie jakikolwiek spodziewał się znaleźć przytułek. Póki było jeszcze widać, zostawał w życie, a kiedy już noc rozpostarła swe cienie, wychylił się w jarzyny, które że były niskie, wlókł się w nich chylątką, aby go kto nie postrzegł, a czasem i na czterech (na czworakach) nie przymierzając, jak niedźwiedź, a coraz to stawał, chwytał uchem dolatujące go odgłosy, oglądał się na wszystkie strony, a coraz daléj a daléj ku wsi. Tak przyszedł w nocy do ostatniego domu jakiéjś porządnéj wioszczyny, przeskoczył lekko przez płot, gdyby najlepszy woltyżer, i schował się w konopie w ogrodzie. Ale i w téj cuchnącéj gęstwinie nie długo gościł, bo go coś gnało do mieszkań ludzkich. Wchodzi zwolna na podwórze, gdzie na szczęście nie było domowego stróża, boby mu z pewnością podziurawił jego przyrodzone szarawary. Przeleciało mu najprzód przez głowę, przywłaszczyć sobie jego budę i uczynić ją swą rezydencyą; ale gdy sobie rozważył, że za jego powrotem musiałby z nim krwawe staczać boje, przystąpił do domu, szukając wniścia. Drzwi i okiennice były szczelnie pozamykane, lecz nasz przemyślny królewicz umiał się już brać na sposoby, i nie dziw, znał już biedę, a bieda rozumu uczy. Wlazł po drabinie na kalonkę, a po niéj poczołgawszy się na czworakach do komina, nie wiele myślęcy, spuścił się tym otworem do chałupy, wszedł po cichu do izby i zrejterował się na przypiecek.

Niedługo też zaczęło świtać, kur zapiał po trzykroć, w domu się pobudzili, gospodarz wstał, wziął sobie kawałek chleba z serem, zaprzągł do woza i pojechał do boru aż o dwie mile po węgle. Był to bowiem kowal téj wsi, zwykle na końcu połaci mieszkający. Skoro ucichł turkot woza, wstała spiesznie i kowalka,

nałożyła suty ogień, zabiła kapłona, nagotowała klósek i usmażyła je w tyglu ze skwierczkami, zarobiła ciasto na kołacz i piekąc go na rozpalonem ognisku, wyglądała co chwila oknem, czy kto nie idzie? — Jakoż niebawem wchodzi do izby wąsaty mężczyzna w granatowéj kapocie, z batogiem za pasem, jako godłem swego urzędowania; był to podstarości téj wioski, zalotnik naszéj gładkiéj i dość młodej jeszcze gosposi. Zaczął wnet do niéj smolić cholewki, milić się jak kot do śmietanki, a ona wrzekomo krzątała się około przyszykowania śniadania. Nie długo zastawiła na stole kapłona na misie, klóski w tyglu, położyła placek i wydobyła flaszkę dobrej gorzałki, którą była w niedzielę z miasta przyniosła; zamknęła potém drzwi, i zasiedli sobie oboje za stołem, a królewicz patrzał na wszystko z zapiecka, aż ślinkę połykał.

Tymczasem kowalowi pękł gdzieś na moście sierdzień u woza, musiał więc nieborak wrócić do domu po inszy. Turkot zajeżdżającego na podwórze wozu spłoszył naszych biesiadników od stołu; kowalka zaczęła spiesznie wszystko chować: placek pod poduszkę, klóski na piec, kapłona do komory między mlostki z mlékiem, a buteleczkę do szafy. Teraz dopiero ozwała się mężowi, który już zniecierpliwiony i markotny porządnie łopotał do drzwi; przeleknionego gościa wsunęła na przypiecek i nabrawszy już odwagi łajała niecierpliwości mężowskiéj.

Lecz któż opisze trwogę wystraszonego podstarościego, gdy ujrzał na przypiecku żyjącego świadka jego zalotów; skamieniał on prawie ze strachu i słowa wymówić nie mógł. Królewicz widząc jego pomieszanie i poczuwając się do lepszego prawa na swych śmieciach, wpadł z góry na niego: „a ty hultaju! zaraz zewleczesz mi się aż do koszuli; inaczéj, zakrzyknę na kowala, to ci porządnie skórę wygrzmoci“. Nieszczęśliwy podstarości był prawdziwie między młotem a kowadłem; i rad nierad uczynił zadosyć żądaniu, i zezwolił, iż go coraz zuchwalszy królewicz obrał ze wszystkiego do koszuli, aby tylko nie robił hałasu.

Tymczasem kowalka poswarzywszy się chwilę z mężem w sieni, dybała tylko na to, jakby go się znowu jak najprędzéj pozbyć; ale tą razą inaczej się stało. Królewicz ubrawszy się w szaty podstarościego, gdy gospodarz szukaniem sierdzienia był zajęty, wyszedł z nienacka z zapiecka, stanął u drzwi, jakoby właśnie co wszedł do izby, pochwalił Pana Boga i udawał wędrownego kowalczyka.

No, jakże wam tu rzemiosło idzie na wsi? zapytał. — Oj źle, mospanie, roboty ani krty, a choć kto i da co zrobić, to ledwo żelazo zapłaci, a drugiemu trzeba czekać i czekać. Oj bieda-ć to mospanie, żeby jej siekierą nie uciął, jak nas obsiadła, popuścić nie chce. W mieście to co innego, tam każde rzemiosło lepiej popłaca. „Jużci prawdę macie, ale bądźcie jéno dobréj myśli, trzeba sobie poradzić. Oto wiécie co, ja umiem biedę wypędzać; czy chcecie się jéj pozbyć z domu na zawsze?“ — Kowal zaczął się po kudłach skrobać i rzekł: a już-ci by to było i nie źle, ale... — „Nie turbujcie się jeno, ja już w tém poradzę“.

Poczém zakreślił różnem na środku izby wielkie koło, wszedł w nie sam i jął coś mruczyć pod nosem i machać rożnem na krzyż, jakby biesa wypędzał. Nagle stanął i zapytał się kowala: „A co gospodarzu, chce wam się jeść?“ — A już-ci, mospanie, aż człowiekowi flaki piszczą; mrugałem-ci ja na moją, aby was choć kawałkiem chleba w dom przyjęła, ale u nas bieda jak zakuta, ani kramki chleba.

Nic na to nie odrzekł królewicz, zaczął jeszcze silniej wywijać rożnem i głośniej pomrukiwać jakieś tajemnicze słowa. Nagle radość zajaśniała na jego twarzy i rzekł do kowala: „Gospodarzu, nie będziemy mieli obaj głodu, oto smażone klóski stoją na piecu“. — Kowal nie chciał temu wierzyć, poszedł jednak za naleganiem, wziął tygiel w rękę. „W imię Ojca i Syna! a dyć to cud prawdziwy!“ — i postawił klóski na stole. Ochoczy nasz czarnoksiężnik usiadł za stołem, posadził gospodarza obok siebie i wnet spałaszowali tę pierwszą porcyą. Gosposi nagle źle się zrobiło, znać ją głowa zabolała, bo się nieboga położyła w łóżko, biédaczka! — Królewicz tak jadł z dobrym apetytem, jak nigdy w życiu, kowal jeszcze z lepszym, i gdy ostatnią klóskę wpuścił do do swego przepaścistego brzucha, nabierając lepszéj fantazyi i ufności do swego gościa, prosił go, żeby jeszcze raz zaklął biedę, dodając: to nam może jeszcze co skapnie. Nie dał się długo prosić królewicz, zaczął znowu raźno machać krzyżówką, wymawiał łacińskie słowa, których sobie kilka przypomniał i zawołał jeszcze bardziej ucieszony: Gospodarzu, idźcie do komory, popatrzcie-no między mlostkami! — Kowal poszedł już nie wahając się wcale, patrzy i własnym oczom nie wierzy, dotyka się ręką, prawda, kapłon pieczony w tyglu jeszcze się kurzył. Oblizując się na ten smaczny kąsek, prosił też żonę z sobą do stołu, ale ta wymówiła

się chorobą; nieboraczka miała trzęsionkę! — Wzięli się więc obaj ochoczy biesiadnicy do żydków (nożyków), rozpłatali kapłona i spałaszowali go z wilczym apetytem. Nareszcie przystąpił królewicz już sam do exorcyzmu, kazał gospodarzowi iść po placek pod poduszkę i po flaszkę wódki do szafy, a gdy usłużne kowalisko, kiwając mocno głową, przyniosło i tę zdobycz, sprzątnęli wszystko po mału.

Gdy z sobą trochę pogawędzili, rzekł królewicz: „Odpędziliśmy najbliższą biedę; ale wy człowieku, macie w domu jeszcze inszą większą biedę, któréj się wam koniecznie z domu na zawsze pozbyć trzeba, bo inaczéj, to byście sobie nie dali rady. Przystawcie jeno do ognia spory garnek wody. — Uczynił kowal, jak mu kazano. A gdy woda już wrzała, wziął królewicz kropidło i zaczął tym warem kropić po wszystkich kątach: pod łóżkiem gdzie kowalka leżała, aż się biédaczka kurczyła i z cicha o litość błagała. Potém wlazł na ławkę przy piecu, umaczał należycie kropidło w warze i zaczął nim chlustać nagiego zalotnika. Ten wytrzymał z początku tak gorącą łaźnią, przygryzł język i sklęczył się w ostatnim kąciku; ale natarczywy królewicz lunął nań całym garnkiem. Nie mógł dłużéj wytrzymać, wyskoczył nagle z zapiecka jak oparzony, i pędził ku drzwiom, a potém do ogrodu w konopie. Otworzył gospodarz gębę szeroko jak miech kowalski, a królewicz uśmiechając się rzekł: „A co, widzieliście waszą biedę?“ — A dyć widziałem, Jegomościńku, toć ona taka naguśka jak pasternak, — a jaka duża! miałem ja téż za swe!“ — „No, nie kłopoczcie się; już ona więcej nie wróci do was, tylko trzymajcie krócéj swoją, a nie zawierzajcie jéj za nadto; teraz bądźcie zdrowi, niech wam Bóg szczęści jak najlepiéj; nie zobaczymy się tak prędko, chyba na tamtym świecie“.

Wkrótce królewicz wrócił do domu, a objąwszy rządy po ojcu sprawował je bardzo mądrze, był przystępny dla każdego, wyrozumiały, ludzki, i nie dziw, znał już bowiem co to bieda!

## 71.

## Chłop, pan i ksiądz.

od Czempina (Brodnica).

Jeden chłop był taki biédny, że nie wiedział co z bidy miał począć. Wziął toporek z sobą, poszed do boru i wlaz na kwika

(sosnę, chójkę) i zaczął tam rąbać. W tem jedzie konno pon i pyta go się: co on tam robi, czy chce ściąć drzewo? — A ón mu odpowiadá, że ón słucha jak święci gadają w niebie, a pán odpowiadá, że: on by téż rad to słyszał, a chłop na to: że może to słyszeć, ale się musi zewlec (zwlec, rozebrać) do naga. A pán powiadá, że w koszuli wnijdzie. A chłop mówi, że się koszula może zahaczyć i pán może spadnąć.

Pon usłuchał chłopa, uwiónzał kónia u drzewa i wszedł na drzewo i wziął toporek od chłopa, zaczął pomału rąbać, a chłop czémprędzy zeskoczył na ziemię, wrzucił rzeczy pana na kónia, wsiad i pojechał a pana nagiego zostawił na kwiku. Pán woła na chłopa, ale chłop kóniá podciął i zemknął. Wtenczas pán został w chłopocie i czekał zatem aż do wieczora i dopiero na wieczór po ciemku wrócił do domu, puka i woła na służącego i prosi o rzeczy do ubrania. Służący go zepchnął ze schodów, mówiąc, żeby nie hałasił, że ón nie jest jego pán. A pán go bardzo prosił i opowiedział co mu się w drodze stało. Na to, chtóry go poznał, przyniósł mu służący rzeczy, i pán się ubrał.

Pán prosił służącego żeby nic o tem żonie nie powiadáł, boby się z niego śmiała. A służący tylko tak długo język trzymał, dopóki jej nie widział, ale jak tylko zobáczył, zaraz iej powiedział. Śmiała się z tego, a pan prosił iej znowu, żeby tego księdzu niepowiádáła, bo sié pán z księdzem szanowali. Ale i óna księdzu powiedziała, a ten się śmiał że chłop pana wygłupił.

Potem ráz ten pán jachał na jarmark i zawsze myślał, coby temu księdzu na psotę zrobić za to że się z niego wyśmiewał. I gdy dojeżdża do miasta, zobaczył tego chłopa (a ten chłop sprzedawał tego skradzionego jego konia); jak go chłop zobáczył, puścił konia, i w nogi (uciekł). A pán za nim woła, żeby się nie bojał i żeby kónia złapał i sobie sprzedał, że ón mu jeszcze piéniędzy doda, żeby tylko księdzu na psotę co zrobił, bo się bardzo z niego wyśmiewał. Chłop poszed do kramu, kupił sobie dość (dużo) białego płótna uszył sobie dłużyką koszulę, spasał (opasał) się paskiem i wyszukał sobie wszystkich kluczów co ino miál, i u tego paska wszystkie powiózál, i do tego sobie miech jeszcze uszył i potem poszed.

Do tego samego kościoła gdzie ten ksiądz odprawiał nabożeństwo, chłop poszed i uklęknoł w ty koszuli przy drzwiach i bardzo pilno się modlił, ręce załamował i oczy w górę wznosił.

A ksiądz, gdy odprawiał mszą świętą, jak się obrócił na kościo zobaczył go, — tak posłał po niego kościelnego i pytał go się: co ón jest? — A ón odpowiedział że: jest św. Piotr i ma klucze od królestwa niebieskiego. Ksiądz się ucieszył, że z nieba człowieka zobaczył; zaprosił go na śniadanie. W tém, jak tam rozmawiali, pytał go się: czy on żywych ludzi także bierze do nieba. A ón mu odpowiada: że on właśnie na to przyszed, i kto jest zasłużony to on go weźnie. Więc ksiądz chciał, żeby on i jego wzioł do nieba. Kázał mu chłop wnijść w ten miech, ale mu kazał wprzódy wziąć piniędzy na drogę (bo daleko do nieba), a gospodéni mówiła że ma półkwarty dukatów, że mu też to dá, żeby się i za nią przyczynił, aby się i óna do nieba dostała. I w tem ksiądz wszed w miech i chłop go zawiozál, i wzioł go na plecy i zaniós na cmentarz i uwiozał na lipie na cmentarzu.

Na drugi dzień rano przyszed kopacz kopać grób rano i zobaczył że ktoś uwiązany na drzewie. Poszed do niego z łopatą uderzył go, i powiada: a ty psie niegodniku, nimiáłeś się gdzie ob(w)iesić jak na święconém miejscu! — A ksiądz się w miechu odzywa: Józefie, Józefie, są-żeście też tu w niebie? — A on go drugi raz łopatą: já ci tu dám, żeś ty w niebie! — bo niepoznał że to ksiądz. Potem ksiądz się pomiarkował i prosił go żeby go wypuścił. Jak go otwierał (odwiązał) z tego miecha, bardzo mocno leciał (ksiądz) ku domowi a gospodéni oknem zobaczyła że ón leci. Domyślała się że to po nią do nieba, i wychodzi czémprędzy na próg i pytá się: Jużem ta(m) to jest potrzebna? — a on tak mocno leciał, aż ją wywrócił, — nic nie powiedział. Ona przyszła za nim do pokoju i pytała się co się stało? A on nie chciał ji nic powiedzieć, — myślał że nikt nie bedzie wiedział.

A chłop chtóry mu to zrobił, poszed czemprędzy do pana i powiedział mu, co księdzu zrobił. Po chwili pán idzie do księdza a z daleka się już śmieje. A ksiądz się pytá: co mu tak śmiesznie? — A pón na to: żé ón sám (pan) chciał tylko słyszeć co święci w niebie gadają, a ksiądz chciał więcéj, bo: być w samém niebie. Potem zawsze się z niego wyśmiewał, że on (pan) to taki sobie człowiek, nie tak uczony jak ksiądz, a ten przecie dał się lepiéj chłopu oszukać.

(Obacz dykteryjkę nr. 104).

## 72.

## Skutki wychowania[1]).

Powieść gminna. (w *Pismie dla ludu polskiego.* Poznań r. 1845, str. 33). W skróceniu.

Jedna wdowa miała ładną ale leniwą córkę, i pieściła ją. Parobcy z tej wsi niechcieli jej, bo wiedzieli, że nygus, że do niczego, i mówili że: „z tego nic dobrego nie będzie, wszakże będzieta widzieli na żywe oczy". — Matkę to kłopociło, i zaczęła ją wreszcie naganiać do roboty, ale to nic niepomogło, Kaśka tylko w kominie siedziała; a kawaler się żaden nie pojawiał. Wreszcie zobaczył ją Kuba w kościele, parobek z drugiej wsi, podobała mu się, i przysłał swatów. Matka uradowana, przyrzekła mu rękę córki, ale prosiła go żeby ją oszczędzał, i dał iej wszystko na wolę, bo jeszcze dziewczę młode i nie wie jak co wziąść w rękę.

Po weselu Kuba zabrał żonę do siebie. Na drugi dzień Kuba wstał, a Kaśka przez cały dzień ani się ruszyła, ani się do czego wzięła; musiał on sam zamieść, uwarzyć obiad, pójść w pole itd. Tak było i na trzeci, czwarty i t. d. dzień, i nakoniec cały tydzień. Wreszcie bierze się on na sposób. Wieczór gdy Kasia szła spać do łóżka, zdjął on swoją skórzaną torbę, wiszącą koło okna, a potem wziął łepski pręt laskowy i odzywa się do torby: „Moja torbo, to tak być niemoże; ja robię jak wół, a ty wisisz i wisisz; ja jeść gotuję, a ty na to patrzysz; a wszakże ja cię mam, abyś w domu porządek zrobiła i jedzenie ugotowała; widzisz o to ten kij; jak mi od dziś dnia nie ugotujesz regularnie śniadania, objadu i wieczerzy, jak mi nie pościelesz łóżka i statków nie poumywasz, i nie zamieciesz domu, to ten kij będzie cię miał w robocie, tak jak jestem Kuba!" — Kaśka słysząc to, dziwiła się i śmiała z głupiego męża.

Na drugi dzień po tem, gdy znowu nic nie było zrobionego w chałupie, mówi on do Kasi: „wszakżeś sama słyszała, com wczoraj

---

[1]) *Lud*, Ser. VIII str. 217.

mówił do torby, a ona nic a nic, jak gdyby ciemna była i głucha; trzeba iej tu dać pamiętne, bo ja żartować nie lubię. I wziąwszy (cienką) torbę, zarzucił ją na plecy Kaśki, i jak zacznie łomotać po grzbiecie prętem, a wołać: a słuchaj torbo, a słuchaj torbo!— tak Kaśka w krzyk, bo ją tam samą dobrze razy te dojęły. Dopiero gdy iej dobrze zbił plecy, wziął torbę i powiesił na swojem miejscu, obiecując i nazajutrz takież smarowanie, jak go torba nie usłucha.

Od tego czasu Kaśka jakby się nowo narodziła, zupełnie stała się inną; rano wstała, wszystko na czas zgotowała i męża w wielkiéj miała bojaźni i poszanowaniu, — a cała wieś, szczególnie matka, dziwili się co się z nią stało i jak to mądrze i dowcipnie wziął się Kuba do rzeczy by ją rozumu nauczyć.

## 73.

## Głupi handlarz [1]).

od Pleszewa, Kalisza.

(Sprzedał figurze krowę. Znalazł pod nią pieniądze. Zabił pana).

Miáłá matka głupiego syna. Posłała go z krową na jarmark. Tak ón idzie drogą, i stoji Boża-męka, i na téj Bożej-męce temu panu Jezusowi ręka sie ułámała i tak wisiała i ruchała sie. Więc jak ón przyszed, ta rączka mówiła: firut, firut! (niby to wiatr). A ón sie pyta: czy ty kcesz te krowe kupić? — A ta rączka znowu: firut! — Tak sie pytał: co mi ty dasz za nią? — A ta rączka znowu: firut! — Tak ón mówi: gdzież já ci ją mám tu zostawić? — A ta rączka znowu: firut! — Tak wzion i uwiązáł krowę u bożéj męki i pytał ji sie: a kiedy my dász piniądze, czy jutro? — A óna znów mówiła: firut! —

Przychodzi do domu do matki, a matka gó sie pytá: przedałeś krowę? — A ón mówił, że przedał. — A matka: gdzie mász piniądze? — On: má je firut. — A matka: ano, a gdzież ten firut jest? — A ón: no to pójdźcie, to wám pokaże. — Tak idą, i przyśli do ty bożéj-męki, a ón woła na nią téch piniędzy. A ta

[1]) *Lud*, Ser. VIII str. 201.

rączka znów mówi: firut! — Matka na tego syna łaje i zaczyna krzyczeć: ani piéniędzy ani krowy nimász! — bo już tam krowy nie zastała, chtórną złodzieje już te krowę wzieni. I matka poszła

A ón wzion pálkę i uderzył w tą bożą-męke i óna sie obaliła. A pod tą bożą-męką był kociełyszek z piéniedzmi, i ón te piniądze wzion. A tak dał pan Bóg, że mu to wyszło na dobre, jak to zwyczajnie dostaje sie głupcowi. I miál zanieść te piniądze do domu, a ón wszed w żyto i rachował sobie te piniądze. A obáczył go tam pon i poszed do niego i pytá gó sie: a ty co tu robisz? — On: rachuję piéniądze, wielmożny panie. — Daj je sa głupcze, já ci je porachuję, bo ty nie umiész. — Pán téż rachuje i zanadry (sobie) sypie i chowa. — On: a co to wielmożny pán robi? — Pán: ano rachuję piniądze. — On: a gdzie je pon sypie? — A pán: a to w d..ę głupcze. — On: a to já je i ztąd-tam (ztamtąd) wydostane. Miál te pálę, podniós, i jak rznął, tak pana zabił. A tak wyszed pánu na złe ten rabunek chłopa.

I przychodzi do domu z tego żyta, gdzie gó (zabitego pana) zostawił, o czém też i matce, jak przyszed, powiedział. A matka: a ty głupcze, a cóżeś ty zrobiuł nágorszego, ady go przynieś, to go tu gdzie schowamy, bo ani piniędzy ani ciebie nie bedzie, bo i ty byś téż był zabity. A ón przyniós go do domu i schowali go w sąsieku w stodole.

On poszed, a matka spoździewając sie że ten głupiec jednak ich wydá, zabiła kozła i całkiego ze łbem tam schowała, a to ciało tego pána ukryła gdzieindziéj. A tu sie dowiadują ze dworu, gdzie ten pon sie podział i pytają się głupca. A ten, jako głupi, odpowiedział że go zabił i w stodole w sąsieku pochowany. Jak tedy przyśli szukać, odkopują, a tu zamiast pána leży kozieł. A óni gó uznali, że to głupiec powiedział i dziwili sie gdzie sie pán podział, — ale go już nie znájdli — a ten głupiec dziwił sie, że sie z pána zrobił kozieł i rogi mu wyrosły. A ta baba wziena te piniądze za te krowe i má do dzisiáj żeli żyje.

## 74.

## Przebiegły kiwit.

Czeszewo.

(Baśń opowiadana po polsku przez Olędra).

Ráz był jeden gospodárz, to sie nazywał kiwit (Kibitz, niby: Czajkowski), niémiál ón koni, ino sztyry ŭoły (woły). Zaprząg

sobie te ŭoły i jedzie do boru. To było tak z pozimku, tak z wiosné, jak czájki przylətą; a tu siedzi czájka nad drogą i wołá: ki-wit! — A ón powiadá: Co? — A czájka: ki-wit! — Co? — Ki-wit! — Jak wyjmie ón kłónicy z woza, jak palnie do ty czajki, a ón trafił ŭołu w łeb, i zabił wołu i włożył go na wóz, przywióz do domu i objąn ze skóry.

Na drugi dzień rychło zaprząg sobie dwa ŭoły i pojachál z tą skórą do miasta, przedál ją garbarzewi, dostál za nią pięć talerów [1]).

On garbárz wzion te skóre, daléj zaráz z nią do wody, moczyć. A mioł czeladnika filozówka (figlarza). W tém czasie co garbárz poszed do ŭody, ten czeladnik jego wemknoł mu sie do żony. Ow kiwit włazi do chałupy, a ten czeladnik myk z łóżka, i uciék od majstrowy. Owa majstrówa prosi go sie (kiwita): bójcie sie Boga, nie powiádejcie mężewi ani słowa, bo ón honorny (ambitny) toby mię zabieł. — On: a co majstrewa mi doŭ (da) za to? — Ja wám dám już trzydzieści talerów. — Nie, já nie kcę, jak mi majstrewa nie dá piędziesiąt, to powiem. — Dała mu piędziesiąt talarów. Wyszed sobie na podwórek, poszed do tego czeladnika, powiádá: czeladniku, ja powiem majstrowi że czeladnik był u majstrewy! Ten czeladnik go sie prosi: bójcie sie Boga, nie powiádájcie, już wom dám pięć talarów, bo więcy nimom.

Tak ów kiwit poszed do káczmy (karczmy), tak sobie podpił doskonale, siád na wóz, pojachál do dom. Jak sobie zaczął śpiwać na wozie, czápke posadził na kłonicy, ręką bije w drábki; — ci drudzy gospodárze sie dziwują; mówią jeden do drugiego, i do niego: kiwit, my mówili (myśleli) że wy bedziecie smutny żeście wołu zabili, a wy tak sobie śpiwacie a śpiwacie. — Jak já przyjade do domu (mówi ón), wy głupie psy, to jeszcze drugiego zabiję, — skóry teráz płacą; ja dostał sześdziesiąt talerów (od majstrowy 50, od czeladnika 5, za skórę 5).

Owi gospodarze się ułaszczyli (ułakomili), pozabijali wszétko bydło co télko mieli we wsi. Daléj ze skórami na drugi dzień do miasta, do garbárza — przyjachali, snoszą skóry z ŭozów. Garbárz pyta jéch sie: co wám sie tam stało, że tak dość skórów mácie, czy bydło padá czy co? — Nie, my namyśnie

[1]) Ser. III str 190, i Ser. VIII str. 194. (Tu zdycha żydom kobyla).

(na-umyślnie) pozabijali, bo nász gospodárz kiwit dostał 60 talarów za skórę, więc i my sie też ułaszczyli, że to lepij przedáć skórę jak bydło, bo mieso otrzymámy (zatrzymamy) a za skóre możem sobie kupić dwoje sztuk bydła. Ów garbárz sie żegna (robi znak krzyża): bójcie sie Boga, ludzie, to nie práwda; ja mu dáł pięć talerów za skórę. Tedy przedali owi gospodárze swoje po dwa talery, po trzy talery, po pięć, po sześć, jaká chtórna skóra była.

Więc sie wzieni i przyjachali do do domu z wielgim smutkiem. Doradzają sobie: cóż teráz momy temu kiwitowi zrobić? ale go zadušma. — No dobrze temu. Zgromadzili sie wszyscy na wieczór, aby kiwita zadusić. Ale ón miáł taką starą matkę z chtórną gospodarował, bo żóny ni mioł. Ta matka miáła swoje pościel i sipiała w sieni a ón w iżbie. Był to godny (niemały) przymrozek, tedy mówi on do swoji matki: Matko, połóżcie sie do izby w moje łóżko, a já sie położe we wásze, do sieni. Owe matczysko bardzo rade temu było, że ji to tam bedzie cieplij w izbie. Aż tu kole pu-nocka, zgromadzili sie gospodárze, wpakowali sie wszéscy do izby, zadusili te starą matkę, a ón ostał w sieni żywy.

Jak ci gospodárze wyśli, tak widzi ón co sie z matką stało; ale cóż miáł robić? — Tenczas ón wzioł te matke, miáł przed domem taki duży kamień, posadził ją na ten kamiń nieżywą, tedy ji tak zakrzywił te lewą rąke do góry i óna tak zesztéwniała (sztywniała) na tym kaminiu. Do-dnia (raniutko) uszykował ŭóz (wóz), siedzenia ułożył dwa, matke wsadziół na wóz; wzion koszyk, włożył w niego plew i kilka jáj, i powiesił to tyj matce na tę krzywą rąke; — dalij z nią do miásta. Przyjachál do miásta. A napośród rynku był tam taki kanół, — pojili tam przy nim bydło w zimie w przerembli. Zajachál on dycht nad te przerembel; tedy ostawił tam ŭóz z matką, i idzie dalij na miasto do góry.

Zydy go obstąpiły: no, Kiwit, co mácie na przedáj? — Já nic niémám, ale moja stara matka hejna (ot tam) mo pare mendeli joj, bieżcie do nij i kupcie od nij. Moje żydy dalij hejna (ot tam) do ni, letą, zaczéni ją poszturować (szturchać): nę, muter Kiwit, co mácie na sprzedáj? — Ona nic. Szturają ją tam lepij, — a óna buch z ŭoza w przerębel i utopiła sie i drugą śmierć miáła, — jedną zaduszoną, drugą utopioną.

Kiwit dawál już baczność. Jak pójdzie raptem do żydów: oj czekajta! to wy żeś ta my (mi) moje matke utopili! — I harmider wielgi zrobił. — Cicho-cie, cicho-cie, Kiwit! — mówią żydy

do niego, — my wom zapłacim, ino weźcie te matke co duchu na wóz i umykájcie z miásta. — A co mi docie za to? — My już wám dáma dwasta talerów (kożdy po 50, bo iech było szterech). — Nie, já z tego nie kontent; musita my dać sztyrysta talerów; bo jak nie, to ja pódę do burmistrza. Owe żydy mówią jeden do drugiego: cóż mámy robić? życie za życie by my musieli łożyć. — Dali mu szterysta talarów, i on kontentent że jeszcze i skórę starej matki przedał tak dobrze.

Mój Kiwit wzion matkę na wóz, zagrzebál ją w słome, poszed do szénkowni, najad sie, napił, siád na wóz, jedzie do domu i śpiwá bez wieś. Przyjachał, a ci drudzy gospodárze mówią: Kiwit, to my wás mieli zadusić, a wy tak sobie żywy jedziecie do domu. — O wy głupcy, wyś-ta moją matke zadusili, nie mnie, ale dálby Bóg my (mi) ze dwadzieścia takich matków, tobym sie dopiero w interesach popar(ł); ja swoją matke sprzedał do h-aptéki na maść; takie stare matki bierą tam na maść, — i dostałem szterysta talerów; żeli mnie nie wierzyta, to pátrztá, jaką to sasa (tutaj) mam grupe piniędzy; oj, oj! —

Owi gospodárze sie ułaszczyli. Jak zaczną dusić kobity wszéstkie, ożeniate (zamężne) młode i stare, piekne i brzydkie pozaduszali — i dalij z niemi na ŭozy. Powalili je na ŭozy, i dalij z niemi do miasta przed haptékę. Meldują sie h-aptykarzowi, że mają tyla a tyle kobiét na maść. Aptékarz sie dziwuje, żegná sie: bójcie sie Boga, ludzié, umykájta z duszą i z temi ciałami do domu, ta (tu) wás powieźbią! (do więzienia wezmą). — Niektórych téż połapali, powsadzali; niechtórzy uciekli.

Jak przyjächali do dom (té co uciekli): no, co teráz temu zapamiętałemu Kiwitowi zrobiema? — Mojá (powiadá jeden gospodárz) jeszcze była taká pracowitá! — Száltys powiádá: mojá tak szykownie przędła, płótno robiła; teraz bez to głupstwo poszła ze świata! — Trzeci mówi: mojá Margosia taká o mnie była wsiórno (zawsze) dbałá, starowná, a ja taki bél głupi ją zabijać! — Czwarty: A moja jaka-że byłá duszná! (dobra, zacna). — Zgromadzili się wszescy gospodárze do kupy, radzą sobie, jaką śmiercią go teráz zgładzić ze światu, bo my mu za tyla nieszczęścia teráz życia darować nie możem, ale my go utopma.

Wsadzili go w miech (worek) [1]), zanieśli go na jezioro na

[1]) *Lud*, Ser. III str. 191. — Ser. VIII str. 195.

lód, — ale w tém wszystkiém zabáczyli siekiérów, — a było iéch sześci — żáden niémiáł siekiery. No, to i wzieni sie i pośli po siekiéry do domu, a jego ostawili w miechu na lodzie leżeć. Ale pas (?) tam nad jeziorem owczárek owce na ośminie. Ten szałtys miáł córke, było ji imie Katarzyna, a ten owczarek chodziuł wóli ni (wedle niej) kciał koniecznie wziąść ją za máżonke, a szałtys mu ji dać nie kciáł, że taki był gelejza (powolny, łazęga)? — Więc ten Kiwit w tem miechu siedzi i ŭoła: Já nie kcę szołeckij Katarzyny! (dwa razy). A ten owczárek usłyszáł, poleciáł do niego: co ty mówisz? — go sie pytá. — Já nie kcę szołeckij Katarzyny (odpowiadá ów w miechu) bo teráz me chcą za to utopić. — No, wyliź (powiadá owczarek), já wlizę, ja będe mówił: ja kcę, to ciebie nie utopią ani mnie, bo jak ja powiem że kcę, to ją zaś dostanę, bo będą mówili (myśleli) że to ty sie nawrócił.

Ten Kiwit wyláz, a owczarek niezglajzny (niezdarny, głupi) wlaz w miech [1]). Kiwit go zawiązał w miechu i poszed. Té gospodárze przychodzą ze siekierami, wycięni dziurę w lodzie, a ten woła w miechu: Já kcę szółecką Katarzynę! — A száltys powiadá: toś ty mi tak zrobił, co ja matke musiał zadusić (myślał że to gadá Kiwit) a teraz jeszcze khcesz i moją Katąrzynę! — w tém go kopnął nogą, a ón z miechem kulnął sie i utopił. Potem pośli gospodárze do domu.

A Kiwit zajón (w)przód te owce po owczárku i pognál do domu. W nocy zaráz zrobiła sie ogromna burza, jęzioro sie rozbiło. Nazajutrz rano mój Kiwit pędzi sobie owce. Gospodárze zdziwieni, nawet száltys sám mówi widzący go zno(w)u: To my wás mieli zadusić i utopić, a wy jeszcze żyjecie i jeszcze do tego mácie gromáde owiec! — A Kiwit powiádá do nich: O wy głupie psy, czemuś-ta my nie dali psa, tobym był tyla przygnał (owiec), co byś-ta wszyscy mieli dosyć, a to, ino żem tam tak na narożniku wygnál te parę ich z ŭody; ażebym miáł psa, tobym bél tyla owiec wygnál, co byśta wszyscy mieli zadosyć.

Wtenczas ci gospodárze sie zgrómadzili i mówią do siebie: pójdźma z nim! — A Kiwit do nich: dalij pództa ze mną, já wom pokáże gdzie ony są. — Wzieni sobie káżdy psa na powrózek; idą

---

[1]) U ludu pod Gołańczą, Kcynią, Wyrzyskiem i t. d. niedołężny zowie się: niedajmuta, powolny: gelejza, niezgrabny: niezglajzny.

z nim, a ón pędzi te owce, a ta cień od tych owiec bije w te wŭode tak, jakby tam owce szły w ty wodzie. Więc ów szołtys, co był okropnie chytry, zaráz buch we wŭode za psem. Tedy jak wpád, mówi tam, bélkoŭce: błm, błm, błm, błm! — A Kiwit mówi do drugich, jak to száłtys tam mówi: bu, bu, bu, bu! — że má kupę baranów. — Wszéscy też za nim hycnęli i potopili sie.

Zamiast tego owczárka co chciál Katarzynę szołtysewą wziąść, to Kiwit sie ź nią ożenił, bo to była wieś króleska, — ady już o obróceniu żony na maść nie myślál.

## 75.

## Chłop i żydy.

od Kościana.

Jednego rázu, złapali żydy chłopa, wsadzili go do sklepu, — tuczyli go orzechami. A mieli w tym sklepie swojego bożka z cukru. A ten chłop zjád im tego bożka, zaś im jeszcze nafajdoł na stół, gdzie ten jejich bożek stał. Tak przychodzą do sklepu, pytają sie, gdzie ich bożek jes? — A ten chłop powiadá: przyszed polski pan Bóg, tego waszego jak wzion bić, aż sié ten wász zes..ł. Zydy głupie, jak się zgruchły, zgruchnęły do kupy, i to g.... zjedli, bo myśleli że to jeiich zrobiuł. Tak, za karę, że nie brónił, więc go (tego chłopa) chcieli umęczyć.

Ale że sobie tak radzili między sobą żydy, jaką by mu to karę zadać. A ten chłop słyszał jak sobie radzili; tak przyszła jedna żydówka do sklepu, a ten chłop tak sobie mówi sóm do siebie: oj, żeby óni mi nowy kożuch kupiéli, nowe buty, skopowe spodnie, kaptur na uszy, i tęgie rękawice, i wsadzili mnie na puwozie, a ciągnęli mnie bez radlonki (przez uredlone na polu miejsca) toby óni mnie zaraz zmarnowali. Żydówka przychodzi do izby i powiadá tym drugim żydom, że ten chłop sobie tak gádá, żeby kożuch nowy, buty nowe, spodnie nowe i kaptur i rękawice dali i żeby go tak bez radlonki ciągnęli na pół-woziu, to go zmarnują, nie będzie żył.

Tak ci żydzi zaraz tak zrobiéli; pokupiéli mu to wszystko, na pu-wozie go wsadzili, jak wziéni bez radlonki z nim látać, żydy sie poniszczyły, (h)óż sie wszyscy poobalali. A chłop na pówoziu siedział i śmiał się z nich.

Tak ten chłop powiadá: przecie, żeby oni wiedzieli, żeby óni wleźli w miech, toby ten co bedzie w miechu, został królem, chtórego ja onego bez wodę poniosę. Tak ten nájstarszy żyd, co nájgorszy był, zaroz włazi w miech, kóuzał sie temu chłopu bez wodę nieś(ć). Chłop jak zawiozał miech, wzion na plecy, zaniós go gdzie nadłębi (najgłębiej), ćpił żyda we wode, żyd sie utopiéł. Tak ci drudzy żydzi sie pytają tego chłopa: gdzie ón jest, ten jejich nástarszy? — A ón chłop powiadá: że ón jes w drugim kraju królem. Tak óni sie pytali tego chłopa, te żydy, chtórą drógą szed? — Tak ten chłop poszed z temi żydami do téj wody, zaprowadziuł ich najdłębij, kázał im powskákować w te wodę, że tam drzwi pod wodą, że oni tam przydą do niego, gdzie ón królem jest. A ón wszystkich żydów potopił, żáden nie wylaz [1]).

## 76.

## Walek i żyd.

od Dolska.

Icek żyd był gościnnym, a Walek chłop przyszed do niego pić. I pośli obadwa nad jezioro, i wzięni z sobą miech — i natrafili na lisa i szczupaka. Ten lis kciał szczupaka zagryść, a ten szczupak lisa trzymał za pysk. A Walek z Ickiem przypatrują się a śmieją — ale nadstawili ten miech, i społem ich wsadzili w ten miech. Powiada Icek: Weź o ty Walek ten mi(e)ch a pódźmy do dworu, tam jest duży bal, to majętny pan, jak on to zobaczy że szczupak lisa trzyma, to dostaniemy duże piniądze, dobry poderunek. Wtenczas wracáją i przyśli do domu i pokazują we dworze, gdzie był wielki bal. — I ten Icek z Walkiem wniós ten miéch do pokoju, a zawsze mówił: Walek, my będziem do spółki. Jak wysuł tego szczupaka z tem lisem, a tu we dworze taki dziw, taki śmiéch, — i mówi pán: a co ty kcesz za to? — a żyd mówi cicho: do spółki, a Walek: e ja ci wszystko podáruje. — I kciał mu pan dać hubę (włokę) ziemi. A Walek: Ja nie chcę huby tylko sto batów. Jak to usłyszał żyd tak cicho mówi: Eh tak nie, Wa-

[1]) *Lud* Ser. III str. 191. — Ser. VIII str. 195.

lek, nie, niech bedzie na pół. A Walek: eh nie, com ci obiecał, niech bedzie wszystko. I pan znowu mówi. — Dam ci kawał lasu i t. d. [1]).

## 77.

## Mądry Macioś [2]).

(Czasop. *Przyjaciel ludu.* Leszno rok 4ty (1837) N. 2.
(Podał R. W. Berwinski).

W pewnéj wsi mieszkał owczarz, który miał trzech synów; dwaj starsi byli mądrzy, a trzeci był głupi i nazywał się Macioś.

Trafiło się raz, że owczarz poszedł na jarmark, więc dwaj starsi synowie mieli paść gromadę. Macioś nie chciał iść w pole, bo zawsze siadywał w piecu i piekł perki w popiele i spał. Tego jednak dnia zbudzili go matusia w samo południe, i kazali mu zanieść braciom obiad i dali mu dwojaczki; w jednym garnuszku było kwaśne, a w drugim klóski; w torbę włożyła matka pół bochenka chleba i rzekła: „idź Macioś do owczaryszków, a bądź mądry po drodze!“.

Usłuchał Macioś matki i poszedł w pole; ale zaraz na zapłociu miał przechodzić po moście, w którym była dziura; bał się tedy Macioś, ażeby w nią nie wpadł i nogi nie złamał; bo nogę złamać jest to wielkie głupstwo, a matula kazała mu być mądrym! Poszedł więc do głowy po rozum, dobył z torby pół bochenka chleba i zatkał ową dziurę; potem ją przeskoczył i obejrzał się, czy nie wpadł; a gdy się obejrzał, postrzegł cień swój za sobą; wyląkł się okropnie, bo mu się zdało, że to coś za nim stoi i chce go zjeść. Więc w nogi mój drogi, jak zacznie zmykać przez rowy, przez zagony, aż się za nim kurzyło; ale co się obejrzy, to cień bliżéj niego; co Macioś prędzéj, to cień też prędzéj. Więc się też już wreście zmęczył i stanął, otarł pot z czoła i rzekł do cienia: „jeżeli mnie nie zjesz, to ci dam klósek z okrasą!“ i rzucił jednę klóskę za siebie, potém jeszcze jednę, potém trzecią, czwartą; i tak rzucał, póki mu nie zabrakło. A gdy brakło klósek, strach

---

[1]) *Lud* Ser. VIII str. 196.

[2]) Obacz *Lud*, Serya III str. 158—9. — J. G. v. Hahn: *Griechische und albanesische Märchen* (Leipzig 1864, II. 238). Bakala.

nowy; bo matusia kazali mu być mądrym, a to jednak wielkie głupstwo, dać się zjeść! Rzekł tedy Macioś do cienia: „jak mnie nie zjesz, to ci dam kwaśnego z flaczkami“, i wylał jednę łyżkę za siebie, potém drugą, trzecią, póki nie zabrakło. A gdy i kwaśnego brakło, więc na nowo uciekać zaczął, i przybiegł do braci swoich i dał im dwojaczki, które były próżne. „Gdzie-ż strawa niegodziwcze?“ zapytali owczarkowie; a Macioś pokazał cień swój i rzekł: „o to ten czarny djabeł gonił mnie i chciał mnie zjeść, więc dałem mu klósek i kwaśnego, żeby mnie nie zjadł“. Owczarkowie gniéwali się bardzo i mówili: „przecie to cień, nie djabeł głupcze“. — „A to-ście mi mogli powiedzieć“, rzekł mądry Macioś, „teraz już nie będę tak głupi“.

Cóż po tém, kiedy owczarkowie byli głodni. Postanowili zatém iść na obiad do domu, a Maciosiowi kazali paść przez ten czas gromadę, i uczyli go, żeby strącał owce do kupy, jak mu się zaczną rozchodzić, i mówili: „paś owce Maciosiu, a bądź mądry“.

„Macioś uważał sobie dobrze, co starsi bracia mówili; więc wziął maczugę i zaczął potrącać owce, które szły w szkodę, a potrącone znosił na kupę. Jeszcze nie wiele było z południa, a już porządna kupka owiec leżała.

Gdy potém bracia wracali z obiadu, Macioś wybiegł ku nim i wołał: „patrzcie jak ładnie pasę wam owce, prawie wszystkie mam w kupie“. Ale óni poczęli wyrzékać i płakać, bo większa połowa gromady była zabita i mówili: „cóż-eś ty nieszczęśliwego zrobił, psie głupcze!“ — „A to-ście mi mogli wprzód powiedzieć“, rzekł Macioś, „teraz już nie będę taki głupi“.

Nie wiedzieli potém, co czynić. Więc im Macioś doradził, aby po-odnosić zabite owce do owczarni, zamknąć i umykać do boru, póki tatuś nie wrócą. Zaczęli więc dźwigać owce do owczarni, zawsze po dwie na raz, a Maciosiowi kazali brać po trzy albo po cztery. Kiedy już wszystkie poznosili, zabrali się w drogę i uciekli do boru. Ubiegli téż już spory kawał lasu, gdy im się przypomniało, że nie zamknęli owczarni; więc rzekli do Maciosia: „idź ty co tchu nazad, i zamknij wrotnią, żeby jéj nikt nie mógł otworzyć; bo jak zobaczą zabite owce, to nas będą gonić; przynieś téż co do jedzenia“.

Macioś wrócił tedy do wsi, nakradł matce uleżałek i porwał banię z octem; potém poszedł do owczarni, zamknął wierzchnią

połowę wrótni, a spodnią wystawił z zawias i wziął na plecy i myślał sobie: kiedy wrótnią mam na plecach, to iéj nikt już nie otworzy. Nie uciekał téż bardzo, bo się bał, żeby go kto nie gonił; a gdy przyszedł do braci, podał im wrótnią i rzekł: „możecie sami pilnować, żeby jéj kto nie otworzył“. A óni mówili: „takiś ty to mądry, psie głupcze; ale poczekaj jeno, kiedyś wrótnią dotąd przyniósł, to ją poniesiesz i daléj!“ — „Wrótnią poniosę“, odpowiedział Macioś, „uleżałki i bania ciężą mi bardzo, więc je powieszę na wrótni, niech ona téż trochę dźwiga“.

Jak powiedział, tak zrobił; potém szli znowu wszyscy trzéj głębiéj w gąszcz, a szli póki się nie ściemniło; dopiero w nocy wleźli na wysoką sosnę, aby tam przenocować. Ledwo co się na nią wdrapali, usłyszeli hałas jakiś pod drzewem. Nadeszli tam bowiem ludzie, którzy noszą to, co nie chce chodzić, a znajdują rzeczy, które niebyły zgubione. Po prostu nazywają ich złodziejami. Wszystkich razem było sześciu, a każdy chłop w chłopa jako dąb. Usiedli oni sobie pod sosną, i zaczęli niecić ogień, a przy ogniu piekli pieczenie. Na sośnie ledwo dychali owczarkowie ze strachu i pocili się jak myszy; ale Macioś najbardziéj się pocił, bo ciągle trzymał jeszcze na plecach ową wrótnią, która mu bardzo ciężała; jemu się zaś zdało, że to uleżałki tak ciężą; więc rzekł po cichu do starszego brata: „Stachu, Stachu! bo rzucę uleżałki!“ — „Nie rzucaj psie głupcze!“ odpowiedział Stach. Ale uleżałki już po gałęziach na dół leciały; więc złodzieje mówili: „niedaleko do rana, bo wiatr mocniejszy otrząsa szyszki“.

Maciosiowi nie przestała ciężyć wrótnia, a on myślał, że to pewno bania z octem taka ciężka, i rzekł znowu: „Stachu, Stachu! bo puszczę banię“. Stach nie dał mu puszczać i mówił: „to nas wyda!“ Ale Macioś puścił ją jednak. Na szczęście zawiesiła się bania na gałęziach i tylko ocet się wylał, a rozbity o iglice, spadał kropelkami na ziemię; więc jeden złodziéj rzekł: „niedaleko do rana, bo już rosa pada“.

Wtenczas pomyślał sobie Macioś: pewnie to ta wrótnia tak mi cięży, i puścił ją także, która z wielkim trzaskiem leciała po gałęziach; złodzieje zaś wołali: „djabeł zlatuje z drzewa!“ i zaczęli zdzierać (drzéć nogi, powstać nagle na nogi, uciekać) jak oparzeni. Ale jeden między nimi był kulawy, nie mógł téż tak prędko podnieść się ze ziemi, więc drzwi spadły na niego, właśnie wtedy, jak kładł kawał mięsa w gębę, i ucięły mu język.

Gonił i on potém za drugimi, i chciał wołać: poczekaj, lecz mu się zawsze wymówiło: poklekaj, a tym na przodzie zdawało się, że on woła: uciekaj! — więc jeszcze bardziéj uciekali.

Wtenczas dopiero zleźli owczarkowie z drzewa i poczęli dojadać pieczystego; złodzieje bowiem odbiegli w strachu wszystkiego, nawet dwóch miechów pieniędzy, które owczarkowie zabrali z domu, aby niemi zapłacić szkodę za owce. I wrócili do domu, i zapłacili tę szkodę, i zostało im się jeszcze półtora miecha pieniędzy. Więc za nie kupili sobie dom i suknie z bławatnych materyj i jedwabne chusteczki. Maciosia téż ubrali we frak paryzki, i w świécące trzewiki i pończochy, jakby babę; ale on zawsze sobie był Maciosiem, i zawsze piekł perki w popiele, a może jeszcze piecze.

## 78.

## Głupi syn Bartek [1]).

Morownica.

Miáłá jedná matka głupiego syna, chtóry ón sie zalicał i w komplimenta zachodził do gospodarza jednego dziewczyny Kasi.

Poszed pirszy dzién po zapowiedziach do nij. Matka sie pytała tego Bartka: gdzieś ty był? — U Kasi. — Co ci dała? — Dała mi igłe; szed'em po naszy łące i utknéłem ją w kupkę siana.— Nimog'eś ty utknąć w czapke za baranek! — O bodaj-ście-k! matko, ja jutro pódę, óna mi dá jeszcze-k.

Toć poszed na drugi dzień do nij. Dałá mu od gnoju widły na gospodarstwo. A ón wzión, utknoł te widły za baranek u czápki i niesie do domu. Matka sie Bartka pyta: gdzie ty był? — U Kasi.— Co ci-k dała? — Dałá mi widły. — A ty ośle, nimóg'eś ty widły nieść w ręku, nie za baranek utknąć, i czápke żeś podar(ł) na nic. — Pójdę ja do Kasi, Kasia mi dá jeszcze-k.

Toć na trzeci dzień nimiélá mu co dać, ale mu dała szczeniaka. On niesie w ręku tego szczeniaka, wzion go na ręke. Matka powieda: nimóg'eś ty go wziąść na powrozek i prowadzić bez wieś.— He, pójdę ja jutro do Kasi, óna mi dá jeszcze-k.

---

[1]) Obacz *Lud*, Ser. VIII str. 197. nr. 80.

Dała mu śrót (Schrot kawał duży) okrasy. Uwiązał ten sztuk téj okrasy za sznurek i ciągnie bez wieś. I tak woła: sa, sa, sa, sa! — Tak, że psy sie zleciały i okrasę mu porwały. Matka sie pyta: Bartek, gdzieś ty był? — U Kasi. — Co ci-k dała? — Dałá mi śrót okrasy, á ja uwiązáł na sznurek i ciągnołem bez wieś, i psy sie zleciały i okráse mi porwały, nie dziwa (o mało że) na mnie kamzeli porozdzierały. Matka mówi: nimóg'eś to wziąść w ręke i do domu przynieść. — Pójde do Kasi, to mi dá jeszcze-k.

Nimiáłá mu co dać, i dałá mu krowę. Krowę przyprowadził do iźdby, nakrajał ji chleba, i séra, a krowa ino pożuchliła (pomemlała i popsuła chleb) i nie zjadłá go. Matka była na targu. Jak przyszła, pytałá sie Bartka: gdzieś ty był? — U Kasi. — Co ci dałá? — Dała mi krowę, ja téj krowie dałem chleba i séra, zaprowadziłem do izby, a óna nie chciáła jeść. Niémóg'eś ty ji dać węboryszek wody i snopyszek siana, i zaprowadzić do chlewa.— O, ja pódę do Kasi, dá mi jeszcze-k.

Niémiała mu już co dać, ale dałá mu sie samá. Kasię złapał, założył ji powróz na szyje, i prowadzi ją bez wieś i powieda: hou, hou, jałośka, hou do domu! — Przyprowadził ją i zapędził do chléwa. Dał ji węboryszek wody i snopyszek siana. Matka pyta sie: Bartoś gdzieś był? — U Kasi. — Co ci-k dała? — Dała mi sie samá. — Gdzie ją mousz (masz)? — Zaprowadziłem ją do chlewa i dałem snopyszek siana i węboryszek wody. — O ty głupi ośle! toś ty wczoraj dał krowie chleba, a dzisiaj dajesz Kasi siano i wode; nimóg'eś to ją do iźdby przyprowadzić.

Tak że ji (ją) przyprowadził z tego chlewa do iźdby. Matka ji (ją) wygnała na wieczór na góre spać. Kole północy powieda ona do Bartka ta Kasia: puść mnie, bo pójde z wodą. — A nie puszcze cie, bo byś mi ućkła. — Ale ty głupi, ty mász powróz na górze, to mnie uwiąż i mnie z góry spuść. — On ją uwiązał i z góry ją spuścieł.

Moja Kasia, co zrobiła? — Miała tam matka kozy w sieni. Złapała Kasia jedne kozę, uwiązała ją za rogi i powieda: Bartek, ciąg do góry bo już idę. — Tak, ón myślał, że ón Kasie do góry wciągnoł, a ón koze u sie miáł. Złapáł koze za rogi i wrzeszczy na matke: Matko, Kasia má rogi. — A ty głupi ośle, ino ty śpij!— odpowiada matka z dołu. — Matko, Kasia ma brodę. — Ino ty ośle głupi śpij! odpowiada matka. — Matko, Kasia ma kosmaty

pysk. — Ino ty śpij, głupi ośle, powiada matka. Matko, Kasia ma śtyry giry (nogi)! — Ino ty głupi ośle, śpij, mówi matka. — Ale matko, Kasia ma ogón cały kosmaty. — Ino ty śpij głupi ośle, mówi matka. — Ale matko, jakie to Kasia ma dydki koło nóg. — Idź głupi, mówi matka. — Ale matko, Kasia caluśka kosmata. — Śpij-że, ty głupi ośle, bo ci się marzy coraz bárzdzy (bardziéj).

Matka wlazła na górę, i zobaczyłá co ón to má. A ón má całką kozę przy sobie zamiast Kasi.

A Kasia poszła sobie do swego gospodorza na powtór, i już głupiego Bartka nie chciáła wziaść, nie chciáłá sie ź nim ożenić.

## 79.

## Głupiec głupcem [1]).

od Czempina (Brodnica).

Miała matka głupiego syna, i jak już był dosyc duży, wygnała go we świat, aby się tam rozumu nauczył i powiadá: jak pujdziesz kiedy, ludzi natrafisz przy jaki robocie, to zawsze powiédz: szczęś wám Boże.

I tráfił najprzód, jak chowali umarłego i powiádá: szczęś wám Boże! A jeden mu na to: żebyś lepiéj mówił: wieczny odpoczynek!

Idzie potem dali, i trafił jak rzeznik rozbiérał wieprza i powiadá: wieczny odpoczynek! A rzeźnik mu na to: o ty głupi, żebyś lepi powiedział: zjádło by sie z kapustą!

Potem szed daléj, trafił chłopa, siedział na-przechód, a ón powiedá: zjadło by się z kapustą. A chłop mu na to: o ty głupcze, żebyś lepij mówił: na stronę z tym smrodem.

Potem idzie znów daléj i trafił jak szedł kawaler z panną, i powiádá: na stronę z tym smrodem. A ten kawaler powiadá: o ty ośle głupy, żebyś lepij powiedział: obaj żeście sobie podobni.

Potem szed znowu daléj i natrafił rzeźnika jak szedł ze psem i powiadá: obaj żeście sobie podobni. Aż go rzeźnik wyłomotał że z płaczem powrócił do matki takiem jakiem poszed.

---

[1]) *Lud* Ser. VIII str. 199.

## 80.

## Mądra dziewka i pani. [1])

(Odgaduje zagadki i sądzi lepiej niż jej małżonek).

Czeszewo.

Ráz był jeden gospodárz bardzo bidny; miáł tak kole mórg szterdzieści roli, i to sobie obrabiáł jeno tak w krowy. Tenczas mu umarła żona; potém zaś sobie z córką jedynaczką gospodarował.

Jednego dnia wyjechał sobie orać na sŭoje pole, i wyorał złoty moździérz, ale bez stępora (tłuczka). I przychodzi do domu z wielgą radością, do sŭoji córki i powiádá ji ten interes. To tam nie było daleko do jejich króla, — i mówi do ty córki: co nom to po tém móździrzu, ja go zaniese królewi na podarónek.— O, mój ojcze (mówi córka), nie róbcie tego, bo to bedzie zdradliwie; ten król bedzie mówił tak: tyś, stary, tyś mi ten moździrz ukrád, bo niémasz stempora; gdzie ten moździérz był, to tam powinien być i stempór.

Ady (ale) on poszed do króla. Prawda, król go posądził, i kázał tego starego wsadzić (do więzienia). Ona córka frasuje sie y mówi: já to swemu ojcu zará mówiła, że ón będzie bez to nieszczęśliwy. Poszła do króla, i królewi to opowiádá. Ow król mówi do ty dziewczyny: kiej-ś ty taká mądrá, to ja ci twego ojca wypuszcze, ale przyjdź do mnie: nie we dnie, nie w nocy, — nie nago i nie przyodzianá, — nie konno i nie pojazdem.

Poszła óna do strzélca, kupiła sobie zająca; potem poszła do rybaka, kupiła sobie sieć; potem poszła do somsiada, kupiła sobie kozła. Zaś sobie tak upassowała (auf-passen, uważała) co rycht zaczęno świtać rano, co nie był dzień ani noc; tedy zewlekła swoje szmaty i naodziała sie w tę siéć, wzięna sobie tego kozła, położyła jednę nogę na tego kozła, a drugą nogą szła kole kozła; tego zająca sobie wzięna żywego pod pachy; tedy szła na króle(w)ski dwór.

---

[1]) *Lud.* Ser. VIII str. 207.

Kázała sie meldować, że óna już przybyła, żeby król natenmiast tam był, bo óna nima długo czasu czekać. Król też z tyj ciekawości zaráz wyskoczél w ślafroku patrzéć na to. Patrzy, ona jedzie i nie jedzie, na koniu i nie na koniu, piechty i nie piechty, nago i nie nago. Wtenczas ow król, że óna to taká mądrá, mądrzejsza jak ón sam, rozhurmanił się, rozgniwał, zawołał na psiarka, — i co óna mu te sztuke pokazała, kázał wszéstkie psy wypuścić, żeby jom rozdarły. Óna wtenczas puściła tego zająca; te psy wszéstkie za zającem, — i przyjéżdża óna przed królewski pałac. Dopraszám sie nájaśniejszego króla, my mego ojca wypuścić; (w)szak'em uczyniła, co nájaśniéjszy król ode mnie żądál. — On do ni mówi: zaráz ci twego ojca wypuszcze, ale ciebie sobie biere za mážonkę, abo-ć ty mądrzejsza jak já. Przecie, wtenczás jak já będe sądził, żebyś my nigdy naprzeciw nie gadała.

Jednego czasu bél w tym samym miejście jarmak. Pojechál gościnny z inny wsi i kowal na ten jarmak; ten gościnny ŭozem, a ten kowal konno, na klaczy ż é b n y (źrebnéj). Béli obaj z jedny wsi sąsiadami; uwiązał ten kowal te klacz do tego gościnnego uoza; tenczas pośli oba na targ kupić co. Jak pośli, w tém czasie ożrebiła sie ta klacz temu kowalewi u woza. A ten gościnny przychodi do ŭoza prędzy jak kowal i powiadá: a Bogu dzięka, my (mi) sie téż mój wóz ożrebił. Ow kowal przychodzi też zaráz krótko potem: nie, to moja klacz sie ożrebiła: Nuż tu oba we wielgie p r z e p i é r k i (spory) — aż do burmistrza; — od burmistrza aż do króla. Tedy ten król sie pytá: gdzie ten źrébak leżał? — Ano (powiadá gościnny) pod mojim ŭozem. — Król na to: no to sobie weź źrébáka, kiej pod twojim ŭozem, kiej sie twój wóz ożrebił.

Ow kowal sie bardzo markoli; markotno mu co niepodobná. Ale óna królewa wyjszła innémi dźwirzami, naprzeciw temu kowalewi. To jest, — powiadá do tego kowala, — to jest niesprawiedliwie, a b o (ale) já na to nic niémoge mówić, przecie ci poradze: weź ty sobie c z a ł n o (czółno), w ą d k i (wędki) i wiesło, — i zawieś sobie to h e j n a (tam) za miasto, gdzie wielgochna góra i ogromny piásek; tam my jeżdżámy codziennie na spacer koło godziny jedynasty; więc ty siądź w to czółno na tym piásku, i rzucáj te wądki y ten piásek jakby ná ŭode, i wyciągaj jakbyś tam nátęższe ryby łowił; weź wiesła i gárnij jakbyś tam na ryby robił. Potem ón (ten król) sie będzie pytał ciebie: co ty tu robisz?

Ano, na ryby robie (odpowiedzić mu mász). — Jakim sposobem ty tu możesz ryby dostać na tem piásku? — Ano, przepraszám n. króla; jakim sposobem sie może wóz ożrebić, takim sposobem ja też moge tu i ryby dostać.

I tak sie też stało. Jak król to wysłuchál, tak sie pytá kowala: chto cie tó nauczył, kowálu? — to n i c h t (nikt) ino moja żona.

Przyjachał król do domu i powiedá do swoji żony: (w)szák ja ci powiedál przed ślubem jeszcze, żebyś m y (mi) nigdy na przekorę nie gádáłá, jak já bande ledajak sądził, a tyś mi jednák uczéniła, że ten kowál dostał swego źrebáka nazád, a to z twoji przyczyny; teráz sie bierz odémnie, bierz sobie co ci námilsze i wędruj do swego ojca. Ona mówi do króla: przepraszám cie panie, ale prosze, aby jeden jeszcze objád zjeść z tobą. Pozwolił ji to.

Tenczas jak kuchárz gotował ten objád, óna sobie przysposobiła ty ŭ o d y s p i ą c é j (Schlaftrunk) i wpuściła w każdą potrawę po k a p c e (kropli). Tenczas siádła z nim do stołu do objádu Pon król jád(ł) tak jak z a w s i o r n o (zawsze), a óna tam sobie wziena troche chleba, masła i to jadłá, a z tyj przyprawionéj potrawy nie jadłá nic, że niby troche słabá, — a ón tak długo jad j-aż usnął przy stole. Kázała óna co duchu zaprządz do powozu forszpanewi i włożyć gó (króla) sobie w powóz, i kazała zajachać do swego ojca przed dom. W domu, kázała go włożyć do łoża w pościel ojczewską. A tu jak (w)ón o d c u c i ł (obudził sie), robactwo, pkły, wszy, łazi po nim. Zląk sie, aż struchlál; woła na nią: żono gdzie ja jezdem? — Ona mu odpowiadá: ty panie jezdeś w mojim domu ojcze (w)skim; szak'eś ty wyrzek, że sobie mom wziąść co my (mi) nájmilsze jest; więc'eś ty mi námilszy nadewszéstko, i ciebiem sobie wzięna. — Prosi ji sie król: żono kochaná, już bedziesz zawsiorno sądzić, já ci nic na przekore nie będe gádał, ino me przyprowadź po mego domu.

Wtenczas pisała list do forszpána, kázała zajachać ze służącymi. Wsiedli obáj do powozu i pojachali do swego królestwa nazád. I żyli sobie już uskromnie (spokojnie); i żeli żyją, to iém i dzisiáj dobrze, zwłaszczá tej dziewusze, (co) z biédy — bez (prez) rozum — przyszła do królestwa.

## 81.

### O dziesięcinie i mądrej córce.

od Kościna

Ráz jeden ksiądz miál na ambónie kazanie i mówił: Ftu (kto) dá Panu Bogu jedno, to mu Pan Bóg odda dziesięć. Chłop przyszed do domu i pwiadá córce to samo, co słyszál w kościele. Mówił do córki: trzebno wziąść krowe i zaprowadzić księdzu na ofiare Panu Bogu. I zaprowadziuł. Ksiądz mu dał kieliszek wódki i kawał chleba za te krowe.

Bez (po) niejaki czas wolarze orali w polu aż do południa. Jak we wsi na kościele we zwón uderzyli południewy, tak że woŭlarze powyprzęgali woły i popędzili do domu na obiad. Te woły sie pogziły, dziewięć sztuk, a dziesiunta ta chłopa krowa, i z wołami na podwyrze chłopa wpadają (chtóry ten chŭop zaprowadził księdzu krowe na ofiare). Mówi chŭop do swoji córki: widzisz, co nám to Pan Bóg dał, a gadałaś na mnie; dał nám dziewięć sztuk obskich a dziesiątą swoją (naszą).

Ten ksiądz przysyła do tego chłopa po te woły swojich ratajów, jako wólarzy. Ten chuop mówi do tych woláurzy: ja wám wołów nie dám, bo to mnie Pan Bóg dał; biegájcie do księdza i przypomnijcie mu, co to ón na ambónie mówił. Tak że ten ksiądz rozgniéwany poszed do pana do dworu na skargę, że mu ten chłop nie chce oddać wołów. Ten pon posłał do tego chłopa, żeby w ten móment przyszed do dworu. Ta córka chłopska mówi do swego ojca: przecie nie bądźcie głupi, a zaś wołów nie oddejcie.

Chłop przyszed do dworu. Zawołali go do pokoju. Ksiądz z pánem siedzą; pán zapytuje się chłopa, czemu wołów księdzu oddać nie chce? — A chłop odpowiadá, że ón ich księdzu nie brál, ino mu sám Pán Bóg dál. — Co zrobili? — Wydál pán im, księdzu i chŭopu, termin (domowa skarga, układ), że: który z nich zgadnie co jes nájtłuściéjszego i nájsmaczniéjszego i najprędszego? — Wydali sobie parol bez trzy dni, że mieli znowu przyjść do pana napowtór.

Przychodzi ksiądz do domu. Gospodyni go sie zapytuje: czy dostanie te woły na powtór od chłopa? — A ksiądz powiadá: já nie wiém, żeli já zgádne, albo też nie zgadne; bo nám pon wy-

dał taki parol: co jes nájtłuściejszego, nájsmaczniejszego i nájprędszego? — Ta gospodyni mówi: oh, jegómoś, to jest mała bagatela. Jak jegómoś bedzie mioł iść, to já powiem, to já doradze.

Przychodzi chłop do domu do swoji córki. Ta go zapytuje: co pon powiedziáł? — A ón ji odpowiadá że ma zgadnąć te trzy rzeczy. Ta córka powiadá: ojcze, jak pódziecie, to já wom doradze, nie chłopoczcie sie.

Idzie ksiądz nájprzód, a pytá sie swoji gospodyni: doradź mi teráz, co to jes? — Gospodyni odpowiedziała: nájsmaczniejszy jes jendyk kiedy go dobrze upiecze, a nájtłuściejszy jes wieprz kiedy pu-tora roku leży na kublu, a nájprędszy jes zając; jak za nim chtó strzeli to go już i charty dogónić nie mogą. — Więc przychodzi ten ksiądz na ten termin do pana i opowiadá mu ten cały interes.

Teráz chłop sie zapytuje swoji córki, jak mo powiedzieć panu. Ta córka mówi: jak przyńdziecie do paná, to powiédźcie tak: Nájprędszy jes wiátrz, bo jak ten zácznie dmuchać to go nich(t) ani widzić ani dogónić ni może, nájtłuściejsza jes ziemiá bo wszystko zjé i wszystko wydá, a nájsmáczniéjszy jes śpik (sen) bo żeby nájwiększy bál bół, to w końcu jak śpik naciśnie, to człowiek nájsmaczniéjsze rzuci jadło, a spać musi.

Ten pon mówi: Wtu-śći (któż ci) to doradziuł, żebyś tak powiedziáł? — Córka moja. — Pon wzión mendel jaj, chłopu dáł, żeby powiedziáł córce swoji, żeby na jutro mu wystawiła kurczęta z tych jaj. — A óna wziéna kawałek drewna, drewieniuszko, i powiedá do tego ojca: żeby pon zrobiuł pług, radło i bronę z tego do orania. I dała jeszczék temu ojcu ze sobą gársztke prosa, żeby pon ziemie uprawił temi narzędziami co je mo zrobić, i garsztke prosa coby zasiáł dla tych kurcząt, co na jutro mają sie wylądz pánu na obiad.

Ociec to pánu powiádá: A pán odesłał do nij znoŭ tego ojca i kázał ji powiedzieć: żeli óna taka mądra, żeby óna przyjechała do niego: nago i nie nago, na koniu i nie na koniu, drógą i nie drógą, i przywiezła mu podarónek i niepodarónek.

Ona poszła do rybaka, wziéna troche siéci i odziała sie; siadła na kozła i do pana jachała. Gdzie ten koziół chciáł, tam sám szed, a óna na nim noge trzymała. Wziéna też jednego płochego czárnego gołębia ze sobą. Przyjachała do pokoju do niego i podaje mu ten prezent w jego ręke. Wtém, gdy on odbiéra, óna

gołębia puszcza, i pon prezentu od nij nie odebrál. Gołąb uderzył w szybę, szybe wybił i na powietrze ucik.

Pon widziół, że bez córke ojciec stary wygrál. Była ładná, urodná, szykowná, i jak sie pokazało, mądrá. Już ji pán z pokoju nie wypuścił do jéji domu, jéno sie z nią ożenił. Dziewięć wołów po-księżych za nią pon otrzymał i dziesiuntego i to gospodárstwo co jéj ojciec mioł, chtórego ón też wzión do siebie, bo nikogo swojégo ni miál. [1])

## 82.

## Swiniarek panem.

od Szmigla (Morownica).

Jednégo rázu mioł jeden pon chłopáka, dwadzieścia lat stary, i miál go do świni pasienia. Tak temu chłopákowi sie śniło, że w tym i w tym mieście jes(t) okropnie bogaty sukieńik i má bárdzo urodnom córe, że się z okolicé panowie zjeżdżali powozami do nié. A óna tak była wybierzyczná, że sie z káżdego pana wyśmiéwała i nie chciáła żádnego. Tak temu świniarkowi sie śniło, że má iść do tego miásta, że ón jóm dostanie.

Wstaje rano, idzie do matki powieda: Matko, mnie sie śniło dzisiajszy nocy, że mám iść do tego miasta, jes tam okropnie bogaty sukieńik i má bárdzo urodnóm córke, i ja mom dostać ją za żone. Matka mu powieda: bodajś ty kłaku biédny, ty jezdeś świniarkiem i chciáłbyś taką bogato panią dostać. A ón odpowieda: Moja matko gdybym ja jom móg dostać, przecieć by mi lepij béło, jak świnie paść. Matka powieda: przecieć tam różni panowie sie do nij zjéżdżają, a óna ich nie chce, tylko sie wyśmiéwa.

Na drugom noc tak samo mu sie śniło, że má iść do tego miasta, bo ón jo dostanie. Przychodzi do ty matki znou napowtór i powieda, że to samo mu sie śniło, że mo iś(ć) do tégo miasta, że ón jom dostanie za żone. Teráz matko, już wás słuchać nie béde, tylko pójdię tam do tégo miasta, może ja jom dostane. A matka: idź, jak cie wszy wyżrą dobrze, to ty przyjdziesz nazád.

Tak wzión te swoje zwalane buty na kij i szed, w biały gruby kamzeli, zwalany y boso, a buty na kiju. Tak uszed myleczke drógi, a tó jedzie pón powozem szterema końmi i pyta sie

[1]) Ser. VIII str. 206, i 228 (w przypisku).

świniárka: gdzie ty idziesz? — Idè tam do tégo miasta, tam je(st) bogaty sukieńnik i má ładnom córe, ja jom mám dostać za żone. A ten pán odpowiedá: przecie-ć ja tam dopiéro jade od nij, a ona mię nie chce, tylko się wyśmiéwa, a ciebie by chciáłá? A ten pán powieda drugi ráz: na mász dukat, idź, ożeń sie z nio.

Tak idzie świniarek znou jedno myleczke, trafił drugi pon,— jedzie drugi pon powozem. A, powieda, gdzie ty idziesz? A já ide do tego miasta, bo tam jes taki bogaty sukiennik, má okropnie bogatóm córke, já sie mom ożenić ź nio. Ten pon powieda: przecie-ć ja tam dopiro jade od nij, a óna mnie nie chce, a ciebieby chciała?, na, mász dukat, ożeń sie ź nio.

Tak ten świniarek idie znowu jedne myleczke, jachał trzeci pán powozem. Tak pytá sie świniarka i ón: gdzie ty idziesz? — A ón mu: że idziè do tego miasta, bo tam jes bogaty sukieńnik, a ma okropnie ładnóm córke, i ja jóm mom dostać za żone. Ten pán: przecie-ć ja tam dopiro jade od nij, a óna mnie nie chce, tylko sie wyśmiwa. Ten pon mówi: na mász dukat, i idź, ożeń sie.

Poszed świniarek do tego miasta. Wszed do jedny oberży (auberge) a tam béł pon jeden, co go ta panna chciała. A świniarek sie o tém dowiedział. Tak ten pon kázał sobie wieczór za dukat dać kolacyjom. A ten świniárek powieda: mnie téż za dukat kolacyjom. Tak ten pon powiedâ: mnie za dukat nogi umyć. A ten świniárek: mnie też za dukat nogi umyć. Tak tego oberzysty s(ł)użąca temu panu nogi umyła, a temu świniarkowi nie chciała myć, bo mioł okropnie zwalane. Ale oberzysta káuzał. Służąca wziéna gorący wody i wiechcia i nogi mu umyła, temu świniarkowi. Ten pon znowu mówi: mnie za dukat pościel do spania. A ten świniarek powieda: mnie téż za dukat pościel dać.

Tak ten świniárek przódy słyszał, te panne (sukienniczke) sie z tym panem namówiać, że o jedenasty godzinie miáł przyńść i ćpić pijáskiem w okno na drugie piętro, a óna bédzie słyszała to, i mu wyńdzie otworzyć. Tak ten pon układ sie w łoże na ty oberży i zasnouł. A ten świniárek układ sie w siéni pod schody, a słyszał ják na ratuszu wybiła jedenastá godzina. Tak ón poszed i brał pijásek i ciepał w okno, ten świniarek, do ty panny. Tak óna mu otworzyła. Ten świniarek, gdy przyszed do pokoju, tak sie zewlik, powiesił te swojo biáło kamzele zwalaną na goździu a buty włożył pod łoże. I położył sie. Potém ten pán sie ocucił (przebudził) na ty oberży, idie i bierze pijásek i w okno ciepa. A tą

panna rozumiała, że jakiś deszpérák musiał podsłyszéć ich mówić i sprzeciwia ji sie. Tak powiedá ta panna do tego świniarka: ja mom naczynie pod łożem z mokrzém, i gichnę temu szelmie na łeb. Tak óna wziena to, otworzyła okno i gichnęna mu na łeb, temu kawálorowi co sie ź nim namówiła. A óu sie (r)ozgniwáł, i więcy nie przyszed. A wtenczas ta panná sie położy i powieda: ach moje dziecko, jaką to ty twardą mász koszule na sobie. A świniarek rzeknie: że ból na polowaniu i okropnie sie zgrzał, to i koszula na nim uschła i jest twardá. Dobrze, powieda panna.

Na drugi dzień, jak sie rozwidniało, tak óna wejźdrzy na ściáne i powieda: ach moje dziecko, co to za tam surdut wisi na ścienie? — A óu świniarek: a to jes mój. A panna: ach moje dziecko, tak zgrzébny ubier mász. A ten świniorek: a przecie já nie jezdem żáden pon, jéno jezdem świniárek. A panna na to: a ty świntuchu; ach! co ja téż nágorszégo zrobiuła, że já cie wpuściela do siebie, cóż já mom terá z tobą zrobić?, terá już musze ciebie chcieć za meża, bo nie chce sromoty od ojca swego, nie chce mu zrobić sromoty. Tak ta panna poszła, zamknęna go w pokoju na klucz, co go na świat nie wypuściéła, dopóki nowych rzeczy nie bédzie miáł. I poszła na miasto i posprawiáła mu całką liberyją nową, surdut, spodnie, kamzelke, koszule i buty. I przyszła do pokoju, i zaráz go ubrała, a te jego stare rzeczy kázała wciepnąć w rzéke, utopić.

Wtenczas poszła do fabryki gdzie jeji ojciec sukno robiuł, i wybrała czysty wáł sukna i wewinęna (zawinęła) kilkanaście tysięcy talerów w to sukno i powiedá do tego świniarka: Teráz pódziesz do krámu i bédziesz sobie wybiérał sukna, a niech ci sie żádne nie podoba; potém mów ojcu memu, że: já sobie nie moge wybrać sukna żádnego, niech tu przyńdzie ta panna, óna bedzie wiedzieć jakiego já sukna potrzebuje. Tak poséła zaráz sukiennik po te swojóm córe żeby przychodziuła do krámu, sukno wybrać temu panu. Ona przychodzi do krámu bierze wáł sukna i daje mu. Jak pośli z krámu, tak mu otwinie te piniądze z tego sukna i powiedá: teroz idź na miasto i kup cztery konie i powóz i fószpana (vor-spann) i przyjeżdżaj przed kamnicę. Tak ten świniárek poszed i kupiuł. Przyjiżdża przed te kamnice. Ojciec jeji, ten sukiennik okropnie sie ucieszył że jego córce aby jeden pán sie upodobał, chtórego óna chce. I ożenił ich i dał jém folwárk, i był świniarek panem.

# Bajki.

## 83.

### Chłopiec i lew.

od Czempina (Brodnica).

Jeden król miał bardzo piękną córkę i miał lwa w sklepie. Nie chciał jéj za nikogo wydać, tylko za takiego, co przebędzie całą noc w tym sklepie z tym lwem, a ten lew go nie zagryzie i nie zeżre.

Bardzo dość ludzi naginęło, co ich ten lew pożar, aże ráz obrał się jeden wiejski chłopak; i udál się tam. Nazbiérał sobie kamyszków, wziol sobie toporek i skrzypce i brzytwę i dzbánek ze smołą i bat, — i poszed. Jak zaszed do pałacu, kázał się zameldować. Wpuścili go do tego sklepu i do tego lwa, — miál tam uszykowane łóżko do spania.

Jak wszed do sklepu i usiad na łóżku, zaczon sobie gryźć orzechy, a lew do niego się odzywa: cóż ty tak gryziesz? — A ón powiadá: orzechy, a lew mówi: dáj mi też jeden. — A ón: Aha, to ty sobie chcesz zęby wyostrzyć. — Dál mu, ale nie orzech tylko kamyszek; a ten gryzie i nimoże rozgryźć. Wziol chłopak jeszcze jeden (orzech) i powiadá: widzisz, ja od rázu rozgryzę. Jak rozgryz, dał lwu to jądrko, powiadá: na, zjédz! — Lew zjad i posmakował, że dobre. I powiadá: daj mi jeszcze jeden, zobacze czy ja też nierozgryze. — I dál mu chłopák jeszcze jeden kamyszek. Lew gryzie i nimoże rozgryźć, i powiadá: ty mász mocne zęby, kiedy ty od rázu rozgryziesz, a ja gryze tak długo i męcze się i nimogę.

Potem chłopak odkręcił (korek) i odetkál flaszke z mocną wódką i napił sie z nij. A lew powiadá: co ty pijesz? — A chłopák

mu na to: wódkę. — Lew: daj mi też! Chłopak mu dał. Jak sie lew dobrze napił i był pijany od rázu, wtenczas chłopak zaczął mu grać na skrzypcach, a lew zaczął tańczyć. Spodobało mu sie to granie bardzo i powiadá: żebym ja też tak sie nauczył. A chłopák mu na to: możesz; ale że ty masz takie krzywe pazury, musze ci wprzód óne wyprostować. Podważył balkę w sklepie tym toporkiem i kázał mu tam pazury włożyć, a potem balke spuścił. Potem go całego ogolił i osmolił. Zaś go bardzo bił batem. Potem sam sie położył na łóżko i spał.

Na drugi dzień rano, przyszed król do drzwi i woła na lwa: Misiu, otwórz! — A lew mu na to: jeszcze mój pán śpi. — A król ździwiony, woła jeszcze drugi ráz: Misiu, otwórz! — A ón lew mu z gniewem odpowiadá: jeszcze mój pán śpi, bo on goli i smoli, i siecze — aż krew ze mnie ciecze.—Potém zaś ten chłopak wstał i otworzył; a król jak zobaczył lwa, áż się przeląk, że taki zmarnowany. I nie chciál mu (chłopakowi) córki dać. A chłopak mu na to odpowiadá, że ón (chłopak) jeszcze sobie lepij zasłuży, a król jeszcze gorzy zasłużył za tych ludzi co ich lwu dál na pożárcie. — I król sie bojał, i córke mu dał za żone.

(Obacz także nr. 61. Kowalczyk i kusiciel).

## 84.

## Lew i skrzypek.

od Nakła, Kcyni.

Była jednego czasu kobita, bardzo bidna, miała jednego syna i ten syn zgodził się za świniarka, a b o (ale) ogromnie się nauczył grać na skrzypcach. Wtenczas nijaki pán miał córkę, i przytem miał lwa w sklepie i nikomu ty córki nie kcioł dać za żonę, ino temu co z tém lwem noc przesiedzi. Więc ten lew też dość ludzi, panów zmarnował, bo ich pożar(ł); ale zgłosił się owże chłopak świniarek — téj bidny matki syn. Chętnie ten pán przystał na to, ów chłopak przysposobił się, wzion sobie w jednę kieszeń orzechów z laszczyny, w drugą kieszeń kamyszków, klin dębowy, toporek, gornuszek z białem mydłem i brzytew.

Potém się wzion i poszed do tego lwa na noc. Był tam u tego lwa w sklepie, stolik, świca się paliła, łóżko usłane, wpuścili go, zamkli, z a t ł u s n e l i go (zamknęli na kłódkę); wzion on swoje

skrzypeczki i graje. Ow lew słucha, passuje (uważa); ráz po ráz sobie chłopak wyjmie orzech z kieszeni, i zgryzie i jé to jąderko i daje téż temu lwowi; ten lew powiada: ih, to smaczne! dáj mi téż będę (gryz(ł). Dał mu kamyszek z drugi kieszeni, ów lew: gryzie co siły ma, nimoże tego kamyszka zgryźć, a ón (lew) myśli że to jest orzech, — a on go tak trudził. W tém rázie powiadá lew do tego chłopáka: ná ty zgryż! i wzion ten kamyszek i daje mu — chłopak wzion orzech w gębe a kamyszek otrzymał (zatrzymał) w ręce. Dał mu to jądrko, — lew zdżar(ł) je i powiadá do niego: a toś ty mocniejszy jak já, ale nimóg byś mnie téż nauczyć grać? — A czemu nie! — ten chłopak powiadá, ale ty mász bardzo grube, niezdarne palce, ja ci muszę te palce wprzód wyprostować; potem ty się nauczysz grać.

Ale był tam ten sklep złożony z grubych bláchów; tak ón wzion ten klin i podbił te blachy do góry: wetchnij no sa teráz swoje palce między te bláchy (mówi do lwa) co ci się wyprostują. Wetchnął ów lew obie przednie łapy; ten chłopak wyciągnoł ten klin, spuścił te blachy na pazury mu i ruchaj terá temi łapamy, czy téż wyciągniesz. Nimóg lew ani ruszyć swojemi łapamy. Potem wzion ten klin przybił na ten wiérzchni blách; tedy wzión potem mydło z tym gárnyszkiem, rozrobił, jak go zaczán smarować tym mydłem, wzión brzytwy, jak go zaczán golić, ogolił go do połowy, do wpół, ino na końcu na ogonie otrzymał (zachował) taką kądziołkę i przodek kosmaty. Jak wzión chłopák bata, jak go zaczoł rznąć po ty goły d....., lew jak zaczán ryczyć, jak mu się zaczán prosić, nawet dotyla j-aż mu przysiąg że tego chłopáka będzie słuchał, a starego pana opuści, żeby go ino ze życiem wypuścił z tych bláchów. Więc go wypuścił.

W tém razie téż był dzień. Chłopak położył się na łóżku i udaje jakby spał, a nie śpi; ów lew położył się jak długi kole niego, kole łóżka. Ady (ale) przychodzi służący, ňoła: lwie. — Ten lew odpowiadá nu! cicho, bo i tobie d... ogoli, batem osmoli, jak mnie. Ów służący leci nazád tém pędem do pana — opowiadá te interessa. Ten pän powieda: ih! tyś głupi, on tam już inszych mężczyznów zmarnował, a coby ón z tem głupim chłopakiem miał robić. Przychodzi ów pán sam, woła: lewku? — Cóż tam kiepku? lew odpowiadá staremu panu, tobie d... ogoli, batem osmoli, jak mnie. Ow chłopák, jakoby się przebudził mówi do niego: chtóż tam jest? — Mój stary pän. — A chłopák mówi do

lwa: a otwórz mu! — Lew otworzył drzwi, pän wchodzi, idzie do tego łoża, lew na niego warczy, bo nie dá dostąpić do chłopáka. Pan wziąwszy chłopáka do pokoju, ón wyrzek te słowa: że się z córką ożeni, chto z lwem wysiedzi. Zabierz ją pän do ślubu, i z tem chłopákiem, aby jem objema wesele wyprawić.

Po weselu jednak tego pana powstydnie, że on to ma świniárka za zięcia. Ale kázál powóz zaprządz w sztéry konie, do woza nastúć tyla piniędzy co te sztéry kónie mogły uciągnąć: teráz siádaj zięciu w powóz i odjeżdżaj sobie we świat, niech cię ráza (nigdy) nie widzę. Ale tego lwa pän otrzymał (zatrzymał); a wtenczas jak ten wyjachál, już był można blisko granicy, wypuszcza ów pán tego lwa w pogoń za niemi, żeby ich obuch zażar(ł) (córkę i zięcia) i żeby mu nazad przyniós te piniądze. Ale ón patrzy szybką (w powozie), urzoł (ujrzał) tego lwa lecić za niemi — i powiedá: moja żono, uczyń my to co ja teráz będę od ciebie żądał, bo będziem oba zgładzoni ze świata. — Czemu nie? — Zewlicz się do naga i wyńdzi z powozu, i stań na wszystkie cztéry (ręce i nogi) i lajtaj tak za powozem. Ów lew jak jou (ją) obaczéł, jak pódzie nazád do domu, przychodzi do swego pana powiadá mu: panie! mnie ino ogolił do pół, ale tam jednego ogolił caluchniczkiego, ino mu jeden kosmyk ostawił. Jak się strachnął tego ździebka, jak pódzie do dom, to ino się tak piásek kurzył. Niech ón sobie jadzie gdzie kce, ja już do nigo nie pójdę.

Ja téż tam był i widziál, á jeźli my nie wierszycie, to jeszcze mom piosek pod podeszwą.

## 85.

## Pies wierny i Wąż.

Powieść. gminna *Przyjaciel ludu.* Leszno 1835 rok 1 N. 31).

Pewien rycerz miał syna, którego tak kochał, że mu dał trzy niańki, aby go pielęgnowały; jedna miała go prowadzić, druga ubierać, a trzecia kołysać. Prócz syna miał jeszcze dwie rzeczy, nade wszystko sobie miłe, t. j. sokoła i psa. Ten pies tak był mądry, że gdy pan jego wybierał się na wojnę, w któréj mu się szczęśliwie powodzić miało, skakał przed koniem i szczekał z radości; przeciwnie zaś, gdy go czekało jakie nieszczęście, wył

przeraźliwie i ciągnął konia za ogon, ostrzegając pana, aby się nie narażał na zgubę. A tak rycerz wiedział zawsze, kiedy się ma udać na wojnę, a kiedy w domu pozostac. Podobnież i sokoła kochał; albowiem ile razy wyszedł z nim na łowy, nigdy próżno nie powrócił.

Ale ten pan lubił zabawy rycerskie. Pewnego razu miały się w jego zamku wielkie odprawić turnieje, na które z całej okolicy zgromadzili się rycerze. I nasz bohater się uzbroił od stóp do głów; bo chciał wystąpić w szranki i kruszyć z innymi kopije. Żona jego wyszła przypatrzyć się igrzyskom, wyszła i czeladź; a niańki zostawiwszy dziecię pańskie w kolebce, pospieszyły także na dziedziniec ciekawością zdjęte. Nikt więc w zamku niepozostał, tylko dziecko, pies i sokół siedzący na drążku.

Lecz w tym zamku, o czém nikt nie wiedział, był w lochu ukryty wąż ogromnej wielkości. Gdy więc wszyscy wyszli, wąż wysuwa głowę z dziury, ogląda się ostrożnie na wszystkie strony, a nie widząc nikogo, prócz dziecięcia w kolebce, wychodzi z lochu, czołga się ku kołysce, chcąc zadusić opuszczone dziecię. Sokół spostrzegłszy, że się wąż ku kolebce czołga, zaczął bić skrzydłami aby obudzić psa który był zasnął i nieczuł grożącego dziecku niebezpieczeństwa, jak gdyby chciał powiedzieć: „wstań psie, broń dziecięcia, aby go brzydki wąż nie udusił“. Pies przebudzony szelestem który sokół sprawił, spostrzegłszy węża, skoczył w gniewie, i rzucił się na niego. Wąż był potężny i zdradliwy, a chciwością zdobyczy rozłakomiony, pewnym był zwycięztwa; ale pies wierny postanowił umrzéć raczej w obronie dziecięcia. W tej zaciętej walce wąż ukąsił kilka razy mężnego psa, i nie tylko posadzka ale i kolebka krwią były zbroczone. Pies raną rozjuszony, z taką natarczywością uderzył na węża, że kolebkę wywrócił: ale kolebka miała cztery słupki; nieprzycisnęła więc dziecięcia do ziemi swym ciężarem; owszem dziecię wolno oddychać mogło. Nakoniec pokonał pies węża i zabił go, a potem położył się na ziemi i lizał swe rany.

Gdy się turnieje skończyły, i lud się rozchodzić zaczął, niańki dziecięcia najprzód przybiegły; a widząc kolébkę wywróconą, ziemię zbroczoną, i psa pokrwawionego, rzekły do siebie: „biada nam! pies zagryzł dziecię!“ — a to im na myśl nie przyszło, że trzeba było podnieść dziecię z kolebką, i przekonać się, co się istotnie stało. A potem rzekły: „uciekajmy! aby nasz pan

nie nadszedł i nie zabił nas". Pani spotkawszy uciekające sługi, pyta się „gdzieby tak spiesznie dążyły?" Jedna z nich odezwała się: „biada wam i nam! pies którego pan tak kocha, zagryzł dziecię naszej pieczy powierzone, a krew jego zbroczyła kolebkę i cały pokój". Usłyszawszy to matka, upadła na ziemię, wołając w rozpaczy: „Ach cóż teraz poczne? straciłam najukochańszego syna!" Gdy ona tak skargi swoje rozwodzi, przybywa rycerz i pyta się: czego płacze i narzeka? Żona opowiedziała mu, co od sług słyszała. Rycerz największym przejęty smutkiem, ale oraz pałając zemstą, idzie spiesznym krokiem do pokoju, w którym dziecię leżało.

Pies wierny, skoro tylko pana swego postrzegł, lubo ranami osłabiony, wstał zaraz, witając go zwyczajnem przymilaniem się. Ale rycerz dobył miecza i uciął mu głowę; poczém poszedł do kolebki, podniósł ją, i ujrzał, że dziecię było zdrowe i nienaruszone; a koło kolebki leżał wąż nieżywy, straszliwie pogryziony i poszarpany. Wtedy dopiero przekonał się oczywiście, że pies zagryzł tego węża, broniąc dziecięcia leżącego w kolebce, i że je od śmierci wybawił. Natenczas boleścią największą przejęty, zawołał: „o biada mi, biada! uwierzyłem słowom niewiasty, zabiłem psa najwierniejszego, który memu dziecięciu życie ocalił; muszę teraz sam za to pokutować". I natychmiast złamał swój oręż, udał się do Ziemi świętej a służąc Bogu, wyrzekł się wszystkich marności tego świata, i został świętym.

## 86.

## Wilk i parobek.

(Powiastka gminna. *Przyjaciel ludu*, Leszno 1835 rok 2gi Nr 25).

Onego czasu, kiedy jeszcze Pan Jezus chodził po ziemi i nauczał, zdarzyło się pewnego razu, że wilk szary przyszedł do niego i rzekł: „Panie! jużem też kosztował różnego rodzaju mięsiwa; wiem jak smakują barany, cielęta, a nawet woły i konie; alem jeszcze nigdy nie jadł mięsa człowieczego. Panie! pozwól mi też tego przysmaczku skosztować". — „Wilku (odpowiedział Jezus), sam nie wiész, czego się napiérasz. Wiedz tedy, że ludzkie mięso jest gorzkie i pewny jestem że ci do gustu wcale nie przy-

padnie". „To nic nie szkodzi (rzekł na to wilk), niech będzie jakie chce, pozwól mi zjeść człowieka, żebym zaspokoił ciekawość". — „Cóż mam z tobą robić (odpowiedział Jezus), kiedyś się już na swojém usadził, niech i tak będzie; lecz kładę warunek, abyś nie tykał się ani chłopaka ani starca, lecz tylko parobka; pozwalam ci zjeść parobka".

Wilk ucieszony, wychodzi sobie na drogę do boru, siada na ogonie, czekając aż kto nadejdzie. Ujrzał najprzód chłopaka i pyta się chciwie: „a kto ty jesteś?" — „A wszak widzisz (odpowie tenże) żem chłopak, dopiero na przyszłe gody zostanę średniakiem". — „Idź sobie z Bogiem (wilk na to odpowiedział), nic mi po tobie".

Po chwili zbliża się starzec. A wilk znowu odzywa się: „a ktoś ty bracie?" — „Dziad stary (ten odpowie), idę na odpust do téj wsi za borem, ale nie wiem jak się sam zawlokę". — „Niech was pan Bóg prowadzi, staruszku (odpowiedział wilk), ja tu na kogo innego czekam".

Nakoniec zbliża się żwawo i śmiało parobek w kożuchu. Wilk, widząc z pozoru, że to właśnie taki, jakiego oczekuje, ostrząc sobie już zęby na niego, rzecze: „a ktoś ty człeku?" — „A już-ci nie chłopak, tylko parobek, mój wilku: ale powiedz mi też dla czegoś tak ciekawy?" — Bo mam w tém ważny interes (odpowiedział wilk); pan Jezus pozwolił mi cię zjeść... stój! — i gotuj się na śmierć!" — Nie zmięszany wcale takiém przywitaniem parobek, rzecze: „A nu! kiedy mnie już masz zjeść, pozwólże mi przynajmniej iść na ustęp w te krzaki, i przygotować się do tak dalekiéj podróży". — Wilk nie miał nic przeciwko temu; a parobek poszedłszy w krzaki urznął sobie kij tęgi i schował pod kożuch, a powróciwszy do wilka, rzekł: „jużem gotów na śmierć; lecz żebym cię przekonał, iż do ciebie najmniejszéj niemam urazy, że ci owszem przebaczam, choć mnie masz zjeść, pozwól się pocałować w ogon". — Wilk pyszny, chętnie na to zezwolił; a parobek niby to idąc do całowania, uchwyci wilka za ogon, okręci koło ręki, a potem dostawszy maczugi, jak zacznie kropić, tak, że zbitego i nieżywego prawie, zostawił na miejscu.

Ledwo w kilka godzin odzyskawszy przytomność, zwlókł się wilk i wrócił do kniei, a spotkawszy znowu pana Jezusa, rzekł: „Oj prawda, Panie, że człowiecze mięso bardzo jest gorzkie; jużem do niego zupełnie stracił appetyt; lepsze dla mnie barany, niżeli te niezwyczajne przysmaki".

## 87.

## O starym wilku i o lisku filucie.

Powieść gminna.

(Czasop. *Przyjaciel ludu.* Leszno 1838 rok 5 N. 2).

Przed laty było wszystko na świecie inaczéj jak dzisiaj! Spytać tylko starych ludzi, to oni nam dziwy powiedzą o owych dawnych czasach.

Nasłuchałem ja się nieraz takich powiastek od mego nieboszczyka dziada, który był wielkim myśliwym; więc też pewnego wieczora opowiadał następującą historyę o wilku i o lisie:

Była raz zima mosanie, co to ha! para na powietrzu marzła, a pod nogami śnieg skrzypiał, jak zardzewiałe zawiasy w piwnicy.

Takiéj tedy zimy, chodziło sobie stare wilczysko po lesie i wołało: auu! auu! W tém spotyka go lisek hultaj i rzecze: „bracie wilku, dla czego to tak smutno?“

„„Niéma być smutno““ odpowiada wilk z pokorą, „„kiedy w brzuchu pustki, a tu się téż i zębów przyjadło i pazury tępe!““

Ulitował się lis nad jego niedolą i zaprosił go z sobą na śniadanie do wsi, w któréj kmiotek Strogarz wyprawiał córce wesele.

„Oj będziemy mieli stypę“ rzekł lis do wilka; „są tam połcie na poddaszu, trzeba nam ich skosztować“.

I wdrapali się pod zapolem na górę; ale miasto połci, znaleźli tylko placki pszenne, które wilkowi nie bardzo smakowały; więc z wielkiéj rozpaczy zawołał: auu! auu!

Usłyszawszy to gospodyni Strogarka, daléj na górę, a za nią reszta gości z kijami i cepami.

Lisek zwąchnął co się święci, wyskoczył na dach i nakrył się ogonem, że go ani widnąć. Ale wilk niezgraba uwiązł w dziurze. Nuż tedy po nim łupu, cupu, łupu, cupu, aż w niebie było słychać.

O mało że nie zginął pod takiemi razami. Strach przypomniał mu jednak dawną odwagę i siłę; rzucił się więc na przebój, powalił kilku pijanych parobczaków o ziemię i prysnął.

Lisek tymczasem zlazł cichutko po drabi do sadu, ze sadu brózdą za płot, a potem ku knieji, do lasu, pod którą napotkał wilka, wylizującego sobie cięgi ze skóry, i zaczął go przepraszać i użalał się nad nim.

Cóż jednak po żalach, kiedy złe nie da się naprawić. Więc też wilk rozgniéwany zawołał: „„com dostał, tom dostał; ale poczekaj jeno ty lisie! Jeżeli mi się nie wystarasz o śniadanie, to ja cię tu nauczę po kościele gwizdać““. — Oj źle, myśli sobie lis filut, łasi się wilkowi i mówi:

„Mięsa ci dać nie mogę braciszku, ale też dzisiaj post na mięso; pójdźmy lepiéj na ryby; są tu w jeziorze karpie jak woły“.

Udobruchawszy tym sposobem wilka, prowadzi go z sobą na jezioro, w którém przed chwilą wyrąbano przerębel i rzecze: „A wiesz ty jak ja ryby łowię?... Oto wpuszczę mój ogon we wodę, to mi się u niego ryb nauwiesza, jak mrówek. Zarazbym ci to pokazał, ale szelmy rybki tak już mój ogon poznały, że z daleka od niego uciekają. Twój ogon tęższy, braciszku, tyś też siluiéjzy odemnie, to więcéj poradzisz wyciągnąć. A więc daléj, wpuść ogon w przerębel; ja ci zaś powiem, rychło będzie czas wydobyć“.

Poczciwe wilczysko uwierzyło; siada sobie na lodzie, i wpuszcza ogon we wodę.

A był wtedy mróz trzaskający, gwiazdy się na niebie jaskrawo iskrzyły, jezioro hukało straszliwie. Nie dziw, że wilka coś w ogon uziąba; więc ledwie usiadł pyta się: „„a co, są tam już?““

„Jeszcze nie“ odpowiada lisek, „ale będą zaraz“. — Wilk siedzi, siedzi, i coraz mu zimniéj, więc znowu się pyta: „„a co, są tam już?““

„Oj są braciszku, ale się nie rusz, bo umkną“. — Jeszcze chwilkę wilk siedzi spokojnie; lecz już téż dłużéj wytrzymać nie może; jak się więc odsadzi, jak szarpnie, aż mu w krzyżach trzasło, a ogona nie wyciągnął. Drugi raz tedy poszarpnął, aż mu oczy na wiérzch wylazły; nie wyciągnął przecież ogona, który porządnie przymarzł do lodu; wilk zaś myślał że to taka siła ryb u niego wisi, i woła lisa na pomoc. Lis tymczasem heł, heł, ku knieji, jak oparzony umykał. Dopiero wilczysko poznaje, że go oszukano, i wyje z rozpaczy straszliwie. Tém wyciem obudzeni wieśniacy, wypadli z widłami i zakłuli go na jeziorze.

Taki był koniec starego wilka [1]). Teraz wam powiem co się później z lisem stało.

Lis, jak wiécie, jest drapieżny; orzeł jest także drapieżny; obaj polują na słabsze zwierzęta i żywią się niémi; swój swego zwąchnie od razu. Więc też orzeł poznał się z lisem i zaprosił go na chrzciny swego syna. Było na tych chrzcinach wielu innych gości; był tam wilczek młody, był kot szary, był i pies.

Wszyscy się wybornie bawili; a podchmieliwszy sobie trochę, opowiadali, jak który poluje.

Orzeł tedy swoje polowanie najbardziéj przechwalał mówiąc do lisa: „Co mi tam, wy kumotrze, chodzicie jak żółw po ziemi; ze mnie, to mi to myśliwy; kiedy sobie podletę ku chmurom, widzę całą ziemię naraz, każdego ptaszka w gniazdku, każdego zajączka w kotlinie zobaczę i wybiorę co najtłuściejsze".

Spodobało się to lisowi; rzekł tedy: „prawda kumotrze, ja bym też tak chciał polować, ale nie każdy umié latać".

„Czemu nie każdy" zawołał orzeł zdziwiony, „a cóż w świecie łatwiejszego, jak latać. Ja was zaraz, kumotrze, nauczę".

Ręczę, żeby lis tego po trzeźwemu nie był uwierzył, ale się upił porządnie na chrzcinach i po pijanemu przystał na wezwanie orła, który go bierze w swe szpony, a podleciawszy wysoko, puszcza i mówi: „no teraz sami lećcie, ale na ukos, kumotrze, na ukos, bo byście kark skręcili".

Lis pewno tego nie rozumiał, bo leciał na dół jak kula, a spadł jak kamień na ziemię; raz tylko drgnął, przewrócił się brzuchem do góry, i wyszczérzył zęby.

Widząc to orzeł tam z góry, zapytał się: „cóż wam to tak śmieszno, kumotrze?"

Kto chce wiedzieć, co na to lisek odpowiedział, niech czeka do jutra rana.

---

[1]) Znaną jest ta bajka niemal wszędzie u nas. W Sandomierskiém, widząc wówczas wilka bez ogona, odzywają się inne zwierzęta (wiersza tego użył także Krasicki czy Trembecki:)

A jaki-ż on to nie lusy:
a pfe kurta! a pfe kusy!

## 88.

## Wilk i skowronek.

Gadka o okolic Rawicza.

*(Przyjaciel ludu,* Leszno 1838, rok 5. N. 23).

„Precz, precz z twojemi pisklęty, jeśli nie chcesz by poginęły“ wołał ryjący środkiem zagonu krét na skowronka, który może tylko o krok jeszcze przed nim karmił piszczące swe w gniazdku potomstwo.

„O Boże! przyjacielu... czyż koniecznie środkiem tego zagonu twoja droga iść musi? czyż niepodobna ci wyboczyć troszeczkę? wszak-żeż tak łatwo byś to mógł uczynić, a mnie tak srogiéj nie wyrządzać krzywdy. Przyjacielu, miéj litość nad temi pisklęty!“ Tak błagał okrutnego kreta drżący ze strachu skowronek.

„Ja nigdy z mego gościńca nie zbaczam: prosto pod twoim gniazdem ryję; więc mnie daremnie drażnisz twym piskiem: tak być musi i koniec! Żebyś jednak poznał moją sprawiedliwość, daję ci trzy dni czasu do przeniesienia na inne miejsce twoich małych; ale pamiętaj! jeśli twego gniazda na wyznaczony czas nie uprzątniesz, choćbyś się i o pół minuty opóźnił; wszystko spustoszone zastaniesz: znasz moją regularność“.

I odwróciwszy się natychmiast, cofnął się rozrytym już gościńcem, zwolna ziemię nad sobą unosząc. Strwożony zaś skowronek, uleciał prawie w obłąkaniu pod niebiosa, śpiéwając piskliwie, potém znów wracał na gniazdko i znów odlatywał; aż w rozpaczy, tłukąc się po polach, po łąkach, przez dzień niemal cały, gdy słońce zachodzić miało, wpadł do zielonego gaju, piszcząc przeraźliwie.

„A, a,... ciebie co tu niesie do lasu? zapytał stroskanego przybysza wilk, co na dwóch tylnych łapach oparty siedząc, przyćmionemi nieco blaskiem zachodzącego słońca oczy, spozierał na pola, czy tam przypadkiem nie ujrzy gdzie młodego zajączka lub zbłąkanéj owieczki. Czy się chcesz nauczyć po drzewach skakać, jak reszta twego skrzydlatego rodu? O, siedziałbyś w twoich błoniach, w których nie trudno o ziarnko dla zgłodniałego brzuszka; a tu w lesie, to nieraz długo trzeba zębami szczękać, nim się co

nawinie do zaspokojenia szarpiącego wnętrzności głodu! Ja o tém najlepiéj sądzić mogę, bo już od trzech przeszło dni powietrze tylko łykam. A niechby je piorun zatrzasł takie życie! codzień to gorzéj. Jeśli więc tutaj lepszego żeru szukać przyleciałeś, toś się źle wybrał".

"Gdzie mnie tam myśleć o jedzeniu, sędziwy przyjacielu! Mam z łaski Boga tyle do strawy, że nietylko siebie, ale i dwudziestu takich, jak ty mógłbym używić przyjaciół; ale inna, stokroć dotkliwsza tłoczy mnie boleść, a téj mi pewnie już nikt nie odejmie". To rzekłszy, począł znów rzewnie kwilić. Wilk zaś mało zważając na to myślał tylko z roskoszą o owych licznych zasobach żeru, i jakby ich dopaść. Począł więc cieszyć swego pod grządką przypadłego drobnego towarzysza.

— „Ej! cóż tam, kiedy ci tylko głód nie dokucza, to reszta draszki. Zwierz mi się szczerze, a wszystkiemu zaradziemy; boć przecież, choćby się téż i z niedźwiedziem potykać przyszło, do stu gromów! jeszcze dosyć siły czuję w sobie. No, no, już skończ, skończ te piski, a opowiadaj, bom bardzo ciekawy".

Po długiém kwileniu, które nareszcie choć dosyć powolnego znudziło wilka, opowiedział skowronek całe swoje nieszczęście.

„I nic więcej? — jam myślał, że ciebie już tam jutro gdzie piec będą na rożnie, a tu tylko o poskromienie upartego kreta chodzi, ha, ha, ha! — No, ja cię wybawię z tego nieszczęścia, ale sobie trzy rzeczy wymawiam, naturalnie, że dopiéro po pracy nagroda; pierwsza, żebym się najadł porządnie; druga, bym się takoż napił; a ostatnia, bym się téż i zabawił uczciwie.

„Ach! przyjacielu! wszystko nawet nad miarę ci przyrzekam".

— „Dobrze, teraz mi pokaż, gdzie to twoje gniazdo, a potém latay spokojnie, dopóki czas przez twego, jak go tam zowiesz, zabójcę naznaczony nie minie; poczém natychmiast mi wracaj do twoich małych, bo obronić, to ja je potrafię, ale co nakarmić zgłoduiałe, tego się już niepodejmę. W pośrodku porosłego majową trawką zagona, zręcznie uwite, cokolwiek w ziemię wtłoczone gniazdko, zamykało pięcioro pierzących się dopiero ptaszyn. Tłoczone dwudziennym niemal głodem, niebogi z piskiem wyciągały główki, wyglądając tak długo niewidzianéj matki. Obok nich przyczajony do ziemi leżał w milczeniu stary wilk. Iskrzące się oczy jego nie trwożyły niewinnych bynajmniéj. W tém się ziemia pod ptaszynami zwolna unosić poczyna, coraz więcéj i więcéj, czują

nareszcie, że się już ich gniazdo wywraca; piszczą więc przeraźliwie, gdy nagle posłyszały silne pod sobą uderzenie, którém wstrząśniony ich domek, w dawne upadł miejsce. Zamilkły z trwogi; ale w téjże saméj chwili, siadła przy nich z pokarmem tak długo oczekiwana matka.

„No, już ci on teraz więcéj szkodzić nie będzie; oto go masz tego nieprzyjaciela twego“ ozwał się stojący obok wilk do skowronka, wskazując mu zabitego kreta, którego łapą w brózdę wygarnął. Ale teraz dotrzymaj przyrzeczenia, już mi się téż porządnie jeść chce“.

Nie posiadający się prawie z radości skowronek, nie mógł się dosyć nadziękować swemu wybawcy: „na! pójdź, pójdź, rzecze, cokolwiek teraz zapragniesz, otrzymasz odemnie“.

„Nad to, co dawniéj, nic więcéj nie żądam“ odrzekł wilk i postępował dość sporym krokiem za lecącym o cztéry może łokcie nad ziemią skowronkiem.

Przybyli pod wioskę, w któréj się odbywało wesele. „Teraz przyjacielu“, rzekł skowronek, „trzeba nam ostrożność zachować, żeby nas nie spostrzeżono. Tam, w tym wielkim domu obiadują weselnicy; ty się zaczaj pod okno, a uważaj, jak izba będzie próżna — tylko, na Boga, nie daj się widzieć“.

W godowéj izbie, stał stół różnemi mięsiwami zastawiony; w około niego mnóstwo gospodarzy, gospodyń, komoszek, parobczaków i dziewek zajadało smacznie; kiedy roztworzonemi drzwiami wlatuje skowronek. „A dy go, a dy go, schwytać tego ptaszka!— Porwali się wszyscy, gonią, uprzedzają; a wilk co chwila zajrzy oknem, a ślinka z ust mu ciecze. Nie daj, nie daj, bo uciecze“. Ptak wyleciał do sieni. Daléj wszyscy za nim. I wilk téż już dłużéj nie czekając, buch oknem do chałupy, i nuż zajadać czerninę, pieczeń wołową, schab i placki; w oka mgnieniu był syty; więc powywracawszy wszystko, znów swoim wchodem wyskoczył, i w nogi mój drogi! Spostrzegłszy to baczny skowronek, wyleciał takoż dymnicą na dwór. „A dy, a dy, bo uciecze, bo uciecze. Masz tedy! nie mówiłem? nie było to zatkać téj dziury?“

Tak wołali godownicy, kiedy nasi podróżni już dawno byli w zapłotkach.

„Oj najadłem się porządnie, ale mi się téż teraz pić, pić chce okrutnie“.

„I to będzie, tylko cierpliwość i ostrożność zalecam. Skryj się znów pod ten płot, a uważaj na drogę!

Przejeżdża z piwem do weselników parobek. Na smyku spoczywała potężna beczka piwem napełniona, na niéj siedział krzepkiego wieku młodzieniec, który trzymając w lewicy topór, w prawéj lejckę i bicz, leniwo ciągnącego poganiał wołu; a wygwizdywał i śpiéwał ochoczo. Aż tu z nagła usiądzie ptak na biczysko. Maciek sięgnie ręką, skowronek uleciał, siada na beczkę. Parobczak nie wiele myślący, jak się odsadzi, utnie toporem; — ptaszek uprzedził cięcie, obręcz pękła, i wszystko piwo się na drogę wylało. Nie zważa na to zapalony za ptakiem Macioś, goni go, skowronek usiadł na grzbiet wołowi, chce go schwycić, ptak znów na rogu zwierzęcia. Kiedy się tak za nim upędza, już wilk z zapłocia wyskoczywszy, dobrze się piwa nachłeptał, i dopiéro gdy się już zabrał do ucieczki, postrzegł go Macioś. Wilk, wilk! począł więc wołać; — chwytać go. Ale nim ludzie nadbiegli z gościńca, już ani widnąć wilka ani skowronka.

„Najadłem i napiłem się do sytu“ mówił ziający pod szeroką w polu gruszką wilk do siedzącego obok na kamyczku skowronka, ale bym się téż teraz chciał ucieszyć“.

„Będzie i zabawa, przyjacielu, ale nam trzeba czekać do jutra“.

Strudzone wilczysko usnęło smacznie, bo téż już było późno w wieczór. Skoro się na niebie pierwszy brzask ukazał, obudził go towarzysz i znów udali się w podróż. Wkrótce przybyli pod małą stodółkę, w któréj stary Tomasz z synem swym Jackiem wymłacali resztę pszenicy.

„Teraz przyjacielu“ rzekł skowronek, „zaczaj się pod tę wrótnią, i patrz szparą do stodoły, a będziesz miał uciechy zadość“.

Wilk się téż zaraz rozparł, aż deski trzasły, nos wścibił w szparę i patrzy, kiedy skowronek roztwartemi z drugiéj strony wroty wpada do stodoły, i wypoczywającym młockarzom usiadł na cepę.

„Wolno, wolno Tatusiu, schwytamy go!“ rzekł Jacek, i czai się, czai, cap! — ale się zpóźnił, bo już ptak siedział na belce. Daléjże teraz obaj do niego, podeszli krok, łupną obaj cepami, ale obaj chybili. Starego Tomasza znudziła wreszcie ta gonitwa, oparłszy się więc na cepę, patrzał z uśmiechem na uganiającego się za ptakiem syna. Ten zaś niezmordowany biegał z wyniesioną do góry

cepą od końca do końca, aż ptak usiadł ojcu na czapkę. „Czekajcie, czekajcie, a nieruszajcie się tatusiu, bo teraz już mój“. Jak się odsadzi, jak machnie, — skowronek wrotami wyleciał, a ojciec upadł nieżywy. Wtedy dopiero wilk za wrotami jak się weźmie śmiać, ha, ha, ha! — Utulić się nie mogąc, rzucił się o ziemię, łapy zadarł do góry, a śmiał się, a śmiał się. Byłby jeszcze dłużéj się cieszył, ale w tém piszczał skowronek: uciekajmy, bracie, bo śmierć nad nami! Ledwo téż umknęli kilka staj za wieś, kiedy wypadła gromada chłopów z cepami, widłami, drągami, wołając: wilk, wilk! A wilk ścierał do lasu, aż ziemia pod nim stękała; — a nad nim skowronek.

Lecz, gdy już byli w bezpieczeństwie, odetchnąwszy sobie nieco, rzekł wilk do drobnego towarzysza: „teraz już mam wszystkiego dosyć, braciszku, dziękuję ci serdecznie. Leć teraz sobie do twoich małych, a ja téż w moją stronę się udam“. Pożegnali się czule: poczém skowronek wesoło nucąc furknął w powietrze na polu, a wilk wolno krocząc znikł wkrótce w gąszczach leszczyny.

*A. B.*

## 89.

## Pies i wilk [1]).

Raz był jeden owczarz chtory psa swego wygnał prek od siebie na zimowanie (a na lato mu znowu kázał przyjść). Pies wyszed na wieś, natrafił wilka. Wilk go się pyta: coś ty za rzemieśnik? — Pies powiadá: jestem szewc. Ten wilk powiada: móg byś mi zrobić dwie pary butów. A pies powiada: skóry nimom. — Wilk: ja ci przyniesę skórę, ale mi musisz dobre buty zrobić; ale gdzie ty zamieszkujesz? — Pies: pomiędzy temi górami pod borem.

Ten wilk przyniós mu jałowicę, i pies wygrzebał sobie w tych górach trzy dołki: w jednym siedział, w drugim sobie jałowicę zagrzebał a w trzecim się chodził czyścić. Wilk go się pyta: kiedy on ma przyjść po te buty. Pies: we śtyry tygodnie. Jak przyszed bez (po) te śtyry tygodnie, tak mu pies iść każe w ten dołek

---

[1]) *Lud*, Ser. VIII str. 234.

z girami (nogami) gdzie się czyścił, że tam bedzie buty miał. Powiedá pies: ale nie chodź bez wodę ani bez rosę, bo buty zgubisz. A tu wilka rychtyk napatolili (spotkali) strzelce, i musiał przez wodę uciekać. Wilk wejżdrzy na góry, butów niéma. Wraca się do tego psa i powiada: szewcze, jakie'ś mi kiepskie buty uszył. A pies mu powiada, że nimiał szczeci; przynieś mi szczeć a buty ci dobre uszyję.

Poszed wilk, i porwał świnię tuczną mynarzewi i przyniós mu. Tak, miał teraz pies co zryć do lata, bo mu wilk przysposobił na całą zimę. Przyszed wilk bez sztyry tygodnie do psa i pyta sie: szewcze, uszyłeś mi dobre buty? — Pies: wliź w ten dołek, a tam będziesz miał buty. Wilk jak wlaz z girami do dołu, tak, że miáł cholewy dłużykie jakie sobie życzył i ledwie wyliźć móg. Wilk wyszed z tego dołu, a pies mówi: nie chodź bez wodę ani bez rosę, bo byś glanc zgubił, wiksa by spadła, i miałbyś buty blade. Natrafili go strzelce, tak, że musiał bez wodę uciekać, i buty pogubił.

Wraca się do tego psa szewca i wydaje mu terá już wojnę przy tym boru. Powiada pies do wilka: pomocników sobie weznę. Wilk: Weź ale nie więcy jak šterech was, i nás będzie šterech: ty, Kot i kokot y pies czarny co upada na girę, bo był kulawy. A wilk sobie wzion lisa, zająca i niedźwiedzia. Ten niedźwiedź powiada do wilka: o braciszku, jak ci ten kamienie zbiera (pies); a kokot znów miał pióra świecące, więc to były pałasze. Przyśli; niedźwiedź na drzewo, a lis leży w kupce liścia (pokrył się) bo go ugryzła mucha w ogon; ogonem ruszył a kot na ogon skoczył, lis się zerwał i zaczoł uciekać, zając za lisem, niedźwiedź spad z drzewa i zabił się. I pies wygrał wojnę.

## 90.

## Wilk, lis, zając, kot i kogut [1]).

Chłopak zbogaciwszy się w mieście z doktorstwa, wraca na wieś przez las. Tak, idzie ku domowi, nazad. I natrafił, że wilk

---

[1]) *Lud*, Ser. VIII str. 233, 237.

sie bił z lisem; wydali sobie wojne. Ten lis powiada do tego chłopca: ty bądź mi pomocą! — Dobrze, powiadá chłopak, i obronił lisa, i wzion go z sobą; zará z nim szed ten lis. I powiadä ten lis: wiész co, jo sobie zbierę wojsko na wilka. Leciał zając, a ten lis powiadá do zająca: ty, czekaj, bédziesz mi pomocą. Idą dalij, leci kot; — woła na niego: ty, czekaj jéno, bédziesz mi pomocą. Idą dalij snowu, natrafili kaczkę; powiadá lis: ty czekaj ino; będziesz mi pomocą. Tak idą znowu dalij, natrafili kokota; — lis woła: ty czekaj jéno, bédziesz mi pomocą.

Jak sie zebrali wszyscy, tak powiadá ten lis: jau (ja) wlize w kominek, w popiół. Do zająca mówi: ty sie zagrzeb w liście. Do kaczki powiadá: ty wliź na wodę. — A temu kokotowi kauzał wliść na góre. Tak ten chłopak wzion widły, tego wilka żgał. Wilk od strachu uciék w kominek, a lis tym opopielonym ogonem jak go rznie miedzy ślipie, tak ten wilk w nogi z tego kóminka; leći na te kupe liściá, a tu zając jag wyskoczy, zdrapał wilka po ślipiach. Leci dalij wilk a tu kot idzie, a lis powiadá do wilka: widzisz go tam jak to idzie z bagnetem (bo ogon podniós kot do góry), ón ci dopiro dá, dá! — a tu kaczka z wody woła: tak, tak, tak! — Tak, wilk niewiedział gdzie sie miáł podziać, powiadá: to mi tu jeden ślipie wydrapáł, tyś mi znou ślipie zasypal popiołem że nie widze, ten znou mnie chce żgać bagnetem, a tu jeszczé coś wołá: tak, tak, tak, bédą mnie żgali. A kokot znou z góry sie odzywá: podej go sa! podej go sa! (podaj go tutaj!). Lis powiadá: widzisz, jak jeszczé wołá na ciebie, żeby cie podać; coby ci to ten ta dopiro zrobiuł! — I zgodzili sie, wilk dobrze zapłacił i poszed w swoją, a lis też w swoją.

## 91.

## Bocian i kaczka.

Morownica.

Wędrował bocian bez wieś i natrafiuł kaczke. W tém powiadá do ty káczki: wędruj ty ze mną. Káczka odpowiadá jemu: jak ja wędrować mom, kiedy nadchodzą święta, musze mojej gospodyni jajec nanieść, coby miáła na święta co zryć, to i mnie da dobrze zryć. A ten bocián powiadá: bodajeś! bedziesz tam jaja niesła, lepij ty wendruj ze mną.

Ta káczka wędruje, i przyśli do gościéńca z tym bocionem. W tym gościńcu każą (każą) sobie dać piwa, chleba i séra, — i sobie jedzą. Jak że to zjedli, tak gościnny żądá od nich zapłaty, a ón nima ani óna z czém zapłacić. Wsadziuł ich do kuchni, — i sobie siedzą w kuchni. Na drugi dzień idzie gościnny do kuchni, i pyta sie czy óni zapłacą? A bocion mówi do gościnnego: lepij mnie puśćcie, nie mnie tu w kuchni trzymejcie. Gościnny powiada: jak zapłacisz, to cie puszcze. Widzi gościnny, że káczka siedzi na jajou, że ma óne pod sobą; to jaje wzion a kaczke puścił.

A bocion sie pyta: czemu ón káczke puścił a ónego (bociana) nie puszcza? Gościnny powiadá: bo káczka zniesła mi jaje, ja to jaje pod inkszą káczke podłoże, z tego jaja wyrośnie kacze (kaczę) i bede miał zapłácone za ten koczt (koszt) co mi káczka zrobiła. A bocián w kuchni ostál i gościnny. Gościnny przychodzi patrzéć co bocion robi, i pytá go sie: co ón ta taką dziure tetrze?— Ten bocion powiadá: ja bede miał czém zapłacić, bo tam jes trzos. Gościnny myślál że: trzos z pieniędzmi, — i chce tam zaglądać. A tu bocion złapál gościnnego swojem dziobem za nos i trzymie.

Jest to taka historyjka, że jak się ktoś potem pyta: co dalej było? — to go opowiadający zaraz chwyta za nos. I mnie samego to spotkało z mojim nosem.

# Dykteryjki i Fraszki.

## 92.

### O gorzałce.

Morownica

Brodowicz Michał, co od wódki zdychał, — żyć poczyna, — wodkę przeklina. — Idź mi precz miła gorzałko, — dawna moja kochanko, — a niech cie już więcy nie widzę, — bo jak pies mydłem tak się tobą brzydzę.

Czemuż tak Michałku wszystko na mnie łajesz — czemuż daléj ze mną nie stajesz?

Ej już ja wolę z tobą nie stawać, i w żadną kompaniją się nie wdawać — A wiém, że się bez ciebie obędę, — i wszelkiéj bidy na zawsze pozbędę.

A już mój Michálku, się bezemnie nie obędziesz, bo mász żołądek za słaby, — jak mnie nie będziesz piuł, będziesz podobny do staréj baby.

Ej tyś dawno zdrájcom moją była, — choć ostatni grosz z kiesienia, toś mi wyłudziła. A gdy grosza w kieszeniu nie bélo, — to choć ksiózkę, to się zastawiło.

Przedzieś (przecie) ty mój Michálku tak wiele na gorzálke nie stracił, kiedyś sie z Krystynką kochanką swoją zobaczył. Przecié óna ci na kredyk wódki dáwałá, a piniédzy od ciebie nie żądałá.

Na cóż mi się teraz zdá, ty przeklęty szatanie, — komu się teaz moja dusza za to dostanie? Takową krzywdę trzeba zapłacić, — jałmużnę dawać a duszy nie stracić.

Chybił do celu do chtórego mierzył, — że téj przeklętéj drzyzdulisze wierzył. Jak to nie jeden w rowie duszą kichnie, — a dróga do nieba bardzo mu się zwichnie.

To już mnie Michale — opuszczasz wcale?

Już nie chcę słyszéć wcale o gorzałce,— bo bywało dawniéj suto w mojéj pałce (głowie).

A gdy mróz a-u-t-o-r (nawałny) do serca dojmował, a chtóż ból w podróży retunkiem, żeby cie ratował! Jam była w karczmie retunkiem dla ciebie, jageś wypiuł dwa i trzecim poprawiuł, myślałeś żeś w niebie. Jak to ci starzy ludzie dobrze zrobili, że kaczmy przy kościele postawili. Jak to sie nie jeden posili zemglóny, niż zazwónią na ludzi we zwony. Jak to sobie jeden drugiemu dobrze radzi, kiedy go do gościńca na wódkę prowadzi.

A widziałém też jak sobie dobrze radzili,— że z dobrej przyjaźni aż się za łby włóczyli.

A bo ja to jest winna, że się za łby włoczyli, bo jeszcze zapewne za mało gorzołki wypili. Gdyby byli więcy wypili, byliby się spokojnie położyli. Pożałujesz ty moji urody, —żołtéj, czerwonéj lub czystéj jak wody.

O teroz sie trzeba wziąść do kupy, a sprawić rzeczy do chałupy. Bo tam nie było tylko sztéry ściany, a ja tam w środku leżał pijany.

## 93.

## Parobek smakosz.

Morownica.

Ráz jeden gospodárz u-r-z-ą-d-z-i-ł (zgodził) sobie parobka. A ón go tak urządzieł, że mieli razem jeś(ć), razem robić, razem (jednocześnie) spać. Jak gospodyni wołała na obiad, tak ten gospodárz zaráz ć-p-a (rzuca) robote i idzie z tym parobkiem jeść. A jak po obiedzie, tak zaráz wołał parobek na gospodárza: daléj idźmy do roboty! — Na drugi dzień, mój gospodarz znowu tak samo, razem z parobkiem do roboty. Gospodyni wołá na śniadanie; parobek powiadá: daléj gosdodárzu na śniadanie, i szed z nim Jak po śniadaniu, tak parobek znowu wołá: do roboty. I tak sie ciągło áż do niedzieli; gospodárz musiał razem z parobkiem chodzić do roboty. Tak ten gospodárz nie móg w-y-k-ó-r-a-ć (wskórać nic) z tym parobkiem.

Przyszło w niedzielę. Tak powiadá ten gospodárz do parobka: ty byś móg dzisiáj iś(ć) do kościoła, bo ja taki kiepski, béde doma.

Ten parobek sie zabrał, jak niby do kościoła, — i poszed na góre (strych). Była w posobie (posowie) dziura od sęka, tak co sęk z deski wyleciáł. Tak, układ sie parobek przy ty dziurze, i leżał i słuchał. Ten gospodárz powiadá do gospodyni: jak będziesz piéc, upiecz mi kukiełkę; włóż ją za piec, to ja tam pójdię, to já jo zjém. Upiec(z) mi placek, włóż mi pod pierzyne, jak pójdię spać, to go zjém. Zrób mi kiszke i włóż ją do szafy, jak já tam pójde, béde sie tak kręcił kole szafy, to ją zjém. Upiec mi gęś, włóż jo pod kóminek, já tam przy kominku béde co robił, to ją zjem.

A ten parobek wszéstko słyszał na ty górze. Jak ten parobek widziáł że ludzie idą z kościoła, tak on téż śláz (zlazł) z téj góry, idzie też do domu. Powiadá: oh, gospodárzu, co já też to widziáł na drodze! oto takiego robáka jak ta kiszka w szafie; jag'em też wzión kaminia takiego jak ta kukiełka za piecem, jag'em sie też na niego zamierzył, to tak sykáł jak ta gęś pod kominkiem; jag'em go śwignoł, to tak sie rozplaszczył jak ten placek pod pierzyną."

Gospodárz powiadá potem do nij: „wiész co, matká, my zapłáćmy temu parobkowi co zasłużył, y niech sobie rauz idzie zkąd przyszed, bo to musi być z nieba parobek, bo ón wszystko wié cośmy gadali. Tak zapłacili, i sobie poszed parobek. Odprawił go, gdy nimóg poradzić roboty ź nim [1]).

## 94.

## Organista.

Od Czempina (Brodnica).

Ráz w jednej wsi miał być odpust, a ksiądz był bardzo biédny i chłopotáł sie, częm poczestuje gości, gdyż niémiáł ani káwałka miesa, i ani grosza piéniedzy. Usiad sobie przed domem i myślał, szukając sposobu na przyszły dzień.

Aż tu idzie organista i widzi tak smutnego księdza. Pyta o przyczynę smutku, a ksiądz mu powiadá w jakim jest chłopocie. Ej, co tam! ma jegomość grubarza (vel: kopacza), rzecze organista,

[1]) *Lud* Ser. III str. 165. — Ser. VIII str. 226 (Mrówcze jaja).

a pán tucznego wołu, wiem dobrze gdzie on stoji, pójdziema i wyprowadzema go; zabijema i podzielima sie z miesęm. — Ach, co ty gadasz, moje dziecko, przecie wiész ze nie trzeba kraść. — Ej co tam, przecie ten pán jest bogaty, choć tego jednego wołu nie beńdzie miáł, to i tak panem beńdzie, a my się trochę poretujemy.

Tak namówił organista grubarza, i pośli po wołu i wyprowadzili, zabili i podzielili sie miesem. Ale z flakami nie mogli; wiec sobie tak wydali, że jeden złapie flak na jednym końcu, a drugi na drugim, i co sie komu urwie, to bendzie miáł. I tak też zrobili; flaki zerwali, i po ukończeniu tej roboty z tem wołem, poszli spać Grubarz rwał dla księdza, a organista dla siebie.

Nazajutrz gdy wstali, było wszystko dobrze. Gdy sie ksieża pozjéżdżali, i miáł bydź objad, poszli tęż zaprosić tego pana na jego wołu. Ale ten pán niewiele co jad, bo się bardzo martwił o tego wołu, którego téj nocy pozbył. Wtem przychodzi do niego organista i pytá sie: czemu taki smutny? — A ón mu powiadá: że miáł takiego tucznego wołu i ktoś mu tej nocy wykrát, ani śladu nie zostawił. A ón mu na to powiadá: co mi pán dá, to já panu powiem, kto tego wołu panu ukrad. — A pán sobie myślał że choć mu da dwadzieścia talarów, to jeszcze mu zostanie 30; bo sobie rachował 50 talarów za tego wołu. I tak powiadá: dám ci 20 talarów, a powiedz mi kto go ukrad. A ón mu powiadá: a nu, my go ukradli z kopaczem, oto to mieso z tego wołu pán jad; jak my go zabieli, to my się podzielili z miesem na pół, a z flakami co się komu urwało, tyle miáł.

A, nu, tak pán był kontent że się wół— wynálaz, i zaráz grubarza zaskarżył. Ják się ksiądz dowiedział o tem, bardzo sie zmartwił, bo grubarz wygada, że krad dla niego z organistą.

Poszed znowu do niego organista i powiadá: czemu taki jegomość smutny? — Ale ksiądz powiadá z gniewem: nie mąm bydź smutny; namówił żeś nas sám do tego, a teráz żeś nas wydał. — O, proszę jegomości, nic z tego nie bęndzie złego; ale kiedy pán skarżył, to i mnie już wszystko jedno; — co mi jegomość dá, to ja tak zrobie, że jegomość wygraje. — Já ci dám 20 talarów, ale żebym tylko wygrał, odpowiadá uradowany ksiądz.

Anu, tak, jak zawołali do sądu grubarza, tak też i organistę a ksiądz słucha za drzwiami. Grubaz zapiera, ale organista powiada wszystko prawdę, że noc nadeszła, że ukradli wołu, że się z miesęm podzielili, a z flakami nie mogli; że jeden złapał na

jednym końcu a drugi na drugim i dość się komu miało urwać tyle miáł mieć, i jak ten flak się zerwał a ja w tył letę, to jak żem sie puknył gowąm o łożkó, to ażem ocucił. — A sędzia powiadá: A nu, więc to tobie sie tak tylko śniło. — A tak, tak, prosze pana prześwietnego sedziego, a pán pewnie zapomniał i swego wołu zjád. I dopiero wszyscy w śmięch.

Ksiądz uradowany że wygrał, a pán sie smucił, bo zamiast co miáła mu sie wrócić szkoda, to jeszcze większą miáł, bo musiáł te wszystkie koszta popłacić.

## 95.

## O księżym parobku [1]).

Morownica.

Jeden gospodorz urządziuł sobie chłopca. Ale ten chłopiec powiadá: gospodorzu, bo jo mam bardzo krótką pamieć, tó wy musicie wybaczyć. Gospodarz powiadá: o no, to małá rzecz o to, kiedy nie więcy.

A tam do ty gospodyni przychodził księży parobek. A ten gospodorz nie wiedział, ale chłopiec wiedział. Tak jachali w pole orać, ten gospodárz z chłopcem, wyjachali kawał za wieś. Tak ten chłopiec powiadá: gospodarzu, bo mi gospodyni kázała przynieść snopek słomy w łóżko. A ten gospodárz: no biegoj, biegoj chłopcze, kiedy ci kázała. Tak ten chłopiec poszed do stodoły, wzión snopek słomy, i pakuje w łóżko pod pierzynę ten snopek słómy. A ten księży parobek leżał w tém łóżku gospodarskiem. A ten chłopiec powiadá do niego: cóż ty tu robisz? — Ten parobek uciék. A ta gospodyni nigdy temu chłopcu nie kázała; ón sobie sam tak zmyślił. Tak na drugi dzień jachali znowu w pole. Ujachali kawał za wieś. A chłopiec powiadá: gospodyni mi kázała kamiń przynieść i pod łóżko włożyć. Ten chołpiec poszed po ten kamiń, wzion go jakby głowę, jak rzucił pod łóżko, byłby tego parobka zabiuł, bo ten parobek się skrył przed nim pod łóżko. I uciék (parobek).

Na trzeci dzień jachali znou orać. A ten chłopiec powiadá do gospodourzá: gospodorzu, bom zapomnioł, gospodyni mi kázała przynieść dwie ćwierci wody do izdby w beczkę. A w téj beczce było piérze. A ten parobek, jak widziaał tego chłopca iść z wodą do izdby, skrół (skrył) sie w te beczke w te piérze. A ten

chłopiec przyszed z wodą, i gichnół temu parobkowi obie ćwierci na łeb. Tak ten parobek nimiał śmiałości więcy tam chodzić, bo go ten chłopiec zawdy zdradziuł.

Tak jednego rázu orał ten gospodorz z tym chłopcem, a mieli czerwone woły. A óni oboje, z chłopcem, mieli biáłe kamzele. A ten ksiéży parobek téż tam niedaleko nich orał. A miáł bestre (pstre, białawe) woły. Tak ta gospodyni chciáła temu parobkowi pszenicznych klusek nagotować i chciáła mu tam je zanieś(ć). A óna niewiedziała, że tamój jeji moż téż orze. Ten chłopiec powiadá do gospodárza: pozewłóczma nasze kamzele i nakryjma te woły, bo bardzo gorąco jes. Ta gospodyni tych klusek przenicznych nágotowała, i dużo okrasy w nie włożyła. I niesła te kluski i myślała że óna do ksiżego parobka niesie, a óna przyniosła do swego méża, bo nimogła wołów zeznać, bo ksiże woły były béstre, i te co były kamzelami naokrywane téż bestre. Tak przyszła do nich, do tego swego méża: neńcie (na macie) jedźcie, bo téż sie narobicie a nidz dobrego nie użyjecie, więdz'em téż wom troche zrobiła dobrego jadła. Tak ten gospodárz z tym chłopcem sie oboje najedli i jeszczé nie zjedli, a ta gospodyni już powiadá do chłopca: weź też te troche klusek, zanieś temu parobkowi ksieżemu, bo ón téż nidz doubrego nie użyje.

Tak ón téż wzion, ten chłopiec, te kluski, i szed wodnicą (jak to wyorzą na siéwach co woda odlatuje, przegóna) i brál te kluski z tego görka i wyćpowál w te wodnice, tak szed, a tak wyrzucał po jednemu. Tak przyszed do tego parobka, a w görku już nimioł nidz. Ten chłopiec powiadá do tego parobka: czékaj, ino tu mój gospodárz przydzie, to cik-tu kamniem łeb (r)ozwali. Tak ten chłopiec powróciuł sie nazád do tego gospodourza i powiadá: Gospodourzu, mácie tam iść do tego parobka, ón sie bardzo prosi, narządzić mu pług, bo onemu sie zepsuł.

Tak ten gospodorz idzie tom samom wodnicą i zobaczył te kluski leżeć, i tak idzie a zbiéra te kluski. A ten parobek myślál, że tu gospodarz idzie i kaminie tak zbiéra na niégo. Tak ten parobek uciék. A chłopiec powiadá (gospodyni już sie zabiérała iść do dom) do nij: czekajcie ino, gospodyni ino sie tu gospodorz powróci, to ón tu nakładzie, coście wy to zrobili. Tak już ta gospodyni była sztuk (kawał drogi) uszła.

A ten chłopiec powiadá do gospodorza jak już przyszed: gospodorzu, gospodyni mówiła, żeli jom dogónicie, to jeszcze räz

takich klusek dobrych nagotuje. Ten gospodarz leci za nio, goni ją ze żartów, bo nie wiedzioł. A ta gospodyni, jak go zobaczyła ją gónić, jak wziéna uciekać. — Ten gospodórz przecie ją dogóniuł. A óna mu sie tak prosiuła: o moje dziecko, mój mężyku, już mnie nie bij, bo już więcy razy tego parobka nie béde przyjmować. A ten gospodarz: a ty szelmo, świnio, toś ty sie samá terá przyznała, — a nie bółbym wiedział, żeby nie chłopiec mój. I obił ją porządnie.

## 96.

## O klesze [1]).

Machcin.

Jeden klecha chodziuł do jedny gospodyni. A ten gospodorz niewiedzioł. Jednego razu gospodyni nakrajała słóniny, w rądelek i smażyła (d)la tego klechy. A ten gospodárz przychodzi na obiád, i widzi że klecha układ sie do góry gębą na ławce i spáł, a gospodyni poszła dojić krowy. Ten gospodarz poszed patrzyć co się ta(m) smaży w tym rondelku. A ten klecha spáł i tak gebe rozdziwiuł. Gospodárz wzion ten rondelek z tą okrasą, wloł temu klechowi w gębe, a ten też sie i udusiuł, jak mu taki wár w garło wlecioł. Ta gospodyni przyszła od dojenia, i patrzy na tego kleche i śmieje sie, bo myślała że to tak smacznie śpi i gębe rozdziwia. I klapnęła go tak bez gębe ręką, tego kleche, — i powiadá: jak mu sie też ładnie śpi! — A ón ij się swaliuł (zwalił) z ławki. Dopiéro ta gospodyni zacznie płakać okropnie, że kleche zabiła.

I powiadá do swego meża: co my też bédemy robić z tym klechą? — A gospodorz: ja go wezne na plecy i zaniese go w pańską kapustę. I dáł mu takie stare sierpisko w ręke, ręke mu położył na główkę kapusty, i sierpem za te główkę założył i poszed. — A tu wudorz (włodarz) idzie pilnować kapusty, widzi że chtóś siedzi w kapuście. Jak go rznoł kijem w łeb, klecha się przewrócił. I myślał że go zabił. Tak leci ten wudorz do pana i powiadá: wielémożny panie, klecha poszed kraść pańską kapustę. Pon

[1]) *Lud*, Ser. VIII str. 225.

na to: co ? klecha-by moją kapustę ? może ci się też przepatrzało że to klecha, może to chtó inny.— A przecież klecha był, bom go zabił i leży tam.— Ten pon (d)la ciekawości idzie z tym wudorzem do ty kapusty. Pon: coś ty nágorszego zrobiuł, żeś ty kleche zabiuł, niech by sobie już pare (główek) urznoł.

Posłał chłopów po tego nieboge, przynieśli go do dom na podwórze. I mieli takie stare szkapsko ślepe. Powiadá pon: wsádźcie go na te ślepą szkape i puśćtie go za furami, jutro jarmak w mieście, to ta szkapa za furami poleci. Jak go wsádzili, troche mu nogi przywiózali pod kónia, wyprowadzili na dróge, i puścili za furami na ten jarmák. Ślepa szkapa jak przyszła na rynek z tym klechem, to sie nie pytá, gdzie idzie to idzie, i trafiła na gárczárzy. Jak wlazła piérszemu garczárzowi w gárki, jak zacznie deptać, tak ten gárczasz kłaniá sie i prosi co tylko: proszę jegomości, żeby mi takij szkody nie robiuł. Jak przyszła, i drugiemu garczárzewi zacznie deptać — garczorz jak wziou kija, jak rznie kleche bez łeb, swalił się z kónia. Garczárza wzieni do więźnia za to że kleche zabiuł. Kleche pochowali w mieście i zakończyło się całe życie klesze. A garczárz sie wysiedzioł w wieźniu, ale go puścili potem, że we własny obronie kijem máchać musiáł.

## 97.

## Oszukana.

Morownica.

Jedna gospodyni barzéj somsiada lubiła jak swego meża. I okropnie by rada béła żeby sie mogła z tym somsiádem ożenić, h-ale ón o tem ani myślał. Powiadá do tego somsioda: wiész co, żeby my mogli mojego meża zgładzić ze świata, to by my sie oba ożenili. Tak ten somsiad powiadá: já ci nastręczę jak mu zrobisz, to ón ci umrze; ty mu ugotuj codzień mendel jajec, to ón oślepnie. A ten somsiad znou powiedział onemu, temu gospodarzewi: wiész co, twoja żona ci na życiu stoji, ale ty nic nie mów, bo óna ci codzień ugotuje mendel jajec, że ty mász oślepnąć, — więc ty jédz, nie pytaj sie, niech óna ci gotuje, — a co dzień lameńć barzyj, że ci coś na oczy włazi.

Więc óna mu ugotowała r o u z (raz) mendel jajec; na drugi dzień znou mu ugotowała mendel jajec. Pojachał w pole orać, — przyjachał do domu i powiadá: ty nie wisz żóno, tak mi sie coś na oczy zrobiło, tak mi mgłą zachodzą. A óna powiadá: to wszystko od słońca, od skwaru, będzie ci lepij a já ci podchlibnę, poddám ci lepij zjeść.

Tak znou mu ugotowała tych jajec z wielką uciechą. A ón znowu przychodzi z pola do domu, powiadá: o żono, mnie coraz gorzy, już licho widzę! — A óna: to mi dziwno, co ci sie zrobiło w te oczy. Oj ugotowała mu jeszcze lepij, znóu mendel. A ón gdy poszed w pole, przychodzi na południe na objád. Tak brać łyżkę chce, m a k a (maca) po stole, nié może znaleźdź niby to. A żóna powiadá: ociéc, to bardzo źle bedzie z tobo, — a bédziesz ty jeszcze móg wyńść na dwór drzwiami? — A ón idzie do drzwi, niby to chce trafić, a nimoże. Zamiast drzwiami má wychodzić, to ón głowe tka w kóminek.

A mioł taki stáwek w sadku swojim, a był dósyć głęboki, co kónie pływały. A kole tego stáwku mioł pszenice zasianą. Tak ten gospodárz powiadá: moja żono, zaprowadź mnie jeszcze do przénicy, co jom téż jeszcze pomakám, jakie kłosy mo, bo ja już może niedługo bede żył. Tak bierze go żóna za ręke i prowadzi go. I tak oprowadziła go w koło téj pszenicy, zaś go prowádzi do stowku; było bardzo z górki w ten stowek. Óna powiadá: ale ociec, słuchajno jak to te rybki pluskają w téj wodzie. A óna odeszła kielka kroków od niego w tył, — a ón gospodárz ucha nadstawia na ryby, co słucha, a z oka zgląduje na żonę, co óna myśli zrobić z nim. A óna sie odsadziła od niego i chce go wepchnąć w to wode, żeby sie utopiuł. A jak óna się zapędziła, chce go pchnąć, tak ón sie zemknoł na bok, a óna buch! samá we wodę. Tak wołá z wody: ociec, retuj mnie, bo sie topię! A ón lata nad tą wodą a pytá się: gdzie-ś jes? jakby nie widział ji — że niby ślepy. I utopiła się baba.

## 98.

## Chłop do króla.

Raz był jeden chłop, chtóry miał przy pańskim podworzu gospodarstwo. Więc pan mu na jego polu strzylál świnie, gęsi,

kury co mu weszło za granice, na pańskie pole, to zaraz wystrzelał. Tak zaráz ten chłop poszed z tym panem w prawo (prawował się z nim). Chłop, choćby wygroć musiał, z prawa, to i tak by nie skórał, bo pan adwókatu i sędziemu płacił. Ten chłop kupiuł sobie parę librów papieru, i ten papiur poszczywał (poszywał) i pozlipiał do kupy, bo pisać nie umioł. I co jeszcze zrobił? Wzion swoją maźnicę ze smołą, pędzel, i zaczon granice pańskie i swoje malować tą smołą, t. j. tu jest rów pański, tu są pańskie wrota, tu jes kamiń, tu jes wiérzba sadzóna, wiec jest granica cała pańska; na téj stronie moja granica, okopana całá.

Jak sobie obcychował (abgezeichnet) te całką granice swoją i pańską, tak poszed do króla z aktami swojemi, chtóre granice obcéchowane mioł w tych aktach. To było za króla Fryca. Meldował sie do króla. Król wychodzi do niego i pyta go sie: co ón żąda? A ón powiadá: że przyszed do najjaśniejszego króla z aktami i z użáleniem, że mu pán tak wiela szkody narobiuł.

Bół u króla i na objedzie. Jak poprzynosili potrawy na stoły nakryte, tak chłop usiád jeść i nie potrzebował ani łyżki, ani widelca, ani noża. Ten król po swojm starym ojcu rozpostar(ł) na stole łyżki, nożyki i widelce — a ón jak zaczoł w pazury brać jedzenie, jak zaczoł żryć, to áż się dáwił. Po obiedzie przynieśli parę butelek winna, tego czerwonego i kwaskowego. Nálali mu we szklonke. Jak mój ch(ł)op zaczón pić, powiadá: hou! moji panowie, jak ja w beczkę nabiję kapusty, a ćwikły nakraje, tak moja kapuścionka bédzie hej lepsza jak wasze winno, a osobliwie jak cztéry tygodnie stoji w beczce i kisieje. Jak sie napił chłop winna, jak rozłożył te akta smolarskie, tak wykrzyknoł: czytać i pisać nie umiem, moje pisanie jednak jest lepsze od waszego, jak kapuścionka od wina, a głupi ci pisarze, kiedy mego pisma przeczytać nieumieją. Jak im i królewi zaczon opowiadać granicę, tak, że król nie bół z niego mądry. Ale myśli sobie: musi tu być coś w tem, kiedy on áż do mnie przychodzi; zawsze to chłop widzi w królu ucieczke od czyjegoś ucisku, od swej biedy.

Więc chłop w prawie przez to wygrał że poszed do króla, a ślachcic mu musiał wszystkie szkody powrócić, jak przyszed nazád do domu. Bo taki rozkáz ślachcic dostál od króla. Potem sie chłopek z pana wyśmiéwał, że choć pon adwokatu płacił, jednak w prawie swojém przegrał i chłopu jeszcze płacić musiał.

## 99.

## Handlérz filut.

Od Nakla.

Był jeden kómornik, miáł kilkoro dzieci. A wiela majątku nimiáł, tylko jedną czárną krowę; mlika mu wiele nie dawała. Tak mu żona doradziła: weź ty te krowe i przedáj ją, co nom to po tém!

Wzión te krowę, zaprowadził na jarmak; ale go sie nikt ani nie zapytáł, czy ją má na przedáj, albo ją chce podarować. Prowadzi nazád do domu; ale w drodze widzi, że má tam człowiek kozę. A wej sasa mijájma (a hej-że! tu! mieniajmy) sie oba; ja tobie dám krowe, a ty mi dáj koze. Mijali sie; wzión koze, prowadzi do domu.

Natráfił chłopa; ón niesie kuroka. Koza mu sie zbrzydziła;— mijajma sie na tę kozę; já tobie ją dám, a ty mi dáj kuroka. Wzion swego kuroka i idzie z nim do domu.

Natrefił owczarka; (ón) szyknie graje na piszczálce. Podobá mu sie to; dalij ón w mijaną: mijajma sie obáj, ty mi piszczálke, a já ci kuroka.

Idzie z tą piszczałką, gwizdá jak może. Oprzykrzyło mu sie to; ale siedzi nijaki człowiek nad drogą, prosto wymówić: na usiadce. I ón do niego: co ty tam mász człowieku? — A to gó... powiadá ten tam. — Daj mi to gó..enko, já ci dám te piszczałke. — Na mász, kie kcesz. — Wzión ono g.... za piszczałke, i obwinoł w papiér i wetknół je sobie w kieszeń. Przytém był mróz, i to mu zmar-zło w kieszeni.

Ale przyszed do oberży. Miáł jeszcze przy sobie trojaka: kázał sobie dać sznapsa i pare bułek. Usiád sobie za stołem i jé. W tym rázie przyjachál tyż pon podróżny i kozál sobie dáć cygara i piwa, i przechodzi sie tak po ony oberży. Owemu chłopu było ciepło, to sie téż ogrzywá i to co miáł w kieszeni. Ten pon powiadá: chłopie, tyś sie zes...! — Nie, panie! — Załóżma sie, żeś sie zes... — Chłop dalij: dobrze, załóżma sie o 50 talerów.— Dalij, ty gałganie! — Rewidować chłopa. Zewlik sie chłop do czysta, — chędogi ón chłop. Ten pan mu narachował 50 talerów, bo widziál że ón to miáł w kieszeni. — Pán: do czego ty to no-

sisz w kieszeni? — O takim sposobem noszę (mówi), bo ja to dostál za krowe. — Hę, hę; nie będzie tyż to twoja żóná gádáć na cie? — Panu markotno, że te 50 talerów tak mudnie stracił i mówi: ale załóżma sie obaj, staw ty 50 i ja drugie 50 talerów, że twoja żona báńdzie (będzie) gádać o to.

Pośli, wzieni się, ten pan jedzie, on idzie do domu. Pojachali do száltysa, wzięni go sobie za świádka. Tedy ón chłop wchodzi naprzód do izby swoji, a tam száltys i pán ostali za dźwiamy i słuchali. On wszed do izby: Niech bańdzie pochwalony J. C. — Na wieki!, witaj-że mężu, przedałeś krówkę? — Nie przedálem, ale żem ją wytmiénił na kózkę. — Dobrześ zrobił, moje dziecko; krówka nám mliczka nie dawałá, kózka nám mliko dá, nie chybi, gdzie mász te kozuchnę? — Ady'm ją wytmiénił za kuroszka. — Dobrześ zrobił, kuroszek będzie piál, rychło będziem wstajać, to my sie dorobima, gdzie mosz tego kuroszka? — Ady já jego wytmiénił za piszczałke. — Dobrześ zrobił, będziesz wsiórno (zawsze) na piszczałce grál, bendą dzieci tańcować, bawić sie, nie bendą wołały jeść, to my sie i tak dorobima, gdzie mász te piszczáłuchnę? — A toż'em ją pomijál za g.... — Dobrześ zrobił. — A ón na to: toć to trzeba bańdzie precz odgarnąć. — A żona jego: dobrze, mój mężu: ale nimom czém. — I wyszła z izby, — —

Poszła do sąsiadki,
pożyczyć łopatki.

A sąsiadka nie chciała ij pożyczyć i na to żądanie mówi: G...o wám pożyczę. — A ta znów do sąsiady:

Nie bańdziem pożyczali,
bańdziem swoje mieli!

Tak tedy stracił pán drugie 50 talerów, a chłop miál za krowę sto talerow.

## 100.

## Pan ździerca i Chłop filut.

Od Kościa s.

Był to też raz jeden ślachcic, chtory wszéstko lubiał tanio kupować. I kole jego podwórza i pałacu musieli przejéżdżać, kiedy chcieli na targ jachać. Więc nic nie przepuścił, ino, jak jachali lub śli na targ, to ón zaraz im zastąpiuł droge, i pytał sie ludzi

co niesą na targ i zaraz kupował za tanie piniądze, co niepodobno było sprzedać. Wióz jeden ch(ł)op świnie tuczne, na jarmak. A ten pán wypaduje ze swego pałacu: gdzie ty wieziesz te kozy — Jaśnie panie, wiezę je na targ. — Pięć talarów ci dám za obie, mówi ten pon. Cóż ten chłop miał robić?, musiał je przedać, bo pon go puścić nie chciał. Ten chop rozgniwany przyjachał do domu i powiadá swojij żonie, że mu pon dał pięć talarów za te dwie świnie. Sprzedał to gospodarstwo i wyprowadził sie na inkszą daleką wieś. Potem przyszed napowtór do tego pana, i spálił mu jego właśliwość, całkie pańskie podworze, a pon niewiedział chto. Bez kilka czasów (po pewnym czasie) powrócił sie do téj wsi gdzie dawnij mieszkał, i przebrał sie za cieślę, wszed do gościńca, kázał sobie dać chleba i séra i kufelek piwa. A ta gościnna ciągiem sie wpatruje w niego, co ón jes za rzemieślik. A ón powiada gościnnéj, że jest cieśla. Poszła do tego pana, i powiedziała że jako jes cieśla u nij w gościńcu. Ten pon zaro bez (przez) te gościnną orenduje, i prosi żeby on przyszed do niego do dworu. Zrobiuł zgode z tym cieślą na całą budownię. Zawołał na fórszpana; fórszpan musioł parę kóni zaprządz do bryczki i pojachali do tego boru drzewo oglądać na budownię. Ten forszpan nimóg wjachać do tego boru, tak, że óni śleźli z bryczki, i idą oboje, ón z tym panem, do tego boru. Jak weśli daleko w bór, stojała tam gruba sośna. Kázał temu panu obłapić te sosne (bo pon bół tęgi w rękach), co ón weźnie miarę, jak ta sosna gruba jest. A ón ci-k wzión powróz i przywiozał pana do téj sosny. Wtenczas cieśla poszed, narznoł brzozowych prętów, i więzowych (wiązowych) prętów dwa snopyszki. Przyszed do tego pana i zaczon łojić (bić) go doskonale temi prętami. Ten chłopek mówi temu panu: znej to panie, co wiąz to nie brzoza, bo co świnia to nie koza. Jak go dobrze wyłojił, że sobie poszed, i pana przy sośnie uwiązanégo ostawił. Ten fórszpan słyszy że taki zgieł(k) zrobiuł się w boru. Leci tam do swojego pana, i tego pana otwiązał od drzewa, wzión go na plecy i zaniós na bryczkę. A chłopek przyobiécał go jeszczék potem dwa rázy ułojić. Więc ten pon z tego biciá ogromnie bół chory.

Ten chłopek przebrał sie za dochtora i przyszed do gościńca do ty wsi. A ta gościnna, to też nic nie zaniesła do dworu, kiedy nimogłá coś na kogo naskarzyć albo plotkę tam przyniéś(ć). Tak óna sie pyta tego samego chłopka-doktora: co on jes za jeden,

(a to był ten co pana wyłojił i siedziál samotny). A ón powiedział że: doktór. Ona prędko leciáłá do tego pana, i powiadá mu, że u nij znájduje się doktór w gościńcu. Ta páni kázała tedy czemprędzy przyść temu doktorowi do pałacu, jako ten jeji mąż leżał chory. Tenże doktor przyszed i wchodzi do pokoju gdzie leżał pon. Kázał go wynieść (chorego) do ogrodu do altanki. A tam mu zaś drugi ráz dobre likarstwo sprawiuł batem i powiedział: znej panie że to jes bat i łoza, nie żadna świnia ani nie koza. I wykropiuł go doskonale, Zaś potem poszed do pani i powiedział, żeby mu dała wiérzchowca, że pojedzie do miasta na nim po lekarstwo, bo mu już przybrakło. Pon wyzdrowiał bez (po) parę dni, bo go ch(ł)opek przyobiécał jeszczék trzeci ráz lekować.

I zabrál się do swojij matki, jako do rodziców, ten pon, i jadzie. Przejéżdżał bez (przez) bór, a tam na łące latał jego właśliwy, tego pana, wierzchowiec, co go tamten chłop puścił. I powiadá do fórszpana: patrz, to nasz wierzchowiec látá po łące. Ten fórszpán szczet (zszedł) z tego powozu (z kozła u powozu) i idzie po tego wierzchowca, co go chciál złapać. A tak tymczasowo, wyleciał ten chłopek z boru, jeszczyk z dwiema swojémi pomocnikami, złapál pana, jak zaczón go łojić trzeci ráz, ouż (aż) się pán nawet w powozie zerzędził (nieporządek zrobił od strachu). Chłopek panu powiedział: jedź do domu, bo już'em moją wynadgrodę ci panie wynadgrodził, bo żem cię trzeci raz do woli wybił; pamiętaj że co wierzchem to nie z woza, a co świnia to nie koza.

## 101.

## Żywy nieboszczyk.

Morownica.

Jedna gospodyni okropnie sie zakochała w parobku. Barzy sie kochała w parobku jak w mežu swojim. Tak powiadá do parobka: żeby my mogli jako zgładzić ze świata tego meża, toby my sie mogli oba ożenić. Tak ten parobek powiadá: dobrze-ć by to było, żeby on chcioł umrzyć.

A ten gospodourz dowiedział sie że mu tak na życiu stoją. Pojachał w pole orać; zaś przyjiżdża do dom na południe do obiadu. To było w sobote; tak, lameńci i mówi: nie wiész żono, okro-

pnie'm chory, żebym aby nie umar. Tak ta jego tak skóma (cmokta ustami), jakby go to barzo żałowała, jakby to z miłości było, i powiadá: oh, nie bedzie ci nic, mój mežu. A ón: oj już teráz czuje, żem okropnie kiepski.

Tak w niedziele po południu, kiedy żona wyszła, tak sie czyni mocno słabym, tak umoczá ręke w mące, potar sie troche po gębie coby ból biały, i układ sie w łóżko i zrobiuł sie jakby nieżywy. — A tu w gościńcu grali.

Tak óna przychodzi do izdby, wejźdrzy na łóżko i zakrzyknie: o Jezu! mój moż nie żyje! — Skuma, że to od żałości, — a to od radości. Poszła zaráz na wieś po dwie baby, żeby gó pilnowały. Dała im ta gospdyni mąki, chleba, okrasy, masła, wszystkigo im nádała, tym babom, ażeby klinczały przy jego łóżu i mówiły paciérz za niego. — A ta gospodyni poszła z parobkiem do gościńca w tońce. — A już tak tończy i tończy z tém parobkiem.

A te baby przy ciele mówiły jedná do drugij: wiész co? żeby tak więcy takich gospodáurzy bogatych umarło jeszczé, toby my sie łebsko poretowały. A tá drugá przyświárcza: oj to to! — oj to to! —, toby nám wielce nádbiło; niechby nám tak káżda gospodyni tyle dała co ta. — A tu gospodáurz (ten niby umarty) miáł bat słożony we dwójke w łożu od ściany przy sobie; jak wyskoczy z łóżka, jak zacznie rznąć baby po łbie batem; — tak, baby krzyczały: o Jezu, o Jezu! śmiłujcie sie nad nami! bo umarty wstáł i bije nás. Ta jedna wypadła z izdby, leci do gościéńca, po tę gospodynią, i powiadá ji: Gospodyni kochana! letcie do domu co ducha, bo gospodourz ożył i byłby nás pozabijał, ino my mu ućkły; a spieszcie sie, żeby ino tu po was nie przyszed.

## 102.

## Złodziejska sztuka.

Od J raczewa, Krotoszyna.

Jeden pon miáł chłopáka w służbie. Ten chłopák był kielka lat w służbie i miáł okropną łaske u pana. Ale temu chłopokowi nadłużyło sie (naprzykrzyło sie) sużyć. Dáł sie na złodzieja uczyć, i uczył się na tego złodzieja pare lat. Przychodzi nazád do tego swego pána. A ten pon go sie pytá: no jag-że? nauczyłeś sie już tego złodzieja? — A ón odpowiadá: Nauczyłem sie. —

A cóż umiész dobrego ukraść? já mom ogiera w cugowy stájni; żeli mi tego ogiera ukrádniesz, to bédziesz dobry złodziéj. — A ón odpowleda: ho, panie, to małá rzecz. —

Ten pon wsadziuł fószpana (Vorspann) na tego ogiera w nocy i kózał kielku chłopom pilnować go, bo tu przydzie złodzij, toby go ukrád.

A ón sie ubrál, ten złodzij, za dziada, y tak poszed do miásta, kupiél sobie takij wódki z kroplami, y poszed do ty stájni y powiedá: moji kochani ludzie, jábym sie też chciál z wami przenócować. A ci chłopi odpowiedają mu: a owszem, bardzo dobrze, bo my młodzi, to by my mogli prędzy zasnąć, a wy-ście staruszku są starzy, to wom tá śpiku nie tyle trzebno, pomożecie nom pilnować ogiera. A ón powiedá: já sa mám ździebko wodki, n e ń c i e (ná, macie), popijcie sobie káżdy po trosze. Jag óni ty wódki sie napili, wszyscy posnęli. A ón, ten złodzij, wzión fószpana, zesadziuł go z tego ogiera i wsadził go na płot, a ogiera wzión i ze stajni wyprowadził sobie do dom. — Pon rano przychodzi do stajni, patrzy, a tu fószpan siedzi na płocie, trzymie powróz w ręce zamiást cugli, a ogiera niemász.

Pon ten znowu go zwołuje, tego złodzieja do siebie, i: toś ty jes dobry złodzij, kiedyś mi ogiera ukrád, ale słuchaj-no, mój kochany, já mom okropnie złe psy; żeli mi te psy ukrádniesz z podwórza, to bédziesz dobry złodzij. — O panie, małá rzecz o to. — Tak pozamykál pon wszystkie bromy. A ten złodzij zrobiuł w sztachetach dziure i széroki m i e c h (worek) wielgi uwiózál przy ty dziurze, i oblik sie, owinoł w grochowine. Jak wláz na podwórze, jak sie wzión kulać, buczéć; te psy nimiály gdzie wylecić, dalij do ty dziury, i wleciály wszystkie w miech. Tak on doskoczuł, miech zakręcił i wzion psy do dom. Pon rano wstaje, zgwizduje psów, a tu nimá ani jednego.

Tak zwołuje go do siebie, tego złodzieja, i powiedá: toś ty dobry złodzij, kiedyś mi psy pokrád, — ale słuchaj-no, mój kochany, żeli mi ty ukradniasz z y g n e t (pierścień) z palca u moji pani, to bédziesz dobry złodzij. — A ón: o panie, małá rzecz o to. Poszed do haptéki, kupiuł taki proszek, i poszed do kuchni jak kuchárz szykował objád (d)la państwa, a ón wsypál ten proszek w ten pu-misek chtóry pon miál dostać. I ten pon dostál złego brzucha. Tak ten złodzij poszed do siéni, stanól za drzwi, a ten pon musiál umykać w nocy na przechadzkę. Jak pon wy-

szed z pokoju, to ten złodzij prędko wpád do pokoju, i na głos pana (głosem pana) powiedá do pani: moje dziecko, zdyjm-no ten zygnet, bo ci go złodzij ukradzie, bo tu má przyść dzisiáj. Tak ta pani zdjęna ten zygnet z palca i dała mu go schować, — óna myślała że to ten jeji moż. Tak pon przychodzi do pokoju, a pani powieda: coś ty za głupstwo zrobiuł, moje dziecko, boś powiedział że przydzie złodzij po zygnet; tu złodzieja nie było, nimá.— A pon: a gdzie mász zygnet? — Ona: a przecie já ci go dałam. — A moje dziecko, przecie já zygneta nie odbiérałem. — A no, dyć przecie odebrałeś, boś powiedział, że złodzij przyńdzie po niego.— Widzisz, moje dziecko, dałaś złodziejowi zygnet samá dobrowolnie.

Na drugi dzień, zwołuje pon znowu tego złodzieja. Toś ty dobry złodzij, kiedyś ty zygnet z pani ukrad, ale słuchái-no, mój kochany, żeli mi ty ukradniesz z pani koszule, to bédziesz dobry złodziéj. — A ón: o panie, małá rzecz. — Tak ón wzión młodzi (drożdży) ze sobą, ten złodziéj, i stanoł za drzwiami, — a jak pon wyszed z pokoju, ón wzión i wpad do pokoju po cichu, i podlał temi młodziami panią. Pon przychodzi i mówi do pani: ach, co tu za nieporządek! ady sewlec (zewlecz) prędko te koszule ze siebie, a weź inną. I poszed wołać służącéj żeby przyniesła czystą koszule i prześciéradło. A złodziéj tymczasem niż pon przyszed, koszule porwał i poszed sobie. Tak ten pon przychodzi nazád do pokoju ze służącą; pani koszule oblekła i powieda do sużącéj: weź tę koszule z sobo com sewlékła. Sużąca koszuli szuká, nimoże ználéść, powiedá: prosze pani, kiedy koszuli nimász. — A óna pani: musi być bom sewlékła i pó-épiła na podłoge. — A pon: widzisz, moje dziecko, już znowu złodzij pewno koszule ukrád.

Ten pon zwołuje tego złodzieja do siebie, powiedá: mój kochany, żebyś też temu księdzu móg jaką psote wyrządzić, bo ón sie okropnie ze mnie wyśmiéwał, że ja sie tak tobie dám oszukiwać. — A złodzij powiedá: panie, małа rzecz. — I poszed, złapáł kilka raków, i poprzylepiał im świczki na plecy i popuszáł je na tym smentárzu; zaś potem poszed i zaczón zygnować (dzwonić w sygnaturkę) w kościele. I zaś poszed po tego księdza, wołał go; powiedá: proszę jegomości, złodzieje pewno są w kościele, bo sie w kościele świci. — A ón sie (złodziej) prędko wrócił na smętarz i ubrál sie w białą koszule i pomazál sie krytą (krédą) po gębie, — a wzión okropny miech, széroki. A ten ksiądz leci

do kościoła, a ten idzie za nim z tym miechem. Widzi ksiądz że w kościele nidz niéma, tylko po smętarżu łażą świéczki. Tak powiedá ten złodzij: no ksióże, właź w ten miech, pójdziesz teráz do nieba, bo já jezdem j-aniół i przyszedem po ciebie. — Tak ten ksiądz prosi go sie, żeby go jeszcze ostawiuł ua świecie, bo jeszcze-k by chciáł żyć. — A ón powiedá: nie, bo już czas tobie iś(ć).

A ón go zawiózał w miech i zaniós do kurnika między g u ł y (jendyki). — Tak, rano, ta oprzątka od tych gółów, idzie do kurników i przylatuje nazád i powiedá: wielmożny panie, tam między gułami coś jes w miéchu. — Ten pon od ciekawości leci co-ducha, o t w i e z u j e (odwiązuje) miéch, patrzy, a tu ksiądz leży w miechu zawiozany. Pon powiedá: A widzisz, mój jegomość, takiś mądry, a dałeś sie oszukać, — ze mnieś sie śmiał, a ón ci jeszcze gorzy zrobiuł jak mnie.

(Obacz baśń n. 54 i 71).

## 103.

## Dowcipy polskiego chłopa [1]).

(wiernie opowiedziane podług podania Ludu, przez X. Ł. i zamieszczone w: *Piśmie dla ludu polskiego,* Poznań. 1845. rok 1szy zeszyt 7 i 8, str. 232).

Był w jednej wsi chłop, bakdzo wielki filut, co wszystkich przekabacił swoim rozumem, a był z niego zuch, co się nie uląkł nikogo. Umiał on każdemu co powiedzieć, potrafił z każdym się rozmówić, zażartować, ba! i nie jednego — jak to mówią — wywieść w pole; wiedział też jak się z kim obchodzić i jak kogo zagadnąć, a kiedy się na co uwziął, to wszystkiego dokazał, choćby tam niewiem co było.

Dowiedział się o nim pan ze wsi pogranicznéj, co także uchodził za mądrego, i co też — jak mówił — nie każdemu pozwolił sobie grać na nosie. Posłał więc po niego pan ów i kazał mu powiedzieć, że chciałby go rad widziéć i słyszeć jego mowę i dowcipy;

---

[1]) Porównaj: *Lud*, Serya III str. 193 i Ser. VIII str. 189. Podobną powieść znajdujemy i w dykteréjkach o ks. Radziwille, zwanym Panie Kochanku.

obiecał mu sowitą nagrodę, jeżeli potrafi coś takiego powiedzieć, czemu będzie musiał zaprzeczyć prawdy. Na takie wezwanie, stawił się chłop do którego pan w te odezwał się słowa: Słuchaj-no! różne rzeczy powiadano mi o tobie, a szczególniej to że umiesz doskonale kłamać?“ Na co mu chłop: „Jegomość! co? jabym miał kłamać? a niech że mię Pan Bóg zachowa od tego grzechu! — ja zawsze tylko, jak mię nauczył mój ojciec (Panie, świeć nad duszą jego)! prawdą a Bogiem żyję i brzydzę się łgarzem“. — „Mój bracie! (rzecze pan) to są wykręty i chcesz mię pewnie oszołomonić; ale słuchaj! czyli chcesz, czy nie chcesz, musisz mi co skłamać, to jest: co takiego powiedzieć, czemu ja nie będę mógł dać wiary i powiem: że kłamiesz. Jeżeli tego dokażesz, dostaniesz natychmiast odemnie 100 talarów, a jak nie, to odbierzesz 100 bizunów na skórę: wybieraj co-ć się podoba, masz wóz i przewóz, jeno bez długiego namysłu. Poczém zaraz wyliczył rzeczone 100 talarów na stół, a chłop podrapawszy się za ucho, tak zaczął prawić: „A nu! kiedyć koniecznie mam co powiedzieć, toć i powiem, ale nie będę kłamał, jeno żywą powiem prawdę, tak jak mi Bóg w niebie miły, kochany Jegomość.“

Stało się, kiedym jeszcze był młody i na doróbku, że poszedłem raz na śty Szczepan do kościoła, a jak pewnie Jegomość wié, to dnia tego rzucają na księdza grochem, jęczmieniem, owsem i inném ziarnem, na pamiątkę ukamionowania śgo Sszczepana; ludzie zaś zbierają to ziarno i dają je gęsiom, kurom i kaczkom, aby wiele jaj niosły, lub też mieszają je z inném ziarnem do siewu, aby się zboże dobrze obrodziło. Chciałem i ja też coś uzbierać z tego ziarna, ale cóż, każdy łupu! cupu! a mnie zaledwie dostało się jedno ziarnko jęczmienia. Schowałem je jednak i zaráz tego samego dnia jeszcze, skorom powrócił z kościoła, zasiałem w moim ogrudku pod oknem. Jegomość nie uwierzy, jak to ziarnko prędko wyrosło w potężny jęczmień, tak wysoki, że nie można było dojrzéć końca, i to przez jednę noc!“

Pan mu na to: „To wszystko być może!“

„Ciekawy jednak byłem, jak też ów jęczmień wysoko sięga,“ mówił chłop dalej, „cóż więc robię? — oto włażę nań i — wdrapnąłem się aż na sam wiérzch. Ale o rety! jakżem się zląkł, kiedym już był na czubku kłosa — bo widzi Jegomość, ów jęczmień sięgał aż do samego nieba!“

Na co mu pan: „Być to wszystko może!“

„Ale nie uwierzy Jegomość com ja daléj zrobił? a to, jak się nie zepnę na sam czubuszek kłosa, jak nie hycnę w górę — i oto jednym susem byłem w niebie.“

„I to być mogło“ odpowiedział mu pan.

A chłop ciągnął daléj mówiąc: „Kiedym już był w oném niebie, zacząłem się oglądać na wszystkie strony: bardzo mi się tam podobało, bo się wszystko jéno tak świéciło od złota, srébra, i dyjamentów, nawet podłoga i ściany. Bałem się bardzo i nieśmiałem kroku naprzód postawić, jénom się wciąż przypatrywał wszystkiemu z daleka; ale co to tam było! tego ani opowiedzieć nie umiem. Ośmieliłem się jednak i zacząłem iść naprzód; alem stąpał bardzo ostrożnie, bojąc się, aby czasem niebo nie zarwało się pod mojemi nogami. Lecz zaledwie parę uszedłem kroków — nie wiém, czy mnie posłyszano, czy co, dosyć, że natychmiast dał się słyszeć z daleka wielki wrzask — i wnet ujrzałem w odległości mnóstwo aniołów, którzy z ogromnemi kijami do mnie lecieli i przygrażali mi niémi. Niewiem co począć ze strachu, uciekam ku dziurze, ale z miejsca mi nie sporo: jednak dobiegam do dziury, ale niestety! nie znajduję już mojego jęczmienia, jéno kupę plew obok dziury. Nie uwierzy Jegomość, co to człek w strachu potrafi. Kiedy oto wrzawa i hałas aniołów już, już, niedaleko mnie, pręciuchno ukręciłem z plew powróz dłuziachny, że aż ku ziemi dosięgał, przymocowałem go do krawędzi nieba i spuściłem się na dół, a kiedy mię już aniołowie co-jeno pochwycić mieli i już mi nad głową ich kije migały, ja uchwyciwszy się powroza — szust! na dół — i tak'em się przecie wymknął dosyć szczęśliwie.“

„To wszystko być może“ przerywa pan.

A chłop daléj: „Ale to jeszcze nie koniec mojego strachu i kłopotu! Oto widzi jegomość, w téj prędkości ukręciłem powróz za krótki, tak, iż brakowało jeszcze do ziemi przynajmniej jakie 100 sążni; więc teraz wiszę i dyńdam się na onym powrozie, bo przecież spuścić się z takiéj wysokości, nie podobno: mógłby człek sobie karku nakręcić. Przemyśliwam tedy, jak tu sobie poradzić i wnet wpadłem na szczęśliwą myśl. Mówię sobie: przecież powróz ten, co jest u góry, już tam nie potrzebny, jeno na dole: a więc urywam u góry, a nadstawiam do dołu i spuszczam się tak coraz niżéj; alić na ostatku zabrakło już i u góry powroza, tak, iż już nie było czém nadstawić i tyle tylko pozostało, ile'm trzymał

w obu garściach — a tu do ziemi jeszcze dobre 20 sążni. Nie było już teraz nad czém myśleć, ani'm też widział innego ratunku, by nie wisieć do dnia sądnego w powietrzu, jak tylko spuścić się na zmiłowanie Boże na ziémię. Ledwo'm to pomyślał, aliści puszczam powróz, letę na dół jak kula i w okamgnieniu — klaps! w glinicę, — i wpadłem na jakie 10 łokci głęboko. Znowu strach, znowu nie wiem jak sobie poradzić, by z téj gliny się wydobyć. Wyleźć — było niepodobno, a zostać — także nie było można, boby się człek był przecie udusił, gdyż zaraz za mną dziura się zawarła nad głową."

„To wszystko być mogło!" przerwał mu pan, i już się cieszył w duchu, że da chłopu bizuny.

Ale chłop tak daléj swą przygodę opowiada: „Jednak to Pan Bóg biédnego chłopa nigdy nie opuści w potrzebie, ale mu dopomoże. Tak też i mnie dopomógł, bo mi podał na myśl, żebym co tchu pobiegł do domu, przyniósł sobie rydel i motykę i odkopał się przecież. Tak też zrobiłem Jegomościnku; poszedłem prędko do domu, przyniosłem rydel i dzięki Bogu wykopałem się szczęśliwie z onéj gliny!"

„Wszystko być może" żwawo mówił pan, „a więc kiedyś się tak wykopał, pewnie's poszedł sobie do domu i kwita?"

„O! nie, Jegomościnku kochany! nie na tém jeszcze koniec mojéj mitręgi. Ledwo co'm wylazł z onéj gliny, aż tu dészcz rzęsisty zaczął padać, ba! lać, gdyby z cebra. Ugliniony, a oraz i zmokły, kurczę się i radbym się gdzie skryć, ale nie było gdzie— bo ani krzaczka, ani drzewka na całém polu nie widać było — a więc lézę sobie prosto ku wsi, którą z daleka widziałem. Kiedym już jest coraz bliżéj, poznaję, że to wieś Jegomościnego ojca. Śpieszę się jak mogę; ale i dészcz coraz bardziéj lać poczynał, i byłbym przemókł do suchej nitki, gdybym się nie był miał gdzie schronić. Ale oto patrzę, aż tam kole grochu łazi ktoś za świniami w kapeluszu z ogromnemi piórami (skrzydłami), tak szérokiémi jak rzeszoto. Daléj ja więc do owego człowieka, i nic nie mówiąc, nie patrząc na niego, wcisnąłem mu się pod jego szeroki kapelusz i tak przecie schroniłem się od największéj ulewy. Kiedy już padać przestało, podnoszę oczy do góry, by widzieć kto to był, i podziękować za przytułek, oraz przeprosić, iżém go powalał gliną — aż tu widzę przed sobą — kogo? — zgaduj Jegomość— poćciwe ojczysko Jegomości!!"

Ledwie domówił chłop ostatnich słów, a tu chlast go pan w twarz i zakrzyknął: Łżesz chamie! bo mój ojciec nigdy świni nie pasł.“

Chłop zaś pokłoniwszy się panu, przystąpił do stołu, zgarnął swoje piéniądze i wyszedł sobie z Panem Bogiem; a ślachcic dopiero się pomiarkował, że go chłop w pole wywiódł. Wstydził się, że się tak dał podejść.

Od tego czasu nie śmiał już ślachcic mierzyć się z rozumem chłopa, ale starał się złotem i batem wziąść nad nim górę, a obciążając go pracą, chciał mu jego chłopski rozum gwałtem przytłumić; lecz i to nic nie pomogło: — Chłop został się przy swoim jędrnym rozumie, a ślachcic zawsze miałki i próżny — i bata postradał.

## 104.

## Chłop i trzej studenci.

(Chłop sprzedał krowę zamiast kozy. Studenci żart grubo zapłacili).

Od Kościana.

Jeden pon na jedny wsi, wyprawił raz wielgi bal. Wybrali się trzech studencia, chtórzy też chcieli na tym bálu być, przez ciekawość swoje.

Kiedy szli na ten bal, zaszła ich noc, tak że poszli we wsi do gospodárza, i kázali sobie ugotować pérek w mundurach (łupinach) i kazali sobie do tego dać masła. Po tej wieczerzy pośli spać. Gospodárz z gospodynią gadają sobie, jak pośli do łóżka, że trzeba by wziąć kozę na sprzedaj na targ jutrzejszy, bo piniądze są potrzebne. A óna powiadá: lepij żebyś sprzedał krowę, bo więcy dostaniesz za nią; ale wreszcie, weź lepij kozę, bo od kozy tak wiela niémámy pożytku jak od krowy. Tak ci trzech studeńcia słyszeli to i pośli do dom. Ten chłop omylił sie i zamiast kozy wzion krowę. Tak ją sobie prowadzi, jako do miasta na tárg.

Idzie z tych trzech studentów jeden przebrany za rzeźniczka. Mówi do tego chłopa: co wy chcecie za tę kozę? — A chłop mówi: a boż to koza? pewno majster zwaryował że zamiast krowy chce kupić kozę. — W tém, pędzi ją dalij. Natrafił go drugi

z tych trzech studentów, i mówi do niego, niby rzeźniczek: co wy chcecie, ojcze, za tę kozę? — A chłop: czyście wy rzeźniczki pogłupieli, przecie to jest krowa a nie koza. — Pędzi ją dalij; idzie trzeci rzeźniczek z tych trzech studentów i pyta się: co wy chcecie za tę kozę? A chłop mówi do siebie: Pewno ja się omylił, zamias(t) krowy wzionem kozę. Ten rzeźniczek powiadá: pięć talarów wám dám za nią. I sprzedał tę krowę zamiast kozy i wzion piniądze ten chłop, i zaniós(ł) swojij kobiecie jako oddać. Powiadá: masz kobieto pieniądze za kozę. Tak żona powieda: Co? a boś to ty kozę sprzedał; przecie-ć ty krowę wzion, nie koze. Ten chłop idzie się przekonać do stajni: widzi że koza stoji, a krowa sprzedaná. On powiadá do żony: czekaj, matko, bo my jeszcze litku (litkup) nie pili na tę koze, trzebno iść do miasta, i teraz litku pić.

Przyszed ón do miasta i natrafiuł na tego rzeźniczka co kupił tę krowę zamiast kozy od niego. Ten rzeźnik powiadá: Czekajcie, ja pójdę po tych dwóch drugich kolegów, i pójdziemy wszyscy na litku. A chłop tymczasem poszed do sklepu do winiarza i prosi go o butelkę winna za talar; talara płaci a ostawia winno i powiadá, że wypije go jak przyńdzie tu na powtór. Idzie do drugiego sklepu i znowu za talará winna kupił. Płaci to winno i ostawia je we sklepie jako u drugiego winniarza. Idzie do trzeciego sklepu, tam gdzie ból cukiernik i kupił ciastków za talár i także tam ostawił i zapłacił tam talara.

Teraz poszed ón po tych trzech rzeźniczków i zawołał ich na tego litku do pirszego szynku. Oni piją ten litek, aż go z flaszki wypili, to winno. Wtenczas ón chłop bierze i zdejmuje swój kapelusz i pytá się tego winniarza, ale patrzy w kapalusz: co ón jes winien za to winno? — Winiarz ten powiadá, że: nic (bo już wprzódy zapłacił).

Potem, óni wyśli sobie z tego sklepu, jako przed dom, i mówili jeden student do drugiego: co to znaczy, że ón nie płaci, tylko w kapelusz zagląda? — On chłop ich woła do drugiégo sklepu, bo to jest mało, pić ráz. Idą do drugiégo sklepu, i każe chłop dać drugą butelkę winna. Winiarz mu ją wydáł; usiedli i zaczęni pić to winno, dopóki nie wypili. Pyta się chłop winniarza i patrzy we swój kapelusz: żeli ón nic nie jest winien? — I ten drugi winiarz powiadá: nie, nie, możecie sobie odejść.

Oni wyszli przed dom, ci studeńcia, i zaczęni do siebie gádáć,że chłop pije z niemi litek, a nic nie płaci. A chłop mówi: no jakże moji panowie, teráz byście też po tym winnie chcieli zapewne coś przegryźć? — Czemu nie? odpowiadają. Chłop ich prowadzi do trzeciego sklępu, do tego cukiernika i káże dać ciastków za talar. Cukiernik wydał tych ciastków, i óni sobie jedzą w kupie. Jak zjedli, tak chłop wzion swój kapalusz, zaglądnął w niego i pytá sie: czy ón tu nie jest nic winien? — Cukiernik odpowiedział: nic, możecie sobie iść.

Wyśli ci trzech studencia z tym chłopem z cukierni, i pytają się go, czyby ón ten swój kapalusz nie sprzedał. A ón im odpowiedział: a cobym ja bez kapelusza robił? — A ci trzech uparli się kupić ten kapalusz, i powiadają że mu dobrze za niego zapłacą. A ón powiadá: dácie mi, moji panowie, tysiąc talarów, to ten kapalusz wám sprzedám. Oni poszli do domu, złożyli sie i przynieśli piniądze, i zapłacili mu tysiąc talarów a ten kapalusz wzięni.

Ten chop przychodzi do domu, i przynosi kobicie piniądze za kapalusz. Mówi do swojij kobity: patrz babo, powiedziałaś że ja krowę tanio sprzedał, i nie było piniędzy; ale já teráz kapalusz drogo sprzedał, i wzionem aż tysiąc talarów za niego, tybyś tak drogo swojego dyrduna (spódnicy) nie sprzedała. Kobita sie ucieszyła że takie piniądze przyniós, większą kupę jak óna całá, i schowała te piniądze.

Bez parę (po kilku) dni zrobili studencia wielgi bál, w mieście i zaprosili wiela gości na ten bál. Bal ten był w jedny oberży. Goście się poschodzili, jedli i pili, i dobrze sie bawili bo szkody narobili, flaszków natrzaskali i szklanków natłukli.

Zaś po tém balu jeden ze studentów patrzy w kapalusz i pyta się oberzysty co jestem winien? — A ten oberzysta powiadá im że: tyla a tyla, — i wyliczył dość grubą summę piniędzy. A óni się ździwili że kapalusz im jednak nie spráudził (sprawdził) co oni myśleli — I bierze kapalusz do ręki ten drugi student, bo óni posobicą chodzili płacić, idzie do oberzésty i pytá sie: szakże já nic nie winien? — A oberzysta powiadá: jak mi zapłacisz, to mi nic nie będziesz winien. — I znowu się ździwili że kapalusz nic nie pomagá, i trzeba zapłacić. Tak idzie ten trzeci z kapaluszem i pytá się oberzysty: szak ón nic nie winien? — A oberzysta powiadá: wolne żarty, jak mi zapłacicie, to mi nie będzie-

cie nic winni. Jak zobaczył oberzysta że nic nie płacą, tak poszed na policyją po żandarmów żeby ich do dziury wzięli, bo żubry (szkodniki) nie chcą zapłacić. Bo nimieli zkąd. Tak, że rodzice musieli cały ten koszt i całą tę szkodę popłacić; a dopiro ci trzej studencia byli z więzinia wypuszczoni.

Przychodzi ten chłop do miasta, jak posłyszał że oni są uwięzioni za te całą szkodę, i bojał sie że go zabiją, jak do niego przyńdą. Powiedział do swoji kobity: przynieś do alkierza snopek słomy, połóż prześciéradło na słomę a drugim je przykryj. Ci trzech studencia przychodzą do niego do domu i pytają się tej kobity: gdzie wász chłop jest? — A óna płacze i mówi że: umar i w alkierzu na słómie leży. Oni weszli do alkierza, chcieli go obáczyć, a tam na boku w kąciku stojał dębowy kij. On (jeden student) jak złapał kija, tak liźnie tego chłopa tym kijem dębowym, po skórze, jak dłużyki. A chłop jak się zerwál z téj słómy, tak powiadá: O matko, nie sprzedawaj tego kija, bo tym kijem nie jednego do życia przyprowademy. Tak, że ci studencia zdziwieni pytają się: co ón za ten kij żądá, kiedy ten kij umartych (wskrzesza? A ón powiadá do nich, że: trzy tysiące talarów. Oni pośli do domu, przynieśli 3000 talarów, zapłacili i kij ten z sobą zabrali i pośli we świat i chcieli umartych (w)skrzeszać — a chłop zgarnął piniądze i wyśmiał się ze studentów.

Studencia pzyśli do jednego miasta, gdzie królowa umarła, i meldowali się do króla, że óni umarłą (w)skrzeszą, że na nogach znowu tak będzie stała jak wprzódy. Król ich przyjon do pałacu swego, uwenerował (uczcił, ugościł) i wpuścił ich do pokoju, gdzie ta królewa leżała i zamknoł ich tam. Pirszy student wzioł kij do ręki, idzie do królewy, lujnie ją kijem i powiadá; królewa, wstóń! — A królewa leżała tak jak wprzódy. Wzion drugi z nich ten kij do ręki i powiadá: dawaj, ty źle bijesz, ja teráz uderzę. Jak poszéd do królewy, jak królewą lujnie, — a królewa leży jak kłoda. Wtenczas mówi ten trzeci: dej sa ten kij, ja spróbuje, bo ty źle bijesz; ja béde bił tak jak'em bił chłopa. Jak zaczął królewą kneblować, tak knebluje i knebluje, a królewa ani rusz. A król patrzy dziurką od klucza we drzwiach, jak to jego panią wenerują po śmierci, áż mu się miętko na sercu zrobiło, i coraz sie zrobiuł miękciejszy, aletéż dla takich dochtorów to i coraz twárdziéjszy. Nieczekając dalij, posłał po żałmierzy swojich, kázał ich połapać i na szubńicy popowiészać.

A ten nasz wąsiok (wąsaty stróż) jak gwiżdże, na apel, tak gębe otworzy jak kachel, i czém piszczółkę w gębe włoży, to się wprzód siedem razy położy, i czémswoje wygwizda z piszczałki, to kwadranc calutki wytrwa, — dać pałki!

## 105

### Drogi kapłon i tania łopatka.

Dębicz.

Jeden pan bogaty miał wiernego sługę. Gdy pán ten odumierał, zapisał słudze sto dukatów i konia cugowego, najlepszego z cugu, którego pozwolił mu wybrać, a umierając, okrutnie go upominał, aby sie nie wdawał z takiemi ludźmi, który jest zyzowaty, który jest kulawy, a szukał takiego co ma kędziorowaty łeb.

A on służący wzion piniądze i konia tego i jachał sobie we świat, — i zajachał do gościńca jednego. Patrzy a ta gościnna jest zyzowata a gościnny kulawy, pan sam zaś we wsi (jak sie dowiedział) ma łeb kędziorowaty. Nie należało mu sie z temi tam wdawać. Ale był głodny; więc kázał sobie dać obiad. Kokot czy kapłon chodził po chałupie, a ón go sobie kázał zabić do stołu i pytá się: co ten kapłon będzie kosztować? — Ona gościnna rozśmiała się i powieda bez żart: sto dukatów. — A on: gotuj! — Ona sporządziła ten obiad, i on kapłona tego zjad, — i znowu pyta: na doprawdy, dość téż to kosztuje? — A óna na to: wszak'em ja panu powiedziała, że sto dukatów. — On sie sługa zadziwił i powiadá: to jest niepodobno, żeby to sto dukatów miało kosztować. — Bardzo mu było markotno. Więc poszli do pana, a pán mówi: jakżeście się zgodzili? — Ona: a sto dukatów. — Pán na to, do tego sługi: a to musisz zapłacić. — Więc ón musiał jej to dać; ale smutny wyjachał z gościńca.

Jadzie ten sługa daléj. Patrzy, a tu ten sám pán jadzie szterma końmi zaprzężoną karétą. Zajdrzał do karéty; widzi że pán má kędziorowatą głowę. Więc choć mu należało stanąć, zaczon umykać, bo się bál, żeby mu ten pán tego konia (cugowego) nie zabrál. A pán powiadá do swego forczmana: co takiego ten sługa zrobił, co tak ucieka, przecie my mu tu nic złego nie zrobili. — Kázał gónić go temu forczmanowi. Forczman go dogónił i nawrócił go do pana, a pán pyta się: co to znaczy, coś ty tak uciekał? —

A sługa powiadá: byłem w tym gościeńcu, i tu ta gościnna wzięła odemnie sto dukatów za jednego kapłona na obiad. — A pon mówi: no, to się ty wróć terá ze mną. — I schował tego sługę do karéty, żeby się nie pokazywał na oczy temu gościnnemu.

Pán zajeżdża do gościeńca i mówi do gościnnej: a niesporządzilibyście mi też obiadu? — A óna do pana: czemu nie?, sporządzę. — A pán: mácie téż świéże mięso? — Ona: jest. — Pán: jábym też jad, żebyście dobrego braku (ze skopów) zabili.— A gościnny: dobrzo jegomość, zabiję skopa. — A pán: a já okrutnie lubię z łopatki mięso, — a cobyście też za tę łopatkę chcieli? — I klepie go (gościnnego) po ramieniu, właśnie po łopatce. — A gościnny mówi: trzy złote. — A pán na to: daléj, odcinajcie te łopatkę. [1]). — Ale gościnny zafrasowany odzywa: sie: Przecie-ć ja nie swoją łopatkę sprzedawál. — A pán: widzisz, to trudno; kiedyś powiedział, to odrzynaj! — Gościnny: ady pán żartuje chyba. — Pán: a sto dukatów było dobrze brać za kapłona? i to nie żartem. — A gościnny: Panie! już oddam te sto dukatów, a dajcie mi pokój! — I oddał te sto dukatów temu służącemu.

## 106.

## Kobyle jaje.

Oc Kostrzyna (Siekierki).

W czasie kiedy się Niemcy zaczęli wprowadzać do Polski i wykupywali ziemię, jeden z nich, olender, okupił się we wsi i pojechał na targ do miasteczka. Ujrzawszy tam ogromnej wielkości korbal (dynię), zapytał chłopa filuta: Co to jest? — On mu na to, że: „to jest kobyle jaje.“ — Niemiec pyta: „Cóż z tem zrobić?“ — Chłop mu mówi, że trzeba na tém cztery tygodnie bez przerwy siedzieć, a wylęgnie się zróbak, a za rok będzie miał konia. — Po długich targach, zapłacił niemiec chłopu kilka talarów za korbala.

Przyszedłszy do domu, wyśmiał chłopka polskiego, że mu za tak tanie pieniądze pozbył rzecz tak kosztowną. Nastąpiła narada

[1]) Przypomina targ Shyloka o funt mięsa z *Kupca Weneckiego* Szekspira.

z żoną, gdzie ón ma odsiadywać na tem jaju. Żona doradziła że najlepiej w zbożu, w polu, na jego własnym płusie czy roli, gdyż w domu na to miejsca nie było, i aby sąsiedzi nie zazdrościli, bo wtedy nic by się nie wylęgło. Jak uradzili, tak się i stało. Żona mu tam nosiła wasser-zupki, kartofelzupki, a ku końcowi gdy osłabł, kluski z owocem, wieprzowinę i przez lepsze też pożywienie stał się nieco otylszym, ale i cięższym przy braku ruchu; — jednak był zadowolniony ze swego położenia, ciesząc się na oczekiwanego zróbaczka.

Dziedzic tameczny wyprawiał właśnie polowanie dla swojich gości i psy jego pogoniły w stronę gdzie Niemiec odsiadywał owe rekolekcyje. Dziedzic tuż za psami, zobaczywszy zająca, wystrzelił i ubił go; — a że to było tuż obok owego Niemca, a korbal pod nim był już nadgniły, więc mój Niemiec zląkłszy się upadł na ziemię; — i w tém ujrzał, że zając pada tuż obok niego. Więc załamał ręce i woła w najwyższej rozpaczy: Moje zibie, moje zibie (źrébie)! — a dziedzic mu na to: Ej głupi jesteś, przecież to zając. A Niemiec, rozumiejąc jakoby on mówił o zajęciu, — mówi doń: „Ej, to było panu zająć, ale nie zastrzelić pif! paf!

(Znana i w Warszawie dykteryjka, gdzie znów mowa o Francuzie).

## 107.

### Kłos żyta.

Od Kostrzyna (Siekierki).

W jednej wsi mieszkał dziad i baba, — tak ich nazywała cała wieś, lubo nie bardzo jeszcze byli starzy, i dosyć czerstwi. — Przecież byli próżniakami, mogąc jeszcze robić podług swojich sił. Chodzili tylko po żebrocie, i zawsze prosili aby im dano coś z gotowanego jadła i chleba, bo gotować się babie nie bardzo chciało. Sprzykrzyło się to całej wsi i okolicy, która uznała, że ludzie ci mogli byli jeszcze zapracować.

Nadchodzi tedy św. Marcin, gdzie mówiono im, że przez lato mogli byli tyle uzbierać, aby teráz z tej pracy mogli mieć pożywienie. A więc nastąpiła narada pomiędzy dziadem a babą, do jakiej by się to wziąść roboty. Baba utrzymuje, że najłatwiejszą robotą jest zbieranie kłosów po polu; dziad się chętnie na to zgodził. Wybrali się tedy po św. Marcinie, na kłosy. Szukali, ale

nic nie znaleźli, bo już były wyzbierane i bydło resztę spożyło; (w)szakże pozostał jeszcze jeden kłósek, który podjęła baba i z tryumfem przylatuje do dziada: a widzisz jaka ja to robotnica, lepsza od ciebie, bom znalazła kłos. Zaniechali tedy dalszych poszukiwań a kłosek ten przynieśli do domu; położyli go na stole, wykruszyli, ale nic więcej nie znaleźli, jak jedno ziarnko żyta.

Wtedy stanęła narada: co z tém ziarnkiem zrobić? — W końcu zgodzono się, aby to ziarnko zgotować w dużym garnku na zupę, aby się oboje najedli; co też uskuteczniła baba. Dziad przyszykował wielką misę, baba wylewa z wodą zgotowane ziarnko na misę; w tém z po za piecka wylatuje duża mucha i porywa z miski owo ugotowane ziarnko. W najwyższém oburzeniu, dziad chwyta topór, a baba obcęgi, i daléj w pogoń za ową złodziejską muchą.

Nieszczęście chciało że mucha ta usiadła babie na czole. Dziad w najwyższym zapale oburzenia, uderza babę toporem w czoło; baba rozgniewana i skaleczona, uderza znów w czoło dziada, na którém usiadła taż sama spędzona z niej mucha — i tak oboje zostali skaleczoni a i dobrze że sie nie pozabijali. Odtąd przyrzekli sobie, że już nigdy po św. Marcinie nie pójdą na zbieranie cudzych kłosów, tylko się zajmą pożyteczną i uczciwą pracą, do wieku i sił ich stosowną.

## 108.

### Ksiądz Węgierski.

(Dykteryjka).

*(Przyjaciel ludu,* Leszno 1842, rok 9. N. 16).

Minęło może już temu lat przeszło pięćdziesiąt, jak tak dalece u przodków naszych ulubione wyszły z użycia hajduki. Jam tych rubasznych nie zaznał już famulusów, lecz posłuchawszy nie dawno temu o nich gawędkę, umyśliłem za świeżéj jeszcze pamięci, pocieszny o Karasiu hajduku skreślić tu kawałek.

A więc, za czasów króla Stanisława Augusta, pewna znakomitego rodu w Wielkiej-Polsce zamieszkała pani, zjechawszy jednego lata na świętojańskie do Poznania kontrakty, czyli to dla rozrywki, lub też interesu, wystawny na kilkadziesiąt osób w swém

mieszkaniu, dawała obiad. Do zaproszonych grona miał także należéć niejaki ksiądz Węgierski. Karaś hajduk, w usługach dopiero co rzeczonej pani (Podstoliny) dostaje od niéj zlecenie, zamówienia księdza Węgierskiego na tenże obiad; lecz Karaś namiętnie spijał gorzałkę, a owéj godziny, jak na przekorę swéj pani, błędnéj był myśli. Cóż więc robi? — wywiaduje się co żywo faktorów o mieszkaniu greckiego spowiednika, a trzeba nam wiedzieć, iż gmin wtedy każdego z popów greckich, księdzem węgierskim mianował [1]). Karaś, nie uszło pół-kwadransa, missyonarza Dysunitę [2]) na obiad do pani Podstoliny zaprasza. Znał wprawdzie ten ostatni damę, o któréj tu mowa; wszelako dziwno mu się widzi, zkąd, po krótkiém raz tylko z Podstoliną powitaniu się, tak niespodzianéj od niéj mógł doznać grzeczności; ale możnaż łaskawemu odmówić wezwaniu?

Obiadowa domierza godzina, Missyonarz galowe obleka szaty i bez dalszego namysłu, na zaproszony pośpiesza obiad. Salony uprzejméj damy już liczném osób zajęte były gronem, gdy w tém, przy uchyleniu podwoji, goszczących ksiądz grecki pozdrawia. Pani Podstolina, grzecznie, z uwielbieniem, rzadkiego u siebie wita gościa, sądząc, iż to tylko chwilowa będzie wizyta, aż tu, dają znać do stołu. Missyonarz odejść z pożegnaniem ani myśli, a zatém gospodyni domu, rada nierada, prałata Dysunitę na obiad zaprasza. Dziwno gościom, co się stało; spowiednik grecki u stołu się zjawił, pierwsze niemal zająwszy miejsce.

Po drugiém daniu, pyta się z cicha Podstolina Karasia, czy ksiądz Węgierski przyjął na obiad inwitacyą, gdyż go wcale u stołu nie widzi. Hajduk, wskazując palcem za krzesło, daje do zrozumienia pani, iż obok niéj przecież siedzi. Odgadła natychmiast Podstolina, jak prosty sługa jéj wypełnił rozkaz; a tajac śmiech w sobie serdeczny, po odejściu Missyonarza opowiedziała dopiero gościom, jakim się trafem, ostatni u niéj na obiedzie znajdował.

*A—y Z.*

---

[1]) I dziś (1842) nieraz lud prosty księdzu greckiemu powyższe nadaje miano.

[2]) Za panowania Stanisława Augusta, zamieszkiwały Poznań liczne Greków rodziny (kupieckie), które swego własnego tamże utrzymywały księdza.

## 109.

## Quare?

**Powiastka szkólna.**

Pewien wieśniak przyprowadził syna swego do księdza dobrodzieja, prosząc pokornie, aby go był łaskaw wyexaminować, czego się też w szkole nauczył? — Ksiądz pleban, któremu już dawno Alwar z głowy wywietrzał, był w wielkim kłopocie, niewiedząc jak się z tego gładko wywinąć. Lecz przytomny organista rzekł: „co tam ksiądz dobr. masz się męczyć z chłopcem: zdaj to dobrodziej na mnie, już ja go wyexaminuję.“ — Stawa uczeń na popis, a uczony organista zadaje pytanie: Quare? — Chłopiec odpowiada z pokorą: czemu, dlaczego? Tymczasem surowy examinator nie kontent wcale z téj odpowiedzi, powtarza dobitniejszym głosem swoje Quare? — Zmięszany student nie wié co na to odpowiedzieć; a organista z tryumfem krzyknie: Quare tristis es anima mea, et quare conturbas me? (Czemu smętną jesteś duszo moja, i czemu mnie prześladujesz), wiersz łaciński z Ministrantury, którą naturalnie dobrze na pamięć umiał. Z tego zmięszania i organista filut i chłop prostak oczywiście się przekonali, że chłopak w szkole próżno kaszę zjadał. Za karę przeznaczono go do wołów. Kiedy więc musiał orać, zwykł był sobie śpiewać za pługiem:

*Boves mei boves, propter unum quare,*
*jussit me parochus parenti arare.*
Wołki moje wołki, dla jednego czemu,
Kazał-ci mi pleban orać ojcu memu.

Właśnie kiedy tak biedny chłopak skargi swoje rozwodził, przejeżdżał tamtędy biskup. Słysząc dziwny śpiew oracza, kazał stanąć, a zawoławszy go, pyta: gdzieby się nauczył tej łacińskiej nóty? — Chłopiec opowiada cały swój examen. Biskup dowiedziawszy się o wszystkiém, a nadto przekonawszy się, że istotnie nie źle po łacinie mówił i w odpowiedziach okazywał dowcip, wziął go z sobą, oddał do szkół a potém do Seminaryum, i wyświęciwszy na księdza, posłał go na plebana na to samo miejsce, gdzie był tak niesprawiedliwie examinowany. Natenczas kolej odpowiadania

na owo nieszczęsne Quare przyszła na nieumiejętnego parocha i złośliwego organistę; lecz co się z nimi stało? — nie wiedział ten od którego tę powiastkę słyszałem. X. A. R.

*(Przyjaciel ludu,* 1835 rok 2gi N. 24).

## 110.

## Trafna odpowiedź [1]).

(Dykteryjka klasztorna).

*Przyjaciel ludu,* Leszno, 1839 rok 6. N. 24. str. 190).

Pani kasztelanowa K. znana była w całéj okolicy z nieograniczonej dumy, a bardzo ograniczonego umysłu, co zwyczajnie jedno z drugiém w parze chodzi. Pan kasztelan K. godny jéj małżonek, miał serce dobre, lubił pokój w domu, a nadewszystko grosze. Że zaś jéjmość wniosła znaczny posażek w dobrach i gotówce, jegomość zatém rad nierad ulegać jéj musiał i na pierwszy rzut oka nie trudno było rozpoznać, kto w domu kasztelańskim rej wodzi.

Razu jednego kwestarz z pobliskiego klasztoru zajechał na dziedziniec przed dwór państwa Kasztelaństwa, a dowiedziawszy się od sług, że pana kasztelana w domu nie było, woźnicy swemu koni wyprządz nie kazał, przekonany, że nienajlepszego dozna przyjęcia, jako prosty braciszek w domu, gdzie tylko wielmożnych i jaśnie wielebnych mile przyjmowano i że wkrótce znowu nawrócić trzeba będzie.

Zbliżała się właśnie godzina obiadowa, gdy kwestarz z dobrym apetytem, wpuszczony przez odźwiernego do komnaty pani kasztelanowej, klasztor swój wspaniałomyślności JW. protektorki, jak ją nazywał, polecał; a lubo sobie nie wiele po owej wspaniałomyślności obiecywał, sądził przecież, że na mocy praw gościnności, dobry obiadek dla siebie i obroczek dla koni pozyska. Skrzywiła się pani kasztelanowa na widok prostego kwestarza i z góry mu oświadczyła, aby poszedł do kuchni, gdzie się będzie mógł za-

---

[1]) Coś podobnego lubo w odmiennej zupełnie wersyi i konkluzyi, opowiada gadka zamieszczona w seryi III dzieła *Lud* (str. 177) z Kujaw.

silić! — Na to odrzekł jéj obrażony kwestarz: „Gdyby tu tylko o moją chodziło osobę, zjadłbym obiad nietylko w kuchni, ale nawet i gdzieindziej; ale mając na sobie sukienkę klasztorną, ubliżyłbym tym krokiem całemu zakonowi; wole zatém głodny wyjechać, niż coś podobnego uczynić.“ — Zmieszało to nieco panią kasztelanowę, która gwardyana obrazić się lękała, ażeby w niedzielę lub na odpuście, oddając wet za wet, nie pominął jéj w chwili, gdy zgromadzonym paniom patynę po Mszy św. do pocałowania podaje, a ubliżenie takowe byłoby ją okropnie w oczach całego sąsiedztwa upokorzyło. — „„Kiedy tak, (rzecze po chwili do kwestarza), zjész wasze (przydomek, jakim zwykle osoby niższego rzędu uraczała), przy moim stole obiad.““

Niedługo potem dano na stół, a kwestarz, złożywszy swoję laskę i kapelusz przy samych drzwiach, i zasiadłszy na szarym końcu (jak się samo przez się rozumie), zaczął zajadać potrawy i postanowił ograniczyć się tylko na odpowiedzi, jeżeliby był zapytany, i znosić aż do końca obiadu przycinki, jakich z pewnością dla niego jéjmość szczędzić nie zechce. I tak się też stało. Już pieczyste było na stole, zwykły znak końca obiadu, kiedy pani kasztelanowa odzywa się do kwestarza: „„Wasze jesteś zapewne synem jakiego chłopa lub rzemieślnika, bo takiéj kondycyi ludzie tylko kwestarzami zwykle bywają?““ — „Rzemieślnika biédnego, JW. dobrodziejko!“ — odrzekł pokornie kwestarz. — „„A jakiejże professyi był ten ojciec waszeci?““ — zapytała znowu kasztelanowa. Kwestarz, już nasycony, nie namyśla się długo, i kontent ze sposobności oddania za swoje, rzecze z przyciskiem: „Był on bednarzem; a komu piątéj klepki brakowało, temu ją wprawiał.“ — Słowa te dotknęły do żywego panią kasztelanową i postanowiła się zemścić przykładnie za taką obrazę; ale zanim sługi zgromadzić zdołała, kwestarz nie w ciemię bity, ująwszy laskę i kapelusz, wyniósł się czém prędzéj z sali, i wsiadłszy na brykę, szczęśliwie i spieszno w dalszą dążył drogę.

Wypadek ten jednak nie był bez korzyści. Upokorzona kasztelanowa poznała swe błędy i całkiem się zmieniła, a mąż, wróciwszy w dni kilka do domu i dowiedziawszy się o wszystkiém, sprowadził napowrót do domu owego kwestarza, hojnie uraczył, o częste bywanie u siebie prosił i klaszor sowitą jałmużną obdarzył.

## 111.

## Dykteryjka klasztorna.

(*Przyjaciel ludu.* Leszno 1840 rok 6. N. 28 str. 224).

W pewném miasteczku wielkopolskiém stała przed laty obok klasztoru ojców Bernardynów bóżnica żydowska. Że zaś z tego ciagłe wynikały zatargi, postanowiono nareszcie spór przez dysputę załatwić, i albo klasztór, albo bóżnicę znieść, stósownie do tego, kto kogo przedysputuje. Na dysputę takową przeznaczono z jednéj strony gwardyana, a z drugiéj rabina. Kalafaktor klasztorny, usłyszawszy o tém, sądził, żeby to powadze gwardyana ubliżało, gdyby miał z Żydem dysputować. Prosił zatem, żeby jemu załatwienie sprawy tej w imieniu klasztoru poruczono, ale żeby dysputa na migi odbyć się mogła. W dniu wyznaczonym, stawa z jednéj strony kalafaktor, przybrany w habit, jakby istotny gwardyan, a z drugiéj rabin. Zaczyna się dysputa. Rabin podnosi najprzód palec do góry, na co kalafaktor palec ku ziemi zwraca i przytępuje (tupie). Rabin powtóre skazuje ku niemu jednym palcem, a kalafaktor dwoma; nareszcie rabin ukazuje rękę roztwartą, a kalafaktor pięścią na to odpowiada. Tu rabin wyznaje, że został przedysputowany, a wskutek tego bożnica ma być rozebraną, i gdzie indziej wystawioną. — Ciekawi widzowie zapytali się następnie rabina, co by on powyższemi znakami wyrażał, i odebrali od niego odpowiedź: „Pokazałem księdzu gwardyanowi palcem w górę wzniesionym że Bóg jest w niebie; a on spuściwszy palec na dół, dowiódł, że nietylko w niebie, ale i na ziemi. Pokazałem mu daléj, wystawiając palec naprzód, że oko opatrzności patrzy na świat; a on odrzekł znakiem, że nietylko jedném, ale dwoma patrzy oczyma. Ręka roztwarta oznaczała, że Bóg świat na dłoni trzyma; a ściśniona, że Bóg świat mocno w swém ręku trzyma.“ — Zapytany nawzajem kalafaktor, całkiem inaczej rzecz tę tłumaczył: „Palec do góry wzniesiony okazywał, że mnie chce powiesić; na co ja mu dałem do zrozumienia, że go pierw w ziemię wbiję. Daléj chciał mi palcem oko wyżgać; a ja mu odgroziłem utrata obydwóch. Nakoniec chciał mi ręką policzek dać, a jam mu na to całą odgroził pięścią“. *C.....*

# PRZYPISY.

1.

## Do stronicy 19.

K. Szulc (*Mythologija*, Poznań 1880, str. 85) mówi: „Wyobrażenie o osobistości słońca napotykamy w powieści o siedmiu braciach w kruki zamienionych, wedle której słońce wespół ze swoją matką w cudnym mieszka pałacu na wysokiéj górze.

Dalej mówi Szulc (str. 179): Podług polskiej zaś i serbskiej powieści o siedmiu krukach, był księżyc bratem słońca.

(*Lud*, Ser. VII str. 28).

2.

## Do str. 35.

nr. 9.

O objazdach podobnych, najczęściej w celach sądowych odprawianych, niejedna wspomina ludowa bajka.

J. Łukaszewicz w *Obrazie m. Poznania* (Poznań 1838, str. 435) przy kronice miasta mówi:

Rok 1400. Król Władysław Jagiełło zjechał do Poznania i sądził poroczki ziemskie. Zasiadali na nich przy królu Dobrogost arcybiskup gnieznieński, Wojciech biskup poznański, Tomko generał wielkopolski i Sędziwój Ostroróg, wojewoda poznański. Sądził król te poroczki lada gdzie, jakoto in stuba Abraham Judaei, u Dominikanów w klasztorze, często na zamku, na ratuszu, in domibus civium i platea (na ulicy), w domu prokuratora generała wielkopolskiego (in Domo procuratoris Domini Capitanei), przed zamkiem, na jakimś placu, albo na moście, przed domem jakiegoś złotnika poznańskiego. Na tych poroczkach bywało bardzo wiele spraw; dnia nie miały pewnego, przeto sądził je król kiedy chciał. Zasiadał na nie albo rano, albo wieczorem, rzadko sądząc dzień cały. Często spraw nie odsądzano, a częściej je odwoływano. Równie przy królu jak i w nieprzytomności jego sądzili wszyscy urzędnicy ziemscy. Na poroczkach tych w nieobecności króla

prezydowali biskupi poznańscy lub wojewodowie. (Archiwum grodzkie. Rękopism Mielcarzewicza).

Rok 1469. Znajdował się Kazimierz Jagiellończyk w Poznaniu i sądził poroczki ziemskie w pałacu biskupim. (Archiwum grodzkie).

3.

## Do str. 35 i 116.

nr 9 i 24.

Kaz. Szulc (*Mythol. słowian.* Pozn. 1880 str. 221) mówi: Lubo niedźwiedź przedstawia światłego w ciemności, to jednak w powieściach słowiańskich jest mu często właściwy charakter demoniczny. Afanasiew w 28 powieści V. księgi opowiada o królu niedźwiedziu ukrytym w źródle, odpowiadającym królowi Czarnuchowi w powieści polskiej u Rymarkiewicza (*Wzory prozy I. 57*), jak pewien król idzie na polowanie, ponieważ ma pragnienie, chce się ze źródła napić, niedźwiedź (król Czarnuch) chwyta go za brodę i puszcza tylko pod tym warunkiem, że za siebie odda mu wszystko co ma w domu, nie wiedząc o tém. Król się na to zgadza i dowiaduje się wróciwszy do domu, że mu się urodziły bliźnięta (w polskiej powieści: jedynak) i t. d

4.

## Do str. 52. 62.

Dr. A. Bastian (*Reise durch Kambodja, Jena, 1868, IV. 348*) powiada: Der Eulenspiegel (sowizdrzał) der Siamesen ist Sisanoxi. Vom Könige befohlen, sein Hauswesen herzubringen, (d. h. seine Familie), sitzt er auf seinem Herde und sucht ihn mit sich zu schleppen, bis der dazu kommende König ihn auslacht. Auf den Befehl, eine Armee auszuheben, nimmt er zwei Steine in die Hand, sie zusammen-schlagend, und geht so nach dem Laoslande, die Rebellen zu unterwerfen.

5.

## Do str. 52. 310.

*Przyjaciel ludu,* Leszno 1838 rok 5. N. 6 mówi na str. 47: Sowiźrzał [1]).

„Wieśniak polski zna dobrze Sowiźrzała (v. Sowizdrzała), wystawiając sobie w jego osobie przebiegłego filuta, przedrzeźniającego śmie-

[1]) Ob. W. A. Maciejowskiego: Sowizrzał i Twardowski (podania) w czasop. *Biblioteka Warszaws.* r. 1841 m. lipiec. Toż *Lud* Ser. VIII str. 333.

szności ludzkie. Jest nawet drukowana historya o Sowiźrzale, należąca może do najdawniejszych druków w Polsce. Lelewel wspomina w swych bibliograficznych książkach, historyą o Salomonie i Markolfie, podobnéjże treści, i wypisał z niéj krótki wyimek. Gdyby kto z czytelników naszych, posiadał coś podobnego, i zechciał udzielić publiczności, przyłożyłby się nietylko do zabawienia onéjże, ale nadto do zachowania od wiecznéj zagłady pod względem starożytności, dość ważnego dziełka.

Sowiźrzał zapewne z Niemiec do nas przywędrował, i miał żyć w piérwszéj połowie 14go wieku; lecz zkąd rodem, nie wiadomo. Umarł w Mölln, niedaleko Lubeki, gdzie dotychczas ma się znajdować jego nagrobek, na nim sowa (Eule) i zwierciadło (Spiegel, = Eulen-Spiegel) i taki napis w niemieckim języku:

Tu Sowiźrzał pochowany,
z różnych figlów świata znany.

Za życia, miał to być wesoły, jedyny kompan; nie posiedział on nigdy długo na jedném miejscu: wędrował po Niemczech, Włoszech, Polsce, a wszędzie płatał figle i rozśmieszał swojim dowcipem: nigdy on się nie smucił, nie zajął żadną poważną pracą, przed zgonem nawet, spowiednika swego jeszcze w pole wyprowadził. Dla tego też pamięć jego żyje w ustach tych ludów, u Polaków poszła nawet w przysłowie, którzy swywolnego psotnika, dotąd Sowiźrzałem zowią. Już w 15tym wieku kursowała książeczka pod tytułem: Sowiźrzał (Eulenspiegel), po tysiąc razy drukowana i tłomaczona na wszystkie języki. Mnich jeden niemiecki, nazwiskiem Tomasz Murner, znany satyryk niemiecki, kazał ją drukować w Strasburgu 1519 r., a może sam ją napisał, lub z powieści gminnych ułożył i ztąd się po całéj Europie upowszechniła [1]).

## 6.

## Do str. 72. 83. 103.

(nr. 16. 19. 22).

J. G. v. Hahn: *Griechische und albanesische Märchen* (Leipzig, 1864, T. 1. s. 201 [2]). Die Goldschmiedin und der treue Fischerssohn. Tu opowiada baśń, jak królewicz z mniemanym bratem swym

[1]) U ludu nieco podobną rolę odgrywa pijak Maciek, ob. *Lud* Ser. II (Sandomierskie) str. 158 N. 198. — *Lud* Ser. IV (Kujawy) str. 67. N. 264. — Ser. VI str. 185. — Właściwie jednak jest to wszystkowiedz, pod postacią błazna swe nauki gadający.

[2]) Ma o tém mówić i dzieło: Neumann'a (pod pseudonym. San-Marte): Gross-Polens National sagen, Märchen und Legenden; — und Localsagen des Grossherzogthums Posen (Bromberg 1842).

(synem rybaka) upodobał sobie żonę złotnika i chciał ją pojąć. Dopomógł mu do tego brat (rybacki syn) który ją wyprowadził z domu złotnika; dom ten miał 7 piątr, a złotnik 7 zamków otwierał aby się dostać do swojéj żony z koroną złotą na głowie i jabłkiem złotém w ręku. Rybacki syn podkopał się i wykradł ją i do okrętu wsadził. Złotnik z gniewu wyrwał sobie oczy; te się przemieniły w ptaki, które usiadły na masztach i rozgowor prowadziły, że królewicz będzie zabity lecz go miłość brata (rybaczka) ożywi, kto się jednak z tém wygada, ten skamienieje od stóp do kolan; potem spadnie królewicz z konia i szyję złamie, ale go brat znów ożywi; kto się z tem wygada, ten skamienieje od kolan do pasa; potem ukąsi go śmiertelnie suka, ale brat wyleczy; kto to wypaple, ten się cały w kamień obróci. — Brat ten w istocie został kamieniem; lecz go znów ożywiła królewiczowa, wylawszy nań łzy swe, które przez 3 lata zbierała w osobne naczynia.

(*Lud* Ser. VIII str. 67).

7.

J. G. v. Hahn: *Griechische und albanesische Märchen* (Leipzig, 1864. T. 1. s. 215. Sohn des Schulterblattes). Wdowa idąc do lasu po drwa, podniosła kość plecową ze skały, włożyła ją w zanadrze, zaszła przez nią w ciążę i urodziła syna z kości. Gdy dorósł, zaprowadziła go w to miejsce do lasu; on tę skałę podniósł sam (któréjby 40 draków nie podniosło), i zaszedł po schodach w głąb ziemi gdzie było miasto. Znalazł ogród, wnim jabłoń i gdy zaczął rwać jabłka, wpadła nań pilnująca je Lamia; (Ser. VII str. 292) uderzyła go, że wpadł aż po kolana w ziemię; on ją mocniej, że wpadła aż po lędźwie; potem znów go Lamia po pas wrzuciła, a on ją wreszcie po szyję i uciąć jej chciał głowę, ale darował jej życie za córkę. Matka jego wdawszy się z drakami w miłostki, chciała go zgubić; kazała mu przynieść sera zajęczego i mleka gemzy, potem wody żywota; wszystko to przyniósł. Potem, wedle rady draków, zapytała go: gdzie leży siła jego? Wydał się, że leży ona w trzech złotych włosach na głowie. Wyrwała mu je iskając, a draki go zabili, dali ciało Lamii, a głowę zostawili sobie dla zabawy; ale 3 gołębice zaniosły ją do Lamii, która go ożywiła wodą żywota.

(*Lud* Ser. VIII str. 79).

8.

## Do str. 72. 103.

J. G. v. Hahn: *Griechische und albanesische Märchen* (Leipzig, 1864. T. 1. s. 270 — Die Cedercitrone. Baśń opowiada jak królewicz

zwalczywszy przeszkody różnych smoków, dostał się do drzewa cedrowego; z cytryny którą zerwał wyszła dziewica, zamieniona potem w rybę; z krwi zabitej ryby wyciekłej na ziemię wyrosł cyprys; ścięto go i spalono a z trzaski którą podniosła baba jedna, powstała znów owa dziewica.

9.

## Do str. 77.

nr. 18.

Porównaj baśń wielkoruską o Salomonie w zbiorze pieśni ludowych (bylin) Rybnikowa (Moskwa 1861). Porównanie podań słowiańskich o Salomonie i Kitowrasie (Centaurze) z legendami o Morolfie i Merlinie przez Al. Weselowskiego (Petersburg 1872). Ocenę tej publikacyi i treść ogłosił V. Jagić w: *Archiv für slavische Philologie* (Berlin 1875. Tom 1. str. 104 i następne).

Baśń przez Rybnikowa wierszem podana (mająca mnóstwo jeszcze waryantów) opowiada: „Piękny cesarz Wasili Okuliewicz biesiadując z magnatami swego państwa, zażądał wśród wspólnej ochoty, aby mu który z nich równą w urodzie i rozumie dostawił narzeczoną. Więc młodzieс Iwaszka obowiązuje się wykraść dalekiemu Salomonowi piękną jego cesarzową Salamaniję podstępem i przywieść takową do swojego pana. Uzbrojony tedy okręt i przecudnemi obładowany towarami i darami, wyprawiony został pod wodzą Iwaszki, który wyladowawszy złożył dary u stóp cesarzowej (cesarza właśnie wówczas nie było w domu) i prosił o roztasowanie swoich towarów na targ. Zaproszona cesarzowa, przybywa na okręt, i gdy tu ugoszczona i odurzona zasnęła, okręt odbija od brzegu i płynie z nią do cesarza Wasila, z którym połączona żyje trzy lata. Tymczasem Salomon bieży za nią w pogoń z wojskiem (byli to skrzydlaci rumako-ludzie, centaury) i mówi doń: za pierwszém mojem zadęciem w róg pasterski siodłajcie wasze konie, za drugiém siadajcie na koń, a za trzeciem lećcie mi na pomoc. Ciągnie tedy za „modre morze“ jako pielgrzym i przybywa do pałacu Wasila. Cesarzowa atoli, poznawszy go, każe go zamknąć do żelaznej skrzyni. Po powrocie cesarza z łowów, donosi mu ona o pojmaniu owego pielgrzyma, mówi kto on taki, i rozkazuje powiesić więźnia.

Salomon pod szubienicą prosi jeszcze Wasila, by mu w róg zadąć było wolno, i mimo opozycyi cesarzowej wietrzącej podstęp, pozwolenie otrzymuje. Wstąpiwszy na pierwszy stopień (gradus) dmie on na pierwszy znak; a tu przylatują wszystkie zwierzęta i ptaki. Za drugim znakiem danym na drugim stopniu, wszystkie drzewa wstrząsają swe konary i morze porusza się ze szumem. Za trzecim znakiem już też i wszyscy przybiegają sprzymierzeńcy, i oczywiście zamiast Salomona, dostaje się na pierwszy powróz Iwaszka, na drugi powróz Wasil, a na trzeci wiarołomna Salamanija napróżno żebrząca u małżonka o łaskę.

10.

## Do str. 118.

nr. 25.

Dr. A. Bastian (*Reise durch Kambodja* Jena 1868, str. 160) mówi: Jede Stadt in Siam oder Kambodja hat einen Chao oder dämonischen Schutzgott, und als solche figuriren jetzt häufig der Brahmanischen Mythologie entnommene Pörsenlichkeiten. Oft indess gilt als der heiligste Chao-Myang der sogenannte Stadtpfeiler (der Phra Lab Myang, oder: der Herr Pfeiler der Stadt), der vor der Gründung in den Mittelpunct aufgepflanzt wird, so wie auch die den Umfang als Weichbild bezeichnenden Marksteine. Mitunter schnitzt ein Amateur aus aesthetischen Rücksichten diesem Holzpfeiler ein Gesicht an, wie auch die rohe Irmensul später als Rolandsäule verschönert wurde.

11.

## Do str. 118, i 217.

Do baśni i podań z nad Gopła, należą także podania historyczne, z których przytaczamy tu:

### A. Podanie ludowe

o pięciu królach co panowali w Kruświcy, i zkąd powstało nazwisko Kruświcy.

(*Powieści i podania ludowe*, zebrał Józef Chociszewski).

Chełmno 1869.

„Za bardzo dawnych, dawnych czaśów, żył w Kruświcy, co się to wtenczas jeszcze Kruświcą nie nazywała, człowiek pewien bardzo ubogi. Temu kiedy się raz urodziło dziecko, to wtedy ów ubogi człowiek zaprosił w kumotry króla, bo za dawnych czasów panowali w Kruświcy królowie. Trzymał do chrztu to dziecko król, i wyprawił tęgie chrzciny, tak, że kto chciał, to się mógł dobrze pożywić. Wszyscy ludzie z miasta uraczyli się na tych chrzcinach do woli. Wtedy to dlatego nazwano miasto to Uczęśnicą — niby że to tam wszyscy dobrze uczęstowani byli — a z tego dopiéro późniéj zrobiła się Kruświca. Taki ma być pono początek nazwiska Kruświcy, gdzie dawniéj królowie rządzili, a dziś jest miastem bardzo małem.“

„Lichą jest dziś prawda mieściną Kruświca, ale dawniej to tam był wielki zamek, a w nim, jak już mowa o tém była, królowie rządzili. Zamek-cić ten jeszcze, ale już okrutnie opustoszały, stoji przy

jeziorze Gople, ale co królów, to już dawno niéma. A było tych królów w Kruświcy pięciu.“

„Pierwszy z nich był Popiel, który z początku nim królem został, był bardzo ubogim i jeno popiołek mój Boże! po lasach palił i tak sobie zarabiał na kawałek chleba. Ale Pan Bóg kiedy chce, to najbiedniejszego człowieka i królem może zrobić, tak też i ubogi Popiel, co jeno popiołek palił po lasach, i z czego też się Popielem nazywał, za dopuszczeniem Bożem królem został, a choć tam szlachty różnéj i panów i różnego narodu wiele było, co teżby się chcieli na królestwo dostać, to jednak ubogi Popiel za wolą Bożą królem był obrany.

„Ale jak to bywa nieraz, że kiedy dobrze się ludziom wiedzie, to zapominają o Bogu i ciężko grzeszą, tak też i Popiel, jak został królem, to zapomniał o Chrystusowej wierze chrześciańskiej i żył bardzo źle i w prawdziwą wiarę katolicką nie wierzył i na inną wiarę pogańską przystał. Tak też się Pan Bóg na niego bardzo ciężko zagniewał. I też niedobrze pono działo się pod nim w kraju. A matka jego była bardzo uboga. Chciała ona, choć też raz kochanego syna zobaczyć, bo go już dawno nie widziała. Przyszła tedy do Kruświcy. Ale Popiel niepobożny i niepoczciwy zaparł się swojej kochanéj matki, za co go tez Pan Bóg ciężko skarał. A kiedy Popiel zobaczył kochaną matkę, to choć ją poznał, jednak się jéj wyparł i mówił, że to nie jest jego matka, i powiedział: „A niech mnie myszy zjedzą, jeźli ta kobieta jest moją matką“ — A ona powiedziała: „Mój synu kochany, ja jestem twoją matką, a tyś mnie się wyparł, żeby ci się tak aby nie stało, jakeś powiedział,“ — i odeszła. A w tém mysz się pokazała. Popiel wziął miecz i rozciął ją. A zaraz zrobiły się dwie mysze z tej jednej, a kiedy znowu je zabijać i rozcinać począł, to się tém więcéj mnożyło. Zaczęły też zabijać sługi, ale to nic nie poradziło, a myszy coraz więcej się mnożyło, i wszystkie zaczęły rzucać się na Popiela i gryzły go [1]“.

Tak ten widząc, co się święci, kazał co tchu zrobić szklanną banię okrutnie wielką, a jak jeno była zrobiona, to wlazł w nią i kazał się wpuścić w jezioro na żelaznych łańcuchach. Ale to też nic nie pomogło, bo myszy poszły za nim we wodę i zaczęły się do tej szklannéj bani dobijać. Jak Popiel widział, że to już z nim krucho, wtedy dał znak, żeby go wyciągnęli, a jak go wyciągnęli, to się kazał zawieźć na tę wyspę, co to naprzeciw zamku leży a nazywa się Rzempowem i tam uklęknął i zawołał: „Przebacz mi Boże, bom zgrzeszył ciężko, że się zaparłem mej kochanej matki! — i padł krzyżem, a myszy go zjadły. A na tém miejscu gdzie krzyżem leżał, czy zimą czy latem trawa zawsze rośnie i to tak wygląda, jakby to był krzyż zielony“

Zaś inni tak o Popielu powiadają:

[1]) *Lud* Ser. III str. 35.

„Panował za dawnych czasów w Kruświcy król bardzo niegodziwy, co się Popielem nazywał. Rządził on bardzo źle, i źle też się w naszym kraju za jego czasów działo. Razu pewnego przyśli do Kruświcy rodzice jego; ojciec był w kamzeli po chłopsku, bo z chłopskiego był stanu, a matka też tak była ubrana jak to na wsi chodzą. Przyszło to dwoje ludzi przed zamek i mówili, że się chcą widzieć z swym synem, co jest królem. Jak słudzy o tém donieśli Popielowi, tak ten wyjrzał oknem i zaraz poznał, że to jego rodzice. I widział, że ojciec był w kamzeli, bo był chłopem, a matka też po wiejsku ubrana, więc nie chciał się do nich przyznać, bo go wstyd było, że on jako król ma mieć takich ludzi z prostego stanu za rodziców. Tak tedy powiedział: „A niech mnie myszy zgryzą, jeżeli to moji rodzice.“ — A wtém zkąd się weź to weź, chmara myszy się sypnęła i nuże na Popiela. Schwycił on za miecz i dalej siekać, tak samo i słudzy; ale cóż, kiedy co jednę rozetną, to zaraz dwie na jéj miejsce powstały. Jak Popiel widział że to nie przelewki, więc kazał czémprędzéj banię szklanną zrobić, wsiadł w nią i kazał się spuścić w jezioro Gopło na łańcuchu długim, żelaznym. Ale myszy popłynęły za nim i nie dały mu zmiru. Tak tedy dał znak, żeby go wyciągnęli, a jak go wyciągnęli, to na wyspę zaraz niedaleko zamku popłynął, a myszy też za nim. Tam padł Popiel krzyżem, a myszy go zagryzły. Ale tam gdzie choć jéno jedna kostka Popielowa padła, tam po dziś dzień trawa nie rośnie. Tak tedy zginął marnie i ciężką śmiercią Popiel, za niesłuchanie przykazania Bożego, boć rodziców nie szanować, to grzech bardzo ciężki.“

Zaś jeszcze inni powiadają, że:

„Popiel miał kilkunastu stryjów, których kazał zamknąć do stodoły i zapalić ją, a kiedy nieboracy wrzeszczeli w niebogłosy, to Popiel mówił, że to tak myszy kwiczą. Wtém też niedługo wyszła wielka moc myszy z ognia i zagryzła Popiela.“

„Zaś po śmierci niegodziwego Popiela znowu króla nie było w Kruświcy. A mieszkał téż tam wtenczas jeden kołodziej, człowiek pracowity, co się to Piazdą(?) czyli Piastem nazywał i ten się dostał na króla, choć to był jeno kołodziej prosty, i choć tam wiela różnego narodu i szlachty i panów o królestwo się dobijało, to jednak ów kołodziej poczciwy królem był obrany. Tak to wtenczas było, że się i prosty człowiek, byle poczciwy, na króla mógł dostać, a nie tak jak teraz, co prosty człowiek za nic(!) Lepsze to były czasy. I ten Piast rządził dobrze, to się też dobrze pod nim w kraju działo. A zaś kiedy i on umarł, znowu króla nie było. Wtedy to był koń taki, bogato ubrany, co, kto na tego konia usiadł, to miał być królem. A choć tam znowu było wielu szlachty i panów, a wszyscy się chieli na królestwo dostać, to jednak tak się nie stało, gdyż ubogi człowiek, co orał w polu, kmieć z prostego rodu, nazwiskiem Lemież tron królewski otrzymał, gdyż ten koń przyszedł do niego i uklęknął, i na żaden sposób odejść nie chciał, jeno żeby ten, co tam w polu orał, wsiadł na niego, a każdego innego zrzucił z siebie. I był ten Lemież królem po Piaście. Zaś

po Lemieżu był królem Jagieła, co jagiełką, kaszką, krupą i różną żywnością handlował, a jednak, mój Boże! w końcu królestwo osiągnął. Piątym królem to był Kazimierz, co wprzód był księdzem, a jednak tak mu Pan Bóg poszczęścił, że jeszcze był królem i królował. Ci to tedy królowie: Popiel, Piast, Lemież, Jagieła i Kaźmierz byli królami w Kruświcy.

### B. Podanie o zaśnionych rycerzach

pod Mątwami.

„Wieś Mątwy leży w powiecie Inowrocławskim. Tam bili się raz Polacy z Polakami i dlatego co rok w rocznicę tej bitwy woda Noteci w krew się zamienia. Tak samo dzieje się, jeżeli się na wojnę zanosi. Wznosi się na polu niedaleko wsi góra, a w niej śpią ci żołnierze. Kiedy będzie wojna o wiarę, wtedy się obudzą, aby walczyć. Inni powiadają, że to jest wojsko św. Józefa. U koni są złote wędzidła.

(Obacz: *Lud* Ser. XI str. 13).

## 12.

## Do str. 157.

nr. 30.

## Halka.

(Z gminnej powieści z okolic Poznania).

(*Przyjaciel ludu* Leszno 1837, rok 3. N. 36, str. 288).

(ob. *Lud* Ser. X str. 125—126. 362).

1. Czemuż po téj świętéj niwie
zbierasz kwiatki tak skwapliwie?
rzekł do Halki dziad kościelny.
Co się zrywa na cmentarzu,
to się składa na ołtarzu,
a dziś właśnie dzień niedzielny.

2. Nie, staruszku, dziewczę woła,
nie zrywam ich dla kościoła;
innym razem go ozdobię.
Dziś ja z rady dobréj matki,
na to święte zbieram kwiatki,
by w nieszczęściu pomódz sobie.

3. Pierwsza niegdyś z dziewic grona,
urodą Zosi zgaszona,
straciłam serca młodzieńcze.
Mówią, że: szczęściem obdarza
kwiat zerwany wśród cmentarza,
a więc dziś się nim uwieńczę [1]).

[1]) Według tej to zapewnie wiary, w pieśni ludowej; Stała się nam nowina, pani pana zabiła i t. d. zabójczyni posiała na grobie zabitego

4. Nie kłopoc się, dziadek rzecze,
już ci żaden nie uciecze,
gdy w tém szczęścia widzisz tyle.
Wszystkie kwiaty uzbierane,
dla zgaszenia Zosi rwane,
rwałaś je — na jéj mogile.

*F. M(orawski).*

## 13.

J. Grimm (D. Myth. str. 786) Dusza. Jest to jistota niewieścia; gock. saivala niby saivs (mare) falista płynna siła, staroniemiec: seola, srodk. niem. sele, angiels. soul, staropóln. sal, szwedz. själ (ztąd fińs. sielu); grec. psyche, łac. anima, franc. ame, hiszp. alma, słowiańs. dusza, litews. duszia, łotys. dwehsele; odróżniają męski dech, spiritus, anemos dotykalniej w płuca i z płuc wychodzący; często obie nazwy nader blisko siebie leżą jak np. łaciń. animus i anima, słow. duch i dusza. I w mytach związek ten istnieje. Duszę symbolizuje już to motyl nad czołem, już kwiat, już ptak lotny. Wedle pieśni o Runzifalu wyrasta z ciał poległych pogan szakłak ciernisty (hagen, schwarzdorn), z ciał chrześcijan biały kwiat. Z grobu zamordowanych lub ściętych wyrastają białe lilije na znak ich niewinności, z grobu dziewicy trzy lilije które zerwać ma kochanek. Na grobach kochanków wiją się powoje i rośliny które się z sobą splatają. I w szwedzkich pieśniach wyrastają z grobów lilije i lipy. Okręt gdy zatonął, widziano z brzegu dusze zatopionych w postaciach białych gołębi unoszące się ku niebu (Maerlant). Romańska legenda mówi o męczennicy Eulalii: in figure de colomb volat a ciel. Wyobrażenie to chrześcijańskie. Podanie polskie głosi że każdy zmarły z rodziny Herburtow przemienia się w orła (Wójcicki).

Gdy zbójca Madej (obacz str. 197) spowiadał się z licznych swych grzechów klęcząc pod drzewem, jabłonią, wtedy za każdém wymienioném zabójstwem uciekało jedno po drugiem jabłko w postaci białego gołębia w górę; były to dusze pomordowanych; w końcu zostało jedno jabłko, a Madej chciał ten grzech przemilczeć; wreszcie jednak wyznał go, a dusza jego ojca wraz z ostatniem jabłkiem uleciała w postaci szarego gołębia. Podolska duma mówi o dębie na mogile i o białym gołębiu na dębie. U Greków ulatywała dusza w postaci motyla

---

rutę czy lilię, i żądała bujnego jej wzrostu, by rychło znów za mąż pójść mogła. (Ser. I str. 15—17). Podobnie jak rozkwitający przy każdym początku Kalpy (buddystycznego okresu czasu) kwiat lotusu, tak i emblemat nadchodzącego znów Buddhy, obejmuje rozwinięty przez króla Dehdu-Ssain-Nomihu-Chan w Sukhawati całkowity Chubilghan w sobie. Według romancy hiszpańskiej została Isolda brzemienną po użyciu białej Lilii wyrosłej z grobu Tristrama. (Dr. A. Bastian: *Die Voelker des Oestl. Asien*, Leipzig 1866, T. II str. 450).

Psyche). Ze śpiących i zachwyconych ulatuje ona przez usta jako wąż, łasica, mysz.

## 14.

## Do str. 148.

Dr. A. Bastian: *Reisen im indischen Archipel* (Jena 1869, str. 134) powiada: Die Kalang, die mit ihren Karren in Java umherziehen, leiten sich aus der Ehe her, die eine Prinzessin von Mendang Kamulan mit einem Häuptling eingegangen, der in einen Hund verwandelt worden, und verehrt jede Familie einen rothen Hund. Die Alfuren in Celebes tödten einen Hund vor der Anpflanzung des Reis (nach Temminck). Die Karier, deren Land (nach Athenäus) Phönizien genannt wurde, opferten dem Mars Hunde. Die Morasu (in Karnata) verehren Kala- Bhairawa (der schwarze Hund).

## 15.

## Do str. 179.

nr. 40.

Baśń ta wykazuje wiarę ludu w żywot pośmiertny na ziemi.

Wójcicki (Stare gawędy IV. 318. 343) mówi: Kiedy za dawnych lat umarł pan Hetman, a był to pan sławny, jeden z towarzyszów chorągwi Ussarskich wkradł się w nocy i na pamiątkę uciął pół wąsa. Nie wiedzianoby o tém wcale, ale rano ktoś idzie gdzie obraz wisiał, spojrzy, w wizerunku pół wąsa niema, a twarz cała surowsza jak zwykle. Dają znać panu; pan patrzy, prawda! Wprędce wieść rozlata się o tém, aż doszła do uszu onego towarzysza. Przestraszony Ussarz złożył wąsy gdzie należało, tam zaraz przyrosły, i patrz Waszmość! znów na obrazie pan Hetman z całemi wąsami.

Podobna wieść krąży o wąsach Jana III. Żak jakiś dostał kilka włosów z wąsów tego bohatera, ale gdy spać kilka nocy nie mógł, bo o każdéj północy, widmo zmarłego króla upominało się groźnie o swoją własność, musiał do grobu odnieść tę pamiątkę, którą sobie chciał zachować.

(ob. *Lud* Ser. X str. 378, Pan Przyjemski).

## 16.

## Do str. 212.

J. Łukaszewicz w *Obrazie m. Poznania* (Poznań 1838, t. II str. 257) mówi dając kronikę miasta:

Rok 1402. Podczas świąt wielkanocnych znajdował się Władysław Jagiełło w Poznaniu. Sarnicki (Annales pag. 343) przytacza o nim następującą anegdotę, którą od mieszczan poznańskich słyszał. Król był na nabożeństwie zmartwychwstania Pańskiego w kościele Bożego ciała. Ujrzawszy w czasie nabożeństwa obraz Wniebowstąpienia Pańskiego ciągniony dawnym obyczajem w górę za pomocą sznurów, zapytał: „czyjby był obraz?“ — Gdy mu powiedziano, że Chrystusa Pana, rzekł: „dajcież mu świecę.“ — Wkrótce potem spuszczono z góry obraz diabła, odmalowanego w postaci smoka. Król znowu zapytał: „a to czyj wizerunek?“ — Gdy mu powiedziano, że to jest djabeł z nieba strącony: „zapalcież mu — (rzekł) dwie świéce woskowe.“ — Zapytany o przyczynę tych względów dla djabła, miał wyrzec słowa, które później w mowie naszej w przysłowie weszły: „Służ Bogu a djabła nie gniewaj.“ — Inni utrzymują, że do przysłowia tego dał powód pewien sędzia poznański z przydomkiem Diabeł, który zapewne z przyczyny przymiotów swoich uzyskał.

*Lud* Ser. II (Sandomierskie) str. 276 (Gadka). Ser. VIII str. 150.

17.

## Do str. 217.

## Przeklęcie ducha.

Gadka z okolic Poznania.

(*Przyjaciel ludu* Leszno 1838, rok 4. N. 38).

1. Pomiędzy jodeł sępiemi grzbiety,
pośród czarnego cierniów łożyska,
jako olbrzymów nagie szkielety,
starego zamku sterczą zwaliska.

2. Cisza tam w okół wśród wiecznych ciemnic,
w dole brzmi czasem pieśń pustelnika;
a w górnych murach miejsce tajemnic,
i, jak wieść głosi, gród pokutnika.

3. Bo ledwo kirem noc świat odzieje,
dzikie się w baszcie rozchodzą jęki;
krwawéj tam łuny żar z gruzów leje,
a wewnątrz kajdan chrobocą brzęki.

4. Wtém wszystko ścicha i gasną żary,
zgrzyt tylko słychać górnych podwoji,
i przez omszonych rozwalin szpary,
cień się przemyka rycerza w zbroji.

5. Lecz jakiém losów on tam zrządzeniem
zawsze w północnéj jawi się porze,

i zamek tęskném trwoży jęczeniem,
tego nikt z ludzi zgadnąć nie może.

6. Wieść tylko głucha krąży w wioszczynie,
że się już kończą dni jego jęków,
i zanim drugie lato przeminie,
głosem weselszych gród zabrzmi dźwięków.

7. Gdy w pustelnika cichej zachronie,
w nocną już dobę, młoda dziewczyna
war wody stawia w ogniska łonie:
z grzmotem wtém jękła Ducha dziedzina.

8. W zlękłej się łono ukrop rozlewa,
rani dziewicę z trwogi pobladłą,
i tę z jéj piersi klątwę wyrywa:
„Bodajś w ogniste piekła przepadło!“

9. Ledwo wyrzekła, gdy jęk grobowy,
jak gdyby zmarłych rykło sklepienie,
okropném echem wstrząsł mur grodowy,
i w zamku — wieczne odtąd milczenie.

*A. B.*

## 18.

## Do str. 231.

nr. 54.

Podobnego rodzaju powiastki obiegały i w Niemczech. Już poeta Hans Sachs w XVI wieku użył ich za wątek do swych utworów. A. J. Szabrański (Rys literatury niemieckiej, Warsz. 1876 str. 121) powiada: „W farsie zapustowej pod tyt: Jak diabeł z babą się ożenił (Wie der Teufel ein alt Weib zur Ehe nahm) wystawia Hans Sachs diabła, który pragnie doświadczyć słodyczy stanu małżeńskiego, a ponieważ zdaje mu się, że młoda żona nie byłaby stosowną dla niego, babę więc za małżonkę bierze. Lecz szczęście małżeńskie dało mu się we znaki tak dalece, że cierpiąc długo od owéj złośliwej i samolubnej żony, nareszcie przywiedziony do rozpaczy, porzuca ją i ucieka. Po tej ucieczce, dla zapewnienia sobie przyzwoitego utrzymania, przyjmuje obowiązki u lekarza. Pomiędzy lekarzem i diabłem następuje układ: diabeł przyrzeka napadać i męczyć ciało osób bogatych, w tym celu, ażeby potem przywołany lekarz mógł je za dobrem wynagrodzeniem od téj napaści uwolnić, pod warunkiem jednak, że zysk ztąd zebrany w równych częściach do obudwóch należéć będzie. Pomimo wyraźnéj ugody, umiał lekarz rozmaitemi sposobami zwodzić towarzysza i pieniądze sobie przywłaszczać. Nie wytrzymał długo takiej krzywdy diabeł, i w tej chwili właśnie, kiedy lekarz przybył do pacyenta ze swoją pomocą na

złego ducha, ten uniesiony gniewem, opiera się swojemu panu, i mści się na na nim obelgami najzajdliwszemi. Zdumiony Hypokrat używa wszelkich środków na zuchwalca, lecz kiedy wszystko nie pomaga, do ostatniego udaje się środka, i donosi żonie o pobycie zbiega. Uszczęśliwiona małżonka, ażeażeby męża schwytać, natychmiast rozpoczyna proces. Diabeł w okropnej trwodze na samą wieść o swojej połowicy, porzuca ziemię, co tchu ucieka do do piekła (jak w balladzie Pani Twardowska) przekonany, że tam mnie cierpieć będzie (t. j. więcej użyje swobody) niż w związku małżeńskim z babą".

19

## Do str. 232.

### Diabeł.

Dr. A. Bastian *(Reise durch Kambodja,* IV, s. 384) mówi: Bei'm Bannen böser Hausgeister vertreiben die tunkinesischen Zauberer einen Teufel durch den anderen, indem sie unterwürfige Geister citiren und dann unter Schreien und Springen gelbe Papiere mit Furcht erregenden Gestalten an die Wände kleben. Besonders hängt man am Neujahrstage Scheusale aus, dass die bösen Geister nicht in die Häuser kommen. In Peking sah ich die ganze Länge einer schmalen Gasse, durch welche in der Nähe wohnende Europäer täglich zu passiren hatten, mit solchen Fratzengesichtern bekleistert. Die Hausgötzen heissen Götzen der Küche in Tonkin. Nach Bissachère, besteht eine Rivalität zwischen den Schutzgeistern der verschiedenen Gemeinden, und über den Vorrang werden Wetten angestellt.

20.

Aus der Oberpfalz. Sitten und Sagen von Fr. Schönwerth (Augsburg, 1859, III Theil s. 114): „Verbannen der Geister. Die sogenannten Ranzenmänner vertragen im Auftrage des bannenden Priesters den Geist. Ranzenmann kann nur seyn, wer an einem der vier Jahressonntage geboren ist und kein Verbrechen auf sich hat. Der Priester liest gewöhnlich zuvor den unruhigen Geist in eine Schachtel oder Büchse hinein und giebt diese dem Ranzenmann, der sie in seinen Ranzen versteckt. Zugleich erhält er vom Priester eine geweihte Haselruthe, womit er den Geist, wenn er auf dem Wege zu schwer oder zu unruhig wird, zur Ruhe bringe".

21.

## Do str. 233.

nr. 55.

Dr. A. Bastian, przy opisie krajów Azyi wschodniéj *(Reisen in Siam,* Jena 1867, t. III s. 383) mówiąc o Buddzie i Buddyzmie, na-

stępującą przytacza powiastkę, dowodzącą o ile zwierzęta niektóre słu chały wyższych natchnień (jak w Hemp-hamp różczki czarodziejskiéj. „Siedziała kura pogrążona w medytacyi, i roztrząsała przepisy religijne; wówczas to obudziło się w niej pragnienie dostąpienia godności Buddy. Wąż który się przyczołgał by ją ukąsić, zdziwił się widząc ją w zachwycie i nieruchomą, i dowiedziawszy się o przyczynie tego spokoju, uczuł również w sobie tęsknotę za Buddowością. Wół, zobaczywszy ich oboje w zgodzie obok siebie siedzących, nie mógł stłumić swego zdziwienia; lecz i on też, usłyszawszy o co chodzi, przystąpił jako współkandydat na Buddę do ich towarzystwa. Wtém przypadł i tygrys w zamiarze połknięcia tych istot, wstrzymał się atoli, nie pojmując dlaczego żadne z nich nie obawia się jego zbliżenia; ale nauczony przez węża, nawrócił się i on także, objawiając podobnież chęć zostania Buddą. Zwierzęta te, ruszywszy nareszcie w drogę, przybyły nad wielką rzekę, przez którą niewiasta na małej łódce przeprawiała podróżnych. Robiła ona trudności w przyjęciu takich passażerów, dopóki nie dowiedziała się o podróżnych celu i ich pobożnych aspiracyach. Wtedy przewiozła ich z wielką radością, objawiając od siebie życzenie, aby w przyszłych swych exystencyach (przy metampsychozie) zawsze narodzić się mogła jako matka jednego z owych Buddów. I dla tego to matka Gautamy (Buddy) przebywa wciąż w niebie, w oczekiwaniu narodzin i ukazania się ostatniego Messyjasza w Arimateji, jako macierz maha-Maya (wielka illuzya, wielkie przywidzenie, obłęd).

## 22.

## Do str. 233.

Dr. A. Bastian: *Reise durch Kambodja* Jena 1868, IV str. 332, mówi: Podług opowieści Kukutamit tavatthu (w księdze Thammabot, córka pewnego Setthi (bogacza), która mieszkała we wieży o siedmiu piętrach (terassach), zakochała się w przechodzącym właśnie pod wieżą strzelcu czy łowcu Kukutamitta. Przebrawszy się w łachmany, wyszła jako nosiwoda (dziewka nosząca wodę), przemknęła się niepostrzeżona pomiędzy strażą i napotkała łowca owego przy drodze, który dowiedziawszy się o jej uczuciach, wsadził ją do swego powozu i pojechał. Zasługi jéj podniosły ją, wiodąc na drogę Sody; i uszczęśliwioną została siedmiu synami, którzy urodą swą wszystkim kobietom zawracali głowy. Razu pewnego dostrzegł łowiec w lesie ślady stóp Phra Phutthichao'go. Bytność obcego człowieka zapaliła go gniewem, gdyż zwierz przez to nie połapał się w zastawione sidła. Widząc w oddali zabierającego się do kąpieli Buddhę, skierował ku niemu swą strzałę, ale łuk jej nie wypuścił, owszem, on sam stał się nieruchomym w przybranej pozycyi, i ani drgnąć mógł którymkolwiek członkiem. Synowie wysłani przez matkę na odszukanie ojca, celując do Buddhy, również jeden za drugim, stanęli bez ruchu w pozycyi strzelających.

Tenże sam los spotkał i wysłane po nich żony, które podobnyż czyn popełnić chciały. Nakoniec nadeszła i sama matka, a dowiedziawszy się o całej przygodzie, drżéć poczęła na wszystkich członkach przed Buddhą na samą myśl, na jak wielką zanosiło się tu zbrodnię. Upadłszy w pokorze przed nim na twarz, poczęła wzywać jego łaski nad nieszczęśliwemi ofiarami, leżąc tak dopóty, aż wzruszony tem zakonodawca nie wyswobodził ich z przykrego położenia mocą swego słowa. Nawróceni, pędzili odtąd życie oddane modlitwie i czynom zasługi.

(*Lud* Ser. XV. Zaklęcia)

## 23.

Dr. A. Bastian: *Reise durch Kambodja*, Jena 1868 str. 333, powiada: „Pakuta Kachayana erklärte das Wasser für lebendig, (żywa-woda) und trank deshalb nur todtgekochtes Wasser. Wenn auf der Reise Schüler in eine Wasser-Pfütze am Wege traten, so musste eine Sandpagode (Phra Cgedi Sai) gebaut werden, zur Sühne, dass ein lebendes Wesen beleidigt und mit Füssen getreten sei.

W baśniach ludowych częste są wspomnienia o wodzie życia, nieśmiertelności. Tenże Bastian (na str. 120) mówi: Von der Form des Gorgonenhauptes auf den falschen Steinthüren und an den Portalen sagen die Kambodjer, dass Rhea, wie sie Rahu aussprechen, der gewaltigste der Jakka oder Teufel gewesen sei und das Wasser der Unsterblichkeit gestohlen habe. Phra-In, der ihn mit dem Diskus oder Chakr verfolgte, hieb ihm den Kopf ab, da aber der göttliche Trank schon die Lippen benetzt hatte, konnte das Haupt nicht sterben und lebt jetzt, mit Händen daran, ohne Körper fort, in der Luft umherfliegend. Bei den Kalmüken ist diese Mythe weiter ausgearbeitet, indem die Sonne und besonders der Mond den fliehenden Arachu den Tengri verräth, worauf diese ihn köpfen.

## 24.

## Do str. 290

**Nauczkę podobnego postępowania daje gospodarzowi kogut (ob. *Lud* Ser. VIII nr. 89).**

Czasopismo Wiedeńskie: *Illustrirtes Extrablatt* z r. 1876 N. 298 podaje wiadomość następującą: (Getheert und gefedert). Auch im freien Amerika gibt es allerlei brutalen Unfug. Beweis dafür ist Folgendes: Man schreibt aus Dunden im Staate Michigan: Die grosse Majorität der hiesigen Einwohnerschaft ist streng puritanisch. Ein etwas leichtsinniges junges Mädchen Mary Arnold mit Namen, das durch ihr sehr freies Benehmen gegen das stärkere Geschlecht nnd durch

Gleichgiltigkeit gegenüber der strengen religiösen Sitten der Puritaner, den Zorn aller Frommen auf sich gezogen hatte, sollte die Folgen ihres Leichtsinns schwer büssen. Vor zwei Wochen umstellten 30 junge Männer das Haus in welchem Mary wohnt, worauf sie sich gewaltsam Eingang verschafften, um an dem armen Mädchen jenen scheusslichen Akt des Volksjustiz zu verüben, über dessen Barbarismus man doch längst hinaus sein sollte. Mary wurde aus ihrem Bett gerissen, vollends entkleidet, über und über mit Theer bestrichen, auf einem aufgeschnittenen Federbett gerollt, auf einem Brett im Triumph durch den Ort getragen und schliesslich über die Grenzen des Orts hinausgestäupt. Wo die Aermste geblieben ist, weiss man nicht.

*Lud*, Ser. VIII, str. 220. nr. 91.

25.

Fr. Schönwerth *(Sitten und Sagen, aus der Oberpfalz* Augsburg, 1859; III Theil, s. 89) mówi: Ein anderer Bauer wettete mit dem Teufel, dass er doch nicht alle Vögel kenne, die Gott erschaffen habe. Der Teufel erbat sich, den Vogel bis zur nächsten Morgenlichte auf einem Baume zu sehen. So legte der Teufel Mehltaig über sein Weib und drauf Federn, dass sie ganz befiedert aussah und setzte sie auf den Baum. Und wie der Teufel kam, sah er oft und lange hinauf, aber diesen Vogel hatte er noch nie gesehen. So verlor er die Wette. Schlammersdorf (w Bawaryi).

*(Lud,* Ser VIII nr. 64 i nr. 91).

26.

## Do str. 304.

nr. 79.

Dr. K. Maurer: *Isländische Sagen* (Leipzig, 1860) przytacza powieść podobnej w zasadzie treści o głuptasie Brjan, a korzystali z rysów podobnych w starych tradycyach już Saxo Grammaticus i Shakspeare (w Hamlecie). Dajemy ją tu w streszczeniu (*z Revue de deux mondes*, 15 avril 1860): Był niegdyś król bogaty i potężny. W pobliżu jego zamku mieszkał w chatce stary wieśniak z żoną, trojgiem dzieci i jedyną do pożywienia rodziny krową. Król polując raz, zobaczył ową krowę i wykrzyknął: O jakże piękną mam krowę! — Gdy mu powiedziano, że krowa ta nie jest jego własnością, kazał ją kupić. Natychmiast słudzy jego pobiegli do owego starca, i gdy jedynej swej

krowy sprzedać nie chciał, zabili go. Mordercy wszelako zaniepokojeni swym czynem, w obawie o skutki, przypuszczają że znajdzie się mściciel wśród trojga synów, którzy byli zabójstwa ojca świadkami. Zapytują więc starszego, czy uczuł on gdziekolwiek na sobie śmierć ojcowską. Synek wskazuje na serce, więc go zabijają; drugi tę samą daje odpowiedź, więc i jego też zabijają; najmłodszy zaś wskazuje na inną tylną część ciała, i to go ocala. Każdy się domyśla że ten oto będzie mścicielem ojca; ale winien przyjść do dojrzałości, pamiętać a następnie szukać sposobności. Brjan (oto jego imie) pozostaje przy matce wątły i biedny, i uchodzi wszędzie za prostaka. Niektóre z dawanych przezeń odpowiedzi, przypominają te, które w powieściach Grimma daje Jan Nauczony. Matka wyséła go raz w swym interesie do zamku królewskiego; w drodze spotyka on rzemieślników niosących rodzime (czyste) złoto do wyzłocenia komnaty córki królewskiej, i mówi do nich: „Życzę, przyjaciele, ażeby ładunek mniej wam ciężał!“— A że słowa wzgardzonego tego chłopca robiły cuda, więc stało się że po postąpienia kilku kroków, rzemieślnicy pogubili już trzy cwiartki swego ładunku. Gdy wrócił do domu, matka go się pyta: co widział i co mówił? — Opowiedział jej tedy a ona pocznie go łajać: „Nie tak należało gadać; trzeba było powiedzieć: Życzę wam ładunku trzykroć jeszcze cięższego!“ — „Powiem to, moja matko, na drugi raz.“— Nazajutrz spotyka on pogrzeb, i powiada do prowadzących konwój pogrzebowy: „Życzę wam trzykroć cięższego ładunku, moji przyjaciele!“ — I oto ciało tak wielkiej nabiera ciężkości, że prowadzący je nie mogą iść dalej. Wróciwszy do domu, powiada to matce Brjan, i znów jest połajany przez nią, która go uczy, że należało powiedzieć: „Oby Bóg dał pokój wieczny nieboszczykowi!“ — Nazajutrz spotyka znów Brjan oprawcę który wieszać ma złodzieja i t d. — Nikt zresztą nie troszczył się o odpowiedzi Brjana, wyśmiewano tylko jego prostactwo. Znany dobrze będąc na zamku królewskim, miał on tam przystęp do komnat i dziedzieńców. Widziano go, jak raz usiadł w kącie sali balowej; trzymał wielki kawał białego drzewa i nóż, którym zawzięcie strugał małe z drzewa kołki, i te następnie kładł do kieszeni. Gdy go się pytano, czém się zajmuje, odpowiadał: „Ja pomszczę tatkę!“ A że żadnej nieufności nie obudzał, i o śmierci starego chłopa już prawie zapomniano, więc wcale na niego nie zwracano uwagi. Wszelako był to dzień wielce uroczysty; a słudzy królewscy pili co się zmieściło. Gdy się popili i popadali, a sen ich zmorzył, Brjan powstał i z pomocą kołków wetkniętych w suknie ich, powiązał jednych z drugiemi, tak, że gdy się przebudzili (a byli między niemi zabójcy jego ojca i sam król) i chcieli się odczepić, pokłócili się z sobą do tego stopnia że dobyli mieczów, i uderzywszy na siebie z wściekłością i krzykiem, wszyscy się pozabijali. Tym-to sposobem śmierć ojca biednego Brjana pomszczoną została. — Wiadomo, z opowieści Saxo Grammatyka, że w napadzie szału Hamlet w podobnyż sposób użył kołków chcąc pogrzebać króla i jego towarzyszy, mordercow swego

ojca, pod obiciami pałacu, który potem podpalił; a z motywu tego wybornie korzystać umiał Szekspir, ukazując obłąkanie jego na wpół mimowolne a na wpół zmyślone. Maurer zresztą robi uwagę, że skoro nazwisko Brjana jest irlandzkiem (celtyckiem), ztąd i legenda ta od Celtów mogła była przejść do Anglów lub Duńczyków. Widzimy jednak podobną postać głuptasa i u Słowian także, u Litwinów, Łotyszów, jak i na Wschodzie.

# SPIS RZECZY.


str.

**Wstęp** . . . . . VII

**Baśni cudowne** . . . . . 3

1. Szklanna góra . . . . . 3
2. Ogrodnik królem . . . . . 7
3. Żaba zaklęta . . . . . 11
4. Strzelec królem . . . . . 14
5. O siedmiu braciach krukach . . . . . 18
6. Ojciec i trzej synowie . . . . . 22
7. Obdarowani . . . . . 27
8. Zła macocha . . . . . 30
9. Kojata . . . . . 35
10. Szklanka . . . . . 43
11. Przygody Wojtka . . . . . 44
12. Piecuch i królewna (obacz także nr. 14. Zapiecek) . . . . . 51
13. O Bogdynku i królewnie . . . . . 57
14. Zapiecek . . . . . 62
15. O złej matce i dobrej córce . . . . . 69
16. Królewna — strach . . . . . 72
17. Królewna — strach (Odmiana) . . . . . 75
18. Ukarana niewierność . . . . . 77
19. Królewicz i królewna . . . . . 83
20. Dydak i Dziad z mosiężną brodą . . . . . 94
21. Historya o rycerzu złotoskrzydłym . . . . . 99
22. Królewicz i trzy panny . . . . . 103
23. Owczarek królem . . . . . 113
24. O niedźwiedziu królewiczu . . . . . 115
25. Zaczarowane pączki . . . . . 118
26. Królowa sów . . . . . 126
27. Góra zaczarowcna . . . . . 137
28. Targowa przygoda Bartosza . . . . . 142
29. Czerwony pies . . . . . 148

str.

**Powieści moralne. Legendy.**

30. Piszczałka . . . . . 157
31. O świętym Krzysztofie . . . . . 158
32. Ucieczka Pana Jezusa do Egiptu . . . . . 160
33. Groch w zimie . . . . . 161
34. Chciwość ukarana . . . . . 162
35. Miesiące . . . . . 164
36. Pustelnik i Anioł . . . . . 166
37. Żyd nawrócony . . . . . 167
38. Z żołnierza król, z króla pastuch . . . . . 170
39. Bóg zapłać! . . . . . 178
40. Wdzięczność nieboszczyka . . . . . 179
41. Zmarły kawaler . . . . . 181
42. Zbawienie dwóch duchów . . . . . 182
43. Cierpienia niewinnéj . . . . . 185
44. Dwaj żołnierze . . . . . 191

**Gadki o czarcie i djabłach.**

45. Madajowe łoże . . . . . 197
46. Madejowe łoże . . . . . 201
47. Zaprzedany djabłu . . . . . 210
48. Sierota . . . . . 212
49. Potępiona księżniczka w zamku Gnieźnieńskim . . . . . 217
50. Mocny Bartek na wysługach . . . . . 220
51. Czart zakonnikiem . . . . . 224
52. Trzy słowa . . . . . 227
53. Kawaler-czart . . . . . 229
54. Djabeł i wdowa . . . . . 231
55. Hemp-hamp . . . . . 233
66. Jabłoń . . . . . 236
57. Chłop i djabeł . . . . . 237
58. Chłop i djabeł . . . . . 239
59. O chłopie i czarcie . . . . . 246
60. Kowal . . . . . 248
61. Kowalczyk i kusiciel . . . . . 250

**Powieści o zbójcach, oszustach, głupcach, babach.**

62. O dwunastu rozbójnikach . . . . . 253
63. Dwunastu zbójników . . . . . 259
64. Pycha upokorzona . . . . . 260
65. Kapitan nawrócony . . . . . 262
66. Wykradziona . . . . . 265
67. Nauczka i pokuta królewnéj . . . . . 268
68. Swiercz wielki prorok . . . . . 273
69. O płocie kiełbasianym . . . . . 276
70. Co jest bieda? (Ser. VIII str. 102) . . . . . 280
71. Chłop, pan i ksiądz . . . . . 287
72. Skutki wychowania . . . . . 290

str.
73. Głupi handlarz . . . . . 291
74. Przebiegły Kiwit . . . . . 292
75. Chłop i żyd . . . . . 297
76. Walek i żydzi . . . . . 298
77. Mądry Macioś . . . . . 299
78. Głupi syn Bartek . . . . . 302
79. Głupiec głupcem . . . . . 304
80. Mądra dziewka i pani . . . . . 305
81. O dziesięcinie i mądréj córce . . . . . 308
82. Swiniarek panem . . . . . 310

**Bajki.**

83. Chłopiec i lew . . . . . 313
84. Lew i skrzypek . . . . . 314
85. Pies wierny i Wąż . . . . . 316
86. Wilk i parobek . . . . . 318
87. O starym wilku i o lisku filucie . . . . . 320
88. Wilk i skowronek . . . . . 323
89. Pies i wilk . . . . . 327
90. Wilk, lis, zając, kot i kogut . . . . . 328
91. Bocian i kaczka . . . . . 329

**Dykteryjki i fraszki.**

92. O gorzałce . . . . . 331
93. Parobek smakosz . . . . . 332
94. Organista . . . . . 333
95. O księżym parobku . . . . . 335
96. O klesze . . . . . 337
97. Oszukana . . . . . 338
98. Chłop do króla . . . . . 339
99. Handlarz filut . . . . . 341
100. Pan zdzierca i chłop filut . . . . . 342
101. Żywy nieboszczyk . . . . . 344
102. Złodziejska sztuka . . . . . 345
103. Dowcipy polskiego chłopa . . . . . 348
104. Chłop i trzej studenci . . . . . 352
105. Drogi kapłon i tania łopatka . . . . . 356
106. Kobyle jaje . . . . . 357
107. Kłos żyta . . . . . 358
108. Ksiądz Węgierski . . . . . 359
109. Quare? . . . . . 361
110. Trafna odpowiedź . . . . . 362
111. Dykteryjka klasztorna . . . . . 364

**Przypisy** . . . . . 365

BN

B-ka Rocz, Poznań
2010.01.06
62458 180X

Cena za tomy I–VII 980 zł

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001006720702